

PRZEGLĄD POWSZECHNY.



Błogosławiony lud, którego Panem
Bóg jego. Ps. 143.

ROK CZWARTY. — TOM XVI.

PAŹDZIERNIK, LISTOPAD, GRUDZIEŃ.

1887.



KRAKÓW.
DRUK WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI,
pod zarządem Jana Gadowskiego.
1887.

ZAWIAZKI DZIEJÓW SICZY ZAPOROZKIEJ¹.

Druga połowa XVIII. w., która patrzała na wielkie przewroty polityczne i społeczne, dokonane w środkowej i zachodniej Europie, która była świadkiem gwałtownego rozsypania się w gruzy Polskiej Rzplitej, prawie nie spostrzegła, iż gdzieś poza Polską, na skraiskach świata, poza południowo-wschodnią ścianą polskiego gmachu, co się ku zupełnemu upadkowi stanowczo wtedy chylił — runęły dwie potęgi, dwie siły pewnego znaczenia: hanat Krymski i Sicz Zaporozka. Dla Polski oba te organizmy państwowe miały pewne i nawet niemałe znaczenie: zaważyły one nieraz potężnie, szczególnie hanat Tatarski, na szali naszych przeznaczeń, a i świat dalszy, świat zachodni wiedział o nich, i wielokroć rachować się był zniewolony z ich istnieniem. Nie polski oręż pogrzebał owe dwa czynniki niepokojów u miedz Rzplitej, ale Polskę najwięcej obchodziły losy tych dwóch, dość dzikich sąsiadów. Bez względu na węzły interesów, które łączyły nas z owymi sąsiadami, bez względu, iż w ciągu naszego życia dziejowego nieraz przemyśliwaliśmy o położeniu tamy rozwojowi rzeczonych wrogich dla nas czynników, my, najbliżsi przestrzenią i wspomnieniami, nie spostrzeegliśmy prawie ich zniknięcia z widowni wypadków. Sicz Zaporozka trochę wcześniej, hanat nieco później zniknęły wśród głuchej ciszy, ale słabe tylko echo ich upadku dobiegło do uszu naszych. Przyjęliśmy tę wieść obojętnie — poczęści dlatego, iż sprawy obce, a nas dotyczące, oddawna bez nas załatwiano, a sami wówczas upadaliśmy

¹ Odczyty publiczne, miane w Muzeum Techniczno-Przemysłowem, w Krakowie, w marcu 1887 roku.

pod brzemieniem przytłaczających nas objawów rozprężenia stosunków państwowych, poczęści iż sami byliśmy niepodlegli już tylko z imienia, poczęści zaś, iż zarówno Krym, jak i Sicz Zaporozka straciły już wtedy swe znaczenie. Hanat niczem innym nie był już wówczas jeno igraszką w rękę obcych, Sicz zaś oddawna straciła swe dawne, rycerskie cnoty, jeśli je i miała kiedy w większej ilości. Duch rozkiełznanej zbójceckości, zdziczenie zupełne — to były znamiona, które coraz to częściej czarnemi plamy występowały na starym pomniku przebrzmiałej sławy niżowego wojska.

Zaporoże, jako organizm państwowy, jeżeli tak możemy je określać, raczej jako instytucja zbrojna, żyć przestało w pierwszych dniach czerwca star. st., 1775 roku. W tych bowiem pamiętnych dniach dla Zaporoża, wódz rosyjski, Tekeli, odczytał ukaz imperatorowej rossyjskiej, Katarzyny II., rozwiązujący instytucję zaporozką. Sicz, siedziba główna Zaporozców, zniesioną została. Po dwóch przeszło wiekach istnienia, zapisanego na karcie dziejowej, po dłuższem istnieniu w rzeczywistości, bo istnienie to ma swe dzieje nawpół mityczne, i cofniętem być może znacznie wstecz poza swą jutrzenkę historyczną, członkowie zbrojnej instytucji zaporozkiej rozproszyli się po świecie, a wspomnienie po nich w pieśni tylko pozostało i w tradycyi tulającej się po futorach i siolach naddnieprza. Historia niewiele dotąd pracowała nad wyświeczeniem procesu wytworzenia się i rozwoju instytucji wojska niżowego, szczególnież u nas na tem polu mało zrobiono. Ci zaś, którzy pracowali nad zbadaniem dziejów niżowych, grzeszyli, bądź niewiadomością, bądź fałszem, bądź przesadą, idealizowaniem tego, co nie mogło stać na piedestalu. To idealizowanie zbyt częste naszym przedewszystkiem stało się udziałem. Odsunięci od źródeł, nie posiadając pracowników, którzyby w tym kierunku czynili wyczerpujące studia, poprzestawaliśmy na wiadomościach wysnutych z poetycznych utworów, na powieściach, nie mających nic wspólnego ze światem rzeczywistości, rzadkim przeto trafem wytworzyliśmy sobie pojęcie dziwnie barwne, a dalekie od prawdy o tem wszystkim, co się tyczy Zaporoża. Począwszy od samej przyrody owych okolic mało znanych, którą idealizowaliśmy, powtarzając niewolniczo poetyczne zachwyty poetów, a kończąc na postaciach, grających pewną rolę dziejową w tych krajach nie należycie zbadanych, wszystko w spo-

sób fantastyczny najczęściej przedstawialiśmy. Poza jasnemi barwy urojonego piękna, rzeczywistość, najczęściej wcale niepoetyczna, z trudnością dawała się spostrzegać; a że obrazy fantastyczne, iskrzące się barwami jasnemi, w szatę poetyczną odziane, do umysłów łatwiej wchodzą niż balast wiedzy dziejowej, nie dziwny się przeto, iż fantazyja szerokie dziedziny posiadała, podczas gdy wiedza poprzestać musiała na skromnem a dalekiem stanowisku, z kąd jej głos prawie nie daje się słyszeć. Dla dziejów wszakże prawda, niosąca wieść miłą lub niemiłą, złą lub dobrą, o ciemnych czy też jasnych barwach, prawda bezwzględna jest niezbędną — bez prawdy nie ma historii. Jeżeli w ogóle dla historii prawda jest konieczną, to w stosunku do naszego społeczeństwa, naglącą prawie jest potrzeba posiadania dokładnych, na prawdzie opartych wiadomości z dziedziny historii tych okolic, które dłuższy lub krótszy czas stały pod sztandarem Rzplitej, z dziedziny historii tak zwanych awulsów, a taką okolicą, stojącą pod sztandarem Rzplitej, takim jednym z jej awulsów, było Zaporozie. Wpatrzywszy się w dzieje zawiązków i rozwoju Zaporozia widzimy, że było ono czemś bliższem niż awuls, iż urosło ono z nasion polskiej kultury, ale późniejsze już burze i szarugi dziejowe z kłosów, z owych nasion urosłych, wywiały zdrowe ziarno lub rdzą je skaziły.

Bez względu jednak na to późniejsze odstrychnięcie się Zaporozia od Polski, bez względu na jego zdziczenie, na porwanie wszystkich nici łączących Polskę z Zaporozem, w tem ostatniem pamiętano bardzo długo, iż Białą orzel na ostrokołach Siczy kiedyś — nie rok, nie dwa, ale lat dwieście powiewał, i w chwilach gdy ostatnie już były godziny istnienia Zaporozia, sięgało ono po stare pergaminy przywilejów królewskich; przywileje te, a szczególnie Batorowski przywilej, z sierpnia 1576 roku — miały być dla nich deską ratunku. Przypomniano o swej prastarej macierzy, lecz przypomniano zapóźno — przypomniano w chwili jej i swego zgonu.

Zaporozie nie było jedynie instytucją wojskową, pewnego rodzaju średniowiecznem bractwem rycerskiem, jak to później wskazyjemy, lecz zarazem i państewkiem, posiadało swe terytoryum, swą organizację administracyjną, swą władzę naczelną, swe prawa i sądownictwo. Był czas, że zawierało ono traktaty, wysyłało poselstwa do sąsiednich mocarstw, zawierało przymierza i starano się o jego

przyjaźń, ubiegano się o sojusz. Sam cesarz niemiecki, powaga wielka w świecie chrześcijańskim, słał do nich poselstwa, starał się o ich współdziałanie w zamierzanych do Turcyi wyprawach, potęga zaś otomańska drżała nieraz w obec śmiałości ich oręża. Zaporozże przeto możemy uważać nie tylko jako bractwo rycerskie, ale jako państewko o dość oryginalnej organizacyi.

Zanim wskażemy pewną grupę faktów, dotyczących się pierwszych zawiązków dziejów Zaporozża, rzucimy okiem na geograficzną pozycję terytorium tworzącego państewko wojska zaporozkiego. Punktem wyjścia dla nas nie będą czasy dawne, nie peryod mityczny dziejów zaporozkich, który sięga początków panowania Kazimierza Jagiellończyka, nie peryod doby Batorego, ale rok 1775, rok zniknięcia Siczy z widowni wypadków.

Granice ziem Zaporozża były niestałe; mniej więcej jednak opierały się o pewne punkta, które tworzyły miedzę nie ulegającą zaprzeczeniom. Pomimo braku granic ściśle określonych, Zaporozże, jako organizm państwowy, wiedziało o głównych przynajmniej punktach między swych ziem i troskliwie ich strzegło, w XVIII. szczególnie wieku, kiedy wdzierać się zaczęła obca kolonizacya do siedzib zaporozkich, wbijając klin, który oddzielił Rzpltę od siedzib niżowych. Na północy granica ta biegła rz. Orelą, która jest lewym dopływem Dniepru; ziemie leżące na południe od rz. Oreli (na lewych dniewprowych porzeczach) były siedzibami wojska zaporozkiego; dobiegały one do wpadających w Dniepr Końskich-wód na południe, do rzeki Berdy na południo-wschodzie, i tą rzeką biegły do morza Azowskiego. Wybrzeże Azowskie do ujścia Kalmiusa i wody tegoż Kalmiusa w górę ich biegu, tudzież wyżyny rz. Samary i Wołczy uzupełniały wschodnią granicę, dobiegając do górnej Oreli. Taki to był obszar ziem zaporozkich na lewych porzeczach dniewprowych. Prawe wybrzeże również znaczny obszar zaporozkich posiadłości obejmowało, i na prawem głównie rozsiadły się Sicze, stolice Zaporozża, trzymając się Dniepru. Siegały one niegdyś na prawym brzegu na północ daleko, bo aż do Wysi i Taśminy, do granic Rzpltej, ale około r. 1750, na ćwierć wieku mniej więcej przed upadkiem Siczy, kolonizacya Serbów i różnych odprysków południowo-słowiańskich szczepów odsunęła miedze ziem Zaporozża ku południowi, wszedłszy klinem między dziedziny Rzpltej a ziemie zaporozkie. Ścieśnione

w ten sposób granice siedzib wojska zaporozkiego zaczynały się od małego dopływu prawego brzegu Dniepru, Samotkani, i biegły przez step bezbrzeżny na zachód w prostej linii ku ujściom Sinich wód do Bohu; ujście Sinich-wód i mała przestrzeń wybrzeża Bohowego, gdzie był tak zwany Gard Bohowy czyli Zaporozki, jedyny tworzyły punkt zachodniej granicy, która na przestrzeni mil czterech, lub coś około tego, dotykała Bohu. Łamana linia, złożona z kilku linii prostych, od Bohu ku dolnemu Ingulcowi, przecinająca kilka rzeczek stepowych, jak Martwe-wody, wreszcie przecinająca Ingul, tworzyła zachodnią granicę, która z biegiem dolnego Ingulca do Dniepru dochodziła. Państwa graniczące z Zaporozem były tylko trzy: Rzplita Polska i rossyjskie posiadłości na północy, też posiadłości na wschodzie; południowe zaś i zachodnie granice opierały się o stopy i koczowiska tatarskie. Rzeka Końskie-wody i rzeczka Berda to miedza ziem siczowych od stepów hanatu Krymskiego. Te ostatnie nosiły jeszcze nazwę „Pól Dzikich“, i w ogóle wszystko, co legło równiną bezleśną od południowych kończyn Polski, od tak zwanej „ostatniej“ Ukrainy, jaką w XVIII. w. była nasza południowa Braclawszczyzna, nosiło miano „Dzikich Pól“. Z owych Dzikich Pól wykroili sobie część swych posiadłości Kozacy Niżowi, czyli tak zwani Zaporozcy. Lecz ziemie siczowe rozłożyły się szerokimi rozłogi nie tylko na prawym brzegu Dniepru, ale po obu wybrzeżach widzimy je. Główną arterią, którą płynęło życie orężnych gromad, co się gnieździły na Zaporozu, był bez zaprzeczenia Dniepr. On jednoczył Zaporozę ze światem, on był gościńcem, którym doń płynęły wieści z ziem innych, od północy i południa; on niósł na swej fali, od północy z Polski, isierki postępu, lub z innych wybrzeży instynkta wręcz postępowi i chrześcijańskiej cywilizacji przeciwne, on niósł, głównie z południa, towar koniecznej potrzeby lub nawet zbytku, on wreszcie był obroną siedzib siczowych. Jego głębie żywiły ich wielokroć, wyspy i sitowia były pulkerzem ochraniającym niby twierdza, i na jego „progach“, tak zwanych z rusińska „porohach“, próbowano dzielności, męztwa, zręczności, a przytomności umysłu tych, co przed wiekami chcieli stanąć w szeregach siczowego bractwa.

Wody Dniepru w jego niższym biegu odgrywały większą rolę w życiu Zaporozża, niż inna jakakolwiekbyś miejscowość, większa

niż obszary stepowe i drugorzędne dopływy dniewrowe, dla tego też tym wodom dolnego Dniepru poświęcimy tu szerszy ustep. Całe pasmo dziejów Siczy, tak pierwotnej jak i późniejszej doby, wije się około wybrzeży i wód Dniepru; tam rozpoczyna i kończy istnienie swe, jak latorośl powoju, która istnienie swe rozpoczyna i kończy u pnia tegoż samego starego dębu, co patrzył na kielkowanie, wzrost, kwiat i zwiędnięcie powoju. Wspaniały powój piał się wysoko ku szczytom dębu, uschnął i leżał prochem, podczas gdy dąb pozostał tymże dębem nietkniętym dłonią czasu...

Wybrzeża Dniepru należą do okolic, które się najbardziej upamiętniły w przeszłości, nietylko Siczy, ale i naszej, a fakta, co wielokrotnie miały miejsce nad wodami tej rzeki, zaważyły stanowczo nieraz, na szali naszych przeznaczeń. Ze wszystkich wód naszego społeczeństwa, po Wiśle, Dniepr najczęściej przez poetów opiewany, a historia nasza więcej o nim niż o Odrze mówi, acz ta bliższa nam, nie pokrewna tylko, lecz rodzona nasza, i germanizm niezupełnie jeszcze wyparł nas z jej brzegów. Dniepr opiewany wielokroć przez poetów naszych — Odra zapomniana. Od źródlisk aż do ujścia, na całym długim pasie porzecza Dniewrowego, nie ma pono ani jednej piędzi ziemi, któraby nie można było mienić historyczną, każda garść piasku przesiąkła tam krwią i łzami bied wielorakich, a każdy niemal kamień, każde prawie wzgórze mówi tam do nas podaną głosem. Wody tej rzeki dzieliły dziedziny dwóch wpływów, dwóch cywilizacyj, były to miedze dwóch światów, i poniekąd do dziś są takimi. Przekraczając je, zrywało się niejako z tem wszystkim, co wędrowiec spotykał na swej drodze, gdy dążył od zachodu ku tym nieba stronom, gdzie codziennie płoną blaski jutrzeńki.

Już w połowie XIII. stulecia nasi wędrowni mnisi, posłowie ku taborom mongolskiego hana Gajuka dążący, spotykali na Zandniewprzu świat zupełnie inny, który nagle, na lewych porzeczach, zmieniwszy swą postać, już dla nich oblicza swego nie zmieniał wcale, aż do głębin nieznanych, dalekich dziedzin Gajuka. Późniejsze wieki zmiany sprowadziły, nieolbrzymie wszakże i niestanowcze: poza górny tylko i poza środkowy Dniepr przedzierały się promyki wpływu cywilizacyjnego, zachodniego, lecz się tam utrzymać nie mogły, chyba nieco poza górnym — za dolny Dniepr ten wpływ nie sięgał i rzucany niekiedy dorywczo, wcale się nie ustalał.

Krainy te, „Niżem“ nazywane, pozostały dziewiczemi co do oblicza swego; ponurem ono dotąd i nieociosanem, niby dziś wyszło z pierwotnej chwili tworzenia się.

A właśnie ten dolny Dniepr najbardziej upamiętnił się w przeszłości, najbardziej głośną sławą rozbrzmiewał. U jego wybrzeży uwiły swe gniazda siedziby Kozactwa — sławne, a mało dotąd krytycznie, bezstronnie przestudyowane Sicze Zaporozkie. Na porzeczech dolnego Dniepru znalazły dla siebie teren dzikie sceny wyuzdanej swawoli, mordu, pożogi... ztamtąd, niby z piekielnej otchłani, wychodziły rozszalałe tłumy Chmielnickiego, a krwawe widma hajdamackich zbrodni znajdowały tam zachętę, sitowia, a ługi dnieprowe wciąż piastowały nowych szeregowców hajdamackich tłuszczy. Do początku obecnego stulecia wybrzeża dolnego Dniepru były nadzwyczajną wśród ucywilizowanego świata siedzibą społecznych fermentów różnego rodzaju. Większe zaludnienie, zniknięcie Siczy, zmiana warunków politycznych na całym porzeczu dnieprowym, zatarty ślady dawnego życia, które, acz głośnie, nie było ani tak chlubnem, ani tak pożytecznem dla ludzkości, jak mówią poematy i piosnki. Apoteoza kozaczyzny może się czynić bądź ze złą wiarą, bądź z powodu zupełnej nieświadomości dziejów; a jeżeli w dobrej wierze, to gwoli jakiejś fantazyi, wśród marzeń poetów, lub — co najczęściej bywa — przez natury skłócone z porządkiem społecznym.

Apoteozę wytworzyła z Kozaczyzny poezya polska w pierwszych dziesiątkach lat naszego wieku. Wypłynęło to z obfitego, nieprzebranego, zaiste, źródła dobroduszości naszego społeczeństwa, pospolicie chętnego do budowania złotych gmachów dla innych, kiedy się nie posiada nawet słomianej strzechy nad własną głową... Zreszta, jakiś pociąg dziwny, nieczem nie dający się objaśnić, chyba dziejowym atawizmem plemion, ciągnął nas ku Dnieprowi. Dążyliśmy w tym kierunku od dawna, od wielu wieków. Dążyliśmy z rycerzami Bolesławowymi w postaci zdobywców, z mnichami młodocianego zakonu św. Dominika, z Jackiem Odrowążem na czele, którzy tam nieśli słowo pokoju, słowo chrześcijańskiej miłości, rzucaли pomost cywilizacyjny, który tę daleką krawędź świata miał połączyć z ogniskami zachodniej kultury. Nad górnym i po części nad środkowym Dnieprem stanęliśmy podczas doby bardzo wczesnej, za dni Władysława Jagielly; pierwsze usiłowania połączenia Polski

z Litwą postawiły nas w bezpośrednim zetknięciu się z wyższym Dnieprem i ze znaczną częścią środkowego. Dolny Dniepr, ów tak zwany *Nysz* w mowie Słowian naddnieprzańskich, tak zwany u nas *Niż* (co jest wyrazem urobionym z tylko co przytoczonego wyrazu Polan naddnieprza) głównie nas obecnie zajmuje, gdy mówimy o pierwotnych dziejach Siczy. Dolny Dniepr zaczyna się tam, gdzie żegluga jest już nieco utrudnioną, gdzie spotykają się pierwsze „zapory” — tj. podwodne kamienie — zwiastuny „progów”, gdzie wybrzeża Dniepru połączonego z Taśminą, żegnają ziemię bardziej uprawną, bardziej zaludnioną, gdzie wreszcie wody tej rzeki, szeroką ławą rozlane, wchodzą na step szeroki, na stare koczowiska Połowców, Torków, Berendajów, Czarnych Kłobuków, gdzie przeryniają wysoczyzny stepowe, spieczone promieniami południowego słońca, mało urodzajne, długie wieki ugięte, słowem, na tak zwane „Dzikie Pola”.

Na straży „Pól Dzikich”, na północnej krawędzi Dolnego Dniepru, (ale na lewym jego wybrzeżu) jeszcze za Zygmunta Augusta, stała obronna siedziba — zameczek, który do dziś istnieje, lecz już nie jest warownią stepową, ale miastem — nazwisko jego *Krzemieńczuk*. Osadczym tej prastarej siedziby był polski szlachcic, postać znana i zapisana chlubnie na pierwszych kartach dziejów Zaporozża, szlachcic rodem z okolic Lublina, Jan Świerszczowski (Świergockim nazywany).

Od skał krzemienistych, na których za dni ostatniego z Jagiellonów wbijał Świerszczowski pierwsze ostrokoły zameczka, który od krzemieni tam spotykanych, nazwał „Krzemieńczukiem” do dniewowego przyłasku „Kiczkas”, na przestrzeni mierzącej około półtora-kilometrów, żegluga jest bądź utrudnioną, bądź zupełnie niemożliwą. Z początku spotykają się małe przeszkody, kamienie podwodne, tak zwane „zapory” (po rusińsku „zabory”), lecz w miarę posuwania się dalej z biegiem rzeki, skały i wiry podwodne stają się coraz to uciążliwsze, trudniejsze do przebycia, i gdy bieg Dniepru południowo-wschodni zmienia nagle kierunek na południowy, żeglarz spotyka szereg kamieni, skał granitowych, które, tworząc groblę podwodną, zagrażdżającą całą szerokość rzeki, wstrzymują stanowczo żeglugę. Pierwszy to „próg”, przez który fala z łoskotem przepływa i w licznych wirach rozpryska się na tysiączne bryzgi. Gro-

ble podwodne z granitu, tworzące „progi“, składają się z kilku ustępów, niby schody olbrzymie; liczba ich rozmaita, niekiedy dochodzi na większych progach liczba tych ław podwodnych do 12 nawet. Każdy z progów groźną jest tamą dla żeglugi, ale sternik, znający miejscowość, wie pospolicie o przejściach bardziej bezpiecznych, przez które może prześliznąć się łódź śmiałka, a nawet i nieco większy statek. Są to wklęsłości, wytworzone dłonią przyrody; doświadczony sternik zawsze, przy większym lub mniejszym wód poziomie, umie je odnaleźć i tą krętą, a najeżoną niebezpieczeństwami drogą, przeprowadza żeglujących. Ścieżki te wodne noszą u tamiecznych żeglarzy nazwę starej lub kozackiej drogi. Nazwa jest tu dla nas wskazówką, iż owo obowiązkowe przepływanie przez kilka progów kandydatów do siczowego bractwa rycerskiego odbywało się właśnie tą „starą, kozacką drogą“, owemi krętymi ścieżkami, co pod spienioną falą biegną przez wklęsłości ław granitowych. To przypuszczenie wcale nie uwłacza dzielności młojców siczowych, gdyż i na owej ścieżce, zwłaszcza bez doświadczonej dłoni sternika, potrzeba było posiadać niemało zręczności, aby nie zmylić tropu okrytego falą spienioną, potrzeba było dużo zimnej krwi, aby przez długie chwile z śmiercią się bratać i jej śmiało patrzeć w oczy.

Długość przestrzeni katarakt, czyli progów dniewprowych mierzy około 10 mil pol.; a wysokość spadku wód od pierwszego wodospadu, u podnóża dawnej, polskiej twierdzy Kudaku, do poziomu wód około przylądka „Kiczkas“, wynosi 113 stóp. Liczba wodospadów, tj. progów, w różnych czasach rozmaicie była podawana. Pisali o nich i w starożytności i później. Grecki cesarz Konstanty Porfirogenita liczy ich tylko siedm; inżynier polski, za dni pierwszych dwóch Wazów, Francuz, Beauplan, piszący około r. 1636, naliczył ich trzynaście; wprędce potem pamiętnikarz, Bogusław Kazimierz Maszkiewicz, dworzanin księcia Jeremiasza Wiśniowieckiego, zwiedzając je z księciem Jeremiaszem, w jesieni r. 1647, widzi tylko 12 progów; obecnie liczą ich, wedle urzędowych wykazów, zaledwie 9, a oprócz tego 6 zapór, tj. mniejszych przeszkód do żeglugi, w których to ostatnich groble podwodne nie zamykają całej szerokości rzeki¹.

¹ *Dyaryusz Bogusława Kazim. Maszkiewicza*, umieszczony w *Zbiorze Pamiętn. do Dziej. Pol. Niemcewicza*, T. V.

Ta różnica liczb, która nawet w czasach już naszych była przyczyną polemiki, nie jest ani błędem liczących i piszących, ani też zjawiskiem tak dziwnem, jakby można mniemać, nie będąc świadomym miejscowych warunków. Poziom wód wyższy bądź niższy ważną rolę tu odgrywa. Przy wyższym stanie wód łatwo znikają groźne zapory ław granitowych, ponad ich ostre szczyty fala głęboka płynęła, można było przepłynąć niejedną próg bez niebezpieczeństw, można było zatem próg mienić zaporą; i na odwrót — zaporą podnoszoną bywała do godności progu — tj. groźnego wodospadu — gdy niższy wód poziom obnażał szczyty ław, gdy cała groza progów wychylała swe oblicze z głębin pieniających się wirów.

Według wskazówek Beauplan'a, podajemy liczbę, porządek i nazwiska „progów“, gdyż świadectwo jego, sięgające pierwszej ćwierci XVII. w., ważne jest dla nas, bliższe ono bowiem doby zawiązków bractwa rycerskiego na Zaporozżu. Beauplan w takim porządku wylicza „progi“, używając nazw ludowych: Kojdacki (czyli Kudacki), Surski, Lochanny, Strzelczy, Dzwoniec, Kniaży, Nienasytec, Woronowa zaporą, Górny Wolny, Budyło, Zawużany, Leśny i Dolny Wolny. Wszystkie te nazwy są z owej doby, gdy szczepy niesłowiańskie zniknęły z wybrzeży dniewprowych. Spadek wód i długość samej katarakty są nader różne. Prawie każdy próg inne posiada swe właściwości. Podczas kiedy Kojdacki wodospad składa się z 4 ław, a spadek jego wynosi 8' na przestrzeni 900 stóp, tuż za nim spotykany Surski wodospad znacznie niższy (spadek jego wynosi 3½ stóp), a przebiega zaledwie przestrzeń 300 stóp, i dwie tylko podwodne groble zagradzają łóżysko rzeki. Najznakomitszym i zarazem najgroźniejszym ze wszystkich progów jest „Nienasytec“ (Nienasyteć), chociaż spadek jego wód znacznie mniejszy niż Kojdackiego, bo wynosi tylko 5½ stóp i nie więcej nad 7 ław skał granitowych, biegnących przez całą szerokość łóżyska dniewprowego, wstrzymuje nurty spienione. Wiry tu jednak liczne, ostre szczyty skał, wznoszące się nad wód powierzchnią, spadek gwałtowny, dla oka widoczny, fale rozpryskujące się z szybkością 18 stóp na sekundę, wytwarzają wśród tej katarakty nader niebezpieczne warunki żeglugi. Żaden z wodospadów dniewprowych tyle nie pożarł ofiar, ile otechłań Nienasytea rok rocznie od wielu wieków pochłania. U starożytnych z tak groźnych właściwości swych był on już

dobrze znanym. Porfirogenita, który podaje nazwy progów brzmiące dziwnie, gdzie napróżno niektórzy, jak np. Szafarzyk, starają się wyszukać pierwiastków słowiańskiego pochodzenia, nazywa ten próg *Neasyt*. Kto wie, czy nie jest to nazwa słowiańska, czy nie oznacza później spotykanej nazwy „Niesyty“, „Nienasycony“. Bog. Maszkiewicz w swym pobieżnym opisie progów, w XVII. wieku dokonanym, tak o tym groźnym wodospadzie wyraża się: „Między wszystkimi też porohami najgorszy Nienasytec, który w siedm grobli idzie zaraz obok siebie, gdzie lubo kozacy czołna swe ładem przeciągali, przecie zawsze i sam i tam idąc, na tym porohu przynajmniej po jednemu, jeśli nie więcej utonąć musiało — zkad nazwano go Nienasytec...“¹. Mogiły grupujące się licznie około progów, przeważnie w okolicy Nienasytea, świadczą, iż ludy prastare, które na stepach Niżu poprzedzały swem istnieniem orężne bractwo niżowe, walczyły tu nieraz. Progi, gdzie wylądowywano, by przeciągać łodzie „przewłóczyć“, jak mawiano, brzegiem rzeki, stawały się często miejscem zasadzki. Niejeden z waregskich książątek, niejeden z greckich kupców był napadnięty i zdradziecko zamordowany u progów dniewprowych, na fali dniewprowej, na tym „greckim szlaku“, jak Nestor nazywa Dniepr (mówiąc: „Greczesky bie put' i z Wariag w Greki“).

Progi Dniewprowe zamyka u południowych ich krańców pewnego rodzaju cieśnina u przylądka „Kiczkas“, nosi ona miano *Wilcze gardło*, a składa się z dwóch wyniosłych skał, które tworzą niby bramę olbrzymią. Fala dniewprowa, po długim bojowaniu i szamotaniu się ze skałami kilkunastu progów i zapór, gwałtownie przedziera się przez ciasne przejścia *Wilczego gardła* i rozlewa się szeroką a spokojną tonią. Od *Wilczego gardła* i *Kiczkasu* do Czarnego morza żadnych już przeszkód żegluga nie spotyka: łóżyisko rzeki coraz to szersze, brzegi płaskie, bardzo rzadko obramowane wzgórzami, odległe od środka nurtów, gdyż rzeka rozlewa się na liczne odnogi, tworzące labirynt wysp sitowiem i bujną trawą okrytych. Zaczynają się tu już łąki olbrzymie, tak zwane ługi, nazywane pospolicie *Pławnie*; na wiosnę bowiem, podczas większych wylewów, łąki te „pławiają się“, tj. kąpią się w mętnej fali dniewpro-

¹ *L. cit.*

wej, rozlewającej się wielkiem morzem, na niedoścignionych okiem przestworzach. To już Niż rzeczywisty, siedziba siczowników, świat inny, odcięty wielką przestrzenią stepową, bezludną ongi pustynią, progami groźnie wznoszącemi się nad falą dniewową, odcięty labiryntem wysepek od reszty świata. Takie odosobnienie od wszystkiego, co było mniej więcej ucywilizowaniem, co było chrześcijańskim, ciągle bezpośrednie zestawianie się z dziecią pogańską, wpływało na wytworzenie pewnej odrębności typu, obyczaju, odrębności całej fizyonomii społeczeństwa niżowego.

Od przylądku „Kiczkas“, od „Wilczego gardła“ rozpoczyna się Niż prawdziwy. Wyspy, które tam spotykamy, były siedzibą głównych ognisk życia bractwa niżowego. Pierwszą taką wyspą jest *Charcica*; wyniosła, w znacznej części lasem porośnięta. Leży ona tuż około Kiczkasu. Z wyspą tą, jak później wskażemy, łączą się wspomnienia o Dymitrze Wiśniowieckim, jednym z pierwszych śmiałków o głowie butnej, a niespokojnym animuszu, którzy swe imiona wplekli do pierwotnych dziejów siczowych. *Charcica* (Chortycą zwykle w dziejach przezywana) do dziś jeszcze posiada bardzo wybitne ślady okopów dawnych — są to pozostałości po owym Wiśniowieckim, co się kumał z drużyną siczową, a w niezgodzie był z porządkiem społecznym.

O mil siedm niżej Charcicy, poza ujściem Końskich Wód do Dniepru, przy połączeniu z Dnieprem Czertomeliku, praw. dopływu dniewowego, spotykamy wysepkę, noszącą nazwę Starej Siczy, lub Batorowej Siczy. Początki XVIII. wieku widziały jeszcze większy obszar tej wysepki, oblanej zewsząd wodami Czertomeliku, Podpolnej, Pawluka, rzeczek łączących się z Dnieprem. Dziś fale wód znaczną jej część uniosły, zaledwie niewielki z niej kęs ocalał; mały tylko szmat ziemi widzimy z owej prastarej siedziby siczowej, która samą swą nazwą, do dziś w ustach ludu żyjącą, świadczy, z kąd płynął duch organizujący gromady niesforne w szeregi bractwa rycerskiego. Podczas kiedy ani jedno imię naszych królów nie przetrwało w ustach ludu, w nazwach miejscowych, imię Batoro jest tu wyjątkiem. Przeszłość dawna, zapomniana, mówi nam parę razy o Batoro organizacyjnej działalności na Niżu, przypomina nazwami kilku miejscowości, która to cywilizacya, jaki to kraj, i które to społeczeństwo tchnęły były przed wiekami ducha

rycerskiego zespolenia do niesfornych kup i gromad. Wyżej nieco Krzemieńczuka spotykamy wyniosłą górę, noszącą nazwę góry Batorego, drugą zaś nazwą, łączącą się bezpośrednio z pamięcią o Batorym, jest miano wysepki, która, jak wskazaliśmy przed chwilą, była pierwszą większą Siczą, Siczą czasów historycznych, co się rozpoczynają od dni Batorego, od r. 1576.

Chcąc uzupełnić obraz wód Zaporozża wskażemy jeszcze na owe tak zwane *Plawnie* (Żuławy dniewprowe). Są to niziny złożone z wysepek pokrytych sitowiem. Sieć całą wysepek tworzą maluczkie rzeczki, które są, bądź prawemi dopływami, bądź też odpływami Dniepru, do pierwszych zaliczamy rzekę Bazawluk i rzeczkę Czartomelik, do drugich liczne odnogi Dniepru połączone z sobą nicią niezliczonych wód. W zachodniej części tych nizin gnieździły się wszystkie ważniejsze Sicze. Owe „Podpolne“, „Bazawluki“, owe „Skarbne“, rzeczki, tak często wspominane we wzmiankach dziejowych o Zaporozcach, to są odpryski wód dniewprowych, wijące się wśród trzcin, sitowi, to odnogi głównego łóżyiska, daleko na zachód od naczelnej macierzy odbiegające i rozplywające się po wklęsłościach i wpadlinach. Świat ten nizin na wiosnę staje się pospolicie morzem rozległym na wiele kilometrów. Latem nawet, gdy wody opadną, u ujść Bazawluku istnieje wodozbiór, rodzaj dużego jeziora noszącego nazwę „Wielkie wody“. Owe „Wielkie wody“ były pewnego rodzaju portem, dokąd zawijały nieraz statki kupieckie z wód dalszych, z południowych krajów kupejących, z wód Lewantu, które wszędzie szukając zbytu na swe towary, nie zapomniały o Niżu dniewprowym. Z dopływów większych Dniepru jedna tylko rzeka Samara, która o parę staj wyżej pierwszego progu (Kojdackiego) wpada do Dniepru, ściśle się łączy z ziemiami i z dziejami Zaporozża. Była ona niegdyś wodnym gościńcem wypraw Zaporozców na wody morza Czarnege; chcąc ominąć „progi“, lub też uśpić czujność zbrojnych taborów tatarskich u ujść dniewprowych, Zaporozcy biegiem fali Samary w górę żeglowali aż do jej połączenia się z Wołczą (odpływem Samary), a wreszcie Wołczą również w górę; później z Wołczy łodzie przeciągano do wód Kalmiusa, lub na wody Musza (Miusa), które ich już bez przeszkody niosły na falę Meotyckiego morza (Azowskiego).

Losy Zaporozża, jak wyżej nadmieniliśmy, ściśle połączone

były z Dnieprem, dla tego też mówiliśmy o nim przedłuższą chwilę, dla tego też każdy, kto pragnie studyować dzieje Zaporozża, powinien przebiec Niż, z pielgrzymim kijem w dłoni, powinien zwiedzić cały ów archipelag ługów niżowych, kąpiących się corocznie w fali rzecznych wylewów, powinien zwrócić uwagę na warunki geograficzne, które tu grają większą rolę niż gdzieindziej. Miejscowość otoczona podwójnym pasem obronnym — Dzikimi Polami, stepem bezbrzeżnym, odstrasającym wroga swym ogromem, bezludnym, bezdrożnym, i wreszcie szeroko rozścielającą się plejadą pływających lasów i mokradł (bo na wiosnę wyspy zalane, a krzewami pokryte, podobnemi były do lasków pływających) — tworzyła twierdzę niezdobytą. Kto tam się usadowił, stawał się niedoścignionym. Dłoń orężna przemożnego nawet wroga z trudnością mogła ich dosięgnąć, i pospolicie nie dosięgała, bo z owych „pustyń“, jak się wyraża, mówiąc o Tatarach, hetman Żółkiewski, w pierwszych latach XVII. w., „z pustyń chyba ptak albo zwierz mógł o nich dać wiadomość...“ To trafne orzeczenie osiwiatego w bojowym trudzie wodza zastosować się daje zupełnie do Zaporozców i ich siedzib siczowych. Nieznanemi one były, a ten brak wieści o nich, ta nieznanomość ścieżek stepowych, co do nich prowadzą, to, zaiste, wał obronny, nie tak może „silny jak Malbork“ (że użyję porównania XV. w.), ale w każdym razie dość mocny, by trzymać jakiś czas zdala nieprzyjaciela. Główną siłą odporną Niżowego bractwa był ów wiekuisty brak dokładnych wieści o drogach do nich, była bojaźń, którą ich nagle, na sposób tatarski dokonywane napady wywoływały, co trwało aż do ostatnich dni niepodległości Zaporozża, a nakoniec wyjątkowe warunki przyrody dniewprowych nizin. W jednym ze swych listów, przytoczony wyżej, hetman Żółkiewski pisze: „Tatarzyna goniąc, jakby też kto motyla po powietrzu gonił...“ I to orzeczenie hetmańskie również możemy do Zaporozców zastosować. Na stepowych przestworzach, przeciętych gdzieniegdzie wklęsłościami, w które jeździec wpadał i niknął, jakby się ziemia pod końskimi stopy rozwarła, upędzać się za małemi kupy Niżowców, to trud bezowocny, który do niepodobieństw bywał pospolicie zaliczany; mówiono, iż praca to próżna, „jakby wiatry siecią zagarniać...“ „jakby łowić Tatarzyna...“

Step był areną orężnych popisów Zaporozca. Był on wśród

stepu jak wieśniak w swem domowem obejściu; znał go dokładnie i kochał a cenił. Nie przecinał on jego łona ostrzem lemiesza, nie zraszał go znojem pracy rolniczej; prawie nie karmił się chlebem ze zbóż, które bujnie rosnać mogły na stepie, bo niwy uprawne Zaporozców były nieliczne, stosunkowo do obszarów stepowych, lecz bojownik niżowy step uważał za arenę bojową i to dlań starczyło za wszystko, najważniejszym było, gdyż bojowanie uważało się za cel jego istnienia; od zawiązków bractwa niżowego, oddawna, od wieków *Step bał'ko a Sicz maty* mawiał Zaporoziec, i słusznie tak mawiał. Ojciec wskazuje twarde niekiedy obowiązki życia, matka jest ostoją w strapieniu; ojciec karci, matka pociesza. Toż samo dawało się widzieć w życiu niżowego orężnika: na stepie on spełniał zadanie swe orężne, szedł w zapasy z Tatarzynem, pasował się z twardymi obowiązkami życia; w Siczcy czekał go odpoczynek; tam leczył rany, pocieszał się wśród gwaru towarzyszy, gdy wyprawa była niepomysłną i kiedy nie z sutym łupem wracał z bojowej wycieczki.

Zaporoziec władał na Niżu stepami obu wybrzeży dniewprowych. Oba też zarówno znane mu były; lecz prawy był dlań bliższy przestrzenią i zdeptał go wielokroć, bardziej niż lewy, stopą swego konia i na nim też więcej krwi wylał. Rozpadał się step pod względem administracyjnym, na tak zwane *Pałanki*. Na prawym brzegu Dniepru liczono 3 pałanki, na całej przestrzeni prawego wybrzeża Niżu: od rzeki Samotkani aż poza Sicz była *Kojdacka* pałanka, najcelniejsza, rzec można; na jej ziemiach pospolicie Szcze gnieździły się; na południe była *Ingulska*, a na zachód od tych obu, podsuwająca się ku Bohowi i Sinim-wodom, *Bohowa* pałanka. Na lewym wybrzeżu leżało aż 5 pałanek, ale znaczenie ich podrzędne, oprócz *Samarskiej*, która dotykała wybrzeży dniewprowych na wielkiej przestrzeni, sięgając na północ znacznie wyżej rzeki Samary, a na południe dochodząc do Końskich-wód, a zatem do krymskiego hanatu. Na północ od Samarskiej pałanki, były dwa także okręgi (pałanki): *Protowczanśka* pałanka i *Orelska*, a na wschodzie *Kalmiuska*, dobiegająca do rzeki Kalmiusa, do stepów dońskiego kozactwa. Ten okręg ostatni mienić się mógł prawdziwą pustynią — wielkiem światła całego Zaporozem. Kto tam zabiegł, ginał, niby w grobu otchłaniach. Piąta na lewym wybrzeżu pałanka, u ujść Dniepru, była maluczka przestrzenią i podrzędnego znaczenia — nazywała się *Prognoińska*.

Przyroda stepowa na obu wybrzeżach dniewprowych była nader różną. Na lewem, ponad rzeką Samarą, leży lasy dębowe, knieje, acz nie szerokie bo tylko wązkiemi pasy czepiające się mokradel, nizin nadrzecznych, lecz za to długie i gęste, i w budulcowy las obfite. Z budulca tych ostępów, z lip i dębów samarskiej puszczy budowano łodzie niżowców. Rzadko i w niewielkiej ilości drzewo na statki splawiano, sprowadzano je Dnieprem z Kijowszczyzny — przeważnie czerpano ten budulec z samarskich lasów. Zważywszy, jak wiele na swe orężne łodzie zużywali budulcu Niżowcy, i to przez parę, czy też więcej, wieków, zważywszy, że część tych kniej do dziś jeszcze daje dość cienia dla wędrowca, dochodzimy do przekonania, że te leśne pasy, obecnie jeszcze w resztkach przechowane, były bardzo dużemi. Nie był to nawet jedyny las w ziemiach Zaporozża. Poważne świadectwo posła cesarza niemieckiego, Rudolfa II., Eryka Lassoty, mówi nam, że ów Eryk Lassota, jadąc na Zaporozże do Siczy z misją dyplomatyczną, w 1594 r., spotkał na prawem wybrzeżu Dniepru, blisko progów, w miejscowościach, gdzie obecnie nikt się nie domyśla, aby mógł być las, spotkał niedźwiedzia w dzień, na ścieżce stepowej, która w one lata zastępowała gościniec. (*Patrz Tagebuch des Erich Lassota von Steblau. 1854*). Pobyt niedźwiedzia na ścieżce stepowej, uczęszczanej świadczy, iż knieja była dość bliską a więc i u prawych wybrzeży Dniepru, jak obecnie nad Samarą, ciągnął się pas leśny. Prastare świadectwo niemieckiego dyplomaty potwierdza relacya ustna stuletniego Zaporozca, *Korża*, którego opowiadania spisano w pierwszej połowie naszego stulecia. Widział on — jak powiada — w tych samych prawie miejscach gdzie Lassota lasów resztki¹.

Nietylko jednak co do lasów przyroda tameczna zmieniła swe oblicze. W czasach, które patrzyły na zawiązki Siczy zaporozkiej, step stał ugorem. Nikt go tam w XV. i na początku XVI. w. lemieszem nie przecinał, koczowały tam jeszcze wtedy resztki plemion na wpółdzikich, z plugiem niezbratanych; widziano wtedy na stepach Niżu, Połowców, Torków, dla których namiot wojskowy był domem, stado lub łup zdobyty na nieprzyjacielu pożywieniem. Nawet znacznie później, bo około połowy XVII. w. wspomniany

¹ *Korża* świadectwo, przytoczone przez *Storożenkę*.

już dworzaniin ks. Jeremiasza Wiśniowieckiego widział, iż tam niw uprawnych prawie nie było. Zapisał więc w swym dyaryuszu, iż rola wyrobiona na nowinach „bardzo mało i ostrożnie“. To ostatecznie orzeczenie tycze się tych niebezpieczeństw, z jakimi musieli walczyć wszyscy osadnicy aż do połowy XVII. wieku. Pęta jassyru, miecz w najlepszym razie, złupienie zagrażały tym, co wychylali głowę w głąb stepu bez broni. Nie dziwny się temu, wszakże Lassota opowiada w swym dzienniku podróży z Niemiec przez Rzpłtą do Sycy, w r. 1594, iż wieśniacy na Podolu, w okolicach Pikowa, nie inaczej, jak z bronią w ręku wychodzili w pole do prac rolnych.

Przy małej bardzo uprawie roli obyczajem ludów koczujących wschodu, wypalano pola. Olbrzymie fale ognia pędzone siłą marcowych wichrów niszczyły suche trawy, przygotowując w ten sposób podścielisko dla nowej roślinności. Ginęły przeto i całe miryady much i muszek, które były plagą stepów ówczesnych, tj. na zaraniu epoki Siczowej, i znacznie później. Maszkiewicz o owych polach, pogorzałych od umyślnie nieconych pożarów, tak się wyraża: „wszystkie pola pogorzały, i ziemia jako sadza tak czarna była“... „gdzie przecie trawą gruba — pisze on dalej — nie wszystka z korrzenia wygorzała, ale te niedogarki bardzo na konie nasze złe były, bo im piętki kłuły, ażeśmy w skórę nogi końskie oszywali“... Najzgubniejszą z owadów była tam szarańcza, bardzo często nawiedzająca tamte okolice. Mówi o niej naddnieprzański kronikarz Nestor, i o sześć wieków później mówi również Beauplan, naddnieprzański wędrowiec. Była to plaga gorsza od Tatarzyna. Wpadała do mieszkania, wciskała się do misy z jedzeniem, napastowała jeźdźca w polu, stawała się utrapieniem konia: walczyć z nią skutecznie koń nie umiał, jeździec nie zdołał jej pokonać. Podobne utarczki toczyli ludzie i konie z muszkami i muchami różnej barwy, wielkości, ale jednakiej złośliwości. Dym nie był dla nich wstrętnym, napastowały owe muszki ludzi i konie; jedynie północno-wschodnie wichry walczyć z niemi mogły skutecznie. Jeśli uderzyły wichry z północy, wówczas dopiero pierzchały chmury owych much, muszek i komarów. Beauplan, który przez nie wciąż srodze był napastowany, opisuje ową plagę szeroko i tak wreszcie powiada:... „Zrana tylko widać zwyczajne i mało szkodliwe, ale o południu pokazują się większe,

nieraz grube na palec i do tego niezmiernie dokuczliwe. Przyczepiały się do koni, do ludzi, gryzły ich do krwi, do spuchnięcia. Pod wieczór chmury komarów, zdaje się, jedną ciągnęły masą"... Lecz tu nie był koniec utrapień. Maszkiewicz rozpisuje się o różnych gadzinach, padalcach, jaszczurkach, z którymi również walczyć potrzeba było w stepach. Ta ilość wielka węzów, z których wielkie nosiły nazwę „położów“, wywołała mnóstwo legend, podań bajecznych, które snuły się po stepach, chatach niższej i wyższej Ukrainy, a nawet wdzierały się na karty przesądnych autorów przy końcu XVII. wieku. Maszkiewicz tak o nich się wyraża, opowiadając koleje swej wędrówki, przy boku ks. Jeremiasza Wiśniowieckiego, z Kudaku do Łochwicy, rezydencyi księcia: „Między różnem robactwem, jako to: węzami, gadzinami, padalcami, natrafiłszyśmy położa tak grubego, jako ręka człowieka, między łokciem a dłonią, a tak długiego jako kopia niemal. O tym powiadają, że gdy posłyszysz człowieka na koniu jadącego, by najręczszym, dogoniwszy go, okręca się koło konia i człowieka"... Rzączyńskiego relacye o owych stepowych położach, oparte na podaniach przesądnych tłumów przy schyłku XVII. w., świadczą jak przerażające, a dziecinne wieści o stepach niżowych krążyły po Rzpltej, pomnażając dość wielką, rzeczywistą grozę tamecznej przyrody. Opowiadanie Rzączyńskiego tak brzmi: „Szlacheic jeden uciekający z niewoli, gdy szedł piechotą przez „Dzikie Pola“, ujrzał tę gadzinę grzejącą się na słońcu, którą gdy ciał szabłą z sykiem wielkim podleciała w trzcinę. Szlacheic zaś po kilku dniach znalazł głównię w pochwach stopioną"... Opowieści pełne fantazyi prawdziwie wschodniej, głoszące dziwy, co wspólnego nie miały nic ze znanymi zjawiskami przyrody, podnosiły znacznie grozę warunków istnienia na „Dzikich Polach“; pochodziły zaś te dziwy przeważnie z ust jeńców, którzy z jassyru wracali. Biedny więzień, uciekłszy z ław galer tureckich, pędzony ku rodzinnym okolicom tęsknotą do kraju, dążący pospiesznie przez „Dzikie Pola“, walczący z tysiącznemi niebezpieczeństw, ścigany śmiertelną obawą pogoni, nic dziwnego, że potęgował w swej myśli grozę rzeczywistych, a wielkich niebezpieczeństw, co go otaczały. Każdy szmer wśród olbrzymich traw stepowych, każdy mocniejszy świst wiatru, olbrzymi cień mogiły, zdala ukazującej się w nocnej pomroce, zwiastował nieraz w wyobraźni biednego jeńca pogoń

niewiernych, a za nią coś straszniejszego niż śmierć — ponowne więzy jassyru. Jeniec przekładałby śmierć, przekładałby mogiłę, ku której zawałby chociaż niekiedy wiatr z pól rodzinnych, doszedłby może szept pokrewnych duchów z cmentarzy ojczystej ziemi, nad ponowne jassyru więzy, pospolicie sztraszniejsze od pierwszych. Pogoń niewiernych, ponowne więzy, stokroć groźniejsze od poprzednich, zwiastowały tylko przedłużenie cierpień na ziemi — rozwiązanie snów o wolności. Step był w ciągu wieków tysiąc razy świadkiem owych tragicznych scen, wstrząsających swą grozą nawet zardzewiałe, wśród mordu i pożogi, dusze pełne bojowego męztwa, nawet zdziżałe natury, zbratane z widmami scen krwawych. Dlatego też pamięć ludu, skarbnica najcenniejszych materiałów dziejowych, podczas gdy innych brak, przechowała nam niejedną legendę o powrocie jeńców z jassyru, z całego szeregu owych stepowych legend tak rzewnych, tak pełnych wstrząsających wrażeń, iż każda z nich może być motywem dramatu, niejedna w swej treści zamyka wątek najbardziej tragicznych sytuacji. Nad Limanem kujalnickim, pod dzisiejszą Odessą, na wzgórzu, co jest południową krawędzią Dzikich Pól, z kąd roztacza się na fale Pontu widok rozległy, widzimy też płaczące brzozy. Z kąd one urosły tam gdzie drzew nie ma, gdzie brzoza gościem zbyt rzadkim? Z kąd? Legenda, z głębi Pól Dzikich zaczerpnięta, odpowiada nam na to pytanie. Trzy branki z jassyru, trzy polki, trzy siostry rodzone, zapędzone do Krymu w łyka niewoli przez Tatarzyna, miały się stać mieszkankami harem: — traf zdarzył, iż mogły uciec. Szły tedy ciemnymi nocami jesieni, szły bez innych drogi wskazówek nad gwiazdy, szły bez kawałka chleba, bez kropli słodkiej wody, szły z całym wysiłkiem, dążąc ku objęciom zrozpaczonej matki, ku ojczystemu niebu... Z sił opadły, z głodu, ze znużenia, z bojaźni; pożary stepu ich ścigały; położy „w trawie, co kosy nigdy nie widziała“, syczały złowrogo... cierń ranił im stopy — padły tedy, padły znużone na spieczonem przez słońce południa Kujalnickiem wybrzeżu — padły w tej chwili gdy im się zdało, że słyszą już dzwony rodzinnego siola — padły na chwilę, by odpocząć — i już więcej nie wstały — z ich łez i cieniów urosły trzy brzozy o długich, płaczących warokoczach...

(Dok. nast.)

Maryan Dubiecki.

ŹRÓDŁA HISTORYCZNE WSCHODU

ODNOŚNIE DO PISMA ŚWIĘTEGO.

II. Asyryologia¹.

(Ciąg dalszy).

4. Zawartość dokumentów asyryjsko-chaldejskich.

Napisy rznięte na ścianach pałaców, na stelach i obeliskach, walce napisowe, księgi ceglane. *Dział historyczny*. Rzut oka na dzieje Babilonii i Asyrii. — Limmu asyryjskie. — Pierwotne dzieje Chaldei. — Początki państwa asyryjskiego. — Wzrost i upadek tegoż państwa. — Państwo babilońskie, Nabuchodonozor, Nabonid, Baltazar. — *Dział pedagogiczny, literacki i prawniczy*. — *Dział umiejętności matematycznych i przyrodniczych*: astronomia, astrologia, kalendarz. — *Dokumenta religijne*, wykaz tych dokumentów; najważniejsze pomiędzy nimi są: podania o stworzeniu świata i o potopie. — Sztuka asyryjska i dokumenta piśmienne stwierdzają *religijność* ludów asyro-chaldejskich. — Pojęcia tychże ludów o nieśmiertelności duszy, o życiu pozagrobowem, karach i nagrodach przyszłych, o zmartwychwstaniu ciał; wiara ich w jednego Boga.

Dzięki mozolnym pracom uczonych osiągnięto zdumiewające następstwa: nie tylko zdołano odnaleźć prawa, według których szeregowane były te strzały czy ćwieki, lecz je wymówiono i zrozumiano. Powołane zostały do życia dawno zamarłe języki: staroperski, chaldejski, asyryjski; jakimi przemawiali Daryusz, Nabuchodonozor, Sennacheryb; wskrzeszono język, którym mówiły prastare ludy Chaldei, ludy nieznanego pochodzenia i nazwiska, przyswojono sobie język akadyjski. W tym stanie rzeczy można już rozpatrzeć się w tych pomnikach piśmiennych, sięgających zarania ludzkości, nieomal pojawienia się człowieka na ziemi; zabrano

¹ Obacz zeszyt wrześniowy b. r.

się skwapliwie do odczytywania dokumentów, zwiezionych z tak wielkim trudem i nakładem do Europy. Część ich tylko dotąd zbadaną została: postaramy się dać tutaj treściwy pogląd na te nowe nabytki wiedzy ludzkiej.

Dokumenta piśmienne składają się: 1) z napisów rzniętych na marmurach, jakie przyozdabiały ściany wewnętrzne pałaców; 2) z dokumentów budowlanych, zakopywanych zwykle w rogach większego budynku; 3) z ksiąg kupieckich, kontraktów, napisów na pieczęciach i ozdobach, wreszcie 4) z ksiąg ceglanych.

Znaki napisowe na murach mają cztery do pięciu centymetrów długości, a wyżłobione są bardzo starannie. Napis miewa zwykle dwanaście, czasami piętnaście wierszy, a ciągnie się wzdłuż murów; czasami pokrywa nawet obrazy, a nierzadko część samej nawet posadzki. Najdawniejsze napisy, których datę oznaczyć możemy, pochodzą od Lig-Bagas'a, króla z Ur, z XXIV. w. przed Chr. Królowie asyryjscy i babilońscy umieszczali znaczniejsze zdarzenia na glinianych walcach i graniastosłupach, i kazali je zakopywać w fundamentach budowli przez siebie stawianych, jak i u nas jest zwyczaj przy kładzeniu kamienia węgielnego; najstarszy walec, będący własnością British Muzeum, pochodzi z XVIII. w. przed Chr. Do tego rodzaju dokumentów zaliczyć należy napisy obeliskowe.

Kontrakty i księgi kupieckie odnoszą się do najpóźniejszej, pieczęcie do najwcześniejszej epoki. Księgi ceglane zwiezione do Londynu pochodzą ze zbiorów chaldejskich i asyryjskich. Biblioteka chaldejska wynaleziona przez Rassama należy do najdawniejszych, zawiera w sobie różne działy naukowe, o których będzie mowa przy opisie biblioteki asyryjskiej.

Biblioteka wynaleziona przez Layarda w Kujundżik i dopełniona szczęśliwemi poszukiwaniami G. Smith'a, zowie się dziś biblioteką Asurbanipala. Biblioteka asyryjska założoną została pierwotnie w Asur (Kalah-Szergat) około r. 1500 przed Chr. Szczątki tej biblioteki zachowały się tylko w odpisach. Następuje kilkuniewkowa przerwa, o której nic nie wiemy. Około r. 885 Asurnacirpal odbudował Kalach albo Kelach (Nimrud) i w tem mieście gromadził bibliotekę. Syn jego Salmanasar powiększył ją odpisami z bibliotek chaldejskich; następcy jego czynieli to samo. Za Sargona

(721) wzrósł znacznie zbiór ksiąg, odnoszących się szczególnie do działu historycznego; syn jego Sennacherib przeniósł bibliotekę z Kalach do Niniwy. Największą bibliotekę zawdzięcza Asurbanipalowi, który zgromadził odpisy z różnych bibliotek chaldejskich, mianowicie z Babilonu, Borsippy, Kutu, Agade, Ur, Erech'u, Lary i Nipur; według obliczeń asyriologów biblioteka Asurbanipala zawierała 10 000 ksiąg.

Dokumenty ceglane znalezione w Abu-Habu, w Tello i innych miejscowościach południowej Mezopotamii stanowią bibliotekę chaldejską, potwierdzają one i uzupełniają wiadomości odnoszące się do tego kraju.

Biblioteka asyryjsko-chaldejska, odnośnie do przedmiotu, da się rozszepić na kilka działów, zawiera ona mianowicie: historię, literaturę, prawo, umiejętności i religię.

Dział historyczny jest najbogatszy. Oprócz napisów rytych na murach i walcach węglowych znajdują się w bibliotece odezwy i listy królewskie do ludów, którym wypowiadano wojnę, są tam opisy królewskie zwycięstw odniesionych i zagarnionych łupów, sprawozdania wodzów, którym powierzano wyprawy, słowem to wszystko coby dziś nazwać można było archiwem historycznym. Źródła te pozwoliły odtworzyć dzieje królestw leżących między Eufratem i Tygrem.

Zanim przystąpimy do naszkicowania historii ludów z nad Tygru i Eufratu, kilka słów należy powiedzieć o nadzwyczaj ważnym dokumencie, który posłużył do zorientowania się w dziejach asyryjskich. Asyrowie nie posiadali stałej epoki chronologicznej, zdarzenia kronikarskie zapisywane były odnośnie do roku panowania króla; pisano zatem: *roku trzeciego panowania Senacheriba wybuchło powstanie...* i t. d. Stąd jakkolwiek znalezione zapiski stanowiły drogocenny materiał, ponieważ nie przedstawiały ani ciągu, ani łączności, rzeczą nie było możebną zestawienia ich w jedną całość. Zaradziły temu dokumenta znane pod nazwą: *Wykazów Limmu*. Te dokumenty nie budziły na pierwszy rzut oka żadnego zajęcia: były to po prostu imiona własne umieszczone jedno pod drugimi, poprzedzielane w niektórych miejscach linijkami poziomymi, przy kilku imionach znajdowały się wzmianki o zdarzeniach historycznych. Hincks wpadł na myśl, że imiona te

umieszczone są rok za rokiem, przedział zaś zawarty między liniami równoległymi odnosi się do panowania jednego króla. Przypuszczenie okazało się prawdziwem. Urząd Limmu w Asyryi był podobny do urzędu greckiego *Archontów eponymów*; ci ostatni rok jeden urzędując, swem imieniem zwali rok swego urzędowania. W Kujundżik znaleziono kilka egzemplarzy tych wykazów, z których po sprawdzeniu i wzajemnem uzupełnieniu sporządzono wykaz 228 Limmu, którzy od r. 893 po rok 666 sprawiali ten urząd. Wykaz Limmu zestawiony z zapiskami Berozusa, historykami greckimi, kanonem Ptolemeusza i danemi biblijnemi dał początek pewniejszej chronologii dla pierwszych państw wschodnich.

Pierwotne dzieje Mezopotamii, jakie spotykamy w ułamkach pozostałych po Berozosie są bajeczne, żadnej nie wytrzymują krytyki, a ponieważ nie posiadamy dotąd dostatecznych źródeł do ich wyświeatlenia i sprostowania, przeto całkiem je tutaj pominiemy. Od Nemroda dopiero syna Chusa albo Kusza poczyną się pewniejsza historia Mezopotamii. Nemrod panował w Babelu, Erech, Akad i Kalneh, według Biblii w ziemi Sennaar, która w napisach klinowych zowie się Szumir, Sumer¹. Berozos nazywa pierwszego króla *Evechus*, co może znaczyć, *abal-Kusz*, „syn Kusza“; w poemacie epicznym chaldejskim występuje mąż, który uwolnił od smoka (Bul) cały kraj i tam następnie panował. Pismo klinowe podaje nam nazwę jego obrazową, dotąd jej nie odczytano; nadając głosowe znaczenie odpowiednim znakom wymawiają imię to tymczasowo *Isdubar*. Z ziemi Sennar wyruszył ku północy Asur i założył Niniewę i miasta przyległe, tak ma Wulgata; niektórzy egzegeci ina-

¹ שִׁנְעָר *Sinear*, Name Babyloniens im A. T. Derselbe ist vermuthlich identisch mit dem in den Keilinschriften als Name für (Süd-) Babylonien uns begegnenden monumentalen *Šumir* = Schumêr (geschr. *Šu-mi-ri*, bei Hammurabi I., 11 : *Šu-mi-ir*-(im)), welches durch die Mittelform *šungêr* שִׁנְעָר zu den in Babylonien *šungêr*, *šungir* gesprochenen שִׁנְעָר ward wie *sumir*. *dinmêr* „Gott“ zu *dinêr* oder *dinir*, und welches dann in der Aussprache שִׁנְעָר (שִׁנְעָר? —) zu den Hebräern gelangte. Die Aussprache mit *m* (*mi*) einerseits, *ng* anderseits beruht auf dialektischer Verschiedenheit: jenes war die Aussprache der in Südbabylonien wohnenden Sumerier, diese die der davon nördlich sitzenden Akkader. Von den Letzteren erhielten die Hebräer ihre Aussprache des Namens. KAT². Schrader, str. 118, 119.

czej rozumieją ten ustęp, nie Asur lecz Nemrod, według nich, osiedlił Niniwę. Przyszłe badania może rozstrzygną tę wątpliwość; o Nemrodzie i dziś jeszcze istnieją żywe podania między Arabami, kilka miejscowości nosi tę nazwę, lecz w piśmie klinowem występuje „Asur“ jako nazwa głównego bożka północnej Mezopotamii. Tyle wiemy o pierwszym założycielu państwa w tych krajach, lecz o samem państwie, o jego przejściach i trwaniu są tylko domysły, które jednakże oparte są na danych pozytywnych. Asyryologowie wydobyli w południowej Mezopotamii wiele pomników napisowych, które świadczą, iż w najdawniejszych czasach kraj był rozdzielony na drobne państewka; nazwy miejscowości są semickie, lecz nazwy panujących nie mają nic wspólnego z semityzmem. Bardzo często przychodzą nazwiska Akad i Sumer, wszyscy królowie babilońscy i asyryjscy używali tego tytułu. Odnaleziono tu stary język, należał on do ludu, który pierwszy dał początek kulturze umysłowej i cywilizacyi materyjalnej tego kraju, język ten nie jest semickim; nazwano go *akadyjskim*, *sumeryjskim*, *akadyjsko-sumeryjskim*, upatrywano w nim aglutynacyą i umieszczano w rzędzie języków turańskich. Znaleźli się jednak przeciwnicy Halevy i Guyard: utrzymywali oni i dowodzili, że język ten nie tylko nie jest turańskim, lecz nie różni się zupełnie od asyryjskiego — pismo jest różne, lecz mowa ta sama. Dziś ustaliło się między asyryologami inne mniemanie, zgodniejsze z danymi etnograficznymi i biblijnymi. Lud pierwotny w ziemi Sennar był pochodzenia semickiego, Nemrod z rodu Chama zawojował te ziemie, książęta Chamiccy panowali nad ludem semickim. Chamici, dzięki swym przyrodzonym zdolnościom, zaprowadzili tu kulturę, wynaleźli pismo i rozwinęli cywilizacyę podobnie jak w Egipcie. Z czasem pierwiastek semicki owdlał chamiczkiem, zamarł język chamiczki, używali go jedynie uczeni w piśmie, aż wreszcie i tu nawet zastąpił go semicki. Z dawnych chamitów pozostała może jedynie kasta kapłańska, która dzięki nauce, zachowała swój wpływ, mimo zmian politycznych. Kasta kapłańska zachowała nazwę Chaldejczyków, a sama nazwa znaczy „zdobywców“¹. Język zatem akadyjski byłby chamiczkim;

¹ Wyraz *Chaldea* w jego obecnem brzmieniu lub greckim *Χαλδαῖοι*, Hebrajczycy mawiali *Kasdim* כַּשְׁדִּים, Asyrowie *Kaldu* albo *Kalda*. Napisy

jak utrzymuje jeden z najbieglejszych znawców O. Strassmaier T. J., język akadyjski jest w tym samym stosunku do semickiego jak i język staro-egipski¹.

klinowe wspominają w kraju leżącym na południe od Babilonu i nazywali go *mat Kaldu*, „kraj Kaldu“. Filologowie utrzymują, że w języku asyryjskim *l* i *s* często się zastępują, tym sposobem *Kaldim* byłoby to samo co *Kasdim* albo *Kaszdım*. Sayce w dziele *Lectures upon the Assyrian language and Syllabary*, 1877, str. 135 mówi: „The Semitic inhabitants of Babilonia are called *Casdim* in the Old Testament, a word which I would connect with the common Assyrian *casadu*, ‘to possess’ or ‘conquerors’, who first made their appearance in Sumir or Shinar, that is to say, north-western Chaldea, at some unknown period before the second millerium B. C.“ Delitzsch daje następujące objaśnienia wyrazu Chaldea:

Als eine jüngere Bezeichnung Gesamtbabyloniens kann (neben Sumer und Akkad) *Chaldäa* gelten, assyr. *māt Kaldu* (-*dī*, -*da*), nom. gent. *Kaldā’a*, *Kaldū* „Babylonier“. Ursprünglich zwar bezeichnet *Kašdu*, *Kaldu*, wie oben S. 128 f. gezeigt wurde, recht eigentlich Mittelbabylonien; aber ebenso wie sich das bibl. *כַּלְדָּיִם* verallgemeinerte, so auch daß keilschriftliche *Kaldu*:

Ramannirari III. (I. R. 35 Nr. 1, 22) spricht von *šarrāni ša māt Kaldi* und meint damit die Könige von Gesamtbabylonien; Tig. jun. Rev. 74 ist die Rede von den Fürsten Arams und des *māt Kaldi*; Sanh. I. 37 werden von den Arabern und Aramäern die *amēu Kaldū* als die Nation der Chaldäer unterschieden: Nord- und Südbabylonien samt den Nomadenstämmen Babyloniens und seiner Grenzgebiete werden in den Keilschriften der jüngeren assyrischen Zeit unter *Kaldu* zusammengefasst, womit der hebräische Gebrauch von *כַּלְדָּיִם* (vgl. z. B. Ez. 23, 23) und *כַּלְדָּיִם אֲרָץ* vollkommen übereinstimmt. Freilich scheint, wie schon bemerkt, der Name *Kaldu* jüngeren Ursprungs zu sein, dies vor allem in der spezifisch assyrischen Namensform *Kaldu* (mit Übergang von *š* in *l* vor Dentalen); das hebr. *כַּלְדָּיִם* geht auf die babylonische Aussprache des Wortes zurück, welche aber (mit Ausnahme vielleicht einer einzigen, S. 129 besprochenen Spur) bis jetzt keilschriftlich noch nicht belegt ist. Über die Etymologie des Namens war in Anm. 22 die Rede; wenn Gen. 22, 22 *כַּיִן* als Sohn von Abrahams Bruder Nahor erscheint, so ist dies eine Personifikation des Volkes der Chaldäer, gleich *בֹּשֶׁת* in der Erzählung von Nimrod, *עֵבֶר*, dem eponymen Stammvater der Hebräer, und vielen anderen Namen. (Wo lag das Paradies, str. 200, 201).

¹ Zamieszczamy tu ustęp z listu jaki otrzymaliśmy od O. Strassmaiera w odpowiedzi na nasze zapytania. „Meine Ansicht über die akkadische oder sumerische Sprache stimmt vollständig mit keiner Ihrer Autoritäten, wie Oppert, Lenormant, Guyard oder Halévy. Es ist die Sprache, welche in den religiösen Inschriften auf der linken Seite steht, oder in Interlinear-Uebersetzungen an erster Stelle. Jedenfalls ist es eine getrennte Sprache, nicht einfach eine Geheimschrift, es ist aber sicher keine turanische Sprache in dem

Jakkolwiek na czterdzieści jakie wieków przed naszą erą ludność w całej Mezopotamii należała przeważnie do jednego szczepu semickiego, mówiła jednym i tym samym językiem, a często pod tymi samymi zostawała władcami, jednak położenie geograficzne, rozwój społeczny i dążności polityczne ludów południowej Mezopotamii były odrębne od północnej, stąd odróżniają zwyczajnie historycy dzieje Chaldei albo Babilonii od dziejów Asyryi.

Jeżeli istniało państwo chaldejskie za Nemroda, to najbliżsi jego potomkowie nie zdołali utrzymać tej jedności, rozpadło się ono na drobne państewka. Wzmianka o jednym z najdawniejszych panujących w Akadzie znalezioną została w bibliotece Asurbanipala, króla tego nazwano *Sargon'em 1-ym albo starym*, w klinowem piśmie nosi nazwę *Sarru-Kinu*. Na jednej z tablic z Abu-Haba czytamy: „Napis Naram-Sin, syna Sarru-Kinu, którego od trzech tysięcy dwóchset lat żaden z mych królewskich poprzedników nie widział, bożek Samas, wielki pan z E-Parra, najmilszego siedliska swego serca, objawił mi i dozwolił go odszukać“. Napis ten położył Nabonid, który panował w Babilonie między 555 i 538 r. przed Chr., stąd wnosić można, że Naram-Sin królował około 3750 r., ojciec zaś jego Sargon 1-szy około 3800 roku przed Chr. to jest najdawniejsza data historyczna, jaką posiadamy z Chaldei. Pomniki napisowe dotąd odczytane podają nam inne nazwy panujących z różnych epok; lecz pomiędzy nimi nie ma związku ani ciągu. Najdawniejsi książęta nosili tytuł w akadyjskim języku *patesi*, była to najwyższa godność świecka i duchowna zarazem, według Babelon'a odpowiadała ona „tej godności jaką Biblia przyznaje Melchizedechowi“; w późniejszych dopiero czasach pojawia się tytuł asyryjski króla „Sar“. Udzielne księstwa częstym ulegały

Sinne, wie es obige Schriftsteller verstehen. Am wahrscheinlichsten ist es die ursprüngliche babylonische Sprache, welche zum Semitischen in demselben Verhältnisse steht, wie das Aegyptische oder die Sprache der Hieroglyphen zum Semitischen. Da die Schriftzeichen sehr polyphon sind, so ist die Aussprache in den meisten Fällen noch nicht gesichert, und somit ist es unmöglich diese Sprache mit einer bekannten phonetisch zu vergleichen. Die Arbeiten von Guyard sind sehr gut und genauer und exacter als die von H. Lévy. Lenormant hat viel zu flüchtig gearbeitet, und ist meistens ungenau oder ganz falsch. Ich glaube nicht, dass Jemand bis jetzt die nöthigen Vorstudien gemacht hat, um Klarheit in diese Fragen bringen zu können“.

zmianom, jedne rozszerzały się przez podboje, inne traciły swą niezależność, nazwę nawet i wcielane były do większych państw. Od czasu do czasu inne ludy z lewego brzegu Tygru rozpościerały swe zaborcze zagony po ziemi Sennar. Około r. 2300 przed Chr. Elamici wtargnęli do Mezopotamii i przez kilkaset lat tamże panowali. Berozos wymienia jedynastu królów, zowie ich medskimi, którzy dzierżyli ziemię Sennar. W siedemnaście wieków potem Asurbanipal podbiwszy Elamitów w napisie swoim przypomina pierwotny ten zabór. „Król Elamu, Kudur-Nahunta, który nie czecił wielkich bogów, i który w swej złości zaufał własnym siłom, zrabował świątynie kraju Akad i zabrał statuetę bogini Nana: spełnił swoje zamiary i jego władza była ogromna. Wiele bogowie dopuścili te wypadki i przez przeciąg dwóch *ner*, siedmiu *sośsów* i piętnastu lat (to jest tysiąc sześćset trzydzieści pięć lat) obraz ten zostawał w posiadaniu Elamitów. Dlatego, ja, Asurbanipal, książę, który czecił wielkich bogów, zawojowałem kraj Elamitów*¹.

Nazwa króla Kudur-Nahunt'a jest analogiczną z nazwą Chodol-Logomor według LXX-ciu tłum., a Chodor-lahomor według Wulgaty. Tego Chodor-lahomora pobił Abraham i oswobodził Lota z jasyru. Epoka w której żył Abraham, odpowiada epoce panowania Kudurów w Chaldei². Napisy klinowe nie wykryły dotąd nazwy króla Kudur-Lahomora, lecz dają nam nazwę jego sprzymierzeńca, Ariocha albo Arioka, króla z Larsy. Uczony profesor berliński Schrader przyznaje, iż całe zajście Abrahama z Chodorlahomorem opowiedziane w Piśmie św. ma pewność historyczną, zatwierdzoną dokumentami klinowymi. „Arioch, król Ellasaru, pisze on³, jest

¹ G. Smith, *History of Assurbaripal*, 1871, p. 250.

² Jak wiadomo, chronologia biblijna nie jest ustalona, według obliczeń różnych chronologów śmierć Abrahama przypadła między 1826 a 2196 r. (mianowicie w 1826, 1861, 1955, 1984, 2093, 2196); lecz najście Chaldei przez Elamitów, z powodu nie pewnej daty zdobycia Suzy przez Asurbaripala, przypada między rokiem 2300 a 2280: stąd jeden z potomków Kudur-Nahunta mógł żyć w czasach Abrahama.

³ **אַמְרָפֶּל** *Amráphel*, König von Sinear. Der Name ist bis jetzt keilschriftlich nicht nachzuweisen, noch auch sonst zu erklären. — Ueber *Sinear* s. o. zu 11, 1. Mit der dort gegebenen Erklärung des Namens steht nicht im Widerspruch, dass hier der König von Ellasar-Larsav (s. sogl.) *neben* dem König von Sinear aufgeführt wird, während doch Larsav-Senkereh selber

niezawodnie Iri-Aku... król Larsy. Był on synem Kudur-Mabug'a, króla Ur i króla Sumiru i Akad... Nazwiska jego ojca Kudur-Mabug i jego dziada Simti-Szilhak wskazują, iż pochodzi z rodziny panującej elamicko-babilońskiej, to jest, według samej nazwy, z tej

sicher in Sinear belegen war. Jener war eben der Oberkönig, dieser der Unterkönig. vgl. Inschr. Kudur-Mabug's I. R. 2 Nr. III.

אֲרִיּוֹךְ *Arioch* von Ellasar, in meinen Augen fragelos identisch mit *Iri-Aku* d. i. „Diener des Mondgottes“ (sumérisch-akkadisch; assyr. *Arad-Sin*), König von Larsav (G. Smith, notes on the chronol. of the reign of Sennacherib, Lond. 1871 p. 10). Derselbe war der Sohn des Kudur-Mabug, Königs von Ur und Königs von Sumír und Akkad, d. i. des Oberkönigs, zu welchem er, so lange er lebte, in dem Verhältnisse eines Vasallenkönigs stand. Wie die Namen seines Vaters K. und seines Grossvaters *Simti-silhak* an die Hand geben, gehörte er der babylonischen Elemitendynastie an, derselben Dynastie, der, nach dem Namen zu schliessen, sein Bundesgenosse Kedorlaomer = Kudur-Lagamar angehörte (s. u.).

אֵלְלָסָר *Ellásár*, ebenfalls für uns unzweifelhaft das babylonische *Larsa*, *Larsav*, in welchem sich ein hochberühmter Sonnentempel befand, heut zu Tage repräsentirt durch die Ruinen von Senkereh, etwa in der Mitte zwischen Euphrat und Tigris, zwischen dem 32 und 31. Br.-Grade belegen (H. Rawlinson, Smith, Lenormant). S. für die Ruinen vor Allem W. K. Loftus, Chald. and Sus. 240 ss. Die Stadt verdankte ihre Bedeutung als eines Hauptsitzes des Cultus des Samas oder Sonnengottes (vgl. die ältesten dort gefundenen Backsteininschriften pes Uruk (?) I. R. 1, VII.; des Hammurabi(gas) I. R. 4. XV. 2; ferner des Purnapurjas 4, XIII. und noch des Nebucadnezar I. R. 51 Nr. 2; 52, Nr. 5). Der Sonnentempel von Larsav-Senkereh bestand noch zu Nabúná'id's Zeit (I. R. 68 Nr. 4).

כְּדֻרְלֶעֶמֶר *Kedorlaómer*, König von Elam. Mit כְּדֻר d. i. *Kudur* zusammengesetzte Königsnamen werden uns auch sonst noch in den Inschriften überliefert: zunächst ein weiterer elamitischer Königsname, lautend *Kudur-Na-hu-un-di T-la-mu-u* „Kudurnachundi von Elam“ Sanher. Cyl. Tayl. col. IV., 70, 80; sodann ein uralter babylonischer König: *Ku-du-ur-Ma-bu-ug* (I. Rawl. 2. Nr. III.), der sich als AD. DA. (*mát*) MAR-TU „Beherrscher (?) des Westlandes“ bezeichnet (s. ob. S. 129). Nun erzählt uns Asurbanipal wiederholt in seinen Inschriften (Assurb. Sm. 234, 9. 249, 9. 251, 16), dass er Elam unter seine Botmässigkeit gebracht und die Hauptstadt des elamitischen Reichs, Susan, erobert und bei dieser Gelegenheit ein 1635 Jahre früher von einem älteren elamitischen Könige *Kudur-Nanhundi* (so schreibt Asurbanipal) geraubtes Bild der Göttin *Naná* nach Babylonien zurückgebracht habe. Er bemerkt ausdrücklich, dass dieser elamitische König „Hand angelegt habe an die Tempel von Akkad (d. i. Nordbabylonien s. zu 10, 10). Hiernach kann es keinem Zweifel unterliegen, dass die elamitischen Könige in uralter Zeit eine zeitweilige Hegemonie zunächst über Babylonien ausübten. Und steht dieses fest, so ist es wiederum wahrscheinlich, dass jener *Kudur-Mabug*

samej rodziny, do której należał jego sprzymierzeniec Chodorlahomor czyli Kudur-Lagamar“. Nazwiska innych królów należących do tegoż sojuszu nie są wynalezione w kronikach asyryjskich, jednakże dają się etymologicznie wyjaśnić; upadły zatem zarzuty racjonalistów: Knobel'a, Bohlen'a, Hitzig'a, którzy do ostatnich czasów (1860) utrzymywali jeszcze, że zwycięstwo Abrahama nad Chodorlohomorem między mity zaliczyć należy.

Napisy klinowe wspominają o zawładnięciu Chaldei przez plemiona pochodzące z dzisiejszego Kurdistanu; greccy pisarze nazywali je Κισσοι. Ci Koszejczycy albo Kaszowie byli prawdopodobnie Chamitami, potomkami Kusza i stąd ich nazwa. Nazwali oni Chaldee Kar-Dunias, i tytułowali się „królami Kuszy, Kar-Dunias'u i Akad'u“. Ostatnie ich napisy pochodzą z XIV. w. (1360 przed Chr.); odtąd kronikarze nowego państwa, które powstało na północy, państwa asyryjskiego, uzupełniają brak kronik chaldejskich.

Pierwsze początki państwa asyryjskiego nie są znane. Wiemy z historii egipskiej, że Tutmes I., szczególnie zaś Tutmes III.

sicher elamitischer Abkunft (S. 135), von welchem Backsteine zu Mughair gefunden wurden, zu eben dieser elamitischen Dynastie der Kuduriden gehörte. Dann ständefest, dass in alter Zeit elamitische Könige bis nach Kanaan hin ihre Eroberungszüge ausgedehnt hätten, und es hätte schon weiter alle Wahrscheinlichkeit für sich, dass auch der aus der Bibel bekannte elamitische König *Kedorlaomer* zu dieser elamitischen Dynastie der Kuduriden gehörte, eine Vermuthung, die zur Gewissheit werden dürften durch den Umstand, dass es auch eine elamitische Gottheit *Lagamar* (*La-ga-ma-ru*) gab, deren Götzenbild Asurbanipal neben Anderen von Susa (V. R. 6 col. VI., 33) wegführte, und dass der Name Kedorlaomer griechisch mit *Χεδρολογομάρ* umschrieben wird, welches sich in seinem zweiten Theile mit dem Namen *Lagamar* vollständig deckt. Weiteres und Bestimmteres lässt sich aber allerdings bei dem dermaligen Stande der Forschung nicht aussagen; den *Kudur-Lagamar* (Kedor-Laómer) ohne Weiteres mit dem *Kudur-Mabug* der Inschriften zu identificiren (G. Smith), erscheint ungerechtfertigt.

תִּדְאֻל *Thid'ul*, König der Heiden. Bezüglich dieses Namens enthalten wir uns jeglicher Vermuthung, sowohl was Ursprung als Bedeutung betrifft. — Das neben den anderen Volksnamen auffällige **גִּטִּי** ist von H. Rawlinson gleichfalls als Volksname genommen und scharfsinnig mit dem Namen der in den Inschriften der Assyrier häufig genannten Völkerschaft der *Guti*, auch *Kuti*, deren Wohnsitze wir im Nordosten (nicht Westen!) von Babylonien, an der medischen Grenze, zu suchen haben, combinirt. S. über dieses Volk weiter zu Ezech. 23, 23. *Die Keilinschriften und das Alte-Testament*, 1883, p. 135—137.

owładnął był Mezopotamią. Świetnie rozpoczęta epoka XIX-ej dynasty zakończyła się upadkiem potęgi Egiptu; Egipcyanie utracili swe posiadłości w Mezopotamii. Kroniki asyryjskie wspominają o panowaniu króla *Patesi*, w Elassar w XVIII. w. (1760); z kilku następnych wieków posiadamy zaledwie wzmianki o jednym i drugim królu, który walczył z Kaszami. Potęga jednak Asyrów wzrastała, dążyli oni do zawojowania Chaldei. Królowie chaldejscy, mający z początku nazwiska kuszyckie, następnie semickie, długo i dzielnie bronili swej niezawisłości, lecz między XIII. a XII. wiekiem, królowie asyryjscy przybierają już tytuł „król Sumeru i Akadu“, za panowania Teglát-pal-asar’a (1120—1100) Chaldea stała się prowincją asyryjską.

Źródła historyczne z czasów Taglatpalasara I. są dosyć obfite, lecz brak jest prawie zupełny takowych z dwu następnych stuleci. Napisy Asurnacirpala (882—857) dostarczają dosyć szczegółów, daleko jeszcze więcej jego następcy Salmanasara II. (857—822). Kroniki odnoszące się do panowania Samsiraman’a (822—810), Ramannirar’a III. (810—781) i Teglátpalasara II. (745—727) są małoznaczne; natomiast następcy ich: Sargon (722—704), Sennacherib (704—680), Asarhaddon (680—657) a szczególnie Asurbanipal pozostawili cenne i mnogie dokumenta. Za ich panowania Asyrowie doszli do największej potęgi, podbili nie tylko całą zachodnią Azję, lecz i sam Egipt. W tych też właśnie czasach zhołdowali sobie Hebrajczyków i w jassy uprowadzili Izraela. Jakkolwiek lud żydowski nieliczny był, państewka jego mało znaczne, Asyrowie jednak wspominają i stosunkowo często nawet o Hebrajczykach w swych napisach klinowych. J. Oppert pisze:¹ „Zamieszczamy tu tłumaczenie kilku napisów asyryjskich, pochodzących od ostatnich królów z domu panującego w Niniwie, rzucają one nowe światło na historią biblijną. Dokumenta klinowe z Niniwy i Babilonu pozwalają nam po raz pierwszy porównać opowiadania biblijne z kronikami współczesnymi, a jakkolwiek te ostatnie pochodzą od ludu, który był wrogiem Żydów, stwierdzają jednak wiarygodność Pisma

¹ *Les inscriptions des Sargonides*, w *Ann. de phil. chr.*, juillet 1862, pag. 43.

św. w głównych zarysach a często w najdrobniejszych szczegółach". O tych świadectwach pomówimy niżej.

W ciągu sześciu wieków wznosiła się coraz więcej potęga Asyrów; pod Asurbanipalem doszła do najwyższego szczytu, lecz w kilka zaledwie lat po jego śmierci (637) ogromne to państwo runęło bez śladu i wieści. Klinowe napisy są nieme, z Pisma św. tylko i pisarzy klasycznych dochodzimy, że ta zagłada przypadła między 608 a 625 rokiem. Chaldejczycy sprzymierzeni z Medami położyli kres państwu asyryjskiemu, Nabopolassar ogłosił się niezależnym królem Babilonu. Za jego panowania państwo babilońskie stało się naraz potęgą, a za następcy jego Nabuchodonozora (604—561) podbojami Fenicyi, Palestyny i Egiptu przybrało olbrzymie rozmiary.

Mężowie z ramienia Bożego przewidzieli i przepowiedzieli upadek państwa asyryjskiego, jak to już widzieliśmy poprzednio, a zarazem zapowiedzieli powstanie potężnego państwa babilońskiego na lat kilkadziesiąt przedtem. Habakuk, żyjący za czasów Jozyasza (640—610) woła do ludu wybranego: ¹ *Pojrzyjcie między narody a przypatrzcie się, dziwujcie a zdumiewajcie się, uczynek bowiem stał się za dni naszych, któremu żaden wierzyć nie będzie, gdy będzie powiadany. Albowiem, oto, ja wzbudzę Chaldejczyki, naród gorzki a prędki, idący po szerokości ziemi, aby posiadał mieszkanie nie swoje. Straszny i ogromny jest, od niego samego sąd i brzemień jego wynijdzie. Lżejsze niż pardowie (pantery) konie jego a prędsze niż wilcy z wieczora; rozbieżą się jezdni jego. Wszyscy na łupiestwo przyjdą... Będzie on (Chaldejczycy) nad królami tryumfował... będzie się śmiał z każdego zamku, usypie wał i weźmie go.*

Nieprawości Żydów ściągnęły karę, do wymierzenia której użył P. Bóg za narzędzie króla babilońskiego. Nabuchodonozor zdobył Jerozolimę (586), zburzył świątynię i miasto, uprowadził lud w niewolę. Lecz lud Boży zatraconym być nie miał, przeznaczony był on do spełnienia wielkiego zadania. P. Bóg karze w sprawiedliwości swojej, lecz zarazem miłosierdzie Jego zsyla otuchę, w usta swego posłańca kładzie słowa nadziei. Ten sam prorok,

¹ Hab. I, 5—10.

który zapowiadał potęgę Chaldejczyków, przepowiada ich upadek. *Biada temu kto rozmnaża nie swoje woła Habakuk¹, dokądże? i obciąża przeciw sobie gęste błoto (bogactwa). Izali nie nagle powstaną, którzy cię kasać będą i wzbudzeni będą szarpiący cię i będziesz im na łupiestwo. Iżes ty łupił narody mnogie, złupią cię wszyscy, którzy zostaną z narodów (przez ciebie podbitych), dla krwi człowieczej i dla krzywdy ziemi, miasta i wszech mieszkających w niem. Biada który zgromadza łakomstwo złe do-mowi swemu, aby było na wysokości gniazdo jego, a mniema, że się wybawi z ręki złego. Biada kto buduje państwo (civitatem) krwią, a gotuje miasto nieprawością... Inny prorok wchodzi w szczególności upadku: *I upoję ich aby zasnęli i spali snem wiecznym, a nie wstali, mówi Pan. Powiodę je jako baranki na rzeź i jako barany z kozły²*. Historyk francuski³ po przytoczeniu opisu Herodota o wzięciu Babilonu dodaje: „W dniu wtargnięcia Cyrusa do Babilonu Chaldejczycy obchodzili wielką uroczystość Sasów, wśród lekkomyślnych orgij; różne ustępy Pisma św. uzupełniają w wielu miejscach opowiadanie Herodota i zabytki klinowe, z którymi pozostają w doskonałej zgodzie“.*

Za panowania Nabonida (Nabu-nahid) upadło państwo krwią zbudowane, rozorane zostało miasto nieprawości; najstarszy syn Nabonida Baltazar, po babilońsku Bel-sar-ussur, zginął podczas szturm, ojciec jego dostał się do niewoli, Cyrus zawładnął Babilonią (539).

Dział pedagogiczny i literacki nie jest dotąd liczny. Pierwszy zawiera: elementarze, gramatyki, słowniki, o których już wspomnieliśmy, a które posłużyły asyryologom do rozwiązania wielu trudności odnoszących się do języka akadyjskiego. Część literacka składa się z legend, hymnów i pieśni ludowych. Największa z legend i najlepiej przetłumaczona dotąd nosi tytuł: *Zejsście Istar do piekieł*; jest to jeden z najdawniejszych poematów semickich. „Każdy wiersz, mówi Menant, składa się z dwóch części, jak w Biblii, podział ten spostrzega nie tylko oko, lecz i ucho go

¹ Hab. II., 6—9, 12.

² Jerem. LI., 34, 40.

³ Babelon, *Hist. anc. de l'Or.*, t. IV., p. 436.

rozróżnia, czuć w nim pewną kadenecyą“. Tablice, które zawierają legendę o *grzechu bożka Zu*, nie są dotąd uzupełnione, to co dotychczas wynaleziono i odczytano okazuje wielką analogią z biblijnem opowiadaniem o grzechu Aniołów. Hymny zapoznawają nas z pojęciami religijnymi Chaldejczyków. W dziale teologicznym pomówimy o tych legendach i hymnach nieco obszerniej.

Biblioteka Asurbanipala mieści w sobie osobny zbiór praw, wyroków sądowych i kontraktów; kontrakty i księgi handlowe znalezione przez Rassama i Smitha w Chaldei uzupełniają dział prawniczy. Prawo asyryjskie oparte było na starem prawie chaldejskiem, jak prawa europejskie na rzymskiem; prawnicy asyryjscy powołują się często na prawo chaldejskie i cytują nawet sam tekst akadyjski. Zbadanie dokładne tego działu posłuży kiedyś do lepszego poznania prastarego ludu chaldejskiego, a nadto przyczyni się, jak się wyraża prawnik francuski Menant, „do wynalezienia zasadniczych pewników, na jakich oparte jest prawo natury, które jest tylko wyrazem sumienia ludzkiego“.

Chaldejczycy uprawiali różne gałęzie umiejętności, biblioteka Niniwska zawiera księgi o zoologii, botanice, mineralogii, traktaty matematyczne i astronomiczne; wszystkie te dzieła pisane są prawie zawsze w dwu językach, asyryjskim i akadyjskim. W wykładzie nauk przyrodniczych widać metodę naukową, usiłowanie klasyfikacyi: mięsożerne zwierzęta stanowią niejako rodzinę, do niej zaliczają: psa, wilka, lwa; gatunek pies ma swoje odmiany, pies domowy, pies gończy, pies mały i pies Elamski. Obok nazwy wyrażonej językiem pospolitym, umieszczona jest zawsze nazwa naukowa, która odpowiadała pojęciom naukowym, jakie mieli o danym przedmiocie. Na szczególniejszą wzmiankę zasługuje astronomia. Od bardzo dawnych czasów Chaldejczycy słynęli ze swych wiadomości i spostrzeżeń astronomicznych, stamtąd Grecy czerpali początki tej nauki. Chaldejczycy rozróżniali planety od gwiazd stałych, wyrachowywali ich obrót, oznaczyli ruch słońca po zodiaku, zauważyli peryodyczny powrót zaćmień, a nawet cofanie się punktów równonocnych. Nie Hipparch tedy, jak dotąd sądzono, odkrył *precesyę*, lecz była ona już znana Chaldejczykom na jakie kilkadziesiąt wie-

ków przedtem¹. Za czasów Sargona Starego istniało obserwatorium w Agade. Wiemy z kronik, że Asurbanipal wysyłał swych astronomów do miast chaldejskich: Ur, Sipary, Agady i Babilonu, aby tam nabywali tej nauki.

Kalendarze odszukane w Niniwie są trojakiego rodzaju: naukowe, świąteczne i magiczne.

Rok słoneczny składał się z 365¹/₄ dni, używano go do rachunków astronomicznych; rok świąteczny składał się z 12 miesięcy, po 29 i 30 dni; co ośm lat sprowadzano zgodność roku księżycowego z rokiem słonecznym za pomocą miesięcy przybyszowych. Siedem dni stanowiło tydzień, dzień siódmy był świętem, nazywano go po asyryjsku *Sabattu*, podobnie jak w hebrajskim języku; był to dzień „odpoczynku dla serca“, jak mówiono, wszelka praca w tym dniu była zakazana².

Trzeci rodzaj kalendarza poświęcony był magii; oznaczone są w nim dni szczęśliwe i nieszczęśliwe, załączone są stosowne formułki, których odmawianie miało zabezpieczyć od szkodliwych planet a sprowadzić pożądane spełnienie zamiarów i przedsięwzięć. Początek magii ginie w pomroce czasów, w Chaldei uprawianą była w XXXVIII. w. przed Chr.; posiadamy dokumenta magiczne Sargona Starego w odpisach Asurbanipala. Od Chaldejczyków astrologia przeszła do Arabów a następnie dostała się do Europy, gdzie jeszcze w XVI. w. wykładano ją po akademiach.

Dokumenty piśmienne, z których możemy zaczerpnąć wiadomość o pojęciach religijnych ludów chaldejsko-asyryjskich, są dość liczne. J. Smith wymienia w swem dziele³ następujące:

1. Opowiadanie o stworzeniu świata w sześciu dniach. Dokument ten sięga wieku VII przed Chr., a jest odpisem z dawniejszej księgi.

2. Inne opowiadanie o stworzeniu, pochodzące z biblioteki miasta Kutah; co do redakcyi, jest daleko wcześniejsze od poprzedniego.

3. Opis zejść między Merodachem, przedstawicielem bogów,

¹ Ob. Sayce, *Astron. and Astrol. of the Babylon.*, (Trans. Soc. Bib. Archaeol., vol. III.). Ob. również Lenormant, *Manuel d'histoire ancienne*, p. 37.

² Ob. Schrader. KAT. 1883, str. 18—22.

³ *The Chaldean account of Genesis*. str. 10, 11.

a Tiamat'em (otchłań), przedstawicielem nieporządku i zła. Tutaj można zaliczyć podanie o „siedmiu złych duchach walczących przeciw księżycowi“.

4. Zstąpienie bogini Istar do piekieł i jej stamtąd powrót.

5. Legenda o grzechu bożka Zu, o karze wymierzonej przez Bel'a, ojca bogów.

6. Czyny Dibbara, bożka zarazy.

7. Historia mędrca stawiającego zagadkę bogom.

8. Legenda o poczciwym człowieku Atarpi i niegodziwości świata.

9. Legenda o wieży Babel i rozprószeniu.

10. Bajka o byku i koniu.

11. Bajka o orle i Etana.

12. Bajka o lisie.

13. Legenda o Sinuri.

14. Legenda o Izdubarze: na dwunastu tablicach opowiedziana jest historia Izdubara i Potopu.

15. Opowiadanie o zburzeniu miast ogniem z nieba (Sodomy i Gomory).

Pomiędzy tymi dokumentami pierwszorzędne zajmują miejsce podania o Stworzeniu i Potopie, które, tak co do całości jak i co do szczegółów, zupełnie są podobne do opisów biblijnych i wskazują na tożsamość źródeł — pomówimy o tem osobno. Nadto cały ten dział dokumentów zapoznaje nas z pojęciami religijnymi najdawniejszych ludów Mezopotamii, mianowicie zaś, dokumenta te wykazują, że ludy chaldejsko-asyryjskie były religijnymi, wierzyły w nieśmiertelność duszy, w życie pozagrobowe, w kary i nagrody przysze, w zmartwychwstanie ciał, a nadto, pomimo że pomniki piśmienne pochodzą z epoki wielobożnej (politeistycznej), uwytatnia się w nich pierwotne pojęcie jednobożności (monoteizmu)¹. Zanim

¹ Dr. Fischer w cennem swem dziele poświęca temu przedmiotowi wiele kart i wykazuje zgodności podań biblijnych z zapiskami asyryjskimi: „Als hauptsächliche Concordanzpunkte haben sich uns im Laufe der Untersuchung folgende ergeben:

1. Inmitten der Vielgötterei ein durchgängig monotheistischer Zug.

2. Eine Art Trinität.

3. Der Glaube an ein Engelreich, deren Empörung und Sturz (Mero-dach-Michael).

jednakże przystąpimy do rozpatrzenia się w tych dokumentach, kilka słów musimy powiedzieć o sztuce asyryjsko-chaldejskiej, jako mającej ściśle związek z pojęciami religijnymi.

Chaldejczycy i Asyrowie budowali pałace i świątynie ogromnych rozmiarów. Resztki ich odgrzebane nie przedstawiają się oczom naszym tak świetnie jak zwaliska budowli egipskich, lecz przyczyna tego leży przedewszystkiem w materyale: barwne granity i pyszne marmury syenickie mogły uragać zębowi czasu, cegła mezopotamska uległa jego wpływowi. „Chaldea miała również jak Egipt wzniosłe dążenia, pisze G. Perrot¹; pod względem ogromu i wspaniałości budowle z nad Eufratu mogą się współubiegać o pierwszeństwo z budowlami z nad Nilu. Jednakże, według nas, nie mogą mieć prawa do tego samego uwielbienia. Na szerokich płaszczyznach eufrackich, te piętrzące wieże, które staraliśmy się odtworzyć, miały znaczenie pierwszorzędne; swoim ogromem wzbudzały podziw, ożywiały wzrok swą barwnością, lecz nie wzniosły się do szlachetności świątyń egipskich, do ich tajemniczej, niezrównanej piękności“. Lecz jeżeli pod względem piękna budowle asyryjsko-chaldejskie były dopiero na drugim planie, pod względem umiejętności budowniczej zasługują na pierwszeństwo. Wiktor Place w monumentalnem wydaniu swego dzieła pisze²: „Budowle asyryjskie, biorąc na uwagę umiejętne obliczenie sklepień, wskazują bardzo wysoki stopień kultury. Sztuka budownicza w Egipcie i Grecyi, w porównaniu z asyryjską, była — można powiedzieć — w dzieciństwie. W Asyryi

4. Die Welterschöpfung aus dem Wasserchaos und das Sechstageswerk.

5. Die Erinnerung an den ursprünglich vollkommenen Zustand der ersten Menschen.

6. Das Paradies, der Baum des Lebens und der Erkenntniss.

7. Der Drache (die Schlange) als Uhrheber des Bösen.

8. Der Sündenfall und die göttliche Strafe.

9. Die Sündfluth bis ins Detail (Hasisadra Noah, Izdubar Nimrod).

10. Der Thurmbau zu Babel und die Sprachverwirrung.

11. Der Glaube an die Unsterblichkeit der Seele.

12. Der Glaube an den Himmel, den Mittelort und die Hölle.

13. Die Hoffnung auf die Auferstehung“. *Heidenthum und Offenbarung*,

v. Dr. Fischer. S. 245.

¹ *Hist. de l'art*, t. II., p. 787.

² *Ninive et l'Assyrie*. Paris, t. I. 1867, p. 289.

umiejętność budownictwa doszła do najwyższego rozwoju. Nie wahamy się zupełnie w uznaniu sklepień asyryjskich za pierwo-wzór dla budowli takich, jakimi są: Kapitolium, Świątynia Pokoju, Ś. Sofia, Ś. Piotr, katedry średniowieczne, akweduki, mosty a nawet te olbrzymie wiaduki, jakimi się słusznie szczycą czasy nasze*. Inne gałęzie sztuki szły w parze z budownictwem: kolosalne statuy, płaskorzeźby wykończonego dłuta, wyroby z kości słoniowej, zdobiące dziś muzea europejskie, dają pojęcie o smaku i zręczności artystów asyryjskich. Dzięki badaniom uczonych francuskich sztuka asyryjsko-chaldejska jest dziś dobrze znana. Jakkolwiek istota jej realistyczna nie objaśnia nam dość wybitnie¹, jak to ma miejsce w Egipcie, oderwanych pojęć tych ludów, wszakże można z niej wyciągnąć dwa ważne wnioski odnoszące się do naszego przedmiotu; wnioski te są tem pewniejsze, że sztuka ich na realizmie,

¹ Dans leur manière de dire pour glorifier leurs rois, les Assyriens ne manifestent pas le génie poétique et panthéiste des Grecs. L'art grec, né de fictions, vit surtout de mythologie; l'art assyrien se tient beaucoup plus près de l'humanité. Les poètes ninivites, et par là nous entendons les artistes, dont les oeuvres sculptées nous sont parvenues, se borneront à des récits historiques, où ils mirent en scène, non plus des dieux et des héros fabuleux, mais seulement des héros et les événements de leur époque. Ils ne remontent jamais au delà du règne de celui, qui a fondé le monument. La part restreinte accordée aux idées spiritualistes révèle un régime social plus militaire que théocratique: aussi les cérémonies du culte, l'interprétation allégorique des principes de la morale, la vie des dieux ne se trouvent pas figurées. Jamais non plus on ne voit ni les morts comparaisant devant les juges suprêmes, ni les âmes conduites par un nautonnier ou par tout autre guide au séjour des bienheureux ou des méchants; aucune trace de croyances à la vie future, aux récompenses ou aux châtimens qui attendent les actes humains¹. Pour tout témoignage des pensées religieuses n'apparaissent que les effigies d'êtres hybrides, dont la composition peu variée, résumait sans doute toute la théogonie des Assyriens: les êtres emblématiques avaient-ils même, dans l'opinion de ce peuple, une existence personnelle et recevaient-ils un culte? Nous l'ignorons; mais en tout cas, et malgré les expressions de piété que les inscriptions contiennent, ces dieux ne dépassent jamais les seuils et ne se retrouvent pas dans les appartemens... *Partout règne ce que l'on est convenu d'appeler aujourd'hui le réalisme. Ninive et l'Assyrie*, V. Place, t. II., pp. 226, 229.

¹ W czasie w którym pisał to Place nie były jeszcze znane, a przynajmniej nie były jeszcze zbadane pieczęcie asyryjsko-chaldejskie, które rzucają wiele światła na pojęcie religijne tych ludów; o pieczęciach pomówimy niżej.

nie zaś na wyobraźni opartą była. Najprzód, lud chaldejsko-asyryjski musiał mieć głębokie uczucie religijne, skoro stawiano świetne i wspaniałe świątynie. „Pomiędzy wszystkimi gmachami, mówi dobry znawca pod tym względem¹, jakie ten lud budował, świątynia miała może nie największą rozciągłość co do powierzchni, lecz co się tyczy podniosłości stylu i wysokości budowli — górowała niezawodnie nad innymi“. Sarowie asyryjscy tak dobrze jak i egipscy Faraonowie używali nabytych bogactw do wznoszenia budowli na cześć swych bogów; drogami kamieniami i kruszcami przyozdabiali je, jak to wiemy z ich napisów i opowiadań klasycznych pisarzy.

Drugi wniosek, mający związek z ich pojęciami religijnymi, jest sposób grzebania zwłok w Mezopotamii. Najprzód sam fakt grzebania zwłok jest dowodem religijności. Archeolodzy zajmujący się szczątkami człowieka przedhistorycznego są pod tym względem jednoznacznymi. Sędziwy antropolog francuski pisze w swem najnowszym dziele²: „Staranne grzebanie umarłych, używanie amuletek pozwalają wnosić, że niektóre plemiona żyjące w czasach czwartorzędnej formacji zostawiły nam dowody swej religijności... Religijność ludzi z czasów kamienia polerowanego nie ulega żadnej wątpliwości. Wiara w życie przyszłe objawia się u wszystkich plemion neolitycznych starannem grzebaniem zmarłych. Na grobowce wybierano jaskinie naturalne lub sztucznie żłobione, przedewszystkiem zaś budowano te *dolmeny*, które słusznie nazywamy monumentalnymi, a które dla ogromu materiału budowlanego dziś jeszcze podziwiamy“. Na zachodnich kończynach Azji asyryolodzy znaleźli grobowce starych Chaldejczyków. Daliśmy już poprzednio treściwy opis grobowców w Chaldei; nie mogą one wprowadzić, co do przepychu, iść w porównanie z grobowcami egipskimi, lecz istota rzeczy była ta sama, był to dowód ich wiary w życie przyszłe. Zwyczaj starannego grzebania zwłok w Chaldei pochodził od najdawniejszych czasów, co sami nawet ewolucyoniści stwierdzają³.

¹ Perrot, Loc. cit. p. 378.

² Hist. gén. des Races humaines, p. de Quatrefages, 1887, p. 281.

³ Dans des tombes semblables à celles dont nous venons de d'écrire le contenu, M. de Sarzec, à Sirtella, dans la même région, a retrouvé une ta-

Dokumenty piśmienne stwierdzają religijność ludów z Chaldei i Asyrii. Urywki z poematów i hymny zawierają przepisy obowiązków względem Boga. „Zalecają one ludziom, pisze Tiele¹, aby każdodziennie składali ofiary bogom, zanosili do nich modły, ażeby żyli świętobliwie i bogobojnie“. Przy składaniu ofiar używano guślarskich zaklęć, lecz, mówi tenże sam autor, „przy tych zabobonach spotkać się można z najczystsza formą uwielbienia, z modlitwami, w których błaga się Boga najwyższego..., który wie wszystko, aby odpuścił siedem kroć siedmioraki grzech, spotykają się hymny opiewające wielkości i dobrodziejstwa bogów i inne wyrażenia uczucia rzeczywiście religijnego“². Królowie w swych napisach szczytą się przede wszystkim swą pobożnością: podają potomności wiadomość o wybudowanych przez siebie świątyniach, ozdabiają je łupami zdobytymi na nieprzyjaciela³, wzywają bogów dla uproszenia zwycięstwa, wydają wojny w imieniu wrzekomo pokrzywdzonego bóstwa, srogie kary wymierzają buntownikom, uważając ich jako bezbożnych i świętokradców. Zapewne,

blette de pierre et une statuette de bronze toutes pareilles à celles, que le constructeur de l'édifice avait déposées dans des cachettes, tout autour de son palais; il était aisé de voir qu'elles occupaient encore leur place primitive, et on y lisait des textes dont la haute antiquité n'est pas contestée. *C'est donc au premier empire chaldéen, c'est-à-dire aux débuts mêmes de cette civilisation que nous devons attribuer les tombeaux où se manifestent, par des signes si clairs, des croyances tout à fait pareilles à celles dont nous avons trouvé l'expression la plus sincère et la plus vive en Egypte, dans la tombe de l'Ancien Empire.* Perrot. Loc. cit. p. 355.

¹ *Hist. com. des anc. rel.* p. 177, 185.

² Dass nach babylonischer Anschauung die ersten Menschen ursprünglich in einem vollkommenen physischen Zustande erschaffen waren, haben wir am Schlusse des letzten Kapitels gesehen. Aber auch in psychischer Beziehung war das nach ihr der Fall. Dafür zeugt zunächst eine Tafel, welche von den Pflichten des ersten Menschen gegen Gott und den Nächsten handelt, indem hier eine Reinheit und Heiligkeit zu Tage tritt, die weit entfernt ist von einer ursprünglichen Rohheit und Barbarei. Fischer, *Heid. und Offenb.* str. 202.

³ Asarhaddon, ze swych wojennych wypraw, sprowadził do Niniwy ogromne bogactwa i użył ich do uposażenia i upiększenia trzydziestu głównych świątyń w krajach Asur i Akkad. W tych świątyniach tyle nagromadzał złota i srebra, iż, jak się sam wyraża, lśniły się one jako dzień. W samej zaś Niniwie powiększył skarb Bit-Kutalli, który był „skarbem Asura“. Babelon, *Hist. an. de l'Or.*, t. IV., p. 329.

pycha grała tu przeważną rolę; Sar panujący w Niniwie lub Babilonie uznawał się synem Asura lub Marduka, zniewagę osobistą poczytywał za obrazę bóstwa, chciwość i srogość pokrywał płaszczem pobożności, lecz uczucia religijne musiały być powszechne, skoro czyny swoje w ten sposób musiał pozorować i usprawiedliwiać. Nadto, ta religijność w Asyryi i Babilonii była tam podobnie jak w Egipcie, podstawą całego porządku społecznego; pouczają nas o tem asyryolodzy ¹.

(C. d. n.)

X. W. Zaborski.

¹ La religion présidait à tout, réglait tout. Les travaux d'utilité publique étaient entrepris et exécutés à la gloire d'Assour ou de Maroudouk. Tous les ornements, jusqu'aux franges des rideaux et des robes, des harnais, aux bijoux et aux parures, représentaient des symboles religieux. Les tables et les sièges reposaient sur des animaux sacrés, des lions, des taureaux. Les murs de Babylone avaient reçu leur nom de Bel, les huit portes de Dour-Sargina portaient les noms d'autant de dieux assyriens. On ne pouvait mouler des briques que dans le troisième mois, le mois de Sin, le jour consacré à Nabou, le dieu des briques, des fondements, des cercles magiques, et l'opération était naturellement accompagnée de sacrifices et de rites religieux; des amulettes étaient déposées dans les fondations. Nous pourrions multiplier ces exemples. La religion présidait aux contrats, et ceux qui n'avaient pas reçu la sanction des rites religieux étaient nuls. De là, l'importance attachée à la littérature religieuse et à l'instruction religieuse du peuple, le soin apporté à la confection des listes renfermant les noms et les attributs des dieux. Le dogme des dogmes était: „Tout appartient à Dieu, tout est au Seigneur“. On devait tout lui consacrer, son corps, ses plus chers enfants, son honneur et sa vie. Et la pitié des Assyriens et des Babyloniens ne reculait, dans l'application de ces principes, ni devant le sacrifice des petits enfants au dieu du feu, en Assyrie, ni devant celui de l'honneur des vierges dans le temple de Zarpaitou, à Babylone. Tiele, *Hist. comp. des anc. rel.*, p. 247.



ARTYSTA CHRZEŚCIJAŃSKI

FRYDERYK OVERBECK.

(Ciąg dalszy.)

Wielki psycholog i znawca rewolucyi francuskiej, Taine, nakreślił niedawno mistrzowski wizerunek Napoleona, wskazał i wykazał, że olbrzymi egoizm główną był sprężyną okresu wypełnionego jego postacią i geniuszem, udowodnił nareszcie, iż przeszło trzy miliony ludzi padło bezpośrednią tego egoizmu ofiarą, ginąc na polu toczących się krwawych bojów i wojen. Z świeżą pamięcią tej charakterystyki, lepiej się rozumie uczucie naznaczające lata, które po upadku Napoleona nastąpiły. I ludy i ludzie doznali poniekąd wrażenia rozkucia, oswobodzenia z twardej niewoli i ciężkiej niedoli. I w korespondencyi Overbecka znajdujemy wierne odbicie tych uczuć. Na żałobne wieści płynące z północy, na odgłos walki ludów pod Lipskiem, i ogólnego sprzymierzenia się przeciw wrogowi wszelkiego pokoju i wolności, artystyczna młodzież kształcąca się w Rzymie niejednokrotnie zrywała się do czynu i do walki, wstrzymywana roztropną radą bliskich, a po części i nadzwyczaj powolnem otrzymywaniem wiadomości o przebiegu wypadków. Gdy wreszcie w końcu nadeszła wieść o abdykacyi Napoleona i zakończeniu epoki, krwawemi głoskami w historii zapisanej, radość ogólna i w Rzymie, i w kole artystów, i w gronie Łukaszkowych braci ujawniła się wspólną manifestacją. Overbeck barwnie opisuje ucztę i zabawę urządzoną w willi Borghese przez artystów wszelkich narodowości. Pod koniec biesiady, jeden z jej uczestników, Anglik, podniósł się, wnosząc toast na cześć nieobecnego w Rzymie dostoj-

nego wygnańca: *Signori miei! alla salute del sommo Pontefice.* Ozwały się zewsząd okrzyki: *Evviva il Papa! evviva Pio settimo!* powstała wrzawa niedoopisania, ściskano się, winszowano sobie wzajemnie, cieszone się z świtającej dla świata zorzy pokoju i swobody. Nie było końca toastom, improwizacyom, zabawie, a później i illuminacyi, do której Overbeck i Cornelius transparenty przygotowali.

Tryumfalny powrót Piusa VII., spotęgował wrażenia ulgi i ogólnego szczęścia: „Nie poznałbyś Rzymu“, pisał Overbeck w kilka dni po uroczystym wjeździe Papieża do zbyt długo osieroczonej stolicy, „odradza się niby fenix z popiołów swoich“. I w istocie piękna to była epoka, przynosząca codziennie nowe dobrodziejstwa i korzyści wiecznemu miastu, które w oczach się odmładzało i nowem zakwitało życiem. Cichy, łagodny, apostołski starzec, zajmujący stolicę Piotrową, dokładał królewskich, pasterskich i ojcowskich starań, aby kościołowi dawny blask przywrócić. Dzielnie go w tych usiłowaniach popierał znakomity jego powiernik i sekretarz stanu, kardynał Consalvi. Obok odnowionego kościelnego życia i ducha, powrotu zakonów, skutecznych i dobroczynnych reform, nauki i sztuki piękne zarówno doznawały światłej, tradycyjnej opieki papiestwa. Archeologiczne poszukiwania z nowym odżyły zapałem, uwieńczone najpiękniejszym plonem. Zagrabione przez Napoleona arcydzieła wróciły na dawne miejsca, rozszerzyły się i otworzyły na oścież zbiory Watykańskie, przybyły nowe oddziały, *Braccio nuovo* i muzeum Chiaramonti, do dawnych sal i skarbów. Overbeck słał przyjaciółom wyrazy zachwytu i prawdziwego upojenia, a jednocześnie czuł dobrze całą ważność chwili i dziejowego zwrotu: „Wielka bo epoka ta, w której nam żyć przyszło. Pole „świata, które przez czas dłuższy odlogiem leżało, zorane z gruntu „gotowem dziś aby w swe łono każde przyjąć ziarno. Odwieczna „mądrość, która do przeorania ziemi ręce znalazła, dobierze teraz „i siewaczy, a w swoim czasie zeszele i deszcz żyzny i łagodną wiosnę, aby rzucone ziarno kielkować poczęło. Mnie się zdaje, że „i nam w naszym stanowisku pewna siejba została poręczona! Niech „więc każdy czyni w swoim kółku i zakresie co potrafi i zdoła, „o skutek i powodzenie się nie troszcząc, polecając to raczej Temu, „bez któregoby ani poprzedniej uprawy, ani dzisiejszej siejby nie

„było; któż bez zdumienia mógł patrzeć na nadzwyczajne epoki naszej wypadki i przełomy, i w ich rozwiązaniu nie uznać Bożej ręki? A ręka ta nie burzy, wyręwa tylko chwasty, aby grunt pod budowę przygotować“.

Wszyscy ludzie myślący podzielali to przekonanie, iż po minionej nawałnicy, nadszedł czas siejby i odbudowania tego co się zwało. Wyższe umysły czuły mianowicie konieczność zasadniczych podwalin, opartych na duchu chrześcijańskim. I sztukę wprzód do dzieła odrodzenia, nie od dzisiaj było marzeniem młodzieży artystycznej w Rzymie. Teraz nadszedł czas, aby, zamiast być tylko jak dotąd rozrywką, ozdobą i zbytkiem możnych, sztuka zeszała w ludowe szranki, i stała się silnym czynnikiem w odnowionem życiu ludów. Wśród Łukaszowej braci zjawia się zamiar wspólnego illustrowania Pisma św. Overbeck najbardziej się tą myślą zapala, i to z zupełnem wyrzeczeniem się czezej próżności artystycznej. Rzewne sprawa wrażenie list jego w tej kwestyi pisany, w którym wyluszcza swe zapatrywania: „Głównym celem zamierzonego dzieła ma być, nie sława nasza, nie popis talentu, lecz znaczenie i doniosłość przedsięwzięcia... Tekst koniecznym obok rycin, dlatego byłbym za szczupłemi rozmiarami, na wzór np. Dürerowskiej Męki Pańskiej“. Następnie rozkłada robotę na towarzyszków i siebie, z tem poczuciem apostołstwa sztuki, które było mu zawsze światłem przewodniem. Do powyższego przedsięwzięcia zniewalał go jeszcze inny wzgląd. Rysownik niedorównany, Overbeck w owych latach spróbował zostać i rytownikiem, a choć sam niewiele w tej gałęzi sztuki mógł pracować, pechnął drzeworytnictwo na nowe tory, które po dziś dzień w Anglii, Francyi i Niemczech najpiękniejsze wydają owoce. Z własnych jego drzeworytniczych doświadczeń, pozostały piękne próby, mianowicie postać modlącego się mnicha. Oblicze przysłonięte, ręce w habicie zakonnym ukryte, a jednak całość o zatopieniu się pobożnem w modlitwie wymownie świadczy.

Z owej też epoki pozostał piękny obraz *Marya i Marta*, wykonany dla rodziców jednego z braci Łukaszowych. Towarzysz ów, malarz historyczny Vogel, wrócił był do Zürichu, ale nie przestał częste z Overbeckiem zamieniać listy. W odpowiedziach Overbeck'a zawsze się uwidocznia troska o duszę przyjaciela, obojętnego na rzeczy wiary, skamieniałego w kacerstwie, a jednak czulego na

piękno, i dzielącego zapatrywania rzymskich przyjaciół. Rodzice Vogla zamówili obraz innej zupełnie treści; Overbeck wymalował *Maryę i Martę* i tak się tłumaczył ze zmiany obranego przedmiotu. „Chciałem ci przypomnieć, że jednego tylko potrzeba, to jedno wciąż twemu sercu przekładać, w każdej odmianie losu wołać: *Porro unum est necessarium*, abyś w szczęściu pokornym, w cierpieniu cierpliwym być umiał, i doszedł do przekonania, że jedno jest tylko prawdziwe nieszczęście — grzech — i jedno prawdziwe szczęście — pobożna wiara“. Vogel i Veit opuszczając Rzym przebiegali nieznane Overbeckowi a malownicze i artystyczne Włochy, Umbryę, Toskanię, i slali mu stamtąd opisy swych uczuć i wrażeń. W jednym miejscu usłyszeli cudzoziemców rozmawiających o powinowactwie typów starych mistrzów jak Benozzo Gozzali, z utworami pędzla i ołówka Overbeck'a, w Pizie, w Siennie szukali przede wszystkim śladów owej szkoły pobożnej i podniosłej, której tradycye Łukaszowe bractwo odnowić pragnęło. Overbeck przez przyjaciół poznawał te arcydzieła prostego, chrześcijańskiego natchnienia, i utwierdzał się w zamiarze nawiązania zerwanych nici tradycyi mistrzów takich jak Giotto, Luca, Signorelli, Guido di Siena, Fra Angelico.

W postęпах widocznych jego twórczości, znać i wpływ religijnych wrażeń i wzruszeń, przemawiających do duszy nowo nawróconego malarza. Uroczystości i obrzędy kościelne natchnęły nie jedno jego dzieło i arcydzieło, kierowały nie jednym rysem i szczegółem. Wystarczy spojrzeć na dzieła dawnych mistrzów, ażeby się przekonać, iż np. w grupowaniu postaci, w układzie obrazów, szli oni najczęściej za wrażeniem i wpływem kościelnych, kapłańskich i liturgicznych obchodów. Kardynał Wiseman słusznie wskazuje na różnice pojęć sztuki w dawnych i nowszych czasach. Dziś aniołków malują w postaci tłustych dzieci, igrających wśród obłoków. Dawniej przedstawiano ich w białych szatach, z złocistą przepaską, zatopionych w pobożnym zachwycie. Typ ten w obrazach starych mistrzów namacalnie przypomina szatę i postawę modlących się koło ołtarza kleryków. Idealów tedy i idealnych wrażeń szukano dawniej w świątyniach i przybytkach Pańskich, w obrzędach służby kościelnej, w szatach i poruszeniach liturgicznych.

Zwrot ten coraz widoczniejszy do nieco archaicznej tradycyi,

do rzewnych wzorów przed Rafaelowskiej szkoły, różne wywoływał ocenienia i sądy. Przychylny Łukaszowej braci Chrystyan Schlosser usiłował dla nich pozyskać najwyższe względy Jowisza epoki, Goethe'go. Zrazu wydawało się, iż ten uniwersalny umysł nie pozostanie obojętnym na nowy kierunek odradzającej się sztuki. Kilka rysunków Corneliusa i Overbecka żywe, a nawet rzewne w nim obudziły zajęcie. Ale rychło zbudził się w pociętych poganin, w gruncie idei chrześcijańskiej oporny. Upatrując u młodych reformatorów przesadę, bigoterię, chęć zrewolucjonizowania świata sztuki, fanatyzm religijny i artystyczny zarazem, jał na nich ciskać w Weimarze Jowiszowe pioruny. Darmo Schlosser i Boisserée usiłowali mistrza przekonać i pozyskać, do porozumienia dojść nie było podobna, nie było podobna przekroczyć przepaści dzielącej uczucia i pojęcia poety — poganina, od uczuć i zapatrywań chrześcijańskich artystów. Goethe, przedstawiciel humanizmu, upatrywał w renesansie najwyższy szczyt kultury, to wyłącznie co ludzkie i ziemskie interes jego budziło. Przeciwnie; dla nowej szkoły źródłem sztuki był sam Bóg, dawca i początek wszelkiego dobrego. W oczach Goethe'go sztuka miała tylko estetyczne znaczenie, dla młodzieży rzymskiej etyczne. Nadprzyrodzony duch ożywiał to wybrane koło, którego hasłem i celem było ludzkie serce i dusze za pomocą widomych rzeczy do niewidzialnych podnosić.

Przeciw wyrokowi zapadłemu w Weimarze podniosły się mnogie głosy. Pierwszy wystąpił w obronie nowej szkoły Kestner, następnie zstąpił w szranki późniejszy biograf Rafaela, Passavant, a za nim Schlegel, Goerres i Rumohr. Nie brakło tedy nowym przed-rafaelitom znakomitych rzeczników, a niebawem miały ich spotkać i nowe zachęty i głośnie echem po całym świecie rozejść się miało ich imię i sława.

Tymczasem jednak, pomimo pewnego rozgłosu, ubóstwo i niedostatek założyły stałą siedzibę wśród Łukaszowych braci. Overbeck mianowicie żyć musiał bardzo skromnie, niemal ubogo. Nowa jego kwatera na Via Porta Pinciana u rzeźbiarza Pulini'ego przedstawiała obraz zakonnej, ubogiej celki: zamiast posadzki cegła, zamiast posłania, worek liści kukurydzowych, sprzęty z prostego drzewa, ledwo ociosane. Ale uprzejma poczciwość gospodarzy ściągала do tego domku całą kolonię artystów. Prócz Overbecka i Veit'a, tu

zamieszkał Colombo, tu Sutter przepędził czas swego pobytu w Rzymie, tu osiadł Cornelius z młodą swą małżonką, Rzymianką. Przez lat sześć, do jesieni 1816 r. zamieszkiwał Overbeck stale w tym domu. Okres to był wielkiej pracy i ubóstwa, osłodzony cierpliwą pobożnością i ufnością w Bogu. Bieda Overbecka, oraz jego spokój duszy, wychyla się z następnego listu: „Mimo licznych obstalunków i skromnego bardzo życia, kasa moja wiecznie jest próżna. „Znasz moje usposobienie i wiesz, że mi to bynajmniej pokoju nie „zamaca. Pan dziś jeszcze cuda i dziwy spełnia, bylebyśmy wierzyli“. I tu opisuje, jak raz w chwili zupełnego niedostatku, najniespodziewańsza nadeszła pomoc. „Kto swą ufność złożył w ludziach „lub w własnej mocy, może się omylić, ale kto na Bogu buduje, „nigdy zawiedzionym nie będzie. Ten zaś, który o potrzebach ciała „naszego tyle pamięta, jakżeby o duszy miał zapomnieć?“

Razporaz atoli przychodzi wspomnieć o pracy na chleb codzienny w ścisłem tego słowa znaczeniu, bądź gdy rysuje *bassorilevi* Thorwaldsena, bądź gdy przyjmuje mnogie obstalunki, a żali się na zwłokę w wypłacaniu się nabywców. W tymże czasie niektóre jego rysunki i obrazy zachodzą aż do ojczystej Lubeki, rozradowując serca całej rodziny. Ojciec mianowicie nie szczędzi wyrazów zachęty i zachwytu, podziwia nadzwyczajne postępy i rozwój synowskiego talentu. Bo też Fryderyk nie ustaje w pracy, w ćwiczeniach, w studyach i badaniach. Rozpierzchle w jego korespondencyi uwagi posłużyćby mogły za kodeks dla artystycznej młodzie. Wbrew dawnym uprzedzeniom do akademicznych systematów, teraz przyznaje wiele pożytku i korzyści sumiennemu kopiowaniu dobrych wzorów, byleby to były rzeczywiście dobre, najlepsze wzory, acydziała same: „Powierzchowność jest plagą naszej epoki, dla tego mniemam, że usiłowania nasze powinny dążyć raczej do zdobywania sobie głębokości, aniżeli szerokości w codziennych postęпах“. Młodzi artyści nabyli już potrzebną głębokość; teraz rozszerzył się przed nimi zakres pracy, gdy niespodzianie, a z wielką swoją radością otrzymali wezwanie do malowania ściennego.

Nieraz bo już Overbeck wdychał za większą, przestronniejszą pracę, nie zacieśnioną szczupłemi ramami pojedynczego obrazka. Pruski konsul w Rzymie, Jakób Salomon Bartholdy, przypatrzwszy się pracy i talentom młodych niemieckich malarzy, oraz ich biedzie

i trudnościom, postanowił otworzyć im pole do popisu i zarobku. Na drodze urzędowej nie dla nich uzyskać nie mógł, z powodu „barbarzyństwa, które w Berlinie względem sztuk pięknych panuje“. Sam więc na własną rękę, zaprosił Bartholdy Łukaszwych braci do ozdobienia freskami willi przez się zajmowanej, dawniej *Villa Zuccari*, dziś *Casa Bartholdy* zwanej. Cornelius, Overbeck, Schadow i młodszy Veit, Filip, najzdolniejsi nowej szkoły i kierunku przedstawiciele, zostali powołani do tej roboty, która już naprzód ich zachwyciła. Po tej bowiem pierwszej próbie, marzyli już tylko „o okryciu ścian ojczystych katedr, krużganków klasztor-
„nych i kaplic ustronnych, ratuszów i sal miejskich, malowidłami, „z których szlachetną mową farb odzywałyby się znów dawne, „znajome, ukochane postacie, świadcząc iż dawna wiara, dawna mi-
„łość, dawna ojców siła na nowo się zbudziła“.

Nowy ich mecenas, acz pruski poddany, w wiedeńskiej landwe-rze odbył kampanię 1809 r. i napisał był popularną książkę o ludowych tyrolskich bohaterach. Następnie zajął się był biografią swego życzliwego opiekuna, kardynała Consalvi. Salomon Bartholdy posiadał wysokie estetyczne wykształcenie, nie narzucał się wszelako ani z krytyką ani z uwagami swojemi. Wynagrodzenie udzielane młodym artystom, nie było zapewne zbyt hojnym (19 skudów na miesiąc), ale wystarczało aby zapewnić gronu malarzy spokojność i szczęście: „Szczęśliwi tu jesteśmy jak królowie! budujemy wciąż nowe zamki na lodzie, śniąc o malowaniu w o-czyźnie kościołów, klasztorów i pałaców“.

Za przedmiot fresków w Casa Bartholdy obrano historię Józefa. Overbeckowi przypadł w udziale obraz zaprzędania Józefa przez braci. Zdaniem Corneliusa, dzieło to ma pierwszeństwo nad wszystkimi freskami składającymi się na całość biblijnej opowieści; są tam szczegóły godne Perugina lub Rafaela. W lunetach Filip Veit wymalował siedm lat tłustych, Overbeckowi zaś wypadło przedstawić lata chude. Nie szukał w fantazyi obrazów nędzy i głodu, taki bowiem niedostatek w r. 1816 zapanował we Włoszech, iż mnóstwo ofiar padało skutkiem głodowego tyfusu. Stąd wyraz prawdy i grozy spotęgowany w tych freskach.

Wiadomość o przedsięwziętych w Casa Bartholdy malowidłach ściennych rychło obiegiła całe Niemcy. Sława tam zdobyta nazna-

czyła punkt zwrotny w losach nowej szkoły. Odtąd nie miała to już być garstka zapoznanych i pogardzanych reformatörów. Owszem, willę pruskiego konsula słusznie nazwano kolebką nowej niemieckiej sztuki. Tu odżyła zagubiona tajemnica malowideł ściennych, aby w ciągu bieżącego wieku okryć Niemcy i Francję, Anglię i Belgię najpiękniejszymi freskami. Pięknie odzywa się nasz ziomek, wielki miłośnik i znawca sztuki, hr. Atanazy Raczyński, w swej historyi nowej niemieckiej szkoły: „Nigdy nie mogłem bez „największego wzruszenia przestąpić tych progów. Zdawało mi się, „iż staję przed żłobkiem, gdzie zrodzone w niedostatku, lecz pełnością Ducha św. ubogacone dziecię, (nowa sztuka niemiecka) tu „mi się w widomych objawiało kształtach“.

Po Casa Bartholdy, pałac ks. Massimo zapragnął podobnej ozdoby, tym razem nie z ksiąg świętych, lecz z poetów włoskich zaczerpnięty. Cornelius podjął się Dantego, Overbeck Tassa i obrazów z *Jerozolimy wyzwolonej*, wiążąc się zobowiązaniem kilkoletniej pracy. Ale po siebie, już nadchodził czas żniwa, i Overbeck z nietajonem rozradowaniem donosił nieobecnym przyjaciółom o postępie widocznym w myślach i dziełach artystów zgromadzonych w Rzymie: „Kiedy tu przed kilkoma laty przybyłem, schodzili się niemieccy studenci co wieczór do winiarni lub kawiarni, i jakby za „wspólnym układem, nikt już o sztuce nie wspomniał, namęczywszy się dla niej przez dzień cały. Odtąd jakże się, chwała Bogu! odmieniła postać rzeczy: zrazu miano nam za złe, iż zamykamy się „w samotności naszych celi, aby oddawać się tylko sztuce, oblubienicy naszej. Dziś już w cichości rzucone ziarno wschodzić „pocyna. Zamiast pijanych zborów, nasi artyści nawykli teraz schodzić się na wspólne i zgodne narady o sztuce“. Bywały i uroczystej święcone dni, np. dzień 20 maja; rocznicę urodzenia Dürera postanowiono obchodzić stale bratniem zebraniem. Rosły też zastępy Łukaszowych braci, przyłączali się do nich ludzie tej miary co Jan i Filip Veit, Schadow, Schnorr. A i nie związkowi garnęli się do ogniska kierunku ześrodkowanego w około Overbecka. Piękne były to czasy dla artystycznej młodzieży, spotęgowane, idealne życie, ruch nie bywały ściągał do Rzymu młodzież łaknącą wiedzy i sztuki, przybywającą z wszystkich stron świata, bez różnicy narodowości i wyznań. Kolonia malarzy niemieckich

tworzyła bodaj punkt środkowy tego całego ruchu i witała ochotnie każdego przybysza, byle w nim rozpoznać się dało szczerą i gorącą zapal, oraz czyste serce. Znajdowało się rychło właściwe miejsce dla każdego charakteru, każdego talentu. Osobny komitet rozstrzygał o wyborze przedmiotów historycznych i układzie lub pojęciu poszczególnych scen czy postaci. Pewien utalentowany *Abbate* przewodniczył muzycznemu związkowi, mającemu na celu poznanie artystów z utworami starych mistrzów harmonii. Overbeck z powodu delikatnego zdrowia, nie zawsze mógł uczestniczyć w schadzkach i przechadzkach kolegów; to też jego obecność szczególnie i odrębną wszystkim sprawiała pociechę. Pozostawał on jakby słupem przewodnim obranego kierunku; był zawsze wyrozumiałym a rozumnym regulatorem kipiącego niekiedy i szumiącego życia.

Przybycie do Rzymu następcy tronu Bawarskiego, późniejszego króla Ludwika, nie pozostało bez znaczenia dla naszych artystów. Przyszły założyciel nowych Aten bawarskich, obracał się przeważnie w kołach malarzy i rzeźbiarzy, z których może już wtedy dobierał sobie współpracowników. Dziad i imiennik monarchy, który za dni naszych na średniowieczne, poetyczne zachorował obłąkanie, i tragicznie życie zakończył, nosił w sobie zaród oryginalności i zbroceń, które w wnuku ostatecznie dojrzały. Rozmówany w staroniemieckiej przeszłości, przybrał był nawet strój *alt deutsch*, i przechadzał się po zdumionym Rzymie w średniowiecznej szacie, uzupełnionej dziwacznie czapką bawarskiego landwerzysty. Umysł jego do przesady skłonny, co bywa nieraz właściwością kończących się rodów i dynastji, marzył o upowszechnieniu staroniemieckiego stroju, a wśród artystycznej młodzieży rzymskiej, tytu znalazł zwolenników swej manii, iż niebawem Frydryk Schlegel musiał ostrzegać swych młodych przyjaciół przed archaizmem przechodzącym w modę, nie tylko w życiu lecz i w sztuce, gdzie pojawiała się coraz więcej postaci przebranych na staroniemiecką modłę.

Cokolwiekby, po kilku miesiącach pobytu Ludwika Bawarskiego w wiecznym mieście, grono artystów niemieckich postanowiło rozmówianego w sztukach pięknych księżęcia pożegnać ucztą i uroczystością odpowiadającą jego gustom. Dnia 29 kwietnia 1818 r., w przybranej kwiatami i zielonością sali jednej z willi

rzymskich, zebrała się cała Rzplta sztuki, aby królewskiego podejmować gości. Najpierwsi artyści postarali się o ozdobę sali, Rückert pieśnią ożywił zebranie, biograf Rafaela, Passavant, uczony Szwed Atterbom, towarzysz księcia Ringseis, uczestniczyli w artystycznym wiecu. Zrazu było zamiarem inicjatorów tej uroczystości aby wyłączyć z niej damy, a zaprosić ciało dyplomatyczne; ale książę Ludwik zastrzegł się stanowczo tak przed jednym jak przed drugim. Znalazły się więc i panie, Henryetta Herz, piękna i rozumna korespondentka Schleiermachera, pani Humboldt, dalej żony i narzeczone obecnych artystów, wszystkie w stroju średniowiecznym, w krezach szerokich, i dobranych *alt-deutsch* szatach, podczas gdy mężczyźni, podobnie dla przypodobania się dostojnemu gościowi, przywdziali prostą, obciśle zapiętą z wyłogami kapotę przodków. Atoli królową dnia była śliczna wiedeńka, Nina Hartl, która odtąd w naszym opowiadaniu, podobnie jak w życiu Overbecka, znaczne zajmie miejsce.

Przybrana córka radcy stanu Hartla, dyrektora teatrów wiedeńskich, Anna Schifflhuber-Hartl, powszechnie Niną zwana, młode lata przepędziła w Wiedniu, stroniąc od świata mimo świetnych darów, które ją na ozdobę salonów sposobiły, bądź z powodu charakteru lubiącego samotność, bądź ze względu na stosunki rodzinne, bądź nareszcie skutkiem wpływu Ojca Hofbauera, który panienkę bogobojnie wychowaną ostrzegał przed próżnością światowych zabaw i życia. Szczególnie korzystnie wpłynął na Ninę przyjazny, rzechy można rodzinny stosunek z Schleglami.

Frydryk i Dorota Schległowie, złożwszy w r. 1808 katolickie wyznanie wiary, osiedli w Wiedniu, gdzie ich dom nabrał znaczenia pierwszorzędnego towarzyskiego ogniska. Wyborowe koło do którego i wielbny Hofbauer należał, skupiało się w około rozumnych i pełnych zapału gospodarstwa. Hofrat Hartl dał się wciągnąć w to przyjacielskie grono, a Dorota Schlegel tak polubiła młodziuchną Ninę, iż odtąd w jej salonie zajmowała jakby miejsce córki i dzieliła uprzejme zabiegi pani domu. Mniej więcej w tym czasie obaj synowie pani Schlegel, Jan i Filip Veit, ulubieni towarzysze i koledzy Overbecka, wyrzekli się za przykładem matki żydowskiego zaślepienia, a otrzymawszy od Ojca Hofbauera naukę chrześcijańską, przyjęli chrzest z ręki nuncjusza papieskiego Se-

veroli. Obaj młodzieńcy przywykli w Ninie upatrywać miłą przybraną siostrę, nie przeczuwając jej późniejszych losów, nie domyślając się, iż zaślubiając najdroższego im Łukaszowego brata, istotnie na miano siostry w obec nich sobie zasłuży. Pod każdym względem stosunek z Schleglami był dla młodej i uzdolnionej panienki korzystnym. Pani Dorota, obok wysokich przymiotów umysłu i duszy, posiadała w najwyższym stopniu zmysł praktyczny i umiejętność ładu domowego, tej podwaliny rodzinnego życia, tak cennej u każdej kobiety, stokroć cenniejszej dla żony artysty. Skądinąd dom Schleglów był punktem zbornym najszlachetniejszych, najwykwintniejszych i najwybitniejszych osobistości współczesnych. Podobna atmosfera mogła zatem jeszcze rozwinąć przyrodzone dary młodej dziewczyny. Wtem zachwiane jej zdrowie zmusiło ją do szukania ulgi w cieplejszym klimacie. Zrazu udała się do Florencyi gdzie hołdy Augusta Wilhelma Schlegla, tłumacza Szekspira i Kalderona, nabawiły ją pewnego kłopotu, zwłaszcza iż pani de Stael, której od długich lat stałym był wielbicielem, niechętnie patrzyła na piękną i młodą rywalkę.

Z wiosną 1818 r. Nina Hartl przeniosła się do Rzymu, na Via Ripetta, szukając jak wszędzie tak i tam cichego, ustronnego życia. Nie uczestniczyła też w światowych głośniejszych zabawach, stosunki jednak z obu Veit'ami zbliżyły ją do artystycznego koła malarzy i pośredniczyły w znajomości z Overbeckiem.

Ten już niejednokrotnie o małżeństwie rozmyślał. Widok atoli kolegów, którzy po większej części żenili się z Włoszkami, nie będącymi w stanie zrozumieć swych mężów, podnieść się do wyżyn ideałów i rozumne słowo o nich zamienić, zniechęcał go do naśladowania danego przykładu. Teraz nareszcie spotkał rodaczkę, z którą mogła go połączyć harmonia duszy i poziomu, jedność uczuć i pobożności, słowem to zgodne porozumienie serc, które bywa i rękojmią i ubezpieczeniem szczęścia.

Zaręczyny odbyły się po cichu, ale głośnie i liczne sypnęły się zewsząd życzenia i powinszowania. Baron Rumohr i Veit'owie pierwsi nadbiegli uczestniczyć w szczęściu zakochanej pary. Rodzina z dalekiej Lubeki ślała wyraz zadowolenia, a i Ojciec Hofbauer nie odmówił swego błogosławieństwa. Życzliwa narzeczonej przyjaciółka, pani Schlegel, wybrała się do Rzymu, aby na tak

miły sercu jej związek własnymi patrzeć oczyma. Salon jej rychło nabral w Rzymie tego samego co w Wiedniu znaczenia. Nie rzadko nawiedzał jej progi kardynał Consalvi, który jako wielki miłośnik sztuki, rad był każdemu zetknięciu z artystycznym i naukowym towarzystwem, gromadzącem się w około rozumnej małżonki Fryderyka Schlegla. Obok niej bawiły podówczas w Rzymie Karolina Humboldt, żona pruskiego dyplomaty z córkami, oraz wspomniana już przez nas Henryetta Herz.

Nadzwyczaj zajmujące było to grono, zajmujące się przyjaźnie przyszłością młodej pary. Ślubznaczono na dzień św. Łukasza, 18 października 1818 roku, poczem młodzi małżonkowie zajęli Villę Palombara, gdzie im książę Massimo zapewnił skromne mieszkanie, z zobowiązaniem dokończenia fresków z *Jerozolimy wyzwolonej*, w czem niebawem miał dopomódz Overbeckowi przybyły z Wiednia towarzysz, Führich, zmarły przed dziesięcioma laty w Wiedniu.

Dzisiejsze modernizowanie Rzymu nie oszczędziło i willi, która oceniała pierwsze lata rodzinnego szczęścia Overbecka. Cała ta poetyczna niegdyś część Eskwilinu, dziś zorana przez archeologów, budowniczych i murarzy, zatraciła wdzięk dawniejszy i urok właściwy. Tu Overbeck wiele pracował, za wiele Bogu dziękował, zwłaszcza kiedy 23 sierpnia r. 1819 szczęście jego uzupełniło się narodzeniem synka, któremu zapewne przez pamięć na Ojca Hofbauera nadano imię świętego założyciela Ligoryanów, Alfonsa. W następnych latach, do rodzinnego kółka przybyły jeszcze dwie córeczki, które niestety! śmierć wkrótce rodzicom wydarła. Miłość ojca dla jedyne go synka, cicha żaloba po dwóch utraconych aniołkach, podały Overbeckowi pomysł do jednego z najpopularniejszych jego utworów, rysunku *alla Sepia* przedstawiającego Zbawiciela wśród dziatwy, której błogosławi: *Jesus, der göttliche Kinderfreund*, oto podpis upowszechnionego ryciną obrazu, który pobożnym układem szczególne wzbudza rozrzewnienie.

Pobyt w Villi Palombara odbić się miał bodaj na całym życiu Overbecka, podkopaniem jego zdrowia malarią grasującą w tej części Rzymu. Niebawem wszyscy domowi doznali skutków niezdrowych, febrycznych wyziewów, tak dalece, iż Overbeck zmuszonym się widział po raz pierwszy od swego przybycia opuścić

miasto wieczne i przyjąć zaproszenie zawsze nań łaskawego Rumohra do Florencyi, której dotąd nie znał. Powtórzyły się następnie letnie wycieczki, coraz to w inne okolice, to do umiłowanej artystom Perugii, to do Assyżu, gdzie wiódł malarza dawno uczyniony ślub, ofiarowania najlepszego swego utworu do jakiego kościoła. Tkliwa wiara ludu, wrażenia właściwe temu uroczemu miejscu, zbudowanie z czynnej żarliwości przełożonego Franciszkanów, Fra Luigi Ferri, który własnym zachodem i zebranymi przez siebie jałmużnami odnowił święty przybytek, wszystko to razem wzięte, obok wielkiego nabożeństwa do św. Franciszka, zniewoliło Overbecka do ofiary z czasu swego i talentu, aby freskami ozdobić fronton kaplicy Porcyunkuly.

Już przed kilku latami pisał: „Gdzież bardziej dobrane miejsce dla świętego obrazu, dla sztuki, jeśli nie w kościele? Czyż może być wyższe zadanie, jak ożywiać własnym pędzlem pobożność nie wiem ilu kroci pielgrzymów, rwać ich ku niebu? O gdyby niebo raczyło kiedy spełnić najdroższe życzenie moje! abym w poświęconym Bogu przybytku, wyrzekłszy się marnego poklasku świata, malować mógł pobożnością tehnące obrazy, wedle własnych pojęć i myśli!“

Teraz przyszedł czas na wykonanie uczynionego ślubu i rzewnego pragnienia. Czas spędzony w Assyżu spotęgował jeszcze pobożne uczucia Overbecka. Führich w listach włoskich pisze, iż nasz artysta wiódł tam życie świętego, na wzór mistrzów minionych stuleci. Passavant wspominając Assyżkie freski dodaje, iż pobożna dusza Overbecka niebiosą sobie otworzyła, aby niebiańskim pokojem opromieniać oblicza postaci przez się malowanych. Hrabia Raczyński, opisując w swoim dziele freski zdobiące kaplicę Porcyunkuly, umieszcza je między szczupłą liczbą arcydzieł naszej epoki. Nie dziw, iż w tych warunkach pobożny malarz znalazł swe najpiękniejsze natchnienie. Serce jego było dostrojone do miary miłośnika ubóstwa, *il poverello d'Assisi*, i braci mniejszych, *Frati minori*. Cała poezya franciszkańska, cała sztuka rozkwitła pod opieką pamięci św. Franciszka, uskrzydlały dziś duszę Overbecka. A własne jego wspomnienia i wrażenia młodości harmonizowały dziwnie z otaczającymi go legendami. Pokorny Fra Bernardo, Ruffino szlachetny, posłuszny Fra Egidio, czyliż nie byli właściwymi poprzednikami

i pobratymcami Łukaszowej braci, mężnego Corneliusa, pobożnego Pforr'a, łagodnego Veit'a, którzy wszyscy, gdyby im w średnich wiekach żyć przypadło, byłiby niezawodnie zakonne przywdziali suknie, aby utrwalić może swą pamięć w jakich rzewnych a prostych i wonnych jak kwiaty polne *Fioretti*. Freska Assyzka w spisie dzieł mistrza nosi miano Różanego cudu, i następną przedstawia grupę. W górze otoczony chwałą niebieską ukazuje się Zbawiciel, mający po prawej stronie dziewczą swą matkę, która się wstawia za udającymi się pod opiekę św. Franciszka pątnikami. Chór śpiewających aniołów zda się *alleluja* zawodzić. Na stopniach ołtarza Porcyunkuły, z rozkrzyżowanemi rękoma, klęczy święty rzecznik pokutujących grzeszników, spadające z niebios róże widomym znakiem wysłuchania prośb jego usilnych. Dwaj aniołowie za nim stoją, z kijem pielgrzymim w rękę, jeden trzyma w fałdach sukni róże. Kilku zakonników, świadków cudu, w pobożnym zachwycie opodal się korzą. W dali widać Assyż, na ornamentykę oprawy składają się same symbole miłosierdzia, typy litości i przebaczenia. Całość sprawia dziwnie uspakajające wrażenie, technie pokojem łączy Bożym.

Pobyty w Assyżu tak jeszcze uduchownił talent Overbecka, iż niejednokrotnie snuł odtąd zamiar ustanowienia jakiego związku artystów, którzyby przykładem i nauką rozwijali w młodszych prawy kierunek i wyższe myśli. Stowarzyszenie to miało w myśli Overbecka mieć siedzisko w Assyżu, gdzie najlepsze wzory są pod ręką, życie łatwe, w pobliżu Rzymu i Florencyi, a jednak ustronne i od wiru społecznego odsunięte.

Pobożność Overbecka nie ograniczała się na apostołstwie pędzla. Praktyki chrześcijańskie utrzymywały w nim życie nadprzyrodzone. Za przybyciem np. do Perugii donosi, iż tam znalazł doskonałego, a poleconego mu przez ks. Ostini'ego spowiednika; dalej pisze, iż stamtąd kilkakrotnie się do Assyżu wybierał, aby się lepiej z niedorównanym św. Franciszkiem zapoznać. Patron miejscowy nie okazał się niewdzięcznym dla swego sługi, udzielając mu niebawem jawnego dowodu swej opieki. Overbeck już po dokończeniu swoich fresków, raz jeszcze zapragnął całość swego dzieła obejrzeć, gdy nagle usunęły się rusztowania, i mistrz spadł na posadzkę. Zewsząd podniosły się krzyki: *È morto il pittore!* zakonnicy nad-

biegli z pomocą, aby ujrzeć Overbecka wstającego bez najmniejszego potłuczenia ni szwanku.

Wśród tego podniesienia ducha, różne krzyże spadały raz po raz na artystę, najdotkliwszym z nich była strata obojga rodziców. Mimo długiego rozłączenia, syn odczuł żal sierocy bez miary i wielką próżnię w życiu. Ojciec bowiem listownie wciąż uczestniczył w jego życiu, dodawał mu ochoty i otuchy. Ale dusze, które w tej pełni posiadały prawdę i przeczuły wiekuiste piękno, nie smucą się jak „ci, którzy nadziei nie znają“. Wspomnieliśmy o stracie dwóch aniołków, która rozdarła ojcowskie serce mistrza. Oto jak się w tym smutku w liście do przyjaciela wyraził: „Biedna moja siostra „w krótkim czasie dwoje dzieci straciła. Tem więcej z nią współczuję, iż i nas Pan Bóg podobnie doświadczył... Oplakujemy, „słabi i biedni małą córeczkę naszą, nie nad nią płacząc, boć „w chrzcie św. odrodzona wszędzie postępuje za Barankiem, lecz „nad sobą, pozostawionymi w dolinie łez i nieumiejącymi całkiem „o widomych rzeczach dla niewidomych zapomnieć“.

Jak siebie, tak samo pocieszał Overbeck i przyjaciela Corneliusa, kiedy temuż, zatrudnionemu na monachijskim dworze, zmarła w Rzymie ukochana córka, ośmnastoletnia Helena. Zbolały Cornelius odpowiedział przyjacielowi, a ojcu chrzestnemu Heleny: „Przed „ośmnastu laty towarzyszyłeś memu dziecku w pierwszej jego drodze, dziś je odprowadziłeś po ostatniej, jako prawdziwy ojciec „chrzestny stałeś wiernie przy niej aż do śmierci, i dalej jeszcze. „Tylko jeden wielki, wszechmocny Bóg może ci to wszystko wy„nadgrodzić“.

Zamiłowanie sztuki jakim się odznaczał nowy król bawarski, nową, złotą zapowiadało epokę. Książę następca pruski (późniejszy Frydryk Wilhelm IV.) także zapowiadał panowanie muzom przychylne. Powoływano coraz to innego rzymskiego mistrza w oczyste strony, a Cornelius z kolei piastował urząd dyrektora akademii najprzód w Düsseldorfie, a następnie w Monachium. Wzywano więc Overbecka aby przyszedł w pomoc dawnym kolegom i zajął obok nich jakie przewodnie stanowisko. Odmawiał jednak stale wyższego urzędu, twierdząc, iż nie posiada ani zmysłu organizacyjnego, ani zdolności kierowania ludźmi czy instytucjami. Podobno jednak względ na delikatne zdrowie żony głównie wpły-

nał na jego odmowy i ustalił pobyt w Rzymie. Dawniej mniemał zawsze, iż mu wrócić przyjdzie do kraju i wspominał, że pije rzymskie powietrze i wrażenia na zapas, aby mu ich starczyło na całe życie. Teraz zaprzestał myśleć o jakimkolwiek przesiedleniu się, nawet gdy król Ludwik własnoręcznie go zaprosił do Monachium, ofiarując mu katedrę w akademii, w miłym współnictwie z dawnymi rzymskimi towarzyszami. Obrażony odmową królewski mecenas, zrzucił całą winę na panią Overbeck, i za najbliższą wybieczką do Rzymu, zaszczylił ją swemi odwiedzinami, ale na to tylko, żeby jej ostre zrobić wyrzuty. Następnie nie zatrzymując się ani chwili dłużej, drzwi za sobą gniewnie zatrzaskał i dom malarza opuścił.

Zaniechano tedy projektów powrotu do Niemiec, gdy jednak malaria coraz uporczywiej trapiła Overbecka, goszczący przelotnie w Rzymie Cornelius postanowił go zabrać na krótką przejażdżkę po ojczyźnie. Bywają epoki czulsze od innych na wrażenia piękna, prądy estetyczne przebiegają niekiedy powietrze, aby znów ustąpić miejsca nieprzyjaznej poetom i sztukmistrzom „mdlej ciszy“, albo też zgłuchnąć w obec ryku dział wojennych lub pozgrzytu machin i fabryk. Rzadko który okres ujawnił tyle upodobania w sztuce, w poezyi, w dziełach talentu i geniuszu, ile lata, które nastąpiły bezpośrednio po rewolucyjnej dacie 1830 r. Za przykładem monarchów, i ludy okazywały cześć niezwykłą kapłanom sztuki, mistrzom piękna, muz oblubieńcom; dość przeczytać w społecznych zapiskach opis wjazdu Corneliusa z Overbeckiem do Monachium. Gdy przyjaciele po dłuższej podróży na Padwę, Wenecję i Tyrol, stanęli u celu drogi, w bramach nad-Izarskiej stolicy czekał ich już cały zastęp artystów, rozstawione po ulicach czaty zwiastowały ich przybycie uczestniczącemu w tem powitaniu ludowi, i coraz dalej i dalej grzmiał przeciągły okrzyk: „Cornelius! Overbeck! niech żyją!“ Rosnący zapal granic nie znał. Mimo wypraszania się podróżnych, wyprężono konie, aby tryumfalnie zaciągnąć powóz, aż przed mieszkanie Corneliusa. Do nieprzeliczonych owacyj, których przedmiotem stał się Overbeck podczas swego pobytu w Monachium, zaliczyć wypada zabawę wyprawioną na jeziorze Starnberg. Co było łodzi pod ręką, otoczyło barwnym stadem większy, a z arsenału wytoczony średniowieczny statek, nie szczędzono kwiatów

i pieśni, i przemów i toastów. Słowem Germania wystąpiła z całą możliwą krasą i hołdem, jakby chciała uśpić w Mistrzu tęsknotę za przybraną Italską ojczyzną.

Overbeck zachwycił się tem wszystkim co w Monachium widział. Peryklesowe rządy króla Ludwika istotnie w ateńskie blaski przybierały bawarską stolicę. W myśli rozbudzenia u poddanych historycznego zmysłu, cześć dla przeszłości i poczucie dziejowej tradycyi, monarcha wciąż stawiał wspaniałe pomniki sztuki, zachęcał i ściagał artystów, w ich dziełach i towarzystwie rozkoszował. Overbeck wszędzie spotykał dawnych towarzyszków, a w ich utworach widział żniwo zasianego ongi wspólnie ziarna. Cornelius współ z Schnorrem i Hess'em mieli już sporo za sobą robót, z którymi przed przyjacielem popisać się mogli. Cztery tygodnie upłynęły jak sen w najsympatyczniejszym otoczeniu. Do koła artystów i przyjaciół przybyli mężowie tej miary co Goerres, z wygnania na katedrę historii przy uniwersytecie monachijskim powołany, bracia Boisserée, kanonik a później biskup Ratyzboński, Schnäbl, i wielu, wielu innych. Zwrotna droga wiodła Overbecka nad Ren. Mistrz wstąpiwszy do Stutgardtu, Frankfurtu, Moguncyi i Koblency, doznał w Bonn gościnności rodziny Brentanów, poczem statkiem puścił się do Kolonii, tego Rzymu niemieckiego, gdzie właśnie podejmowano myśl restauracyi i wykończenia wspaniałej katedry, wandalizmem i obojętnością ostatnich wieków przyprawionej do upadku, przedtem jeszcze nim średniowieczna budowa stanąć mogła w całej swej okazałości. Wszystkie pierwszorzędne umysły społeczne, począwszy od Goerresa, z miłością i zapalem czuwały nad tem arcydziełem gotycyzmu zachodniego, głównym atoli promotorem zbyt długo zaniedbanej sprawy był Sulpicyusz Boisserée, który od dzieciństwa ukochawszy walącą się a niedokończoną świątynię, wyczerpującem studyum nad jej obecnym stanem i ostatecznym planem, rozniecił wśród swoich interes dla sztuki i ochotę do zachowania i uzupełnienia najpiękniejszego jej pomnika w Niemczech. Już w r. 1816 ocalono naprawą dachu rozpadającą się niemal w kawałki absydę, w 1824 r. rozpoczęto narady co do możliwej restauracyi stojących już murów, a niebawem podjęto i myśl dokonania całości, wedle pierwotnych zamiarów i pomiarów.

Overbeck zastał jeszcze świątynię w oplakanym stanie upadku; pragnąc ze swojej strony przyczynić się do odbudowania katedry, obiecał dostarczyć do jednego z jej ołtarzy obraz własnego pędzla.

W Kolonii przyłączył się do Overbecka jako towarzysz dalszej podróży młodzian, który później miał zasłynąć w świecie dyplomatycznym i w świecie literackim zarazem, bądź jako poseł austriacki, bądź jako podróżnik obiegający wokół całą ziemską kulę, aby ją trafnie i świetnie opisywać w rozchwytywanych wędrówczych zapiskach, Aleksander baron Huebner. Pobożna matka, wysyłając syna do Włoch, ucieszyła się niewymownie, iż drogę odbędzie pod opieką chrześcijańskiego artysty. Wspólnie też odbywszy nadreńską pielgrzymkę, wstąpili do Fryburga, aby stamtąd pieszo po studencku przebyć pełen poezyi i legend *Schwarzwald*. Następnie na Szafuzę, Szwajcaryę i nie skróconą jeszcze tunelem górę św. Gotarda, skierowali swą drogę ku Włochom, aby na dzień 6 listopada stanąć w Rzymie. Żadne późniejsze wrażenia i wspomnienia z ustawicznie powtarzających się dalekich, podróżnych wycieczek, nie zatary w pamięci barona Huebnera onej pierwszej młodzieńczej pielgrzymki, odbytej w towarzystwie Overbecka.

Sam Overbeck побыtem w Niemczech na duszy i ciele pokrzepiony, słał Corneliusowi za powrotem do Rzymu wyrazy wdzięczności: „Tak jest, drogi przyjacielu, jeżeli danem mi było po latach tylu znów drogą oglądać ojczyznę — i widzieć tyle wspaniałych jej pomników, starą Kolonię, katedry w Strasburgu i Fryburgu, „Ren, skarby wieków nagromadzone dziś w Monachium; jeśli miałem pociechę uściskać dawnych przyjaciół, a od znajomych i nieznajomych tyle zebrać dowodów miłości; jeśli wróciłem szczęśliwie do mojej drugiej, włoskiej ojczyzny, uważając skarb pamiątek „i wrażeń, aby z nową siłą do pracy się zabrać, wszystko to przede wszystkim do ciebie odnoszę i tobie zawdzięczam“.

Niezapomniane wrażenie i wzruszenie czekało Overbecka u wstępu do wiecznego miasta. Domysły uczonych oddawna budziły wątpliwość co do miejsca spoczynku szczątków Rafaela. Badacze wbrew ogólnemu mniemaniu, iż Rafael złożonym został w Panteonie, przypuszczali raczej, iż w kościele Minerwy należało grobowca jego szukać. Rzeźbiarz Fabris w towarzystwie delegacji różnych akademij i uczonych stowarzyszeń, otrzymał pozwolenie

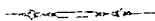
wyjaśnienia sprawy, podjęciem odpowiednich poszukiwań. Listy Overbecka z owych dni wtajemniczają nas w przebieg podjętych usiłowań; między innymi, tak pisze do Veit'a: „Poczytuję sobie za „obowiązek opowiedzieć ci, co moje oczy w tych dniach oglądały, „czego się ręce moje dotknęły. Czy uwierzysz najdroższy, iż danem „mi było zajrzeć w otwarty grób Rafaela, i ujrzeć szczątki ukocha- „nego, niedorównanego mistrza, co duszę moją takim napęliło „wzruszeniem, iż dla ulżenia sercu, muszę się niem z tobą podzie- „lić. Przy rozpoczętych poszukiwaniach, nadzieje nasze to podnosiły „się, to znów opadały, aż nareszcie 14 września, w dniu Podwyż- „szenia św. Krzyża, około południa, ukazał nam się sarkofag odpo- „wiadający najzupełniej opisom Vasari'ego. Ledwo z lekka uderzono „motyką, ujrzeliśmy względnie dobrze zachowany kościotrup. Jaki „dreszcz po nas przeszedł, gdyśmy po raz pierwszy ujrzeli szczątki „ukochanego mistrza, lepiej zrozumiesz aniżeli ja wypowiedzieć po- „trafię. Oby tak znacząca w historii sztuki okoliczność mogła blo- „gie wywołać następstwa, obyśmy stać się mogli dziedzicami du- „cha mistrza, tego ducha, który niestety! bodaj jeszcze głębiej od „jego kości dziś pogrzebanym!“

Camuccini i Horacy Vernet zostali upoważnieni do odryso- wania wnętrza grobu i zawartych w nim szczątków. Książę Ode- scalehi opisał odkrycie trumny Rafaela w włoskim języku, Overbeck tego samego po niemiecku dokonał. Następnie przeniesiono uczczone szczątki pod ołtarz trzeciej w Panteonie kaplicy, umieszczając je nakształt relikwii za szklaną płytą, pozwalającą publiczności przy- patrzeć się odnalezionym arcymistrza kościom.

Owo podniesienie kości Rafaela odbyło się z niebywałą uro- czystością. To też Overbeck z wzruszeniem głębokim opisuje sio- strze uroczyste kościelne pienia, wspaniałą katafalk płonący tysią- cem światel i pochodni, trumnę otoczoną tłumem artystów i uczo- nych całego świata. Podobne wrażenia na długo starczą, na długo też w drodze życia i pracy pokrzepić mogą. Wyrazy pełne zapału najlepiej dowodzą, iż wbrew przeciwnym twierdzeniom, Overbeck choć trzymał się przedewszystkiem prerafaelickich wzorów, obejmował i tego mistrza czcią przeważnie ku jego poprzednikom zwróconą.

(C. d. n.)

M.



CHOLERA W GÓRACH.

Karta z Góralskiej kroniki.

Dzisiaj, gdy badacze nasi zbierają skrzętnie każdy szczegół odnoszący się do ludu, jego zwyczajów i podań, nie będzie może bez pewnej wartości następny szkic, oparty na gminnej góralskiej tradycji, w którym, o ile możności, starałem się wiernie zachować wszystkie charakterystyczne cechy ludowego opowiadania. W pracy tej zawdzięczam wiele koledze W. Szczepaniakowi, słuchaczowi św. teologii w Tarnowie, za co mu serdeczną składam podziękę.

* * *

Było to kiedyś dawno; jak dawno, nie wiem, podania gminne nie mają daty.

Nad brzegami Dunajca¹ dziwnie stało się smutno, górale sposepniali, umilkły wesołe piosnki. Cicho było. Często spoglądano na Dunajec, jakby spodziewano się czegoś... Co ta rzeka powiedzieć mogła? co przynieść z gór wysokich?... czego oczekiwano od niej, spoglądając w jej fale, które szumiały jak dawniej! Górale, gdyby się ich pytano, nie umieliby odpowiedzieć, coś mimowoli ciągnęło ich wzrok w stronę rzeki, która uszom zdawała się szumieć złowrogo. Ale też wszędzie spoglądali z niepokojem w duszy,

¹ Mam tu na myśli góry między Starym Sączem a Nowym Targiem.

który na twarzy wywoływał bladość, oczekiwali czegoś złego. Powietrze było jakby duszne, ciężkie od czegoś, co wpadało do serc ludzkich i gniołło je gdyby kamieniem. Każdy człek taki kamień miał na sercu.

Słońce czerwone przypiekało, łagodząc prąd wiatru, który wiał od rzeki w twarze ludzkie, nie mogąc zwalić tego kamienia z ich serca. Pięknie było w tych górach, między którymi płynęła rzeka siną wstęgą — a góralom w ich rozkosznej dziedzinie było smutno. Im się zdało, że słońce ponuro świeci, rzeka płacze, wiatr płacze...

Wszyscy przeczuwali nadejście złego, lecz nikt z pewnością powiedzieć nie mógł, w jakiej postaci to złe przyjdzie. Starzy doświadczeni wróżyli, że skoro psy wyją po nocach, trzymając w górę mordy, pewny to znak, że mór nastanie. I powiadali, że tak samo psy wyły przed ostatnią cholera, a młodszy, którzy ostatnią pamiętali, przypominali sobie i potwierdzali:

— Ano prawda!

A niewiasty przerażone mówiły:

— Chryste! kolera idzie!

Pito częściej na frasunek, na „zgryz“.

Zaczęto snuć baśnie, bo wyobraźnię podniecał dziwny stan duszy, na który złożyły się trwoga, niepewność, smutek i oczekiwanie. Kobiety w rozgorączkowanej wyobraźni różne widziały dziwy, ale nie mniej mężczyźni. Ten kopiąc w polu, stanął jak wryty, motykę wypuścił z garści, bo „zaszumiało jak najtęższy wichur“ i coś jak cień straszny przeleciało mimo niego; tamten, wracając nocą do domu, widział przelatującą między zagrodami olbrzymią postać białą, z rozwartymi ramionami, pochyloną naprzód; ów wśród południowego skwaru przechodząc mimo rzeki, ujrzał człeka całego czarnego, który „wlażł do wody i schował się“, nie pokazawszy się więcej.

Takie widziadła straszły ludzi, a opowiadania o nich lecące jak wiatr od zagrody do zagrody, od siola do siola, potwornie się zmieniając i rosnąc w obiegu, odbierały odwagę tym, którzy jeszcze nic nie widzieli.

Pokazywano też sobie, gdy noc była jasna, gwiazdę z dużą miotłą, która mieniła się w oczach w szereg czarnych trumien lub krzyżów. Drżeli ludzie ze strachu i prorokowali dużo śmierci.

Głuche przychodziły wieści, że cholera się zbliża, że za górami na równiach umierają ludzie w wielkiej liczbie, kładą się jak snopy...

Górale mówili: — Broń Boże! ale na zniwa już ją tu bedemy miały. Przedrze sie ta ona prędko w góry!

Nie miałyż góry jej stawić oporu?...

Księża, którzy przecie skądś więcej wiedzieli, mówili, że wnet źle będzie. W kazaniach wzywali do poprawy, do pokuty, do modlitwy, bojaźnią przejęte serca.

— „Nikt nie jest pewien dnia ni godziny!“

Więc lud drżał, modlił się, pił na frasunek.

Najbardziej trwożyły dziady. Zaczęły przeciagać siwowłose starcy i ułomne kaleki, jakich przedtem nie widziano, zjawiali się jak grzyby po deszczu. Byli to goście „Bożych mąk“, których w górach przy drogach moc wielka. Tam siadali — śpiewali, modlili się, żebrali.

Dziwną rolę odgrywały te dziady, i swą zwykłą żebraczą i nowiniarską i jakichś proroków a pocieszycieli. Nie odpychali ich górale, dawali chętnie jałmużnę z tego, co było w chacie, a więc pospolicie trochę „grulów“, owsianego placka kawałek, a gdy się gotowała strawa, to i coś ciepłego. Za to słyszeli błogosławieństwo z ust dziadowskich, a górale stoją o nie i boją się klątwy żebraczej.

Z różnych stron przychodziło to „dziadowstwo“, byli i nasi, Polacy, i Słowacy z Węgier, z kobzą, lirą albo tylko różańcem i modlitwą na ustach. Opłacały im się modlitwy i błogosławieństwa, ale i nowiny. Górale lubili słuchać i pieśni pobożnych, które przy lirze lub kobzie dziad śpiewał — i nastrojały się proste dusze pobożnie i rzewnie, bo też był to czas, w którym trzeba było się skupić w sobie i przygotować odważnie na przyjęcie straszego gościa. Nie jeden dziad mówił, złożywszy ręce:

— Boże broń! Boże broń! Boże broń!

A górale z ciężkiem westchnieniem wtórowali:

— Jezusieku kochany i Matuchno Przenajświętsza zmiłuj sie nad nami! nie opuszczajze nas w téj biédzie!

A dziad kończył:

— Weź mnie panie starego, kalékę, sierotę, bom tu niepotrzebny tułąc, ale zlituj sie nad temi ludziami, nad twemi sługami!

Inny znowu, przygrywając na lirze, śpiewał z ludnością uroczystym głosem:

Do pokuty się udajmy!
Najświętszą Matkę błagajmy!...

Dnia jednego zjawił się pod „Bożą męką“ na Łąkeicy dziad jakiś stary z Kobylanki i jał ludności prorocze mówić słowa:

— Z Kobylanki idę, gdzie Bóg cuda czyni i na grzeszne ludzie zlewa łaski, gdy się ukorzą przed Jego świętym Majestatem. Oj! i ja, moi mili, dostałem tych łask, ja niegodny, ja nędzny robak, a bliski trup. Wszechmocny Bóg pozwolił dojść, upaść na twarz, oczyścić duszę, śmierci się nie bać... oj! to łaska! Śmierci się nie boję... oj! to łaska! Nadchodzą czasy złe, dużo będzie śmierci, dużo śmierci... Nikt nie wie dnia, ani godziny... jeno Bóg. To dni jakiejś kary...

— Widziałem ja Chrystusa, widziałem! Ręką sobie podpierał twarz bladą, a z ocz Jego łzy duże ciekły. Ja taką łzę chwyciłem i śmierci się nie boję. Kto taką łzę chwyci, ten śmierci się nie boi, otworzy jej ramiona, przycisnie ją do łona, spokojnie skona... Oj! czasy będą złe! Kolera idzie już, przyjdzie tu ona wnet. Niech każdy odda dług, niech brata nie klnie brat, niech baba z chłopem żyje dobrze — niech dzieci szanują ojców. Niech każdy Boga weźmie do serca i przykazania Jego strzeże. Niechże was broni i zachowuje Bóg!

Jak dziwnie się zjawił ów dziad, tak zniknął. Na drugi dzień nie widziano go już w siole i w górach.

Takie to były te modlitwy i proroctwa dziadowskie, którym ludność wtórowała ciężkiem westchnieniem, półgłosną modlitwą — albo płaczem kobiet.

A tymczasem cholera „szła“ szybko — w sądeckiej dolinie objęła już panowanie.

Zbliżały się żniwa, dojrzewało zboże, słońce piekło — a po ludziach przechodziły dreszcze.

Ludzie nie przeczuwali „kolery“, ale ją już czuli, już widzieli jej straszne widmo i czekali na nią. Stopniowo przelatywały wieści:

— Już idzie...

— Już jest blisko...

— Już jest! —

„Już jest!“, brzmiące najstraszniej, poleciało od Kadczy, gdzie stanęła „kolera“, szybko w góry, het! ku Nowemu Targowi, a choć przeciw prądowi Dunajca, prędzej, niżby z jego prądem. Wieść ta wyrażała już fakt pewny, więc zrazu przelewały się serca, a potem nagle dziwnie zobojętniały, wiedząc, że to rzecz nieunikniona. Cholera szła na Maszkowice, „Maszkowiaki“ poddawali jej głowę. Z Maszkowic do Łacka to krok.

Choroba nie wybierała chat, nie wybierała dróg. Do każdej zaglądała „chałpy“ — w każdej chałpie jeden, dwoje, troje i więcej wilo się w boleściach. Toż i chwylała i obalała ludzi na drogach i w polu, spinała się na góry, wciskała w wąwozy, kryjówki. Z Maszkowic dostała się do cichego skrytego Szczereża, gdzie góral sądziłby się bezpiecznym, stamtąd niosła się dalej — przez wąwozy, potoki, góry. A szła w powietrzu w postaci dużej bani, co miała na sobie czerwone, zielone, żółte, niebieskie i czarne paski, a gdzie się obniżyła, tam ludzie umierali. „Jak się obniżyła dużo, to wszyscy wymarli, a jak szła wyżej, to nie wiele“. A na niebie wieczorną porą, jakby przednia straż cholery, pokazywały się czarne krzyże, trumny i miotły, co znaczyło, że „kolera będzie ludzi mieś(ć)“. Na Łacko przychodziła kolej.

Ale nad tem gniazdkiem czuwała Boża ręka.

„Raz leżały sobie parobki przy koniak na kamieńcu przy Dunajcu (w Zárzécu). Tak zaczęło coś pluskać po wodzie, tak jak żeby coś rękami trzepotało. Były dwa duchy. Tak jeden mówi do drugiego: Wstąpmy tutaj! A na to drugi odpowiedział:

— Dálby on ci ten siwy dziád! Pójdźmy dalej!

Bo w kościele w Łacku jest święty Jantoni w oltárzu (patron parafii Łackiej), látego sie go bały duchy. Posło do góry Dunajcem i w Tylmanowy umarło duzo ludzi, a w Łacku i Zábrzezy ani jeden nie umar(ł)“.

Dziwnie wyglądały te wsie pod stopą cholery, całkiem inaczej, niż przed niedawnym czasem, kiedy ludzie byli jeszcze zdrowi. Chaty stały ciche i smutne, okna ich patrzyły posepnie, drzewa też smutne, w polu, mimo pięknej „urody“, mimo światła i ciepła słonecznego — też smutno. Ludzie chodzili, mówili, pracowali — ale jacyś błędni, cisi — odmienni.

Trwoga spadła na ludzi, „jak już wiecór się zrobił“, bano się wyjść z chaty. „Chodziła po wsi (jak gádają) jakás Siubieliá. (Siubieliá to taká baba dużá, biáło ubraná). Skoro przysła do wtorego domu, to pukála do okna i pytała się: „Śpicie ta już?“ Jak odpowiedzieli: „Śpiemy“, to powiedziała: „To śpijcie ta! śpijcie!“ I już się na drugi dzień nie obudzili, bo wsysey, co byli w chałpie, wymarli“.

„Jednego wieczora na „Zárębkach“ u Klucnika¹ ludzie nie spali, ino śpiewáli pieśni nábozne. Tak przychodzi właśnie Siubieliá, puká do okna i pyta się: „Śpicie ta?“ A oni odpowiadają: „Nie śpiemy, jeno się modlemy“. Tak ona gádá: „Dobrze, że nie śpicie, bo zebyście byli spali, jużbyście się nie obudzili więcéj“. Jak to powiedziała, tak napisała na sybie kr(w)awymi literami coś i odesła, a wsysey się bardzok przełękli. Już nie pošli spać, jino się modlili i śpiewáli jaz do rana. Rano schodzili się ludzie i kcieli przeczytać te litery, ale ni mogli. A to pismo takie było, że go ni mogli zmyć. W párę lát przyjechał ksiądz do chorego, tak prosili go, zeby on im przeczytał, co było napisane na sybie. On popatrzał się na to pismo i nic nie powiedział, jino zajájcał (wydał jęk): Joj! jo! I długo były na sybie te litery, dopokiéł się nie rozbiuła“.

Ludzie „kapali jak muchy“, chaty stawały pustką, wsie nawet wyludniały się całé. We wsi Kamienicy, nad którą owa bania „obniżyła się najbardziéj“, wszyscy wymarli. „Jacy jeden stary baca, co był na Kicorze (polana) z owcami, został. Skoro przygnał owce do domu, to nie naláz(l) ani jednego człowieka we wsi, jacy same puste chałpy“.

Gdzie pito „dzieglenieć“, tam „kolera“ nie zrobiła nic. Gdzieś w górskim wąwozie tańcowały dwie śmierci i śpiewały sobie:

— Nie pociéráj sola solám, bo to grzék, ale zazywáj biedrzeńca, dzieglenieć², nie będzie ci nic!

Słyszał to chłop jeden i opowiedział drugim we wsi, którzy, używając tych ziół, ochronili się od śmierci.

Z czasu tej strasznej cholery pochodzi zapewne następne podanie:

¹ Dawny właściciel osiedla.

² Ziola, których używają górale w razie cholery.

„W jednej wsi była dziewczyna, ale ją bardzo macocha nie lubiała, tak ona ciągle prosiła Boga, żeby umarła. Tak dowiedziała się, że w jakiś wsi daleko od tego miejsca, gdzie ona się znajdowała, była cholera. Tak wybrała się tam, aby umarła. Weszła do jednego domu, a tam już wszyscy byli przygotowani na śmierć, i prosiła, aby ją przenocowali, ale oni nie chcieli. Potem się zaś zgodzili. Kiedy spali wszyscy, jeno ona jeszcze nie spała, robiła się wielką światłość w izbie i usiadło trzech ludzi za stołem, na którym rozłożyli wielką księgę. Jeden z nich czytał, drugi wymazywał, a trzeci chodził z laską od jednego do drugiego człowieka i dotykał się każdego z nich. Poszedł też do tej dziewczyny, a ona spała za piecem na ławie i chciał się jej dotknąć, ale ten co wymazywał, krzyknął na niego, by jej dał spokój, bo ona jeszcze nie wymazana. Ona tak się przelęknęła, że do samego rana nie mogła oka zmrużyć, a skoro się widno na polu robiło, zaraz zebrała się i wróciła do swojej wsi i opowiedziała o tym ludziom“.

Cholera nie tak nagle znikła, jak przyszła. Odechodziła powoli, wlokąc za sobą długie strzępy swej szaty; ludność odetchnęła, wracała z wolna do codziennego trybu życia, ale z ciężkiem jeszcze sercem.

Przyszedł nareszcie mróz, powiedział strasznej pani „dość!“ — i poszła.

Karol Mátyás.



DZWONY

JAKO PRZEDMIOT SZTUKI KOŚCIELNEJ.

(Ciąg dalszy)¹.

Prastara stolica biskupia: *Przemysł*, cieszy się od stu lat z górą prześlicznym dzwonem w katedrze łac., któremu imię: Jan Chrzciciel. Prócz Zygmunta wawelskiego, mało on któremu z dzwonów galicyjskich ustępuje w rozmiarach, a wszystkie przewyższa czystością dźwięku, okrągłością i doniosłością tonu. Jest to podobno jedyny ze wszystkich pięknych dzwonów w kraju, który ulal nie obcokrajowiec, ale nasz ziomek — Teodor Polański — lwowianin; bo, jak już nadmienilem wyżej, wszystkie prawie ładne dzwony odlane zostały przez cudzoziemców.

Historia tego ślicznego dzwonu jest odlana na jego zewnętrznych ścianach, bogato ornamentowanych sześcioma obrazami Chrystusa, Matki Boskiej i Świętych pańskich, tudzież wizerunkiem jego fundatora — ks. biskupa Walentego Wężyka z jego herbem. Przy każdym z tych wizerunków są stosowne napisy z pisma św. wyjęte i tak: przy ukrzyżowanym Chrystusie: *Ecce crucem Domini fugite partes adversae. Vicit leo de tribu Juda, radix David.* Pod obrazem Matki Boskiej: *Patrona Regni Poloniae, ora pro nobis.* Obok św. Jana Chrzciciela: *Joannes est nomen ejus.* Pod św. Michałem Archaniołem: *S. Michaël Archangele constitui Te Principem; ad sonitum esto procul: grando rapidi cum turbine, venti, fulgura, tempestas, fulmina, abite procul.* Wizerunek św. Jakóba apostoła

¹ Obacz zeszyt sierpniowy.

z siekierą bez żadnego napisu. Przy biskupie Wężyku bardzo pięknie odlanym, jest dzień i rok odlania dzwonu: *Fudit me Theodorus Polański, civis Leopoldensis A. D. 1766, die 5 Julii Premisliæ*. A zatem jest temu 121 lat. Górny pierścień dzwonu nosi napis: *Clamabo ad Te Deum Altissimum, et exaudiet vocem meam, ut quancumque sonuero recedat urtus insidiantium, percussio fulminum, laesio tonitruum, calamitas tempestatum, omnis spiritus procellarum*. Na drugiej obręczy górnej, przedzielonej od pierwszej ślicznie odlaną girlandą wijącego się bluszczu i ozdobami w stylu odrodzenia, czytamy: *Conflata auctaque sum insigni gratia Illimi Valentini de Osiny Wężyk — Episcopi, et Reverendissimi Capituli Premisliensis impensis ad triginta millia ascendentibus*.

Wnosząc z tego napisu, bez pomyłki prawie twierdzić można, że katedra przemyska nie miała przedtem większego dzwonu, a pierwszeństwo na wieży trzymał prawdopodobnie niedawno rozbity dzwon znacznie mniejszych rozmiarów, który teraz po ulaniu wielkiego Jana Chrzciciela., kosztem — jak się dowiadujemy — 30.000 zł. pols. czyli 12.000 złr. wa., zeszedł na drugie miejsce. W dziele kanonika ks. Franciszka Pawłowskiego: *Sacra Premisliæ* zaznaczona jest także historia tego pięknego dzwonu, obok hojnej ofiarności biskupa W. Wężyka. O innych dzwonach nie ma tam mowy, bo jako małe przy tak dużym, jak Wężykowski, nie zasługiwały na wzmiankę.

Dzwon ten o 2-metrowej średnicy i 1·48 metr. wysokości, a blisko 6½ metr. obwodu, ma ton *B* w małej oktawie basowej, a podźwięk jego o całą oktawę głębszy, zachwycia ucho pełnością i okragłością tonu. Według tabeli powyżej umieszczonej, dzwon o tonie *B* powinienby mieć średnicę 1·67 metr. a 2700 kilogr. wagi. Gdy atoli średnica jego dłuższa jest o 33 centymetr., przeto i waga znacznie jest większa, bo cały korpus jest wyższy i o grubszych ścianach, przez co dźwięk dzwonu donioślejszy, a ton pełny, okragły, dla ucha bardzo miły.

Tak piękny i pod każdym względem artystycznie ulany dzwon, nie miał obok siebie godnych towarzyszy. Dwa małe dzwonki, umieszczone z nim na wieży, nie idą w rachubę. Był tedy tylko dawny dzwon, nie bardzo prawidłowo — i nie wiadomo mi przez kogo ulany, który wrzaskliwym dźwiękiem niemiłosiernie drażnił

ucho, a dzwoniąc równocześnie z wielkim — stanowił wielką dysharmonię. Staruszek ten pękł przed kilku laty, robiąc miejsce godniejszemu następcy, o którego przez sto lat przeszło wołał dźwięcznym swoim głosem Jan Chrzciciel.

Potrzebę takiego dzwonu odczuł najprzewiel. ks. biskup Soleccki, wielki estetyk, znawca i miłośnik sztuki kościelnej. A chociaż zajął się równocześnie gruntowną restauracją pięknej niegdyś, lecz przez czas bardzo nadniszczonej, różnemi zlepkami murów, przybudowaniami bez stylu i estetycznego smaku oszpeconej katedry, o podmurowanych gotyckich oknach ślicznego kiedyś gotyckiego presbyterium z ciosu, dziś okrytego brudem wiekowym, co wymagało wielkich funduszy; to jednak pomyślał zarazem z prześwietną kapitułą swoją i o nowym dzwonie w miejsce starego rozbitego. Należało się to katedrze, matce wszystkich kościołów w diecezyi, aby — jako wszystkim przoduje godnością swoją — tak przodowała zewnętrznym splendorem i poważnym głosem dzwonów, mających zwoływać wiernych na nabożeństwo i po naukę tam, gdzie apostołski następca i stróż prawdy Bożej, wykonuje rzędy *cum plenitudine potestatis*, nad rozległą częścią owczarni Chrystusowej.

To też po dwukrotnej, nieudalej próbie przelania rozbitego dzwonu przez pewnego krajowego, ale w swym zawodzie wcale niebiegłego ludwisarza, udano się do fabryki w Wiener-Neustadt. Znany zaszczytnie tamtejszy ludwisarz Piotr Hilzer, zażądał pierwiej dokładnego zbadania i oznaczenia tonu wielkiego dzwonu, a potem ułął do niego drugi w tonie *D*, aby była harmonia. Gdy atoli wielki dzwon przemyski wagą i rozmiarami (jak wszystkie stare dzwony), przekracza zwykłą tabelę nowszych ludwisarzy co do cyfer, jakich się wymaga, aby otrzymać ton *B*; przeto musiano tę okoliczność uwzględnić i w nowym dzwonie, nadać mu większą wagę, dłuższą średnicę i wyższy profil o znacznie grubszych ścianach, by tym sposobem utrzymać równą barwę dźwięku i okrągłość tonu z dawnym dzwonem. I rzeczywiście tak zrobiono, bo zamiast 1450 kilogr. dano mu wagę 2100 kilogr., a zamiast średnicy koniecznej do tego tonu wymaganej 1.35 metr. dano mu 1.50 metrów, przez co ton piękny i pełny dzwon uzyskał. I ta sumiennność obok znawstwa zasad akustyki — zasługuje na uznanie i ceni się w tym ludwisarzu.

Dzwon ładny, o pełnym i równym dźwięku, harmonizuje bardzo pięknie w wielką terecę z dawnym. Ornamentyki nie ma prawie żadnej. Z jednej tylko strony jest odlany obraz św. Józefa, którego imię dzwon nosi, z napisem: *In honorem Sⁱ Josephi Patroni Ecclesiae catholicae — fusa impensis Episcopi et Capituli A. D. 1886*. Z drugiej zaś firma Piotra Hilzera z orłem austriackim, jako nadwornego ludwisarza. Dzwon jest montowany kutem żelazem według nowego systemu i dzwoni się w niego lekko i równo.

W pięknej harmonii obydwóch dzwonów słyszy się wyraźnie akord *B* dur, który wypływa z oddźwięku tonów pobocznych, różnych od tonu głównego, ale w akordzie tym koniecznych i tak: wielki dzwon odbija bardzo wyraźnie kwintę *F*, a jęczy o całą głębszą oktawę głównego tonu *B*. Słysząc zatem trzy tony. Średni zaś dzwon ma przygłos małej terecy *F*, którą już wielki wydzwania. Tym sposobem powstaje prześliczny trójdźwięk. Że zaś tony są miękkie, okrągłe, zlewne, przeto dzwony zdają się grać. Przytaczam tu na dowód przykład, którego byłem naocznym świadkiem w kwietniu t. r. podczas pogrzebu ś. p. ks. Infułata Hoppego. Długi orszak pogrzebowy wszedł przy odgłosie dzwonów i śpiewie kapłanów w ulicę Franciszkańską, dość ciasną i zamkniętą. Pewien kapłan słysząc dźwięczną muzykę w czasie pogrzebowego „Benedictus“, przez 100 kapłanów poważnie śpiewanego, gorszy się, że ktoś w kamienicy odważył się grać na fortepianie w tak poważnej chwili. Zwróciłem jego uwagę, że się myli, bo to harmonia dzwonów katedralnych, jęczących tak pięknie, o czem się zaraz przekona, gdy orszak wyjdzie z ciasnej ulicy na wolniejszy plac obok OO. Reformatów, gdzie śpiew kapłanów więcej się rozstrzeli, a przeto dozwoli uważniej przysłuchać się mniemanej muzyce. Rzeczywiście zdumiał się i przekonał, że to było złudzenie słuchu, pochodzące z harmonijnego stroju dzwonów łac. katedry.

Ale te piękne i duże dwa dzwony dopraszają się koniecznie trzeciego w tonie *F*, któryby tę przez oddźwięk wydzwanianą terecą sam pełnem uderzeniem serca wydzwaniał. A ponieważ w dobrze ulanym dzwonie zwykle odbijają się oprócz oktawy tonu głównego — jeszcze poboczne tony czyli przygłosy terecy *a*, a często i kwinta, przeto wszystkie trzy dzwony stanowiłyby najdźwięczniejszy, uzupełniony akord.

I tego wkrótce spodziewać się można, boć to kościół katedralny, a jako taki, przynajmniej trzy dzwony w liczebnym stosunkach tonów dobrane mieć powinien. Jeżeli gdzie, to chyba tu znajdzie trafne zastosowanie zasada: *Tres faciunt collegium*.

Zresztą kto się przypatrzy katedrze dzisiaj — nie tylko w szacie zewnętrznie i ładajako odnowionej, — ale gruntownie bo często od fundamentów, jak presbyteryum, stylowo i z gustem odrestaurowanej; kto nadto zważy, że zabierając się do dzieła krociowych funduszków wymagającego, na co ledwie początek był zrobiony przez ś. p. ks. Hoppego i duchowieństwo dyecezalne, — najprzew. ks. biskup — mąż iście opatrnościowy — użył wszelkiej siły, energii i właściwej mu jędrnej, a gorącej wymowy w dwukrotnych listach pasterskich do wiernych swej dyecezyi i do podwładnego sobie kleru wydanych: że z pomocą Bożą, a wielkim z swej strony trudem i własną — według sił ofiarnością — przywiódł do skutku to dzieło, — ten może mieć otuchę, że i reszta, co jeszcze do zupełnego wykończenia dokonanej restauracyi pozostaje i dokompletowanie dzwonów przez sprawienie trzeciego w tonie *F*, wnet uskutecznionem zostanie. Takie trzy dzwony katedry przemyskiej, o tej wadze, rozmiarach i stosunku tonów, zajęłyby w kraju swym harmonijnym strojem pierwsze miejsce, którego ustąpićby im musiały starsze wprawdzie — ale o cały ton mniejsze — dzwony Krośnieńskie. Oby katedra tak ślicznie odrestaurowana i pod tym względem miała pierwszeństwo!...

Na lewym brzegu Sanu, niedaleko ujścia tej rzeki do Wisły, na samej prawie granicy, gdzie Galicya wsuwa się klinem północnym w Królestwo polskie, leży miasteczko *Rudnik*. Mieszkańcy jego, jak wszystkich miasteczek nad dolnym Sanem położonych, czerpali niegdyś główne źródło dochodu ze splawu drzewa, pszenicy i innych surowych artykułów. Ożywiony handel z Gdańskiem i zamorskimi prowincjami nadbałtyckimi przynosił ludności — zamieszkującej piaszczyste i w wielkiej części nieurodzajne obszary ziemi — znaczne dochody. Takie miasteczka, jak Ulanów, po drugiej stronie Sanu, zwany podziś dzień „Małym Gdańskiem“, Radomyśl, Rozwadow i Rudnik, były nawet za polskich rządów dość zamożne.

I z tych to czasów — zdaje się — pozostał w Rudniku je-

dyny dziś zabytek dawnych stosunków handlowych z Danią, Szwecją i Anglią — bardzo piękny dzwon w kościele parafialnym. Historii jego pochodzenia, ani czasu kiedy i jak się dostał do Rudnika, śladu żadnego niema. Brak wszelkich historycznych źródeł, a choćby najmniejszej kronikarskiej notatki da się łatwo tem wytłumaczyć, że Rudnik był często widownią wojen ze Szwedami. W r. 1665 Lubomirski i Czarniecki omal że nie odcieśli samego Karola Gustawa i nie wzięli go do niewoli¹. Zapuszczali tu także i Tatarzy swe zagony i niszczyli okolicę. Parafia w Rudniku była już fundowana za Batorego 1583 r., ale pierwotny kościół się spalił, a z nim prawdopodobnie i akta kościelne. Teraźniejszy zaś kościół Rudnicki zbudowany dopiero z końcem XVIII. w. (1791) przez Grabińskiego z drzewa, jak prawie wszystkie kościoły na piaskach według jednego szablonu, nie przechował prócz urzędowego inwentarza i metryk, żadnych aktów, w którychby coś o pochodzeniu tak pięknego dzwonu doczytać się można. Wielka szkoda, bo taki dzwon nie tak się łatwo gdzie napotyka. Dominuje on potężnym i ślicznym dźwiękiem nad całą nadsanową okolicą. Echa jego odbijające się o lasy i bory sosnowe lecą w dal, budząc w duszy różne wspomnienia minionych czasów lepszej doli...

Dzwon ten odlany gładko i prawidłowo, choć bez żadnych ozdób. Średnica jego dolna wynosi 1·20½ metr.; wysokość 95 centymetr., a waga przeszło 1.100 kilogr. Na górnej obręczy oddzielonej od pokrywy tylko prostą linią, nosi napis szwedzki, albo może staroniemiecki, który tu dosłownie przytaczam. Jest to czterowiersz rymowany w tej formie:

ANTLAENIS · ES · MINE · NAME ·
 MINEN · VOOIS · SI 608 · BEQVAME ·
 ME · VRAVWE · IAENE · HAEIEWIN ·
 EN · HEER · WM AðIN ·
 HIEF · MI · M · V · C · LX.

Nie będąc lingwistą, nie umiem przetłumaczyć tego napisu. Udawałem się o przetłumaczenie tu i ówdzie, a nawet przez pośrednictwo pewnych osób aż do Wiednia, ale daremnie. O ile z po-

¹ Szujski t. III. str. 389.

dobieństwa pojedynczych wyrazów wnosić można, znaczyłyby pierwsze dwa wiersze: Antoni jest imię moje. Mój głos niech będzie Bogu przyjemny. Dalsze zaś wiersze zawierają prawdopodobnie imię i nazwisko ludwisarza, a w końcu datę ulania r. 1660.

Ciekawy ten dzwon poznałem przed 15-tu laty będąc wikaryuszem w sąsiedztwie Rudnika i już wtedy oznaczyłem ton jego *E* w średniej oktawie. Zachwycąłem się jego poważnym a smętnym dźwiękiem, który osobliwie wieczorem lub rankiem rozlega się szeroko i daleko po piaszczystych równiach, sosnowemi lasami gęsto pokrytych. Długo on jęczał smętnym, donośnym głosem swoim, bo przywieziony na obcą ziemię, na dawną „puszczę Sandomirską“ zdawał się tęsknić za godnymi siebie towarzyszami, coby jego ślicznemu głosowi zawtórowały.

Lud mazurski mało ma poczucia estetycznego; a przytem osiedlony w piaszczystej okolicy, która go z wielkim trudem ledwie wyżywić może, nie jest wcale teraz zamożnym, bo splawiać nie ma już co. Nikt przeto nie pomyślał o sprawieniu choćby dwóch jeszcze dzwonów, do wielkiego zastósowanych, w miejsce dwóch malutkich i bardzo lichych, bo nikt nie czuł tego potrzeby. A przecież Rudnik, jako miejscowość celniejsza w tej okolicy, nadaje nawet tytuł rozległemu dekanatowi, co mu się dla jego historycznej przeszłości słusznie należy. Tak więc rzeczy stały od dawien dawna: dzwonił prześliczny dzwon, brząkały z nim dwa małe czerepki, jakby przy wirtuozie grającym na flecie, dwóch żaków dmuchało w piszczalki z wierzby uwite. Lepiej nic nie słyszeć, lub słuchać osobno fletu, a osobno piskliwych fujarek wierzbowych, niż tak niedobranej mieszaniny tonów.

Temu niedostatkowi zaradził zeszłego roku terażniejszy proboszcz Rudnicki — ks. Al. Wyżykowski. Od dawna nosił się z myślą, by w miejsce niezdolnych brząkać sprawić parę dzwonów, któreby z wielkim harmonię stanowiły. Wiedział, ile tem przyczyni się do podniesienia chwały Bożej, obudzi w swej parafii ducha ofiarności dla domu Bożego, który jakoś obumarł, nie tyle z obojętności na to, co jest w kościele i jakie, jak raczej z braku poczucia piękna estetycznego. Dobra to zasada oddziaływać tak na lud, by koniecznie zrozumiał, że wszystko, co ma służyć do chwały Bożej, powinno być prawdziwie piękne, podniosłe, jeśli ma w duszy

prostaczków obudzić myśl wyższą, podniecać do prawdziwej pobożności. Ileż to nie spotyka się po kościołach — szczególnie wiejskich — tych pleonazmów rzeczy brzydkich, bez sensu, które zamiast podnosić kult zewnętrzny, obniżają go w sposób rażący, a innowiercom nierzadko są powodem szyderstwa! Wprawdzie osobny to dar — zmysł estetyczny, i za to nikogo winić nie można, gdy go niema; ale trafiają się czasem takie rzeczy, które i najprostszy umysł dostrzedz i roztropnie, a bez zgorszenia, jeśli chce, uchylić — a lepszymi zastąpić może. W pewnym kościółku wiejskim widziałem pięknej struktury ołtarzyk, którego filarki ponabijały były rozmaitemi gwoździami, mającemi zastąpić ramy do podtrzymywania potłuczonych kawałków lusterek, jakie prostaczkowie tu umieścić chcieli. Ile piękny ołtarzyk przez to stracił, ile podziurawione filarki oszpecono, łatwo zrozumieć. To znowu prześliczny obraz flamandzkiego pędzla pozwolono lichemu bazgraczowi podcieńnować najpospolitszymi farbami, bo paru zamożniejszych parafian ofiarowali na to fundusz! Gdzieindziej obdrapano przemocą ostrymi narzędziami piękne, od starości poczerniałe zewnętrzne mury ślicznego kościoła z XV. w., odbito siekierami zczerniałe tynki, aby kościół obelić świeżo gazonem wapnem. Takie nieuszanowanie zdobnej wiekami szaty kościoła miało ten skutek, że odtąd wapno odpada od pozostałych starych tynków, które się odbić nie dały, a kościół świeci pstrokacizną, świadczącą o nowoczesnem barbarzyństwie, które żadnej pamiątki nie uszanuje. W innym znowu kościele po dziś dzień widzieć można prześliczny obraz na złotem tle w stylu bizantyńskim na desce malowany, bardzo stary i dobrze zachowany, któryby był ozdobą każdego kościoła w stolicy, wyrzucony do kruchty, a miejsce jego w ołtarzu zastąpiono ohydą bazgraniną. Wyrzucony obraz więcej wart, niż wszystkie inne w tym kościele, którym przecież naczelne miejsce dano. Czemuż to przypisać, jeżeli nie brakowi zmysłu estetycznego? Na nie się nie zda ofiarność prostaczków, gdy jej rozumnie skierować nie umiemy. Ofiarność dla kościoła płynie z wiary i jest jej zewnętrznym objawem, więc nie powinna przedrzeźniać zewnętrznej czci Bożej... Przepraszam szanownych czytelników za tę malutką dygresję, która jak z jednej strony mimowolnie się nasunęła, tak z drugiej — zda mi się — nie jest bez związku z moim przedmiotem, bo piękne dzwony, to

zewnątrzny odgłos czci Pana Boga, jaką Mu w kościołach oddajemy. Kiedy się śpiewa *Te Deum*, to śpiew ludzkich piersi dźwięk dzwonów popiera i w dal roznosi, cześć Boską ogłaszając.

Tą myślą wiedziony ks. proboszcz Rudnicki zaoszczędzał przez kilkanaście lat rok rocznie co tylko mógł z dochodów swej wcale niezamożnej parafii, aby zostawić swemu kościołowi wiekową pamiątkę w pięknych, harmonijnych dzwonach. Chociaż sam muzykalny, nie poprzestał na swem zdaniu, ale do kombinacji dzwonów zasięgnął rady takich osób, na które mógł się spuścić z całą pewnością, by nie popełnić błędu, któryby się nie dał już tak łatwo naprawić. Do starego, pięknego dzwonu sprawił własnym kosztem, 1550 złr. w. a. wynoszącym, cztery nowe dzwony na dzwonnice, oprócz nowej sygnaturki dostrojonej do nich.

Dzwonów tych dostarczyła firma Piotra Hilzera z Wiener-Neustadt. Do dawniejszego dzwonu o tonie *E* przybyły dzwony: *Gis* o średnicy 96 centymetr., wysokości 74 centymetr. 538 kilogr. wagi — *H* 75 centymetr. średnicy, 57 centymetr wysokości, 276 kilogr. wagi, wysoka oktawa *e* 60 centymetr. średnicy, 120 kilogr. wagi, wreszcie *gis* 48 centymetr. średnicy i 65 kilogr. wagi. Dzwony te ornamentowane na górnej i dolnej obręczy arabeską, mają odlane wizerunki św. Trójcy (tytuł kościoła), Chrystusa i Matki Boskiej — po jednym każdym z nich. Oprócz tych niemają wcale żadnych ozdób, prócz napisu dedykacyjnego: *In annum Jubilaei 1886 dedicavit Alexander Wyżykowski — parochus*. Dwa większe otrzymały przy chrzcie imiona od liter tonów: św. Grzegorza i Hiacynta (Jacka), trzeci zaś imię św. Józefa. Tony *E—Gis—H—e—gis* stanowią dwa pełne akordy *E-dur* i tworzą śliczną harmonię. Zlewność dźwięku równocześnie wydobytych tonów uderzeniem serca — pieści ucho. Obok poważnych rzadkich uderzeń serca wielkiego dzwonu, słyszy się częstsze uderzenia mniejszych dzwonów, stanowiące niby rytm muzyczny, a wszystkie tony zlewają się w jeden dźwięczny akord. Ta harmonia dzwonów rudnickich, z trzech tonów *E—gis—H* powstająca (wysokie *e* i *gis* są identyczne z basowem) to jakby zatwierdzenie, dośpiewanie na zewnątrz, głębokiej tajemnicy Trójcy przenaśw., która nadaje tytuł kościołowi Rudnickiemu, a jest wypisana nad wielkim ołtarzem złotemi literami: *Haec est fides catholica, ut unum Deum in Trinitate, et Trinitatem in unitate veneremur*. Niechaj przez

długie wieki wygrywają i dzwony tę niepojętą prawdę wiary naszej św.! *Omnis Spiritus laudet Dominum!*

Chociaż doskonale harmonijne dzwony wielką są u nas rzadkością, to jednak po miastach, osobiwie większych, gdzie jest więcej kościołów, trafi się czasem, że dwa a nawet trzy dzwony, zgodzą się w tonach muzycznie jako tako dobranych. Nie jest to wprawdzie harmonia w ścisłem tego słowa znaczeniu, bo przypadkowa, a przeto o jej dokładności nie może być mowy, ale zawsze znośniejsza od rażącej dysharmonii. Nikt na to przecież nie zwraca uwagi raz dlatego, że bardzo rzadko kto zna się na podzwonnej harmonijności, a powtóre, że dla braku warunków, jakich się przy dzwonach wymaga, jeśli mają być rzeczywiście harmonijne nie tylko co do samych tonów liczebnie i umiejętnie dobranych, ale i co do ich jakości, barwy dźwięku i t. p. i ta przypadkowo powstająca i niedokładna harmonia nie może zainteresować nawet muzycznego ucha. Wchodzi i ta jeszcze okoliczność w rachubę, że przy większej liczbie dzwonów nieharmonizujących, dzwony harmonijne giną, bo je przy równoczesnem dzwonieniu zagłusza dysharmonia pierwszych.

Natomiast gdy się spotka na wsi harmonijne dzwony, to już nie ujdzie niezwyżej uwagi, bo nawet prosty ludek — śpiewający zgodnie „Święty Boże“ bez sztuki, a przecież tak ślicznie w wiejskim kościółku, pozna się na tem, że dzwony dzwonią pięknie. Atoli rzadki to wypadek strojne dzwony na wsi. Raz tylko słyszałem na Rusi harmonijne, choć bardzo malutkie dzwoneczki w wiejskiej cerkiewce. I w tej materii zagadnąłem przed 15 laty ś. p. Ks. Juliana Leszczyńskiego — proboszcza w Wielowśi — położonej po prawym brzegu Wisły naprzeciw Sandomierza. A był to człowiek głębokiej nauki, wielki znawca i estetyk, mąż pod każdym względem niezwykłej miary. Przed jego rozległą wiedzą nic się nie ukryło, co tylko mogło mieć wyższą wartość, czy to z architektury którą znał na wylot, czy z malarstwa, czy jakikolwiek przedmiot sztuki kościelnej lub świeckiej. Wyliczał on poszczególnie każdy najdrobniejszy obrazek w tym lub owym kościele się znajdujący; wiedział o każdej rzeczy i pamiątce starożytnej, znał każdy tryptyk, każdą rzeźbę lepszą, — w ogóle wszystko, co tylko miało estetyczną wartość. Wtedy to pierwszy raz dowiedziałem się od niego, że w *Ostrowie*, wiosce położonej w trójkącie między Łańcutem,

Przeworskiem i Kańczugą, znajdują się w kościele parafialnym dwa prześliczne dzwony — w sympatyczną kwintę harmonizujące. On będąc komendarzem w najbliższej parafii Gać, wybiegał często na pagórek słuchać ich pięknej harmonii. Nie znając wtedy tej miejscowości — zapomniałem całkiem o tem, co nieboszczyk z takim zajęciem, jako miłośnik wszystkiego, co piękne, opowiadał. Aż przed 9-ciu laty przybywszy do tego samego Ostrowa, aby już stale w nim zamieszkać jako proboszcz, usłyszałem niespodzianie pierwszy raz te dzwony. Zapałem oddech w piersi, by nie nie stracić z tej prawdziwie zachwycającej harmonii, która mnie rozrzewniła. Wtedy dopiero przypomniałem sobie, że o tych dzwonach mówił mi przed laty ks. Leszczyński i teraz go dopiero jaśniej zrozumiałem. Jest się nad czem rzeczywiście unosić. W zamkniętej małej pagórkami od północy i południa dolinie, w okolicy żyznej i pięknej — ciągnie się wstęgą od zachodu ku wschodowi nie wielka wioska Ostrów. Malownicze położenie podnosi jeszcze kępka starych brzośćw i lip, zdaje się rówieśniczek, małego, drewnianego kościółka parafialnego, którego smukła wieżyczka ledwie swym szczytem wychyla się ponad rozłożyste konary swych sędziwych towarzyszek — upadających już częściowo z wiekowego znużenia. Na tej to wieżyczce zawieszzone te piękne dzwony, grające od dwóch wieków dźwiękiem piersi swoich. Czy to przypadkowa harmonia, czy może z planem od początku obmyślana, tego nie wiem; dość, że słuchając jej przez lat 9 — nigdy od niej ucha oderwać nie mogę. Ludek okoliczny wie także o piękności tych dzwonów i chlubi się ich dźwięcznym głosem. Obok ślicznego obrazu św. Sebastjana, flamandzkiego pędzla, jedyny to skarb wielkiej wartości w tutejszym kościółku — te dzwony.

Większy dzwon o średnicy 72 cmtr., wysokości 57 cmtr. obwodzie dolnym 2·25 metr. pochodzi z połowy XVII. wieku. Szkoda, że niewiadomo kto i gdzie go ulął. Na górnej obręczy czytamy tylko te słowa: *Salvum fac populum tuum Domine, et benedic haereditati Tuae. Anno 1645*. Dzwoni w tonie *C* w oktawie wyższej. Ma dwa przygłosy: wielką tercję *e* i kwintę *g*, oprócz ślicznego poddźwięku w głębszej oktawie: *C*. Sam jeden jużby zachwycał, bo ma stosunkowo wielką wagę około 340 kilogr. (przeszło 4½ cetnara) i wysoki profil. Ornamentyki niema zresztą

żadnej. Ton ma doniosły, miękki i pełny; nie dzwoni, ale formalnie gra.

Drugi dzwonek w tonie *g* w tej samej oktawie, z jednym przygłosem malej tercyci *b* i oddźwiękiem w oktawie. Średnica wynosi 45 cmtr., wysokość 32 cmtr. Ma tylko na górnym pierścieniu dość niezgrabnie odlany napis: *Te Dominum, et Te Deum laudamus*. I nie więcej, ani roku ulania, ani żadnej ornamentyki. Zdaje się jednak być równocześnie ulany z większym dzwonem; wskazuje to takie samo prawidło, że aby dostać ton głębszy, ludwisarz nie narabiał długością średnicy, ale doskonałym materiałem i wagą kruszcza, przez co uzyskał pełny i okrągły ton.

Do tych dwóch dzwonów dostarczyła teraz fabryka Piotra Hilzera trzeci, bardzo piękny w tonie *E*, aby skompletować akord *C-dur*. Odlew śliczny, dźwięk doniosły i pełny, ornamentyka stylowo piękna. Średnica wynosi 62 cmtr., waga 130 kilogram. Montowany żelazem, a małe dziecko może nim dzwonić równo i lekko. Nowy ten dzwon dostaje imię Jana Nep. z wizerunkiem tego świętego. Napis na górnej obręczy: *In honorem Sⁱ Joannis Nepomuceni*, zaś w cyrku u wylotu na zewnętrznej stronie: *Semper vox mea sonora — Sigillum Agni honora — unum ac Trinum adora*. Naprzeciw wizerunku św. Jana na zewnętrznej ścianie dzwonu: *Comparavit Joannes Balwierzak, Parochus Ostroviensis. Fudit in tonum Mi. Petrus Hilzer, c. r. fusor campanarum Neostadiae A. D. MDCCCLXXXVII*. Nowy dzwon podniósł wartość dawnych dwóch, bo jest taka sama kombinacya tonów, jak w Krośnie, tylko o całą oktawę wyższych.

Ale pomiędzy dzwonami, których tony badałem, poznałem parę pojedynczych, bardzo ładnych dzwonów, które chociaż się nie zgadzają harmonijnie ze swymi towarzyszami, przecież same w sobie na wzmiankę tu zasługują. Pierwszeństwo między temi należy się słusznie dzwonowi w farnym kościele w *Przeworsku*. Jest to może najpiękniej i bogato ornamentowany dzwon ze wszystkich w Galicyi. Cały korpus tego okazałego dzwonu zajmują oprócz prześlicznych napisów, gładko odlane wizerunki Chrystusa, Matki Boskiej i innych Świętych, jako też tarcze herbowe książąt Lubomirskich, którzy prawdopodobnie byli jego pierwszymi fundatorami.

Na górnej, ślicznie ozdobionej obręczy dzwonu odlany jest

dużemi łacińskimi literami taki napis: *Buccina divinae laudis sum, terror averni et tempestates pello potente sono, compatiens gemitu defunctis oro quietem empiream, penetrat vox mea clara polum*. Dolna obręcz zawiera krótką historię dzwonu pierwotnego, poświęconego przez Biskupa Przemyskiego, Adama Nałęcz Nowodworskiego, który jednak w sto lat się rozbił i dopiero po 55 latach nakładem prepozyta Przeworskiego: Sylwestra Jandreckiego, Dra teologii ze zgromadzenia kanoników Grobu Bożego, został na nowo w r. 1777 przelany. Dosłowny napis brzmi: *Campana haec cura AR Mathiae Sliwiński — a Rmo Nowodworski, Episcopo Premisliensi 1628, consecrata post impensa AR Francisci Chodowicz 1721. Ultimo post fractionem sumptu proprio Silvestri Jandrecki S. T. D. praeposito Przeworscensi 1777. opera Joannis et Ignatii Lecherer, fratrum germanorum ADTOM (ad Tuam omnipotens?) gloriam conflata*. Z tego napisu znowu widzimy, że ten piękny dzwon ulali niemcy Jan i Ignacy Lechererowie, bardzo biegli w sztuce ludwiskarskiej, jak świadczy sam okaz.

Na około ścian są jeszcze takie napisy: *Insigne Ordinis S. Sepulchri*. Na około herbowej tarczy XX. Lubomirskich początkowe litery Ant. et Soph. L. L. SR. JP. PL. Wizerunek Matki Boskiej Niepok. z napisem u dołu: *Patrona Ordinis custodum Sepulchri Christi*. Przy wizerunku św. Floryana jest napis *Defensor a fulmine* a obok sfinx lwa skrzydlatego bardzo pięknie odlany. Pod ukrzyżowanym Chrystusem jest napis: *Et verbum Caro factum est, et habitavit in nobis*.

Dzwon zawieszony na osobnej dla niego zmurowanej wieży, której wart rzeczywiście. Wysokość jego wynosi 1·7 metra, średnica 1·45 metra, dolny obwód 4·60 metra, waga około 30 centnarów. Dzwoni się w niego bardzo ciężko, bo według starego systemu ma bardzo grube czopy, w dębowych panewkach osadzone i stosunkowo za lekką drewnianą głowę. W skutek tego uderzenia serca są nierówne i w jedną stronę silniejsze, przez co ton traci na okrągłości i raz jest silniejszy, drugi raz słabszy. Gdyby dzwon zmontowano kutem żelazem, zyskałby na tem dźwięk jego, a ton byłby równy i donioślejszy. Dzwoni w tonie *C* w średniej oktawie według kamertonu wiedeńskiego. W czasie dzwonienia słychać jeden przygłos — wielką tercję *E*, który tak silnie występuje, że za pier-

wszem uderzeniem serca pierwszej wpada w ucho, niż właściwy ton *C*. Oddaje także bardzo pięknie oktawę dolną, przez co ton spotęgowany i dźwięczny. Jest to najpiękniejszy i największy dzwon w całej okolicy. Inne dzwony na drugiej wieży nie harmonizują z nim; jeden się tylko zbliża do harmonii i przez lekkie wypilowanie wewnątrz dalby się łatwo dostroić do *G*, przez co uzyskamy kwintę do głównego tonu *C*. A ponieważ jeden dzwon jest pęknięty i musi być przelany, przeto można się spodziewać, że mu ludwisarz nada odpowiedni stosunek tonu z wielkim dzwonem. Przypuszczać należy, że komitet kościelny tak ważnej sprawy lekko traktować nie zechce, ale w razie potrzeby zasięgnie zdania znawców i poleci przelanie dzwonu fachowo uzdolnionemu ludwisarzowi. Przy świeżo, a gruntownie i dobrze zrestaurowanym, bardzo pięknym organie o 22 regiestrach, w farze Przeworskiej — harmonijne dzwony byłyby nabytkiem wiekowej wartości... (Dok. nast).

Ks. Jan Balwierzak.



STOSUNEK PAŃSTWA PRUSKIEGO DO KOŚCIOŁA.

Siedem lat z górą mija, jak w kościelno-politycznych stosunkach Prus nastąpił zwrot konieczny a przewidywany: dążenie do zgody z kościołem katolickim. Atoli pomimo wszystkich układów, pomimo jak najdalszych ustępstw Stolicy św., nie zdołano dotąd rozwiązać tej kwestyi w sposób, któryby mógł jakkolwiek zadowolnić katolików państwa niemieckiego.

Wszystkie bowiem dotychczasowe próby, na które się zdobywało państwo, nie sięgają po za obręb półśrodków, prowizoryi i dyskrecjonalnej władzy. Czy więc usiłowania Ojca św. uwieńczy pomyślniejszy skutek i czy doczekamy się trwalszego pokoju — oto pytania, na które czas kiedyś przyniesie odpowiedź.

Ale żeby zrozumieć upór, z jakim się trzymają Prusy zasad prawodawstwa, nie dającego się pogodzić z istotą i organizacją Kościoła, i żeby odpowiedzieć choć w części na pytanie, czy można się spodziewać, po uciszeniu obecnego zamętu, trwalszego pokoju, trzeba sobie stawić przed oczy polityczne tradycye, jakimi się rządzą Prusy od dwóch przeszło wieków w stosunkach swoich z kościołem katolickim.

Sam rząd, broniąc kulturkampfu na podstawie historycznych dokumentów, uważa widocznie pokój z Kościołem za rzecz niemożliwą, za utopią. Tajny radca Lehmann w pięciotomowym dziele przedstawił politykę domu Hohenzollerów od r. 1640 do 1840 względem kościoła katolickiego. „Rysem jej charakterystycznym, powiada znany „Sybel, jest silna obrona supremacyi państwowej“. We wstępie zaś do swego dzieła wspomina Lehmann o czasach, w których jak on twierdzi, została zaniechaną ze szkodą dla ojczyzny przewodnia za-

sada w kościelno-politycznym życiu Niemiec — zasada o supremacyi państwa, a którą dopiero kulturkampf wskrzesił na nowo. Jakkolwiek publikacye Lehmana nie możemy uważać za wyczerpujące, są one jednak komentarzem dziwnie zgodnym z dzisiejszym kulturkampfem, a to tak dalece, że ten ostatni jedynie na podstawie owych dokumentów, w prawdziwym przedstawia się świetle.

I.

Elektorowie brandenbursey stosunkowo dość późno przystąpili do protestantyzmu. Jeszcze po sejmie augsburskim w 1530 r. pisał Klemens VII. do Joachima I. „Legat nasz poświadcza, że nie „mogłeś ani lepiej być usposobionym, ani gorliwiej się odzywać, „ani — co najważniejsza — godniej postępować“. Zato tem energiczniej wystąpił Joachim II. w zaprowadzeniu reformy, do której się przychylił w 1639 r., wbrew przysiędze złożonej umierającemu ojcu. Według Lehmana zarówno trzymanie się katolicyzmu, jak i zmiana religii były skutkiem tej samej dążności: „zmienić Brandenburgię w potężne mocarstwo!“.

Elektor saski dawny rywal Hohenzollerów dał u siebie schronienie sprawcy kościelnej politycznej rewolucyi, która wstrząsnęła całemi Niemcami. To samo już mogło być dla Brandenburgów powodem do wystąpienia przeciw reformacyi. Prócz tego sposób, w jaki ją przeprowadzono w Saksonii, Pomorzu, Meklenburgu i t. d., byłby wzmocnił szlachtę przez możność nabywania dóbr kościelnych, a wolność predykowania byłaby zawichrzyła kraj cały. „A jednak „wychodząc z tego samego punktu widzenia — mówi Lehmann, „Joachim II. przyjmując reformację, postąpił sobie konsekwentnie“. W tym samym bowiem czasie przystąpiły do protestantyzmu frankońska i pruska linia dynastyczna, a nadto Szląsk, Magdeburg, Brunszwik, Anhalt, Pomorze i część Meklenburga, przyjęły nową wiarę. Krwawe zapasy groziły Hohenzollerom, gdyby zechcieli wśród wrogiego otoczenia wytrwać przy dawnej wierze. Nawet we własnym kraju trzeba się było obawiać niesnasek i buntów. „A te same „wody polityczne, które skłoniły Brandenburgię do przyjęcia protestantyzmu, zmusiły ją do wytrwania w nim. Pierwotnie wprawdzie

„zamierzano przeprowadzić reformację, nienaruszając biskupstw, „wkrótce tego jednak zaniechano, sekularyzując biskupstwa Brandenburgskie, Hawelberskie i Lebuskie. Udało się także książętom „brandenburgskim ująć tymczasowy ster w pogranicznych a udziel- „nych księstewkach Magdeburga i Halberstadzie, przez co uczynili „pierwszy krok do wcielenia ich do Brandenburgii. A czyż byłoby „to możebnem, gdyby dynastia pozostała katolicą, albo gdyby „była wróciła na łono Kościoła? Prawda, że w Prusiech jeden „z książąt tejże samej linii dokonał sekularyzacyi i został za to „jako świętokradca wygnany z kraju i wyklęty przez Kościół, ale „kraj pomimo to pozostał przy nauce Lutra, by się utrzymać przy „swem wyznaniu, poddał się jako lenny marchijskim Hohenzollerom. „Kiedy nawet Piasty wchodzili z Joachimem II. w związki zape- „wniające mu dziedzictwo, czynili to w nadziei, że druga strona „zostanie nadal protestancką. W podobnem przekonaniu wydały „i stany Klewijskie ostatnią latorośl panującego u nich domu za „jednego z Hohenzollerów. Jednem słowem dom brandenburgski, „gdyby zechciał wyrzec się protestantyzmu, musiałby się zrzec „znaczenia swego wówczas i na przyszłość“.

Ciekawe wyznanie! Religia więc u Hohenzollerów tyle miała znaczenia, ile przyczyniała się do wzmocnienia potęgi ich domu. Podobnież i Jan Zygmunt, przechodząc w 1613 r. z wyznania luterskiego na kalwińskie, uczynił to jedynie ze względów politycznych: „Brandenburgia bądź co bądź miała się stać państwem „pierwszorzędnem, a wyznanie luterskie stałoby temu na prze- „szkodzie“.

Z tego atoli nie możemy wyrokować, że książęta i królowie z domu Hohenzollerów byli zarówno obojętni dla każdego wyznania. Nie chodzi nam tutaj bynajmniej o wykazanie ich uczuć, jakie żywili dla protestantyzmu, ale o skonstatowanie usposobienia ich dla kościoła katolickiego, które jest cechą im wspólną a charakterystyczną: nienawiść i wstręt jak największy do wszystkiego co katolickie. I tak Jan Zygmunt, składając przy przejściu swem na na kalwinizm wyznanie wiary w 1613 r., poczytuje sobie za zaszczyt, „że w ukochanym kraju ojczystym tj. w Marchii Brandenburgskiej „wyplenił do szczętu ostatki zabobonów papistycznych w kościele „i szkole“.

A w rozporządzeniu z r. 1614 nazywa Jezuitów i papistów „wspólnymi naszymi wrogami“. Fryderyk Wilhelm, wielkim elektorem zwany, odzywa się w politycznym swym testamencie z r. 1667: „Dwór brandenburski i pomorski pozbyły się już — dzięki Bogu — „sprosności papistycznych i bałwochwalstwa“. Życzenia zaś swoje tak wyraża: „Oby Najwyższy pozwolił, abyśmy w obu tych częściach kraju wytrwali aż do dnia sądnego, żeby rzymsey katolicy „nie otrzymali prawa wyznania swej wiary, i aby potomność nigdy „nie ujrzała podobnej ohydy i bezbożności“. Elektor Fryderyk III., jako król Fryderyk I. upomina swych następców: „aby wyteżali „wszystkie siły w celu utrzymania religii ewangelickiej tak w państwie rzymskiem jak i wszędzie, gdzie tylko istnieje, papieństwo „zaś by tłumili i nie dopuszczali, by doszło do dawnego znaczenia. „Jestto koniecznem nie tylko dla czci i chwały Bożej, ale i dlatego, „że potęga naszego domu wyrosła z reformacji i z sekularyzacji „księstw i krajów, gdyby więc papież znowu przyszedł do swego „znaczenia, runęłaby potęga nasza niechybnie i bezpowrotnie“. Chciał nawet ustanowić nowe prawo familijne, wskutek którego gdyby książę pruski został katolikiem, aby tem samem był wykluczonym od następstwa tronu. Dobitniej jeszcze wyraził wstręt swój do katolicyzmu król Fryderyk Wilhelm: W instrukcyi dla wychowawców następcy tronu stawia on wiarę katolicką na równi ze „szkodliwymi sektami Ateistów, Aryjanów i Socynianów i żąda, aby w syna jego wpajano jak największą odrazę do niej, aby mu przedstawiano jej bezzasadność i niedorzeczność“¹. To dążenie tak namiętne do sławy i siły, a zarazem ta wściekła nienawiść do kościoła katolickiego sprowadziła by w końcu zupełną zagładę wiary katolickiej w Prusach, gdyby nie zewnętrzne przeszkody, które w różnych czasach tamowały wrogie napady protestanckich władców. Wszyscy bez wyjątku panujący dążyli do ujarznienia Kościoła, tylko środki,

¹ Dziwna jednak, że ten sam Fryderyk Wilhelm I. miał wielkie nabożeństwo do Matki Bożej. Nieraz ofiarował świecę przed cudownym obrazem w Kewelarze, a jako swe wotum zawiesił tablicę z królewskim herbem i napisem: *Fridericus Wilhelmus rex singulari in B. V. M. affectu cereum hunc obtulit XV. Julii XVII. c. XIV. iterumque praemisso decreto regio XII. Julii XVII. c. XXVIII.* (Nettesheim Gesch. der Stadt und des Amtes Geldern str. 501).

jakich ku temu używali, były różne, stosownie do czasu, miejsca i okoliczności. Nie ma w tem słowa przesady, gdyż wśród poprzedników Fryderyka Wilhelma IV. nie było ani jednego, któryby nie pokusił się o podobne zwierzchnictwo nad kościołem katolickim, jak je miał nad protestanckim. Każdemu z nich wszystkie środki wiodące do osiągnięcia tego — nawet przemoc fizyczna zdają się godziwe i dozwolone.

„Jak nie chcę się bratać z kościołem katolickim — oświad-
 „cza Joachim II. w przepisie kościelnym z roku 1540 — tak
 „również nie chcę się łączyć i z witemberskim. Jeżeli więc chce-
 „cie postępować według mojej ordynacyi — zgoda, będę dla was
 „łaskawym panem i takim pozostanę, jeżeli zaś nie — to zasta-
 „nówcie się, co mi uczynić wypadnie. Jestem waszym ordyna-
 „ryuszem“. Władza ta zwierzchnicza u protestantów dała się bez
 trudności przeprowadzić, u katolików jednak napotkała na zacięty
 opór, tak iż elektor niewiele myśląc wydalil wszystkich, którzy
 przy dawnej wierze obstawali. Program ten, który według Lehmanna
 Wielki Elektor miał w ciągu całego życia spełniać jak najdokła-
 dniej, spisany został w jego testamencie. „Jeżeli duchowieństwo
 „rzymsko-katolickie — mówi on do następców — uzna was za
 „swoich najwyższych biskupów, nie zważając na dekrety papieża
 „i rozkazy biskupów, tylko was jedynie i wiernie słuchając, to wa-
 „szym obowiązkiem będzie mieć ich w swojej pieczy; gdyby zaś
 „chcieli inaczej postępować i kogo innego za biskupów uważać, to
 „karzcie ich najprzód grzywną, a gdyby i potem jeszcze trwali
 „w złośliwym nieposłuszeństwie, złóźcie ich z urzędu“¹. Prawną
 tego podstawą było następujące rozporządzenie rządowe z r. 1662:
 „Wiadomem jest, że podług boskich praw, do każdej władzy należy
 troska i opieka nad religią i sprawami duchownemi“, stąd też i znana
 zasada: religia panującego jest religią kraju². Podobnież i Fryde-
 ryk I. przywłaszczał sobie najwyższą władzę nad katolikami³,
 a Fryderyk Wilhelm I., wprost już nazwał się papieżem: „prote-

¹ Lehmann t. I. str. 58.

² Lehmann t. I. str. 53. Na sejmie w Spirze odrzucono tę zasadę — ale ewangelicy zaprotestowali przeciw odrzuceniu i dlatego otrzymali nazwę protestantów.

³ Lehmann t. I. str. 394.

„stanckich ksiąząt na mocy ich najwyższego prawa *circa sacra*, „należy uważać za papieży w obrębie ich własnych terytoryów“¹.

Gdy zaś osobiste sprawowanie takiego episkopatu w całej jego rozciągłości okazało się za nadto uciążliwym dla elektora, coś łatwiejszego było, jak utworzyć dla katolików zwierzchność zastępczą, na wzór protestanckich konsystorz? Pierwsza sposobność kreowania takiego wikarego nadarzyła się za Fryderyka Wilhelma w Halberstadzie, kiedy po śmierci ostatniego biskupa tamtejszego, połączono to biskupstwo z Brandenburskiem. Elektor zatwierdził kanonika Jana Fryderyka von Deutsch, dawnego wikaryusza jeneralnego *in spiritualibus* na jego urządzie, a po jego śmierci zamianował opata Placyda Meindersa z Ammensleben duchownym swoim wikaryuszem w księstwie Halberstadzkim. Akt nominacji najlepiej świadczy, jakie prawa rościł sobie elektor do katolików: „Nasze prawa „królewskie dotyczące się rzeczy duchownych przelewamy na Cię względem katolików, ale nie dopuść najmniejszego mieszania się w nie ani „biskupowi rzymskiemu, ani jakiemukolwiek innemu biskupowi lub „metropolie. Rozporządzenia biskupie dotyczące się obrządków kościoła „katolickiego masz wydawać w naszym wysokim imieniu, a o wypadkach zachodzących w sprawach małżeńskich uwiadamiać Nas lub „też urząd nasz halberstadzki. Jako nasz wikaryusz masz pierwszeństwo przed innemi osobami duchownemi“². W Cleve r. 1602 również chciał elektor osadzić wikaryusza, atoli w skutek zamieszek wojennych musiał odstąpić od tak przeciwnego układowi zamiaru. Za rządów Fryderyka I. (1688—1713) i Fryderyka Wilhelma I. (1713—1740) nawiązywano w tym celu z różnymi duchownymi układy, które jednak wszystkie speliły na niczem. Najprzód zwrócił się Fryderyk I. do Ojca Voty T. J., który na dworze polskim gorliwie starał się dlań o tytuł królewski. Jemu to ofiarował dozór nad instytucjami i klasztorami rzymsko-katolickimi w Prusach, które zostawały pod opieką państwa. Ojciec Vota oświadczył swą gotowość pod warunkiem, jeżeli Papież przyzwoli na to i jeśli wolno będzie katolikom pruskim, we wszystkim co się tyczy religii, do

¹ Lehmann t. I. str. 944.

² Lehmann t. I. str. 198.

niego się udawać. W ten sposób chciał on zająć stanowisko pośrednika między katolikami a panującym, wykluczając protestanckich radców. Król nie zgodził się na to, gdyż on sam mianował się biskupem swoich katolickich poddanych¹.

Daremna także okazała się nowa próba — z wikaryuszem apostolskim w Hannoverze, Augustem Stefani, biskupem w Spiga, który przed objęciem urzędu żądał upoważnienia Stolicy św. Myśl, jaką do tego przywiązywał rząd pruski, daje nam poznać pamiętnik tajnego radcy Plotho. „Byłoby niebezpiecznem zagranicznym „duchownym prałatom lub też Papieżowi przyznawać jurysdykcję „w rzeczach Kościoła. Najlepiej byłoby jeszcze, gdyby każdy ewangelicki władca, wybrawszy sobie jakiego prałata ze swoich poddanych, mianował go swoim wikaryuszem pod pewnemi warunkami, „a przedewszystkiem pod przysięgą wierności“. Cóż dziwnego, że później tj. 8 czerwca 1712 r. Fryderyk I. wydał do duchowieństwa katolickiego rozporządzenie, w którem mówi, że przyjmujący jakikolwiek urząd z rąk duchownego zwierzchnika, muszą się udawać po zatwierdzeniu do niego, jako do najwyższego biskupa, mającego jeśli nie wyższe, to przynajmniej równe prawa z rzymskimi biskupami.

Z większą jeszcze wytrwałością pracowali nad przeprowadzeniem tego projektu Wilhelm I. i Fryderyk II. Pierwszy sądził, że już znalazł kandydata na królewskiego wikaryusza jeneralnego dla całej monarchii w osobie Macieja Hempelmanna, Opatu zakonu Benedyktynów z Minden. Ale Hempelmann odmówił przyjęcia tej godności, skoro rozważył, że ściągnie na się ekskomunikę i degradację, przez samo zobowiązanie się, że nie będzie w niczem ulegał ani papieżowi, ani metropolicie, ani komukolwiek innemu, prócz króla. Po niejakiem czasie zamyślał król urząd ten zlecić jednemu z protestantów, ale okoliczności nie pozwoliły na to. Więcej powodzenia obiecywano sobie z układów, które nawiązano z Marciuem opatem z Neuzelle w dolnych Łużycach. Opat spodobał się naczelnikowi departamentu spraw duchownych i kanclerzowi Cocceji i zrobił na nim wrażenie, że „jako człowiek śmiały i nie wiele na

¹ Tamże t. I. str. 394.

papieża zważający“ byłby najodpowiedniejszym kandydatem na królewskiego wikaryusza jeneralnego. Klemens VII., chcąc o ile możliwości, zadowolnić życzenie króla, mianował opata wikaryuszem apostołskim. Ale nie tego chciał Fryderyk Wilhelm — i na tem musiały się rozbić układy, gdyż królowi chodziło o to głównie, aby nie uznać wpływu papieskiego w Prusach.

Jak z jednej strony Kościół silnie trwał na raz obranem stanowisku, tak z drugiej strony państwo nie gardziło żadnymi środkami, aby go ugiąć pod swoją władzę. Elektorstwo Brandenburskie składało się z trzech głównych części. Do starej macierzystej Brandenburgii przybyły Prusy, zrazu jako lenno, następnie 1657 r. jako część niezależna, do której w inny znów sposób przyłączone zostały pojedyncze okręgi. Na zachodzie zaś, po sekularyzacji niektórych biskupstw — przybyło Prusom w 1614 r. księstwo Cleve. Każdą nową zdobycz poprzedzała stale obietnica, że nie chcą w niczem krzywdzić religii katolickiej. Czy jednak te układy i przysięgi zdołały rzeczywiście położyć tamę ich polityce antykatolickiej? W samej Brandenburgii reformacya tak systematycznie została przeprowadzona, że nie zostało tu ani jednego katolika. Co więcej, elektor Fryderyk Wilhelm w 1653 r. przyrzekł stanom, że nigdy żadnemu papieżowi nie będzie dozwolonem osiedlić się w Brandenburgii. W 1685 r. znalazło się w Pomeranii zaledwie czterech katolików, pomiędzy nimi jeden oberstlieutenant, „który wysłał tę truciznę u Jezuitów, od których pobierał nauki“. Dopiero za Fryderyka II. nastąpiło w dawnych krajach jakieś złagodzenie wywołane koniecznością.

W r. 1657 książę brandenburski został „udzielnym panem Prus“ na podstawie traktatów welawsko-bydgoskich, i ziemię lembursko-bytowską otrzymał jako lenno; do tych nabytków przybyło jeszcze starostwo drahimskie jako zastaw. Niewiele już kościołów katolickich pozostawało w posiadaniu swoich prawnych właścicieli. Trzy także domy jezuickie znajdowały się w części katolickiej Prus. Na mocy powyższego traktatu zobowiązał się elektor Fryderyk Wilhelm pozostawić katolicyzm w całości *in statu quo* tj. nie budować żadnych kościołów protestanckich. Protestantom chcącym przejść na łono kościoła katolickiego nie miano stawiać żadnych przeszkód. Katolicy mieli być równouprawnieni we wszystkich urzę-

dach, ich kościoły, cmentarze i mienie kościelne otrzymały zabezpieczenie, sami zaś mieli zostawać pod zarządem swoich biskupów. Sprawy małżeńskie miało rozstrzygać forum biskupie. Prawo patronatu zawarowano dla elektora o tyle, że biskup miał księży przedstawiać, a kurfist nadawał im prezentę na beneficjum, na którym ich władza kościelna miała osadzać¹. Już w r. 1659 protestanci z czterech miejscowości prosili elektora o przesłanie im pastora a zwłaszcza o nadanie ich kandydatowi plebanii katolickiej w Tuchowicach w tej chwili nieobsadzonej. Na ten krok nie odważył się wprawdzie Fryderyk Wilhelm, ale przecież wybudował kościół i założył zbór; wkrótce i w innych też miejscowościach pozakładał zbory². Na mocy traktatu welawskiego „otrzymał Fryderyk Wilhelm najwyższą władzę i prawa monarsze w Prusach, tak w zakresie spraw politycznych jako i kościelnych, w ten sposób stał się w kraju swoim *summus episcopus*“. W kilka lat później, próbowano zastosować to praktycznie przy nadarzonej prezencie. Biskup Stanisław Dąbski przedstawił kandydata na opróżnione probostwo, elektor tymczasem nadał je innemu, którego biskup, niczego się nie domyślając, zainstytuował. Do r. 1703 aż trzy takie wypadki powtórzyły się, a w r. 1704 odważono się nawet sfalszować datę, aby się wydawało, że elektor jeszcze przed przedstawieniem biskupiem nadał probostwo lemborskie kanonikowi Korsakowi. W r. 1716 otrzymał nadworny i legacyjny radca Thulemeier polecenie, aby wypracował memoriał, wykazujący, że elektor „na mocy bydgoskiego traktatu wcale nie jest obowiązany nadawać probostw księżom przez biskupa wskazanym“. Za dowód w tym memoryale posłużyły właśnie zaszłe poprzednio wypadki. Ale najciekawszem jest postępowanie Fryderyka Wilhelma I. Gdy w r. 1729 opróżniło się jedno z probostw, zapytał się minister Knyphausen króla, czy ma postępować podług nowszych przykładów, które przytoczył, a to w celu, aby wspomniane wyżej pakta podkopać. „Byłoby może tym razem lepiej być ostrożnym i t. d.“ Jakże postąpił sobie król wobec tego podszeptu ministra? „Dobrze F. W.“ Było całą jego odpowiedzią³.

¹ Lehmann t. I. str. 106.

² Tamże t. II. str. 266.

³ Tamże t. I. str. 884.

Brandeburscy książęta, uważając się za najwyższą zwierzchność kościelną w kraju, przywłaszczali sobie także prawo udzielania dyspens małżeńskich katolikom, jak to czynili względem protestantów. Pierwszy przypadek zatargu zdarzył się w roku 1689, z dziekanem kapituły warmińskiej, który jako administrator dyecezyi stanął w obronie tego prawa. „Jedynie konsystorz protestancki w Królewcu jest w tej mierze kompetentnym“ oświadczył Fryderyk III., tymczasem jednak zezwala *per modum conniventiae* tj. z obawy przed Polakami, katolikom chcącym zaspokoić swe sumienie starać się o dyspensę także i u władz duchownych¹. Nie tak łatwo jak w Warmii poszło to w bytomskiej ziemi w Lemborgu. We wszystkich ziemiach brandenburskich odpadłych od kościoła katolickiego pozostał wprawdzie obowiązek starania się o dyspensę, której udzielały władze świeckie a opłaty odsełano do Berlina. Niejednokrotnie próbowano te pieniądze wydrzeć biskupom, a kiedy się to nie udało, pisano przynajmniej dla formy o dyspensy do Berlina, aby w ten sposób wytworzyć uprzednie fakty, na którychby się w razie potrzeby można było oprzeć. Wiele jednak lat upłynęło, zanim się sposobność ku temu nadarzyła.

Fryderyk Wilhelm I. dziwił się, że z bytowskiego Lemborka nie wpływają opłaty do Berlina i nakazał znanemu Thulemeierowi wygotować o tem memoriał. Thulemeier udowodnił najuniżeniej, że w układzie stoi najwyraźniej: *causae matrimoniales ad forum ecclesiasticum pertinebunt*. Ale nie jest tam powiedzianem, że należą do biskupa katolickiego, a więc można rozumieć pod *forum ecclesiasticum* sąd duchowny elektora. W sposób więc jak najbardziej sofistyczny wywodzi pan radca, że w układzie jeden punkt nie stoi na właściwem miejscu i przytacza dalej przykłady, jak w istocie elektorowie udzielali dyspens. Spodobało się to królowi i zlecił kanclerzowi, aby na przyszłość ściagał pieniądze z pomienionego okręgu². Ograniczano katolików w ich prawach gdzie tylko można było. W Tylży runęła kaplica katolicka. W 1690 roku pozwolił elektor ją odbudować, spodziewając się wtenczas szczególniejszych jakichś korzyści od Polaków. Ale inaczej rzecz się miała z pozwo-

¹ Lehmann t. I. str. 526, 527.

² Tamże t. I. str. 878—882.

leniem na obsadzenie probostwa. W sekretnym liście nakazuje rządowi, aby nie pozwolił nawet na wybudowanie plebanii¹. Gdy mimo to dosyć długo utrzymywał się tam kapłan, wypędzono go w końcu na denuncyację protestantów przed elektorem, „który takich nadużyć nie mógł cierpieć”². Wobec braku kapłana, przybywali tu czasami Franciszkanie z Litwy, udzielając przynajmniej umierającym ostatnich pociech religijnych. W oczach Fryderyka III. było to tak wielkim występkiem, że każdy duchowny, który się tego dopuścił, musiał w więzieniu pokutować za tę miłość bliźniego. I Fryderyk Wilhelm I. ostro występował przeciw misjonarzom, ile razy dali się pochwycić w swoich apostołskich wycieczkach na pograniczu Litwy. Oddawna odbywały się procesye do Św. Lipki. Po kilku obostrzeniach zakazał ich nakoniec Fryderyk Wilhelm w 1724 r., ponieważ „tak miały być gorszące, że nawet protestanci zaczęli brać w nich udział”.

Prawdziwą solą w oku byli dla Prus Jezuici. Otóż w r. 1655 polecił Fryderyk Wilhelm rządowi w Królewcu obmyśleć, w jakiby ich sposób można było wydalić ztamtąd bez wielkiego hałasu³. Mijały lata, a rząd nie mógł znaleźć najmniejszego do tego pozoru tak, że w końcu sam elektor musiał wystąpić w tej sprawie. Pragnął on zwłaszcza zamknąć gimnazjum Jezuitów w Królewcu, ale nie pozwalały na to okoliczności⁴; na razie więc kazał przynajmniej „przypomnieć” sobie nazwiska tych, którzy posyłali swoje dzieci⁵ do owego gimnazjum. Ale na nie się nie zdało. Wyszedł więc w r. 1684 rozkaz ze stolicy zamknięcia szkół jezuickich. Daremnie starał się rząd przekonać elektora o nieroztropności tego kroku, przedstawiając mu, jak wielkie usługi oddawali Jezuici, i że w obecnej chwili nie ma kim innym zastąpić ich w gimnazyach — „lepiej niech nie będzie żadnych, niż duchowne”, brzmiała odpowiedź⁶. Tak więc młodzież katolicka zmuszoną została uczęszczać do szkół protestanckich. Zamożniejsi rodzice, nie

¹ Lehmann t. I. str. 527—529.

² Tamże t. I. str. 533.

³ Tamże t. I. str. 234 et sqq.

⁴ Tamże t. I. str. 239.

⁵ Tamże t. I. str. 241.

⁶ Tamże t. I. str. 248.

wyłączając nawet protestantów, chcąc swoim synom dać lepsze wychowanie, posyłali swe dzieci do szkół jezuickich do Torunia lub Wilna. Wkrótce dowiedziano się o tem w Berlinie i Fryderyk III. zarządził ściśle poszukiwania, czy zpośród dzieci jego urzędników nie ma takich, któreby „Baalowi składały ofiary“¹.

Skoło Jezuici pozbawieni zostali szkół, tem gorliwiej zaczęli pracować około zbawienia dusz. Naturalnie wywołało to nowe niezadowolenie elektora. Już w r. 1675 rozkazał aby dla proboszcza w Królewcu ustanowiono pensją z kasy państwowej na jednego wikarego, byle tylko nie dopuszczał Jezuitów. Ale i to nie nie pomogło. Po jakimś więc czasie wyszedł powtórny rozkaz, aby wynaleść pozór do wypędzenia ich. A kiedy o ten trudno było, oświadczył 1685 r. rozgniewany elektor, że choć powodów niema, on ma jednak ważne przyczyny, dla których niemoże już dłużej zezwolić na pobyt jezuitów w Królewcu i dla tego zostawia do woli proboszcza, aby zamiast nich przywołał sobie do pomocy kilku kapucynów lub innych mnichów żebrzących². Tymczasem parę dni potem dowiedziano się w Berlinie, że się zbiera sejm polski — postanowiono więc w celu „uniknięcia przykrych zajęć z Polakami“, nie przyspieszać sprawy jezuickiej. Polecono więc tylko jezuitom, żeby nie kusili się o nic, coby mogło być przykrem dla elektora. Pod Fryderykiem III., któremu jezuita pomogli do osiągnięcia tytułu królewskiego, sądzili oni, że będą mogli powiększyć nieco dom swój w św. Lipce. Tymczasem król kazał ich uwiadomić, że w razie gdyby to uczynili, każe dom zburzyć, na razie zaś nałożył na nich ogromną karę pieniężną. Fryderyk Wilhelm I. dowiedziawszy się o bytności jezuitów w państwie, kazał wydać broszurę przeciw „tym ptaszkom, które dają pole szatanowi, chcąc rozszerzyć jego królestwo, przeciw djabłom gotowym do wszelkiego złego“³ w celu pozbycia się Jezuitów z św. Lipki. Rozpoczęła się więc walka na pióra między jezuitami a rządem. Nakoniec 1738 r. postanowiono: „Mogą zostać, ale trzeba ich niepokoić i trapić“. (Sie können blei-

¹ Lehmann t. I. str. 529.

² Tamże t. I. str. 249.

³ Förster. Friedrich Wilhelm I. *Lehmann* t. I. str. 408.

ben, sollen aber immer inquietirt und vexirt werden)¹. Czyż więc to znaczyło: zostawić katolicyzm *in statu quo*?

Najnowsze przez rząd pruski przedsięwzięte środki w polskich krajach zakupywania dóbr polskich, nie są bynajmniej nowym środkiem kulturkampfu. Gdy w r. 1691 wystawiono na licytację dobra Nowowiejskie, a katolik najwyższą składał ofertę, rząd królewiecki zapytał Fryderyka III. jak ma sobie postąpić? elektor odpowiedział, że największem życzeniem jego jest, aby się nie powiększała liczba katolików i dlatego też tak trzeba zarządzić, aby wszystkie dobra dostawały się w ręce protestantów. Jeżeli jednak już w żaden sposób nie można przeszkodzić zakupnu dóbr przez katolika, to przynajmniej w akcie kupna i sprzedaży trzeba umieścić warunek, żeby kupujący nie stawiał żadnych przeszkód protestantyzmowi, a katolicyzmowi nie rozszerzał². W Królewcu absolutnie zakazano katolikom kupować domy³. Fryderyk Wilhelm I. odnowił 1725 r. zakaz, na mocy którego katolik w swoich nawet dobrach nie mógł nie świadczyć dla kościoła katolickiego.

W latach 1617, 1619, 1641, 1656 i 1662 złupiono i zburzono kościoły katolickie w Królewcu, a rząd nie miał na to ani jednego słowa nagany. Co więcej, mieszkający tu katolicy musieli kaznodziejom protestanckim płacić daninę roczną, rzemieślnicy musieli zbierać w kościołach protestanckich kwesę, a wyrobników zmuszono do słuchania obcych im kazań. Prózne były protesty biskupa warmijskiego, któremu zostawiono jedynie prawo nadzoru nad proboszczami. Mimo tego wszystkiego zdawało się jeszcze Fryderykowi III., że katolicy zbyt się krzewią. I dlatego kazał jasno i wyraźnie zaznaczyć różnicę zachodzącą między religią „papieską” i ewangelicko-luterską i na tę różnicę poprzysiądz wszystkim pastorom, profesorom i nauczycielom, a to w celu, żeby albo przeszli na protestantyzm, lub też zrezygnowali ze swych posad⁴. Następca jego Fryderyk Wilhelm I. zdumiewał się, że ojcu jego nie udało się całkowicie wykorzenić katolicyzmu w Prusach. To też skoro po

¹ Lehmann t. I. str. 873.

² Tamże t. I. str. 529.

³ Tamże t. I. str. 246.

⁴ Tamże t. I. str. 529.

objęciu rządów dowiedział się, że jest jeszcze w Łisnowie kościół katolicki, rozkazał zamienić go na wspólny z protestantami, a w kilka miesięcy potem odebrał go katolikom i osadził w nim kaznodzieję kalwińskiego.

Lecz jakie było jego zdziwienie na wiadomość, że istnieją kościoły katolickie w Turowie, Lipce, Tyłży, Białatach i Wielkiem Lencku. „Nie pojmuję, mówi on, coby powiedzieli dawniejsi radcy, i jakby się wytłumaczyli przed nami i przed Panem Bogiem, „gdyby jeszcze żyli“¹. „W żaden sposób nie można pozwolić na rozszerzanie się bałwochwalstwa, ponieważ obraża to sumienie i szkodzi naszym interesom“². Aby położyć tamę nawracaniom, król postanowił, że wszyscy niepełnoletni mają podlegać egzaminowi ze strony rządu, czy nie mają czasem innego jakiego zamiaru, a kapłani, którzyby przyjmowali takich do kościoła bez zezwolenia rządu, mają ulegać surowej karze.

„Najprzezorniejszym, powiada Lehmann, okazał się elektor wobec hierarchii katolickiej w starostwie Drahimie — a to z powodów istotnie politycznych: gdyby bowiem dał Polakom powód do uskarżania się, mogłoby być przyjsć do wykupna zastawu“³. Przeworność była tu w istocie konieczną ze względu na szczególne prawa starostwa drahimskiego. Jeżeli jednak nawet wobec takiego strzępka kraju zachowano „przeworność“, łatwo zrozumieć, ile zdołano gdzieindziej jej okazać. Układ z r. 1657 brzmiał: „Jeżeli starostwo nie „zostanie wykupione i elektor weźmie je w posiadanie, będzie musiał „zachować religię katolicką *in statu quo*, nadto prawo patronatu „zastrzega się dla króla“⁴. Wnet po objęciu w posiadanie starostwa osadzono ministra kalwińskiego, niejakiego Hartmanna w Czaplince, który dłuższy czas był tu czynnym w charakterze kaznodziei zamkowego. Teraz pomyślał starosta i o luterskim kaznodziei. Najprzód więc zakazał publikowania traktatu, „gdyż głupcy mogliby sądzić, że elektor nie pozwala głosić ewangelii w starostwie“⁵.

¹ Lehmann t. I. str. 817.

² Tamże t. I. str. 818.

³ Tamże t. I. str. 110.

⁴ Tamże t. I. str. 107.

⁵ Tamże t. I. str. 273.

Za jego inicjatywą podano prośbę z podpisem „wszyscy obywatele wyznania ewangelickiego“ bez nazwisk. Przeciw temu wystąpił energicznie arcybiskup poznański w 1674 r. i zamysł się nie udał. W r. 1692 burmistrz i radca prosili Fryderyka III., aby im dozwolił obsadzić miejsce po zmarłym kantorze i preceptorze, a także aby pastor odwiedzał chorych. Elektor wydał natychmiast rozporządzenie i wzbronił proboszczowi katolickiemu nawiedzania chorych. Proboszcz jednak nie zważał na rozporządzenie, wskutek czego zawieszono mu pensję i ponownie wzbroniono mu jak najsurowiej odwiedzać chorych. Dopiero wtedy zakaz zniesiono, kiedy proboszcz zgodził się na to, aby pastor w Czaplinie udzielał komunii 4 razy co roku. W r. 1700 przyszła nowa prośba do elektora od wszystkich drahimskich „wójtów, wolnych i poddanych“ również jak dawniejsza bez podpisu i daty¹. Osnową jej było: „ponieważ obecnie wakuje parafia katolicka w Czaplinie, proszą, by korzystając ze sposobności, przysłano im pastora lutereckiego“. Elektor oczekujący tylko takiej sposobności, zgodził się na to i na miejsce kantora ustanowionego wbrew woli umarłego proboszcza zainstalował cichaczem pastora, — w nadziei, że raz się tam rozsiadłszy, da sobie już na przyszłość radę². Tymczasem starosta nie mógł odprawić preceptora, najprzód dlatego, że ten był organistą przy kościele katolickim, powtóre, że trudnoby było namówić zainstalowanego pastora do zastąpienia go w tej czynności³. Nie zostawało więc nic innego jak wejść w układy z nowym proboszczem. Powiększono mu w 1762 r. pensję o 100 talarów, byle cicho siedział przy przybyciu nowego pastora. Proboszcz jednak nie zgodził się na to, zezwolił tylko na obsadzenie dwóch posad nauczycielskich, którzyby obok tego i komunii udzielali. Kiedy w r. 1705 arcybiskupa gnieźnieńskiego osadzono w więzieniu, skorzystano z tej sposobności i wprowadzono pastora, który wkrótce zaczął odgrywać rolę proboszcza. Aż do r. 1726 istniała wprawdzie obok tego i parafia katolicka, lecz gdy w tym roku kościół i parafia zgorzały, zawyrokował minister Ilgen, że nadszedł już czas pozbycia się popów papistycznych. Kiedy

¹ Lehmann t. I. str. 546, 547.

² Tamże t. I. str. 551.

³ Tamże t. I. str. 921, 925.

więc katolicy rozpoczęli restaurację budynków, zjawilo się sześćdziesięciu żołnierzy, którzy wszystko z ziemią zrównali. Zarząd w Szczecinie przedłożył królowi projekt zaprowadzenia protestantyzmu w starostwie. W Czaplinie miano wybudować zbór protestancki, a że nie wystarczało dwóch pastorów na kazania i katechizacye w jedenastu dotychczas katolickich filialnych kościołach, miano dodać jeszcze kilku nauczycieli, którzy jednak musieli być ukończonymi teologami. Protestantom zakazano czytania ksiązek katolickich i uczęszczania na nabożeństwa i procesye katolickie pod karą 20 talarów i t. d. Już w następnym 1727 r. wystawiono zbór protestancki, na który i katolicy musieli się składać pod grozą egzekucyi! „Nigdzie nie postępowały Prusy tak oględnie z duchowieństwem katolickiem jak w Drahimie!“ (C. d. n.)

Ks. Augustyn Arndt.



PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Dzieje literatury powszechnej z ilustracyami. Tom II. Dzieje literatury średniowiecznej, opracowane przez *J. Radlińskiego, E. Grabowskiego, J. A. Święckiego i B. Grabowskiego*. Warszawa. Nakład i druk S. Lewentala 1887.

Oryginalnie opracowanej literatury powszechnej nie mieliśmy dotąd, więc nie dziw, że uwaga czytających zwraca się ku książce przez spółkę pisarzy warszawskich ułożoną, a zwraca ciekawie, może nawet niecierpliwie. Na wstępie t. II., w którym zaczyna się literatura średniowieczna, umieścił p. Ignacy Radliński: *Początki nowej ery*. Mówi tu autor o Grekach i Żydach w stosunku do Rzymian, o piśmiennictwie żydowskim przed i po utracie języka hebrajskiego. Wykazuje, jak piśmiennictwa i w ogóle cywilizacya żydowska rosły, zabarwiały się, przekształcały wśród politycznych z Rzymem, a cywilizacyjnych z Grecyą stosunków. Po literaturze Żydów palestyńskich i aleksandryjskich, przechodzi autor do pro-roctw, do oczekiwania Mesjasza, pojmowanego przez ogół żydowski politycznie, jako zbawcę, mściciela, wodza, odnowiciela państwa hebrajskiego.

Nie podobna iść dalej za autorem spokojnie, bo stanęliśmy na progu kościoła, do którego autor wchodzi z nakrytą głową, a z pychą mędrca ulepionego na wzór Renana, my zaś możemy tam wejść jeno z kornem czołem i wiarą. Autor dotyka się Chrystusa Pana jak Renan *e tutti quanti* racjonalisci, a ewangelje anatomizuje, jak zwykły produkt literacki. Czyni to oczywiście w imieniu bezwzględnej krytyki naukowej.

Biedna ta naukowa krytyka! Czegóż to w jej imieniu nie powiedziano? Do jakichże śmiesznych rezultatów i jak nienaukową drogą doprowadziła ona wrzekomych swych zwolenników, którzy głośno wołając, że pierwsi odkryli prawdę, podają nam zbiór z własnej głowy wysnutych, na niczem nie opartych bajeczek. Nie darmo p. Radliński zapoznawał kiedyś w *Ateneum* polskich czytelników z romansami Renana; uczeń przejął się metodą mistrza, zapożyczoną zresztą jeszcze od Woltera: Kłam śmiało, zawsze coś z kłamstwa zostanie. Dobrze przynajmniej, że p. Radliński nie posiada ani dowcipu Woltera, ani wytwornego stylu Renana; dowcip ten i styl mógłby może uwieść niejednego, który dziś bez trudności dostrzeże żadną zasłoną nieokryte, niczem nie okraszone bałamuctwa warszawskiego pozytywisty. Bałamuctwa te rażą tem więcej, że po wielkiej części mają z historią literatury bardzo tylko daleki stosunek; czytelnikowi wydaje się, jakby p. Radliński chciał nieraz bądź co bądź spożytkować dawne notatki i zapiski w innych zupełnie celach uczynione. Część materiału, któraby do historii literatury nadawać się mogła, jak apologietyka, ojcowie kościoła i t. p. opracowana sucho, jałowo, a pobieżnie.

W księdze drugiej mamy „Literaturę kościelno-chrześcijańską i germańsko-pogańską, do wojen krzyżowych“, opracowaną przez p. Edwarda Grabowskiego. Bałamuci autor, gdy bez elementarnej logiki rozprawia o sile moralnej chrześcijaństwa, ale przyznać trzeba, że w ogóle rozwinął wiele pracy i organizacyjnego talentu. Charakterystyka Bizantyńców trafna, chociaż może cokolwiek nie śmiała; autor albo mógł, a nie chciał, albo chciał, a nie mógł wypowiedzieć wszystkiego, stąd też geneza bizantynizmu nie zupełnie wyjaśniona. Szczegóły historyczno-literackie, jak rzecz o ceutonach, o epice, o dramacie, a szczególnie o liryce, zebrane dość obficie, a starannie. Ascetyzm, który się w literaturze dość szeroko rozlewał, ścieśniony w pracy p. Grabowskiego tak, że nie wieleby o nim z tej książki nabyć można wyobrażenia. Natomiast z prawdziwą przyjemnością czyta się ustęp o poezji germańsko-pogańskiej.

O literaturze germańsko-pogańskiej we właściwem słowa znaczeniu nie może być mowy, ale jak każdy naród tak i germanowie mieli pieśni, legendy, baśnie, a w nich zamykały się powstania etycznego i estetycznego rozwoju, zarodki indywidyalizmu politycz-

nego, etnicznego i cywilizacyjnego. Pozbierał je w znacznej części autor, powiązał, cokolwiek skomentował, o tło historyczne oparł. Przydałoby się coś więcej z mitologii, boć ona przecież głównem zawsze zlewiskiem i fantazyi i etyki, i właściwości fizyologicznych. Jeżeli już historycy dzisiejsi lekce ją sobie ważą, dla literatury obojętną nigdy być nie może. W sposób zajmujący a ścisły, rozbiera autor pieśni o Beowulfie, Hildebrandzie, Walterze z Akwitanii, poczem przechodzi do Skandynawów, charakteryzuje ich właściwości etniczne, skaldami zajmuje się wcale dokładnie, z Eddami zaznajamia szczegółowo, poczem z podania skandynawskiego o Sygordzie, wraca do Niemców, a to do pieśni o Nibelungach, posługując się tłumaczeniem Dr. Germana, podaje z Nibelungów wyjątki, zręcznie ku uzupełnieniu treści i zillustrowaniu dzieła dobrane. Tożsamo powiedzieć trzeba o *Gudrunie*.

Bardzo skrętnie korzysta autor z *Heinla, Ueber den Stil der altgermanischen Poesie*, by skreślić charakterystykę poezyi staro-niemieckiej.

Krzewienie się chrześcijaństwa na zachodzie i w środku Europy, wieki barbarzyństwa od VI. do połowy VIII. wieku, czasy Grzegorza W., wpływ cywilizacyjny Benedyktynów, traktowane jak chronologia, a z pośpiechem, to też nie tworzą całkowitego, pełnego obrazu, ani w rysunku, ani kolorycie. Sucha to lepianka szczegółów, dat, faktów, wyrwanych z historyi, bez umiejętnego wyboru. Potem epizodycznie mówi autor o IX. i X. w. czem czytelnik się bałamuci, bo wnet cofać się musi wstecz do Anglosasów a stąd znowu wracać do poezyi religijnej Niemców.

Brak systematyczności, pewna chaotyczność w układzie materiału, drażnią czytelnika, a utrudniają zrozumienie treści, zwłaszcza że autor na końcu tej książki zaczyna mówić o ludach romańskich i rzecz przerywa, by ustąpić miejsca literaturze arabskiej, skreślonej przez p. Juliana *Adolfa Świącickiego*.

Bez obrazy współników p. Świącickiego, ukłonimy się jego pracy uniżeniej z większem uszanowaniem, bo rzecz napisana (jak na podręcznik) gruntownie, a po literacku, czego dotąd w tej książce nie było. Jest szczegółów obfitość, a przytem metodyczny układ, literacka swoboda i gładkość. To też czytelnik wybaczył autorowi nie jaką pobieżność w motywowaniu rozrostu Mahometanizmu, a ucie-

szyl się, że znowu z panem Świąteczkim się zejdzie, bo oto księga czwarta, a w niej literatura perska p. Świąteczkiego.

Jak w księdze poprzedniej, tak i tutaj, rozkłada autor podścielisko z etnografii, etnologii, z historyi, a na niem wyraziście grupują się zjawiska duchowego życia, właściwości cywilizacyjne i wypływająca z nich literatura. Ale i tutaj może za mało uwzględniony pierwiastek religijny, a przecież w nim znalazłoby się materiału więcej, do ściślejszego scharakteryzowania nie tylko estetycznej, ale i etycznej wartości literatury perskiej. Sądzimy, że szukanie stron estetycznych, a usuwanie się od zajrzenia w oczy etyce, jest jednostronnością, jest chromaniem krytyka na jedną nogę. Ani „Szach-Nameh“, bardzo starannie opracowany, ani sympatyczny obraz Firdusiego i Hafisa, nie otworzą nam wrót do głębi ducha perskiego, jeżeli pierwiastku religijnego za klucz nie użyjemy.

Też same zalety i usterki rozwinął p. Świąteczki w dalszej swej pracy o literaturze japońskiej. Może tu (w porównaniu z rozmiarem i celem elaboratu) za wiele lingwistyki cennej i ciekawej, ale w tem miejscu niekoniecznej; pominawszy to, rzecz przedstawia się harmonijnie, a plastycznie. Historia Japonii, fizyografia, naszkicowane starannie; literatura, sztuka, przemysł, ujęte w obrazek jasny, przejrzysty. Mimo tego widzimy tu ciało Japonii, a nie Japonię żywą; jest to niby anatomia, a nie fizyologia. Wprawdzie autor nie pominął zupełnie pierwiastku religijnego, ale tak mało się nim zajął, że zaledwie z nazwy poznajemy Szyntaizm i Budyzm. Jak się te religie przetrwały, jak odżywały duchowy organizm Japończyków, jak z nich wypłynęły fale cywilizacyi, niepodobna doczytać się w pracy p. Świąteczkiego tak, jakby się doczytać chciało, mając przed okiem zajmującą i skądinąd bardzo cenną pracę.

Z dalekiego Wschodu, wracamy do literatury świata rycerskiego, skreślonej przez p. Edwarda Grabowskiego. Studya tu pracowite, ale w kompozycyi brak wymierności, harmonii, przejrzystości. Tu, brak ładu, brak literackiego hybla, obniżają wartość studyów. Wszak to czasy tak ponętne dla historyka, ciekawe dla estetyka, materiał sam się zachwala, narzuca, a jednak czytelnik miejscami się nuży, bo go autor rzuca na wszystkie strony i zaledwie pokazał mu pieśń o Rolandzie „Chansons de Geste“ i Tru-

werów, odrywa go ku sobie, każe mu słuchać własnych refleksyj, wiedzie na północ Europy, to znowu wraca do Hiszpanii do Cyda.

Charakterystyka feudalizmu bardzo błada, bo niedostatecznie uwydatnione jego geneza, rozwój i wpływ na historję i literaturę. To też ustęp o społeczeństwie feudalno-rycerskiem, acz zaokrąglony, obfity w szczegóły, nie zadawalnia, bo nie jest dostatecznie uмотywowany. „Poezye Celtów“, „Rycerze okragłego stołu“, „Bohaterowie św. Graela“ traktowane żywo i barwiście. Ale znowu taka siekanina następuje, że trzeba sobie samemu nawiązywać i układać materyał rozsypany a przeróżne tytuły i pomnożone w nieskończoność tytułiki rozdziałów. W następnej księdze czytamy cokolwiek o stosunku mieszczaństwa do klas uprzywilejowanych, o intelektualnym wpływie Wschodu, „ustęp o literaturze bizantyńskiej“. Tego ustępu oczekiwał czytelnik na początku tomu, gdy była mowa o przetwarzaniu się hellenizmu w bizantyzm. Dalszy szereg tytułów i tytułików, zamiast przyczynić się do lepszego przeglądu rzeczy, zaciera jeno plastyczność formy a łamie jednolitość obrazu.

Satyra i dydaktyka, mianowicie: pieśni goliardów, nowelistyka, romans alegoryczno-satyryczny, tworzą obraz jaśniejszy od poprzednich, a bardziej zaokrąglony. Rzecz, jak na podręcznik, wyczerpana, podana wymiarnie i gładko.

Żałować wypada, że w tej księdze, traktującej właściwie wieki średnie, za mało uwydatniony wpływ dodatni duchowieństwa, gdy ujemne tegoż pojawy uilluminowane. O scholastycyzmie, w ogóle o filozofii scholastycznej tak mało, że czytelnik w żaden sposób nie dowie się z tej książki, czem był scholastycyzm, jak się wyłonił z Kościoła, w co obrócił, jak dźwigał ducha i kolejno spychał go z wyżyn, na które go wyniósł.

Praca Dantemu poświęcona, byłaby niezwyklej wartości, sięgająca ponad poziom robót encyklopedycznych, gdyby nam był autor podał obraz tego gieniusza w całości, a nie po kawalku. Nie smaczna to metoda, krajania ludzi w obrazach biograficzno-historycznych, jakby kto w obrazie Matejki po jednej figurze widzom okazywał. Dante pokrajany tu na 1) Żywot Dantego, 2) Dante jako liryk, 3) Dante jako myśliciel, 4) Boska Komedia. Wśród tych czterech tytułów i rozdziałów, zgubił się Dante.

Książka kończy się na literaturach słowiańskich, przez p. Bro-

niśława Graboskiego. Zarys etnograficzny w rozdziale I. za mdły i za błady. W ogóle strona etnograficzna; dalej baśnie, skazki, a pieśni, których okruciny się powtarzały z prastarych czasów; mitologia, którą przecież wykrzesać było można i z zabobonów, zwyczajów, podań i z gotowych już opracowań historycznych, u pana Bronisława Graboskiego anemiczne w wysokim stopniu, chociaż niedokrwiistości ten się w nich dopatrzy, kto je poznał bez pośrednictwa p. Bronisława Graboskiego. W tym dziele najlepiej wydawnictwo literatury czeskiej; widać też w autorze pilność wielką w zbieraniu dat do literatury ruskiej.

Oto przegląd materyału na 1177 str. zawartego. Nie podejmowałem trudu napisania dokładnej i ścisłej recenzji, bo na to należałoby sobie wyprosić kilka arkuszy druku, a dzieło spółki warszawskiej nie należy do tych pomnikowych utworów, którym się tyle miejsca poświęcać zwykło w relacjach krytycznych. Jestto książka w całości wzięwszy, nieco dyletancka jak na uczonych; wygląda raczej jak pracowity elaborat pilnych, a zdolnych studentów, którym się wybaczają częste korzystanie z autorów innych, ale wybaczyć nie można strupieszności ducha, chłodu i ospałości. Bądź co bądź, jest tu praca, są studia, jest zasługa, że powstała pierwsza oryginalna historia literatury powszechnej.

Nie rozumiemy, po co właściwie umieszczono kilka ilustracji, źle odbitych, szpecących książkę, już i tak niedbale wydaną. Tego rodzaju ilustracye nadają się do jarmarkowych lub odpustowych wydawnictw, na Kalwaryach lub w Częstochowie sprzedawanych ludowi, ale nie do książki, której powadze uwłaczają.

Czesław Pieniążek.

Tak zwana „Emancypacja“ a chrześcijańskie stanowisko niewiasty, przez ks. *Pralata A. L. T. I.* Część krytyczna, Warszawa 1887. Str. V. i 171. Cena za 2 tomy Rs. 2.

Pod sztandar obozu pozytywistów prócz rycerzów płci męskiej zaciągnęło się w Warszawie też kilkaniewiast, znanych z obrony Renana jak p. Klementyna Royer i t. d. Poczęły one po równi z męskimi towarzyszami swej broni szarpać nie tylko dogmaty naszej wiary, ale i jej etyczne zasady. Talentu, werwy, grafiki autorom tym i autorkom nie można zaprzeczyć, ale za to, na każdym kroku znać, że religia i duch chrześcijaństwa jest dla nich *terra ignota*, o historii Kościoła mówią, jak o żelaznym wilku a co do dogmatycznych i moralnych zasad, to już chyba wcale nie różnią się od swych piesków i kot-

ków. Dowodem tej ignorancyi osobny dział książek i artykułów walczących w imię idei wyzwolenia czyli emancypacyi kobiet z pod rzekomego jarzma chrześcijańskiej etyki i naszych tradycyji narodowych. Szanowny autor zestawiając zasady głównych pionierów tej idei jak p. Narczyży Żmichowskiej, Romanii Kamińskiej, Elizy Orzeszkowej, Maryi Konopnickiej, zamierzył sobie wykazać „czem jest w swoich podstawach, idealach, przyczynach i skutkach, w swoim wreszcie do naszych rodzin i niewiast bezpośrednim stosunku, ta dziś rzekoma „płci uciśnionej“, wybawicielka, emancypacya (str. 9).

Wszystkie pisma tych pań z jednej strony zarzucają Kościołowi i religii Chrystusowej uciśnienie niewiast, z drugiej zaś w mrzonkach i niedorzecznościach zagranicznych pozytywistów upatrują swoje ideały, owszem twierdzą nawet, że w czasach pogańskich stanowisko niewiast było daleko wyższe niż w kościele Chrystusowym. Tak twierdzi *Świt* w swych artykułach, tak p. R. Kamińska w „Przyczynach i skutkach kobiecej niewoli“ (Warszawa 1884), tak wreszcie p. N. Żmichowska w słowie przedwstępnem do dzieł Klementyny z Tańskich Hofmanowej — a książka p. t. *O prawach kobiety* (Warszawa 1873) dowodzi nawet, że i św. Paweł i kanony kościelne uważają kobietę za istotę niższej natury od mężczyzny, dla którego wyłącznie, nie zaś na obraz Boski ona stworzoną została.

Doprawdy, gdyby nie litość nad tym smutnym obłędem, to śmiać by się potrzeba z takiej znajomości Pisma św., historyi kościoła a nawet i dziejów powszechnych. Boć nawet najzaciętsi wrogowie Kościoła nie zaprzeczają mu zasług w podźwignięciu upadłej i poniżonej godności niewiast, boć świadkiem cały wschód mahometański i całe dzieje pogańskiego świata, jak nikczemne było stanowisko kobiety zawsze i wszędzie dopóki i gdzie tylko nie zabłysło światło Chrystusowej Ewangelii! Szan. autor wykazawszy mętne źródła, z których zwolennicy i zwolenniczki emancypacyi czerpią swe zasady (roz. IV.), wykazawszy dalej jej widoczne zresztą powinowactwo z pozytywizmem (roz. IV.) i jedność dążeń z masońskim naturalizmem (roz. V.), dowodzi w następnych sześciu rozdziałach, że właśnie t. z. emancypacya najbardziej upośledza godność kobiety, że najgłębsi myśliciele starożytności uważali religią i wypływające z niej obowiązki rodzinne za konieczny warunek dobrobytu społeczeństwa, że prawo Mojżeszowe a nawet religie ludów pogańskich zakreślają lubo niedoskonały, zawsze jednak daleko wznioślejszy ideał kobiety, niż dzisiejsza emancypacya; wreszcie jasno uwydatnia czem była kobieta klasycznych narodów Grecyi i Rzymu, a czem się stała w czasach cywilizacyi chrześcijańskiej. Przedtem zaś (w roz. IX.), co by może w końcu uczynić należało, ukazuje autor nieuniknione rezultaty i naturalne owoce emancypacyi — z której ona wcale się nie kryje — jestto pogarda dziewictwa, odrzucenie obowiązków żony i matki, zdeptanie wszelkich praw rozumu, wszelkich zasad wiary, a niewolnicze hołdownictwo popędowi zmysłów i wyobraźni. Na początku już (roz. II.) wykazał autor nielogiczność zasad pp. Emancypantek — jednak naszym zdaniem pewną logikę przyznać im należy, ale logikę *przedmiotową*, logikę *faktu*, że kto religię odrzuca, ten całkiem logicznie odrzuca wszelką etykę, wszelkie obowiązki. Kobieta, która cel swój ostateczny w ziemskich tylko upatruje idealach, może być aniołem rodzinnego ogniska, gdy tam potrzeba:

„Cierpieć w westchnieniu,
Żyć w poświęceniu!”

Lecz czemuż zwolenniczki emancypacji odrzucają jarzmo Chrystusowe, czy dla tego, że nie widzą w Nim Boskiej powagi, że przekonane są o nieprawdziwości Jego nauki? Bynajmniej — rzecz się ma odwrotnie — nie w rozumie ich błąd, ale we woli, odrzucają etykę nie dla dogmatu, ale dla etyki dogmat, bo żądają „usamowolnienia“, swobody swoich popędów, moralności niezależnej, zniesienia dekalogu... Żal doprawdy i tego zapału i tych pisarskich zdolności tak niegodnej poświęcanych sprawie.

Dziś ks. Prałata A. L. którego część I. krytyczną mamy w rękę, będzie dopełnieniem jeszcze w drugiej sprawozdawczej części. Na jedno ośmielamy się zwrócić uwagę, życzyliby sobie można więcej układu i rozkładu materii — szczególnie aby teje samej materii nie rozdzielać, ale zespalać i dopiero po udowodnieniu przesłanek, jasno sformułowane wnioski wyprowadzać. Nieco też ciemną jest wzmianka o „właściwym rozwodzie“ (str. 104), który przecież, skoro małżeństwo wcale nie jest zawarte, w kościele katolickim zgola nie istnieje. Może też nieco przesady wytknąć by się dało w relacjach autora o stanie kobiet i dzieci w Indjach i Chinach. Wreszcie rażą bardzo długie okresy z mnóstwem wtrąconych zdań i słów nawiasowych, tem więcej, że nawiasy owe, wskutek bardzo niedbalej korekty, zazwyczaj nie na właściwem znajdują się miejscu. Nie małą jednak zasługę przyznać należy szan. autorowi, który dał poznać społeczeństwu naszemu, skąd i dokąd wiewą owe prądy zgubnej emancypacji, której końcem zawsze będzie niewola z tą jednak różnicą, że gdy chrześcijanka poddaje swe żądze rozumowi a rozum Bogu, emancypantka przeciwnie: Boga wydaje na łup rozumowi a rozum czyni niewolnikiem swych pożądliwości.

B. J.

Listy Zygmunta Krasieńskiego. T. III. Lwów 1887, str. 356.

Z pism przeznaczonych dla ogółu można poznać wielkość geniusza piszącego a nawet i zasadniczy ton jego serca, ale katechizm jego zasad, całość kształtu charakteru najwierniej odzwierciedla się dopiero w listach poufnych, w tej poufnej niejako rozmowie z przyjaciółmi. Tu dopiero jasno uwydatniają się i szlachetność uczuć i głębia myśli, i żar pragnień i wszystko co człowieka cieszy lub smuci, co go podnosi lub przygnębia, co mu jest nienawistnem lub drogim! Z tego więc względu cenne są bardzo, choć już częściowo znane, zbiory listów naszego poety-filozofa, których tom niniejszy zawiera sporą ilość, bo aż 123. Z tych 10 do Słowackiego i jeden o Słowackim do Romana Załuskiego, 8 do Edw. Jaroszyńskiego, 9 do Andrzeja i Kajetana Koźmianów, 6 wyjątków z listów do Stan. Koźmiana i wreszcie 90 listów do Bronisława Trentowskiego. Wiadomo, że Zygmunt ze Słowackim łączył stosunek ścisłej przyjaźni, zrazu tylko różnością zasad ziębiony, lecz w końcu zerwany pychą Juliusza. Listy Krasieńskiego w tym tomie zawarte pochodzą jeszcze z owych serdeczniejszych czasów, a pełne są ciepła najszczerzej przyjaźni. Tu i owdzie nawet, obok pięknych myśli o poezji i poetach, o filozofach i życiu praktycznem, o Mickiewiczu, Szekspirze, Byronie, Aug. Cieszkowskim i t. d. napotykamy też etyczne rady, przyjacielskie wskazówki. „Julu“, pisze Zygmunt, „za-

klinam cię, nie dbaj o te gwary... Trzymaj naksztalt harfy eolskiej duszę twoją wyżej nad wszystkie dłonie ludzi, wśród powiewów nieba: niech myśli Boga, promienie gwiazd i skrzydła przelatujących aniołów grają na niej, a nie myśli ludzi, redakcyje paryskie, zdania, uwagi, rozprawy... Więcej jest wiatrów na świecie niż serc“ (str. 9). Indziej znów wskazuje Słowackiemu piękność i konieczność pokory. „Duma“, mówi; „połączona z pokorą, stanowi wielkość człowieka. Duma bez pokory, to próżność; pokora bez dumy, to podłość... Pokora zawsze powinna się objawiać w środkach, a duma w celu“ (str. 32). „Ucz się patrzeć, do czego wiodą rozmaite dusz słabości, unikaj wszelkiej, nie zapadaj w niemoc, która nie jest pokorą; ni zuów rośnij w dzikie przekonanie, że można jedną strofą wieki przewrócić, bo takie przekonanie nie jest dumą. Bądź dumny a pokorny. Lecz kiedy się korzysz, to korz się przed Panem wiekuistym, lub przed wszechświata pięknością, lecz nie przed tą dziwną Madonną, której za podstawę dałeś piersi swoje... Ty wiesz żem cię kochał zawsze, ty wiesz, że cię kocham; może nie wiesz, ale się dowiesz, że nigdy nie przestanę. Julu, powtarzam ci, nieśmiertelność jest w tobie. Od ciebie zależy z piersi ją własnych wyrwać i uzewnętrznić. Nie kładź się więc na ziemię... Wszystko co żyć ma i trwać, musi wprzód przejść przez walkę... Tyś przeznaczony żyć, jeśli sam nie wyrzeczysz się wieczności dla znikomych uludek. Bądź dumny a pokorny, a będziesz wielki“ (str. 32, 33, 34).

Z paru tych urywków widno, jak dobrze znał Krasński słabe strony charakteru Juliusza. List o nim do Romana Załuskiego pisany pokazuje znowu, jak wysoko cenił, może przeceniał nawet wielkość jego geniusza. Jestto odpowiedź na relacyę R. Załuskiego o wieczorku wydanym w dzień urodzin Mickiewicza, na którym Adam i Juliusz wypowiedzieli improwizacye, których treść przynajmniej powszechnie jest znana. Zygmunt broni tu Juliusza i podnosi wielkość jego talentu, podając na dowód rozbiór i ocenę: *Ojca zadziwionych, Szwajcaryi, Wacława, Anhellego i Balladyny*. Pięknie i trafnie zestawia tu geniusz Słowackiego z geniuszem Mickiewicza.

W listach do Edw. Jaroszyńskiego jest wiele o Heglu i Heglistach, o Cieszkowskim i jego *Prolegomena zur Historiosophie*, o filozofii i o szczęściu, o poezyi, o prawdzie i pięknie. Unosi się Zygmunt nad Cieszkowskiego podziałem historii na epokę czucia (starożytność), epokę myśli (chrześcijaństwo) i epokę woli (przyszłość). A gdy się zapuszcza w dziedzinę filozofii, najczęściej wyobrażnia unosi go na manowce i wszystko kończy się jakimś kalamburem lub paradoksem. Tak np. o prawdzie wypowiada następujące zdanie: „Jak linia krzywa, linia życia, składa się w matematyce z nieskończonej ilości linii abstrakcyjnych, martwych, linii prostych, tak samo zapewne prawda składa się z nieskończonej ilości błędów“ (str. 85). Przesadnio też a nawet niemożliwie idealizuje posłannictwo Polski, zowiąc ją „absolutną prawdą“ donioslejszą i wyższą na razie niż religia (str. 45). Ale nie dziw, bo wówczas duch Zygmunta przesiał był nieco uludnym dla poetów panteizmem, a prawdziwy katolicyzm kielkował dopiero w jego duszy. Toż i później jeszcze bo w r. 1846 stawia on w jednym rzędzie Chrystusa, Cezara i Napoleona, zowiąc ich postaciami „przed którymi wieki kłęczą“ (str. 179). Jednak były to już czasy, gdzie pobyt w Rzymie i urok Piusa IX. stopniowo przywiązywał go do katolicyzmu i coraz widomiej odsłaniał przed nim nieomylną prawdę.

Z listów do Kajetana i Andrzeja Koźmianów wieje już jakiś duch lepszy — więcej tu czuć pokoju, ciepła, szlachetności. Prawda, że może i sam przedmiot nastrajał szlachetne i wrażliwe serce Zygmunta do tej stokroć milszej i podnioślejszej harmonii ducha, bo przedmiotem tych listów był poemat o Stefanie Czarneckim, który Zygmunt oceniał i szczerze wytykał błędy, poprawiał usterki, a chwalił piękność obrazów i myśli. Toż i listy do Stanisława Koźmiana tchną większym spokojem i większą jasnością myśli. W listach tych tłumaczy się Zygmunt z zarzutu nie bardzo katolickich pojęć, o które go St. Koźmian pomawiał. Korespondencya z tym ostatnim wielce się przyczyniła do rozświecenia pojęć Zygmunta i rozbudzenia w nim przywiązania do Piusa IX. i Apostolskiej stolicy.

Dziwny doprawdy był stosunek Zygmunta do Trentowskiego, dziwny entuzjazm, dla jego „widnokrężnej“ mądrości, która zdaniem Krasińskiego Polskę zbawić, „jaźń“ narodową od zguby ocalić miała. I piórem i kieszenią pomagał on Trentowskiemu w wydawnictwie dzieł. Co dziwniejsza, że ów Krasiński, którego tak bardzo kłuła pycha Słowackiego, zdawał się nie dostrzegać ni śladu tej pychy, w owym jaźnio-mościowym myślicielu, który przecież bluźnierczo sam siebie doskonalszym być mienił od Chrystusa! Doprawdy niewytłumaczonem jest dla nas to uwielbianie człowieka, który prócz oryginalności i dobrych chęci dla swej ojczyzny zupełnie nań nie zasługiwał. Korespondencya Zygmunta tę jedną zda się miała pożyteczną stronę, iż często pojawiające się w nich myśli o Bogu, o Chrystusie P., o religii, nie mogły pozostać bez wpływu na panteistyczno-niewierzący umysł Trentowskiego.

Zresztą w korespondencji tej mnóstwo mieści się szczegółów literackich i politycznych, narodowych i osobistych. Ciekawe tam są poglądy i uwagi o centralizacyi i demagogach, o Kossucie i wojnie węgierskiej, o Towiańskim i Mickiewiczu i t. d.

Godnem uwagi znamię tych listów jest, że Krasiński do różnych osób różnym umiał przemawiać językiem nastrajając swą mowę do ich usposobienia. Do Słowackiego przemawiał jakoby dźwiękiem Szekspirowskiej lutni, sypał przed nim perłami najpiękniejszych obrazów, oprowadzał go po zaczarowanym zamku wszech sztuk i ideałów. W listach do Koźmianów, styl jego wiele ma w sobie prostoty i staropolskości. Wreszcie mówiąc z Trentowskim przyswaja sobie jego „jednie i różnojednie“ jego „jaźnie, moście, mylniki i t. d.“

O osobistym nastroju duszy Zygmunta smutno świadczą wszystkie te listy. Nieomal z każdego z nich tryska gorycz wypływająca z fizycznych i moralnych cierpień biednego wieszca. Usposobienie swoje streścił on sam w liście do Edw. Jaroszyńskiego w tych oto paru wierszach:

„Noszę głęboką nędzę wszędzie w sobie: choć jak król potrafię się ubrać w pewnych chwilach w purpurę wieczorów, w księżycę nocy, w błękity i muśliny pian mórz włoskich, coś mi pod temi szaty serce wyjada“.

B. Jasińczyk.

Teologia Pasterska katolicka dla użytku seminariów duchownych i pasterzów dusz przez Ks. Józefa Krukowskiego Dra św. Teol., proboszcza koll. św. Floryana i t. d. Trzecie przejrzone i pomnożone wydanie, Kraków. Nakładem Gebethnera i Spółki 1887.

Samo ukazanie się tego dzieła wypada nam z radością powitać, jako objaw pracy na tak mało pielęgnowanej u nas niwie teologii św. Wprowadzie

dział to nie jest zupełnie nowem, bo od kilku lat jest już znanem i używanem, ale mimo to nowe jego wydanie zasługuje na naszą uwagę, jako ulepszone i powiększone, o czem zresztą łatwo przekonać się z samej objętości i treści. Witamy je tem chętniej, że cieszy się oddawna zasłużonym rozgłosem, gdyż licznymi aprobatami naszych arcybiskupów zaszczycone i polecane zostało a nadto jako jedyny podręcznik polski do studyum teologicznego znajduje się we wszystkich niemal seminariach naszego kraju.

Istotnie nie brak mu zalet prawdziwych. Pilność i skrętność szan. autora widnieje z każdej karty, który nie tylko dawniejsze wydania lepiej opracował i oglądził, ale nadto wzbogacił i jaśniejszem uczynił, spożytkowawszy wszystko, co się w ostatnich czasach na tem polu ukazało. W rysie historycznym zwłaszcza retoryki trudno nie uznać zasługi autora. Całem sercem godzimy się na jego zdanie, że retor, albo raczej opowiadacz słowa Bożego powinien przedewszystkiem działać na rozum słuchaczy, a to nawet u naszego ludu polskiego powinno mieć zastosowanie. Gdyby się tą zasadą wszyscy kierowali, to nawet słabszy talent kaznodziejski mógłby czerpiąc z dogmatyki, historii i liturgii należycie i skutecznie głosić słowo Boże, a nie zrażać ludzi ciąglem a nieraz uprzykrzonym moralizowaniem.

To samo wypada nam powiedzieć o katechetyce, której zasady wyluszcza szan. autor wprawdzie krótko i zwięźle, ale przystępnie i jasno wyklada. Ponieważ zasady te mają być wskazówką i normą postępowania, konieczną jest rzeczą, żeby z jednej strony były krótkie a z drugiej strony jasne i gruntowne. Zwięzłości im nie brak, ale autor troszcząc się nazbyt o nią zdaje się nam, że krzywdę wyrządził ascetycznej części, którą radziłyśmy widzieć należyte uwzględnioną, jak to np. spotykamy w 4 wydaniu Ambergera.

Nie robimy także najmniejszego zarzutu szan. autorowi co do jasności, gdyż każdy może łatwo wszystko zrozumieć i sobie przyswoić. Podobnież i rzecz się ma co do gruntowności: autor niemal wszędzie podaje *sententiam communem*, aby przez to oszczędzić trudu początkującym i nieobytym jeszcze z różnemi kontrowersjami. Zamiar w istocie dobry i chwalebny, ale przy wykonaniu jego jednak najczęściej popada się w ten błąd, że staje się nadto apodyktycznym, co się i autorowi przytrafia w niejednej kontrowersyi. Naszem zdaniem autor, byłby o wiele lepiej sobie postąpił, gdyby przedłożywszy swoje zdanie, jako powszechniejsze nadmienił także, że i przeciwne *opposita sententia* ma swoich patronów i swoje racye. Zyskałoby przez to o wiele dzieło na wartości. W przedkładaniu i rozwijaniu kontrowersyi nie ma się czego obawiać, owszem wielka korzyść się w tem mieści, bo dla bardziej utalentowanych głów otwiera się przez to pole do przyjemnej i pożytecznej pracy. Z prawdziwie kapłańskim ciepłem i namaszczeniem skreślony ustęp o trójakim urzędzie spowiednika¹, o jego postępowaniu z różnemi warstwami penitentów². Wszystko co tu autor mówi oparty na powagach i własnem doświadczeniu i do czego zachęca, może tylko przynieść wielki pożytek dla dusz a większą chwałę Bogu. To samo powiedzieć musimy o czwartej części „teorya pasterska w ściślejszem znaczeniu“. Tutaj nakreślony wierny obraz prawdzi-

¹ Str. 448.² Str. 552.

wego kapłana, jakim on ma być przed wstąpieniem do seminaryum, przed objęciem probostwa i po jego objęciu. Tu każdy proboszcz ma przed sobą obraz dobrego pasterza, wyliczone jego przymioty, nakreślony jego stosunek do owieczek, wikarego, współbraci w urzędzie, do szkoły, kościoła, służby i t. d. jednym słowem przedstawiony tu obraz kapłana iście wedle serca Bożego.

Ale przyznawszy to wszystki szan. autorowi z prawdziwą przyjemnością, trzymając się zasady *legisperitum volo esse in omnibus perfectum*, ośmielamy się zrobić mu kilka pomniejszych uwag. I tak na str. 358 radzibyśmy mieć bliższe określenie i rozróżnienie rubryki tak zwanej *praeceptiva* od *directiva*. Na stronie 460 zdaje się zaszła pomyłka. Autor bowiem powiada, że kapłan rozgrzeszający *a casu reservato Episcopo*, ściaga na się cenzurę papieską, tymczasem w Bulli apostolskiej niema o tem wzmianki, i tylko absolwujący *a casu papali speciali modo reservato* popada w *casum simpliciter reservatum*.

Kończąc wyrażamy życzenie wspólnie z autorem, aby to dzieło przyczyniło się wiele do chwały Bożej i podniesienia studyum teologicznego w Polsce.

Ks. A. Kraetzig.



Z piśmiennictwa zagranicznego.

Übersichten der Weltwirthschaft von Dr. T. X. von Neumann Spallart. Jahrgang 1883—84. Stuttgart 1887.

Od bardzo niedawnego czasu zaczęło rozszerzać się przekonanie, że państwa cywilizowane całego świata mogą stanowić pod względem ekonomicznym jedną wielką całość zbiorową. Zaledwie w wieku bieżącym zrozumiano, że terytoryum każdego pojedynczego państwa stanowi całość gospodarczą i tylko po osiągnięciu tej jedności, można było myśleć o rozszerzeniu stosunków ekonomicznych po za jego granice. Stopniowo granice polityczne, rozdzielające pojedyncze państwa, zostały pominięte i zaczęły pojawiać się związki i stosunki ekonomiczne międzypaństwowe. Jako objawy tego kierunku przytoczyć można utworzenie związku celnego państw niemieckich, następnie postępowanie Wielkiej Brytanii, która zniosła cła ochronne na swej granicy państwa ładu stałego Europy, które za przykładem Wielkiej Brytanii zaniechały w handlu zewnętrznym systemu zakazowego (prohibicyjnego).

Bardzo ważnym krokiem na polu wolności handlu, były traktaty handlowe i żeglugi, zawarte w 1860 r. pomiędzy Francją i Anglią, w których umawiające się strony przyznały sobie wza-

jennie prawa narodów najbardziej uprzywilejowanych. Za ich przykładem poszły inne państwa i w okresie od 1860 do 1868 r. przyszedły do skutku traktaty handlowe i żeglugi, zawierające bardzo ważne ulgi w taryfach celnych.

Po tym okresie panowania zasady wolności handlu rozpoczął się od 1877 i 1878 r. okres reakcyi na polu polityki handlowej. Kończące się dawniejsze traktaty handlowe nie zostały odnowione, niektóre z nich nawet wypowiedziane i zaczęto taryfy celne podnosić autonomicznie. Następstwem tego kierunku były utrudnienia w stosunkach międzynarodowych, wywołane szczególnie cłami uchronnemi. Ciągła niepewność i częste zmiany w polityce celnej są, podług zdania sławniejszych ekonomistów, wielką przeszkodą prawidłowego rozwoju przemysłu i handlu międzynarodowego i zgubny wpływ zmian jednostronnych taryfy celnej da się usunąć tylko przez powrót do dawnej zasady wzajemności i przez traktaty, zapewniające stronom umawiającym się o stanowisko narodów najbardziej uprzywilejowanych.

Niezależnie od wyżej wspomnianych zmian w kierunku polityki celnej pojedynczych państw, nastąpił ogromny rozwój urządzeń, odnoszących się do komunikacyi i do wymiany produktów tak materialnych jak i umysłowych. Rozwinęła się najprzód sieć związków dróg żelaznych, chociaż przytem wywiązała się w wielu wypadkach walka, taryfami kolejowemi, stojąca na przeszkodzie niejednemu postępowi. Daleko stosunkowo więcej rozwinęły się urządzenia pocztowe i telegraficzne. Związek międzynarodowy pocztowy, zawiany w 1874 r., rozwinięty w 1879 i 1885 r., obejmuje obecnie przestrzeń więcej niż 82 milionów kilometrów kwadratowych, z ludnością 840 milionów.

Podobnie bardzo skutecznym środkiem wyrównania różnic politycznych i narodowych jest związek międzynarodowy, telegraficzny, który zaprojektowany w 1865 r., urzeczywistniony został w 1880 r. Zjazdy międzynarodowe przedstawicieli zarządów dróg żelaznych i zarządów pocztowych, jak również konferencye międzynarodowe telegraficzne są organami rozwoju gospodarstwa międzynarodowego i stosunków pomiędzy państwami.

W kierunku zbliżenia do siebie pojedynczych jednostek politycznych, prócz wyżej wspomnianych urządzeń, działają także kon-

wencya metryczna, zawarta w 1875 r., w celu zaprowadzenia jednności miar i wag, z osobnem biurem, strzegącym jej interesów (*Bureau international des poids et mesures à Paris*) i umowy międzynarodowe, dotyczące kwestyi monetarnej i waluty, jak związek monetarny niemiecko-austriacki z 1857 r., związek monetarny łaciński z 1865 r. i skandynawski z 1872 r. Związki monetarne torują drogę do zaprowadzenia wszędzie waluty złotej, chociaż nie ma widoków, ażeby to nastąpiło inną drogą, jak na podstawie prawodawstwa autonomicznego.

Rozwój międzynarodowy przepisów prawnych, odnoszących się do prawa handlowego i wekslowego, do giełd, banków i t. p. instytucyj, prowadzi za sobą rozszerzenie wpływu kapitałów i kredytu poza granice pojedynczego państwa lub narodu. Dlatego też przenoszenie wielkich ilości kapitałów i kredytu z jednego gospodarstwa narodowego do drugiego, nigdy nie było tak łatwe i tanie jak w czasach obecnych. Obecnie życie kosmopolityczne coraz się rozszerza i gospodarstwo pojedynczego narodu, prócz swej wartości wewnętrznej, nabiera znaczenia międzynarodowego, przez przyłączenie się do związków, które dostarczają nowych środków rozwoju.

Bezstronny pogląd na rozwój obecny, każe mieć nadzieję, że pomimo prądu reakcyjnego ostatnich lat, nastąpi zapewne jeszcze w bieżącym stuleciu, dalszy rozwój gospodarstwa ogólnie ludzkiego.

Na potwierdzenie powyższego wniosku, możemy przytoczyć okoliczności następujące: najprzód powstawanie na wielką skalę nowych kapitałów, prowadzące za sobą znaczne obniżenie odsetków w Europie. Jestto dowód, że kapitał ruchomy nie znajduje odpowiedniego zajęcia w tej części świata. Dalej rozwój produkeyi przemysłowej, spowodowany zaprowadzeniem machin i motorów do wielkiego przemysłu, nagromadził tak wielkie zapasy towarów, że ich zbyt może mieć miejsce tylko na rynkach międzynarodowych, przy pomocy handlu międzynarodowego. Nawet wielkie państwa rolnicze potrzebują rynków międzynarodowych, dla zapewnienia odbytu swoim płodom rolniczym.

Obok wyżej przytoczonych okoliczności zbyt szybki wzrost ludności spowodował częściowe przeludnienie w niektórych miejscowościach, zgubnie działające na wysokość zarobków. Usunąć te smutne następstwa może, albo emigracya do krajów mniej zalud-

nionych, albo urządzenie kolonij w częściach niezajętych kuli ziemskiej. Nakoniec rozwój instytucyj komunikacyjnych, jak dróg żelaznych, ilości okręgów żaglowych i parowych, telegrafów i t. p. zatrudniających masy kapitałów i robotników, wymaga coraz większego rozszerzenia pola zajęcia i działa w kierunku rozwoju gospodarstwa światowego.

Należy zatem mieć nadzieję, że sztuczna niechęć przeciwko rozszerzeniu handlu zagranicznego i komunikacyj, panująca obecnie w rządach państw europejskich, nie będzie miała wpływu stanowczego na rozwój gospodarstwa międzynarodowego.

Na rozwój handlu i stosunków ekonomicznych świata cywilizowanego, zwrócił uwagę szczególną *Dr. Neumann Spallart*, który od dziesięciu lat wydaje roczniki poświęcone temu przedmiotowi, i zawierające zwykle sprawozdanie z dwóch lat po sobie następujących. Mamy już piąty rocznik tego rodzaju, zawierający wiadomości odnoszące się do 1883 i 1884 r., chociaż niektóre sięgają nawet ubiegłego 1886 roku.

Stosunki bezpośrednie autora ze wszystkimi biurami statystycznymi i znajomość z uczonymi całego świata umożliwiły napisanie tak gruntownego i wyczerpującego dzieła. Wszystkie źródła urzędowe i prace osób prywatnych zostały wyzyskane i ogromny ich spis zamieszczony na końcu dzieła. Prócz znaczenia praktycznego, polegającego na zebraniu i opracowaniu krytycznem ogromnego materiału statystycznego, ma praca p. *Neumanna* także wartość teoretyczną, wskazując na powstałe i dotąd nierozwiązane kwestye ekonomiczne i na drogę, na której zbliżenie się niezależnych państw i narodów na polu interesów ekonomicznych może w przyszłości nastąpić.

Żeby zbyt nie rozszerzać obecnego sprawozdania, poprzestaniemy na przedstawieniu rezultatów części ogólnej, poświęconej obecnemu położeniu i przyszłemu rozwojowi gospodarstwa międzynarodowego.

Rozpoczyna autor od środków mierzenia dobrobytu narodowego, i powołuje się na *Dra Engla*, podług którego miarą dobrobytu ludności jest wielkość spożycia główniejszych przedmiotów, potrzebnych dla podtrzymania istnienia. Gdyby było możliwem zebrać wszystkie pierwiastki stanowiące dobrobyt indywidualny i obli-

czyć średnią zamożność każdej warstwy społecznej w danej epoce, można byłoby przy pomocy porównania rezultatów rocznych albo kilkoletnich, wnioskować o powiększeniu lub zmniejszeniu dobrobytu całego narodu. Ale podobne obliczenia nie były dotąd robione i należy poprzestać na obliczeniu dochodu albo mienia ogólnego całego narodu.

Autor przytacza włoskiego uczonego Pantaleoni, który rozróżnia dwie metody obliczania; metodę realną przedmiotową i osobistą podmiotową. Według pierwszej można obliczać albo *a*) wysokość kapitału, albo *b*) jego dochód, który można kapitalizować. Według metody osobistej można albo *a*) obliczać mienie zasadnicze każdego gospodarstwa prywatnego, albo *b*) dochód każdej osoby, i ten dochód uważać jako wielkość roczną, albo go odpowiednio kapitalizować.

Następnie podaje autor dla każdego z ważniejszych państw wysokość mienia i dochodu narodowego, jak również średni dochód jednej osoby, obliczone według wspomnianych wyżej metod.

I tak w Wielkiej Brytanii dochód podlegający podatków, *Income Tax* wynosił w 1814—15 r. 146 milionów funtów szterl., w 1880 r. 577 mil. czyli cztery razy więcej. Wartość mienia narodowego Wielkiej Brytanii oblicza *Rob. Giffen*, dla 1865 roku na 6113 mil. funt., dla 1880 r. na prawie 9000 mil. funt. Ponieważ wartość tego mienia miała wynosić w 1800 roku 1800 mil. funt., zatem aż do 1880 r. mienie to powiększyło się pięć razy. Na jednego mieszkańca Wielkiej Brytanii wypadało dochodu opodatkowanego w 1845 r. 7 funt. szt., w 1880 r. 16₄ funt. szt.; cały zatem dochód, włączając małe dochody wolne od podatku, miał w 1884 r. wynosić 36 funt. szt. na głowę.

Wartość mienia narodowego Francji otrzymuje *A. de Foville* tym sposobem, że oblicza wysokość spadków i darowizn, podlegających opodatkowaniu w ciągu roku, i ponieważ na jedno pokolenie liczy 36 lat, przeto wartość mienia zmieniającego w ciągu roku właściciela, uważa jako $\frac{1}{36}$ część mienia ogólnego. Tą metodą dochodzi de Foville do sumy 216 miliardów franków, przedstawiającej wartość mienia narodowego we Francji. Według wysokości rocznych zmian własności w tym kraju wypada, że w ciągu okresu

od 1826 do 1882 roku mienie ruchome zwiększyło się o 300%, nieruchome o 200%.

W Niemczech, mianowicie w Prusach dochód narodowy w okresie od 1872 do 1878 r. powiększył się z 293 do 323 marek na jednego mieszkańca. W okresie następnym od 1877 do 1880 r. nastąpiła stagnacja w rozwoju ekonomicznym i dochód stosunkowo się zmniejszył, wynosił bowiem pod koniec okresu 308 marek na głowę.

Dla Włoch oblicza *Pantaleoni* wartość mienia prywatnego na 48,1 miliardów lirów, co wynosi 1660 lirów na jednego mieszkańca.

W Austrii obliczono dla 1883 roku wartość mienia opodatkowanego wiejskiego 3936,9 milionów zlr., mienia miejskiego na 2559,8 mil., razem na 6496,7 mil. zlr.

Przykład najszybszego i największego zwiększenia mienia i do chodu narodowego dają nam Stany Zjednoczone Ameryki Półn. W 1790 r. mienie ludności, wynoszącej wówczas 3,9 milionów, obliczano na 750 mil. dolarów, czyli po 187 dol. na mieszkańca. W 1880 r. ludność wynosiła więcej niż 50 milionów i mienie jej obliczano na 43.642 milionów dol., czyli po 870 dol. na każdego mieszkańca. Do sumy powyższej nie włączano długu narodowego, który co rok się zmniejsza w bardzo znacznych rozmiarach. I tak:

	w 1875 r.	w 1884 r.
wynosił czysty dług	2.128,7	1.450,0 milion. dol.
odsetki	103,1	54,6 " "
splacono długu . . .	407,4	260,5 " "

Dochód i mienie narodowe państw cywilizowanych zwiększyło się od pół wieku w daleko większych zozmiarach, niż w dawniejszych okresach tej samej długości. Jako przyczyny szybkiego wzrostu mienia materyalnego podaje autor następujące: 1) Wprowadzenie machin do tych gałęzi produkeyi, w których dawniej używaną była tylko praca ręczna człowieka. 2) Zastosowanie pary do przemysłu fabrycznego i transportowego. Same drogi żelazne pochłonięły podług *Dra Engla* 133 miliardy marek. 3) Rozwój gospodarstwa kredytowego i 4) powiększenie i istnienie wykształconej ludności robotniczej.

Następnie przechodzi autor do znanego sposobu mierzenia po-

łożenia ekonomicznego ludności przy pomocy pewnych oznak (symptomatów) zewnętrznych. Takie symptomata mają być rodzaju trojkiego: pierwiastkowe, które są następstwem koniecznem położenia ekonomicznego i społecznego; drugorzędne, które wypływają z poprzednich pierwiastkowych i nakoniec pośrednie (refleksyjne), które nie są następstwem bezpośredniem położenia gospodarczego, ale wypływają ze zjawisk społecznych spowodowanych przez dwa pierwsze rodzaje symptomatów.

Przedstawiony przez autora piętnastoletni okres od 1870 do 1884 r. odznaczał się silnymi prądami reakcyjnymi w kierunkach wręcz sobie przeciwnych. Od 1869 aż do 1873 r. widzimy bardzo silny postęp ekonomiczny, w 1873 r. wybucha straszna kryzys ekonomiczna, po której nastąpił okres stagnacji i zniechęcenia, trwający aż do połowy 1879 r. W drugiej połowie tego roku w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej i w pierwszej połowie następnego 1880 r. w państwach europejskich, rozpoczął się związkowy ruch przemysłowy, który najpóźniej we Włoszech i w Austro-Węgrzech przyszedł do panowania.

Do symptomatów pierwiastkowych zalicza autor najprzód zmiany produkcji. Pod względem wytwórczości przemysłowej rozpatruje najprzód wielki wzrost wielkiego przemysłu w okresie od 1870 do 1873 r., następnie przesilenie przemysłowe 1873 r. i nakoniec stan zastoju, którego punktem kulminacyjnym był 1878 r. W okresie 1875 do 1877 r. nawet uprawa pszenicy w Ameryce uległa ograniczeniu. W 1880 r. okazały się oznaki polepszenia we Francyi, Belgii, Niemczech i ten stan trwał w ciągu 1881 i 1882 roku. Ale to polepszenie nie było trwałe, albowiem w drugiej połowie 1882 r. ukazały się oznaki zastoju w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej i w Wielkiej Brytanii i ten zastój stał się ogólnym w 1884 r.

Jako drugi symptomat bezpośredni uważa autor zmiany w spożyciu i podług wysokości spożycia główniejszych przedmiotów wzmiankuje o położeniu ekonomicznem okresu od 1870 do 1884 r. Wysokość średnia spożycia chleba, mięsa, jarzyn i t. p. stanowi to co nazywają *standard of life* ludności. Daje ono miarę dobrobytu narodu, ale wysokość spożycia koniecznych artykułów spożywczych jest mniej czułą na zmiany położenia ekonomicznego,

niż wysokość spożycia przedmiotów mniej koniecznych, jakimi są kawa, herbata, cukier, tytoń, wino, piwo i t. p., użycie których może ludność prędzej ograniczyć, w razie niesprzyjających widoków przemysłowych, niż zmniejszyć spożycie przedmiotów niezbędnych do życia.

Podług wysokości spożycia kawy, herbaty, tytoniu i innych artykułów zbędniejszych wnioskuje autor o czasach zastoju i czasach wzrostu ruchu gospodarczego. W okresie od 1874 do 1879 r. nastąpiło ogólne zmniejszenie spożycia artykułów ogólnego użycia, po którym w 1880 r. rozpoczyna się zwiększenie spożycia artykułów zbytku i użytku codziennego, którego punktem kulminacyjnym był 1882 rok. Od 1883 r. rozpoczął się kierunek wsteczny, który przetrwał w 1884 i 1885 r.

Trzecim symptomatem ma być wielkość ruchu ekonomicznego. Na okres od 1871 do 1884 r. przypada punkt najwyższy i najniższy ruchu ekonomicznego. Zmiany tego ruchu śledzi autor na budowie dróg żelaznych, na rozwoju handlu morskiego, na ruchu pocztowym i telegraficznym. Podobnemi drogowskazami są stosunki monetarne, organizacje kredytu i obroty *clearing-houses* w Londynie i w New-Yorku.

Czwartym symptomatem ma być wielkość handlu. Przy tej sposobności przyznaje autor, że wykazy handlu zewnętrznego państw pojedynczych nie mają wartości bezwzględnej. Najprzód we wszystkich państwach wywóz towarów mniej dokładnie bywa zapisywany, niż ich przywóz, dla względów celnych. Następnie część obrotu handlowego nie jest dostępną dla zaznaczenia statystycznego, wskutek przemyslnictwa i kontrabandy i nakoniec można porównywać tylko wartości pieniężnych towarów, które są rezultatem dwóch różnych wielkości ilości produktów i ich ceny; wielkości te zmieniają się we wręcz przeciwnych kierunkach.

Podług zrobionych obliczeń suma ogólna obrotu handlu zewnętrznego ważniejszych państw na kuli ziemskiej w okresie od 1865 do 1872 r. zwiększała się rocznie o 2166 milionów marek, w okresie od 1872 do 1873 r. o 1620 milionów marek, następnie w okresie od 1873 do 1875 r. suma ta przeciwnie zmniejszyła się o 739 milionów marek i w okresie od 1876 do 1877 r. o 69 milionów marek. Zaledwie w 1878 r. pojawiają się bardziej przyjazne

okoliczności i obrót handlowy zwiększył się o 1400 milionów marek. Ten stan trwał w 1879 r. i doprowadził w 1880 r. do zwiększenia obrotu handlowego o 4040 milionów marek. W 1881 r. nastąpiło znaczne niżenie ceny większej części towarów, także obrót handlowy tego roku zwiększył się tylko o 579 milionów marek. W 1882 r. zwiększenie wynosiło znowu więcej, bo 2734 milionów marek. W 1883 r. zapanował w handlu międzynarodowym zastój interesów (stagnacya), którego następstwem był kierunek wsteczny w 1884 i w 1885 r.

Przedstawwszy symptomata pierwszorzędne przechodzimy z autorem do symptomatów drugorzędnych, które są następstwem przyczyn pierwszorzędnych. Autor rozpoczyna od ceny towarów i wysokości zarobków. Poszukiwania pp. *L. Bodio*, *R. Giffen* i *Laspeyresa* dowiodły, że ceny towarów ulegały znacznym zmianom. Podług ostatniego z wyżej przytoczonych uczonych, nigdy przedtem stosunkowo tak dużo artykułów nie podrożało i tak mało nie potaniało w Niemczech jak w 1871 r. W 1872 r. w Hamburgu, w 1874 i 1875 r. w New-Yorku i w Londynie następuje początkowo powolny, następnie szybki upadek cen, który przetrwał aż do środka i końca 1879 r. Po tym okresie upadku pierwsze podwyższenie cen pojawia się w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej i ceny 1880 r. okazują się wyższymi od cen 1879 r. Ceny produktów handlu hurtownego doszły swego maximum w 1880 r. i wpływ tego podwyższenia był jeszcze widoczny w 1881 i 1882 r. Nakoniec w latach 1883 i 1884 nastąpił ponowny nagły upadek cen. Zwiększająca się produkcya 1881 i 1882 r. pracowała przy bardzo niskich cenach, jakie były przed okresem 1856 do 1860 r. Jeżeli zatem niskie ceny trwały w okresie od 1883 do 1885 r. to przyczyny tego szukać należy albo w znacznym zmniejszeniu kosztów produkcji, albo w nieodpowiednim stosunku pomiędzy podażą (zapasami nagromadzonemi) i poszukiwaniem (siłą nabywczej ludności), albo nakoniec w podniesieniu wartości pieniędzy metalowych. Autor zwraca uwagę na spór pomiędzy uczonymi dotąd nierozstrzygnięty; kiedy bowiem z jednej strony *G. Goschen*, *R. Giffen*, *Arendt* i inni jako przyczynę upadku cen towarów uważają podrożenie złota; inni uczeni jak *Hansard*, *Mulhall*, *E. Nasse*, *Soetbeer* utrzymują, że niżenie kosztów produkcji, transportu i t. p.

i nadprodukcya tj. nagromadzenie zapasów, jako następstwo jeszcze przesilenia 1873 r., objaśniają dostatecznie to zjawisko.

Wysokość zarobków ulegała także, w ciągu ostatnich 15 lat, rozmaitym zmianom. Okres wzrostu od 1870 do 1873 r. odznaczał się szybkim podwyższeniem zarobków, przeciwnie czas zastoju przemysłowego od 1874 do 1877 r. stałym ich upadkiem. Ożywienie ekonomiczne 1879 r. odznacza się stopniowem wznoszeniem się zarobków, co tem jest ważniejsze, że obecne zarobki niewątpliwie są wyższe od zarobków przed przesileniem ekonomicznem, albowiem połączone są z upadkiem cen główniejszych przedmiotów spożycia.

W Ameryce północnej w czasie największego zastoju (depre-syi) na siedmiu liniach dróg żelaznych zmniejszenie zarobków w okresie od 1873 do 1877 r. wynosiło średnio od 21 do 37%. W stanach przemysłowych wschodnich niżenie zarobków wynosiło 30%, w stanach środkowych 25%, w zachodnich 14%.

W okresie ożywienia ruchu przemysłowego, w latach od 1880 do 1883 r., podnoszą się zarobki, poczem jednak znowu następuje ich obniżenie.

Drugim symptomatem drugorzędnym jest wysokość skupu (disconto).

Pomiędzy cenami towarów i wynagrodzeniem pracy z jednej i ceną użycia kapitału z drugiej strony zachodzi pewien stosunek zależności. Ale symptomem zmienionych okoliczności nie jest wysokość bezwzględna stopy skupu, ale są jej zmiany. Należy zwracać uwagę na to, czy stopa skupu często była zmieniana, czy też przeciwnie pozostawała przez czas dłuższy na tej samej wysokości. Przeświadczyć się o powyższem można z wykazów, np. banku angielskiego, którego stopa skupu poprzednio zaledwie 2, 3, najwyżej 7 razy się zmieniała w ciągu roku, w 1873 r. zaś 24 razy. Jestto dowód wielkiego ruchu na targu międzynarodowym. W 1878 r., w czasie największego zastoju, stopa skupu w banku angielskim zmieniła się tylko 5 razy, w banku francuskim tylko jeden raz.

Oznaką braku wszelkiej przedsiębiorczości jest fakt, że wówczas można było dostać pieniędzy w Londynie i w Paryżu po $1\frac{1}{2}$ do $1\frac{3}{4}$ od sta rocznie. W 1878 i 1879 r. nastąpiło pewne ożywienie, ale nie osiągnęło poprzedniej wysokości i znawcy położenia ekonomicznego są przekonani, że znajdujemy się obecnie w długim okre-

sie tanich pożyczek pieniężnych, który tylko wtedy się skończy, kiedy wyrównają się zyski z innych rodzajów kapitału z zyskami otrzymywanymi od kapitałów pieniężnych.

Trzecim symptomatem pochodnym ma być ilość nowo powstających towarzystw handlowych i wysokość emisji znaków kredytowych. P. G. de Laveleye ogłasza w *Moniteur des intérêts matériels* wykazy roczne nowo powstających towarzystw handlowych, ale te wykazy nie są kompletne i oparte na obliczeniach przybliżonych. Wiadomo, że przesilenie 1873 r. wywołane zostało przez gorączkę grinderską (założycielską) i dlatego wskutek powstałej reakcyi, emisya 1874 r. uległa ogromnemu zmniejszeniu. Zaledwie od końca 1879 r. zwiększa się działalność na polu towarzystw akcyjnych.

Autor dzieli puszczone w obieg znaki kredytowe na trzy kategorie, zaliczając do pierwszej pożyczki państwowe i miejskie, do drugiej pożyczki instytucyj kredytowych i na koniec do trzeciej przedsiębiorstwa kolejowe i przemysłowe prywatne. Ze zrobionego przez autora zestawienia okazuje się, że w epoce grinderskiej przewaga była po stronie przedsiębiorstw prywatnych, w czasie następnego zastoju po stronie pożyczek państwowych. Od czasu ożywienia ruchu przemysłowego w 1879 r. przewaga przechodzi powtórnie do przedsiębiorstw prywatnych i dochodzi maximum w 1882 r.; w latach następnych zwiększa się znowu udział pożyczek państwowych. W Wielkiej Brytanii towarzystwa akcyjne rejestrowane miały swoje maximum w 1873 r. i upadek największy w 1876 r. w latach 1880, 1881 i 1882 okazało się nowe ożywienie na polu dróg żelaznych, banków i przedsiębiorstw przemysłowych.

Czwartym symptomatem pochodnym ma być wysokość kursów i zysków. Dla poszukiwania w tym kierunku nadają się najlepiej towarzystwa akcyjne, których sprawozdania roczne drukowane bywają dla wiadomości ogólnej. Porównyując epokę największego upadku w 1879 r. z polepszeniem się położenia pod koniec 1880 r., oblicza R. Giffen, że mienie angielskich posiadaczy papierów wartościowych zwiększyło się w tym okresie o 600 milionów f. Kurs konsoli angielskich i pożyczek europejskich, amerykańskich i kolonialnych doszedł do maximum w połowie 1881 r. Przesilenie giełdowe francuskie 1882 r. spowodowało pewną reak-

cyą, która przejawiała się w zmniejszeniu zyskowności przedsiębiorstw. Upadek kursu 31 ważniejszych papierów na giełdzie londyńskiej, w okresie od 1 marca 1883 do 1 marca 1884 r., wynosił 161 mil. f.

W Stanach Zjednoczonych Ameryki półn., zmniejszenie wartości papierów kolejowych w okresie od 1873 do 1877 r., wynosiło 1 miliard dolarów, z których 600 milionów przypada na upadek kursu i 400 mil. na upadłości. Poprawienie się kursu wartości kolejowych w 1879 r. przetrwało aż do połowy 1882 r., kiedy wybuchła nowa stagnacya, która w maju 1884 r. przybrała charakter ogólnego popłochu (paniki).

Straty na kursie akcyj, pożyczek i innych papierów wartościowych na giełdzie wiedeńskiej w październiku 1873 r., wynosiły 1.369 mil. fl. Podług obliczeń *Ehrenberga* 78 przedsiębiorstw utraciło w 1876 r. przy porównaniu z kursem w maju 1873 r. 755 mil. fl. W czasie następnym podwyższenie kursów w Austrii doszło swego maximum, podobnie jak w Wielkiej Brytanii pod koniec 1881 roku.

Co do Francyi została ona zachowaną od przesilenia ogólnego 1873 r. i doznała tylko przesilenia miejscowego w styczniu 1882 r., w skutek upadku przedsiębiorstw *P. Bontout*.

Piątym symptomatem drugorzędnym ma być ilość i wielkość upadłości przemysłowych. Autor ubolewa nad tem, że tylko prywatni uczeni zajmowali się dotąd statystyką upadłości, wskutek czego ich rezultaty nie są wyczerpującami. W Austrii najwięcej ogłoszono upadłości w 1873 r., przyprowadzono do skutku 1876 r. Brak chęci i ochoty do spekulacyi i przedsiębiorstw 1880 i 1881 r., były przyczyną małej ilości upadłości tych lat.

Trzecią kategorią stanowią podług autora symptomata re-fleksyjne, w nich bowiem odbija się wpływ większej lub mniejszej pomyślności kraju i epoki. Pierwszy taki symptom stanowią oddalania robotników i ich zmo-wy (strikes).

Zmniejszanie ilości godzin pracy w fabrykach i oddalania robotników rozpoczęły się w 1874 r. i doszły maximum w 1876 i 1877 r. W Stanach Zjednoczonych Ameryki półn. liczono na początku 1877 r. koło pół miliona robotników bez zajęcia i taką samą ilość zajętych tylko po parę dni w tygodniu. Pod koniec

1877 r. liczyły zarządy *Trades Unions* na dwa miliony ilości niezajętych robotników. Od połowy 1879 r. milkną skargi na brak zajęcia robotników w Ameryce półn., a następnie w Anglii i w zachodniej Europie.

Bardzo charakterystycznym jest przebieg zmów robotników. Jeżeli zmowa kończy się zwycięstwem przedsiębiorców jest to oznaką złych konjunktur handlowych, jeżeli zwycięstwem robotników, należy wnioskować o zwiększającym się poszukiwaniu robotników przez przedsiębiorców.

Zwiększona ilość wypadków bezrobocia w Anglii w 1872 i 1873 r. świadczyć ma o zwiększeniu poszukiwania robotników, które spowodowało przesadzone żądania tych ostatnich. Następujący potem okres stagnacji aż do 1878 i 1879 r. odznacza się zmniejszoną liczbą wypadków bezrobocia. Najnowsze zmovy robotników wywołane były, podług ogólnego przekonania, przez samych przemysłowców, którzy radzi byli wyzyskać swoje stosunkowo korzystne położenie. Tylko bezrobocia 1882 r. kończyły się po większej części korzystnie dla robotników, zaś bezrobocia 1883 r., wyszły na ich niekorzyść, jak np. wielki *Oldham-Strike*, trwający całe trzy miesiące (od lipca do października 1885 r.), który zakończony był зниżeniem zarobków o 5% i groźbą dalszego зниżenia.

Maximum zmów robotników w Stanach Zjednoczonych Ameryki półn. przypada na okres 1871 do 1872 r. i powtórnie w 1876 — 1877 r. W ostatnich latach były one kierowane przez t. z. *Knights of labour* ale w 1884 i w 1885 r., kończyły się prawie zawsze niepomyślnie dla robotników. Podług źródeł urzędowych pod koniec 1884 r. było 350.000 niezajętych robotników w zakładach przemysłowych Ameryki.

Podług rozumienia autora nowy rozwój socjalizmu i komunizmu socjalnego jest następstwem i oznaką zmian w stosunkach ekonomicznych. Z polepszeniem ostatnich zmniejsza się liczba stronników i wpływ osób kierujących agitacją socjalistyczną.

Drugim symptomatem refleksyjnym jest emigracja z kraju i do kraju. Mianowicie Stany Zjednoczone Ameryki Północnej są krajem do którego zmierzają emigranci ze starego świata. Emigracja do tego kraju ogromnie się zwiększyła w okresie od 1870 do 1873 r., następnie przeciwnie zmniejszyła się w okresie od 1874

do 1878 r. do tego stopnia, że czasowo (1877—1878 r.) prawie ta sama ilość ludzi przybyła do Stanów Zjednoczonych, co i ją opuściła, dążąc do Kanady i innych państw. W 1879 r. wiadomość o polepszeniu położenia ekonomicznego podniosła chęć do emigracji, która w latach 1880, 1881 i 1882 doszła do nigdy dotąd niewidzianej wysokości i następnie prędko się zmniejszyła, ze zmniejszeniem widoków zajęcia produkcyjnego.

Najwięcej ludzi do emigracji amerykańskiej dostarczają Niemcy po których dopiero idą Wielka Brytania z Irlandyą. Od 1874 r. zmniejsza się emigracja z obu krajów i dochodzi do minimum w 1879 r. W ciągu czterech następnych lat przybiera emigracja powtórnie ogromne rozmiary i zmniejsza się dopiero w 1884.

Podług spostrzeżeń *Giffen'a* w czasach ogólnej pomyślności ekonomicznej zwiększa się ochota do emigracji i odpływ ludności z Europy; czasy zaś zastoju charakteryzują się zwolnieniem powyższych objawów. Emigracja Brytańsko-irlandzka nigdy nie była tak wielką, jak w 1882 i 1883 r., z Niemiec zaś w okresie od 1881 do 1883 r. W ostatnich latach trochę się ona zmniejszyła. Autor podnosi z żalem, że większość rządów europejskich bardzo niedokładne ma wiadomości o emigracji i dużo z nich nie posiada nawet takich wiadomości. Dla tego też porównania bardziej wyczerpujące i odnoszące się do całego szeregu lat, są niemożliwe.

Jako trzecią cechę pośrednią stanu ekonomicznego uważa autor liczbę ślubów i urodzeń. Podług autora położenie ekonomiczne jest tylko jednym z wielu pierwiastków wpływających na ruch ludności i dlatego nie liczby bezwzględne ślubów, urodzeń i zejść, ale zmiany tych liczb i ich rozkład stosunkowy koło średniej ilości, są cechami charakteryzującymi położenie ekonomiczne. Podług liczb zebranych dla 12 państw europejskich wypada na dobre lata po 1,759.300 ślubów, na lata niepomyślne po 1,452.000; różnicę, wynoszącą 307.300 ślubów należy wnieść na rachunek mniej lub więcej pomyślnych stosunków zarobkowych.

W przeważającej liczbie państw znajduje autor od 1877 albo od 1881 lub 1882 r. znaczne zmniejszenie liczby urodzeń, trwające aż do 1881 lub 1882 r.; następuje potem zwiększenie, które jednak nie doszło do dawnej wysokości. Przyznaje na koniec, że liczby stosunkowe urodzeń nieślubnych i noworodków martwych nie dają

dotąd materiału odpowiedniego dla scharakteryzowania ekonomicznego.

Nakoniec do grupy czwartej symptomatów refleksyjnych zalicza autor różne objawy socjalno-moralne, jakimi są: ilość samobójstw, ilość żebraków i rezultaty statystyki kryminalnej.

Zwiększenie chroniczne liczby samobójstw w państwach cywilizowanych, od czasu przesilenia 1873 r., jest zjawiskiem tak uderzającym, że nie podobna go nie dostrzedz. Według *W. Jochnick* w 22 państwach europejskich wypadło na milion ludności w pięcioleciu od 1871 do 1875 r. 99 wypadków samobójstw, w pięcioleciu następnem od 1876 do 1880 r. już 119. Powiększenie liczby samobójstw w latach ostatnich porównywa *A. v. Osttingen* do lawiny w górach. *Neumann* znajduje w ilościach rocznych wydarzonych samobójstw dwa kierunki: najprzód ogólne zwiększenie ilości samobójstw i następnie szybsze zwiększanie się tej ilości w latach niepomyślnych i powolniejsze w latach pomyślniejszych.

Zebrane materiały co do ilości włóczęgów i żebraków są za niedokładne, ażeby mogły posłużyć do wniosków ogólniejszych. Ale i protektoryat kryminalny jest symptomatem patologicznym chorego ciała społecznego i zwiększa się nietylko w czasach ciężkiej choroby ekonomicznej, jaką dotknięte zostały w latach 1873 do 1879 r. Europa i Ameryka, ale nawet przy każdym podnoszeniu się cen i przy każdej drożyznie. Ta jednak zachodzi różnica, że w czasach niepomyślnych zwiększają się przestępstwa przeciwko własności, zmniejszają przestępstwa przeciwko osobom i na odwrót w czasach pomyślniejszych ekonomicznie zwiększają się przestępstwa przeciwko osobom, a zmniejszają przeciwko własności.

Rozebrawszy dokładnie pojedyncze cechy, charakteryzujące ostatni okres piętnastoletni położenia ekonomicznego świata cywilizowanego, przychodzi autor do wniosku, że stan ekonomiczny wszystkich państw na kuli ziemskiej jest wzajemnie solidarny, i że wskutek postępu wielkiego przemysłu i stosunków międzynarodowych, dawna wspólność interesów, łącząca tylko państwa sąsiadujące a najwyżej państwa europejskie, rozszerzoną została do wszystkich części świata. Mianowicie wielką stała się zależność Europy od Ameryki i Azji. Od nich otrzymuje Europa tanie produkty spożywcze, materiał surowy dla wielkiego przemysłu i główne

przedmioty spożycia dla masy ludności. Z drugiej strony potrzebne są Europie te części świata, jako nabywcy zbywających produktów przemysłu europejskiego. Podobna zależność przed kilku dziesiątkami lat była najwidoczniejszą pomiędzy Wielką Brytanią i Ameryką, ale od czasu, kiedy Stany Zjednoczone zdobyły się na wielki przemysł i spłaciły większą część swoich długów, przewaga Anglii pod względem przemysłowym zmniejszyła się bardzo i pozostała tylko przewaga handlowa. Coraz większego znaczenia dla stosunków handlowych nabierają obecnie państwa Azji Wschodniej, oddające wielkie bogactwa swych płodów przyrodzonych w zamian za płody europejskiej pracy i kapitału. Ze stopniowem zmniejszeniem przewagi Wielkiej Brytanii może Europa odstąpić część swej potęgi cywilizacyjnej innym częściom świata, a szczególnie Ameryce Północnej. Obecnie główna potęga handlowa świata leży nad oceanem Atlantyckim i przewaga przynależy północno-zachodniej Europie i wschodniej Ameryce.

Na polu interesów ekonomicznych widzimy w Europie ogólne zniżenie stopy odsetkowej od kapitałów ruchomych i zmniejszenie zysków od kapitałów zajętych w przemyśle, rolnictwie i w handlu. To zmniejszenie coraz będzie znaczniejsze, w miarę zwiększania się ilości kapitałów rozporządzalnych. Z drugiej strony widzimy silny odpływ ludzi z Europy, wskutek emigracji lat ostatnich. Wszystkie te wskazówki zapowiadają proces chylenia się ku starości i ochładzania wpływu ekonomicznego, najprzód Wielkiej Brytanii, a następnie całego ładu stałego Europy. Trwałego polepszenia ogólnego położenia oczekuje autor od okoliczności następujących.

Pierwszym warunkiem polepszenia położenia jest zmiana stosunku pomiędzy wytworzeniem i spożyciem w Europie. W latach ostatnich wytwarzanie wyprzedziło normalne zapotrzebowanie w głównych gałęziach produkeyi. Następstwem zbytniego wytwarzania i zmniejszenia kosztów produkeyi był upadek cen i różnica pomiędzy zyskiem od kapitałów przemysłowych i zyskiem dostarczonym przez renty, obligacye i inne papiery wartościowe, przynoszące stałe odsetki. Prócz tego pojawiło się dążenie do podniesienia wynagrodzenia za usługi osobiste.

Przywrócenie równowagi pomiędzy zyskiem od kapitałów uwieczonych w wartościach z odsetkiem stałym i zyskiem od kapi-

tałów zajętych w przedsiębiorstwach rolniczych, przemysłowych lub handlowych, może nastąpić albo przez redukcję odsetków od papierów kredytowych, albo przez podniesienie zyskowności przedsiębiorstw, wskutek rozszerzenia odbytu lub zniżenia kosztów wytwarzania.

Przywrócenie stosunku sprawiedliwego pomiędzy zarobkami i ceną towarów może nastąpić, albo przez zniżenie zarobków robotników, wskutek redukcji zbyt wygórowanych ich żądań, albo przez podniesienie ceny towarów do wysokości uwzględniającej kosztą rzeczywiste produkcji.

Już są widoczne oznaki pojawienia się stosunku normalnego w kierunkach wyżej wskazanych. Takiemi oznakami są: niska stopa skupu bankowego, zniżenie odsetek od pożyczek publicznych, zamiana ich lub amortyzacya, poprzestawanie przedsiębiorców na mniejszych zyskach i dywidendach, bezrobocie kończące się na niekorzyść robotników i wypadki obniżenia ich zarobków. Autor nie ma jednak nadziei, żeby miała nastąpić prędko zmiana w stosunkach wyżej wspomnianych, z własnej inicjatywy zachodnich państw cywilizowanych.

Drugą okolicznością, mającą wpływ na położenie ekonomiczne jest zwiększenie zdolności nabywczej Stanów Zjednoczonych Ameryki Półn. dla płodów europejskiego przemysłu, kapitału i pracy. Rozwój materialny Stanów Zjednoczonych w ostatnich dziesięcioleciach był tak wielki, że te stany coraz mniej potrzebują produktów przemysłu europejskiego. Od czasu wojny domowej przywóz towarów fabrycznych coraz się tam zmniejszał. Z drugiej strony zbyt produktów rolniczych Ameryki, wskutek współzawodnictwa Indyj Wschodnich i innych krajów zamorskich i wskutek trudności napotykanych we własnem gospodarstwie rolnem, doszedł już do swego maximum i nie może dalej zwiększać się w tych samych co dawniej rozmiarach. Autor przychodzi zatem do wniosku, że najobfitsze zbiory rolnicze Ameryki i ogólna pomyślność Stanów Zjednoczonych nie będą miały w najbliższej przyszłości tak wielkiego wpływu na Europę, jak to niedawno jeszcze miało miejsce. Tylko nagle zwiększenie emigracyi do Ameryki, tylko posunięcie się szybkie ludności tego kraju do stron zachodnich, jeszcze nie zamieszkałych, spowodować mogą zwiększenie potrzeby wewnętrznej artyku-

łów spożywczych i zwiększenie zapotrzebowania narzędzi, machin i środków komunikacyjnych, i te zapotrzebowania mogą wpłynąć na rozwój przemysłu w Europie.

Daleko silniejszego wpływu na położenie ogólne oczekuje autor od rozwoju ekonomicznego krajów, położonych we wschodniej Azji, i od ich otwarcia dla kolonizacji zamorskiej. Podług poszukiwań autora znajduje się Europa w czasach ostatnich w zależności ekonomicznej daleko większej od państw Azji Wschodniej niż od Ameryki Półn. Ludność zamieszkująca pierwsze kraje jest 11 razy większą od ludności Stanów Zjednoczonych i wynosi 745 milionów. Ruch handlowy w okresie od 1871 do 1883 roku zwiększył się o 37% dla państw Azji Wschodniej i tylko o 25% dla Stanów Zjednoczonych. Byle tylko udało się połączyć linie dróg żelaznych europejskich z azyatyckimi, byle system dróg żelaznych i kanałów był stosownie urządzony w prowincjach Indyj Wschodnich, najodpowiedniejszych dla uprawy rolniczej i nakoniec byle wewnątrz cesarstwa chińskiego otwartem zostało dla ruchu nowoczesnego, nastąpi nowy pomyślny prąd dla wielkiego przemysłu Europy. Przyszłość ekonomiczna Europy zależy zatem od biegu wypadków na dalekim wschodzie Azji.

Autor jest zdania, że nie mamy przed sobą okresu stałego zastoju, bez nadziei polepszenia. Jednak zmiana ku lepszemu nie nastąpi, ani nagle, ani gwałtownie, ale, o ile powoli i stopniowo wyrówna się zachwiana równowaga pomiędzy wytwarzaniem i spożyciem, pomiędzy cenami produktów i zarobkami, pomiędzy odsetkami od kapitałów i zyskami z przedsiębiorstw, o tyle większą jest gwarancją stałego utrwalenia życia ekonomicznego.

Część specjalną swojej pracy rozpoczyna autor od statystyki produkcji i handlu zbożem i produktami rolnymi. Rozdział to bardzo ważny, rzuca bowiem światło na kwestyę konkurencyi zbożowej amerykańskiej; na nowo powstające współzawodnictwo Indyj Wschodnich angielskich. Pomimo narzekań rolników na konkurencyę zamorską przyniosła ona pewne korzyści społeczności europejskiej, albowiem zwolniła kraje cywilizowane świata od czasów głodu i drożyzny, które wywierały wpływ zgubny na stosunek urządzeń, ślubów i zejść i wpływały niekorzystnie na stan moralny ludności. Przedstawiając stosunki rynku zbożowego w Wielkiej

Brytanii zwraca autor uwagę na to, że od czasu kiedy Anglia zajęła stanowisko kosmopolitycznego zaopatrywania ludności chlebem, lepiej jest zabezpieczoną od wypadków drożyzny, niż to dawniej, przy pomocy tylko własnych zbiorów, miało miejsce. Zarazem pokazuje autor, że gospodarstwa wolne w Anglii, pomimo swych narzekañ, znajdują się obecnie w położeniu daleko lepszym, niż w czasach przed zniesieniem praw zbożowych w 1846 r. Muszą się tylko pogodzić z niskimi cenami pszenicy, które nie mogą obecnie tak wysoko podskoczyć, jakto dawniej, przy każdym zmniejszeniu zbiorów w rozmiarach bardzo znacznych, następowało.

Dalej znajdujemy ciekawe rozdziały dotyczące chowu zwierząt domowych i produkcji mięsa, potrzebnych dla dostarczenia ludowi pokarmu zwierzęcego. Przy poszukiwaniach nad chowem bydła stoi autor przed trudnem do rozwiązania zadaniem: pogodzenia sprzeczności powstałych pomiędzy zwiększeniem spożycia pokarmów zwierzęcych, wskutek wzrostu ludności i jej zamożności i zwiększeniem kosztów chowu bydła dla rolników, wskutek wzrostu pierwiastku przemysłowego i miejskiego, który prowadzi za sobą ograniczenie chowu inwentarza żywego w państwach silnie zaludnionych.

Dla zapobieżenia drożyznie produktów pokarmowych zwierzęcych potrzeba, albo podnieść chów inwentarza, albo rozszerzyć handel międzynarodowy mięsem. Pierwszy środek nie da się zastosować, wskutek małej zyskowości chowu bydła w wysoko rozwiniętych gospodarstwach rolnych Europy, co się zaś tyczy handlu mięsem, to od 1876 r. robione są wielkie starania w celu zwiększenia przywozu morzem bydła żywego, mięsa w konserwach i świeżego, zamrożonego ze Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej i państw Ameryki południowej do Wielkiej Brytanii, Francyi i innych krajów, jak również baraniny świeżej z Australii.

W dalszym ciągu pracy p. N. spotykamy statystykę główniejszych przedmiotów spożycia ogólnego, jakimi są: cukier, kawa, herbata, tytoń, wino i piwo. Nie znajdujemy tylko żadnych danych odnoszących się do produkcji i spożycia wódki, pomimo że one, wobec agitującego się wprowadzenia monopolu wódczanego w Niemczech i w Rosyi są bardzo ciekawe i potrzebne.

Potem idzie statystyka materiałów surowych dla przemysłu wielkiego. Do nich należą: węgiel kamienny, żelazo, bawełna, wełna,

jedwab i inne materyały potrzebne dla przemysłu tkackiego, jak len, konopie i juta.

Osobny rozdział poświęcony jest statystyce metalów szlachetnych i kwestyi waluty. Autor daje nam: produkcją złota i srebra w państwach pojedynczych, dla okresu od 1493 do 1885 r., następnie ilość metalów, użytych dla bicia monety, wysokość zapasów metalicznych banków i rządów, wysokość odpływu metalów na Wschód, wysokość zużycia złota i srebra w przemyśle i stosunek wzajemny wartości obu metalów. Kiedy stosunek wartości złota do wartości srebra w okresie od 1687 do 1870 r. był jak 1:15 aż do 1:15₇₅, doszedł w 1885 r. do 1:20,82. Wartość srebra zmniejszyła się zatem o 31⁰/₀.

Jako przyczyny zmniejszenia wartości srebra podaje autor:

1) znaczne zwiększenie produkcji srebra wraz 2) z jednoczesnem zmniejszeniem produkcji złota, 3) zmniejszenie odpływu srebra na Wschód, 4) zwiększenie zapotrzebowania złota do przemysłu artystycznego, i nakoniec, 5) zaprowadzenie prawie wszędzie *de facto* waluty złotej i demonetyzacja srebra.

Znajdujemy następnie statystykę obiegu surogatów pieniężnych, biletów bankowych i pieniędzy papierowych i ruchu na giełdach wymiany (*Maring-honces*).

Część III-cia dzieła, poświęcona jest przedstawieniu środków komunikacyjnych, a mianowicie związkowi międzynarodowemu pocztowemu, telegrafom, drogom żelaznym, marynarce handlowej i kanałom Suezkiemu, Panama i Koryntu.

Zamyka dzieło statystyka handlu międzynarodowego, która służy autorowi jako dowód indukcyjny przeciwko teorii bilansu handlowego i przeciwko wszelkim wnioskom handlowo-politycznym, wyprowadzanym z tego bilansu.

Przedstawiliśmy czytelnikom treść i główniejsze wnioski, dzieła bardzo ważnego, w którym nagromadzono wielką ilość materyału statystycznego z pierwszej ręki, z należytem uwzględnieniem jego stosunkowej pewności. Materyał ten daje nam podstawy do wnioskowania, że interesa materyalne, ekonomiczne pojedynczych państw i narodów powiązane są taką wzajemną zależnością i solidarnością, że niepodobna przy stosunkach obecnych powrócić do dawnego średniowiecznego odosobnienia i poprzestać na wytwarzaniu miej-

scowem każdego pojedynczego kraju. Kapitał ma charakter kosmopolityczny i niepodobna go powstrzymać od przekroczenia granic pojedynczego państwa, jeżeli zbyt go wiele nagromadziło się w pewnej miejscowości. Podobnie przemysł wielki fabryczny i przemysł rolniczy niektórych państw domagają się wywozu zagranicę produktów, zbywających od spożycia wewnętrznego. Obecnie kiedy nawet Chiny zaczynają się otwierać dla przemysłu i społecznienia europejskiego, niepodobna ażeby które z państw europejskich, a tem bardziej wszystkie powróciły do położenia, w jakim do ostatnich czasów Chiny się znajdowały.

Witold Załęski.

Katholisches Leben in Mittelalter, ein Auszug aus Kenelm Henry Digby's „*Mores catholici or Age of Faith*“, von A. Kobler S. J. I. Band. Innsbruck. 1887.

Digby, syn protestanckiego pastora w Irlandyi, urodzony w r. 1800; już w 23 roku życia uzyskał stopień bakalarza, i w tymże samym roku przeszedł na wiarę rzymsko-katolicką. Całe swoje życie poświęcił on badaniu średnich wieków, a owocem tegoż jest niniejsze dzieło, które się pojawiło w latach 1831—1840. Digby umarł w r. 1880 jako mąż, który położył olbrzymie zasługi zarówno na polu naukowem, jak i na polu ruchu kościelnego w Anglii. (Gillow: Słownik bibliogr. katolików w Anglii od r. 1534). Tłumacz niniejszego dzieła, A. Kobler, słynie w Niemczech również jako znawca wieków średnich; porzuciwszy posadę, którą piastował jako profesor historii Kościoła w Innsbrucku, oddał on się następnie wyłącznie studjom historycznym. Tu naturalnie nasuwa się uwaga, że jak z jednej strony Kobler przed wszystkimi innymi powołany jest do traktowania tego rodzaju kwestyj, tak znowu z drugiej strony, — jeżeli podobne pisma w szerszych kołach się rozchodzą — zachodzi niebezpieczeństwo, że albo przedmiot sam zbyt skrupulatnie i drobiazgowo bywa opracowany, albo też strony ujemne milczeniem pominięte. Pierwszego tłumacz Digby'ego uniknął szczęśliwie, drugiego nie zupełnie zdołał się ustrzedz. Wielka szkoda, że O. Kobler nie zdecydował się uzupełnić w dopiskach dzieło Digby'ego, wynikami ostatnich badań, które na cały ten przedmiot rzucają odrębne światło. Pomimo tego braku dzieło to pozostanie jednym z najważniejszych, a bodaj czy nie najważniejszym na tem polu. Tom pierwszy obejmuje cztery księgi traktujące o czterech pierwszych błogosławieństwach. Pierwsza księga omawia: „błogosławieństwo płynące z ubóstwa w średnich wiekach; osobny rozdział poświęcony tu jest majątkowi kościelnemu. Następnie Digby przechodząc wszystkie stany udowadnia, że z ubóstwem połączoną jest pokora. Szczególniej pięknym w tej księdze jest wstęp o wychowaniu. Przedmiotem drugiej księgi jest wywód: Błogosławieni cisi w średnich wiekach — a ponieważ, jak to autor słusznie podniósł, wszelka dodatnia strona średnich wieków ma swoje źródło w religii, przeto znajduje tu autor sposobność do omówienia szczęścia płynącego z posłuszeństwa religijnego, które właśnie jest następstwem

owej pokory i cichości. To co autor opowiada o życiu różnych stanów i państw samych — jest szczerą prawdą, ale szkoda i to nie mała, że zamilczał o krwawych walkach, staczanych przez pojedyncze państwa, a nawet miasta i rodziny, jak również o częstych rozruchach i zupełnym braku bezpieczeństwa publicznego; zamilczenie to nadaje całej książce pewną tendencyjną cechę, która mimowoli czytelnika nie dobrze usposabia. Digby nie wie o nisko sklepionych izbach w podziemiach, o brudnych zaułkach, o gwałtach publicznych i pogwałceniach wszelkiej sprawiedliwości, dowodzi tylko, że wieki średnie spełniały cnoty zalecone przez Chrystusa, a tem samem używały w pełni przywiązanych do tych cnót błogosławieństw. Trzecia np. księga wykazuje, w jaki sposób cisi wieków średnich posiadli ziemię, a czwarta wychwala szczęśliwość płaczących i smucących się (pokuta, śmierć i t. d.). Błędny ten, zdaniem naszym, układ, sprawia, że z książki tej, bardzo bogatej w historyczny materiał, niezmiernie trudno zdać sprawę; trudno pomimo a raczej dla uczynionego podziału, utworzyć sobie jasny pogląd na życie wieków średnich, a czasem nawet na pojedyncze szczegóły tego życia. Pomimo tych zarzutów, dzieło Digby'ego nie jest bez wartości; kto chce się przypatrzeć wiekom średnim z pięknej ich strony, niechaj ją czyta, a z pewnością pozbędzie się niejednego uprzedzenia, a owe czasy wiary, wiary gorącej i głębokiej, jaśniejsz staną mu przed oczyma.

Ks. A. Arndt.

Maîtres contemporains par Henri Jouin, lauréat de l' Institut. XI. 305. Paris 1887.

Współcześni malarze i rzeźbiarze francuscy mogą być i są z pewnością zadowoleni ze swego historyka, który choć do grona ich nie należy i jest tylko, jak sam się nazywa, profanem — amatorem, umiłował całem sercem sztukę, a w sztuce jej mistrzów. Zwolna przesuwają się przed oczami czytelnika postacie i dzieła Fromentina, Corota, Regnaulta, Cognieta, Lehmana, Chama, Dorego, Baudry'ego; zgłębiany z autorem ich myśli, oceniamy przymioty, nie pomijamy, choć zawsze z winnem uszanowaniem, braków i wad. Każdy niemal z tych artystów, których imię głośnie dziś nie tylko we Francyi, walczyć musiał z wielkimi trudnościami; jednemu troska o kawałek powszedniego chleba tamowała drogę do sławy, drugiemu niechęć otaczających; ten o mało co nie zniechęcił się zbyt ostrą krytyką, która przywitała pierwsze jego prace; tamten, gdyby był wierzył nadto pochlebnym głosom, zasnąłby był dawno na laurach i nie zostawił po sobie żadnego trwalszego śladu. Wielu innych zniechęciło się i stanęło w pół drogi; kilku zaledwie energicznych odniosło zwycięstwo w tej walce o sławę. Ciekawe to i pouczające zapasy, tem ciekawsze, że opisane z wielkiem przejęciem się i werwą, stylem wykwintnym, akademickim, aż do przesady poprawnym. Co całej tej książce dodaje największej wartości, to, że autor kreśląc postacie artystów nie zapomina o ludziach, ich charakterach, usposobieniach, przekonaniach i że będąc widocznie sam chrześcijaninem, ma w rękę należyłą miarę do ocenienia tych przekonań i charakterów.

B.

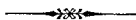
Unseres Herrn Trost. Dr. P. Keppler. Herder, Freiburg 1887 pag. 304.

Początkowem zamiarem autora było, treść tę przedstawić w formie historyi pasyjnej. Ponieważ jednakowo ramy takowej dla obfitości materiału

P. P. T. XVI.

okazały się za szczupłe, przeto opracował przedmiot niniejszy osobno. Odpowiednio do treści dzieli pracę swą na trzy części. Po wstępie, w którym w pięciu rozdziałach traktuje o charakterze i znaczeniu ostatnich słów naszego Zbawiciela (prawdziwość, sytuacja, kompozycja, dyspozycja, literatura), objaśnia w pierwszej głównej części ostatnie słowa w trzech stopniowaniach (rozdział 14—16). Najsamprzód rozbiera główną ich myśl, dalej związek między nimi, wreszcie przedstawia je homiletycznie. Część druga obejmuje wytłumaczenie modlitwy arcykapłańskiej Chrystusa Pana (rozdział 17) poprzedzone wstępem i opracowane zupełnie w ten sam sposób, co i część pierwsza, (główna myśl, związek, homiletyka). Główną zaletę dzieła stanowią krytyczne uwagi nad greckim tekstem. Jednakowoż w tym względzie możnaby zarzucić autorowi, że prawie zanadto uwzględnia literaturę protestancką, i że zanadto może powoduje się tłumaczeniem pisma św. czysto protestanckiem. Skutkiem tego nie podzielałbym niejednego zapatrywania autora. Również wulgatę traktuje nieco po nowszemu. Możliwość jeszcze nie jedną krytyczną co do tego dzieła zrobić uwagę, lecz nie chcąc, aby skutkiem takowych dzieło to dla egzegety nadzwyczaj pożyteczne i z taką opracowane starannością i pilnością miało stracić wobec czytelników na wartości, powstrzymuję się od nich, zwłaszcza że i tak nieliczne te uchybienia każdy znający się na rzeczy od razu spostrzeże.

Ks. A. Arndt.



Z pism peryodycznych.

Stimmen aus Maria Laach. Band 32. 1887. I.

Zadanie wybornego tego pisma stojącego od wielu już lat na straży katolickich interesów w Niemczech, jest na pierwszym miejscu apologetyczne; stąd też dziwić się nie można, że dziś zwłaszcza, w chwili, w której protestantyzm z nową zaciekleścią, jakby przewidując bliski swój koniec, stanął do walki z Kościołem, wszystkie prawie artykuły są mniej więcej polemicznej treści.

O. Pesch rozwija dalej przed oczami czytelnika kwestyę niezmiernie ważną, a będącą dziś na porządku dziennym w rozprawie p. t.: *Bóg, dusza i szczęśliwość wieczna według pojęć budaistycznych*. O. Langhorst obznajmia nas z nowożytną teorią o objawieniu. Ojcowie kościoła podobnie jak i scholastycy poświęcili nieraz całe swe życie filozoficznym badaniom nad początkiem, istotą i skutkami wiary; lecz pomimo tego nauka, która chętnie „nowożytną” się mianuje, wywodzi początek i źródło niejako tej kwestyi od Spinozy, ojca dzisiejszych niedowiarków. Przedstawiciele tej te-

oryi uważają naturalnie objawienie tj. bezpośrednie pouczenie ludzi przez samego Boga i udzielenie im przez Niego prawd, do których rozum ludzki nigdy dojść nie byłby w stanie, za zupełną niemożliwość, a mimo to pragną koniecznie utrzymać pojęcie „objawienia“ i starają się dlatego połączyć je z bronionymi przez siebie zasadami. Rzecz osobliwsza, że głównymi przedstawicielami tego kierunku są najsławniejsi teologowie protestancy. O. Pesch rozbiera w swej rozprawie system Dr. Pflëiderera jednego z epigonów Hegla. Według niego każda prawda jest zmienną, gdyż podlega ona prawu rozwoju, który i do objawienia zastosować trzeba. „Do objawienia Bóstwa dochodzono zawsze nie za pomocą naukowych wyników, ale za pomocą dwojakiego rodzaju wróżbiarstwa; jedno z nich zależy na zewnętrznych znakach potrzebujących wytłumaczenia; drugie bezpośrednio wypływa z wewnętrznego natchnienia. Jedną z późniejszych form wróżenia z zewnętrznych znaków było przeglądanie ksiąg świętych, za jakie chrześcijanie uważają Biblię lub Żywoty Świętych“. Mały ten cytat wystarczy zapewne, aby dać pojęcie o stanowisku, zajętem przez berlińskiego profesora teologii, przeciwko któremu występuje O. Langhorst. Dowodów, któreby w rzeczywistości zasługiwały na poważniejszą replikę, Pflëiderer nie przytacza.

O. Lehmkuhla nazwać można słusznie niewyczerpanym i nie-strudzonym, gdyż pomimo że się zajmuje poprawianiem swych dwóch dzieł treści teologicznej, jednocześnie umieszcza w *Stimmen* artykuły treści etycznej i socyalnej. W niniejszym tomie w bardzo zajmującej rozprawie zastanawia się nad pojedyńkiem pod względem historycznym i teoretycznym. Już najdawniejsze prawodawstwo szczepów germańskich, jeszcze przed VI. wiekiem, uważa pojedynek za dozwolony środek udowodnienia prawdy. Zwyczaj ten pogański przeszedł prawdopodobnie do chrześcijan, wkrótce jednakowoż wyraźnie przez Kościół zabronionym został, zakazy tego rodzaju wydali już Stefan V. i Mikołaj I. (858—867). Chodziło jednakowoż o to, aby ze stanowiska czysto filozoficznego zakazy te, jakie Kościół odtąd ciągle ponawia, wytłumaczyć i usprawiedliwić. Zadanie to przez O. Lehmkuhla w zupełności osiągnięte zostało; rozprawa jego napisana w sposób zajmujący i uczony, zbija raz jeszcze po tylekroć już zbity nedorzeczny przesąd, jakoby ten był

podłym i tchórzem, kto pojedynku nie przyjmuje, oraz udowadnia, że w sprawach tego rodzaju na przesady towarzyskie zważać bynajmniej nie należy.

O. R. Marty objaśnia nam nowożytną teorię palenia ciał zmarłych stawiając przeciw niej do walki własną jej historię. W najdawniejszych pomnikach historycznych, w których jest mowa o grzebaniu zmarłych czytamy, że służył ku temu celowi kawałek gruntu z dwoma jaskiniami; w tego rodzaju grobowcu Abraham kazał złożyć ciało swoje i żony swej Sary. (I. Mojż. 23). Trudno znaleźć choć jeden jedyny dowód na poparcie twierdzenia, jakoby Abraham nie postąpił sobie w tym wypadku według zwyczaju przejętego od przodków. Z pewnością ojciec wiernych trzymał się w tym względzie tychże samych zasad, według których postępował Nöe, a ten przejął od Setitów zwyczaj, według którego chowali przed potopem swych nieboszczyków. W każdym razie niema narodu, o którym możnaby historycznie stwierdzić, że w pierwotnej epoce swych dziejów palił zwłoki zmarłych. Palenie zwłok zaprowadzono dopiero wtedy, gdy ludzkość oddalając się coraz więcej od Boga i pierwotnego objawienia, popadała coraz głębiej w bałwochwalstwo i ciemności pogańskie. Jednakowoż i narody pogańskie wołały zawsze chować niż palić umarłych, a niektóre z nich, jak Chińczycy, Persowie, Żydzi, jedynie tego pierwszego używały sposobu. Z rozwojem chrześcijaństwa zwyczaj palenia ciał wyrugowanym został zupełnie i od IV. wieku chrześcijańska Europa wyłącznie tylko grzebała swych zmarłych. W naszych czasach nowożytni poganie pragną zwyczaj ten zmienić i już z tej i tamtej strony Alp dozwolono palić ciała nieboszczyków. Biskupi opierając się na bardzo ważnych powodach uzyskali w Rzymie zakaz brania udziału w tym ruchu (16 maja 1886), który podzielić można na trzy epoki. Pierwsza rozpoczyna się z rewolucją francuską i sięga po rok 1848, druga od tegoż czasu do roku 1869, trzecia od r. 1869 do naszych czasów. W roku 1794 spalono pierwszego nieboszczyka na polu Marsowem. Budowniczy pałacu sprawiedliwości mógł w roku VI. na podstawie myśli pozostawionej przez Dr. Beckera († 1685) wypracować plan do „krystalizowania“ nieboszczyków. Na wniosek Daubermesnil'a i Cambry'ego dozwolono w roku VIII. palić ciała zmarłych, w krótkce jednakowoż został Bonaparte pierwszym kon-

sulem i uregulował sprawę grzebania ciał. Tymczasem znaleźli się ludzie, jak Platen w Niemczech, Byron w Anglii, którzy z politowaniem wyrażali się o zwolennikach palenia ciał zmarłych. Dopiero w roku 1849, wystąpił jako nowy obrońca tej idei Jakób Grimm, którego rozprawa stanowi fundament dla wszystkich późniejszych równo myślących i na którą, jako źródłową pracę, wszyscy się powołują. Pomędzy wszystkimi nowożytnymi zwolennikami palenia ciał zmarłych, J. Moleschott pierwsze zajmuje miejsce, on to uważa „za święty obowiązek popiołami ludzi zmarłych użyźniać nieurodzajne łąny“. W roku 1868 przyrzekł Lieball, że w skutek obowiązkowego palenia ciał zmarłych „ziemia w raj się zamieni“. Włochy, jak również i Anglia w tymże czasie posiadały natchnionych obrońców, tego nowego poganizmu, tam Coletti, Giro, tu Cobbe gorąco przemawiali w tej sprawie, podczas gdy we Francyi jeden Bonneau kilka artykułów napisał w tej materii.

„Po walce z Kościołem następuje walka o szkołę“, zdanie to nieraz powtarzano w sejmie pruskim. O. Hammerstein dobrze znany ze swych *Wyznań starego Luteranina*, zajął się z tego powodu szkołami w kilku bardzo zajmujących artykułach. „Sekularyzacja szkoły“ nie jest wcale dawną. Kościół katolicki podniósł w wiekach średnich państwo niemieckie do niesłychanej świetności, która jeszcze i dzisiaj budzi podziw we wszystkich, i dopiero reformacja pierwszy jej cios zadała. Według zapatrywań płynących z mętnego źródła protestantyzmu i zupełnej obojętności dla wiary, już nie widome królestwo Jezusa Chrystusa, lecz państwo w swej narodowej odrębności ma podtrzymywać sztandar duchowego wykształcenia. Książę świecki został piastunem władzy kościelnej, państwo objęło urząd nauczania. Idee Woltera przyczyniły się do tego, że plan powyższy w zupełności przeprowadzono, a wykończył go dopiero w całej pełni Falk. Treść tego pierwszego historycznego artykułu objaśnia i uzupełnia O. Hammerstein w drugim o religijno-filozoficznym zakroju *Die moderne Staats- und Schulidee* (Nowożytna idea państwowa i szkolna). Nadzwyczaj pouczającym jest ostatni artykuł: *Die Parität in der Schule* (Równouprawnienie w szkołach). Katolicy w roku 1872 posiadali 9452 szkół ludowych z 19.595 klasami, 17.429 nauczycielami i 1.405.989 uczniami. Liczba uczeni katolickich była zatem większą o połowę jak prote-

stanckich, a jednak ci ostatni mieli 22.819 szkół z 42.929 klasami i 39.304 nauczycielami, dla tego, chcąc aby stosunek był odpowiedni, powinni katolicy mieć o 2000 szkół i 2000 klas więcej, jak mają w rzeczywistości. Głównie jednakowoż zajmą pewnie czytelników stosunki szkolne w polskich prowincjach Prus. Już od dawna rząd pruski systematycznie dąży do tego, aby szkoły tamtejsze nie tylko zgermanizować, ale i zamienić na protestanckie. Prawo o dozorze szkolnym, według zeznań tajnego radcy Wiesego, do tego głównie dążyło a i wszystkie dalsze środki dopomagać mają do tego samego celu. Katolicy mają 900 miejscowych i 148 powiatowych inspektorów szkolnych, która to liczba w stosunku do protestanckich o wiele jest za niską. Nie mniejszą szkodę ponoszą i wyższe szkoły i zakłady naukowe, gdyż zawsze i wszędzie uwzględniają w nich mniejszą liczbę protestantów z ujmą dla katolików. Podczas gdy pastor tylko w trzech gimnazjach nie udziela nauki religii protestanckiej, połowa tych zakładów nie posiada nauczyciela religii katolickiej. Katolicy stanowią $\frac{1}{3}$ ludności, gdy tymczasem liczba katolickich studentów stanowi $\frac{1}{5}$ względnie $\frac{1}{13}$ ogółu, tak że pod tym względem niżej stoją od Żydów. Lecz dość smutnych tych cyfer!

Już w poprzednich zeszytach zajmował się O. Ruff niebezpieczeństwem wynikającym z uderzenia piorunów. Skonstatował on, o ile takowe się zwiększyło; ważniejszem jednakowoż było pytanie, jaki jest powód zwiększenia tego niebezpieczeństwa, i na to obecnie odpowiada. Pierwszym powodem jest wycięcie lasów, przez co odosabnia się budynki; coraz liczniejsze sieci szyn kolei żelaznych i drutów telegraficznych, wreszcie w modzie dzisiaj będący rodzaj budynków. W każdym razie jestto kwestya ciekawa mało dotąd wyjaśniona.

Mało prawdopodobnie w Polsce jest znana fundacya Smithson'a w Ameryce. Na fundacyę tę składa się fundusz wynoszący około 700.000 dolarów, a przeznaczony na pomnażanie i szerzenie wiedzy. Zakład ten z wielką korzyścią istnieje już lat przeszło czterdzieści, na czele jego stoi prezydent Stanów Zjednoczonych. Działalność jego rozpada się na dwie części, pierwsza z nich więcej lokalnej natury polega na założeniu i podtrzymywaniu muzeum narodowego, druga więcej ogólnej natury ma na celu pomnażać i roz-

szerzać wiedzę na świecie. Szczegóły podane przez O. Hagen o działalności tej fundacyi, nadzwyczaj są zajmujące, nie dadzą się jednakowoż w kilku słowach streścić.

O. Baumgartner, znany poeta religijny, skreślił malowniczy opis podróży po Norwegii. O. Knoller daje nam charakterystyczny pogląd na dwa pierwsze prześladowania chrześcijan. Z pod pióra O. Maschlera wyszła religijno-filozoficzna rozprawa o nieustającej obecności Jezusa Chrystusa w Przenajświętszym Sakramencie Ołtarza. Recenzye zajmują się oceną dzieł treści historycznej, artystycznej, filozoficznej, społecznej i religijnej; pomiędzy autorami tych dzieł jeden tylko nie może rachować na niemieckich czytelników: *Astaszkow*.

Ks. A. Arndt.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Kongres katolików niemieckich w Trewirze. — Katolicki kongres społeczny w Liège. — Kongresy protestanckie i socyalistyczne. — Upadek starokatolicyzmu. — Odszczepieństwo ks. Mac-Glynn.

Letnie miesiące dobrze nadają się do rozmaitych, dziś tak modnych kongresów; jakoż nie było prawie dnia, w którym dowiedziećby się nie można o nowym jakim kongresie na tej, lub na tamtej półkuli, a jeśli wiele z tych zgromadzeń nie warte nawet kronikarskiej wzmianki, to niektóre natomiast zasługują, choć z różnych punktów widzenia na szczególną uwagę. W katolickich, protestanckich, wolnomularskich i socyalistycznych kongresach uwidoczniły się dosadnie raz jeszcze nauki i dążenia Kościoła katolickiego i jego wrogów; pokazało się, kto kieruje się prawdziwą i dobrze zrozumianą tolerancją, a kto nadużywa liberalnych haseł i w ich imię prześladuje prawdę i cnotę; kto jest obrońcą, a kto najzaciętszym nieprzyjacielem prawdziwej wolności i oświaty.

Miedzy wszystkimi tymi kongresami, pierwsze miejsce i to pierwsze miejsce tak ze względu na liczbę zgromadzonych, jak bardziej jeszcze ze względu na ważność i rozgłos swych uchwał, zajęło trzydzieste czwarte ogólne zgromadzenie katolików niemieckich w Trewirze. Oczy świata całego zwrócone były na te przez lat tyle, tak rycerskie i karne — słusznie za wzór całemu światu stawiane szereg. Czy po ostatnich wypadkach, po niezupełnem jeszcze, ale

niezaprzeczalnem wycofaniu się państwa niemieckiego z walki kulturowej, nie obluźnią się węzły łączące dotąd obrońców Kościoła, czy do obozu katolickiego nie weisną się niesnaski, usprawiedliwiona na pozór chęć odpoczynku po długoletnim boju, pragnienie egoistycznego korzystania z tryumfów z takim mozołem odniesionych? Na te naturalnie nasuwające się pytania dał kongres Trewirski najlepszą, nader pocieszającą odpowiedź. Starzy, zahartowani w boju dowódcy, dziękując Bogu za to co już dobrego się stało, nie zataili, że bardzo jeszcze wiele do zrobienia pozostaje; wskazywali i uczyli jak zdążać do spełnienia tego dobrego, a tłumy nowych krzyżowców niemieckich głośnym okrzykiem: *Tak Bóg chce*, wtórowały słowom swych wodzów, i rozumnym swym zapalem dawały rękojmię, że tak świetnie wśród szczęku broni rozpoczęte dzieło odrodzenia katolickiego w Niemczech, wzrastać teraz nie przestanie, owszem coraz bujniej rozwijać się będzie.

Obrady kongresu, w których uczestniczyło 7.986 zebranych z całego świata katolików niemieckich, rozpoczęły się 29 sierpnia odczytaniem listu papieskiego z błogosławieństwem dla członków kongresu, z życzeniem, aby ich prace przyniosły plon jak najobfitszy. Następnie wszedł na mównicę prezes kongresu hr. Ballestrem witając obecnych chrześcijańskiem pozdrowieniem: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“...

„Kto do Chrystusa się przyznaje, ciągnął mówca, ten przyznaje się też do instytucji ustanowionej przezeń dla naszego zbawienia, do Kościoła katolickiego... Wszystkie nasze generalne zgromadzenia są świadectwem zgody panującej między ludnością katolicką, jedności jej z politycznymi organizmami, z duchowieństwem, z papieżem i z Chrystusem. Tak, da Bóg, i na przyszłość będzie. Jeśli byśmy wierzyć mieli i chcieli naszym nieprzyjaciołom, to dzisiejsze zgromadzenie miałoby już być ostatniem z rzędu. Lecz jakież na poparcie swego twierdzenia dają dowody? Mówią, że papież porucił politykę kościelną wyłącznie swoim dyplomatom i nie tai niezadowolenia, gdy ludzie świeccy nią się zajmują. Gdyby to było prawdą, w takim razie w tejsze chwili zamknąłbym nasze obrady, boć wszyscy pragniemy żyć i umierać jako wierni i posłuszni synowie Kościoła i widomej jego głowy. (Przeciągłe oklaski) Lecz dość przypomnieć sobie przesłiczny list, dzisiaj tutaj odczytany, w którym Ojciec św. udziela nam swego błogosławieństwa. Czyż zresztą papież nie wyraził swego uznania dla błogiej działalności katolików świeckich, zwłaszcza na parlamentarnej arenie? Dlatego i nadal zdążać będziemy do usunięcia nieprzyjaznego nam prawodawstwa; będziemy czuwać nad należytem wypełnieniu przyznanych nam ustępstw; będziemy stać w obronie świętych praw Kościoła“.

W dalszym ciągu swej mowy zwrócił hr. Ballestrem uwagę zgromadzonych na nowego wroga katolicyzmu, niedawno założony: *Związek ewangeliczny*, który właściwie zwaćby się powinien *Związkiem antykatolickim*. Obok tego zaciętego i jawnego wroga skupiają się i inni niemniej potężni, często może niebezpieczniejsi; z naszej strony najsilniejszym waleń i bronią w tej ciągłej, wielostronnej, ciężkiej walce jest modlitwa i silna organizacya. A więc: *Vigilate et orate*: módlcie się i organizujcie się.

Jacy to wrogowie zagrażający chrześcijaństwu, a tem samem społeczeństwu? Na jednego z nich wskazał poseł do parlamentu Dr. Hitze, w obszernej mowie o socyalizmie, niosącym nienawiść, i rozpacz do chat ubogich, strach do pałaców bogaczy. Pałasze i karabiny nie tu nie pomogą; trzeba do serc przemówić i serca zdobyć; trzeba zabezpieczyć rodzinę i ołtarz, a wtedy i tron stać będzie na silnych podstawach. Dopokąd np. na kwestyę święcenia niedziel zapatrywać się będziemy ze stanowiska czysto ziemskiego, i nie pytając o wolę i rozkaz wszechmocnego Boga, będziemy pytać o zbyt często nierozsądne, kłamliwe, pod groźbą zainteresowanych wyrzeczone życzenia robotników, dotąd żądać nie możemy, aby ci sami ludzie, których uczymy pogardzać prawami Bożymi, mieli mieć cześć dla prawodawstwa ludzkiego. Nawiązując do tego samego tematu, rozwinął generalny dyrektor Hilt wspianą obraz obowiązków katolickich pracodawców i stosunku ich do robotników, a hr. von Schmiesing, Kerssenbrock postawił rezolucyę domagającą się, aby kolonie robotnicze poddane zostały pod odpowiedni wpływ Kościoła, gdyż wtedy tylko przynieść będą mogły społeczeństwu należyta korzyść. Kongres przyjął również jednogłośnie wniosek Dr. Moufanga o międzynarodowem uregulowaniu kwestyi obowiązkowego święcenia niedziel i wniosek o zakładaniu katolickich stowarzyszeń robotników i robotnic, wedle zasad wyłożonych w encyklice: *Humanum genus*.

Lecz nie poradzimy ani socyalizmowi, ani rozrastającej się niewierze i niemoralności, jeśli zwalczać ich nie będziemy w samym zarodku chrześcijańskim wychowaniem młodzieży. Po głośnym kulturkampfie, ostrzega proboszcz Lehnem-Adenau, rozpocznie się teraz inny, mniej rozgłośny, niemniej niebezpieczny kulturkampf, a planem nowej tej walki ma być przede wszystkim szkoła. Duch i wy-

chowanie szkolne harmonizować powinno z duchem i wychowaniem domowym; zmuszanie rodziców do umieszczania swych dzieci w szkołach, w których słowem, a często i przykładem uczyć ich będą zasad i rzeczy, których w domu jak ognia strzedz im się kazano, jest najwyższą nietolerancją, jawną wzgardą obywatelskiej i religijnej wolności sumień.

„Skoro prowincje nadreńskie dostały się pod panowanie Prus, zapewniono tamtejszym mieszkańcom wolność religijną, a cesarz Wilhelm wyraził się, że trzeba i należy ludowi religię zachowywać. Z naszej strony niczego nie pominiemy, aby cesarskie słowa w całej pełni mogły się urzeczywistnić. (Głośne oklaski) Kościół i jeden tylko Kościół ma moc i poselstwo do udzielania nauki religii. Kiedy P. Jezus powiedział Apostołom: *Idźcie i nauczajcie wszystkie narody*, nie zrobił wyjątku ani dla Prusaków, ani dla dzieci zrodzonych w XIX. wieku. A Kościół ma nie tylko prawo, ale zarazem wie jak i czego ma nauczać. Wszak nawet p. minister Puttkamer przyznał, że szkoła obejść się nie może bez pomocy Kościoła ... Kościół oddawna, w obliczu historii całego świata, pokazał czego dokazać może w olbrzymiej pedagogicznej dziedzinie; przeciw metodzie państwowej przemawia statystyka, wykazując mnożącą się rok rocznie liczbę młodociannych przestępców. Rozwiązanie całej tej walki, i wszystkich połączonych z nią zagadnień leży w słowach: Oddajcie cesarzowi, co jest cesarskiego, a Bogu, co jest boskiego“.

Źle i smutno, kiedy szkoły napawają trucizną młodocianne serca i umysły; najsmutniej i najboleśniej, kiedy trucizna ta przedostawszy się do żeńskich zakładów wychowawczych odbiera nadzieję nawet lepszej przyszłości. Dr. Hammer przedstawił w wymownych słowach tak pozornie śmieszny, w gruncie nader smutny obraz dziewczyny, wychowanej wedle nowoczesnej, wrzekomo liberalnej metody. Nowoczesne wychowanie zdążyło do tego, aby dziewczyna zdać mogła kolejno trzy egzamina: na damę uczoną, mogącą mówić o wszystkim, o chemii, filozofii i t. d., na damę salonową, będącą dla innych żywym przykładem w strojach, ułożeniu i t. p.; na damę światową, rozmiłowaną w wierze i obyczajach z mahometańskiego rajy. Przeciwnie, wychowanie chrześcijańskie postawiło sobie za cel, aby dziewczęta zdać mogły egzamin na dobrą panią domu, dobrą żonę, pobożną chrześcijańską matkę... W pewnym zakładzie żeńskim wyznaczono osiem godzin tygodniowo na chemię, a cztery godziny na fizykę; szczęściem, podobnie jak największym przymiotem filozofii niemieckiej jest podobno jej zupełna niezrozumiałość; tak też największym przymiotem tego ro-

dzaju wychowania jest, że uczennice nie a nie nie rozumieją swych nauczycieli, bo inaczej głupstwo i zle bez porównania bujniej rozrosłoby się po świecie. Naturalnie i dziewczyny potrzebują nauki i wykształcenia, ale nauki odpowiedniej, wykształcenia chrześcijańskiego. Chrześcijanizm podniósł kobietę i chroni ją od zbroczeń; kobieta oddalająca się od zasad życia chrześcijańskiego myśleć będzie tylko o zabawie i podobaniu się, lub chcąc sprostać mężczyźnie, przyjmie i spotęguje tylko w sobie niektóre jego wady, a tak w pierwszym jak w drugim przypadku, jest czemś poprostu potwornem.

Nie tak obszernie, choć nie mniej gruntownie jak nad szkołą, a w ogóle nad wychowaniem chrześcijańskim zastanawiał się kongres Trewirski nad sposobami, którymi sztukę i literaturę, zwłaszcza lżejszą, sprowadzićby można na bardziej chrześcijańskie tory. Posel dr. Lieber wyluszczył, wśród entuzjastycznych oklasków, wysokie znaczenie i zadanie katolickich zakonów. Chcecie ustrzedz się socjalizmu, budujcie jak najwięcej klasztorów, których mieszkańcy sami jedni umieją wlać w serca upośledzonych i biednych balsam pociechy i otuchy. Tak jest! należy otworzyć Niemcy na oścież wszystkim wypędzonym zakonom i to bez żadnego wyjątku; — nawet Jezuitom. Wolność dla wszystkich, nawet dla Jezuitów!.. Zakony są nam niezbędne, bo stawiają nam przed oczy, nigdy nie-zgasły, wiecznie odmładzający się ideał chrześcijańskiego życia, bo są obrazem, zachętą i pobudką do starania się o chrześcijańską doskonałość. Jeśli kiedy, to dzisiaj zakony mają przed sobą wielkie posłannictwo: dzisiaj nie dosyć już nieść chorągiew krzyża w dalekie części świata, dzisiaj i w Europie trzeba krzyżowi przywrócić cześć należną, trzeba coraz bardziej upadającej Europie pomódz do powstania.

Pouczające a bardziej jeszcze podnoszące ducha obrady katolików niemieckich, zakończył Windthorst wspianą mową, w której streściwszy poczynione uchwały, podziękował Bogu za widoczną i szczególną opiekę nad Kościołem katolickim w Niemczech.

Przeciwnicy nasi, mówił sędziwy wódz niemieckich katolików, pytają, czy Centrum jeszcze istnieje, czy Windthorst ustąpił nakoniec. Obecne zgromadzenie nasze najlepszą na te pytania daje odpowiedź... To, cośmy dotychczas otrzymali, wystarczyć nam nie może. Bądź co bądź otrzymaliśmy

jednak coś, a zawdzięczamy to na pierwszym miejscu papieżowi, jego modlitwie i niezmordowanym rokowaniom. Razu pewnego modlił się papież po północy; zapytany za kogo, odpowiedział: za niemieckich katolików. Dalej zawdzięczamy to jedności i męczeństwu naszych biskupów i księży. Zachowanie się duchowieństwa godnem jest podziwu. Wypowiedzmy dziś głośno duchowieństwu najszczerze nasze dzięki: gdyby kler tak silnie nie stanął, żleby z nami było; takiego kleru żadna potęga złamać nie potrafi. Jakże rzeczy się mają co do prawa rządowego *veto*? Prawo to bynajmniej mię nie zadawalnia. W tym względzie toczą się jeszcze rokowania; zdaje się, że rząd zobowiązał się do niezakładania protestu z powodu duchownych czynności urzędowych lub wypełnienia praw obywatelskich. Obowiązkiem naszej prasy jest wciąż wracać do tej kwestyi. Z wielu stron dały się słyszeć nagany dla naszej prasy; z naganami temi należałoby być bardzo ostrożnym. Dziennikarstwo stoi w przedniej straży i bije się mężnie; często ostrzegać musi o niebezpieczeństwie, zanim przedstawiciele katolickiego ludu mogą w parlamencie z nieprzyjacielem się zmierzyć. W bardzo krótkim czasie prasa nasza nadzwyczaj się rozrosła; nie zaniedbujemy jej, bo jest nam niezbędnie potrzebną. Najważniejszą dla nas kwestyą jest kwestya szkolna. Nie zrażamy się niczem, nie ustawajmy ani na chwilę, a otrzymamy dla szkół naszych wolność i niezależność, podobnie jak angielscy katolicy, niczem się nie zrażając, otrzymali dla siebie wolność i niezależność. Kościół wychował sobie szkoły; pod jego zatem wpływem i dozorem, podobnie jak pod wpływem i dozorem rodziców zostawać powinny. Do osiągnięcia tego celu dążmy cierpliwie a wytrwale z pomocą i współdziałaniem wszystkich matek, owych z prawa przyrodzonego nienaruszalnych inspektorów szkolnych. Nauka religii powinna pozostawać wyłącznie i zupełnie w rękach Kościoła. Studenci katolicy niechaj uczą się pilnie pamiętając, jak ciężkie prace, jak wysokie a trudne powołanie i zadanie na nich czekają... Pamiętając o zakładach misyjnych, stowarzyszeniach społecznych i rzemieślniczych nie zapominajmy też o smutnem położeniu Ojca chrześcijaństwa. Obecny stan rzeczy zmienić się musi; papież musi otrzymać świeckie panowanie, jako podstawę rzeczywistej niezależności.

Jeszcze nie przebrzmiało echo obrad i uchwał w Trewirze, a już czwartego września rozpoczęły się niemniej ważne obrady socyalnego kongresu katolickiego w Liège. Po nadzwyczaj ożywionych rozprawach, kongres przyjął zasadę, że państwo może, a w pewnych razach i powinno rozciągać nad robotnikami szczególną opiekę, przymuszając ich do obowiązkowych asekuracyj na przypadek choroby, śmierci i t. p. Szczegółowe uchwały wymierzone przeciw pijactwu, temu największemu wrogowi robotnika, przyniosą z pewnością wyborne rezultaty, jeśli tylko państwo zechce użyć energicznej pomocy do należytege ich wykonania. To samo da się powiedzieć o uchwałach regulujących pracę dzieci i kobiet. Powszechny i szczery entuzjazm obudziła mowa p. Verspeyena o obecnem

położeniu Ojca św. Papież, argumentował mówca, mieć musi niezależność zupełną i najświętsze ma do niej prawo, boć katolicy całego świata mają prawo do wolności, do wyznawania swej wiary, a prawa te ich w ciągłym i koniecznym są związku z niezależnością papieża. Wieczorem 8 września zebrało się liczne, bo z przeszło dwóch tysięcy składające się zgromadzenie katolickich robotników, którzy okrzykami swymi na cześć Leona XIII. dobitnie potwierdzili i nadali niejako ludową sankcję wymownym słowom p. Verspeyena.

Katolicki kongres w Liège tem większe miał znaczenie w obec rozdwojenia w obozie belgijskich socyalistów, którzy na odbytem przed kilku tygodniami kongresie w Mons rozdzielili się na dwa wręcz sobie nieprzyjemne stronnictwa. Pewna bardziej czerwona część robotników domagała się bezzwłocznego zawieszenia wszystkich robót; inni nie sprzeciwiając się w zasadzie tej propozycji, pragnęli odłożyć praktyczne jej wykonanie aż do zupełnego uorganizowania się socyalistycznego stronnictwa. Po walce i to walce nietylko na słowa nastąpiła formalna seysya; 43 grup zawiązało nowy republikańsko-socyalistyczny związek, tak, że właściwe stowarzyszenie rzemieślników belgijskich liczy już dziś tylko 157 grup. Delegat robotników angielskich, Headingly, zachęcał zgromadzonych, aby, jeśli rzeczywiście pragną rozwiązania kwestyi socyalnej, rzucili się przedewszystkiem na fabryki i zrabowali je do szczytu. Czy nie to samo: kradzież i rozbój, mieli na myśli socjaliści zebrani w sierpniu na kongres w Paryżu, kiedy wołali z tryumfem: „Burżoazy! koniec twój bliski; maluczko a znikniesz z powierzchni ziemi“. Bądź co bądź odbyte niemal jednocześnie kongresy w Mons, Paryżu, Liège rzucają ciekawe a jasne światło na najważniejszą może kwestyę naszego wieku — kwestyę społeczną; z jednej strony gotują się do walki barbarzyńskie hordy socyalistów, grożące Europie zalewem, straszniejszym od zalewu Wandalów i Hunnów; z drugiej strony stanęli wierzący katolicy nie tający sobie groźnego niebezpieczeństwa, przyznający głośno, że niejedno pozostaje do zrobienia dla ubogich i maluczkich, ale silnie przeświadczonych, że tylko ten sam Kościół, który zniósł niewolę, uszlachetnił kobietę, z ubóstwa zdjął piętno hańby, potrafi i teraz rozwiązać skutecznie kwestyę socyalną, o ile to rozwiązanie na ziemi jest możliwem.

Smutno pomyśleć, że w chwili tak trudnej, a w której wszy-

scy wierzący chrześcijanie powinni się połączyć przeciw wspólnym wrogom wszelkiej objawionej wiary i porządku społecznego, zawiązało się w Erfurcie protestanckie stowarzyszenie, którego głównym, pierwszym, a bodaj czy nie jedynym celem ma być nie szerzenie zasad chrześcijańskich, ale zacięta walka przeciw Kościołowi katolickiemu. Członkowie tego stowarzyszenia, które urzędowo nazywa się *Ewangelicznym związkiem* (*Evangelischer Bund*), dla tego chyba, że wyrzekło się uroczystie zasad przez Ewangelię uświęconych, zebrali się 15 sierpnia na pierwszy walny sejm w Frankfurcie nad Menem, aby stosownie do swych statutów obmyśleć środki „przeciw rosnącej potędze Rzymu, podając jednocześnie braterską „dłoń tym katolikom, którzy przejęci prawdziwie katolickim (!) duchem, bronią sprawy wolności religijnej w łonie swego Kościoła“. Jeśli wierzyć urzędowym sprawozdaniom, to „Związek Ewangeliczny“ liczy dzisiaj do 10.000 członków, pomiędzy którymi nieomal jedną trzecią część stanowią pastory; spodziewać się należy po zdrowym zmyśle ludzkości, że ostatecznie obrady otworzą oczy niejednemu z uwiedzionych i że „Związek“ podsycany niemal wyłącznie nienawiścią przeciw katolickim współobywatelom, długo wyżyć nie zdoła. Jeden z mówców wygłosił panegiryk starokatolicyzmu: nie kona on jeszcze i nie skona, byle „związek protestancki“ przyszedł mu z pomocą; inny mówca uderzył na tych, którzy w małżeństwach mieszanych obowiązują się wychowywać swe dzieci po katolicku; inny jeszcze postawił natychmiast przez zgromadzonych przyjęty wniosek, aby zakazać katolikom całych Niemiec odprawiać procesy poza obrębem cmentarzów i kościołów. Inne jeszcze uchwały wymierzone zostały przeciw zakonnikom i zakonnicom, zwłaszcza przeciw Siostrom Miłosierdzia, tym złodziejkom dusz, czyhającym tylko na sposobność, aby je z nienacka pochwycić i w rzucić w szpony katolickich kapelanów. „Nowo mianowany protestancki „sztab wojenny, pisze z słusznem oburzeniem o tym *nieewangelicznym* kongresie, monachijski *Fremdenblatt* z wieloma trudnościami mieć będzie do walczenia, bo ucziwi protestanci odwracają się od niego, a reszta nie troszczy się bynajmniej o religijne sprawy. Rząd wie doskonale z doświadczenia nabytego w czasie „*Kulturkampf*“, że wojna religijna przynosi daleko więcej szkody „protestanckiemu, niż katolickiemu kościołowi, a czyż mniema kto

„może, że nowe cesarstwo niemieckie z samej swej istoty nosić „musi w swem łonie religijne walki? Czemuż w takim razie, stary „nasz cesarz z taką radością powitał zapowiedź kościelnego pokoju?“

Pomimo uroczystych zapewnień protestanckich, że starokatolicyzm żyje i konać nie myśli, faktem jest, że skończył on już od dawna, a raczej od samego początku istnienia nie był niczem innym, jak tylko nową gałęzią wyrosłą z protestantyzmu. Gdyby na poparcie tego twierdzenia potrzeba było jeszcze nowego dowodu, to dostarczyłby go rozesłany przed paru tygodniami okólnik starokatolickiego pastora Hoffmanna z Essen, zachęcający katolików żyjących w małżeństwach mieszanych do łączenia się z starokatolikami, którzy małżeństwom takim bynajmniej nie są przeciwni. Oto do jakiej „śmieszności“, jak słusznie wyrażają się w tym względzie katolickie dzienniki, doszedł europejski starokatolicyzm, zainaugurowany przed kilkunastu latami z takim rozgłosem przez słynnego Doellingera; nie inaczej, tylko prędzej jeszcze i z większym wstydem skończy, a raczej już kończy nędzny swój żywot bunt wszczęty w Ameryce przeciw prawowitej władzy kościelnej przez Doellingera amerykańskiego, jak go dziś nazywają, nieszczęśliwego Mac Glynna. Gorący ten, raczej wyobraźnia niż rozumem powodujący się Irlandczyk, był proboszcz przy irlandzkim kościele św. Szczepana w New-Yorku, wyobraził sobie, że wprowadzenie w życie socjalistycznej nauki o zawładnięciu przez państwo wszelkiej własności ziemskiej, znacznie polepszy los jego rodaków, i stanął w szranki za niebezpieczną tą i fałszywą nauką, z namiętnością nie odpowiadającą ani kapłańskiemu jego charakterowi, ani urzędowi, który zajmował. Niebawem skupili się koło ambitnego i wymownego trybuna najgorsi ludzie, którzy oddawna już wynurzali się z myślą utworzenia „narodowego amerykańskiego kościoła“, a zreć nie pochybiając Mac Glynnowi, wiedli go coraz szybciej po pochyłej drodze, wiodącej do apostazji. Dziwne nauki głoszone z ambony, agitacya prowadzona coraz ruchliwiej i skandalicznie za tym, którego zaczęto już nazywać „amerykańskim papieżem“ zwrócić musiała uwagę władzy kościelnej. Arcybiskup z New-Yorku napomniawszy po kilkakroć opornego kapłana, odurzonego pochwałami, których mu nie szczędziły wolnomularskie dzienniki, a gdy napomnienia nie poskutkowały, zagroził karami kanonicznymi. Sprawa oparła się

o Rzym; Mac Glynn oświadczył, że nie myśli stanąć przed wyznaczonym sądem i poddać się jego wyrokowi, a natomiast ogłosił w *North American Review* artykuł pełen jadu przeciw Kościołowi, przeciw „maszynie“, jak zwykł nazywać kościelną hierarchię. Mac Glynn doszedł do apostazyi tą samą drogą co wszyscy inni odstępcy; tak samo też jak oni miał skończyć. Od chwili, w której Kościół rzucając nań uroczystą klątwę, jawnie potępił nauki jego i zasady, Mac Glynn przestał być niebezpiecznym, a założony przez niego „narodowy“ kościół, jest tylko jedną karykaturą więcej w liczonym zbiorze owych narodowych kościołów, smutnych, choć dzięki Bogu szybko przemijających objawów bezgranicznej ludzkiej dumy, a raczej z pychy zrodzonego szaleństwa. Daremnie nowy herezjarcha usiłował pociągnąć za sobą lud i niższe duchowieństwo, głosząc, że nadszedł już czas „wyzwolenia się z pod uwłaczającej „kapłanom przemocy biskupów, że znowu, jak w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, same gminy powinny sobie biskupów i księży „wybierać;“ zbyt oklepana to piosnka i prócz kilku złych księży, prócz kilkuset wrzekomych katolików, którzy dotychczas o religię nigdy się nie troszczyli, nikt zdradliwej tej piosnce skusić się nie dał. „Cały ten wypadek, powtórzyć słusznie można za amerykańskim korespondentem do gandawskiego *Bien Public*, przyczyni się tylko do oczyszczenia atmosfery katolickiej w Ameryce; jak dawniej tak i dzisiaj, same nawet błędy i herezye pracować muszą, choć nieświadomie, dla tem większego tryumfu katolickiej prawdy“.

Ks. Jan Badeni.

Listy o Rumunii.

Ze wszystkich mało poznanych i niedostatecznie pojmowanych udów Europy Wschodniej, najmniej może znanym, najmniej zrozumianym jest naród rumuński. Zachód, w ogóle mówiąc, bardzo mało wie o Rumunii, a i to co wie, jest zazwyczaj tylko powtórzeniem tego, co Rumunowie mówią sami o sobie, albo co chcą, aby o nich mówiono. Stąd pochodzi, że wiadomości te i cały pogląd na Rumunię są rezultatem mniej więcej uprzedzeń fałszywych, po-

takiwania pewnym dążnościom politycznym i powierzchownego oceniania rzeczy. Skądinąd nawet tym, którzy długo mieszkali w pośród tego zajmującego ludu, a więc mieli sposobność poznać go gruntownie i dokładnie, jeszcze z niemalą trudnością przychodzi dojść do ostatecznego, zupełnie bezstronnego sądu. Z jednej strony niezawsze umie się zrobić abstrakcyę sposobu widzenia narodów zachodnich, które, jakkolwiek różnią się między sobą, jednak wyrobiły sobie pewne wspólne kryteria, jako od tylu wieków uczestniczące w jednej wspólnej sferze życia, która nie była napewno sferą życia narodów wschodnich. Z drugiej strony rzadkiem to jest niezmiernie, aby nieubłagane sądy prawdy, niezawsze przyjemnej, przybierały dostateczną miarę współczucia i bratniej miłości, tak aby umiano znaleźć (gdzie te istnieją) pobudki wymawiające, tam nawet, gdzie wiele jest do nagany; lub też aby zdołano oddzielić od złego tę pewną cząstkę dobra, jakiej niebo nie odmówiło żadnemu narodowi, jaka raczej rozmaicie jest rozdzieloną w całej społeczności ludzkiej celem wydania w pewne czasy dane, harmonij przeznaczonych na to, aby wraz z innemi harmoniami złożyły tę syntezę, ostateczną, do której zmierza rodzaj ludzki, jak w porządku materialnym tak i moralnym.

Dokonanie takiej abstrakcyi i takie pogodzenie motywów sądu, jest pracą właściwą filozofa chrześcijańskiego, który nie inny koniec upatruje w historii świata, jak przyjście królestwa Bożego, nie co innego uznaje za środki zdobywcze, zgodne z braterstwem ludzi i z godnością człowieka, jak tylko prawdy czarujące oczywistością i niezglębioną miłością bliźniego pociągającą słodyczą. Co do nas, nie mamy pretensyi w tych krótkich studyach lepiej zrobić od innych; ale naszym stanowiskiem będzie to, cośmy wskazali, a gdybyśmy się z niem w jakim punkcie rozminęli, byłoby to chyba z niewiadomości w takiej rzeczy: *et voluisse sat est*.

I.

Wiadomo powszechnie, że Rumuni twierdzą, jako i zawsze twierdzili, iż są potomkami starożytnych Rzymian w szczególności zaś tych, któremi Trajan, w początku II. wieku, zaludnił założone

przez się osady w Dacyi. Badacze nie rumuńskiego pochodzenia nie wszyscy podzielają, a przynajmniej w ubiegłym czasie nie wszyscy dzielali to zdanie. Byli etnografowie, lingwiści i historycy, którzy uważali Rumunów raczej za naród mieszańców, w skład którego wszedł w przeważnej części żywioł słowiański, dalej zaś w ograniczonych więcej rozmiarach wchodziły żywioły: albański, nowogrecki i turański; nie mówiąc już o innych mniej łatwych do rozpoznania.

Podług powszechnie przyjętego prawidła nie wolno jest pomiąć uwagą tego, co naród jaki, w ciągu wielu wieków, twierdzi o swoich początkach, a co wykazują nadto i nazwy same, jakimi zawsze bywał mianowany, nawet od cudzoziemców. Najlepszą strażnicą tradycyi jest samowiedza powszechna. Z drugiej strony, przerwy i punkta wątpliwe, jakie spotykamy w dziejach Rumunów, szczególnie od XIII. wieku wstecz aż do wieku III., nie stanowią powodów dostatecznych do zaprzeczania im pochodzenia latyńskiego. Nauka nowożytna znalazła sposoby niemyślne rozeznania w nich typu latyńskiego, i obok tego wykryła, że narodowość rumuńska miała już wówczas własny, odrębny byt społeczny, kiedy Słowianie i Bułgarowie zjawiali się nad Dunajem; odkąd zaś ludy te przebywszy Dunaj wkroczyły na jej ziemię, uległa zmieszaniu z obcymi sobie żywiołami i tak zmieszana pozostała. Plemię to pierwotne nie doszło nigdy do ześrodkowania zupełnego w jedno ciało polityczne, ani do wstąpienia w sferę inną od tej, która zakreśla widnokrąg wspólny ludów bałkańskich. To też w następności, dzieląc mniej więcej losy tych ludów, prowadziło z nimi ciągłą wymianę produkcji, idei, zwyczajów, instytucyj i zaszczerpionych na pniu swoim plónek, jako i za dni naszych nie przestaje od nich odbierać różnostronnie wielorakich zasilków; tak dalece, że ani mowy o tem być nie może, by poznać Rumunów, w odosobnieniu od Serbów, Bułgarów, Albańczyków, Greków nowożytnych i Tatarów. Pozostaloby tylko do roztrząsania: jaki jest stopień działania siły asymilacyjnej jednych, w zestawieniu z drugimi, i w jakiej mierze to, co zdaje się być żywiołem wspólnym, może być owocem wpływu pierwszego szczepu na drugie.

W każdym razie nie ulega wątpliwości, że rumuni przodkowali zawsze najbliższymi swym sąsiadom liczbą ludności i warun-

kami terytoryalnymi kraju, nie mniej jak przymiotami umysłu, jakby stworzeni do rozciągania nad nimi pewnego rodzaju hegemonii. A jednak posłannictwo ich dziejowe zawsze — rzecz można — zawodziło. Nie potrzeba szczególnej przenikliwości, aby wykryć tego przyczynę: próżno szczycą się latyńskim swem pochodzeniem, kiedy faktycznie pochodzeniu temu nie byli wierni w przeszłości, nie wiele wierniejsi są i teraz; a właśnie to sprzeniewierzenie się charakterowi latynów narażało ich zawsze na złe losy. Gdyby naród rumuński w rzeczach wiary i rytu zachował był od najdawniejszych czasów swój punkt ciężenia ku zachodowi, to niewątpliwie byłby wspólny z narodami zachodnimi, korzystał z tego nowego słońca cywilizacji, co z Kościoła Rzymskiego zajaśniało nad światem łacińskim. A w tym razie byłby też zaczerpnął dość światła i serdecznego ciepła, do zwyciężenia przeciwności złych czasów, do wytworzenia dokoła siebie całej sfery działalności swojej własnej w pośród liczego orszaku tych młodocianych ludów barbarzyńskich i zapewnienia sobie miejsca zaszczytniejszego w koncercie państw chrześcijańskich.

Natomiast wszakże, naród ten, zaledwo wyszły z pieluch niemowlęstwa, przychylając się w IX. wieku do interesów hierarchii wschodniej, a niedługo potem do odszczepieństwa Focysza, wpadł w sferę cywilizacji bizantyńskiej; w niej znalazł punkt ciężenia i zachował go w chwilach najważniejszych dziejowego życia, w niej otrzymał całe właściwe jej wychowanie, i wreszcie skarłowaciał, wraz z bizantyńskim państwem, jak roślina zasadzona w zepsutej atmosferze, tak dalece, że w ciągu tysiąca lat, pozostał w niemowlęctwie, bez wieku młodzieńczego i bez męskiej doby. Stracił przytem wiele dzielności wrodzonej, przyzwyczaił się dźwigać okowy tyranów, bądź obcych — bądź krajowych, doszedł wreszcie aż do wstydu z siebie swego pochodzenia i do zestawienia narodowego miana jedynie tylko upośledzonym społeczeństwa warstwom.

Niepożyta jest, zaiste, moc wewnętrzna chrystyanizmu, zdolna nie tylko upłodnić co puste i płonne, uzdrowić co chore, lecz nawet i co obumarłe, przywrócić do życia; jakkolwiek boski ten posiew nie działa nagle, chyba w razach wyjątkowych. W zwyczajnym biegu rzeczy wschodzi i działa stosunkowo do stanu i usposobienia roli, na które padło nasienie; zdarza się zatem, tak w życiu poje-

dyńczych ludzi, jak i w dziejach społeczeństw, iż ziarno w jednym miejscu uczepi się gruntu, w drugim zostanie zwiane wiatrem lub pastwą stanie się zwierząt polnych, albo zanim urośnie w drzewo, pod którego cieniem chronić się będzie ptactwo niebieskie, cierpie w swym wzroście zwłoki, przerwy, a nawet cofania się.

Mogły więc już pod wpływem pierwszych promieni chrześcijaństwa powstać liczne jednostki wyższe, mogli ci ludzie wznieść się nawet na wyżynę świętobliwości, podczas gdy naród, do którego należeli, nie doszedł nigdy do odrodzenia i skazany został na zagładę, albo ustąpić musiał miejsca ludom nowym, na pniu jego zaszczepionym. Tak wzięło koniec starożytne cesarstwo zachodniorzymskie po niedługim konaniu; niewiele lepsze były koleje cesarstwa wschodniego, które wprawdzie przeżyło pierwsze o dziesięć wieków; ale w ciągu tych dziesięciu wieków nie dalej postąpiło, jak to, że było *Państwem chrześcijan*, ale nigdy *Cesarstwem chrześcijańskim* nie zostało: bo utrzymało w sobie grunt pogański, przedstawiając smutny obraz kombinacyi przywar i występków zgrzybiałego romanizmu z przywarami i występkami również przeżytego hellenizmu. Duma narodowa, próżna wystawność, górowanie czczych frazesów i powierzchownych oznak, sofistyka, obłuda, przeniiewierstwo, szpiegostwo, niekzemność, płaszczenie się wielkim, a gnębienie ludu, samowola, despotyzm, ucisk, zdzierstwo, sprzedajność, émiły z wyjątkiem krótkich dni chwały, przedłużoną starość społeczeństwa bizantyńskiego — i złożyły się następnie na spadek przekazany przez to społeczeństwo ludom nowożytnym półwyspu Bałkańskiego. Fatalne to dziedzictwo nurtuje dotąd w nich wszystkich tak dalece, że gdybyśmy nie wiedzieli, skąd te ludy wspólny ten spadek wzięły, byłibyśmy bardzo skłonni uznawać je za część składową charakteru narodowego każdego z nich w szczególności. W rzeczy samej jednak natura wcale ich nie upośledziła, o czem łatwo się przekonywamy, ilekroć mieć będziemy sposobność studyowania pojedynczych osobistości, wyrwanych z własnej atmosfery i przeniesionych pod inne niebo.

Rumuni, na nieszczęście swe więcej byli narażeni na wpływy tej zepsutej atmosfery, niżeli ich sąsiedzi; więcej też smutnych zarodków wzięli w udziale. Naprzód, żyzność ziemi, szczodrość i pobożność sama władców tego kraju *Hospodarów*, ściągały doń tłumy

handlarzy, awanturników, oraz duchownych różnych stopni i zakonników z prowincyj niegdyś bizantyńskich. Niektóre takie osobistości potrafiły tak sterować swą nawa, że z czasem dostał się im zarząd księstw Wołoszczyzny i Mołdawii i zostawał w ich ręku od 1711 do 1821 roku; co w pewnych razach i dobre przyniosło owoce, ale w ogóle daleko więcej sprawiło złego; a w każdym razie było to okazyą wyciśnięcia wszelkich zasobów ekonomicznych kraju, dla wzbogacenia tych rządców, ich protegowanych i wszystkich klasztorów wschodnich, obok czego okupowało się jeszcze milezenie choiwyh Muzułmanów i skarbiła się nadal ich łaska.

Przecież nie z tej jednej strony pochodziło długie męczeństwo ludu rumuńskiego. Władztwo tyrańskie cesarstwa Bizantyńskiego i Turcyi nie miało się z kolejnem podleganiem innym państwom, jako to: Węgrom, Polsce i cesarstwu niemieckiemu; wreszcie Rosya zaczęła współzawodniczyć o wpływ na sprawy rumuńskie; różne państwa spierały się o nie i niejednokrotnie wprost przywłaszczały sobie tę lub ową prowincyę. Jakkolwiek byli to mniej srodzy władcy, przecież i ci niekorzystnie wpłynęli na stronę moralną narodu; stosunek bowiem służebny do obcych, choć tylko feudalny, wpływa zawsze na skażenie charakteru, nie bowiem naturalniejszego nad to, że uciśnieni, nauczają się chytrłości, podchlebstwa, lekceważenia prawdy i sprawiedliwości, nienawiści, nareszcie zwątpienie o sobie i rozpacz.

We właściwem pojęciu rzeczy nie przychodzą na świat narody niemowlęce. Wszystkie są stare, wszystkie mają po za sobą sześć dziesiątków wieków. Nie słusznie każą nam widzieć w ludach dzikich przykład jakoby stanu pierwiastkowego społeczeństw; stan ich bowiem nie jest pierwiastkowy, lecz wyrodzony. Toż samo w pierwszej mierze zastosować należy w sądzie o Rumunach. Pozorna młodość tego narodu jest raczej stanem patologicznym, potrzebującym więcej terapii niżeli ortopedyi. Można z drugiej strony uważać Rumunów zeszłego wieku, a nawet i dzisiejszych, w *stadium* młodości, o ile w nich przechowywały się ciągle zarodki życia dotąd nierozwinięte, i przyznać należy, iż zarodki te były bardzo silne, jeśli po tylu burzach naród nie zaginął dotąd, lub nie został pochłonięty przez inne mocniejsze. W rzeczywistości nikt nie zaprzeczył Rumunom, rzadkiej łatwości intuicyi, bystrości umysłu, odwagi,

waleczności, wstrzemięźliwości, wytrwałości, łagodności i cierpliwości, jakkolwiek skutkiem zboczeń, którym nawet przymioty moralne podlegają, wystąpić mogły nieraz natomiat w objawach życia zbiorowego, niestałość, nieprzezorność, lenistwo, zbytkowanie i lekko-myślność. Każdy podlega skrzywieniu własnych dobrych przymiotów. Rumuni i w tym względzie niewiele gorsi są od drugih.

Raz posiadłszy zdolność istnienia, naród taki nie mógł pozostawać zawsze obojętnym na prądy cywilizacyjne, ciągnące od zachodu Europy z coraz większą siłą ku wschodnim jej krańcom, musiał pozostać duchowo, i pobudki do tego otrzymał prawie jednocześnie z dwóch punktów: z Rzymu i Paryża, — w latach kończących wiek XVII. i rozpoczynających XVIII. Rzym papieski wspierany pobożnemi chęciami domu panującego austriackiego, dokonał unii Kościoła w Siedmiogrodzie i w innych prowincjach korony św. Stefana, wyrывая w ten sposób ze schizmy niemalą część ludności rumuńskiej, zamieszkującej te kraje. Był to postęp ku lepszemu w bycie tej narodowości politycznym i społecznym, chociaż nie tak prędkie, nie tak zupełny, jak życzono, ale postęp rzeczywisty. W ślad za unią poszło wychowanie nowe duchowieństwa a przez nie i ludu, utworzenie seminarjów i szkół, z czego korzystali także i dyzunicy, rozbudzenie sumienia narodowego, przypomnienie tradycyji ojczystych, wreszcie rozszerzenie idei ożywczych w kraju z drugiej strony gór leżącym, t. j. w obu gospodarstwach.

Francya ze swej strony, za panowania Ludwika XIV. i Ludwika XV., oraz później, w epoce rewolucyi i pierwszego cesarstwa, rozszerzyła ruch umysłowy pomiędzy arystokracją rumuńską, tak dawną narodową, jak i napływową, na obu skłonach Karpat. (Za pośrednictwem zaś arystokracji, ruch ten szerzył się w klasach pospolitych); wprowadził stopniowo wiele wygod życia europejskiego i równocześnie tehnęła w umysły wstręt do znoszenia jarzma. Stąd miały się zrodzić powstania *Horia* i *Closea* w Siedmiogrodzie, powstanie *Vladimiresen* w Wołoszczyźnie którego skutkiem było wygnanie Fanaryotów i zestawienie u władzy Gospodarów narodowych w obu księstwach dunajskich. Wojna krymska miała za następstwo unię personalną Wołoszczyzny z Mołdawią, rząd konstytucyjny, dalej unię tychże księstw stałą i wybór księcia postronnego na tron dziedziczny. Ostatnia wojna wschodnia dała uwięzić

tę budowę, przyznaniem zupełnej niepodległości Rumunii i podniesieniem jej do godności królestwa pod berłem dziedzicznym *Karola z Hohenzollerów Sigmaringów*.

Zdawać się może dziwnem, acz zupełnie jest uprawnionem pytanie, które wielu zadaje: czy, skutkiem wspomnianych zmian tak redykalnych, charakter moralny Rumunów zyskał, czy stracił? Pytanie to, powiedziałem, jest uprawnione, bo pomijając świetność powierzchowności i pozorów, w grucie stan rzeczy aktualny jest taki, iż powątpiewać pozwala o postępie. W istocie, Rumunia, co do kultury swej obecnej, zostaje raczej w stanie biernym, niż czynnym, to jest żyje pożyczkami i importowanym towarem, nie zaś własną organiczną produkcją. Wzdychając za postępem pod egidą zasad liberalno-rewolucyjnych, najwięcej upowszechnionych w teraźniejszym świecie, a nie mając żadnego kryterium dla zrobienia między nimi wyboru, Rumuni przyswajają sobie i potęgują jeszcze u siebie najniezdrowsze dążności, które społeczeństwom zachodnim najbardziej dały się w znaki. Jaśniej mówiąc, owe pierwiastki rozkładowe zachodnich krajów, mając tu pole wolniejsze dla braku antydotów, jakimi przeciwdziałają im narody na katolickim gruncie wykształcone, mogły w tym kraju zapaść korzenie, rozwinąć się i wzrastać z zupełną swobodą korzystając z przygotowanej roli przez tysiącletnią uprawę bizantyńską. Co do dawnych klęsk społecznych te ustały o tyle, o ile ustały ich przyczyny, to jest o ile wziął koniec poprzedni porządek społeczny i polityczny, — i tylko w tem znaczeniu był tu postęp ku lepszemu, który bez wahania uznają wszyscy, co pamiętają odmet, w jakim się do niedawna kraj znajdował. Wszelako pierwotny zaród patologiczny przetrwał wszystkie czasy i dotąd pozbawia gruntowności to wielkie dzieło odbudowania, które rzeczywiście dokonywa się i postępuje od kilku dziesiątków lat. Krótko mówiąc, społeczeństwo rumuńskie zawsze jest jeszcze ni mniej, ni więcej, tylko społeczeństwem bizantyńskim, i zaszczerpione na nim pasożyty obcych pni nie będą — na pewno — temi szczepami, co weń wlać potrafią nowe soki żywotne.

Lecz jak się pogodzić daje? rzecze kto, przeważający bizantynizm z rozbudzoną świadomością pierwiastku latyńskiego, który dzisiejsi Rumuni mają ciągle na ustach i głoszą z taką przesadą, że ich słuchając, sami Włosi zdają się być mniej latyńskiego po-

chodzenia, że nie wspomniemy już o Hiszpanach i Francuzach? Dotykamy tu rysu charakterystycznego ducha dzisiejszych Rumunów: wygórowanego w najwyższym stopniu szowinizmu, z którego tylko gorzkie nauki doświadczenia i znajomość mniej powierzchowna stanu rzeczy u drugich narodów, z czasem wyleczyć ich zdołają. Zjawisko to zresztą daje się wyrozumieć: naród ten, tak długo od wszystkich znieważany, doprowadzony do zrozpaczenia o sobie, odkrył jednym razem, że tak powiem, dyplomy własnego szlachectwa, znalazł się połączonym krwią, językiem i tradycją z najświetniejszymi narodami tak współczesnymi, jak i starożytnego świata; równocześnie odczuł w sobie zdolności i zasoby przedtem nieprzypuszczane i doszedł do przekonania, że poprzednie poniżenie, w jakim zostawał, przypisać należy złości cudzoziemców raczej, niż własnej winie. Pierwsze powodzenie, w skutek naturalnej reakcyi, małym kosztem otrzymane, doprowadziło go do przeceniania siebie, a obok tego do przesadzonego wstrętu ku obcym; stąd zazdrości, zawiści, czernienie wyższości drugich, zarozumiałość, i wyłączność posunięta do tego stopnia, że cudzoziemcy nie dopuszczają się do urzędów, posad, przedsiębiorstw, nie mogą posiadać własności ziemskiej; żadnej dla nich korzyści, żadnej dla nich ulgi; przeciwnie, mnożą dla nich ciężary, narzucają się im ograniczenia, tamuje się ich działalność. Pracowitość Rumunów jest cnotą problematyczną, przemysł ich własny jest prawie żaden; kapitałów brak zupełny, potrzeba nauki jeszcze wielka, a przecież Rumuni wolą patrzeć na chromiącą na wielu punktach administracyę własną, jak użyć współdziałania obcego. W ogóle położenie cudzoziemców w tym kraju stało się wcale nie do pozazdroszczenia i ściśnienie ich dochodzi do granic ostatecznych, których przekroczyć niepodobna żadnemu państwu, jeśli w wieku takim jak wiek XIX., chce uniknąć odosobnienia, strat i odwetów.

W gruncie rzeczy jednak tej ksenofobii, (wstrętu od cudzoziemców), doznają Rumuni tylko odnośnie do narodowości zachodnich. Jakkolwiek bowiem powtarzają na wszystkie tony o braterstwie szczepu latyńskiego, jakkolwiek skłaniają się *in abstracto* i niejawnie dawać pewne znaki współczucia ludziom tego szczepu, szczególnie Francuzom, z którymi zawiązali tyle stosunków i tyle za-

ciągnęli względem nich obowiązków wdzięczności; w rzeczywistości jednak, w praktycznych kwestiach i interesach oddają pierwszeństwo Serbom, Bułgarom, Rosyanom i Grekom. „Ci to, pisze „w głośnie swoim dziełku Rumun katolik¹, lepiej od nas znający „swoich współziomków, są zawsze życzliwie witani w Rumunii, le- „piej ich tam rozumieją, niżeli innych cudzoziemców; oni stanowią „jądro miejskiej ludności i przeważnie posiadają wiejską własność „ziemską, jeśli nie w żydowskim, to w ich ręku handel i finanse, „i nikt ich nie pyta o przywileje obywatelstwa krajowego, podczas „kiedy Francuz albo Włoch, nawet otrzymawszy naturalizację od „parlamentu, jeszcze uważany bywa za cudzoziemca. Duchowień- „stwo, szczególnie wyższe, liczy w swoim gronie wielu takich przy- „byszów, albo też bezpośrednich ich potomków. Historia rodowych „nazwisk rumuńskich byłaby dość nauczającą, bo wykazywałaby, „skąd wskrzeszony romanizm pozostał u tej lub owej osoby, po- „między znakomitościami kraju, między najsłynniejszymi filarami „patriotyzmu rumuńskiego“.

Wszystko to bierze początek stąd, że w oczach Rumunów religia stanowi narodowość. Stąd klasy nawet wyższe od pospolitego ludu, jakkolwiek nie wyrażają tego słowami, w pojęciach swych zwykły instynktownie utożsamiać współwyznawcę ze współziomkiem; oraz człowieka wyznającego inną religię, nie bizantyńską, z cudzoziemcem. W mowie pospolitej u nich spotykają się wyrażenia zatwierdzające owo dawne: *cujus regio ejus religio*. Latynizm tam tylko wagę ma u nich, gdzie nie wchodzi religia: wówczas hołdują mu z przesadą komiczną; starają się usunąć wszelkie inne naleciałości z języka, zwyczajów i instytucyj, wyrugować wszystko aż do dziecinnych drobiazgów, co trąci greczyzną lub słowiańszczyzną. Kiedy inne pojęcia uturują sobie drogę w młodem królestwie, wówczas da się zrozumieć, jak głęboką może mieć doniosłość ów latynizm do którego Rumuni uzasadnioną mają pretensję i jakie przytem związki, dziejami wytworzone między tym narodem lataj-

¹ Dr. N. Marianu: *Pravoslavia româna fata eu drépta credinta romana* pag. 49. (Czernowitza 1886).

skim a ludami słowiańskimi nie są do lekceważenia ale do spożytkowania¹.
(C. d. n.)

Kilka godzin na wystawie.

Czy będzie w tym roku wystawa w Krakowie? Najprzód mówiono: Nie będzie; później: prawdopodobnie nie będzie; później: może nie będzie; później jeszcze: a nuż wojna przyjdzie; w ostatnich paru miesiącach: będzie, ale udać się nie może; w ostatnich tygodniach: będzie i może się uda; wreszcie w ostatnich dniach sierpnia: ciekawa rzecz, jeszcze udać się gotowa! Z wielkiem zawstydeniem własnem przyznać się muszę, że i ja sam, choć może nie w słowach, to w myślach przechodziłem przez tę całą skalę tonów; i gorzej jeszcze, bo o wystawę nie troszczyłem się prawie zupełnie, a skoro tylko w jakim dzienniku dostrzegłem z daleka wyrazu „wystawa“, całą odnośną kolumnę (czasem dwie, trzy i t. d.) opuszczałem najsumienniejsz. Tymczasem artykuły mnożyły się i rosły; kto nie czytał o wystawie i Koburczyku, ten nie miał formalnie co czytać przed poobiednią drzymką; a że gniewanie się na redakcyę jeszcze mię bardziej ze snu wybijało, więc pewnego skwarne go popołudnia, — było to w ostatnich dniach sierpnia — wtopiłem oczy we wstępny artykuł z uczuciem, z jakim podróżnik wstępuje na bezbrzeżną, z drzew i istot żyjących огоłoconą Saharę. Lecz o cuda, podróż po tej Saharze zaczynała być coraz bardziej interesującą! Nie doczytałem drugiej połowy drugiej kolumny, a już uzbroiwszy się w męskie postanowienie, rzuciłem dziennik i puściłem się na plac wystawy, aby naocznie się przekonać, ile też prawdy, a ile poezyi w owych opowiadaniach o nowem zaczarowaniu

¹ Nie należy zapominać, iż niemałe obwody, zamieszkałe przez ludność rumuńską, rozsiane są na całej przestrzeni kraju z prawej strony Dunaju aż do półwyspu Morei, i że w innych punktach tegoż kraju mieszkają Rumuni zgreczeni i zesłowianieni. Rzeby można, że te wyspy etnograficzne za zrządzeniem Opatrzności są tam rozrzucone dla łatwiejszego w tych stronach rozszerzenia wpływu Rumunów.

mieście, które jak we wschodnich bajkach, powstać nagle miało za murami Krakowa, tam gdzie niedawno jeszcze temu królował bōżek wojny, klóćąc się o panowanie z boginią pasterstwa.

Istotnie wschodnia to chyba bajka ta cała wystawa! Tumany kurzu wznoszą się do góry, rzucając tajemniczą zaslonę na nowo zbudowane miasteczko we wschodnim stylu, słońce dopieka z całej siły, w mieście samym zmysł powonienia domaga się i dopytuje współ z pewnym austriackim arcyksięciem: kiedy też w Krakowie zaprowadzone zostaną wodociągi i kanalizacye; po za miastem na przekór słońcu — znowu jak na wschodzie podobno — małe bajorka rozsiane tu i owdzie, przez zbyt hojnie z miejskich beczek lejącą się wodę, utrudniają przystęp ciekawym do zaczarowanego grodu. Ale nie gniewajmy się na słońce, bo ono z czasem poradzi bajorkom, a tymczasem, jeśli z głównej drogi zbyt przepełnionej wozami i ludźmi zejdziemy nieco na bok, dozwala oku nacieszyć się pięknym i miłym widokiem. O samych pawilonach i kioskach w szczególności wziętych, różnych bardzo nasłyszalem się i nacytalem zdań i sądów: ten wygląda jak poobrąbywana głowa cukru, tamten do wiatraka podobny; czemu ten budowany w stylu bizantyjskim a ów w stodołowym? Trudno wszystkim dogodzić i jeśli kiedy i gdzie, to w tym przypadku w całej pełni okazuje się prawda tego zdania; kto się ubierze w czarne okulary, temu się wszystko czarno przedstawia; kto się wybrał na wystawę z silnem postanowieniem naszkicowania kilku karykatur, ten bądź co bądź musi do nich odnaleźć materyał. Trudno dogodzić wszystkim, a przecież ramy otaczające wystawę dogadzają wszystkim. Z jednej strony mogiła Kościuszki; tam Wawel stary, tu zwierzyniecki klasztor, dawne i drogie nam pamiątki otoczyły wiankiem wystawowe miasteczko i one, co tyle różnych przygód i walk widziały, patrzą z pobłażaniem, jakby nierozumiejąc dobrze o co chodzi właściwie nowym pokoleniom na te nieznane im, a kto wie, czy nie groźniejsze w swych następstwach od dawnych, rewje i walki.

Na wystawie prócz kilku komitetowych, kilkudziesięciu robotników i kilku wozów z nadesłanemi rzeczami, nie było prawie nikogo. Ciężko naładowany wóz utknął przed bramą i mimo heroicznych wysiłków biednych koni, mimo, że jak mię później zapewniano ze sfer kompetentnych, droga nie a nie do życzenia nie

zostawiała, ruszyć naprzód się wzbraniał. Szybko przebiegłem koło dziesięciu pawilonów i trzydziestu prywatnych kiosków; bardzo nawet szybko, bo do widzenia prócz kilku na wpół otworzonych pak i okien z fabryki p. Zajdzikowskiego nie w nich jeszcze nie było. Pawilony są, ale czy będzie co w pawilonach, myślałem wracając zwolna do miasta i nie mogąc po drodze opędzić się smutnym przecuciom. Dzięki Bogu, przecucia te nie miały się spełnić.

Częścią inne zajęcia, częścią nieco pesymistyczne wrażenie odniesione z pierwszej bytności na wystawowym placu sprawiły, że nie tylko nie uczestniczyłem w otwarciu wystawy, ale upłynęło nawet kilka dni września, a jeszcze nie skierowałem się ulicą Wolską w stronę, w której aleja z chorągwi o narodowych i państwowych barwach prowadziła prostą drogą do rozbitego na błoniach przemysłowego i rolniczego obozu. Ale kiedy na każdym kroku znajomi i nieznajomi pytali mię o wystawę, a często o niczem innem mówić nie chcieli; kiedy wyczytałem, że w pierwszą zaraz wrześniową niedzielę, do 12.000 osób wystawę zwiedziło; a nadomiar złego czy dobrego, kiedy dnia tego służący ani jednej doróżki znaleźć dla mnie nie mógł, i zapewniał najuroczyściej, że nie ma w mieście nikogo, bo wszyscy na wystawę pojechali; rad nie rad, jeśli chciałem jeszcze z ludźmi rozmawiać i nie uchodzić za dziwaka, musiałem złożyć słusznie czy nie słusznie nabrane uprzedzenia i podążyć ku Wolskiej rogatece.

Już sam wstęp korzystniej tą razą usposabiał. Choć to był dzień powszedni, a w dodatku bardzo parny i godzina nie zbyt wygodna, bo druga popołudniu, to przecież znaczna liczba panów, pań, mieszczan, dosyć nawet włościan snuło się drogą od i do wystawy. Przed samą bramą stało kilku szlżaków i cała gromada szlżaczek, w odrębnych swych strojach, rozprawiając żywo, interesując się widocznie wszystkim. Dalej widać było jeszcze wiele podobnych gromadek; wszystkich Szlżaków przybyłych umyślnie do Krakowa dla oglądania wystawy liczono do 150. Rzadziej z pośród różnobarwnego tłumu wynurzała się biała lub granatowa sukmana; wieśniacy nasi przypatrywali się niektórym okazom bardzo ciekawie, robili między sobą różne, często trafne uwagi; znać jednak było nieraz na ich twarzach, w postawie i chodzie pewne zakłopotanie, które tembardziej zwracało uwagę, że usiłowali je po-

kryć udaną pewnością siebie, objawiającą się głośnem mówieniem i wymachiwaniem rękami. Kiedy Szlżak widząc przechodzącego księdza, zdaleka już zdejmował czapkę i witał go, jak zwykł witać swego „księżoszka“, to chłop krakowski lub galicyjski daleko rzadziej poczuwał się do grzeczności, do której przecież w swojej parafii z pewnością był nawykł. Z jednej strony szlachetna pewność siebie, złączona z skromnością; z drugiej pewna nieokrzesa brawura, podobna do brawury człowieka, wprowadzonego po raz pierwszy do salonu. Nie bardzo to miłe stadyum, ale i przez nie przejść trzeba, — byle jak najprędzej!

Nie moje to uwagi; zrobił mi je jakiś baczny obserwator ludzi i charakterów, który o ile zauważyć mogłem, przychodził na wystawę raczej dla przyglądania się zgromadzonym gościom, niż wystawionym przedmiotom. Z pewnym sardonicznym uśmiechem wskazał on mi na dość liczną grupę, dążącą wprost od bramy do cukierni Roszkowskiego.

„Widocznie specjaliści! My zacznijmy nasz przegląd kupując „*Dziennik wystawy krajowej*. P. Bartoszewiczowi sprytu trudno odmówić. Złączył *Dziennik wystawy* ze swoim *Kuryerem krakowskim*; na pierwszym robi interesa, a drugiemu robi reklamę“.

Reklama to zresztą dobrze obmyślona, godziwa i przeciw której zarzutów żadnych podnosić nie można. Natomiast zdziwiłem się trochę, że na *krakowskiej* wystawie można dostać warszawskie i lwowskie dzienniki, a nie można np. spotkać się z *krakowskim Czasem*. Prawda, że i na lwowskim dworcu kolei żelaznej, napróżno o lwowski *Przegląd* się dopominałem, zamiast którego usiłowano mi koniecznie do rąk wpakować rozmaite *Stare* i *Nowe Pressy*; ależ tego rodzaju w najwyższym stopniu nieoliberalny przykład nie jest chyba do naśladowania. Lecz nie czas myśleć o prawdziwym i nie prawdziwym liberalizmie, bo otóż weszliśmy do bardzo obszernego etnograficznego pawilonu, z którego okazów, choć znanych już w znacznej części z „Muzeum techniczno-przemysłowego“, prawdziwie nie jednego można się nauczyć.

Przed wystawionemi fotografiami *Kriegera*: chłopów, mieszczan, i żydów, zatrzymał się właśnie jakiś chłop i żyd; mogłem więc rzeczywistość z poezją fotograficzną porównać: *Il n'est point de serpent ni de monstre odieux, qui par l'art imité ne puisse*

plaire aux yeux. Żydzi jak żydzi; wprawdzie na fotografiach same nawet łachmany zawsze jakoś odświeżnie wyglądają — a co najważniejsza — przemawiają jedynie i wyłącznie do samego wzroku, nie drażniąc niemile innych zmysłów; ale pomimo tego poznać można od razu naszych Mośków i Ieków; na twarzy niemal każdego wyczytasz, ile dziś zarobił i jak przemyśliwa, aby jutro zarobić więcej. Nie udałooby mu się to pewnie, gdyby wszyscy nasi chłopci wyglądali tak sprytnie, a nosić się mogli zawsze tak czysto i porządnie, jak ci i to kto wie czy nie w tej tylko chwili, w której przed fotografem pozowali, lub jak ten dziarski parobek, co przypatrując się fotografiom, także podobno trochę pozuje. Lecz poco zbyt długo przypatrywać się fotografiom ubiorów, kiedy sameż rzeczywiste ubiory długimi rzędami porozwieszane dają nadzwyczaj ciekawy a barwny obraz wieśniaczych strojów z najrozmaitszych prowincyj całej dawnej Polski. Z kolei przedstawiają się mieszkańcy z pod Ślucka i Grodna, Inflanctzey, Wielko polanie, Rusinki i Litewki i wreszcie zwracający uwagę idealną brzydotą dziewczyny z nad Czeremoszu. W strojach tych nie brak często smaku, nie brak nawet pewnego artystycznego pocucia, choć widać, jak pocucie to walcząc z mnóstwem materyalnych braków i przeszkód, raz po raz nagina się to w lewo to w prawo, nie umie utworzyć harmonijnej całości, zawadza o należyte wykonanie pojedynczych szczegółów. Te same to braki, które spostrzedz można w całym szeregu obrazków świętych polskich, wyrzeźbionych w drzewie przez prostego włościanina Szymczyka; myśl walczy tu z materją, ale do zupełnego jej zwalczenia i opanowania nie posiada odpowiednich środków.

Ciekawe to wszystko, interesujące i pouczające, a jednak choć jeden dopiero pawilon bardziej na seryo zwiedziliśmy, umysł potrzebuje wytchnienia. To też z pewną przyjemnością wydobywamy się na świeże powietrze, siadamy na ławce i dozwalamy oku błakać się po trawnikach, któremi lepiej od najpiękniejszych dywanów plac wystawy zasłany. Gdyby jeszcze na reszcie wolnego miejsca, gdyby na pewnej części tych trawników przemyślny jaki ogrodnik urządził wystawę krzewów i kwiatów, to już najzawziętszy Zoil nieby na razie nie mógł mieć do zarzucenia i nie szeptałby mi do ucha: Patrz! ile tu miejsca zmarnowano. „Nie myśl Zoilu, odpo-

wiadam mu energicznie a roztropnie, o tem czego nie ma, ale patrz na to co jest; gdybyś miał kwiaty, tobyś się o wodę pytał, teraz masz wodę w sadzawce, więc do kwiatów wzdychasz“. Rozumna rada; odpędzam od siebie marzycielskie, do niczego nie prowadzące pragnienia i cieszę się rzeczywistością. Sadzawka urządzona wcale dobrze, choć jakiś żartowniś dowodził uparcie, że celem jej jest przedstawić przeciętną sadzawkę naszych wiejskich gospodarstw. Musiał się mylić, bo nigdy mi na myśl nie przyszło wpatrywać się w to, co się zazwyczaj wiejską sadzawką nazywa, kiedy tymczasem z pewną przyjemnością wpatrzyłem się w półmodre wody wystawowej, i zadumałem głęboko. Z tej pół marzycielskiej, pół senniejszej zadumy, której przerwać nie zdołały raz po raz odzywający się głos niedaleko rozstawionych dzwonów i dźwięki fortepianów i innych muzycznych instrumentów, zalatujące z głównego pawilonu, ocuciły mię dopiero słowa towarzysza:

„Patrz! co za baterye flaszek; cały kiosk jakby z flaszek zbudowany“.

Kiosk balneologiczny, to najlepsze zaproszenie do odbywania kuracyj kąpielowych w kraju, nie za granicą. W zwartych szeregach stały do popisu wody i sole mineralne z Rabki, Iwonicza, Morszyna, Wysowej, Żegiestowa, Szczawnicy, Krynicy, Lubienia; obok broszury z opisami miejscowości kąpielowych, rocznemi sprawozdaniami i t. p. Z sprawozdań tych przekonać się można, że nie masz prawie wód zagranicznych, których by bardzo często z równym, często z większym skutkiem nie dało się zastąpić krajowymi; zresztą jeśliby kto miał jakie wątpliwości, temu uprzejmy gospodarz kiosku, Dr. Lutostański, z pewnością je wyjaśni. Jak tu, tak bardziej jeszcze w pawilonach przemysłu domowego i szkół przemysłowych mimowoli nasuwają się na myśl wiersze Pola:

Cudze chwalicie, swego nie znacie, i doznaje się pewnego zadowolenia, że ziemia nasza tyle mieści w sobie skarbów, które same proszą się o należyte ich zużytkowanie. Koło machin, przewozów, wózków tłoczy się wielu ciekawych; sanki wybite czerwonym aksamitem, bardzo z pewnością drogie, choć nie powiemy, żeby bardzo gustowne, znajdują widzów, ale i ostrych krytyków: „Ani to na nasze stosunki, ani na nasze zimy; takie sanki możliwe „chyba były, kiedy dawni magnaci urządzali szlichtady po soli“.

Za to tkacki i garncarski dział powszechne i bezwarunkowe znajdują uznanie. Napróżno tylko z początku półgębkiem, wstydząc się mej ignorancyi, później coraz głośniej dopytuję się o przeznaczenie pewnych bardzo oryginalnie pomysłanych naczyń; każdy odpowiada: musi to widocznie do czegoś służyć: może do tego, może do tamtego, ale nikt z otaczających stanowczej i zadawalniającej odpowiedzi dać mi nie umie. Szkoda, że dla takich, jak ja profanów nie umieszczono jakiegoś wyjaśnienia; wystawcy nie przypuszczali naturalnie, żeby takie wyjaśnienie mogło być komu potrzebne, ale z doświadczenia mogę im zaręczyć, że zawsze się przerachują, jeśli liczyć będą w najprostszych nawet rzeczach na rozum i domysłność wszystkich zwiedzających. W dziale tkackim pierwsze miejsce zajmuje zbiór starych ruskich kilimków, tych nasyżych gobelinów, które czas, aby wróciły do dawnej swej sławy i wziętości. Z zakopańskiej szkoły snycerskiej pragnąłem nabyć małą jakąś pamiątkę, mającą mi przypominać bytność na wystawie; z góry już cieszyłem się, jaką przyjemność sprawię w domu tym zgrabnym smukłym góralem, lub tym psem tak wygodnie wylegającym się na słońcu; lecz radość moja miała być krótkotrwałą.

„Wiele kosztuje ten nożyk do przecinania papieru?“.

„Półtora reńskiego“.

„A ten *pressepapier* z psem“

„Siedm reńskich“.

Oddaliłem się szybko; Krezusem nie jestem, więc na pamiątki z zakopańskich wyrobów mię nie stać. To dobrze przynajmniej, że jeśli na wielu już innych rzeczach się nie znam; to o wartości robot kobiecych, o haftach i koronkach najmniejszego, ale to absolutnie najmniejszego nie mam wyobrażenia. Inaczej kto wie, czy słuchając głośnych pochwał, któremi grono licznie zebranych pań obsypywało misterne roboty ze szkoły św. Scholastyki w Krakowie, lub nie mniej misterne, rzekłbyś pajęczce tkanki koronkarskiej szkoły z Kańczugi i Zakopanego; kto wie czy skusiłbym się nie dać, nie wyjął portmonetki i nie wypróżnił jej do ostatniego grosza. Byłoby to tem smutniejsze i tem nieroztropniejsze, że w takim razie, zrezygnowałbym musiał z przyjemności oglądania akwaryum barona Gostkowskiego, przed którym jakiś oryginalnie ustrojony Islandczyk, Finlandczyk czy Albańczyk wzbrania nielitościwie

wstępu nie przygotowanym na złożenie tutaj odrębnego pieniężnego haraczu. A przecież po paro-godzinym spieku miło zapuścić się choć na krótki przeciąg czasu w te niby w skałę wykute krużganki, gdzie czuje się ożyweży chłód, a wodę przynajmniej się widzi.

Z po za szklannych ścian wyglądają licznie zebrane, bardzo piękne okazy niemal wszystkich ryb naszych: karpie, liny, pstrągi, sandacze, olbrzymie szczupaki. Biednym niewolnikom widocznie ciasno i duszno a choć powrzuć tu i owdzie kawałki lodu, mają im uczynić znośnem zbyt gorące więzienie, to jednak więzienie więzieniem pozostaje; jakże radeby wszystkie te ryby i rybki do rzek ojczystych, gdzie insze niż tutaj odbywałyby jazdy, w insze puszczały się płąsy. I tutaj choć mało miejsca i woda sztucznie parową sikawką dostarczana, niby bał ustawiczny; szkoda tylko, że widzowie ledwie pierwszym szeregom tańczących lepiej przypatrzeć się mogą; dalsze pary giną w tajemniczym zmroku, a oko daremnie męczy się, aby przedrzeć głębiu, o których trudno powiedzieć, że są jak lza, lub jak kryształ czyste. Przed akwaryum urządzono wylęgarnie ikry i narybku; przez cały czas wystawy odbywają się tutaj pouczające, bijącymi w oczy przykładami poparte i stwierdzone prelekye.

Czas nagli, więc choć po drodze wabią małe gaiki i miniaturowe bory szkólek leśnych; choć gromadka znajomych dzieci zaprasza do oglądania dwóch stawków z wydrami, opowiada mi cuda o jakimś szklannym pałacyku dla żółwi i większe jeszcze cuda o wybornych piernikach i sucharkach z fabryki Czyńskiego; choć poważny Niemiec wsuwa milcząco do ręki polsko-niemiecką bardzo ozdobnie, prawdziwie wystawowo wydrukowaną broszurkę o *Kopalniach i hutach W-go Hugona Löbbeckiego, właściciela dóbr ziemskich z Wrocławia*; choć przechodzący gospodarz bardzo się gorczy, żem dokładnie się nie przypatrzył machinom rolniczym, i chce mi gwałtem tłumaczyć korzyści i użytek każdej z nich z osobna; choć wreszcie już nie z zewnątrz, ale z wewnątrz odzywa się głos: Zmęczony jesteś, siadź na ławce i zdaleka przypatruj się artystycznemu dziełom kamieniarskiej sztuki, patrz na ten obelisk z podolskiego labradoru, na którego czarnem tle promienie słoneczne w tysiąc barw się mieniają: choć te, i rój innych pokus opadł mię jak rój much natrętnych, odpędziłem je wszystkie, a przymknąwszy

oczy, aby mię po drodze ciekawość z prostej drogi nie sprowadziła, podążyłem do głównego pawilonu, królującego nad kioskami, pawilonikami i szopami, jak olbrzymia pękata baba nad mazurkami, babkami i plackami wielkanocnymi.

Na bizantyjskich kopułach głównego pawilonu powiewają flagi o barwach państwowych i narodowych. To dla oka; dla ucha odzywają się dźwięki harmoniów i organów lwowskich p. Śliwińskiego, przemyskich fortepianów p. Woronieckiego; odrębnego instrumentu krakowskiego p. Drozdowskiego; powonienie napawa się zbyt nieestetycznie i daleko rozchodzącymi się zapachami z monumentalnych serów, które choć daleko w głębi pawilonu ukryte, na wszystkich jednak strony bardzo wymownie głoszą swę obecność. Wstyd ustępować przed takimi przeszkodami; zresztą, choćbym dajmy na to zemdlął, nie byłoby to bez pewnego pożytku dla wystawy i wystawców: zrobiłbym reklamę p. Ihnatowiczowi, który niechybnie ekstraktami swymi i perfumami przyprowadziłby mię prędko do przytomności, a gdyby nawet i perfumy zawiodły, to znowu np. p. Trauczyński mógłby doraźnie okazać skuteczność swych proszków i mikstur. Tymczasem nie chcąc się narazić na katary, gorączki i febry, a tem samem na konieczność kupowania wina chinowego, którego olbrzymia fiasza z spokojem i pewnością siebie czeka na amatorów, prześlizguję się jak mogę najspieszniej koło tych wszystkich olbrzymich piramid, wież i fortec z tortów i cukrów, win i likierów, jarzyn i owoców; wzbraniam się nawet wziąć do ręki prospekty i ogłoszenia, którymi wystawcy, zwłaszcza w dziale wódek zapobiegliwi i skrzętni, obdzielają przechodzących.

„Nie uciekaj no tak, wstrzymuje mię towarzysz. Napij się na cel dobroczynny“.

Myślałem, że żartuje, ale spojrzawszy na wielkie ogłoszenie zawieszone przed jakąś piramidą z likierów, dojrzałem najwyraźniej czarne na białem: „Sprzedaż na cele dobroczynne“. I przyjaciel mój i ja dobyliśmy portmonetki, przełożyliśmy kilkadziesiąt centów z jednej przegródki do drugiej i daliśmy już je pewnej biednej rodzinie wstydzającej się żebrać. Większa stąd podobno i dla nas i dla biedaków pociecha, niż gdybyśmy byli zakupili nie jedną ale kilkanaście butelek owego „dobroczynnego“ likieru.

Idźmy dalej. Tu w długich szeregach wyciągnięte, jak żołnie-

rze do mustry: gabloty, szafy, szafki, etażerki; całe gustownie i bogato umeblowane saloniki i gabinety; fotele same się proszą, żeby na nich spocząć; źle ci na fotelu, *fotel* przekształca się w sofę; znudziłeś się na sofie, sofa zmienia się w łóżko. Dalej piece i futra przypominają, że zima za pasem; poważny niedźwiedź wyciągnął łapę, jakby groził każdemu, co się w niedźwiedzie na zimę nie zaopatrzy. Ba! nie każdemu o takich zbytkach marzyć, odpowiada uśmiechnięta główka chłopczyka, wyrzeźbionego w mydle i zapamiętane puszczonego w górę bańki mydlane; nie wszystkich stać nawet na pierwszą oznakę cywilizacji — na mydło, a nie dopiero na kosztowne niedźwiedzie. Amatorowie tytoniu stanęli w dwóch rzędach przed okazami c. k. fabryki tytoniu w Galicyi. Kilku poważniejszych kupców badają po szczególe bardzo liczne nadesłane wyroby z fabryk żelaznych w Białej i Bielsku, a chociaż nie bardzo może chętnie, przyznać jednak muszę, że dwa te miasta stosunkowo nierównie więcej przysłały okazów na wystawę, niż cała zachodnia Galicya. „Bo to my panie! odpowiada jakiś szlachcic, wskazując z dumą na rozciągający się na prawem skrzydle pawilonu dział rolniczy, jesteśmy przedewszystkiem rolnikami. A ogrodnicza szkoła Czernichowska, a dział pszczelniczy, a te wszystkie rośliny i kwiaty, wyhodowane w zakładzie Józefitów czy się nie pięknie przedstawiają?“ Każdy naturalnie chętnie godzi się na te słowa i pocieszeni, że wystawcy Biało-Bielscy prześcignąć nas nie potrafili, spieszymy za unoszącą falą zwiedzających do rybackiego i łowieckiego działu.

Plastycznie przedstawiony rozwój pstrąga, od zarodku aż do zupełnie ukształconego okazu, dla każdego bardzo jest interesującym; cóż dopiero dla przyrodników z zamiłowania lub zawodu! Miłośnicy myśliwstwa napatrzyć się znów nie mogą na ścianę niby wyhaftowaną kilkudziesięciu olbrzymimi rogami jelenimi. Niestety! ani ichtologiem ani myśliwym nie jestem; więcej zawsze miałem styczności z książkami i papierem niż z mieszkańcami naszych stawów i lasów; stąd, choć podziwiam z drugimi rogi jelenie i pstrągami staram się zainteresować, zepsuta natura ciągnie mię w stronę, w której drukarnie nasze i księgarnie rozbiły swe koczownicze namioty.

Charakterystycznym, ale ściśle autentycznym jest, że o wy-

stawę księgarską długi czas dopytać się nie mogłem, i że gdybym nie był sam skrupulatnie obszedł wszystkich pawilonów i każdego zakątka, bodaj czybym się od kogo dowiedział bliższych jakich szczegółów o tej części wystawy. Zwiedzających nie bardzo śmiałem męczyć pytaniami; służba wystawowa zapewniała mi uroczyście, że absolutnie nie jest w stanie zadowolnić wygórowanej mojej ciekawości i widocznie powątpiewała, czy żartów z niej sobie nie stroję, zadając tak oryginalne pytania; a ponieważ w dodatku nie wiem skąd wyrobiłem sobie błędne mniemanie, że księgarnie zajmują odrębny jakiś pawilonik, błąkałem się formalnie jak w lesie. Cóż dziwnego, że spostrzegłszy wreszcie przedmiot mych poszukiwań, rzuciłem co prędzej ryby i grzyby, likiery i sery i puściłem się ścieżką prowadzącą do szaf gęsto zapełnionych książkami.

Najwięcej miejsca zajęła najmłodsza, i jak na najmłodszą przystało, najruchliwsza firma Żupańskiego i Heumanna mieszcząc w pięciu rzeźbionych szafach równie własne nowe wydawnictwa, jak i dawniejsze nakłady poznańskiej księgarni Żupańskiego. Nowych wydawnictw dużo, bardzo dużo; zewnętrzna ich szata oryginalnie i ozdobnie pomyślana, choć przyznać trzeba, że jeśli krakowskie publikacje — w tych szafach przynajmniej, poszczycić się mogą ozdobniejszą sukienką, to poznańskie często podobno treścią je przewyższają. Czyja w tem wina? Dobrze, żeby można wyłącznie winę na nakładcę zwalić; byłoby to może najwygodniej, ale czy byłoby najsprawiedliwiej? Na skrzydłach i jakby pod opieką przedsiębiorczej księgarni Heumanna, rozsiadły się warszawskie głośnie i obrotne firmy: Paprockiego i Gebethnera i Wolfa.

„Czemu, pyta ktoś, u Paprockiego figuruje tyle wydawnictw Żupańskiego i Heumanna?”

Odpowiedzi nie zasłyszałem, a szkoda, bo sam bym się rad o przyczynie dowiedział. Natomiast ten sam krytyk, jeden z tych widocznie, co to plam na słońcu szukają, występuje z nowym zarzutem:

„Czemu drukarnie i księgarnie dały po kilka egzemplarzy tej książki i w dodatku po różnych miejscach je roztasowały? To tylko utrudnia wyrobienie sobie należytego pojęcia o działalności i rozwoju każdej po szczególnie firmy“.

Być może, odpowiedziałem sobie w myśli, że gdybyś ty mój łaskawy krytyku, wystawę księgarską urządził, lepiej i przeźroczystej by wyglądała. Tymczasem, cieszymy się razem, że mimo trudnych warunków ten dział wystawy tak dobrze się jeszcze przedstawia. Kilka bardzo poważnych i kilka w całym znaczeniu tego słowa zbyt słabych wydawnictw Gebethnera i Wolffa; ozdobne książki Żupańskiego i Heumanna, między którymi obok pewnej liczby miernych i słabych znajdują się rzeczy trwałej i prawdziwej wartości; piękne to, wykwintne i strojne, to znów na szerokie koła obliczone druki „Czasu“ i mniej w ogóle strojne, ale dążące szybko ku coraz większemu udoskonaleniu wydawnictwa drukarni „An-czyca“, dobrze rokują o staranności i ciągłym postępie naprzód krakowskich i warszawskich księgarń i drukarni. Czemu inne księgarnie i drukarnie, np. lwowskie, usunęły się z tak nielicznymi wyjątkami od udziału w wystawie? Czy się lękały, że zbyt pozostaną w tyle; czy lekceważyły sobie krakowskie wystawowe turnieje? To pewna, że gdyby jakiś Niemiec, dajmy na to w Białej lub Bielsku wydawał polskie książki, ujrzelibyśmy niezawodnie te książki na krakowskiej wystawie bardzo starannie porozkładane, w pięknych szafach i pięknych okładkach, a każdy zwiedzający otrzymałby niezawodnie obszerny katalog „polskich dzieł nakładowych i spółki w Białej w Galicyi“.

Czy iść jeszcze na wystawę bydła? Zmiłujcie się, jeśli na czym, to na krowach i wołach, absolutnie, ale to absolutnie, nie a nic się nie znam; chcecie wiedzieć, kto z wystawców najbardziej się popisał, przeczytajcie sobie spis nagród w pierwszej lepszej gazecie, a mnie dozwólcie zawlec się do domu, bo nogi coraz bardziej i gwałtowniej wypowiadają mi służbę. Daremne próby! Jeden z wystawców, dawny kolega szkolny, pragnąc się widocznie zemścić za figle, które mu kiedyś płaćtałem, chwyta mię za rękę, i mimo protestów ciągnie za sobą. W oczach zaczęły mi się migać jakieś kolosalne kształty; czułem, że oddycham powietrzem, które suchotnikom wraca życie i zdrowie; pamiętam, jak przez mgłę, że nie-litościwy wystawca zapoznawał mię z kolei z bardzo bezwątpienia pięknem i jeszcze piękniej nazywajacem się bydełkiem: „Dewotką“, „Bohunem“, „Barabaszem“, „Diwą“, „Ewą“, „Malcią“, „Humbertem“, wreszcie z — „Deotymą“. Czy był „Mickiewicz“, „Sło-

wacki“ lub „Kochanowski“ za to ręczyć nie mogę; w każdym razie ucieszyłem się nie mało, że nie będąc sławnym poetą, pisarzem, czy malarzem, nie znajdę się prawdopodobnie nigdy w konieczności dzielenia się nazwiskiem z wołami lub psami moich adoratorów.

A teraz stanowczo wreszcie opuszczam wystawę, choć właściwie teraz dopiero roić się ona zaczyna od tłumów, które przy miłym chłodzie wieczornym przychodzą użyć spaceru, napić się dźwiękami muzyki, wzbogacać Roszkowskiego i Goetza. Do miasta nie daleko, lecz dla człowieka, co przez sześć godzin widział koło siebie fotele, kanapy i szezlongi, a ani chwili nie spoczął nawet na najprostszej ławie, kawałek ten drogi wydaje się nieskończonością. „Fiakra, za królestwo fiakra!“ Niestety! fiakrzy, zmierzyszy mię od stóp do głów osadzili praktycznie, że królestwa nie mam do zbycia i że najprawdopodobniej trzymać się będę ściśle oznaczonej taksy; a kiedy raz taki sąd zapadł, to *lasciate ogni speranza* i nie pytajcie się dalej, bo wszystkie fiakry „zajęte“. Cóż robić? Zmęczony, półsenny, z głową nabitą tysiącami obrazami i planami, wracam do domu, a choć niby narzekam na to i na owo, choć krytykuję wszystko, jakbym znał się na wszystkim, to jednak w cichości serca przyznać muszę, że wystawa nad wszelkie spodziewanie dobrze się udała i jak mogę, zwolna, nieznacznie, wycofuję się przed znajomymi z zajętego przed rozpoczęciem wystawy pesymistycznego stanowiska. Wieczorem przy herbacie dyplomatyzuję jeszcze i wmawiam w innych i w sobie: dość mi tego dobrego! ale nazajutrz, znalazłszy chwilę wolną, idę — na wystawę i dziwię się, że wczoraj na tyle jeszcze ciekawych i pięknych rzeczy nie zwrócił uwagi.

W. P.

Szkolnictwo w Bułgarii¹.

Ogólna zapomoga rządowa na szkoły gminne wyniosła w 1880 roku 350.000 lew., a w następnym 1881 roku tylko 300.000 lew.

¹ Zobacz zeszyt z sierpnia b. r.

W jakim stosunku ta pomoc zostawała do wydatków poniesionych przez same gminy, nie dałoby się z całą dokładnością określić, bo nie ze wszystkich gmin mamy budżeta i rachunki, które w wielu miejscach nie dały się przeprowadzić dokładnie. Pewne jednak wyobrażenie o tym stosunku powziąć można z faktów sporadycznych. I tak np. gdy w wspomnianym okręgu kastendylskim gminy w 1880 r. wydały na szkoły 80.778 lew., rząd ze skarbu państwa w tymże czasie wydał na te same szkoły 44.600 lew., a była to okok truskiego okręgu (38.500) najwyższa pomoc; przeciwnie gdy w tyrnawskim okręgu gminy wydały 134.362 lew., rząd tylko 27.450 lew., a więc prawie 5-tą część tylko.

W Rumelii rząd tamtejszy na takiż cel udzielił pomocy w 1881/2 roku 1,375.647 groszy (piastrow), a w 1882/3 roku 927.979 groszy.

Pomoc rządu rumelickiego okazywana była nie gminom politycznym, jeno wyznaniowym, których było 7 kategorii, (bułgarska prawosławna, katolicka, protestancka, grecka, turecka, żydowska, ormiańska).

Dla zestawienia tej rubryki budżetu księstwa z taką rumelicką, należy uwzględnić ogólną ilość ludności tu i tam. A więc rządy udzieliły pomocy na rzecz szkół gminnych w 1881 r., w księstwie Bułgarskiem na 1,900.000 ludności — 300.000 lew., w księstwie Rumelii na 815.000 ludności — 275.129 lew.¹. Wypadłoby, że rząd rumelicki więcejłożył na szkoły gmin, niż rząd księstwa, w rachunku tym jednak uwzględnić należy tę ważną okoliczność, że powyższa kwota subwencji rumelickiej, o ile udzielana była innym oprócz prawosławnej gminom wyznaniowym, obejmowała i szkoły inne (nie tylko ściśle ludowe — początkowe), które te gminy utrzymują.

Bądź co bądź — oba rządy w pierwszym roku po wyzwoleniu Bułgarii więcejłożyły ze skarbu państwa funduszków na szkoły ludowe, niż w latach następnych, kiedy już znaczna część budynków szkolnych została wzniesiona, a samowiedza w gminach do samopomocy bardziej była obudzona.

Dzięki tedy tej samopomocy ludności i jej zamięłowaniu do wiedzy, oraz gorliwości, zapobiegliwości i czujności rządów, postęp

¹ Licząc po 5 groszy na jeden lew czyli frank bułgarski.

w szkolnictwie okazał się tak różnym, tak uderzającym, jak rzadko gdzieindziej.

W powiecie kastendylskim przed wojną było 8 szkół bułgarskich¹ najbardziej prymitywnych. W 1879/80 roku szkolnym istniało tam już 23 męskie i 1 żeńska szkoła z 26 nauczycielami, 2 nauczycielkami, 743 uczniami i 69 uczenicami, a w następnym roku 30 szkół męskich (2 w mieście) z 35 nauczycielami i 1 żeńska (w mieście) z 2 nauczycielkami, razem z 1246 uczniami i 104 uczennicami.

W truskim okręgu przy przejściu go pod rząd bułgarski było jeszcze w 1879 roku w lecie 16 szkół z 18 nauczycielami, 375 uczniami i 12 uczenicami. W ciągu roku szkolnego 1879/80 już tam stało 48 szkół męskich i 2 żeńskie z 54 nauczycielami, 3 nauczycielkami, 1844 uczniami i 176 uczenicami.

W łowczańskim okręgu:

w 1878/9 14 szkół męskich 2 żeńskie
 „ 1879/80 49 „ „ 2 „
 „ 1880/81 60 „ „ 4 „ oraz 3 szkoły klasowe.

W tyrnowskim okręgu:

w 1878/79 148 szkół męskich 16 żeńskich
 „ 1880/81 140 „ „ 19 „ oraz 12 szk. kl. m. i 5 ż.

W warneńskim okręgu:

w 1878/9 13 szkół męskich 2 żeńskie
 „ 1880/1 31 „ „ 3 „ oraz 1 szkoła klasowa żeńska.

W widyńskim okręgu:

w 1874 51 szk. m. 50 (?) naucz., 1256 uczn., 93 uczen.
 „ 1880/1 89 „ „ 97 „ 3587 „ 439 „

Wszystkich szkół początkowych i w ogóle gminnych było.

W Księżstwie:

w 1878/9 1027 szkół męskich 61 żeńskich
 „ 1880/81 1283 „ „ 82 „ oraz 44 kl. m. i 12 kl. ż.²

W Rumelii było szkół gminno-wyznaniowych tak ściśle początkowych jak klasowych:

¹ Z których trzy były jako tako urządzone, a reszta przedstawiała proste cele cerkiewne, gdzie uczono pisma cerkiewnego podług najstarszej metody.

² Głównie izłożenie do Niegawo Wisaczestwo kniazia 1882.

	w 1881/2 r. szk.	w 1882/3 r. szk.
bułgarsko-prawosławnych . .	841	890
bułgarsko-katolickich . . .	9	10
bułgarsko-protestanckich . .	2	4
tureckich	770	763
greckich	59	48
ormiańskich	5	5
żydowskich	13	14

Pomnożeniu szkół odpowiada też frekwencya szkolna. W tej mierze należy odróżnić zachodnie i górskie okręgi od wschodnich i nizinnych. Sofijski i widyński okręgi były dawniej upośledzone pod względem oświaty i szkoły w tej mierze prawie na najniższym stały stopniu. Położone prawie w środku europejskich dzierżaw Turcyi, zdala od wielkich dróg komunikacyjnych i świata zewnętrznego, były pozbawione środków kształcenia się. Beskowski powiat, góry między Sofią i Wracą (Iskrecka okolja), breznicki, radomirski i znaczna część kastendylskiego były przez samych Bułgarów uważane w czasach tureckich za świat zabity deskami. Na całej tej przestrzeni jedynem ogniskiem był monastyr rylski, skąd promieniowała oświata na bliższe okolice (samokowskie).

We dwa lata po wyzwoleniu widzieliśmy, ile szkół tam powstało, a w samym kastendylskim okręgu uczęszczało 4.084 dzieci do szkół czyli 28% wszystkich obowiązanych do uczęszczania. We wraczańskim wynosił 50%

W niektórych górskich okolicach oddzielne chaty i kaliby oddalone są od siebie o pół dnia drogi a dalej jeszcze od wiosek posiadających szkoły, do których wieśniacy ubodzy nie są w stanie wysyłać i utrzymywać tam swą działwę. Rząd pomyślał o usunięciu tej niedogodności i zaczął się starać o nauczycieli urzędowych, którzyby takie oddalone zakątki odwiedzali raz lub dwa na tydzień, albo przebywali tam dłużej co miesiąc lub co dwa miesiące.

Inny widok przedstawiają nizinne powiaty albo wschodnie. Tam potrzeba szkoły stała się w każdej wiosce nieodzowną, którą sami wieśniacy głęboko uczuwają. Nie potrzeba tu nawet znacznej zachęty ze strony rządu: lud troszczy się o szkoły i dumnym się czuje z ich postępu. W szumneńskich wioskach jest zwyczaj, że wieśniacy zapraszają z miasta nauczycieli na doroczne egzamina do

swoich szkół, gdzie też sami zjawiają się gromadnie z całemi rodzinami, nie wyjmując nawet małych dzieci i niewiast i cieszą się z każdego najmniejszego postępu w szkole lub żądają wskazówek i rady od panów nauczycieli miejskich.

Frekwencya w ruszczuckim okręgu wynosiła 58% wszystkich dzieci będących w wieku szkolnym, w tyrnowskim 60%, w swisztowskim 64%, w prawadyjskim 69%, a w owym szumneńskim aż 82%¹.

W Rumelii na 1881/2 rok szkolny było zapisanych do szkoły 39.940 chłopców i 11.857 dziewcząt, czyli razem prawie 52.000, około 4.000 więcej niż w roku poprzednim, co stanowiło 75% czyli $\frac{3}{4}$ wszystkich dzieci obowiązanych do szkoły. A mówimy tu o uczniach i uczenicach bułgarsko-wschodniego kościoła. Procent to wyższy niż nawet wśród greckiej ludności, gdzie on wynosił 70%.

W następnym roku (1882/3) procent ten dla Bułgarów (78.902 obowiązanych do szkoły a 36.784 takich, którzy się zjawili na roczne egzamina) wynosił 64% a więc na pozór mniejsze niż w roku poprzednim; ta jednak różnica pochodzi nie od zmniejszenia liczby zapisanych do szkoły, ile raczej od zwiększenia się liczby dzieci obowiązanych do szkoły. U Greków również niższy wykazuje się w tym roku procent, bo 50%.

Tureckich szkół w 1881/2 roku, jak już naznaczyliśmy, było 770, a w nich uczących się 29.000 (17.000 chłopców i 12.000 dziewcząt); w następnym 1882/3 liczba ta zmniejszyła się, bo wynosiła 27.113 (15.774 chłopców i 11.339 dziewcząt²) co nastąpiło wskutek ciągłego zmniejszania się ludności tureckiej w Bułgarii przez wychodztwo nad Bosfor i do Małej Azji. Z tem wszystkiem zwraca tu uwagę ogromna ilość szkół tureckich w stosunku do ogółu ludności tureckiej, co się tłumaczy tem, że każdy *mekteb* czyli prosta izba przy meczecie, gdzie uczą koranu, podawany bywa za szkoły, a meczetów bywa wielka ilość, tak, że np. w samym Filibe (Filipopolu, Płowdiwie) jest ich około

¹ Bierzemy ciągle epokę do 1883.

² P. Raport do głównika Uprawiciel (Bogorydesa) na Istoczną Rumelja do direktora na narodnoto proswieszczenie.

30. Taki stosunek jest wszędzie prawie: na 200—400 dorosłych Turków przypada często 1 dżamija.

Rząd przestrzegając tego pilnie, aby stopniowo przeprowadzić przymus szkolny i aby cała dziatwa znajdująca się w wieku szkolnym uczęszczała do szkoły, nie może też nie uwzględniać stanowiska i potrzeb rolnika, oraz tej pomocy, jaką daje młodzież szkolna rodzicom w pracy domowej. Jak na całym świecie tak i tu w porze gorącej dla rolnika, jak przy żniwach lub winobranii, dzieci bywają odrywane od szkoły dla pomocy rodzicom. Gdzie nie zachodzi gwałtowna potrzeba, władze szkolne dość surowo postępują. Najczęściej szkoły fungują przez 7—8 zimnych miesięcy, a z wiosny zamykają się. Z drugiej strony rząd hamować nieraz musi zbyt gorliwość szkolną rodziców i baczy na to, aby przed 6 rokiem życia nie posyłano dzieci do szkoły. Szkoły początkowe w Bułgarii dość często bywają mieszane — chłopcy i dziewczęta uczą się razem; w klasowych jednak szkołach podział ściśle jest przestrzegany¹. Starano się też wprowadzić wszędzie urządzenie nauczania uzupełniające w tym celu, aby dziatwa, wyszedłszy ze szkoły początkowej i niemogąc kontynuować dalej nauki w szkołach klasowych lub rządowych, nie zapomniała tego, czego raz się nauczyła. Powtarzanie to odbywa się w kursach niedzielnych przeważnie dla dziewcząt i wieczornych, wyłącznie dla chłopców.

W personalu nauczycielskim zaszła wielka zmiana w pierwszych paru latach po wyzwoleniu się kraju. Skoro do tego czasu wszyscy prawie wykształceni Bułgarzy poświęcali się zawodowi nauczycielskiemu, teraz zaś ogromna ich większość przeszła ze szkoły na różne stanowiska państwowe, które młode państwo obsadzić potrzebowało, aby machina państwowa mogła funkcyonować. W ten sposób np. w okręgu kanstendylskim 79%, a w tyrnowskim 70% zrekrutowało się nowych sił nauczycielskich, a tu i tam zaledwo pozostało 6% ze starych nauczycieli, którzy w swym zawodzie pracowali 10—30 lat. Taki sam mniej więcej stosunek zaszedł w całym kraju. Wszędzie trzeba było wytwarzać nowe siły nau-

¹ W 1878/9 dziewczęta stanowiły 15% uczących się, we dwa lata później 17%. W niektórych okręgach (jak np. w szumneńskim 38%, w tyrnowskim 41%) procent ten sięga wysoko, ale nigdzie nie dosięga 50%.

czyielskie; a o ile ich brak dawał się uczuwać, z drugiej zaś strony o ile nagłącą dawała się uczuwać potrzeba takowych, dość powiedzieć, że w wielu okolicach, zwłaszcza w zachodnich powiatach, bywał nauczycielem niedorostek miejski, który sam zaledwo tyle umiał, ile się wymagało jako rezultat początkowego nauczania; inspektorowie szkolni w ciągu trzech lat (1879, 1880, 1881) musieli w porze wakacyjnej przy pomocy jednego nauczyciela urządzać kursa pedagogiczne 6—8 tygodni, podczas których odpowiedniemi wykładami udzielali kandydatom nauczycielskim niezbędnych wiadomości i zapoznawali ich z metodą nauczania.

W następnych latach lepiej poszły sprawy. Czteroklasowe szkoły zamieniono na seminaria nauczycielskie. W 1880/81 otwarto w Szumli czasowy kurs pedagogiczny, a w następnym roku stały, w którym nauka trwała 1 rok na razie; drugi takiż kurs otwarto we Wracy.

W Rumelii również urządzono pedagogiczne kursa czasowe (trwające po 6 i 7 tygodni), a następnie założono w Kezanlyku seminarium nauczycielskie.

Płaca nauczycieli, zawisła od chęci i zamożności gminy, jest oczywiście nie wszędzie jednakowa. W izworskim powiecie otrzymuje nauczyciel ludowy 280 lewów rocznie, a w swisztowskim 2.600 lew. Taka nierównomierność musi być przykrą dla niejednego, chociaż z drugiej strony może być do pewnego stopnia bodźcem dla nauczyciela do starania się o podźwignięcie materialnego stanu gminy i zasłużenia się sprawie oświaty. Przykrość ową miarkuje do pewnego stopnia okoliczność, że gminy starają się mieć nauczycielami nie obcych, lecz swoich własnych synów, solidaryzujących się z ich interesami, biorących szczerzy udział w ich smutkach i radości.

Dla starych nauczycieli, którzy najmniej 25 lat pracowali w zawodzie nauczycielskim, państwo zapewnia emeryturę.

Naczelne władze szkolne, o ile są względnyimi w zastosowaniu §. konstytucyi tyrnowskiej o przymuszonej nauce początkowej i, chociaż ze stanowczością ale wyrozumiale starają się o to, aby nie gwałtownie lecz stopniowo paragraf ten wszedł w życie; o tyle też nie ograniczają się na biurokratycznym i formalistycznym załatwieniu sprawy nauczania, a i na samem kształceniu nie poprzestają, lecz biorą szczerze do serca sprawę wychowania młodego pokolenia.

Wielką przeszkodą w nauczaniu był brak podręcznych książek odpowiednich najnowszym wymaganiom dydaktyki. Lecz stopniowo i temu uradzono: zaczęły się pojawiać wyborne dziełka szkolne dla młodzieży ułożono podług metody poglądowej, a to zarówno w księstwie jak w Rumelii¹. Zawsze jednak więcej zwracano uwagi na żywe słowo i na układ nauczycielski, niż na książki. W 1881 roku już ministerstwo mogło polecić inspektorom szkolnym, że „przestarzała metoda (nauczania) wzbrania się, a nauczyciele nie mogący wyklądać podług naszych wymagań nie będą cierpieni!“

Jak wiele wymagano od nauczycieli i wysokie miano wyobrażenie o zadaniu szkoły ludowej, niech świadczą następujące ustępy ze wzmiankowanej już instrukcyi:

„Nauczyciele powinni wieść żywot przykładny, jak przystoi wychowawcom, i nigdy nie zapominać, że im powierzono młode pokolenie, będące nadzieją ojczyzny; niech zawsze pomną, że są odpowiedzialni przed narodem za mozolny i umysłowy rozwój powierzonej im dziatwy. Przy wypełnianiu swych obowiązków niech nie zapominają, że szerzenie oświaty i wypalenie ciemnoty nawet wśród najgłuchszych wiosek jest największą zasługą względem ojczyzny“.

A w innym znów miejscu:

„Od szkoły elementarnej wymaga się nie tylko prostego nauczania, ale i wychowania dzieci. Wykład i dyscyplina szkolna mają budzić u dziatwy poczucie obowiązku i honoru, miłość dla ojczyzny i zamilowanie do pracy, ma ją nauczyć ochędostwa, porządku, i przyzwoitego zachowania się“.

Widziałem w kilka lat potem wychowawców takiej szkoły czternastoletnich chłopaków, jak nie mogąc udźwignąć karabina, szli do boju na czele kolumny bądź jako dobosze, bądź pieśniarze, wlewający pieśnią zapal do piersi żołnierzy.

* * *

¹ Z pomiędzy tych ostatnich niech mi wolno będzie zacytować dziełko układu Manczewa pt. *Basztin jezik*, który oprócz notat metodycznych odznacza się tak pięknym, czystym i wzorowym językiem, jaki trudno spotkać można nawet u najznakomitszych pisarzy bułgarskich.

Średnich zakładów naukowych w czasach tureckich było tylko dwa — jeden w północnej Bułgarii w Gabramie, drugi w południowej w Płowdiwie, nie licząc szkoły OO. Zmartwychwstańców w Odrynie (Adrianopolu). Programem nauk odpowiadały one prawie europejskim szkołom realnym, mając sześć i siedem klas. Oprócz tego od 1874 roku istniała w piotropawłowskim monasterze w pobliżu Leskowca szkoła duchowna. Po wyzwoleniu się narodu nowe rządy zaczęły szybko zakładać gimnazya i szkoły realne, męskie i żeńskie, które ulegały różnym zmianom i przekształceniom. Ostatecznie w 1882 r. były następujące średnie szkoły (państwowe): w księstwie 12: 1 duchowna szkoła w leskowskim monasterze (z jednym oddziałem przygotowawczym i trzema klasami) 1 gimnazjum klasyczne w Sofii (1882 r. otwartą już była 5 klasa, w następnych latach dalsze dwie), 4 gimnazya realne w Gabramie, Łomie, Kastendylu i Warnie, 2 żeńskie gimnazya w Sofii i Tyrnowie, 2 trzyklasowe szkoły w Sylistryi i Carybrodzie i 2 pedagogiczne szkoły w Szumli i Wracy. W Rumelii średniemi szkołami nazywają się 4-ro (dla chłopców) i 3 klasowe (dla dziewcząt) z programem odpowiadającym niższymi klasom państwowych (oblastnych krajowych) szkół realnych i gimnazyów żeńskich. Liczba takich szkół w 1881 roku wynosiła 21, a w następnym roku 31, mianowicie 19 bułgarskich męskich (Bazardżyk, Bracygowo, Panagiuryszte, Koprywsztyca, Sopot, Karłowo, Brezowo, Konary, Stanimaka, Czepelely, Haskowo, Harmanlije, Hadżyles, Czyrpan, Stara-Zagora, Kezanlyk, Kotel, Karnobad i Burgas); 7 bułgarskich żeńskich (Bazardżyk, Panagiuryszte, Karłowo, Haskowo, Czyrpan, Kezanlyk i Sliwno), 4 greckie (po jednej męskiej i po jednej żeńskiej: w Płowdiwie i Stanimace); jedna turecka (ruszdije) (w Płowdiwie).

Szkoły te utrzymują się z funduszków gminnych przy pomocy krajowych i departamentowych.

Państwowych średnich szkół w Rumelii, czyli jak je nazywają tam *oblastne* gimnazya było cztery: realne gimnazya w Płowdiwie i Sliwnie, tudzież żeńskie gimnazya w Płowdiwie i Starej-Zagorze. Kurs realnych gimnazyów zakresłony jest na 7 lat i dzieli się na dwa półkursy: pierwszy trwa cztery lata, drugi trzy. Ten ostatni składa się z dwóch oddziałów: realnego i klasycznego.

Kurs gimnazyów żeńskich trwa 6 lat i dzieli się na dwa półkursy, każdy po 3 lata.

Oprócz tego oba rządy zajęły się zakładaniem szkół fachowych, a zwłaszcza handlowych i rolniczych, z tych ostatnich jedna już istnieje w północnej Bułgarii pod Ruszczukiem, druga w południowej — w Sadowie pod Płowdiwem. Tu i tam kurs nauk mniej więcej odpowiada programowi takiemu jak np. w szkole czernichowskiej pod Krakowem. Nie bierzemy tu w rachubę szkół prywatnych, jak np. greckie 1 klasowe w Warnie, albo bułgarskie 6 cio klasowe męskie i 5-cio klasowe żeńskie w Samokawie utrzymywane przez protestanckich misjonarzy amerykańskich; albo 3 klasowa żeńska francuska szkoła w Sofii.

Jeśli przy zakładaniu szkół ludowych miano ambaras z powodu braku personalu nauczycielskiego, to tembardziej brak ten uczuwać musiano przy zakładaniu szkół średnich, bo niedość że ta szczupła ilość nauczycieli, jaka już istniała dla szkół zabrawskiej i płowdiwskiej, przechodząc do innych gałęzi służby państwowej, pozostawiała te katedry szkolne nieobsadzonemi, ale nadto odrazu otwarły się stanowiska w tylu nowo założonych gimnazyach, które należało urządzić podług wymagań dzisiejszej nauki i obsadzić podług odpowiednich kwalifikacyj osobistych. Toć dotychczas niema jeszcze dostatecznych sił nauczycielskich, mogących zapelnąć wszystkie katedry. W księstwie we wszystkich szkołach państwowych (średnich) w 1879/80 roku było tylko 51 profesorów; w następny 1880/81 liczba ta podniosła się do 62, a w 1881/82 zaledwo do 76. Ilość to niedostateczna na 12 szkół.

(C. d. n.)

J. G.

Obrazy religijne na pierwszej wielkiej wystawie Sztuki Polskiej w Krakowie.

„My Polacy“ mówił mi jeden znajomy zapytany o wystawę „moglibyśmy znaczyć coś na świecie, tym gruntem wiary i szerokich ideałów Bożych, które w nas są, a tego na wystawie niema ani śladu“. Żeby nie było ani śladu, powiedzieć nie można. „Ślad jest, nie w przemyśle, który z natury rzeczy inną stronę życia

naszego przedstawia, ale w sztuce, która także w swych najwyższych utworach z natury rzeczy piastuje ideały narodu, i która na wystawie naszej bardzo pięknie wygląda. Nie mówiąc już o mistrzach dawnych i powszechnie znanych, wśród młodszych są objawy tak niepospolite jakąś prawdą przeniesioną bezpośrednio z życia na płótno, że radość patrzeć. Malezewski, Szymanowski i panna Bilińska, choć w bardzo różny sposób i w różnym kierunku, tą prawdą, tem podchwyceniem natury bez pozy, szczególnie pociągają i przykuwają widza. Pejzaże Ciesielskiego, o Ruisdaelowskim zakroju, i Kochanowskiego niemniej głęboko odczute, a tak nasze, niektóre portrety, akwarele Fałata i Tondosa, a w końcu akwa-forty Jasińskiego, oto szereg utworów niezwyklej i rzetelnej wartości.

Przyznać jednak musimy, że wśród mnóstwa obrazów na tej wystawie, religijnych jest mało, a te co są, niekoniecznie wyrażają, co ogół katolickiego społeczeństwa czuje. W społeczeństwach zachodnich, które rozwijają się samoistnie, a wpływy obce szybko bardzo do swego rozwoju dostrajają, jest jakiś porządek i jakaś logika w odradzaniu religijnego malarstwa, i jest wyraźny związek religijnej sztuki z odrodzeniem się katolicyzmu w literaturze i w życiu. U nas tak literatura nasza jak życie przez większą część malarzy nie są znane, bo chęć łatwego, a konieczność szybkiego dojścia do jakich takich rezultatów na naukę lub na głębsze poznanie społeczeństwa nie pozwala. Sztuka więc nowsza, taka jak ją na wystawie widzimy, nie rozwinęła się z pnia naszego życia, ale byle skąd, z obcych najczęściej źródeł, które malarze nasi w ogóle przyswajają sobie żywcem, nie tłumacząc ich nawet lub źle je tłumacząc „na polskie“. Stąd trudność zrozumienia dążności ideałów malarzy naszych, i pewna ogólna skarga na bezmyślność w sztuce. I te próby sztuki religijnej, jakie mamy, nie są w ogóle z nas i dla nas, ale z zagranicy, dla garstki znawców, nie są z kościoła i dla kościoła, ale ze szkoły malarskiej dla muzeum. I to jest najsłabsza strona tej sztuki.

Na zachodzie, po osiemnastym wieku, który całą rzeczywistość przeszłości zanurzył w mgłę wątpliwań i w próżnię lekceważenia i zapomnienia, a Chrystusa Pana i Matkę Boską i wszystkie żywe postacie pierwotnego chrześcijaństwa przemienił w mit lub symbol, zaczęła się powolna praca powrotnego ożywiania tychże samych

postaci i sprowadzania ich znowu do rzeczywistości. Duch ludzki tak samo nie mógł się karmić legendą i mitem, jak ciało ludzkie nie może karmić się chlebem widzianym we śnie lub w wyobraźni. Jest to piękna strona człowieka, że żyć może tylko rzeczywistością i prawdą. Całe więc odrodzenie sztuki religijnej przybrało ten prąd zbliżenia ludziom postaci i wypadków stanowiących treść religii, pokazania ich jako rzeczywistości.

Ale w tym prądzie ogólnym kierunki były bardzo różnorodne. Niektórzy malarze nie cofali się aż do samych wypadków biblijnych i do epoki życia Chrystusa Pana lub Świętych, by nam ich w nowy a żywy sposób odtwarzać, ale zatrzymywali się przy znakomitszych epokach sztuki religijnej, przy epokach żywej wiary, która z obrazów społecznych w oczy bije, i w celu odrodzenia tej wiary w duszach naszych, starali się mistrzów ówczesnych naśladować, z większym lub mniejszym tłumaczeniem ich na język dzisiejszy. Overbeck tak dalece przedrafaelowską epokę chrześcijańskiej sztuki ukochał, że i same jej błędy miały dlań urok, i nie wahał się ich naśladować, niebacząc, że naiwność naśladowana jest sprzecznością *in adjecto*; Flandrin brał samo piękno i wielkość pomysłów przeszłości, błędów unikał; Besson korzystając z dzisiejszych nabytków sztuki, potrafił wlać w postacie z dawnych brane obrazów pewien dzisiejszy realizm i dzisiejsze życie. Cała plejada niemieckich malarzy przerabiała lub manierowała dawne znane typy w rozmaity sposób, z wielkim czasem powodzeniem, że wspomnę tylko kartony apokaliptyczne Corneliusa.

Obok tego kierunku był drugi, któremu dała wyraz książka mająca wielki wpływ na wszystkie umysły religijne, a nadzwyczaj obrazowem opwianiem swoim, także na artystów. Mówię o „wizjach“ Katarzyny Emmerich, w których Chrystus P. i Matka Boska i Apostołowie i wszyscy ludzie współcześnie działający, odmalowani są zewnątrz i wewnątrz z całym realizmem i z całą mistrzowską charakterystyką, tak dalece, że czytając mamy złudzenie jakobyśmy byli rzeczywistymi świadkami zdarzeń. Tą książką, na wskrós w swoim rodzaju realistyczną i odpowiadającą doskonale obecnemu prądowi, przejął się głównie Delaroche w szeregu swych obrazów z męki Pańskiej, i on pierwszy pokusił się o to, by zbliżyć święte postacie do nas zwykłych śmiertelników, tak, abyśmy nietyle je

czcili, ile mogli wejść do ich wnętrza i zrozumieć je. Kierunek ten jest z pewnością uprawniony i niema mu co zarzucić, jak chyba tylko trudność zachowania miary. Jeżeli już utwory własne Delaroché'a, którego pobożność i szlachetność w sztuce jest znana, niektórych pobożnych ludzi razią, bo im się zdają pewnego rodzaju świętokradzkim obniżeniem tego co nam najświętsze, — tem gorszych rzeczy można się obawiać ze strony naśladowców mniej szlachetnych i podniosłych. Obawy te zaś potęguje istnienie trzeciego prądu sztuki religijnej, który jest raczej tej sztuki zaprzeczeniem.

Tym trzecim prądem jest gruby realizm pozbawiony wszelkiej boskości, wyszły z racjonalizmu i z niewiary, a spopularyzowany bardzo artystycznie i obrazowo przez Renana. Malarzom tego kierunku zdaje się, że ich zadaniem jest afirmować, iż Chrystus Pan jest zwykłym człowiekiem, a Matka Boska zwykłą niewiastą i że dopiero gdy zaprzeczą wszystkiemu co nadprzyrodzone, dochodzą do pojmowania rzeczy historycznie, realnie, i wtedy dopiero są w prawdzie. A nie zdają sobie sprawy do jakiego stopnia się mylą. Chrystus Pan zwykły człowiek nie jest bynajmniej postacią historyczną, ale płytką fikcją, która, biorąc rzeczy najbardziej racjonalistycznie, nie jest w stanie wytłumaczyć nam choćby tylko tego przeobrażenia świata, które się z postacią Chrystusa Pana wiąże. W porządku obiektywnym jest tu ze strony malarza złość lub ignoracya, a obraz taki jest dla ludzi religijnych może mniejszem lub większem bluźnierstwem — czasem, jak n. p. w tak zwanej świętej rodzinie Wereszczagina, niesłychanie brutalnem. Zalety zaś malarskie niepospolitych artystów, którzy tą drogą idą, stają się tylko potężnymi środkami apostołstwa niewiary i nieprawdy. Słusznie więc takie obrazy religijne nazwałem antytezą prawdziwie religijnych; a pomimo tego przyznać muszę, że kierunek Delaroché'a, pod ręką artysty mniej wprawnego lub o grubszej duszy, bardzo łatwo utwory podobne wydać może.

Jeśli do tych trzech kierunków dodamy jeszcze dzisiejszą szkołę Benedyktyńską, która także naśladuje dawną sztukę, tylko uniwersalnej i szerszej, i utwory takiego Uhdego i Gebhardta, którzy wydarzenia z życia Chrystusa Pana wkładają w dzisiejsze otoczenie i malują chłopów niemieckich wypędzanych przez Chrystusa Pana ze świątyni, lub pożywających z Chrystusem ostatnią wieczer-

rzę, będziemy mieli w przybliżeniu wszystkie drogi jakimi dziś sztuka religijna chodzi.

Rzecz naturalna, że i na naszych malarzach prądy te odbić się musiały. I tak pierwszy kierunek przejęcia się starą sztuką religijną najlepiej reprezentowany jest na wystawie naszej przez Chmielowskiego, a następnie przez Krudowskiego, choć tenże dużo lepiej maluje. P. Chmielowski przedstawił nam wizję Bł. Małgorzaty Alacoque. Płótno niewielkie, podłózne, daje jako tło starą bazylikę z V. czy VI. w., na środku kościoła klęczy święta z wyciągniętymi rękoma ku ołtarzowi, z którego stopni schodzi Chrystus Pan wskazując świętej swe serce. Przy świętej stoi anioł. Kompozycja dobra bardzo, przestrzeni dużo. Postać Chrystusa poważna, a pełna miłości, wyrażonej głównie skwapliwością, z jaką do świętej się zbliża. Święta w ekstazie, pełna cierpienia, która doskonale równoważy słodką postać anioła w nią się wpatrującego. Szczegóły tła, architektura i freski bazyliki i jej całe urządzenie zdradza sumienne studium, i przyczynia się wiele do zwiększenia ogólnej powagi i wartości tego obrazu, dostrajając go do dzisiejszych wymagań. Koloryt jasny, na tle jasnem i układ postaci nadziemskich od razu przypomina starą przedrafaelowską szkołę, choć żadnego specjalnie nie przypomina malarza; nie jest to więc ślepe naśladownictwo, ale przejęcie się starą sztuką i jej zrozumienie; przyczem widoczne jest spożytkowanie nowych nabytków i wymagań sztuki. Choć linia nie wszędzie wyraźna i ścisła, i obraz robi wrażenie niewykończzonego, nie wahamy się jednak powiedzieć, że co do ducha jest najbardziej religijny ze wszystkich, które na wystawie mamy.

Krudowskiego trzy są na wystawie płótna: Szkic do większego obrazu Pana Jezusa dwunastoletniego wśród doktorów Zakonu, miły w kolorycie, o którym nie mamy nic więcej do powiedzenia; św. Cecylia, i Matka Boska z Dzieciątkiem. Św. Cecylia w naturalnej wielkości siedzi przodem do widza, z głową i oczami wzniesionemi ku niebu, natchniona, z wyrazem głowy bardzo szlachetnym, w kolorycie bardzo poważna, ale o budowie ciała zbyt pełnej, robi pierwsze wrażenie, że jest kopią starego włoskiego obrazu starej szkoły, któregośmy jednak nigdy nie widzieli. Kopią nie jest, ale jest bardzo wiernem naśladowaniem i najbardziej może przypomina Palmę starego, choć i Domenichino na myśl

przychodzi. Obraz w ogóle bardzo miły, a idealnym kierunkiem swoim odbija szlachetnie od wyłącznego prawie realizmu sztuki dzisiejszej.

Matka Boska Krudowskiego jest najdziwniejszym może obrazem na całej wystawie, i nikt nie pominie jej obojętnie, a wrażenia na patrzących robi najsprzeczniejsze, od bezgranicznego zachwyty, aż do gorączkowej niechęci. Ten obraz jest natchniony starą szkołą, a na pierwszy rzut oka przypomina najbardziej Jana Belliniego, nie tylko ogólnym układem, ale i pewną dumą w głowie Maryi, białą draperyą około głowy i rysunkiem tła. Koloryt jednak całkiem inny, a wyrazy głów zupełnie oryginalne. W twarzy Matki Boskiej nienaturalnie bladej, z oczami czarnymi jak węgiel, nieziemskiej ale też i nie niebiańskiej, znać obok dumy jakby trwogę — niektórzy mówią, jakby zawziętość lub wyrzut czyniony ludziom za cierpienia Syna i własne. Głowa Dzieciątka, narysowana ślicznie, ale w kolorycie niemile sina, z olbrzymimi czarnymi oczami, poważna i smutna. Wszystko to dziwne bardzo. Przytem grube błędy rysunku, jak np. szyja Matki Boskiej zbyt szeroka, prawe ramię za wąskie, prawa ręka źle narysowana, łono dzieciątka za długie względnie do nóg, pacha prawa tak zacięta, że rączka zdaje się odpadać; a zarazem niektóre szczegóły narysowane i namalowane ślicznie, jak ręka lewa Matki Boskiej, rączki dzieciątka i biała draperya, łono dzieciątka doskonale modelowane, złotolita suknia Matki Boskiej oddana wybornie; wielka „pobożność“ (*pietas*) w wykonaniu, choć nie w wyrazie — wszystko to przykuwa do tego obrazu, choć nie wyradza zupełnego zadowolenia. Dawniejsze obrazy Krudowskiego, a szczególnie „Powrót z Golgoty“, były może nie tak oryginalne, normalniejsze, ale w całości niezaprzeczenie lepsze. Czyżby i ten niepospolity artysta, tak jak wielu innych mierniejszych malarzy polskich, po pierwszych znakomitych próbach pod okiem nauczyciela wykonanych, nie miał znaleźć samoistnej drogi? Pragnęlibyśmy bardzo, aby tak nie było.

Drugi kierunek, któryśmy nazwali Delaroche'a, ma bardzo dobrego reprezentanta na wystawie, w osobie P. Unierzyckiego. Jego „Zdjęcie z Krzyża“ jest najwybitniejszym na wystawie, obrazem szczerze religijnym, i znajduje się na honorowem miejscu. Ciało Chrystusa

Pana położone na białem prześcieradle, rozścielonem na ziemi, szlachetna, choć nieco zbyt mała w porównaniu do otaczających ją osób głowa z wyrazem bóleści i niezwyklej świętości, do jakiej w dzisiejszej sztuce nie jesteśmy przyzwyczajeni, a nie tak wymuskana jak w obrazie Delaroche'a tej samej treści. U nóg Pana Jezusa leży na ziemi Magdalena, z wyrazem twarzy szlachetnie zbolalem, ale w pozie nie dość szczęśliwej i nie dość stosownej do chwili. U głowy Chrystusa Pana klęczy piękna postać Maryi, którą trzyma za lewą rękę stojący za nią św. Jan, o rysach realistycznie żydowskich. Po prawej stronie Maryi jedna ze świętych niewiast, a dalej Józef z Arymatei, zbolwały starzec, o pięknej głowie, siedzi na położonym na ziemi krzyżu i wpatruje się w oblicze Pańskie, także na drzewie krzyża wsparte. Oto główna grupa, skomponowana i malowana bardzo dobrze. Największą jednak zaletą obrazu jest pewien nastrój ogólny, działający magicznie na widza, a wywołany jasnym blaskiem na ostatnich krańcach widnokreśu, podczas gdy reszta nieba zakryta ciemnymi chmurami, i ciżbą ludzi stojących zdaleka spokojnie i poważnie, jakby w poczuciu i rozpamiętywaniu jedyne go w świecie wydarzenia. Pejzaż doskonały w kompozycji i harmonijny w kolorycie, uzupełnia korzystne wrażenie.

Ale i na tym obrazie są dziwne rzeczy, wywołane dążeniem do realizmu z jednej strony, a do oryginalności z drugiej. Jest mianowicie na samym przodzie, po lewej stronie obrazu, pień drugiego krzyża wbity w ziemię, na którym widać przywiązane powrozami nogi i dolną część tułowu jednego z łotrów; na prawej zaś stronie, również na przodzie, jest wielka misa pełna krwi. Na co to? Historycznie nie jest prawdziwem, by łotr jeszcze wisiał, bo łotrom polamano golenia i zdjęto ich ciała, zanim zdjęto ciało Pana Jezusa, na co trzeba było osobnego pozwolenia Piłata. Więc musi w tem być jakiś symbol, jakaś myśl oryginalna, którą artysta chciał wyrazić, ale tak niejasną, że jej zupełnie nie rozumiemy. Nam przedstawiają się tylko realistycznie wstrętne nogi trupa. To samo powiemy o misie z krwią — zapewne Pana Jezusa — która nas razi głównie dlatego, że Krew Przenajświętsza jest dla każdego wierzącego przedmiotem głębokiej czei, i była nim z pewnością dla świętego otoczenia Chrystusa Pana, więc niepodobna aby ją zostawiono

gdzieś na boku bez opieki, przy grubej łopacie w ziemi zatkniętej. Takie pojęcie rzeczy uraża delikatniejsze religijne uczucie, a więc w obrazie religijnym jest z pewnością błędem. Może te zarzuty wydadzą się komu zbyt drobnostkowe, ale jeżeli gdzie to w religijnym malarstwie „trzeba się uczyć“, aby poznać wyrobioną tradycję, a nadto trzeba się modlić i rozpamiętywać święte prawdy i wypadki, a dopiero można sprostać zadaniu. Muza sztuki religijnej, to bardzo wielka pani, która domaga się szacunku i wielkiej delikatności w obejściu, inaczej odwróci się od artysty.

Do tego samego kierunku zaliczylibyśmy obraz Lisiewicza: „Wyjście Pana Jezusa z wieczernika“. Już sam wybór chwili, dodajmy zaraz, bardzo szczęśliwy, świadczy, że obraz z tej będzie szkoły; Delaroche bowiem także wybierał umyślnie wypadki nie najważniejsze, drugorzędne, a wnikał głęboko w rzecz i rzewne bardzo. Wybór p. Lisiewicza dlatego wydaje nam się szczęśliwy, że wrażenie, jakie sprawić musiały na Apostołów słowa Chrystusa Pana: „Smutna jest dusza moja aż do śmierci“, nadawało się do odtworzenia całej skali wyrazów i odcieni, mogących zająć najpotężniejszego mistrza. Wszak główny urok wieczery Pańskiej Leonarda de Vinci jest właśnie w tej skali wrażeń sprawionych słowami Chrystusa Pana: „Jeden z was mnie zdradzi“. P. Lisiewicz nie jest jeszcze tak wyrobionym artystą, aby się mógł zupełnie szczęśliwie z takiego zadania wywiązać, ale w obrazie jego nie brak zalet. Postać Chrystusa Pana jest poważna i smutna bardzo, tylko nie dość nadludzka, co gorzej, sposobem pojęcia, a szczególnie podbiciem oczu zbyt przypomina postacie Chrystusa, znane nam z obrazów malarzy fałszywo-religijnego kierunku, o których wyżej mówiliśmy. W ogóle głowy są zanadto pospolite, indywidualizowanie Apostołów (z których najlepiej może się udał św. Jan, a najgorzej św. Piotr) zanadto akcydentalne i ziemskie — nie dość odchodzi od portretów modeli, które służyły malarzowi — i dlatego obraz cały, słaby wzbudza interes i nie pociąga, by mu się bliżej przypatrzyć. Zalety jednak są widoczne, jest pewna harmonia w ogólnym nastroju, jest po wszystkich twarzach rozlany wyraźny smutek, układ ogólny dobry, wykonanie sumienne i widać u malarza usiłowania bardzo zdrowe i jakiś święty ogień, który w pomyślnych warunkach musi pięknie się rozwinąć.

Reprezentantem trzeciej szkoły pseudo-religijnej, jest obraz Mańkowskiego, „św. Piotr wskrzeszający Tabitę“. Jest to raczej studium niż obraz, do którego treść religijna służyła za pretekst. Św. Piotr jest to charakterystyczny stary, ale potężny i energiczny jeszcze dziad, który klęcząc z podniesionemi rękoma woła gwałtownie do nieba; a Tabita, to na wpół naga, szlachetnie narysowana modelka, w ruchu podnoszenia się z łoża fizycznie niemożliwym; ale ten „akt“ malowany niezwykle dobrze, światło lampy padające na głowę i ramiona wskrzeszonej oddane doskonale; możemy się więc spodziewać w przyszłości po p. Mańkowskim dobrych obrazów, których, mamy nadzieję nie będzie fałszywemi nazywał imionami.

Wiem że to nie wszystko, i wiele jest jeszcze innych obrazów treści mniej lub więcej religijnej. Jest „Nawiedzenie Matki Boskiej“, Łaszczyńskiego nie bez zalet pojęte i malowane nowocześnie, ale z pewnym oddźwiękiem dawnej klasycznej sztuki; jest „Samarytanin“ Trębacza, obraz poważny i sumienny, o pięknych liniach; jest nadto cały szereg obrazów, które mają pewną stronę religijną, ale religijnymi właściwie nie są. Taki „pogrzeb wiejski“ Axentowicza, „Pierwsza komunia“ Kotowicza, lub dziewczynka składająca w ofierze bułeczkę przed figurą P. Jezusa, „Błogosławieństwo“ Chelmońskiego — wszystko to są obrazy, w których można dać pojedynczym postaciom wyraz pobożności i nastroj religijny, ale należą one raczej do kompozycji obyczajowych. W tym jednak rzędzie trudno nam pominąć jedno dzieło, może nie najlepsze malarza, który nam je podał, ale nadzwyczaj głęboko religijnie odczute — a tem są „dwie generacje“ Malczewskiego. On, który jeden może z młodych naszych malarzy umie z człowieka zrobić typ, dać mu jednolity charakter i skoncentrować całe jego jestestwo w jednym akcie, dał nam szereg starców modlących się tak, że zdają się być uosobieniem modlitwy. A gdy obok nich widzimy szereg ludzi młodszych, którzy się nie modlą, ale cierpią i patrząc w próżnię duszy własnej, całem jestestwem swoim wyrażają do jakiego stopnia im tej modlitwy w duszy brak, to rozumiemy, że obraz ten jest w swoim rodzaju rdzennie religijnym, choć niema w nim ani jednej świętej postaci.

O tych próbach religijnego malarstwa na wystawie naszej, ja-

kie ostatnie słowo? Nie jest ono łatwe. Pragnęlibyśmy bardzo, aby religijne malarstwo rozwinęło się wśród nas i kwitło. Widzielibyśmy w tem znamię zdrowia i dowód pogłębienia się duchownego; ale nie łatwo nam wskazać drogi, któremi młodzi artyści iść by musieli, aby tworzyć dzieła większej wartości. Gdym raz pytał o to pewnego miłośnika sztuki odpowiedział mi: „Malarz, który chce malować religijne przedmioty, musi przynajmniej rano i wieczór mówić pacierz“. A jakżesz mało który go mówi!... To jednak nie dosyć; trzeba umieć katechizm, i to dokładnie i ze zrozumieniem rzeczy; trzeba znać żywot Pana Jezusa i żywoty Świętych na tle historycznym swych epok; ale nadewszystko trzeba wiedzieć i rozumieć, że oprócz natury jest świat nadprzyrodzony, wyższy, doskonałością swoją idealny, choć realny istnieniem. W tem jest nerw religijnego malarstwa. Kto w świat nadprzyrodzony nie wierzy, niema religii, i religijnym przedmiotom niech da pokój. Kto zaś wierzy, ten wie, że jako artysta ma środki naturalne do przedstawiania rzeczy naturę przechodzących, że więc musi idealizować, a im ściślej naśladuje naturę, im bardziej zajęty jest jej szczegółami, tem obraz jego będzie mniej religijny, tem będzie więcej interesować swą materyalną powłoką niż duchem, który ma wyrażać. Malarz religijny ma na to rysy ludzkiej postaci, by za ich pomocą pokazać nam jej wnętrze, dał nam obraz duszy, wyraził myśl, stworzył typ.

Święty Sebastyan o pięknej budowie ciała malowany z całą dokładnością mięśni i żył i z całą realistyczną plastyką, to nie święty Sebastyan, bo ten nie jest typem pięknego młodzieńca, ale typem chrześcijańskiego męczennika; w jego nagiej postaci wszystkie rysy i kształty ciała całego muszą być wyrazem cierpienia pełnego świętej rezygnacyi. A kto pod plastycznym modelem, ustawionym mniej więcej szczęśliwie, dodawszy parę strzał w ciełe, podpisze: „Św. Sebastyan“, ten nie wie co robi, a przedewszystkiem robi sobie największą krzywdę, dając sobie świadectwo zupełnego braku artystycznego poczucia. Że malarze nasi przez studyowanie dawnych mistrzów chrześcijańskiej sztuki, zaczawszy od Giotta a skończywszy na Rafaelu, mogliby się bardzo wiele nauczyć, nie ulega wątpliwości. Ale nie chcielibyśmy by zaczęli naśladować kregokolwiek z tych mistrzów, niech tylko starają się odgadnąć

i zrozumieć, jak ci ludzie patrzeli się na swój przedmiot i na naturę, jak oni naturę idealizowali, by ją do swego przedmiotu dociągnąć—a stąd jak patrzeliby i idealizowali dzisiaj, przy tych nabytkach sztuki, które mamy. Ta zdawałaby nam się droga najpewniejsza. Ale to droga trudna, powolna i zmudna — *et pauci sunt, qui inveniunt eam*.

Ks. Eustachy Skrochowski.



PIERWSZE OŁTARZE CHRZEŚCIJAŃSKIE.

Gdy w r. 1455 umierał papież Mikołaj V., który pierwszy po wielkiej schyzmie zachodniej wziął się do odbudowania Rzymu, zwołał do łoża swego kardynałów, i tłumaczył się z powodów, które go zniewoliły do podjęcia tak olbrzymiego dzieła. Olbrzymiem nazywać się je godzi, bo oprócz drobniejszych restauracyj, doprowadził do porządku mury miasta i wzmocnił je, odnowił 40 kościołów, które opuszczone w czasie niewoli awignońskiej nieraz tak podupały, że wewnątrz były trawą zarosłe, zaczął przebudowywać Borgo na mieszkanie dla całej kuryi, wystawił część watykańskiego pałacu, i nosił się z myślą postawienia nowego kościoła św. Piotra. „Nie dla uczonych“, tłumaczył się papież, „którzy rozwój i potrzebę kościoła i bez budynków rozumieją, ale dla ludu“, który papież nazywa: *turbæ populorum*, a który wielkością tego co widzi w słabej i zagrożonej wierze wzmacnia się, tyle w swem życiu budował. „Gdybyśmy byli mogli wszystkie kościoły i inne budynki dokończyć, mówi papież, zaprawdę nasi następcy doznawaliby większej czci ze strony ludów chrześcijańskich, i mogliby bezpieczniej w Rzymie mieszkać. Nie z próżności, ani z zamięłowania przepychu, ani dla szukania próżnej chwały, by imię nasze uwiecznić, zaczęliśmy te całe mnóstwo budynków, ale dla podniesienia powagi Stolicy Apostolskiej w oczach całego chrześcijaństwa, i aby przyszli papieże nie byli wypędzani, więzieni, oblegani, lub w inny sposób uciskani“. A tę swoją mowę, świadczącą równie o zamięłowaniu sztuki, jak i o jasnym zmyśle politycznym wielkiego papieża, zakończył tenże

zakłęciem, aby następcy jego chcieli dzieło prowadzić dalej, chcieli: „*prosequi, perficere, absolvere*“¹. Słowa te nie były próżne, Pius II., Sykstus IV., a szczególnie potężny Juliusz II., mając na usługi cały zastęp ludzi takich, jak Bramante, Rafael i Michał Anioł, dokonali dzieła, i ten Rzym murowany i upiększony przez Papieży bronił ich i strzegł przez trzy wieki z górami, wśród strasznej zawieruchy reformacyi, a i dziś jeszcze, gdy mówimy o wielkości stolicy Kościoła, i o prawach Papieży do Rzymu, te niezrównane monumenty papieskie mamy bardziej na myśli, i są one w ustach naszych silniejszym argumentem, niż się nam samym wydaje.

Ale po trzech wiekach, za dni naszych, ani mury Rzymu, ani nagromadzone dzieła sztuki, Papieży nie obroniły. Wypędzani, więzieni, oblegani, a dziś w niewoli i niezmiernie uciśnieni, wskazują nam nowe drogi wyzwolenia i ratunku. Jak w czasach, gdy budowanie ośwładnęło wszystkie umysły, Papież Mikołaj na łożu śmiertelnem wołał: „budujmy, a budujmy wspanialej i lepiej niż świat cały“, bo ten był wówczas najpotężniejszy środek przodowania na świecie, tak dziś, gdy zda się, iż jedna jest tylko na świecie potęga duchowa: nauka, gdy w imię nauki szerzy się całe morze fałszu, w którym Kościół i prawda Chrystusowa zdają się już tonąć, gdy nawet najsłabszy i najbrutalniejszy despotyzm szuka poparcia w skrzywionej nauce Chrystusowej, lub w nauce oficjalnych filozofów, — Papież Leon XIII. przez całe życie swoje nie przestaje nawoływać: „uczymy się“. Uczmy się filozofii, uczmy się nauk przyrodniczych, uczmy się języków klasycznych i wymowy, uczmy się wszystkiego, czego świat cały się uczy, i wydawajmy owoce naukowe wspanialsze i doskonalsze niż cały świat anty-chrześcijański i anty-kościelny, czynimy to nie z próżnej chwały, nie dla tego, aby imiona nasze przekazane były potomności, ale dla miłości Boga, który jest prawdą, a znowu Chrześcijaństwo i Kościół zaczęły przodować światu, dla szczęścia jego, i znowu w swój sposób spełnia się słowa Pisma św., że „prawda wyswobodzi nas — *Veritas liberabit vos*“. Nauka jest dziś nie tylko oświatą, nietylko postępem i cywilizacją, ale najlepszą polityką. Opanować całą dziedzinę wiedzy ludzkiej, i stanąć w niej na równi z największymi uczonymi,

¹ Platina — vita Nicolai V.

a nawet przewyżżyć ich, to wyratować świat od zdziczenia w nowym pogaństwie, które w imię fałszywych naukowych wniosków podbija umysły, i zwycięża.

Ale chcąc dojść do spełnienia tego celu trzeba z tych światów szerokich zejść na pole codzienne i praktyczne, na pole drobnej mrówczej pracy w rozmaitych specjalnych gałęziach i gałęzkach wiedzy, rozłożonej dziś na niezmierne mnóstwo specjalności. Trzeba pracy wytrwałej i pracy wielu, aby ktoś jeden mógł wyjść wyżej, i stać się naukową chwałą Kościoła. Nie mamy nawet potrzeby szukać gdzieś daleko nieznanym ludziom światów, bo to co nas najbliżej obchodzi, Kościół nasz i rzeczy jego, to także jeden z wielkich przedmiotów nauki i badań, a ten cały świat piękna i sztuki o którym wyżej wspomniałem, który Kościół nasz tak niegdyś potężnie ovladnął i w nim przodował, ma swoje niezliczone naukowe tajemnice, które wyświecić potrzeba. I liturgia nasza kościelna, niezmiernie wspaniała i bogata, stawia na każdym kroku znaki zapytania. Skąd się wziął ten obrząd, ten zwyczaj, skąd ten hymn lub modlitwa, jak na zewnątrz w liturgii wyrażana była ta lub owa ważna prawda wiary naszej, jak wyglądały w rozmaitych czasach paramenty i naczynia kościelne, a szczególnie, jakie było w ciągu wieków oddziaływanie liturgii na sztukę... Pytaniom takim niema końca. Odpowiedź zaś na nie ma nie tylko na celu zaspokojenie słusznej naszej ciekawości, i wnikięcie głębsze w wewnętrzne życie Kościoła, ale ma i na zewnątrz bezpośredni ten skutek, że usuwa odpowiedzi fałszywe, których nie brak, i które się mnożą. Bo wszystkie te zagadnienia są przedmiotem badań naukowych mnóstwa ludzi, poza Kościołem stojących, którzy przychodzą do nich bez dostatecznej znajomości wewnętrznego ich ducha i znaczenia, najczęściej z uprzedzeniem, i dają rozwiązania swoje fałszywe, ale mające wszystkie pozory bezstronnej nauki, które pod tym płaszczykiem, często w dobrej nawet wierze podane, a w jeszcze lepszej przyjęte, szerzą się po całej kuli ziemskiej. My mamy nieraz zwyczaj, spotykając się z takim mylnym rezultatem pracy naukowej, zbyć go, w poczuciu nieomyślnej prawdy chrześcijańskiej, uśmiechem politowania, lub twardem słowem pogardy. Ale to broń niewłaściwa w ogóle, a rdzennie niechrześcijańska, a więc tem mniej właściwa w ustach naszych. Zostawmy ją tym, którzy nic nie umieją i nie

mają innego sposobu pokrycia swej niewiadomości. My, których mistrzem jest „Dobry Pasterz“, idźmy za błędzącymi po manowcach ich błędu, aby ich na dobrą drogę naprowadzać. A im mniej się boimy tej nauki dzisiejszej, jej fałszywych uroków, tem jaśniej dowodzimy, żeśmy pewni naszej prawdy, że wiemy z góry, iż prawda prawdzie sprzeciwić się nie może, a spokój nasz w braniu za rogi każdej kwestyi naukowej będzie największą naszą siłą, i najpewniejszą rękojmą zwycięstwa. Tylko mało nauki od Boga oddala, wiele znów do Boga zbliża.

Jedną jeszcze właściwością dzisiejszej nauki jest, że najbardziej zajmują ją źródła i początki wszystkiego. Czy powstanie świata, czy początek Chrześcijaństwa, czy pochodzenie człowieka, to główne kwestye bieżące, a obok nich całe mnóstwo kwestyj drobniejszych o pochodzeniu każdej rzeczy. I jest to kierunek bardzo trafny, bo najprzód prowadzi nas ostatecznie wprost do źródła wszechrzeczy, do Boga, a potem początek najlepiej tłumaczy istotę każdej rzeczy, która w dalszym rozwoju swoim tylko się modyfikuje. Idąc za tym kierunkiem, zajmę się dzisiaj początkiem chrześcijańskiego ołtarza.

Trudność tej kwestyi na tem polega, że od początku chrześcijaństwa minęło już XVIII. wieków, a gdy w przeciągu tego czasu nawet największe i najtrwalsze pomniki, jak kościoły, uległy zniszczeniu, lub zupełnemu przeobrażeniu, tembardziej pomniki drobniejsze, do jakich i ołtarze zaliczyć trzeba. Dopiero krytyczne zestawienie ze współczesnemi opisami i wzmiankami tego wszystkiego, co nam dają najdawniejsze malowidła ściennie i miniaturowe, rzeźby w kamieniu i w słonowej kości, lub metalu, i zbadanie wszystkich najdawniejszych śladów istniejących ołtarzy, może nas naprowadzić na zadawalniającą odpowiedź.

Pismo św. Nowego Zakonu daje nam jeden tylko wyraźny prototyp pierwotnego ołtarza chrześcijańskiego, a tym jest stół Wieczerzy Pańskiej, a więc i stół w ogóle. Dalsze wzmianki Pisma św., że uczniowie Chr. P. schodzili się po domach, i tam trwali w modlitwie i łamaniu chleba, jak i najstarsza tradycya rzymska, iż Piotr św. odprawiał Mszę św. na stole z drzewa, którego szczątki mają być włożone dziś w ołtarz główny katedry rzymskiej (św. Jana Lateraneńskiego), nakoniec najdawniejsze ma-

lowidła katakumbowe, podają stół, i to stół drewniany, jako służący do ofiary Mszy św. Ale mylnem byłoby mniemać, że tylko stół był zrazu chrześcijańskim ołtarzem wyłącznie. Już Pismo św. wspomina, że św. Paweł, widząc w Atenach ołtarz pogański poświęcony *Deo ignoto*, o tym Bogu nieznanym mówił do Areopagu, a przez to samo przystosowywał w myśli swojej istniejący już ołtarz pogański do ofiary prawdziwej, prawdziwemu Bogu. A chociaż ta wzmianka sama w sobie nie wystarczyłaby do twierdzenia, iż chrześcijanie ołtarzami pogańskimi do ofiary swojej się posługiwali, jest od V. przynajmniej wieku tyle faktów na poparcie tego mniemania, że musimy uważać ołtarz pogański, jako drugi prototyp chrześcijańskiego ołtarza. Trzecim prototypem jest grób, a powody, dla czego tak jest, są tak różnorodne, i tak głębokie, że ten charakter grobu jest głównem piętnem wszystkich dzisiejszych ołtarzy chrześcijańskich, które choćby nawet kształtu grobu nie miały, muszą mieć w sobie kamień z relikwiami. Stół więc, ołtarz pogański i grób, to trzy formy pierwotne, z których ołtarz się rozwija, a przypatrzmy się jak wyglądają te wszystkie najdawniejsze wskazówki i ślady, które nam o tem mówią.

Wiemy, że stół Wieczerzy Pańskiej jest pierwszym ołtarzem chrześcijańskim, ale relikwie jego przechowane w Lateranie, których sam nigdy zbliżka nie widziałem, muszą być tego rodzaju, iż trudno z nich odgadnąć, jaki był kształt tego stołu, dzieła naukowe bowiem o tej relikwii nie mówią. Byćby mogło, że Chrystus Pan, ówczesnym zwyczajem rzymskim, leżał na łożu, („*A on wam okaże wieczerznik wielki ułany*“, mówi św. Łukasz XXII—12), mając przed sobą stolik jadalny najzwyczajszej formy zwany: „mensa tripes“

Sit mihi mensa tripes,

Et concha salis puri¹.

mówi Horacy, a słowa Owida w metamorfozach, gdy mówi o stole Filomena i Baucis :

Mensam succincta tremensque

Ponit anus mensae, sed erat pes tertius impar².

świadcza, że takie trojnożne stoły były i u najuboższych w użyciu.

¹ Saty. lib. I

² Met. VIII, 660.

W każdym razie najdawniejsze pomniki chrześcijańskie, przedstawiające ofiarę Eucharystyczną, taki wyobrażają stolik. Tak na dawnej bardzo płaskorzeźbie w Muzeum Lateraneńskim, gdzie ryba i chleb położona na trójnożnym stole, przy którym leżą na łożach czterech uczujących. A na dawniejszych jeszcze malowidłach ementarza św. Kaliksta, taki trójnóg przedstawiony jest dwa razy z rybą i chlebem, szczególnie zaś ciekawe jest jedno z tych przedstawień, z roku około 200 naszej ery, w tak zwanej kaplicy Sakramentów. W kaplicy tej, używającej słusznie wielkiej sławy, i będącej przedmiotem wielu prac archeologicznych, jest na ścianie, naprzeciw wejścia, potrójne symboliczne przedstawienie Najświętszego Sakramentu, raz jako ofiara Izaaka, drugi raz jako wieczerza, a trzeci raz w następujący sposób: widać stolik, przy którym stoi z jednej strony *orans*, kobieta z podniesionymi obiema rękami, jako uosobienie modlitwy, z drugiej zaś strony kapłan, w tunice o jednym rękawie (*tunica exomida*), z ręką położoną na misie z rybą. Obok leży na tymże samym stoliku chleb eucharystyczny, oznaczony krzyżem. Archeologowie chrześcijańscy zgadzają się powszechnie na to, że tu wyobrażona jest Msza św., stolik zaś jest drewniany, mały, okrągły, o trzech wygiętych nogach.

To, że taki stolik był mały, nie jest argumentem przeciw naszemu przypuszczeniu, bo w pierwszych wiekach tak modlitwy jak i ustępy Pisma św. czytały się poza ołtarzem, księgę trzymali akolicii, a później urządzano na ten cel osobne pulpity i ambony. Ołtarz służył tylko do konsekracji i wystarczał, gdy się na nim zmieścił chleb i kielich. Ważniejszą objekeyą jest przechowany dotąd stół św. Piotra, który się znajduje w ołtarzu wielkim św. Jana Lateraneńskiego. Brewiarz rzymski tak mówi o tym ołtarzu: „Chociaż św. Sylwester później postanowił, przy poświęcaniu ołtarza Książęcia Apostolów, aby odtąd nie stawiano innych ołtarzy jak kamienne, jednak w Bazylice Lateraneńskiej ołtarz zbudowany był z drzewa, czemu się dziwić nie można. Bo gdy zaczawszy od św. Piotra aż do św. Sylwestra, Papieże, dla prześladowania, nie mieli stałej siedziby, gdziekolwiek okazała się tego potrzeba, czy to w kryptach, czy w katakumbach, czy w mieszkaniach ludzi pobożnych, na tym ołtarzu drewnianym, na podobieństwo arki zbudowanym, nabożeństwo odprawiali. Który to ołtarz św. Sylwester, gdy Kościołowi

przywrócony był spokój, w pierwszym godnością kościele Laterańskim, na cześć książęcia Apostołów, który miał na nim Mszę św. odprawiać, i reszty Papieży, którzy aż do owego czasu go używali, ustawiwszy, postanowił, by nikt oprócz Papieża rzymskiego Mszy św. na nim nie odprawiał¹.

Ale to świadectwo jest z czasów Grzegorza VII., a więc dopiero z XI. wieku. Ustęp zaś prawie dosłowny wyżej przytoczonemu, który się znajduje w jednym z późniejszych kodeksów Euzebiusza², nie zdaje się autentyczny, choćby dla tego, że go w żadnym innym kodeksie nie ma. Z tem wszystkiem sam fakt, że tylko w tym jednym na świecie, a najpierwszym godnością ołtarzu łacińskim, nie ma relikwii, dostatecznie stwierdza dawną tradycję, iż te ołtarzem drewnianym św. Piotra zastąpione były. Był więc od początku w ołtarzu Laterańskim stół św. Piotra, ale czy ten sam, który jest dzisiaj? Dziś jest to wielka skrzynia z sosnowego drzewa, więcej niż metr wysoka, 2 m. 35 długa, a 1 m. 20 szeroka, złożona z desek około 0 m. 30 szerokich, po bokach cztery kółka do przenoszenia jej. Na wierzchu jest inkrustowany z ciemniejszego drzewa krzyżyk 22 cm. na 27, z pewnego rodzaju wyrobionym meandrem. Tak ten krzyżyk jak i skrzynia cała nie zdają się sięgnąć I. wieku. W opisie Laterenu z XII. w. przez Robertusa Monacha, nie ma mowy, aby to miał być ołtarz św. Piotra. „W tym samym kościele ołtarz główny w kształcie arki przymierza, lub jak mówią, arka jest wewnątrz,

¹ Quod si B. Silvester postea in consecratione altaris principis apostolorum decrevit, ut deinceps nisi ex lapide altaria non aedificarentur, tamen Basilicae Lateranensis altare fuit e ligno erectum, quod mirum non est. Nam cum a Sancto Petro usque ad Silvestrum, propter persecutiones, Pontifices certo loco consistere non possent, quocunque eos necessitas compulisset, sive in cryptas, sive in coemeteria, sive in aedes piorum, super illo altari ligneo *ad arcae similitudinem* concavo, sacra faciebant. Quo altari S. Silvester, reddita Ecclesiae pace, honoris causa principis apostolorum, qui in illo sacrificasse dicitur, et reliquorum Pontificum qui usque ad id tempus ad mysteria conficienda eo usi fuerant, in Lateranensi prima Ecclesia collocato, sancivit, ne quisquam in eo praeter romanum Pontificem missam deinceps celebraret. — *Breviarium romanum* in quo officia SS. Ordin. S. P. Francisci inter officia romana disponentur 1696—IX. novembr.

² Eusebius. *Orat. de laudibus Const.* referente Casalio de vet. christ. ritibus. c. XXXIII.

a ołtarz według miary długości, szerokości i wysokości arki zbudowany jest zewnątrz, między czterema kolumnami z czerwonego porfiru, pod pięknem tabernakulum¹.

A *Durandus z Mendy*² wspomina, że Konstanty W. dał do Lateranu arkę przymierza. Dzisiejsza skrzynia zdaje się odpowiadać tej drugiej tradycyi, podobizny arki przymierza, ofiarowanej przez Konstantego W., który, jak wiemy skądinąd, lubiał fundowanym przez siebie kościołom dawać tego rodzaju podobizny naczyń i sprzętów Jerozolimskiej świątyni. Obie zaś te tradycye stołu św. Piotra i skrzyni przymierza godzi bardzo trafnie ze sobą *Severanus* w swem dziele o siedmiu kościołach, gdy tłumacząc przytoczony powyżej ustęp z brewiarza tak mówi: „św. Sylwester sporządził ołtarz z drzewa, w który włożył nie tylko głowy wielkich Apostołów, (Piotra i Pawła znajdujące się do dziś dnia w marmurowem tabernakulum nad ołtarzem), ale także ołtarz przenośny, również z drzewa, na którym jego poprzednicy, a nawet św. Piotr, Mszę św. odprawiali“³. Tego ołtarza przenośnego, tj. stołu, ani szczątek jego w owej skrzyni już niema, i to jest zapewne powód, dlaczego ona sama za stół św. Piotra uchodzi.

Gdy więc ta objekeya czerpana z istniejącej skrzyni ołtarzowej św. Piotra upada, zdaje się z opisów i pomników starożytnych, iż zwykle małe stoliki trójnożne z drzewa znajdujące się powszechnie w Trykliniach rzymskich, były z samego początku, jako ołtarze do Mszy św. używane.

Ale mały stolik drewniany mógł chwilowo tylko, z pewnej konieczności „dla bojaźni Żydów“, a później szpiegów rzymskich za ołtarz służyć. Sam w sobie był za mało poważny, za mało odpowiadał tradycyi wybranego narodu, z którego pochodzili wszyscy apostołowie i pierwsi chrześcijanie. W starym zakonie materyałem przeznaczonym na sporządzenie ołtarza był kamień. Noe, Abraham, Izaak i Jakób, na kamieniu składali ofiary, i ile razy w później-

¹ Ejusdem Ecclesiae ara principalis in archa foederis Domini vel, ut ajunt, archa est interior, et altare ad mensuram longitudinis, latitudinis et altitudinis archae conditum est exterius inter quatuor columnas de rubeo porphyrio sub quodam pulchro cyborio... Robertus monachus. Manuskr. Bibl. narod. Paryskiej 1529. in 4-to.

² Lib. I. c. 11.

³ Sette Chiese, s. 507.

szych czasach opisuje się postawienie ołtarza, zawsze wspomina się kamień. Wyjątek stanowi tylko ołtarz na puszczy, który jako przenośny, musiał być drewniany, a tylko blachą złotą okryty. Stoły bowiem pokładne, które nie tylko na puszczy, ale i w świątyni Jerozolimskiej użyte były, by na nich składano chleb i wino, jakkolwiek były niezaprzeczenie figurą ołtarzy i ofiary nowego zakonu, właściwymi ołtarzami jednak nie były.

Kamień jest także figurą Chrystusa Pana, który sam o sobie mówi: „Nie czytaliście nigdy w pismach: Kamień który odrzucili budujący, ten się stał głową węgla... A kto padnie na ten kamień będzie skruszon, a na kogoby upadł zetrze go“. A to powołanie się Chr. P. na proroctwo starego zakonu znajduje się u trzech ewangelistów, a oprócz tego jeszcze, trzy razy w innych ustępach Pisma św., zaś Piotr św. w szczególny sposób w liście swoim I. to porównanie Chr. P. do kamienia rozwija. Rozumiemy więc dla czego jest tradycya, choć nie zupełnie pewna, iż w pierwszej chwili publicznej swobody Kościoła św. Sylwester Papież wydał prawo, aby ołtarze koniecznie kamienne były, które to prawo do dziś dnia w ten przynajmniej sposób najściślej obowiązuje, że w każdym ołtarzu musi być poświęcony kamień, na którym się konsekracya odbywa. Są ustępy u św. Atanazego i Augustyna,¹ które dowodzą, że ołtarze drewniane w IV. i V. w. były na zachodzie jeszcze w użyciu. Do nas doszły dopiero akty soboru Epaońskiego z r. 517 (wedł. innych 509), którego kanon 26 (według innych 23) tak opiewa: *Altaria nisi lapidea non sacrentur*. A św. Symeon z Tessaloniki daje temu dekretowi znaczenie głębsze i mistyczne, gdy mówi: „Z kamienia zaś jest ołtarz, bo Chrystusa wyobraża, który także kamieniem jest nazywany jako fundament nasz, i głowa węgla, i kamień węgielny, i że skała, z której niegdyś Izrael pił, tego ołtarza obrazem była“².

¹ Św. Atanazy Epist. ad Solit. mówiąc o gwałtach aryańskich: „cum rapuissent subsellia et cathedram et mensam, erat enim lignea“... Św. Augustyn mówiąc o biskupie Maxymianie umęczonym przez Donatystów (Epist. 185, c. 27): „sub altari, quo confugerat, eodem supra se fracto, .. ejusque lignis... crudeliter caesus. Por. S. Optata De schism. Don.

² E lapide autem est altare, quia Christum refert, qui etiam petra nominatur tanquam fundamentum nostrum, et caput anguli, et lapis angularis, et

To znaczenie kamienia, było powodem, że i w domach, gdy sprawowano ofiarę, posługiwano się zapewne nieraz kamiennymi stolami, które znamy dobrze z wykopalisk Pompei, a w których mensa kamienna, nieraz wgłębiona, spoczywa na marmurowych kolumnach. Gdy zaś Kościół od Konstantego W. stał się wolnym, oltarze kamienne pierwszych bazylik miały prawdopodobnie tę formę stołu kamiennego na kolumnienkach, gdy według świadectw Ojców Kościoła, ścigani przez pogan biskupi lub kapłani pod oltarze kamienne się chowali. To znaczenie mistyczne kamienia, obok pamięci o oltarzu świątyni Jerozolimskiej, było także powodem, że już w pierwszych zaraz wiekach chrześcijańskich oltarze pogańskie, gdzie to było podobne, do ofiary Mszy św. używane były. Jest tradycya, że św. Piotr w Neapolu odprawił Mszę św. na oltarzu Appolina, i że na tem miejscu zbudowano później kościół św. Piotra, zwany „ad Aram“. Uczeń apostolski *Martial*, tak pisze w liście swoim do Akwitańczyków: „Gdy oltarze szatanów burzone były, oltarz Boga nieznanego kazaliśmy zachować do poświęcenia“¹.

Tradycye te świadczą, że poświęcenie i użycie oltarza pogańskiego do Mszy św. nie było nigdy chrześcijanom przeciwne, lub zakazane. Świadczą o tem także najdawniejsze rzeźbione przedstawienia chrześcijańskie, w których często powtarzający się symbol Starego Zakonu: Izaak ofiarowany przez Abrahama, klęczy zazwyczaj na oltarzu pogańskim, czasem opatrzonym nawet pogańskimi symbolami. A na jednym z sarkofagów, znajdujących się w kościele św. Trofima w Arles, jest wyrzeźbione pomnożenie cudowne ryb i chleba w ten sposób, że kosz z chlebem i ryba leżą na oltarzu pogańskim, a Chrystus Pan trzyma rękę nad koszem. Ale z tem wszystkim nie ma dotąd przykładu oltarza istniejącego, a przerebionego z oltarza pogańskiego, przed V. wiekiem.

Inaczej rzecz się ma z grobem. Sarkofagi, których nakrywa kamienna bryła użyta za mensę oltarzową, były w powszechnem użyciu, jeśli nie w pierwszej chwili rozejścia się Apostołów po

quia petra, quae olim Israellem potavit, hujus mensae imago fuit. Biblioth. magn. PP. XXII. Lyon 1677.

¹ Cum altaria daemonum in pulverem redigerentur, aram Ignoti Dei ad consecrationem reservari jussimus. — Baroniusz Ann. ch. XXXIV.

świecie, to przynajmniej zaraz, gdy zaczęto chować męczenników w katakumbach. Mylnem jednak zdawałoby mi się przypuszczać, że sama wygoda tę myśl podała. Urządzenie arkosoliów, tj. nyz, zrazu nakrytych płasko, a później łukiem, w których sarkofagi stawiano, lub w tuffie wykuwano, by je nakryć płytą marmurową, świadczą o intencji z góry powziętej użycia grobu za ołtarz.

Jakoż rzeczywiście ofiarą nowego zakonu, tą ofiarą *κατ' ἐξοχήν* na świecie, do której wszystkie inne ofiary jako figury do typu się odnoszą, jest śmierć Chrystusa Pana. A śmierć męczenników, jako członków Chrystusowych, jest tej ofiary jakoby dalszym ciągiem, gdyż moc i zasługa ich ofiary z zasługi ofiary Chrystusowej płynie. Ładnie wyraża tę myśl św. Augustyn, gdy mówi o ołtarzu zbudowanym niedaleko Kartaginy w miejscu, gdzie św. Cyprian był umęczony. „Ołtarz Bogu zbudowany jest, a nazywa się ołtarzem Cypriana... bo on śmiercią swoją ołtarz ten zgotował, nie jakoby na nim dawał się za pokarm lub sam się karmił, ale że na nim sprawuje się ofiara Bogu, któremu i on był ofiarowany“¹.

Że powód użycia grobów na ołtarze był głębszy i mistyczny świadczy i to, że stał się powszechnym aż do dnia dzisiejszego, przez wkładanie relikwii w ołtarz, a już o Papieżu Feliksie I, który został umęczony w r. 274 wiemy, że: *Hic constituit supra sepulcra martyrum missas celebrari*, co dowodzi, że ten obyczaj musiał być przedtem ogólnie przyjętym. Czyni do tego aluzję także ustęp z Apokalipsy: *Vidi subtus altare animas interfectorum propter verbum Dei*. Dekret Papieża Feliksa ma jeszcze inne znaczenie. Widocznie do odprawiania mszy św. używano grobów nie tylko męczenników, ale i innych chrześcijan, co ten Papież chciał jako nadużycie usunąć, i od tego zapewne czasu datują się owe arkosolia, których nyzą zamkniętą była kratą kamienną tak, że Mszy św. na nich odprawiać nie było można. Dziś bardzo trudno odróżnić groby jako ołtarze użyte od tych, które w ten sposób używanymi nie były i zazwyczaj przyjmuje się ta zasada, że tylko w ar-

¹ Mensa Deo constructa est, et mensa dicitur Cypriani... quia ipse immolatione sua paravit hanc mensam, non in qua pascat sive pascatur, sed in qua sacrificium Deo, cui et ipse oblatus est, offeratur. De divers. serm. 310. etc.

kosoliach znajdujących się w większych kaplicach katakumbowych naprzeciw wchodu, Msza św. się odprawiała. Ale są i tu wyjątki, np. grób św. Korneliusza.

Ten grób św. Korneliusza, który w historii badań katakumbowych najslawniejszego archeologa rzymskiego de Rossi pierwszorzędne zajmuje miejsce, daje nam inny zupełnie oryginalny typ ołtarza pierwszych wieków. Obok tego grobu, który był niegdyś arkosolium, położonem w bardzo niewiele rozszerzonym kurytarzu katakumbowym, (więc nie w kaplicy, i nie naprzeciw wchodu), a później był zamurowany przez Papieża Damazego, stoi po stronie epistoły kolumna, zbudowana z cegieł i otynkowana, na metr wysoka, o średnicy 0 m. 60, u góry nieco wydrążona i okopceona. Takie kolumny uważane były do niedawna jako podstawy do lamp olejnych, które się przy najslawniejszych grobach świeciły. Ale bystre oko archeologa wnet odkryło, że na fresku umieszczonym ponad tą kolumną, a przedstawiającym dwie postacie: św. Cyprjana i św. Korneliusza, były liczne grafity, tj. napisy wykonane ostrem narzędziem w tytku, a odnoszące się do kapłanów, jak: Bene-nedictus (sic) Prb. KiPriaNus Diaconus. Leo PrB. i inne, i to go doprowadziło na domysł, że ta kolumna była albo sama ołtarzem, albo podstawą mensy ołtarzowej, a niektórzy kapłani, którzy na niej Mszę św. odprawiali, zapisywali się tam na pamiątkę. Jeśli ta kolumna podpierała mensę kamienną przykrywającą relikwie w kolumnę włożone, da się sprowadzić do typu stołu o jednej nodze, jeżeli zaś mensy nie miała, a tylko włożone w nią relikwie przykryte były płytką marmurową, naśladuje ołtarz pogański, który niejednokrotnie był okrągły, tak, że nie pomijając i tego typu, wszystkie ołtarze chrześcijańskie pierwotne zawsze do tych trzech prototypów: stół, grób i ołtarz pogański, sprowadzić się dadzą.

Na tem kończę stronę tetyczną mego wykładu. — Co się zaś tyczy strony polemicznej, zarzuty, jakie z kwestyi ołtarzów przeciw kościołowi naszemu wyprowadzać można, samem przedstawieniem kwestyi już są po większej części odparte. Wspomnę tu o dwóch tylko. Jeden jest przestarzały już protestancki, że pierwotnie chrześcijanie nie mieli ani ofiary, ani ołtarzów, a czyniony jest na podstawie zarzutów pogan, którzy nie widząc u chrześcijan jawnych ofiar takich, jakie sami składali, o bezbożność ich obwiniali, chrze-

ścijanie zaś wiedząc, o co poganom chodziło, nie zawsze im zaprzeczali, i nie bardzo się bronili. Z tego braku zaprzeczeń i obrony w aktach męczeńskich wyprowadzali protestanci głównie swoje argumenty, które dziś, w obec rezultatów badań naukowych, są po prostu śmieszne.

Drugi zarzut, powyższemu wręcz przeciwny, a czyniony nam przez dzisiejszych racjonalistów, polega na tem, że chrześcijaństwo jest tylko rodzajem naturalnej ewolucyi z pogaństwa i żydostwa, przyczem ceremonie wzięte przez chrześcijan z rytuału żydowskiego, i używanie ołtarzów pogańskich, przytaczają jako niezbity argument swej tezy. My wiemy dobrze, że to ma zupełnie inne znaczenie, i dla nas jest w tem tylko dowód szerokiego pojęcia i swobody ducha, jakie chrześcijaństwo ze sobą przynosiło. Wykluczając bowiem z pogaństwa i żydostwa to wszystko, ale to stanowczo, co było fałszem, lub mogło stać się niebezpiecznem, a pozwalając bez ekskluzywności i ciasnoty duchowej na to, na co pozwolić sumienie nie mogło, Chrześcijaństwo stanęło od razu w prawdzie zupełnej i w miłości, gdy się tak chętnie do potrzeb i godziwych przyzwyczajzeń natury ludzkiej stosowało. Chrześcijaństwo nie odepchnęło wszystkiego, co przed niem było, i dotąd nigdzie nie odpycha, ale wiele bardzo nowego ze sobą przyniosło i niesie. Świadczy o tem i ta kwestya ołtarzów, która nas zajmuje. Miały one bowiem w chrześcijaństwie odrazu przeważnie typy nowe: stołu i grobu, a tylko wyjątkowo posługiwały się typem dawnym pogańskim i żydowskim. Przypuszczanie więc, że nie tylko ołtarz chrześcijański, ale i chrześcijaństwo całe jest jedną z ewolucyj historycznych ludzkości, jest znowu wnioskiem *a priori*, na jednostronnym i ciasnym sądzie opartym, który naukowej nie wytrzymuje krytyki.

Ks. Eustachy Skrochowski.



ARTYSTA CHRZEŚCJAŃSKI

FRYDERYK OVERBECK.

(Ciąg dalszy).

Podróż do ojczyzny ścięsniała jeszcze przyjaźń Overbecka z utalentowaną szwajcarską artystką, panną Emilią Linder. Córka majątnego handlarza z Bazylei rozwinęła w Monachium bogate zdolności pod kierunkiem najlepszych mistrzów, a zbliżywszy się do domu Corneliusów, z niemi na czas dłuższy przybyła do Rzymu. u nich poznała i nauczyła się cenić Overbecka. Za jej to inicjatywą, pośrednictwem i współudziałem, rysunki mistrza zaczęły wychodzić w litografowanych zeszytach, które dały poznać szerszej publiczności pobożny nastrój nowej szkoły, i szybko też ocenionemi zostały. Rozpoczęte pod kierunkiem Schlotthauera i panny Linder wydawnictwo dało początek i pochop do częstej korespondencyi; pobożny mistrz rozpoczął piórem i pędzlem istną kampanią, celem pozyskania i podbicia duszy młodej artystki dla katolickiej prawdy. Obok rysunków przedstawiających różne momenta z życia Zbawiciela, a mianowicie z dziecięcych lat Jego Overbeck wymalował wówczas pełen słodkiego wyrazu olejny obraz dla panny Linder, *Śmierć św. Józefa*. W górze aniołowie śpiewają: „błogosławieni, którzy w Panu umierają“. Święty patriarcha spoczywa na łonie Chrystusa Pana, który rękę podnosi, aby mu błogosławić, u stóp jego Najświętsza Panna klęczy w modlitwie zatopiona.

Owe pobożne wrażenia, za pomocą rysunków udzielane, uzupełniały listy Overbecka, coraz jawniej i usilniej oddziaływające się do

serca szukającej prawdy artystki. Trudno oddać płomienną miłość Bożą i przywiązanie do Kościoła, na kartach tych wyrzyte, które, zanim jeszcze podbiły oporną duszę Emilii Linder, nawróciły zaprzyjaźnionych z szwajcarską artystką malarza Ahlborna i jego małżonkę. Rzecz dziwna! ona sama, acz stosunkami i skłonnością własną przyciągana ku katolickiej nauce, nie mogła się długo na krok stanowczy odważyć. Dla czego? bo w żarliwych słowach Overbecka, w poetycznych rozmowach Klemensa Brentano, zdawało jej się dostrzegać, że katolicy stawiają kościół w miejscu Zbawiciela samego. Overbeck wymownie to złudne wrażenie częstymi zbijał listami, dopomagali mu w tem dziele i sam Brentano i uczony Möhler, i zaprzyjaźniona z artystką siostra kardynała Diepenbrocka, aż nareszcie po dłuższej walce Emilia Linder złożyła wyznanie wiary w ręce nuncjusza monachijskiego, późniejszego kardynała Viale Prela, znajdując pokój i szczęście na łonie prawdziwego Kościoła.

Jak szwajcarską artystkę, tak i wielu, wielu innych starał się Overbeck i słowem i pismem sprowadzić na tory, na których sam doznał tyle szczęścia i wewnętrznego pokoju.

Już za młodu nie rzadko w listach do przyjaciół pobrzmiwała stała zwrotka, iż jednego tylko potrzeba. Teraz powagą wieku i doświadczenia, rozwijał szerzej swe odezwy do umiłowanych dusz swych przyjaciół: „Oby moje słabe słowa, pisał do jednego z nich, „mogły za wolą i błogosławieństwem Pana, piorunem w ciebie uderzyć i zbudzić ze snu, dopóki czasu stanie. A gdy się przebudzisz, „nie zatykać uszu, posłuchaj wołającego głosu, mimo buntów ciała „i krwi, mimo nalegań krótko widzących przyjaciół. Wiem ci ja, „co kosztuje wszelkie ziemskie względy na bok odłożyć, ale Ten, „który na ciebie woła, ma prawo powiedzieć: kto rodziców, kto „żonę lub dzieci, kto własne życie nademnie przekłada, nie jest „mnie godzien. Onci jest Panem, którego miłować z całego serca, „ze wszystkich sił i z całej duszy naszej zobowiązani jesteśmy. „A jakże niewymownie na tym już nawet świecie nagradza Bóg „każdą dla Niego poniesioną ofiarę! Jak słodkiem Jego jarzmo, jak „lekkim brzemie, dopóki łaska Jego nas wspiera, a z jej pomocą „służymy Mu, aby już nie jako słudzy, ale jako dzieci! A choćby „i coś trudnego od nas żądał, wszakże najcięższa próba, która

„tylko krótkie dni potrwać ma, niezem jest wobec błogosławionej wieczności i dziedzictwa królestwa niebieskiego“.

Jak widzimy, Overbeck nie lekcewał trudnych przejść, towarzyszących stale wglądnięciu aż na dno — w tajniki sumienia i odmianie religii. Sam wiele przeboleł w podobnych okolicznościach, nie pojmował też, aby można lekko na podobny krok się zdobyć. Pewnemu malarzowi, który bez wielkiego zastanowienia, boddaj z przyrodzonej wrażliwości został katolikiem i głośno opowiadał, jak mu to łatwo przyszło, odparł z niewymownym uczuciem: „Jedni miewają krzyże i pokusy na początku swego nawrócenia, inni na końcu“. Do tegoż artysty pisał później, że przedewszystkiem chodzi o oddanie podobieństwa Bożego w własnej duszy, a dopiero następnie troskać się należy o dokładność i doskonałość dzieł swego pędzla... Nawróconych nie tracił z oczu i w dalszem ich życiu. U wstępu do Kościoła chętnie im służył za ojca przy Chrzcie czy Bierzmowaniu. Między innymi to duchowne powinowactwo połączyło go z uczonym dziejopisem Hurterem, którego studia nad historią Innocentego III. doprowadziły do osiągnięcia prawdy katolickiej. Hurter złożył wyznanie wiary w tej samej kapliczce rzymskiego kolegium, w której niegdyś i Overbeck został członkiem Kościoła.

Z obszernej i pięknej pracowni w pałacu Cenci wychodziły coraz inne i coraz piękniejsze dzieła, budząc zachwyt współczesnych i potomnych. A przecież dzieła te były tylko rozrywką, której Overbeck pozwalał sobie, gdy umysł jego, zmęczony pracą nad olbrzymim obrazem: *Tryumf religii w sztukach pięknych*, domagał się przerwy i zmiany. Overbeck sam rad swe dzieło nazywał: *Das Magnificat der Kunst*, tembardziej, iż Najśw. Panna w środku umieszczona, przodować tam się zdaje zgodnemu hymnowi piękna na cześć prawdy. Myśl swą uplastycznił malarz w kształcie tak zwanej *Divina conversazione*, duchów wybranych i bogato uposażonych, których postacie symbolicznie przedstawione i ugrupowane, snują Boże natchnienie po przez całe wieki, od świtu sztuki chrześcijańskiej, aż do pełnego rozkwitu *Cinque cento*. Dalej nie postąpił mistrz, nie wpuścił pogańskich czynników późniejszego odrodzenia w ramy swego dzieła. Obraz wystawiony w Rzymie do publicznej oceny powszechnie sobie zjednał uznanie. Znalazły się głosy stawiające *Tryumf religii w sztuce* obok *Dysputy* Rafaela.

Cornelius upatrywał w obrazie przyjaciela uwieńczenie i zaszczyt przyniesiony ojczyźnie mistrza. Gdy jednak Overbeck do swego dzieła przyłączył komentarz równający się wyznaniu wiary, ozwały się sporne głosy, upominające się za rzekomem pokrzywdzeniem sztuki, wyparciem z niej pogańskiego pierwiastku, który w późniejszym odżył renesansie. Ale i najdotkliwsze krytyki nie zdołały wstrząsnąć zdaniem Overbecka, który czuł się powołanym do walki przez całe życie z pseudo-klasycyzmem, z naturalizmem, z pogaństwem w sztuce chrześcijańskiej.

Ukończenie przeznaczonego dla Frankfurtu dzieła zeszło się z najcięższą próbą życia Overbecka. Przedstawił tryumf religii w sztuce, teraz przyszło mu ujawnić tryumf jej w życiu, chrześcijańskim poddaniem i cierpliwością. Pan zażądał od niego ofiary Izaakowej, jedynego zabierając mu syna, i to jakiego syna! Mały Alfonsino ulubieńcem był artystycznego koła przyjaciół gromadzących się chętnie w domu mistrza. Między ojcem a synem rozwinął się z czasem piękny stosunek przyjaźni, wieńczący przyrodzone uczucia wzajemnej miłości. Zbyt szybki rozwój umysłu i ciała osłabił i tak z natury swej delikatny organizm chłopięcia. Nie było mowy o oddaniu go do szkół, prywatne studia wynagradzały sobie brak publicznego wychowania, a poważne rozmowy, toczące się około stołu Overbecków, przyczyniały się do postępu wszechstronnego żadnego wiedzy Alfonsa.

Jakoż rósł szybko równie we wiedzy, jak bardziej jeszcze w cnotach chrześcijańskich. Przyjaciele zwali go między sobą drugim św. Aloizym, a przyznać trzeba, że Alfons zasługiwał sobie na tę tak zaszczytną nazwę. Przez ostatnie sześć lat życia codziennie przystępował do komunii św.; ledwie świt zdążał na mszę; wieczorem nie ułożył się do spoczynku, nie otrzymawszy wprzód błogosławieństwa rodziców. W r. 1839 spostrzegł Overbeck po raz pierwszy u syna groźne objawy suchot, którym już niestety! zapobiedz nie zdołały najczulsze i najtroskliwsze starania. Darmo opat z Monte Cassino, sławny dom Luigi Tosti zapraszał chorego do Benedyktyńskiego, górnego klasztoru, aby go zdrowem uleczyć powietrzem, darmo inni przyjaciele na Malte go wzywali: pisanem mu było umrzeć wcześniej w Rzymie. Wkrótce Alfons nie mógł wychodzić z domu, a nawet łóżka opuszczać. Wśród tych dni cięż-

kiej próby, znajdował jeszcze nieszczęśliwy ojciec sposobność i siłę, aby nieść pociechę rodakowi artyście, zasmuconemu nagłą śmiercią młodej małżonki. W prześlicznym, długim liście, odzywał się podniósł do malarza Gebharda Flatza: „Drogi mój, ukochany przyjacielu i bracie! Niech będą pochwalone we wszystkim i przez nas „wszystkich niezbadane wyroki Boże! to uznawszy, pozwól mi rzucić się w twoje objęcia, uścisnąć smutny, smutnego; znękany, znękanego; składający w ofierze tego, który już swoje dopełnił. Lękam się, że moje pismo odnowi twą ranę, albo otworzy znów „źródło nowych łez i ulży strapionemu sercu. Nie zamierzam cię „pocieszać słowami mojemu, boć ty sam najlepiej umiesz znaleźć „pociechę jedyną i najwyższą. Raczej sam krzepić się będę twoją „siłą, abyśmy razem patrzeli w górę ku wiekuistemu celowi... „Chciałbym kroplę balsamu do duszy twej przelać, ależ jak temu „podołam, gdy sam tylebym jej potrzebował! Przez oddawcę tego „listu dowiesz się o nas, o ciągłych bolesnych przejściach z trwogi „do nadziei, z nadziei do trwogi. Wielkiej nam Bóg użyczył „pociechy, codziennem odprawianiem mszy św. w naszej domowej „kaplicy, tak, iż najdroższy nasz chory może się codziennie chlebem anielskim zasilać. Modlitwami sweni racz nam dopomagać, „abyśmy wszystko, co nam Bóg łaskawie zesłać raczy, potrafili użyć „dla naszego zbawienia, i po krótkiej pielgrzymce w tej dolinie łez „zasłużyli sobie na wiekuistą nagrodę, zgotowaną dla wiernych aż „do końca“.

Wśród powszednich kalendarzowych zapisków Overbecka, niebawem pod datą 27 września 1840 r. tę prostą, a w swej prostocie rozzdzierającą znajdujemy wzmiankę:

„Dziś umarł mój Alfons, o 8^{1/2} z wieczora, w obecności wikaryusza od S. Angelo, barona Bocka i Bettini'ego. Dnia 28 ku „wieczorowi, przeniesiono go w otwartej trumnie okrytej kwiatami, „z lilią w ręku, do kościoła parafialnego, przy dźwięku świątecznym dzwonów zapowiadających uroczystość dnia następnego“. Było to święto Archaniola Michała, zwycięscy śmierci i niebieskiego obrońcy w ostatnią godzinę. Kościółek *Pescheria al Ghetto* pod jego znajdował się wezwaniem. Tam ustawiono trumnę młodzieńca, o którym lud rzymski doraźnie wydał świadectwo powtarzając: *È morto il Santo*.

Ojciec do kalendarzyka wciąga dalsze stacye swej krzyżowej drogi, bez słowa skargi, którą tak łatwo przecież możnaby zrozumieć i wytłumaczyć: „Dnia 29 wystawiono trumnę w świątecznie „przybranym kościele, aby ją następnie wieczorem przenieść na „ementarz św. Wawrzyńca. Dnia 30 wczesnym rankiem złożono „trumnę w grobie, a przed południem odbyły się w parafialnym „kościółce uroczyste egzekwie“.

Wielki ból bywa niemym: przez dłuższy czas musiał Overbeck zamilknąć, mniej z ludźmi — więcej z Bogiem obcując, bo obfitująca w urywki listów i zapisków biografia nie przytacza ich wcale z tego kalwaryjskiego okresu życia chrześcijańskiego artysty. Dopiero w liście z końca listopada towarzyszącym przesyłce nowego rysunku odzywa się do panny Linder: „Rysunek ten (Narodzenia Pańskiego) jest dziełem wielu kwadransy i pół kwadransy „urwanych wśród ciągłego czuwania przy łożu ukochanego syna, „aby w zwykłym zajęciu szukać pokrzepienia wśród ciężkiego „smutku. Nie jedna łza gorąca nań spadła; robota to Ojca, od którego Bóg w swych niezbadanych, ale zawsze błogosławionych wyrokach, zażądał ofiary z jedynego syna. Niechże ten cichy świadek „mego cierpienia, z którym żałośnie się dziś rozłączam, zwykłego „od ciebie dozna przyjęcia, i niech ci opowie, co się we mnie działo „przy jego wykończaniu!...“

Przyjaciele, między nimi Cornelius, namawiali strapionego ojca do opuszczenia Rzymu, choć na pewien czas, aby zdala od miejsca, na którem poniósł tak dotkliwą stratę, prędzej mógł lzy po niej płynące osuszyć. Overbeck dziękował z serca przyjaciółom za ich życzliwość, ale rad ich nie przyjął, a pociechy szukał jedynie w Ukrzyżowanym, i w powtarzaniu za Boskim Mistrzem, tych słów najlepiej i najgłębiej kojących wszystkie cierpienia: Nie moja, ale Twoja wola niech się stanie. Najlepszym oddźwiękiem ówczesnego jego usposobienia, jest wiersz łaciński, wypisany z starego hymnu: *Tandem audite me*, którego odczytywaniem krzepił się w dniach próby:

*An amor dolor sit,
An dolor amor sit,
Utrumque nescio.
Hoc unum sentio:
Blandus hic dolor est,
Qui meus amor est.*

Piękny list z wiosny 1843 r. do malarza Steinte'go w Kolonii pisany, rzewny zawiera zwrot do przebytego i przecierpianego nieszczęścia. „Pytasz mnie jak ze mną rzeczy stoją? otóż nie mogę „dość Boga chwalić za pociechę, jaką mnie pokrzepiać raczy w mem „osamotnieniu, za wewnętrzne łaski, których dość drogo okupić nie „podobna. Sztuka służy mi równocześnie za krokwie, na których „się moja słabość opiera, tak iż mam słuszne powody życie moje „nazwać nader szczęśliwem. Zdumieć to może obcych, i nie chciał- „bym tego powtarzać, gdyby nie silne przekonanie, które Bóg w du- „szy mej złożyć raczył, iż ukochany syn, którego Mu się upodobało „nam zabrać, jest już u Niego, w posiadaniu niebieskiego dziedzic- „twa, że więc stanął już u celu, do którego zmierzają wszystkie „nasze życzenia i nadzieje... Ciebie, drogi przyjacielu, inną drogą „wiedzie Miłość przedwieczna, i w duszy się raduję, gdy sobie „Ciebie wystawiam w otoczeniu milej dziatwy, którą jak wierny „ogrodnik troskliwie, niby delikatnie powierzona sobie roślinką się „opiekujesz. Bądź co bądź cel nasz jednakowy. Bo któż lepiej wie „od ciebie, iż nie dla świata owe roślinki pielęgnujesz, że prędzej „później przyjdzie je też do innego ogródka, na inną przesadzić „grządkę. Idźmyż tedy każdy swoją drogą ku jednemu celowi, „ukrzepieni myślą, iż ta sama ręka nami kieruje, że na tem samem „spoczywamy łonie i sercu, więc choć rozłączeni, jesteśmy razem, „co sobie nieraz na pociechę przypominam i powtarzam“.

Szukał lekarstwa w pracy, obrał sobie Overbeck przedmiot nad inne zdolny pociechy mu przysporzyć: zaczął malować obraz przedstawiający złożenie umęczonego ciała Zbawiciela do grobu. Piękne to dzieło, przeznaczone dla rodzinnego miasta, stało się zwierciadłem nie zdradzającego się żadną skargą wewnętrznego cierpienia. Z oblicza Chrystusowego niebiański pokój wieje na uczniów i pobożne niewiasty; jedni uosobnieniem pobożnego poddania, inni zdradzają znękanie i przygniatający smutek. Łagodne światło wieczoru pada na ogród cyprysowy i grób otwarty. Całość najszczerzym wyrazem ziemskiego bólu złagodzonego niebiańskimi nadziejami. Obraz ten doszedł do Lubeki w chwili, gdy przeróżne rodzinne żaloby dotknęły były rodzeństwo mistrza. Dzieło jego przyniosło dużo ukojenia zasmuconym, słusznie też powtórzyć można, iż Over-

beck w chwilach najcięższej próby, umiał stać się apostołem cierpliwości i poddania, przesłańcem pociechy dla bliźnich i bliskich.

III.

Próżnia zostawiona w sercu i w życiu Overbecka, śmierć ukochanego jedynego syna, wypełnić się poniekąd miała ojcowskiem przygarnięciem do serca młodzieży artystycznej, zaciągającej się coraz ochotniej i liczniej pod hasła i znaki wywieszane przez chrześcijańskiego mistrza. Wpływ jego w chwili śmierci Alfonsa doszedł był kulminacyjnego punktu. Do niedawna czuł się nieco osamotnionym, wywierając niemal więcej wpływu na dalekie Niemcy, aniżeli na kształcącą się w Rzymie międzynarodową młodzież; z czasem nastąpiło większe zbliżenie, i bodaj żaden malarz nie opuszczał miasta Wiecznego, bez uwiezienia z sobą choć cząstki wpływu apostoła sztuki religijnej.

Szkoły w właściwym i pospolitem tego słowa znaczeniu, Overbeck nigdy nie miał. Pracownia jego była świątynią, istotą sztuki, modlitwą. Żył otoczony atmosferą świętego jakiegoś pokoju, służąc ołówkiem i pędzlem najwyższemu posłannictwu sztuki. Bogobojna młodzież, skupiająca się w około niego, przejmowała się jego kierunkiem, i marzyła tylko o oddaniu swych talentów w służbę religii. Mistrz nie tyle kształcił swych uczniów w technicznej doskonałości i zręczności, ile raczej w nich wpajać usiłował przekonanie, iż piękna estetycznego od moralnego rozłączać nie podobna, iż sztuka najwyżej się podnosi w ideałach chrześcijańskich, iż najpoetyczniejszy swój wyraz i zastosowanie znajduje w uduchownieniu własnem przez religię. Uczyl ich, aby ćwicząc się w technice sztuki, pilnie zarazem czerpali z Boskiego źródła wszelkiego natchnienia. Sztuka bowiem ma być prawdą, nie obłudą, zadaniem też artystów wciąż uszlachetniać i podnosić u ludzi poziom smaku, lepszem i wyższem zrozumieniem prawdziwych ideałów.

Overbeck zachował był dawne swe uprzedzenia do teorii akademycznego kształcenia talentu. Trwał w przekonaniu, iż przestarzałe formułki i ćwiczenia do niczego nie prowadzą, i że jedyna rodzajna metoda znajduje się w dawnej tradycji bez-

pośredniego stosunku pojedynczych mistrzów z kształcącymi się pod ich okiem i kierunkiem uczniów — w wspólnej nieraz pracy. Z godnym podziwu zaparciem samego siebie przypuszczał Overbeck swych uczniów do wspólnej ze sobą pracy, kazał im własne swe obrazy uzupełniać, lub przynajmniej wstępne roboty wykonywać; zachęcał i wskazywał w jakim kierunku każdy ma dalej kształcić dany mu od Boga talent; krytykował surowo, lecz po ojcowsku, żądając coraz większych wysiłków, które rodzić miały coraz większe arcydzieła.

Najróżniejsze żywioły skupiły się wówczas naokoło Overbecka. Dla nas szczególnie ma znaczenie wpływ, jaki wywarł na polskich artystów. Pierwiastek religijny, czysty, wierzący, odrazu podbił synów narodu wierzącego a nieszczęśliwego. Większa część polskich artystów bawiących wówczas w Rzymie stanęła pod chorągwią Overbecka. Z ich liczby kilku imion tu przypomnieć należy. Leopold Nowotny i Edward Brzozowski rychło zdobyli sobie zaszczytne miejsce w szeregach uczniów mistrza. Nowotny w sam raz przypadł do Łukaszowych braci: głęboko przejęty religijnem uczuciem, pełen spokojnego natchnienia, cichy, pokorny, z miłością ku wszystkim, łączył wszystkie przymioty prawdziwego chrześcijańskiego artysty. Znamcy kładli jego rysunki na równi z dziełami Führicha i Steinte'ego. Overbeck powtarzał, iż patrząc na nie, powracał myślą do XV. wieku, i stawał pośród mistrzów najczystszej katolickiej tradycji. Spokój i prostota cechowała talent Nowotnego. Rozmiłowany w narodowej czci dla królowej korony Polskiej, przedewszystkiem oddawał talent swój Jej postaci i scenom z Jej błogosławionego żywota. Brzozowski może najwięcej przejął się stylem Overbecka, a schodząc za jego przykładem do wzorów średnio-wiecznych, przeważnie zaprawiał się w kopiowaniu obrazów i fresków Fra Angelico da Fiesole, i przyswajał sobie kierunek tej mistyczno-lirycznej szkoły, czerpiącej wprost z nieba natchnienie.

Najpracowitszy z naszych ówczesnych artystów, Józef Maliński, związany był z Overbeckiem wspólną im miłością dla Assyżu. Malińskiemu zawdzięczamy upowszechnienie, a bodaj czy nie ocalenie szanownej pamiątki polskiej, szanowniejszego jeszcze pomnika sztuki. Wiadomo, iż nasz św. Stanisław Szczepanowski został kanonizowany w Assyżu. Stąd w kościele uważanym powszechnie za

kolebkę chrześcijańskiego malarstwa, znalazły się ciekawe freski, odnoszące się do życia i męczeństwa naszego wielkiego patrona. Nie wiadomo, czy je przypisać pędzlowi Fra Martina, czy też Giot-tina. Tyle pewnego, iż data ich przypada na połowę XIV. wieku. Freski te znajdujące się wysoko, o pięć łokci nad trybuną, źle oświecone, gorzej zachowane groziły zniknięciem, a kopij, do których zdjęcia przystęp bardzo był utrudniony, nikt zdjąć nie miał odwagi. Dopiero Maliński ciężkiemu poświęcił się zadaniu. Przez dwa mie-sięce pracował przy świetle, na niewygodnem rusztowaniu, ciągle schylony, ale nareszcie udało mu się dokonać przedsięwzięcia, i tak rysunkiem jak później i olejnymi obrazami obie freski dla potomno-ści zachować. Wiele jeszcze nazwisk polskich widnieje w poczcie uczni Overbecka. Zabłąkał się pośród nich i biedny Norwid, poeta, rzeźbiarz, malarz, a przede wszystkim mistyk. Umiarkowany mi-stycyzm Overbecka, przybierał u Polaków z jego szkoły nieraz chorobliwe rozmiary. W ogóle nasi artyści posuwali naśladownictwo mistrza, aż do skrajności. Jeśli Overbeckowi zarzucono pewną ar-chaiczną sztywność i ubóstwo kolorytu, to polscy uczniowie jego do ostateczności posunęli odebrane wskazówki i przykłady, popa-dając w manierę rodzaj rzemiosłowego poddaństwa, które bywa du-cha zabójstwem. To może powód, dla którego tyle obiecujący ruch artystyczny wśród polskiej młodzieży w Rzymie, nie rozwinął się należycie. Nie dotrzymał świętych zapowiedzi, choć rzucił dobre i piękne ziarno, które uwolnione od przesady, mogłoby dziś przy-nieść owoc stokrotny.

Zrażeni dziełami pędzla, zapomnieliśmy o dziełach ołówka polskich uczniów Overbecka, te zaś ze wszech miar zasługują na pamięć i uznanie.

Wyraźnie mistrz osobny mieć musiał dla Polaków urok. Nie tylko garnęli się oni do jego pracowni w liczbie amatorów naby-wających dzieła Overbecka, nie brak polskich nazwisk, a nie miał on pewnie gorętszego wielbiciela i mecenasa, nad hr. Atanazego Raczyńskiego, który napisaniem dzieła p. t. *Histoire de l' art mo-derne en Allemagne* nie mało się przyczynił do rozślawienia kie-runku i utworów mistrza, najbliżej zdaniem jego z Rafaelem spo-krewnionego.

Trudno by nam przyszło wymienić wszystkich uczniów roz-

licznych narodowości, którzy w owym czasie jeli nawiedzać pracownię Overbecka. Byli tam i Maltańczycy i Szwajcarzy, i Belgijczycy i Hiszpanie. W liczbie tych ostatnich na osobną wzmiankę zasługują Madraso i Galofré. Bracia Casolani rodem z wyspy Malty, kształcili się pod opieką Overbecka w dwojakim kierunku, jeden na księdza, drugi na artystę. Ojciec ich nieraz wspominał duchowe i duchowne dobrodziejstwa, wyświadczone synom przez Overbecka. Jeden, mianowany biskupem, apostołował z wielkiem poświęceniem w środkowej Afryce, drugi przeniósł do Angli zasiew sztuki chrześcijańskiej.

Ale nie tylko uczniowie skupiali się w około Overbecka, magnesem duchów szlachetnych przyciągał ku sobie wszystkie równej miary, choćby najdalsze żywioly. Odnowiciel sztuki średniowiecznej w angielskiem budownictwie, Pugin, wysoko cenił Overbecka i stawał go za wzór najlepszy do naśladowania. Sławny z pobożnego życia i wielkiego talentu szwajcarski malarz Deschwanden upatrywał w zbliżeniu swem z Overbeckiem punkt wytyczny własnego życia i zawodu, zwrót z fałszywej sentymentalności w sztuce, ku prostocie prawdy i wiary. Biograf Deschwandena uważa jego zetknięcie z Overbeckiem za ostateczne wyświecenie go na chrześcijańskiego artystę. Deschwanden wspominał długo wrażenie, jakie mu zostawił sędziwiejący już w pięćdziesiątym roku życia malarz, dobrotliwa jego małomowność, wysoka i schudzona postać, o długich włosach i występującem czole, a słodczy wzbudzającej poszanowanie i zaufanie.

Wśród wielbicieli Overbecka znajdował się i sławny filozof i filantrop, ks. Antoni Rosmini, sławny ten myśliciel upatrywał w kierunku przez Overbecka obranym jedyną trwałą i prawdziwą szkołę chrześcijańskiej sztuki. Założywszy zgromadzenie kapłanów Bożej miłości *Istituto di Carità*, umieścił nowicyat w Stresa, nad Lago Maggiore, zamierzając wznieść obok kościół, upiękuszony obrazami Overbecka. Dla pięciu ołtarzy, Rosminie pragnął uplastycznienia pięciu głównych celów i zająć członków swego zgromadzenia, a mianowicie modlitwy, pracy, oraz uczynków miłosiernych dla ciała, duszy i ducha. Przedsięwzięcie to było zawiązkiem bliższego stosunku ks. Rosmini'ego z Overbeckiem, całkowity jednak i wspólny

ich plan, ozdobienia kościółka w Stresa nie doczekał się zupełnego urzeczywistnienia.

Francya nie dała się innym wyprzedzić narodom w czei dla Overbecka. Przez dłuższy czas był on tam najpopularniejszy z zagranicznych malarzów, a rysunki jego w pobożnych obrazkach rozpowszechnione, szerokiego zażywały powodzenia. Ówczesny kierownik akademii francuskiej w Rzymie, sławny Ingres, nie szczędził wyrazów szacunku dla osoby i kierunku mistrza. Nie brakło mu i naśladowców, wśród których błyska nazwisko utalentowanego Wiktora Orsel. Niewątpliwie ojciec Lacordaire musiał znać ustrój Łukaszowego związku, gdy w r. 1840 zakładał wspólnie z towarzyszami Besson'em i Cartierem bractwo francuskich artystów, dążących do chrześcijańskiego odrodzenia sztuki, pod wezwaniem św. Jana Ewangelisty.

Zawiazane w r. 1642 Dysseldorfskie stowarzyszenie ku rozszerzaniu dobrych obrazów i obrazków pobożnych, spełniało dawne i gorące życzenie Overbecka, a jednocześnie przyczynić się miało znacznie do rozpowszechnienia jego rysunków, które dziś znajdują się bodaj wśród kartek każdej książki do nabożeństwa, na ścianach najuboższych chatek, podnosząc i kształcąc smak nawet u maluczkich i prostaczków.

Najśmielsze marzenia Łukaszowych braci po kolei się więc spełniały. Na piąty dziesiątek bieżącego stulecia przypada okres najświeźszego rozkwitu odrodzonej przez nich sztuki chrześcijańskiej w Niemczech. Powiał prąd zwrotny, pełen uszanowania dla dawnych pamiątek i tradycyi, dla odbieżanej ojców wiary i zasad! Starożytne pomniki i gmachy próbowano ocalić od zagłady, oswobadzano z późniejszych naleciałości i tynków barbarzyńskich czasów, aby ponownie jaskrawemi blaski przemawiać do serc i przyczynić się do tryumfu religii. Nie same tylko katedry w Kolonii, Monastyrze, Wiedniu, Akwisgranie, Almie, Spirze, itd. doczekały się umiejętnej restauracyi. Stare zamki i pałace, średniowieczne ratusze i muzea także w odnowionej występowały krasie. Do tych wszystkich dzieł czynną przykładali rękę przyjaciele i uczniowie Overbecka. A jeśli on sam zdawał nie mógł osobiście uczestniczyć w tym ruchu, wpływem go swoim dosięgał, modliwą i radą zasilal, sercem i duszą towarzyszył rozwojowi przewodniej myśli i umiłowanego

kierunku. Nieraz, bodaj byłby pozazdrościł szczęśliwszym sposobności rozwijania na większą skalę natchnienia Bożego, gdyby podobne uczucie mogło się ostać w tej doskonałej i doskonalszej się wciąż duszy. Przyznawał się jednak w liście do Schnorr'a „iż prawdziwą a bolesną dłań pozostaje ofiarą, niemożność dokonania jakiego monumentalnego dzieła, na wzór tych, które w tak olbrzymich rozmiarach codziennie przez przyjaciół dokonywanymi bywają. Jedyną mi pociechą myśl, że poddanie się błogosławionej woli Najwyższego w końcu jeszcze lepszem od najlepszych fresków. Pan zaś widocznie błogosławi drobnym pracom moim tak, iż ustawicznie otrzymuję wzruszające dowody, jako nie pozostają one bez owocu. A cóż większą pociechę przynieść może nad myśl, iż słabemi usiłowaniami choć ziarnko piasku przysporzę budowie królestwa niebieskiego na ziemi?“. W innym liście do Filipa Veita wspominał, ile chętniej byłby swoje rysunki ewangeliczne raczej na ścianach kościelnych, aniżeli na papierze wykonywał: „Atoli nie żałuję bynajmniej, iż się zadowolniłem tą ciasną formą, zamiast czekać na lepszą sposobność i obstalunki kościelne. Boża Opatrzność bowiem pozwoliła tym drobnym rysunkom, za pomocą miedziorytów, obiegać wszystkie części świata, dotrzeć aż do wysp mórz australskich, i niema ich mowa zrozumianą została od wielu dusz, wśród ludów odżywających się najrozmaitszemi narzeczaniami, otrzymując ciągle tego dowody“.

Pracownię rzymską nie sami tylko nawiedziali uczniowie. Zachodzili tam nieraz i dyletanci sztuki, i wielbiciele talentu i charakteru mistrza. Mile witając nawiedzających swą pracownię gości, chętnie w obec nich rozwijał umiłowane teorye chrześcijańskiej sztuki, a owe podniosłe i pouczające rozmowy zwiększały falę różnorodnych pątników, spieszących w progi uświęcone wysokiem posłannictwem odnowiciela katolickiej w sztuce tradycyi. Tylokrotnie już nam przyszło własnemi Overbecka słowami tłumaczyć jego zapatrywania na sztukę, nie od rzeczy atoli będzie wspomnieć rozprawkę, napisaną w włoskim języku dla uczniów rzymskich akademij, w której raz jeszcze streścił swe poglądy, wskazał na główny kierunek sztuki *di dar gloria a Dio mediante la santificazione delle anima*, ostrzegł przed profanacją przybytków Bożych, gdy się je zdoła łachmanami babilońskiej nierządniczy, i odezwał się gorąco do duchowieństwa, którego uległość i ustępstwa nieraz oddają

sztukę kościelną w ręce ani powołane, ani uprawnione, ludzi nie mających pojęcia o prawidłach ewangelicznych rządzących mistyczną domów Bożych ozdobą i krasą. „Sztuka kościelna nie ma być pokarmem dla płóchej ciekawości, ani też polem do popisu próżności, lub zdobycia marnej sławy“, lecz raczej podniętą do uświętobliwienia dusz, do uszlachetnienia serc ludzkich. Nie można żądać od kapłanów dość głębokiej znajomości przedmiotu, „nie praw perspektywy, proporcji ciała ludzkiego, lub gry światłocieniów“, lecz raczej tych moralnych stron, które jako pasterze dusz znać powinni, a mianowicie badać ową dwojaką skłonność upadłego rodu ludzkiego, z których jedna ku niebu go ciągnie, druga ku ziemi zniża, wieczną walkę ciała z duchem. Raz zważywszy te dwustronne popędy, nie podobna się zgodzić na nowoczesne teorie sztuki, zapoznające całkiem sprzeczne pierwiastki, które z sobą zacięty w człowieku spór wiodą, a rozumujące o potędze piękna bez rozróżnienia tego, co się zmysłom naszym podoba, od tego co przystoi ludziom odrodzonym łaską Bożą, uszlachetnionym chrześcijańskim wychowaniem. Nowoczesne teorie piękna zakrawają na pelagianizm, albo raczej na zupełne pogaństwo. Nie biorąc wcale na szalę, ani uwagę zasad ewangelii św., wyłącznie trzymają się starożytniej sztuki, przyjmując za jedyne wzory posągi mitologicznych bogów.

Tu Overbeck trafnie wskazuje na różnicę dzielącą dwie sztuki, pogańską i chrześcijańską. Tendencją pogaństwa było ludzi ubóstwiać wiecznem *Eritis sicut dii*. Przeciwnie ewangelia uczy, iż upadłą przez grzech pierworodny ludzkość tylko ofiara Boga, który stał się człowiekiem, dźwignąć i zbawić mogła. Pogańska sztuka ludzi co do ich przeznaczeń i stanu, podawała im zwierciadło, w którym własny ukochali obraz. Natomiast chrześcijańska sztuka ludzi nad ziemię porywa i podnosi ducha ich ku nadprzyrodzonym i niewidzialnym wiodąc rzeczom, aby w sercu zapalić miłość Bożą, pragnienie nieba i zamilowanie cnoty.

Ślepe naśladownictwo greckiej sztuki do żadnych rezultatów nie wiedzie. Boć zapal, z jakim czciciel Apollina lub Wenery rzeźbił posągi swych bogów, nie ożywia już dłuta dzisiejszych artystów, zaczęm zimne tylko tworzą kopije. Dzisiejsza jałowość sztuki spowodowaną bywa z jednej strony niewolniczem naśladowaniem pogańskich wzorów, które w nas już nie budzą uczuć bałwochwalczych,

z drugiej zaś systematem rządzącym studjami młodzieży. Niepodobna zbierać winogron z ciernia, ani fig na ostach! Kto pogański zasiew rzuca, nie zbierze chrześcijańskiego żniwa. Wszystko co dziś młodego artystę kształci, słowem czy wzorem, przystało by raczej czcicielowi Wenery lub Jowisza, nie zaś chrześcijaninowi. Owszem, to pogańskie wykształcenie gasi w nim powoli i tłumi wszelkie chrześcijańskie pierwiastki i pojęcia. Oto, zdaniem Overbecka, właściwy powód, dla którego od trzech wieków zamarła sztuka chrześcijańska, bałwochwalczym kultem starożytności zabita. Gdyby nie same tylko klasyczne studia przemagały w wychowaniu młodzieży, gdyby obok nich, a zwłaszcza nad nimi rozwijano chrześcijańską znajomość rzeczy wiary, pomników i tradycyj chrześcijańskich, dziejów Kościoła i Świętych Pańskich, katechizmu i liturgii, odżyłyby piękne wieki, obfite okresy sztuki, a artysta przestrzegający w czynie i słowie, w zasadach i utworach, w życiu i zawodzie prawideł chrześcijańskiego piękna i chrześcijańskiej prawdy, widziałby nad sobą błogosławieństwo Boże, dające rodzajność ludzkiej pracy i usiłowaniom. Wznowiłyby się tradycje z XIV. i XV. stulecia, kiedy artyści w świątobliwości życia sztukę uprawiali, żywili się najczystszym mlekiem nauki Kościoła, jak Marya u stóp Chrystusa, u stopni ołtarza trwali, nie oddychali innem powietrzem jeno rajskich ogrodów, nie wypuszczali z rąk swoich płonącej lampy mądrych dziewic. Wszystkie nasze sztuki, nie wyłączając muzyki i poezji, zawodziły wówczas zgodnie hymn pochwalny na cześć Najwyższego.

Dziś sztuka rzemiosłem, któremu zabrakło ducha. Artysta go nie szuka, nie tęskni doń: model lub manekin mu wystarcza, cały zakres pojęć ogranicza się na nagich lub udrapowanych postaciach. Wyżej nie sięga, nie dziw tedy, że ani natchnienia, ani polotu w jego tworach nie ma.

Przytoczyliśmy niemal dosłownie ważniejsze ustępy rozprawki, która powinna się znajdować w ręku każdego młodego artysty, wskazując mu jedyną, pewną, bezpieczną drogę ku osiągnięciu prawdziwego ideału. Czas nam teraz wrócić do dalszego ciągu naszego opowiadania.

Na dniu 16 czerwca 1846 r. zasiadł na tronie papieskim ukochany od całego pokolenia naszego, a sławny po wszystkie wieki kardynał Mastai Ferretti, wielki Pius IX. „O nowych rzym-

skich wypadkach“, pisze Overbeck do Corneliusa w kilka tygodni później, „wiedzieć musisz z gazet. Wszyscy tu pełni otuchy i radości, witając nowego papieża, jako *Missus a Deo*, aby ciężkie i liczne rany naszej epoki zleczyć. Nie leniwią też rękę do tego przykładu już dzieła“.

Imię Overbecka nie obcem było tak światłemu miłośnikowi sztuki, jakim był Pius IX. Przy pierwszej audyencji, w jakiej mistrz uczestniczył, nowy papież okazał prawdziwą radość, usłyszawszy jego nazwisko i przywołał go mówiąc: iż chce mu osobnego udzielić błogosławieństwa za jego szlachetne usiłowania i szerzenie dobrego ducha pomiędzy młodzieżą. Jakoż obie ręce złożwszy na głowie klęczącego malarza, z tak wyraźnem błogosławił mu rozczuleniem i przejęciem, że wszystkich obecnych widok ten do żywego poruszył.

Niebawem Overbeck został z woli papieża powołany do upamiętnienia na sklepieniu komnaty kwirynalskiego pałacu uwięzienia i uwiezienia Piusa VII. z rozkazu cesarza Napoleona. Zrazu myślą Piusa IX. było, ażeby pędzlem całą tę pamiętną uwiecznić scenę, i wykonanie jej powierzył Overbeckowi. Ten jednak po głębszym namyśle raczej figurycznie zapragnął oddać ocalenie Piusa VII., za przykładem dawnych mistrzów, przedstawiających nieraz świeżą historyczną pamiątkę pod alegoryą zaczerpniętą z Pisma św. Za zezwoleniem papieża, obrał więc ustęp z Ewangelii św. Łukasza, opisujący, jak Żydowie nauczającego Chrystusa Pana z synagogi wyrzucili, i chcieli go strącić z skały, gdy nagle z przed oczu ich zniknął. Overbeck przedstawił Zbawiciela Pana z jedną nogą na skale, kiedy druga już oparta na obłoku przez cherubów rozścielonym. Pomysł malarza niezmiernie się Piusowi IX. podobał. Wszelako ostateczne wykonanie nie wypadło tak świetnie, jak się spodziewano. Niedostatki kolorytu Overbecka ujawniły się bardziej jeszcze w plafonie wymagającym barw jaskrawszych. Ale historycznie, dzieło to osobnego nabrało znaczenia: mistrz nad niem pracował podczas rzymskiej rewolucyi i wygnania Piusa IX. z uczuciem okolicznościami spotęgowanem. Gdy po latach wielu dom Sabaudzki zagarnął Rzym i dziedzictwo Piotrowe, ta właśnie komnata kwirynalskiego pałacu została przeznaczoną na sypialnię dla królewicza Humberta, dziś monarchy włoskiego. Jakby dla zakrycia

przed sumieniem zaborców obrazu przypominającego w jak cudowny sposób Pan swych prześladowców pohańbia, i przed nimi się zakrywa, przysłonięto dzieło Overbecka jaskrawą makatą, która lepiej harmonizuje z nowoczesnym układem komnaty.

Dopókiż taki obraz i płynąca zeń nauka przysłoniętami i zakrytymi pozostaną?...

Smutne odgłosy ówczesnych zdarzeń, tak bolesnych dla serca każdego katolika, a cóż dopiero dla katolika tak bardzo miłującego Rzym, papieństwo i papieża, raz po raz odzywają się w korespondencyi Overbecka. „Trudno w obecnym stanie rzeczy dawny Rzym poznać: zamiast pobożnych pieśni, słyhać tylko bębny i kotły, zamiast głoszonego dawniej po ulicach słowa Bożego, porozlepiane rewolucyjne plakaty. Zamykam się też coraz bardziej w mej pracowni, aby tem zatrutem nie oddychać powietrzem, i w umiłowanej sztuce szukać ochrony od ciężkich prób chwili obecnej“.

W kwietniu 1850 r. wrócił Pius IX. do Rzymu, i dla Overbecka powtórzyły się wrażenia, odnowiły wspomnienia tryumfalnego wjazdu Piusa VII. w 1814 r.

Ustąpiły tedy do czasu publiczne klęski i obawy, ale życie prywatne nowymi zasepiło się krzyżami: żona coraz częściej niedomagała, osłabiony wzrok wzbraniał często pracy, a pracy tej natarczywie domagały się trudne materyalne stosunki. Smutki te osładzała wzajemna miłość tych prawdziwie chrześcijańskich małżonków. Oboje codziennie wczesnym rankiem udawali się do kościoła, ranek schodził wśród przygodnych zajęć, skromny południowy posiłek na nowo ich łączył. Obiad bywał prosty, ledwo wystarczający, stół bez żadnej zastawy, bo pani Overbeck, miłośniczka ubóstwa, każdy zbytek miała za grzech. Przy czarnej kawie mistrz czytał głośno artykuł z *Civiltà Cattolica*, lub rozdział z jakiej książki pobożnej. Następnie wracał do swej pracowni, aby do wieczora w niej pozostawać, i zaledwie późną odświeżyć się przechadzką. Wieczera i krótka z żoną pogadanka o całodziennych wrażeniach i zajęciach, dzień pracy zamykała.

(Dok. nast.)

M.



STOSUNEK PAŃSTWA PRUSKIEGO DO KOŚCIOŁA.

(Ciąg dalszy.)

Zanim zaczniemy mówić o księstwie Kliwii, przypatrzmy się jeszcze losowi opactwa paradyckiego. W r. 1686 cesarz zastawił okręg Swiebus u ks. Brandenburskiego, z warunkiem, żeby wszystko co się tyczy praktyk religijnych, duchowieństwa i mienia kościelnego zostało w stanie dawniejszym. Tymczasem po roku uwiadamiają elektora, że duchowieństwo nie zachowuje ustanowionego przezeń „dnia pokuty“, ponieważ za zwierzchnika uznaje tylko biskupa wrocławskiego. Na to odpowiedział elektor, że gotów jest zezwolić na swobodę wyznania, ale nie może się zgodzić, aby zależeli od zagranicznego kapłana. Na przyszłość więc księża powinni się udawać w takich sprawach do konsystorza protestanckiego w Neumarkt, zachowywać gorliwie „Busstagi“, uroczystości dziękczynne, błagalne, jak niemniej przepisane modlitwy za elektora pobożnie odprawiać mają¹.

Tegóż samego roku przywłaszczył sobie konsystorz prawo kanonizacji katolickich księży²; później zaś zagarnął i prawo obsadzania probostw od 6 miesięcy osieroconych, a to w celu, „aby pomału zmusić katolików do uznania praw biskupich elektora i zwolna nałożyć ich pod rządę swego konsystorza“³. Brandenburgia umiała szerzyć protestantyzm: legiony protestanckich urzędników wysyłano

¹ Lehmann t. I. str. 299.

² Tamże t. I. str. 306.

³ Tamże t. I. str. 575.

w katolickie okolice. Urzędnicy ci naturalnie życzyli sobie, aby w miejscu ich pobytu, zamiast katolickich księży, byli pastrowie i zwracali się w tym celu z prośbą do Berlina. Już w roku 1686 przybywa tu pierwszy pastor i urządzuje tymczasowo w ratuszu, „dopóki się nie zaprowadzi lepszego porządku“¹. Ledwie że przyszło pozwolenie na pastorów, a już wysyłają do Berlina wszyscy ewangelicy poddani klasztoru Paradies, w okręgu Swiebuskim, prośbę według znanego formularza tj. bez daty i podpisu, dziękując najprzód Bogu, a potem elektorowi, że wyratował uciśnionych chrześcijan z ciemności papieżstwa, i proszą, aby „według starego zwyczaju“ w każdej parafii był pastor.

Tak postępowała Brandenburgia tam, gdzie układy stały na przeszkodzie, gdzie mocarstwa ościenne groziły zmuszeniem do dotrzymania układów, — jakież musiało być zachowanie się wobec Kościoła katolickiego tam, gdzie nikt nie był w stanie powstrzymać zamierzonego ciosu?

Najwięcej katolickich poddanych miały Prusy przedfryderskie w Kliwii, które im się dostały w r. 1614. Jan Zygmunt przyrzekł w r. 1609 „Kościół katolicki z jego publicznymi praktykami na każdym miejscu utrzymywać, na jego praktyki zezwalać i nikogo, ani w sprawach sumienia, ani w praktykach, nie przynaglać, ani żadnych w tej mierze przeszkód nie stawiać“. Podobne przyrzeczenie ponowił i zaprzysiągł w r. 1624. Kliwia należała do jurysdykcji arcybiskupstwa kolońskiego, której elektorowie brandenburscy żadną miarą uznać nie chcieli. W r. 1658 wtrącono do więzienia dziekana kapituły w Kliwii, Ubelmanna, a z nim i proboszcza „jako złoczyńców zasługujących na karę na ciele i życiu“, a to dla tego, że ogłosili dekrety Koncilium trydenckiego, że odbywali procesy praktykujące się od wieków, i zgodnie z arcybiskupem kolońskim, wybrali ordynariusza. Wrócono im wprawdzie wolność, ale w r. 1661 wyszedł t. z. „Säckenedikt“ dla zapobieżenia na przyszłość podobnym sprawom². „Ponieważ ducho-

¹ Lehmann t. I. str. 290.

² Śluszne są słowa Lehmana, że na pozór istniał podobny edykt od r. 1608, tylko że w nim wyraźnie czytamy, że przezeń nie powinna ponosić żadnego uszczerbku jurysdykcja i wszelkie sprawy małżeńskie, testamenty, wizytacje, zakupy kościelne, powinny należeć do arcybiskupa. *Scotti*, Prawa i rozporządzenia w księstwie Cleve I. str. 38. Lehmann str. 123.

wieństwo katolickie nie chce elektora protestanckiego uznać za jedynego ordynariusza swojego, zakazuje więc on takiego nieładu i nakazuje, aby nikogo — prócz pana kraju — nie uznawano za swego zwierzchnika i ordynariusza. Wszyscy, którzyby ogłaszali dekrety obcych zwierzchników, niech wiedzą, że ich, jako buntowników wsadzą do wora i na postrach dla innych utopiać. Władze miejskie mają na znak tego wywiesić wór na bramach miasta¹. Edykt ten ma być odczytany z kazalnicy po wszystkich kościołach. Kapituła uskarżała się, że tym sposobem duchowni byłiby w gorszym położeniu niż żydzi, powoływała się na przysięgę złożoną arcybiskupowi i zwracała uwagę, że nikt wyroku na siebie samego nie zechce ogłaszać. Wszystko to nie pomogło. Wprawdzie wkrótce potem elektor znalazł się w tak przykrem położeniu, że nie pozostał mu inny środek do utrzymania Kliwii w związku z Brandenburgią, jak tylko złagodzenie, przynajmniej pozorne, Säckenediktu. W r. 1674 „najlaskawiej wydany edykt“ został o tyle zmodyfikowany, że tylko ogłoszenie jubileuszu, „ustanowienie dnia modłów“, wszelka dyspozycja i rozporządzenie w ks. Klewijskim, wszelkie orzeczenie kary przez zwierzchność duchowną miały podlegać karze utopienia. Co do wyznania, dozwolono w przyszłości na posłuszeństwo zwierzchnikom zagranicznym, którzy mogli wyświęcać kapłanów, konsekrować ołtarze i czuwać nad obrzędami². Pocieszano się przytem w Berlinie, że podobne rzeczy nie stanowią jurysdykcji biskupiej, gdyż pastorowie używali podobnej swobody.

Fryderyk Wilhelm I., opierając się na swej władzy biskupiej, mianował w Wessel pewnego scholastyka kanonikiem, mimo oporu ze strony arcybiskupa kolońskiego, i godność tę zaliczył do rzędu *cum privilegio praecedentiae et habitus distincti*. Przypominał sobie także, że przodkowie jego w krajach księstwa Kliwii nie przyzwolali na jurysdykcję obcych duchownych, lecz owszem rozporządzili, aby duchownych, którzy ośmielają się wyciągać papieskie bulle i inne zagraniczne mandaty, takowe publikować i wedle nich postępować w tych krajach, nakładać kary cielesne, a nawet karę „śmierci“. I na tej to podstawie rozkazał on w r. 1785 zbadać, czy

¹ Scotti I. str. 387.

² Lehmann I. str. 157.

przypadkiem z powodu jubileuszu nie ma tych „obcych mandatów na „kościółach poprzybijanych, czy ich nie publikują, a zarazem, czy „nie wychodzą czasami jakie przepisy co do ubrania zakonnic „i t. p. Gdyby się coś podobnego zdarzyło, nie ścierpi on podobnego lekceważenia surowych rozporządzeń swoich, takiej obrazy „praw w swoim terytoryum — znajdują one w nim surowego sędziego.

Na podstawie zwierzchniego episkopatu zamieniano *jus patronatus* na *jus collationis* orzekając, że ważną jest kollacya ze strony elektora, mimo największej opozycyi ze strony duchowieństwa, a przeciwnie, wszelkie osadzenie bez zezwolenia władzy świeckiej nie ma żadnego waloru. Już Fryderyk Wilhelm, Wielki elektor, rozdawał prebendy w Kliwii między świeckich, którzy mogli je sprzedawać więcej dającemu. Później sam rząd trudnił się tą sprzedażą i ciągnął się ten ohydny handel aż do wybuchu rewolucyi francuskiej. I tak w Marchii kliwijskiej odebrano prebendę prawnemu jej posiadaczowi, a sprzedano ją innemu. W r. 1722 sprzedano część kanonij i zmuszono kapitułę do przyjęcia symonistów. W r. 1726 sprzedano plebanję w Donsbrüggen; kupił ją jakiś kalwin, żyjący w małżeństwie mieszanem, dla swego syna, naówczas jeszcze gimnazysty. „Nie godzi się mieszać rzeczy świętych z nieświętymi“, mówi Lehmann na usprawiedliwienie podobnych faktów. Widocznie panu radcy zupełnie obcą jest historia Grzegorza VII. i Henryków IV. i V., a tembardziej św. Piotra i Szymona Maga. Lecz gorszem jeszcze było to, że pieniądze tak uzyskane musiały iść na kościoły reformowane, na zakłady dobroczynne protestanckie. Tabela rządowa z r. 1712 na wielu miejscach podaje sumy, jakie osiągnięto ze sprzedaży prebend — według niej dekanat w Cleve kosztował 2250 złr., inne prebendy 2000 złr.

Ośmielono się nawet wdziarać w sprawy kultu natury czysto wewnętrznej. I tak Fryderyk I. w r. 1712 zniósł wszystkie uroczystości św. Jana i N. P. Maryi, przenosząc je na najbliższą niedzielę. Raz nawet (17. Czerwca 1707) dyspensował najlaskawiej od subdyakonatu opierając się na prawie wyższości władzy książęcej *circa sacra et ecclesiastica*. Fryderyk I. przepisał wspólną modlitwę kościelną dla protestantów i katolików, którą miano odmawiać co niedzielę po kazaniu „dla zaprowadzenia jednostajności w niedzielę i dni uroczyste we wszystkich krajach i prowincjach J. K. M.“

Podobnież przepisał katolikom modlitwę pokutną w duchu protestanckim. Nakoniec wydał do wszystkich katolickich duszpasterzy „najlaskawszy rozkaz“, aby pod karą 10 czerwonych złotych co niedziela modlili się, „aby Najwyższy raczył zachować króla w wierze protestanckiej“. W r. 1724 zarządził, aby kler katolicki obchodził święta wielkanocne nie według kalendarza gregoriańskiego d. 16 Marca, lecz według poprawnego, protestanckiego, d. 9 Marca. Biada temu kto się powążył odprawiać nabożeństwo bez pozwolenia króla. Dziekan kliwski odprawił w r. 1725 czterdziesto-godzinne nabożeństwo i „w ten sposób zuchwale zawinił przeciw królewskiej zwierzchności nad krajem“. Za to „przewinienie“ zasuspendowano go w urzędzie na rozkaz króla, dochody jego zasekwestrowano, a na innych kanoników nałożono 25 czerwonych złotych kary.

Naturalnie że i sprawy małżeńskie nie szły już więcej przed forum duchowne. Wielki elektor zachował je dla siebie, jako „najwyższego biskupa“ katolików¹, i zmuszał proboszczów, nie chcących się do niego zgłaszać o dyspensy, do błogosławienia małżeństw nawet między krewnymi, bez zezwolenia władzy duchownej². Fryderyk I. ogłosił za nieważne małżeństwo zawarte bez zezwolenia rodziców lub opiekunów, szczególny nacisk kładąc na to, że jemu jedynie przysłuży prawo dyspensy od wszelkich stopni pokrewieństwa (16 września r. 1693).

Najlepiej jednak charakteryzują to królewskie zwierzchnictwo w sprawach duchownych uciski, jakie zaczęły się za rządów Jerzego Wilhelma, a wzrosły za czasów Wielkiego elektora i jego obu następców. Nie krępowały ich zgoła prawa katolickim poddanym zagwarantowane w rewersaliach, układach i recesach. Owszem, te uciski są najwymowniejszym dowodem, że książęta uważali swą najwyższą władzę co do spraw duchownych za nienaruszalną, tak, że w obec żadnej przysięgi, obietnicy lub praw nie miały znaczenia. Tak np. represalia są pozbawieniem praw w miejsce zadosyćuczynienia za wyrządzoną krzywdę. Prawnicy zezwalają na nie jedynie w razie wojny, kiedy środki pokojowe okażą się bezskuteczne. Ma się rozumieć, że służą jedynie przeciw państwu nieprzy-

¹ Lehmann t. I. p. 81.

² Gravam. Capit. Xant 13 kwiet. 1663.

jacielskiemu i jego mieszkańcom. Otóż w Brandenburgii wykonywano represalia za obcych przewinienia na swoich poddanych. Skoro tylko protestanci w jakim kraju sąsiednim odezwali się ze skargą, że ich tam rząd katolicki uciska, Prusy groziły natychmiast, że wystąpią z represaliami przeciw swoim katolickim poddanym, a częstokroć i bezzwłocznie chwyciły za nie, drecząc dopóty swoich katolickich poddanych, dopóki obcy władcy nie ustąpili tam, gdzie nawet słuszność była po ich stronie.

Tak np. w r. 1609 obejmując w posiadanie kraje kliwskie, książę brandenburski powtórnie zobowiązał się, że przed wykonaniem holdu ze strony panów kraju, każdy z nich będzie musiał przysiąc, iż nie wprowadzi żadnych nowości religijnych u siebie, i pozostawi poddanych swoich przy ich wyznaniu katolickiem. Tak było w r. 1609, a mimo to, począwszy od tej daty aż do r. 1650, zrabowano przeszło sto kościołów i wikaryj wbrew układom, na które sam rząd się zgodził. I nie koniec na tem: znaną jest bowiem skarga katolików z czasów Wielkiego elektora, w której wymieniono ogółem 302 gwałtów i rozbojów dokonanych w tak małym kraiku.

W r. 1663 elektor Fryderyk Wilhelm grozi nowemi uciskami pod pozorem, że protestantów wypędzają z Düsseldorfu. Nie pomogły tłumaczenia się pfalzgrafa neuburskiego, że banicya dotknęła jedynie ludzi najgorszej konduity, z których wszyscy, z wyjątkiem pięciu, byli katolikami. W odwecie za to wygnano Kapucynów z Kliwii, a Jezuitom i Kapucynom w Xanten rozkazano opuścić księstwo w przeciągu 6 tygodni. A kiedy predykanci cofnęli swoje skargi jako nieuzasadnione, rząd kliwski dziwił się, co ich mogło spowodować do tego kroku. A jednak nie ustawiano znęcać się nad katolikami. Jedyną szkołę katolicką, jaka została w mieście, zburzyło stu robotników w ciągu jednej nocy bez względu na protesty kapituły — a jednocześnie reformowani zabrali aż trzy szkoły w mieście czysto katolickiem. W r. 1665 zamknięto zakład trędowatych, chorych wygnano — a domu użyto na pomieszczenie... psów myśliwskich elektora! Kapituła chciała gdzie indziej pomieścić biedaków, ale naczelný łowczy oświadczył, że wszelkie zakupna instytucyj lub klasztorów staną się na przyszłość psiarniami wysokich

panów¹. Z okazji nowego układu w r. 1772 oświadczył elektor, że bynajmniej nie myśli zrzec się swego „prawa“ do represaliów. „Moglibyśmy to uczynić chyba wtedy, gdybyśmy się chcieli ludzi nadzieją, że z protestantami dobrze będą postępować — inaczej, mając w rękę środki, musimy tak samo twardo postępować z katolikami w naszych krajach, jak postępują gdzie indziej z naszymi“². Gdy w r. 1685 zniesiono edykt nantejski we Francyi, Fryderyk Wilhelm oświadczył, że nikt nie może wymagać, aby pozostawiono Jezuitów w Prusach i dozwolono wierze katolickiej szerzyć się bez przeszkód. Owszem, zdwojono ucisk od chwili, gdy z przejściem na katolicyzm domu elektora saskiego, Brandenburgia stała się przedmurzem protestantyzmu (1697—1712).

W jednym z miast katolickich predykant wyszydział publicznie religię katolicką, za co skazano go na 12 ezer. złotych grzywny. Fakt ten tak rozgniewał rząd pruski, że nałożył 25 ezer. złotych odszkodowania na zgola niewinnego proboszcza. Fryderyk Wilhelm I. zamknął gimnazjum jezuickie w Emmerich jedynie z tego powodu, że książę Palatyński przeszkodził protestantom w budowie szkoły w Kettwig, którą bezprawnie rozpoczęli. W innej znów miejscowości Palatynatu powstał tumult przy wyborze predykanta, sprawców jego skazano na areszt. Prusy dopatrzyły się w tem przesładowania swoich współwyznawców, i klasztory leżące na terytorium pruskiem musiały grzywnami odszkodować ów areszt. I tak na Jezuitów w Emmerich nałożono 600 talarów „kary“. Wypłaciło ją kolegium zaciągawszy wprzód u żyda lichwiarską pożyczkę. Tymczasem spory powtarzały się w owej gminie, a w ślad i kary, tym razem zasuspendowano proboszcza katolickiego w Cleve, wzbraniając mu wszelkich czynności duchownych, nie pozwalając nawet na ostatnie posługi chorym, a nadto skazano go na grzywnę 100 dukatów. Prócz tego na dwóch innych miejscach zamknięto kościoły katolickie, a gdy katolicy chcieli służbę bożą odprawiać po domach prywatnych, rozpędzano ich przemocą³. Nie koniec na tem. Raz

¹ Scholten: Stadt Cleve p. 210, 527.

² Lehmann t I. 267.

³ Ausführliche Darstellung und gründliche Beweis sehr vieler Religionsbeschwerden. Bonn. 1730. str. 93—104.

opróżnionej parafii, nie dozwolono więcej obsadzać. Nakoniec król zagroził Kapucynom kliwskim, że wypędzi ich z kraju, jeśli nie wpłyną na zupełne uciszenie się w Rheidt. I jakiegoż to występku dopuścili się ci biedni zakonnicy? Jakżeż mieli zażegnać klótnie protestantów?

Godnem przedewszystkiem uwagi jest rozporządzenie Fryderyka Wilhelma I. z 9 stycznia 1720 r. „każdy duchowny katolicki „odpowiedzialnym jest za występkę innych duchownych, nawet „testanckich, jeśli ci przez złe rady skłaniają magnatów do łamania znanych powszechnie praw państwowych. Sam bowiem papież „pochwala takie zdradzieckie rady, zachęca do nich, albo przynajmniej nie powstrzymuje od dawania ich!“

Nareszcie cesarz sam widział się zmuszonym zabrać głos przeciw nadużyciom pruskim (w dwóch listach 23 i 24 lutego 1726 r.). „Nie słyszeliśmy, aby wszyscy razem inni książęta dokonali tyle gwałtów, ile W. K. M. sam“. Wstawienie to nie uczyniło jednak najmniejszego wrażenia na fanatycznym królu. Gdy w r. 1724 nadburmistrz toruński poniósł karę śmierci za znane tumulty pospołu z innymi rzemieślnikami, król oświadczył: „Opierając się na tem „samem prawie możemy wypędzić z kraju wszystkich katolików!“¹. Zaraz też wydał surowy dekret zobowiązujący landratów, aby gorliwiej czuwali nad tem, by się religia katolicka nie rozszerzała. Wkrótce potem nastąpił trzeci cyrkularz, w którym już zawierał się rozkaz: „Władze rządowe zakomunikują klerowi, że w razie „gdyby który z duchownych wystąpił choćby w najmniejszej rzeczy „w czasie kazania lub katechizmu przeciw Luteranom lub Kalwinom, „sam zostanie za to wygnany, a kościół, w którym występował, zamknięty“².

Ucisk szerzył się również na polu religijnem, jak i na politycznem. Za Wielkiego elektora w trzech gminach nad dolnym Renem, gdzie nie było ani jednego protestanta, oddano prebendy w tamtych kościołach protestantom. W Emmerich całkowicie niemal katolickiem mieście zabrano katolikom sześć kościołów, a ponieważ wszystkich nie mogli użyć protestanci, część z nich obrócono na

¹ Lehmann t. I. str. 829.

² Tamże t. I. str. 830, 834.

cele świeckie. Cała propaganda protestancka utrzymywała się w kraju funduszami katolickimi. Wszystkie większe gminy otrzymywały burmistrzów reformowanych, przez co nie tylko protestanci przewagę w państwie mieli, lecz — według słów kliwskiej owczarni protestanckiej — „utrzymywały się przez to aż dotąd protestanckie kościoły i szkoły“¹. Urzędnicy ci, w porozumieniu z reformowanymi patronami, zaopatrywali uczniów swego wyznania w katolickie fundusze, zakładali domy przytułków, szpitale protestanckie, a majątek biednych, który urósł z fundacyj katolickich, oddawali pod zarząd protestancki. Co więcej, biedne dzieci katolickie, pobierające zasiłek, od r. 1671 zostały zmuszone do uczęszczania do kościoła reformowanego i słuchania nauki protestanckiej.

Gdy w r. 1717 obywatele w Mattewen, stosownie do postanowień pokoju westfalskiego, wybrali z katolików burmistrza i dwóch rajców, Fryderyk Wilhelm upatrzył zaraz w tem ucisk i wydalil z Kliwii tych kilku urzędników, jacy tam jeszcze zostali, bez względu na wszelkie protesty. W innym podobnym wypadku nałożył 5000 talarów kary.

Rzućmy teraz okiem na politykę pruską aż do czasów Fryderyka II., a przedstawi nam ona obraz walki omnipotencyi państwa z Kościołem. Celem, do którego zmierzają wszyscy bez wyjątku pruscy władcy, jest zagłada Kościoła katolickiego i utworzenie państwowego. Niczem w obec nich świętość przysięgi, niczem układy, bo nie ich powstrzymać nie może od gwałtownych nawet środków. Zobaczmy teraz, czy z Fryderykiem II., filozofem, nastaly nowe czasy?

II.

„Wszystkie wyznania powinny być tolerowane! Każdy może się zbawić na swój sposób!“² Tak pisał Fryderyk II. wstępując na tron. W istocie nikt się z jego poprzedników w podobny sposób nie odzywał,

¹ Lehmann t. I. 184.

² Wszystkie wyznania mają być tolerowane, a rząd nad tem tylko ma czuwać, aby jedno drugiemu nie robiło krzywdy, niech każdy zbawia się na swój sposób.

owszem wszyscy starali się — o ile możności — obniżyć skalę tolerancji. Ale niestety, piękna teoria inną się okazała w praktyce! Tolerancja Fryderyka co najwięcej dotyczyła jednostek, ale zato Kościół starał się wszystkimi siłami poddać w niewolę państwa. Systemem jego rządów był tak zwany liberalny absolutyzm, nim miało być nacechowane panowanie jego na wewnątrz i na zewnątrz. Ministrowie jego nie mieli być czem innem, jak tylko narzędziami w ręku najsprytniejszego. Fryderyk II. nie mógł ani zrozumieć, ani ścierpieć niepodległości u władz tak świeckich jak i duchownych. W dążeniu Kościoła do rządów samoistnych upatrywał on zamach na prawa monarsze. Chciał on być zarówno dla Kościoła katolickiego i protestanckiego najwyższą instancją. „Majestat królewski nie może ulegać biskupowi rzymskiemu i dozwalać na tworzenie państwa w państwie“¹. Protokół konferencji z 8 Grudnia 1841 najlepiej określa jego politykę. „J. K. M. nie myśli się mieszać w rzeczy dotyczące się wiary. W sprawach zaś spornych udziela król, na mocy swej zwierzchności, książętom wszelkiej swobody w tej mierze, a wedle danej mu od Boga „nieograniczonej władzy, wchodzi we wszystkie swoje prawa przysługujące mu na Śląsku. *Stąd samo się przez się rozumie, że wobec tego musi ustąpić wszystko, co według zasad kleru rzymskiego nie godzi się z tem postanowieniem*“. Do wykonywania tychże praw monarszych nad katolikami, postanowił zaraz dwa konsystorze protestanckie we Wrocławiu i Głogowie.

Fryderyk wiedział dobrze, że to się wręcz sprzeciwia zasadom Kościoła, to też żądza panowania wyrodziła w nim najwyższą nienawiść do Kościoła katolickiego, który się z pod jego władzy usuwał. I kiedy Voltaire nazywał Kościół infamem, to przyjaciel jego Fryderyk czerpał swe obelgi z przekręcanych miejsc pisma św. Nigdy inaczej nie nazywał go jak „wszeteczną siedzącą na siedmiu pagórkach“ i powtarzał razporaz: Całą swą wściekłość wyrzucam na Kościół². Papieża zwie „starym upiorem fantazyi“ i wikaryuszem interesów niebieskich³, to znowu Dalaj Lamą⁴, godność zaś jego określa w ten sposób, iż zasługuje, aby mu królowie ciskali w twarz jabł-

¹ 15 Grudnia 1741.

² Zimmermann: Pytania o Fryderyku W. Lipsk, 1790 Tom I. str. 167.

³ 10 Stycznia 1740.

⁴ 24 Marca 1768.

kami¹, a kiedy indziej znów nazywa go „Wicebogiem“². Biskupom nadaje nazwę „krzykaczy targowych“ i „druidów“³. I człowiek, co posługiwał się tak trywialnemi i nieszlachetnemi przezwiskami — nazywa się wielkim? Lecz dosyć tego, przejdźmy raczej do scharakteryzowania jego polityki.

Przy wstąpieniu na tron Fryderyka nader szczupłą była liczba katolików w państwie brandebursko-pruskiem. Reformacya tam, jakeśmy to widzieli, wygładziła niemal dawną religię. Prócz tego, w krajach przez układy uzyskanych niewielka ilość katolików była rozprószona, bez punktu oparcia i wszelkiej łączności. Po zdobyciu Szląska 1740 r. rzeczy się zmieniły: naraz liczba katolików powiększyła się ośmiokrotnie, a co więcej, monarchia pruska otrzymała pierwszego poddanego biskupa, w osobie księcia biskupa wrocławskiego. Gdyby się więc udało uczynić zeń posłuszne narzędzie w ręku króla, ujarzmienie Kościoła byłoby już niechybnem.

Najodpowiedniejszym środkiem dopięcia tego wydało się królowi utworzenie, wielokrotnie już przez poprzedników proponowanego, generalnego wikaryatu królewskiego. Odradzał tego minister, przedstawiając, że nawet najwolnomyślniejszy z katolików nie zgodzi się na przyjęcie podobnego stanowiska, ale Fryderyk mimo to chciał przynajmniej spróbować. Zdawało mu się, że w słabym i niezbyt daleko patrzącym wrocławskim kardynale Singendorfie, znalazł człowieka do przeprowadzenia swych planów. Nic lepiej nie maluje usposobienia ówczesnej pruskiej biurokracyi w obec Kościoła katolickiego, jak list prezydenta wyższej rady Benkendorfa do ministra Cocceja: „J. K. M. kilka dni temu napisał bardzo łaskawy list do pana „kardynała, donosząc mu, że gotów jest mianować go generalnym „wikaryuszem dla wszystkich swoich krajów, przyczem posłał mu „kilka żywych bażantów. Jego Eminencyę tak to wzruszyło, iż „rozplakał się tak rzewnie, jak Piotr“. Papież Benedykt XIV., wprawdzie niespodziewanie gotowym się pokazał do spełnienia woli królewskiej, pisał jednakże do kardynała Singendorfa: „Pomimo ustanowienia wikaryatu, wszyscy katolicy, nie wyjąwszy wikaryusza,

¹ 7 Maja 1768.

² 24 Lipca 1768.

³ 22 Czerwca 1781.

„mają pozostać w winnej uległości dla Stolicy św., stanowiącej środek „jedności, a to nie tylko za życia obecnego papieża, ale i po naszym zejściu taż sama uległość ma być nienaruszenie zachowana „względem naszych następców na urzędzie. A zależność ta nie ma „jedynie polegać na słowach albo być ukrytą, ale powinna być „jawną i rzeczywistą. Nie dla zysku, ani dla interesów mają się „katolicy udawać do Rzymu, ale aby złożyć hołd winny papieżowi, „jako głowie Kościoła. Zresztą nie powinno katolikom, któremi zarządzają będzie generalny wikary, braknąć niczego, co im do duchownego postępu służyć może“. Król atoli nie dał się do tego nakłonić, aby w papieżu uznał duchownego zwierzchnika katolików w Prusach. „Papież czyha tylko, by moją najwyższą powagę podkopać, takie żądanie wstrząsają podwalinami królewskiej zwierzchności w duchownych rzeczach“.

Jeszcze raz wznowił Fryderyk ten zamiar, a to pod koniec życia swego¹. Departament spraw zagranicznych napomknął mu, że jako panujący ma prawo mianować wikaryusza generalnego dla swego państwa. Pius VI. protestował przeciw temu, powołując się na prawa katolikom zagwarantowane przez układy i obietnice królewskie. Zgadzał się wreszcie i na to, że sam zamianuje na tę posadę osobę miłą królowi, ale pod pewnymi warunkami, tak, aby na tem jedność z Kościołem katolickim zgoła nie ucierpiała. Tymczasem tajny nadradca Dohm oświadczył, że pokój westfalski z 1648 r. nadał panującym protestanckim zwierzchność i w rzeczach kościelnych nad ich poddanymi katolikami. Dalej, że wszystkie prawa katolickiego kleru zostały w krajach protestanckich zniesione, a panujący odziedzili je zaraz z początku swego panowania z najwyższą władzą, ale dotąd przez rzymską hierarchię negowane *jus circa sacra*, na nowo zostaje złączone ze świecką władzą monarchy. Kościół z państwem stanowią jedno! Ale najlepsze światło na tę całą kwestyę utworzenia wikaryatu generalnego rzuca wybór królewski, który to dostojęństwo zamyślał powierzyć ks. Du Val Pyran. Był to mnich zbiegły z Francyi, człowiek nader podejrzany, co do sławy i przeszłości. Przez lat kilka kręcił

¹ Lehmann t. V. p. 486.

się on po całej Europie, aż wreszcie oparł się na dworze berlińskim. Czyż można było kogoś lepszego znaleźć na to stanowisko?

Raz jeszcze pokusił się Fryderyk, choć na innej drodze, o to, aby mu sam najwyższy *pasterz* wydał na łup Kościół katolicki. Wysłano innego ex-zakonnika, Bastianiego z Wenecyi, w charakterze agenta królewskiego do Rzymu, aby uzyskał u papieża dla J. K. Mości prawo mianowania na wszystkie urzędy kościelne w Szląsku. Prałaci więc i duchowieństwo mieli odtąd tak zależeć od króla, jak oficerowie i żołnierze w jego wojsku. Słusznie powoływał się Benedykt XIV. na tę okoliczność, że nie ma przykładu podobnego ustępstwa w całych dziejach Kościoła. Indulty, najwyższa oznaka przychylności Stolicy św., którą zaszczyca katolickich książąt, nie mogą być użyte tym, co do Kościoła nie należą. O jedno zwłaszcza upraszał król, o co mu najbardziej, jako pruskiemu patryocie chodziło, tj. aby sprawy kościelne nie były sądzone poza granicami kraju. Benedykt XIV. kazał ułożyć listę biegłych kanonistów duchownych i dać ją do potwierdzenia polskiemu nuncyuszowi. Ci mieli być drugą instancją w rozsądzaniu spraw kościelnych. Książę biskup Schaffgotsch listę tę podał do potwierdzenia najwyższemu sądowi¹.

Ponieważ pierwsze rokowania z papieżem nie doprowadziły do pożądanego rezultatu, zaczął Fryderyk działać samowolnie, czego zresztą pozwalał sobie już podczas samych rokowań. Zajmując Szląsk w r. 1740 zaręczył najuroczyściej obu wyznaniom równą opiekę. Ale już przy wjeździe pokazało się, w jaki to sposób myślał Fryderyk słowa dotrzymać. W Gunthersdorfie kazał przemocą otworzyć kościół katolicki, aby protestancki kapelan wojskowy mógł w nim odprawiać swoje nabożeństwo; we Wrocławiu zabrał z katedry mnóstwo rzeczy, które, według jego mniemania, nie były tam potrzebne. Również zażądał, aby kościół istniejący pod wezwaniem św. Urszuli i jej towarzyszek oddano jego żołnierzom. Dnia 3 i 4 sierpnia 1741 kazał zburzyć klasztor w Henrykowie, pod pozorem, że zakonnicy tamtejsi okazywali sympatię dla Austrii. Radca kameralny, Fürst, radził mu w wystosowanym doń memo-

¹ Lehmann t. III. str. 249.

ryale, aby w Szląsku urządził wszystko wedle swego upodobania, a przy zawarciu pokoju zaręczył *statum quo*. Na szczęście jednak Marya Teresa знаła swego przeciwnika, musiał więc Fryderyk II. we wszystkich traktatach pokojowych wyraźnie zobowiązywać się, że zostawi katolików w tych samych warunkach, w jakich zostawali pod berłem austriackiem. Jeszcze wśród układów pokojowych z r. 1761 nalegał król, aby mu przyznano pełność władzy kościelnej, jako najwyższemu biskupowi Szląska — ale daremnie; mimo prośb i groźb ustanowiono dawny *status quo*, jako najodpowiedniejszy.

Jakże wywiązywał się tym czasem Fryderyk ze swoich zobowiązań? „Szląsk jest krajem zdobytym, pisał w instrukcyi swej do ministra stanu Massowa¹, w kraju zdobytym zwycięzca może rządzić wedle upodobania.“ Ale pozostał tam jeszcze jeden nieprzyjaciół a tym było duchowieństwo, *un corps redoutable*, jak nazywa je król. Za narzędzie do ujarznienia tego nieprzyjaciela miała posłużyć stolica biskupia we Wrocławiu. Powołując się na wielki obszar dyecezyi, mianował on kanonika katedralnego Schaffgotscha koadjutorem kardynała Singendorfa. Postępowanie hrabiego Alместon wywołujące ogólne zgorszenie lekcewazył sobie z wolteryańskim cynizmem. Schaffgotsch, pisał w liście do Singendorfa, może powiedzieć z Dawidem: „Panie przebac mi grzechy i błędy młodości. Przypominam sobie nawet, że gdzieś słyżałem — dodawał, że nawet dobrze „jest, jeśli kapłan ma jakieś doświadczenie w występniey życiu“. Kardynał, książę biskup Singendorf umarł 1747 r. Minister stanu Münchow ubolewał nad jego śmiercią, bo zgon ten mógł stanąć na przeszkodzie Fryderykowi w wykonaniu jego planów. Radził mu przeto, aby zmusił kapitułę wrocławską do zaniechania nowego wyboru. Schaffgotsch tymczasem płaszczył się przed królem w liście doń pisanym, prosząc go o wydanie mu patentu na koadjutora, „aby W. K. Mość łaskawie dokonał, co mi przyobiegać raczył“. „Kurya rzymska ustąpi, twierdził dalej pralat, na jego słowo i dla „jego powagi“. Radca dworu Morgenstern również, opierając się na swoich studyach nad dziejami Kościoła, zapewniał króla w swoim referacie, że według zapatrywań najbieglejszych, wybór biskupa,

¹ Lehmann t. III. str. 390.

choćby był dokonany zgodnie z wszelkimi przepisami prawa kanonicznego, jest nieważny bez przyzwolenia panującego. Fryderyk tedy w rozkazie gabinetowym rozporządza, żeby za trumną pierwszy postępował Schaffgotsch, który miał także objąć w posiadanie temporalia, zarząd zaś *in spiritualibus* wypada zlecić tymczasowo sufraganowi, hrabiemu Alместon. „Z powodu tej śmierci — pisał do „swego ministra Fryderyk pocieszając się — zarabiam 10.000 talarów, które dotąd trzeba było płacić jako podatek kardynałowi“. Kapituła katedralna prosiła go, aby zostawił jej wolność w obiorze biskupa. Fryderyk odpowiedział na to, że wolny wybór nie da się pogodzić z naszą najwyższą zwierzchnością w Szląsku. Kanonikom zaś nakazano pod groźbą najsurowszych kar, zachować się tak, jak przystoi na posłusznych i wasalów względem swego władcy. Piątego października tegoż samego roku otrzymała pismo królewskie kapituła: „Na mocy pełnej władzy, jaka nam przysługuje, jako królowi i władcy państwa, mianujemy hr. Schaffgotscha księciem biskupem wrocławskim!“. Schaffgotsch, który tylko do tego dążył, zaczął grać komedię przed światem, że nie może przyjąć z rąk królewskich tego urzędu. Stosownie tedy do rozkazu, został niby poniewolnie sprowadzony do kościoła, gdzie wśród udanych łez odczytał protest przeciw rzekomej przemocy zredagowany dlań przez ministra Münchowa. Tymczasem wysłano jednego z kanoników do Rzymu ze sumą 20.000 talarów, aby, jeśli się nie uda prośbą, przynajmniej przekupstwem próbował uzyskać potwierdzenie nominacji królewskiej. Benedykt XIV., którego doszły wieści o gorszącym życiu Schaffgotscha, nie chciał żadną miarą zgodzić się na jego prekonizację, i nie pierwaj przystąpił do niej, aż inni biskupi złożyli świadectwo, że w życiu kandydata zaszła istotna poprawa. „Kreatura J. K. Mości“ jak nazwał Schaffgotscha jeden z ministrów, pierwszy swój list pasterski o posłuszeństwie, należnem królowi pruskiemu, redagował wspólnie z Münchowem. I nie pierwaj ogłoszono go dycezanom, aż po aprobachie królewskiej, któremu podano go w tłumaczeniu francuskim. W jakim duchu było to orędzie, wyjaśnia to najlepiej sam Schaffgotsch w liście do króla z r. 1755, w którym powiada, że „gotów jest przysiąc, iż jego zasady teologiczne, godzą się najzupełniej ze sposobem myślenia Fryderyka II.“.

Biskup ten państwowy nie wystarczał atoli sam jeden do tego, aby Kościół poddać pod władzę państwa; trzeba się było starać o godnego następcę. „Wybierz pan kogoś z kanoników halberstadzkich — pisał Fryderyk 25 kwietnia 1748 do generalnego intendentą Bredowa — jakieś zręczne i uległe indywiduum, które mógłbym wysłać do Wrocławia jako kanonika, a później wynieść na „stolicę biskupią“.

Kiedy przy wybuchu wojny siedmioletniej Schaffgotsch popadł w niełaskę, Fryderyk zasekwestrował wszystkie dochody biskupie. Zarząd spraw duchownych pozostał przy generalnym wikaryuszu v. Almeston, któremu kapituła zmuszoną była dodać do boku jednego z kanoników. Świeży ten dostojnik, a był nim v. Frankenberg, nieprzyjaciel osobisty suffragana, duszą i ciałem oddany był Fryderykowi, to też uwiadamtiał Berlin o wszystkim, co dotyczyło kapituły. Po śmierci hrabiego Almeston mianował Fryderyk „na mocy tego pisma pralata v. Strachwitz koadjutorem i sufraganem naszego księstwa szląskiego“.

Minister Schlabrendorf przy tej nominacyi snuł wielkie nadzieje i plany na przyszłość. „Ponieważ posadę koadjutora otrzymał człowiek uczciwie myślący, może więc W. K. M. zaniechać zgoła mianowanie ordynaryusza, a roczne dochody od 40—50000 talarów pobierać i odpowiednio niemi rozrządzać. Spodobał się królowi ten projekt i polecił ministrowi, aby zajął się sprawą w swoim czasie, rozkazując na razie wszystko zachować w jak największej tajemnicy.

(C. d. n.)

Ks. Augustyn Arndt.

ZAWIAZKI DZIEJÓW SICZY ZAPOROSKIEJ.

(Dokończenie).

Step nie jest tak jednostajnym, jak można mniemać, urozmaicając go mogiły, które są pozostałością po pierwotnych mieszkańcach ziem niższych. Wedle kosmicznych pojęć teraźniejszych mieszkańców tej ziemi mogiły, jak góry, rzeki, morza, wyszły z dłoni Stwórcy w dniu stworzenia; tyczy się to mogił-olbrzymów, niższe tylko są dziełem człowieka. Wszystkie prawie większe mogiły to zabytki ludów Scytyjskich, szczególnie na prawem wybrzeżu Dnieprzem; wyniosłością wyróżniają się owe ziemne pomniki pracy ludzkiej, jedyne świadectwa, iż człowiek już przed wielu wiekami istniał tam, myślał, pracował, bojował, iż nie była to wiekiusie taka pustynia, jaką już ją widzimy później, iż na stepie roilo się ludu więcej niż za czasów wladztwa Zaporoskiego, wojskowego bractwa. Czasy jednak scytyjskie zbyt odległe; z ludami pierwotnymi zaginęły wszelkie ślady tyczące się owych mogił. Są one, i zapewne na wieki pozostaną, hieroglifami niezrozumiałymi dla badaczy. To co się wie o nich, zbyt niewystarczający tworzy materiał dla odtworzenia dziejów ich pochodzenia, czasu wzniesienia i celów, dla których człowiek nie wahał się łożyć tyle moralnego znoju, by wznieść owe olbrzymy. Trzy wiekowe prawie dzieje Zaporozża, do odwiecznych, na wpół dzikiej kultury ludów zaginionych, dorzuciły nowe mogiły, już pospolicie znacznie niższe, lub też do dawnych dodały pewne historyczne wspomnienia późniejsze. Choćwało niekiedy Zaporozże swych bohaterów (chociaż rzadko) na szczy-

cie dawnych olbrzymów i pamięć tej chwili uwieczniało nazwą nową. Jedną z takich mogił jest „Maryanowa mogiła“ koło Kudaku, przypominająca francuza Marian’a (właściwiej Marion’a), który był pierwszym komendantem twierdzy polskiej Kudaku i padł w boju z Zaporozcami, którzy pierwotny, jeszcze niezupełnie zakończony Kudak, zdołali byli chwilowo opanować. Każdy wieśniak wskaże i dziś jeszcze miejsce, kędy leży kości owego dzielnego wodza kudackiego, chociaż dzisiejsze, znacznie świeższe pokłady kolonizacyi, nie zachowały w swej pamięci tradycyi wypadku lub takową znacznie zmieniają. Do mogił, z których nazwą łączą się historyczne wspomnienia, zaliczyć należy „mogiłę Potockiego“, na której szczycie pogrzebiony Stefan Potocki, nieszczęsny wódz żółtowodzkiego pogromu, ranny pod „Żółtymi wodami“ i zmarły w niewoli Zaporoskiego wojska. Położona ona w głębi stepów, na prawej, historycznej, że tak rzekę, stronie Dniepru. Rzadko Zaporozę chowało swych bojowników i wodzów na szczycie starych mogił i nigdy nie sypano nad ich zwłokami mogiły. Jeżeli poezya mówi inaczej, popełnia w takim razie grzech. Wobec majestatu dziejów, wypływa to ze zwykłego, zbytelnego idealizowania przyrody, ludzi i wypadków niżowych przez naszych poetów. Mogiły w tym kraju bez dróg (jakim on był do końca prawie XVIII. w.), służyły drogowskazami dla pojedynczego wędrowca i dla całych czambułów, również tatarskich jak i zaporoskich. Mogiły i wklęsłości, zwane *bałkami*, służyły wielokroć jako punkta wytyczne oryentowania się. Nazwiska polskie, pospolicie niezbadanego pochodzenia, któremi dzisiejsza nawet stepowa kolonizacya mianuje niektóre mogiły i jary (*bałki*), świadczą, w braku piśmiennych świadectw, iż kraj ten pochłoniął niemało kolonizacyi polskiej. Wsiąkała ona tu lata, wieki całe, i nieraz bezwiednie spełniała cywilizacyjne posłannictwo. Do nazw niezbadanego źródła zaliczają się wszystkie imiona niskich dolin, wiele nazw mogił. Źródła tych nazw najczęściej szukać należy w imionach właścicieli futorów, którzy nie wahali się ująć leńiesz tam, gdzie miecz jedynie powinien być noszonym. Rolnik, który na pochyłościach jaru, w głębi cichej doliny, u źródła, lub korzystając z pobliskiego strumienia, nie wahał się zorać kawał niwy, był zaiste śmiałkiem nielada. Można go stawieć obok mołojców, co w wątlej łodzi przepływali „progi“, by złożyć świadectwo

swej odwagi. Taki pływak stawiał czoło niebezpieczeństwu, patrzył w oczy śmierci krótką tylko chwilę; rolnik zaś w głębi stepów niżowych, na „Dzikich Polach“, codziennie, w każdej chwili dnia i roku bojował, acz pługiem tylko, nie mieczem, dłoń swą uznoił. Czambuł większy lub mniejszy w swym przelocie do Polski mógł w każdej chwili zawisnąć nad chruścianami ściany lepianki, zniszczyć wszystko, w popiół owoc długoletniego trudu zamienić i samego gospodarza wiaść w łyka niewoli, bo jak Klonowicz słusznie się wyraża: „Nie jest bowiem Tatarzyn porządny wojownik, ale złodziej, pędziskot i nocny rozbójnik“.

Stawiano na mogiłach z beczek rodzaj znaków strażniczych, tak zwane u Zaporozców *figury*, które grały rolę telegrafów; skoro zbliżał się nieprzyjaciół, skoro „szła Orda“ — jak się wyrażano, zapalano te *figury*. Step na wielkiej przestrzeni gorzał, ostrzegając o grozie co nad nim zawisła¹. Wspominaliśmy już, iż na obszarach stepowych dróg prawie nie było. Nie może nazywać się drogą ścieżka wydeptana przez czambuł tatarski. Wysokie trawy, w których człowiek z koniem często ginął, tak bowiem bujnie rosły chwasty stepowe, pod naciskiem kopyt końskich kładły się, szczególnie podczas obfitej nocnej rosy, tworząc tak zwaną „taśmę“ czyli „szlak“, pod wpływem zaś promieni słońca znowu się podnosiły; śladem owych szlaków pędzono umykającego do swych koczowisk Tatarzyna, śladem tych „szlaków“ czyli „taśm“ kierowali się siczownicy lub ich gońcy. Jak dziwnie mało zaludnionymi były stepy w pierwszej epoce wytworzenia się Siczy, wnosić możemy ze wskazówek mapy Beauplana, robionej za dni Władysława IV., gdzie posiadłości siczowe prawie żadnych siedzib nie mają oznaczonych, a niemniej porównyując późniejsze wskazówki, któremi są dla nas mapa Akademii Nauk w Petersburgu z r. 1745 i relacya konfederata Barskiego Chojeckiego. Ten ostatni, wracając ze wschodniej niewoli, (w drugiej połowie XVIII. w.) przeszedł pieszo od Donu do Dniepru, ku ówczesnym granicom południowym województwa kijowskiego, nie spotykając prawie wcale siedzib ludzkich; bo pojedyncza chata lub buda „na basztanie“ nie może się mienić nawet małą osadą; a i takich ziemianek „na basztanach“ prawie spotkać nie

¹ Memoires du Baron de Tott sur les Turcs et les Tatars 1785.

można było na tej ogromnej przestrzeni stepów. W chwilach ostatnich lat istnienia Zaporozża (około r. 1768) robione były wykazy zaludnienia Siczowych posiadłości, w celu urządzenia gońców pocztowych; otóż takie wykazy podają zaledwie 1912 chat. Gdybyśmy nawet podnieśli tę liczbę do 2000 (w przypuszczeniu, iż niemało chat i rozsianych wśród jarów ziemianek było zabaczonych, lub umyślnie uchylało się od spisu) wreszcie zaś, gdybyśmy w każdej chacie obliczali mieszkańców na 5 głów, ogólna liczba mieszkańców posiadłości Siczowych, z wyjątkiem samej Siczy, wyniosłaby zaledwie 10.000 głów płci obojga. Jeżeli do tej liczby dodamy około 6000 głów siczowego bractwa i pewien procent ludności nieznaney nikomu, ukrywającej się wśród ziemianek, w futorach odległych nad Kalmiusem, jeżeli dodamy poważną cyfrę czabanów (pasterzy), włóczęgów, rybaków, pędzących życie koczownicze, to w każdym razie liczba ogólna mieszkańców Zaporoskiego państewka, na obszarach zajmowanych obecnie przez gubernię Jekatorynosławską i część małą Chersońskiej, na której to przestrzeni mieszka dziś $1\frac{1}{2}$ miliona mieszkańców — naliczymy w r. 1775 (w roku zniszczenia Siczy) zaledwie 20.000 głów, z wielką przewagą ludności męskiej, gdyż kobiet główne ognisko życia — Sicz — wcale nie znało, w futorach zaś i różnego miana zimowników najczęściej nie widzimy również ani jednej kobiety. Stary siczownik, do boju niezdatny, okryty ranami, opuszczając Sicz i zamieszkując futor ustronny, gdzie resztki życia trawił, otaczał się pospolicie chłopakami, którzy mu w gospodarstwie byli pomocą i rozjaśniali swą obecnością ściany jego świetlicy i jesień samotnego życia. Najczęściej taki samotny siczownik-rolnik „chłopców“ tych robił swymi spadkobiercami.

Wśród ogółu zaludnienia siczowych ziem, widzimy wybitnie zarysowujące się stany społeczne: rycerstwo i lud wiejski, ludność poddańcza. Siczownicy, posiadali pewną liczbę poddanych, tak zwane *pospólstwo*, mieszkające i pracujące na ziemiach siczowych. Oprócz tego gminu, który był ludem w zależności zupełnej od wojska zaporoskiego, ludem pańszczyznianą pracą płacącym za uprawę gruntów siczowych, byli tam jeńcy, tworzący inną kategorię ludności — kategorię niewolników. Zdarzały się wypadki w pierwszej połowie XVIII. w., iż trzymano w Siczy Żydów,

wziętych do niewoli, i z tego chrześcijańskiego jasyru innej drogi wyjścia nie było nad wykup. Żyd mógł się wykupić, bo nie można było uczynić zeń prezentu, a na okup, jeśli nie on, rodzina, to jego gmina miała pieniądze. Jeniec Tatar, złapany na arkan — rzecz właściwiej upolowany — w stepie — był pewnego rodzaju kapitałem, zamieniano go na pieniądze — sprzedawano do sąsiednich krajów wschodnich, lub czyniono zeń podarunki, wówczas dość cenione. Świadcstwa dziejowe zachowały nam pamięć użalań się kozaków, za dni rozpoczynającej się rokoszniczej pożogi Chmielnickiego, użalań świadczących, że nie wolno im było upolowywać w stepie Tatarząt. Czytamy w szeregu użalań kozaków Zaporoskich następującą skargę: „Zdobyczy zaś polowej, gdy sam Pan Bóg poszczęści, mimo ten jasyr Tatarów starych i małe Tatarzęta, które nam właśnie do wojska należały, za co chudzina kozak by się przydził, i to wszystko od nas poodejmowali, że nie masz za co i pracować¹...“ W późniejszych latach znać również chciwiełowiono owe „małe Tatarzęta“ na arkan, gdyż na niewiele przed zniesieniem Siczy, jak się o tem można doczytać w „archiwum siczowem“², zrobiono z Tatarząt prezent dworowi Petersburskiemu, oddzielnie posyłając parę dla Imperatorowej, parę dla jej syna, po jednej sztuce magnatom wpływowym u dworu... Parę drobnych tych szczegółów świadczy, jak zapatrywano się na swą zdobycz stepową, zdobycz co wzbogacała; jeżeli zaś ją odejmowano — jak się wyraża źródło wyżej przytoczone — „nie było za co i pracować...“

Zanim na ostrowach i splawach Dnieprowych, o których wyżej mówiliśmy, zanim na stepach, wśród krainy mogił, wśród bezbrzeżnych pustyń, zawiązało się orężne bractwo wojska niżowego, bractwo o niezwyklej organizacyi, uderzające swemi zasadami zupełnie demokratycznemi, swemi formy, które przypominały organizację rycerskich zakonów, ziemie dolnego Dniepru były koczowiskami Połowców, a na lewym porzeczu Torków, Berendejów. Ludki te dzikie, krwi pobratymczej z Mongołami, wycieńczały się

¹ Punkta instrukcyi kozaków zaporoskich (w księdze *Pam. Michałowsk.* str. 76.)

² *A. Skalkowski. Historia Nowej Siczy*; (Odessa, 1886, wyd. 3.)

w bojach z żywiołem słowiańskim, mieszkającym nad środkowym Dnieprem, a walcząc i łupiąc długo, zbliżały się do owego żywiołu i stopniowo z nim się zlewały. Ludy stepowe, żyjące z pasterstwa i łupieztwa, chociaż wytępiane były przez Mongołów, którzy po ich trupach szli do bram Kijowa, i w głąb ziem słowiańskich, chociaż drogo opłacały, bo obfitemi krwi strumieniami, swe łupieżcze najścia na siedziby waregskich książątek, nie zupełnie wszakże wytępione zostały. Niepodobnieństwem było zniknąć im wszystkim z powierzchni ziemi. Rylec dziejowy napisał dla nich zbyt lakoniczny nagrobek, mówiąc, iż z widowni stepowej „zniknęli“. Nie zniknęli oni jednak, ale przeobrazili się w pewnej części, zlewając się z odpryskami słowiańskiego szczepu, przyjmując ich język i obyczaj. Dotąd ślad tych ludków stepowych świeci w blasku czarnych, nie-słowiańskiego wyrazu oczach ludu, południowych powiatów polskiej ongi Ukrainy, dotąd widocznem jest w charakterze ludu tego jakaś buta i samowola stepowa, odróżniająca go od innych pokrewnych mu okolic, dotąd duchowy spadek rasy innej jest żywiołem wpływającym na charakter ludu tego. Wieśniak ukraiński, w południowych okolicach dawnej Braclawszczyzny i Kijowskiego, różni się najzupełniej od wieśniaka z Wołynia lub Podola, ślad to widomy, dotykający przeobrażeń hord dzikich, połowieckich na szczepy słowiańskie, które — że zacytujemy tu nasze wyrazy gdzieindziej wypowiedziane — „mając w swych żyłach krew obcą, przeodziały się w szaty innego języka, obyczaju, ale zachowały właściwości charakteru protoplastów: — żądzę boju, łupu, niedbanie o życie, pragnienie zemsty, upajanie się krwią, bodaj wytoczoną z pod braterskiego serca“¹.

Przeobrażenie szczepów, asymilacja pierwiastków rolniczych ze stepowymi miały miejsce dość wcześnie. W XV. wieku już ów proces dziejowy zupełnie prawie był dokonany. Lecz ziemie polańskie, nad środkowym Dnieprem, i pokrewne im szczepy, trzymane w kleszczach władzy książąt waregskich, spokoju nie miały od ściany stepowej. Zniknęły hordy Połowieckie, o Pieczeniegach wieść nawet

¹ *Kudak, twierdza kresowa...* Monografia historyczna, przez M. Dubieckiego (Kraków 1879).

zamilkła; natomiast inny nieprzyjaciel staje: jest nim Tatarzyn, poza nim zaś wieść prawdziwie hiobowa rozbiega się o zdobyczach Turka. Zdobycze to krwawe, bezlitośne, napiętnowane fatalizmem dziejowym, nikt się wobec jego oręża ostać nie może. Za ledwie drugą połowę XV. w. upływać zaczęła, gdy północne wybrzeża morza Czarnego uznać musiały w większym, czy też mniejszym stopniu przemoc turecką. Potężna długie lata Kaffa (Teodozya) wraz z całą plejadą osad genueńskich, na Pontyjskich i Meotyjskich pomorzach, zniknęły z powierzchni ziemi złanej krwią, zasypanej zgłiszczami zachodniej, chrześcijańskiej kultury. Nie oparły się osady genueńskie, te przodownice w dziedzinie handlu, wiedzy, u północnych wybrzeży czarnomorskiej fali; nie zasypały ani Turka, ani Tatarzyna swem złotem, nie pokonały go swym rozumem, mówiły ubożuchne siola nasze co od Braclawszczyzny, od ziemi dolnego Dniestru, od ziemi podolskiej pomykały Dzikiem Polem ku Czarnemu morzu... cóż my tedy mocni jesteśmy uczynić?... Padł więc strach niemały na południowo-wschodnie węgły państwa Jagiellończyka, i strach ten dłużej nad owymi nieszczęsnymi węglami powiewał, niż było istnienie Jagiellońskiej dynastii. Turek był wprawdzie sąsiadem, ale nie tak bliskim jak Tatar, owa przednia, lotna straż Islamu i jego potęgi. Zbrojna dłoń Islamu ukazywała się wprawdzie, ale nie tak często jak Tatarzyn, jej zwiastun również groźny dla naszych strzech słomianych, dla naszych drewnianych ostrokołów jak lepiej uszykowane, bardziej zbrojne pułki janczarów Padyszacha. Południe nasze od końca XV. w. zaczyna być w trwodze i trwoży się wieki całe. Już za Jana Olbrachta taki strach pada nawet na daleki gród stołeczny, na Kraków, iż fortyfikuje się on pilnie, zabezpieczając się od nowej w Europie, a wielkiej potęgi, jaką był ówczesny Turek. Wznoszą właśnie wówczas przed Floryańską bramą tak zwany Rondel, podnoszą wysokość tejsze bramy i murów, a na Kleparzu sypią wały nowych umocowań. Przeworność okazała się zbyt dużą; Turek ani wtedy, ani nigdy później nie poił swych bojowych koni pod Wawelem, w smętnej fali Rudawy, i chociaż o parę wieków później kruszył mury Wiednia, nie pokusił się wcale o tępienie swej szabli o bramy Wawelu. Pierś rycerstwa osiadłego na Podolu, na obszarach Braclawszczyzny, starczyła nam za całą obronę i skutecznie odpierała większe lub mniej-

sze czambuły tatarskie. Była ich mnogość tak wielką, iż zliczyć trudno, gdyż nie boje to, nie wojny, bodaj z pozorem zachowywania praw bojowych, lecz napady zbójckie. Przytoczyliśmy już tu, iż Klonowicz w swym „Worku Judaszowym“ nazywa tatarski najazd „nocnym rozbojem“; tak było w istocie. Gdy „Dzikie Pola“ znajdowały się chociaż z imienia w dłoni polskiej, gdy Buczaccy, Jazłowieccy posiadali tam swe obszary, od Dniestru po Dniepr, step przynajmniej odgradzał koczownicze hordy od siedzib dobrze zagospodarowanych: tak było za dni Zygmunta I. Lecz już przy nim Nogajcy przypędzając zaczęli swe stada na „Dzikie Pola“, przy nim sadowili się coraz to mocniej od morza, od południa aż ku Kodymie i Jahorlikowi, wytępiając spotkane po drodze ślady naszej kolonizacyi, która szybkim krokiem, przy pierwszych Jagiellonach krzewiła się z biegiem Dniestru i Bohu ku wodom Pontu. Za dni Zygmunta Augusta już koczowiska Nogajców wyparły wszystko nasze z Dzikich Pól i stanęły u bram Podola i Braclawszczyzny. Wtedy miały miejsce pierwsze ciężkie stratowania ziemi Podolskiej przez czambuły Tatarskie, wtedy właśnie na lewem porzeczu Wisły, w Czarnolesiu, uderzył w struny swej lutni poeta-obywatel i wyśpiewał ową pieśń pełną bólu i przestrogi zarazem:

Wieczna sromota i nienagrodzona
Szkoda Polaku, ziemia spustoszona
Podolska leży, a pohaniec sprośny,
Nad Niestrem siedząc, dzieli łup żałośny,

Najazdy stawały się odtąd raną wciąż jęczącą się, nigdy nie dającą się zabiżnić. Owszem, miały nadejść czasy jeszcze gorsze liczące po kilkanaście czambułów rocznie. Wyprawy Tatarzyn nie otrąbiał, nie ogłaszał; nikt bowiem tego za wyprawy nie brał, były to najścia zbójckie. Nogajskie ordy żyły wyłącznie z czambułów wyprawianych do nas. Nasz dobytek i owoc pracy naszej — to ich łan; nim się żywili, innego nie znali. Przychodzono do południowych województw Polski, niby do własnego spichlerza. W jednym roku spadł czambuł po bydło, owce, w innym po jasyr z ludzi, któremi ogromny handel prowadzono na rynkach Wschodu. Były to klęski nad klęskami, którym zapobiedz potrzeba było. Wybieranie co przedniejszej ludności w jasyr niedość iż wytwarzało anemiczny stan organizmu państwowego, ale wikłało stosunek natu-

ralnego rozwoju narodu. Uszczuplały się jego szeregi. Narzekali na to nasi publicyści XVI. w., tembardziej narzekali, iż mała ilość zawieranych małżeństw, z powodu różnych kastowych przesądów i wzrastającej próżności, źle wróżyła dla doby owoczesnej i dla dalszej przyszłości narodu. Ci sami publicyści, którzy myśleli o wytworzeniu obrony od najazdów tatarskich, narzekali również i na brak stosownej ilości małżeństw. Na obie te kwestye znajdowano jeden ratunek w mocnem oparciu się zbrojną stopą na południu Rzpltej i rozszerzeniu w Dzikich Polach kolonizacyi polskiej. Te osady miały być wojenną a demokratyczną instytucyą, któraby i Tatarzy nowi wiekuisty „wstręt czyniła do wdzierania się we wnętrzności Rzpltej“ i zarazem byłaby pożądanem schronieniem od wszelkich przesądów, co tak już były u nas w XVI. w. wybujały ponad głowy społeczeństwa, iż tamowały jego rozwój.

W kwestyi tej przemawiał do Zygmunta III. w pierwszych latach jego rządów, Piotr Grabowski, kapłan-publicysta, ale te projekta kolonizacyi speliły na niczem. Był jednak do niej materyał i pewien pociąg nawet, bo już wtedy, gdy wspomniany Grabowski marzył o osadnictwie po za Dolnym Dnieprem, i pisał o tem broszurę, nazwaną „Polska Niżna“, Sicz istniała na Niżu.

Niebezpieczeństwo od Tatarów w XVI. dopiero wieku, i to w jego drugiej połowie, wywoływać zaczęło projekta liczne obrony, niekiedy fantastyczne, niekiedy nad siły nasze i nad wytrwałość naszą, ale z któremi Włoch i Niemiec, jak wyrażał się Gwagnin, dałby sobie łatwo radę, działając powoli, z jednakim zawsze zapalem i z jednaką wytrwałością. Ale w XV. w. i na początku XVI., węzeł tej kwestyi chciano rozciąć inaczej, nie piórem, lecz mieczem.

W czasach zamierzelej przeszłości kończyły wschodnie kraju miały ludzi śmiałych, zbrojnych, lekkich jeźdźców, którzy dorywcze boje toczyli z wrogiem, również dorywczo wpadającym i zbrojno ręką coś urywającym. Ludzi takich nazywano z mongolska — *kozak*. Gwagnin dość dokładnie określa co to jest kozak. Mówi on, „że to „chudy pacholek, nikomu nie poddany, zdobyczy sobie szukający, a za pieniądze komu chce służy“. Określenie dość dokładne. Orężny jeździec, nieujęty w karby wojskowej karności, zbrojny ochotnik, poczęści opryszek — to „kozak“. Tacy kozacy, orężni ochotnicy, ukazują się bardzo wczesnie, jak wskazałem — ale nie w ziemiach

środkowego, bądź dolnego Dniepru; ukazują się oni na wyżynach oddzielających górną Dźwinę od górnego Dniepru; najwcześniej ich widzi ściana pogranicza, oddzielająca *litewskie ukraiinne*, tj. pograniczne *grody* od świeżo wyzwolonego z mongolskiej niewoli w. ks. moskiewskiego; są oni obrańcami północno-wschodniego węgła Litwy. Zanim na krańcach „u krajów“, u brzegów słowiańskiego południa staną się głośnymi, już są znacznie wcześniej w „ukraińskich litewskich grodach“, w Smolenszczyźnie; są tam obroną miast, tarczą swych siedzib. Wieść jednak o nich prędko tam ginie, a znane już nam niebezpieczeństwa od drugiej połowy XV. w., srożące się na całej południowej polaci Polski — na krańcach Braclawszczyzny i Kijowskiego — każą tam wyszukiwać środków obrony. Stają więc kupy orężne, niesforne, lecz bitne gromady lekkiej jazdy, umiejące sobie dawać radę z resztami dawnych koczujących plemion, co się po stepie jeszcze tułaly, a niemuiej i z nowym wrogiem, Tatarzynem. Kupy te orężne stawały się straszne wrogom, ale i dla swoich groźnemi wielokroć były. Obyczaj dziki, pogański, który im wprost od Wschodu bił w oczy, wcześniej zmienił ich moralne oblicze — już XVI. wiek na to narzeka; Bartosz Paprocki daje nie pochlebne świadectwo tym, co na odległych pograniczach brały się za bary z Tatarzynem; udawać się pod chorągiew owych orężnych kup, a rozbrat z cnotą domową, rodzinną brać, to u Paprockiego jedno i toż samo. U Górnickiego nie lepsze spotykają się określenia. W jego „Dziejach“ czytamy: „dla chciwości, dla rozpusty w kozactwo się udali, u nich łup lepszy niż cnota“.

Kozactwo, chociaż na tak niepochlebne świadectwo zasługiwało, było podczas Jagiellońskiej doby pawężą skuteczną przeciw inkursjom tatarskim; była to obrona grodów południowych. Kozactwo jednak i Sicz na Niżu — to dwie rzeczy różne. Kozactwo, acz tworzyło się na kończynach ziem zasiedlonych, których w gródkach miało być obroną, miało pewne uczucie z krajem, wytworzyła się wśród innych, jak wiemy, warunków przyrody, wśród większych niebezpieczeństw i z wybitnemi ślady organizacyi rycerstwa zakonnego, którą to organizację wiatr zachodu przyniósł na jałową ziemię Pół Dzikich, na niespopielale jeszcze ogniska koczowisk hord stepowych.

Pierwszy ślad sadowienia się pojedynczych jednostek orężnych na Niżu spotykamy bardzo wcześnie. Za dni kończących rządy Kazimierza Jagiellończyka przybywają wielokrotnie do Kijowa z „Niżu“ (tj. z dolnego Dniepru) kozacy, którzy bawili się handlem. Są w nich dziejowe wskazówki, mówiące nam, że przybywający do Kijowa „kupiec chrześcijanin albo mieszczanin, albo *kozak*“ powinien był składać pewną daninę; zarówno też i ci, co pływali z Kijowa na Niż (w dół rzeki) w celu zarobkowania, obowiązani byli do dawania wojewodzie „dziesiątej części“ z tego, „co zdobędą“. Wyroóżnianie w dokumencie dziejowym kozaków, jako stanu oddzielnego, jest dla nas rzeczą ważną, dowodem, że nie tylko jeździec zbrojny, orężnik pojedynczo, samopas waleczący, ale włóczęga stepowy, szukający dróg zbogacenia się, również miano kozaka nosił. Widocznie, iż zanim oddali się wyłącznie rycerskiemu rzemiosłu, kozacy byli poszukiwaczami pomyślności na innych drogach; szukali takowej w handlu, rybołostwie — byli to ludzie przygód. Starostowie grodów ukraińskich, w naddnieprzańskiej Ukrainie, wytworzyli z nich straż grodową, a zatem żywioł pożyteczny, wywiązujący się wybornie w początkach istnienia swego z obowiązków, które się stały ich udziałem.

Jednocześnie z kozactwem miejskiem tworzy się kozactwo — niżowe. Tworzy się ono poza ziemiami osiadłymi, wśród przyrody innej, stepowej i dzikiej, której główne zarysy już wskazaliśmy. Kozactwo to — instytucja nader oryginalna, mająca dużo właściwości zakonu rycerskiego — od Niżu przybrało nazwę Niżowców, lub Zaporożców, gdyż „za progami“ pierwsze ich zawiązki spotykają się. Żywioły nasze polskie, żywioły wyszłe z polskiej kolebki, wyhodowane pod promieniami zachodniej kultury, ale skłócone z porządkiem społecznym, stanowiły główny pokład tego osadu, który leżał podwaliną instytucji siczowej. Posuwanie się śmiało w głąb stepów, posuwanie się pojedynczo lub gromadnie, w celu bliższego i szybszego zajrzenia w oczy poganinowi, lub jedynie w celu zniknięcia z gniazd własnych, z gniazd dawnych i wytworzenia dla siebie podstaw innego bytu, co z przeszłością wspólnego nie miał, odbywało się już za dni Kazimierza Jagiellończyka. Dzieje nie mają żadnych świadectw piśmiennych, któreby ściśle określały chwilę, kiedy mianowicie ten osad społeczny spłynął poraz pierw-

szy z falą dniewową na ostrowy i legi, na pozaświecie, odgrodzone od najdalszych kończyn chrześcijańskiej kultury całą siecią katarakt, do tych dziedzin, nader słusznie zaiste, polami „dzikimi“ nazwanych. Są jednak tradycje niżowe, jeszcze w połowie XVIII. znane, i głośno w Siczy powtarzane, iż od króla Stefana Batorego rozwija się świetność wojska zaporoskiego, lecz znacznie wcześniej już Sicz istniała i organizację swą wojskową posiadała. Tradycje o znacznie dawniejszem, bo na całe stulecie wstecz cofniętem istnieniu Siczy, weszły do urzędowych dokumentów, do owego jęku boleści, który się spotyka w skargach posyłanych przez siczowników do imperatorowej Katarzyny II., w ostatnich dniach istnienia Siczy. Od pierwszego roku rządów Batorego, od chwili gdy daleko sięgająca myśl tego wielkiego króla uznała za rzecz słuszną i potrzebną wziąć pod swą opiekę instytucję siczową i nadać jej znaczne ziemie obszary, Niżowcy rozpoczynają dobę świetności swej; lecz i wcześniej, znacznie wcześniej spotykamy się z ich istnieniem. Heidenstein pisze, że Niżowcy to rozmaici skazańcy; to włóczęgowie z różnych narodów. Określenie rzeczone służyło później za podstawę wielorakich twierdzeń o wojsku zaporoskiem. W zasadzie twierdzenie słuszne, lecz osad mętów społecznych, spotyka się tem mniejszy, im bardziej w głąb dziejowa myśl nasza sięga, i na odwrót, tem mniejszy, im ku bliższemu zbliżamy się czasom. Już w r. 1568 poselstwo Rzeczypospolitej do Porty Otomań., sprawowane przez Piotra Zborowskiego, kasztelana wojnickiego, oświadcza Padyszachowi, iż nie bierze na siebie odpowiedzialności za to, co na Dnieprze broją kozacy; mają się tu na myśli głównie Niżowcy, i o nich wówczas toż poselstwo mówiło, że orężnicy spotykani nad Dnieprem to zbieranina różnych ludów, do żadnego narodu właściwie nie należąca. Odrzuciwszy z owego orzeczenia pewną część na rzecz dyplomatycznych symulacji, widzimy w niem nieco prawdy. Były to bez zaprzeczenia duchy niespokojne, z porządkiem ówczesnym rozbrat czyniące, lecz to tylko część może i większa, była taką; poza nią stoją jednostki o umyśle, acz niespokojnym, lecz podnioslejszym, które wytwarzają z tych czynników rycerskie stowarzyszenie, pewien rodzaj rycerskiego zakonu.

Stowarzyszenie orężników niżowych nie wytworzyło się w jednej chwili, nie było czynem pojedynczego człowieka. Zawiazywały

je lata i duch rycerski, który wiał od północnych krawędzi stepu, z Braclawszczyzny, z południowych kończyn Rzeczypospolitej. Braclawszczyzna, tj. ziemie nad środkowym Bohem rozścielające się, na zachód zaś ku środkowemu biegowi Dniestru sięgające, były sąsiadką najbliższą stepów, nie więc dziwnego, że największy kontyngens bojowników stepowych, owe właśnie ziemie dostarczały. Ci co szli na Niż z Braclawszczyzny, przynosili z sobą duch rycerski i tradycye zachodniej cywilizacji. Warunki dziejowego rozwoju Braclawszczyzny, od początku prawie XV. w., przelewały tam mniejsze własności do rąk starych, możnych rodów, które z Wołynia, z Podola, z Rusi Czerwonej, z ziem bezpiecznych przybывая nad Boh, stawali się strażnikami niejako ziem Bohowych i środkowego, dniestrowego porzecza. Tam zawiązywały te rody od niepamiętnych czasów bractwa rycerskie. Możny właściciel ziem obszernych, posiadający środki obrony owych ziem i innych sąsiednich, który wznieść mógł zamek i opatrzyć go w stosowny, bojowy rynsztunek, stawał się sztandarem, około którego grupowały się drobne, uboższe rody szlacheckie. Tacy bojownicy, w stosunku do możnych, tworzyli tak zwane *poplecznictwo orężne*; był to rodzaj bractwa, którego członkowie, nazywani *poplecznikami*, zobowiązywali się do wzajemnej obrony¹. Wyraz „druh popleczny“ spotyka się często w urzędowych dokumentach XVI. i początku XVII. w. Z biegiem czasu, jeśli który z członków tych możnych rodów stanął wśród „Dzikich Pól“, u katarakt dniewprowych, jeśli się zetknął z orężnym fermentem społecznym, który się od XV. wieku siedlił na łęgach „za progami“ i zdobył tam bodaj chwilową przewagę, wziętość, czynił usiłowania szczepienia tegoż samego orężnego poplecznictwa na Niżu, jakie istniało, kwitnęło w południowych województwach Rzpltej. Do orężnego poplecznictwa przywiązywano pojęcie enoty rycerskiej, wolnej od wszelkiego zarzutu. Samuel Korecki, postać nader rycerska, znana w pieśniach ludu, który o nim na Ukrainie śpiewał „Buw pan Koreckij... win nebesnu syłu maw i wojewaw“... Korecki idąc na wyprawę turecką, pod buławą Żółkiewskiego, która to wyprawa skończyła się klęską cecorską, pisze rodzaj testamentu i napomnień dla swych *druhów poplecz-*

¹ Edw. Rutikowski w rozprawie pod nap. „Braclawszczyzna“.

ných, gdzie czytamy takie wzniosłe określenie cnoty szlacheckiej, a więc rycerskiej: „cnota szlachecka — pisze on — powinna być jako oliwa na napoju każdym“¹... Maluczki ten rys pojęć naszego rycerstwa XVI. w., które zabiegało na Niż i kumało się z orężnikami, tworzącymi tam zbrojną gromadę, zupełnie wolną, acz na ziemiach Rzpltej gnieźdzącą się, przyczynia się niemało do wynalezienia klucza zagadki, skąd zbiegowie ziem różnych, w pewnej części z ludu wiejskiego pochodzący, mogli mieć pojęcia o bractwach rycerskich, skąd do nich zabłąkać się mogła myśl o organizacji orężnej, przypominającej zakon rycerski? Lud rusiński, który, pomimo wszelkiej możności rozwoju, nie wytworzył nigdy w ciągu wieków własnej inteligencji, nie zdobył się na własną kulturę, nie mógł być założycielem bractwa siczowego; najbardziej nawet stronni, najnieprzyjaźniejsi majestatowi prawdy dziejowej historycy, nie zdołali się zdobyć na odwagę, by owym siermiężnym tłumom przypisać inicjatywę organizacji bractwa siczowego. Ludowe żywioły, gdy z biegiem wieków zwiększyły się w Siczy, przyczyniły się do jej zdziczenia, do zamienienia jej bojowników na gromady rozbójnicze, mało się różniące od czambulów tatarskich, ale nigdy nie posiadały myśli twórczej zawiązywania na kończynach chrześcijańskiego świata, a raczej już poza takowego granicami, rycerskiej instytucji. Myśl twórcza, wzniosła, szlachetna, myśl ciągłej, bojowej gotowości w obec nieprzyjaciela, myśl wytworzenia czegoś w rodzaju zakonu rycerskiego, nie mogła przyjść i nie nadeszła skądinąd, jak tylko z Polski. Zabiegające na Niż postacie takie jak wspomniany Samuel Korecki, Dymitr Wiśniowiecki, a przed nimi Eustachy Daszkiewicz i Przeclaw z Brzezia Lanckoroński, herbu Zadora, możny pan małopolski, i inni liczni, współcześni tu wymienionym, tudzież późniejsi polscy rycerze, nieśli z sobą myśl rzeczzonej instytucji, rzucali jej podwaliny, lub ją udoskonalali, rozwijali, podnosili. Wśród imion wspomnianych szukać należy inicjatorów i założycieli siczowej instytucji: wprowadzili oni z sobą na Niż pojęcia rycerskie polskie, wyrobione w ciągu wieków pod wpływem pojęć rycerstwa zachodniego; rozwijali w dalszym ciągu nasze własne po-

¹ *L. c.*

plecziństwo orężne i szersze podstawy dawali naszemu obyczajowi *druhów popleczynych i braci ślubnych*.

W Polsce to jedynie, nie zaś gdzieindziej na Wschodzie Europy, powstawały w XVI. wieku zamiary zawiązania zakonu rycerskiego, któryby był obroną od niewiernych. Widzimy tę myśl podnoszoną u nas od czasów Kazimierza Jagiellończyka do dni Batorego bardzo wiele razy. Już podczas wojny o odzyskanie od Krzyżaków Dolnego Powiśla (a zatem przed r. 1466), słyszymy o projekcie prześcianienia Teutońskiego zakonu — Krzyżaków — z grodów Dolnego Powiśla na stepy południa polskiego, graniczącego ze światem pogańskim. Projekt ten nigdy nie przekroczył granicy dziedzin marzeń politycznych, chociaż poruszano go kilkakrotnie znacznie później nawet. J. Wereszczyński, biskup kijowski, mąż gorliwy o dobro publiczne zachęca już za czasów Zygmunta III. do wytworzenia zakonu rycerskiego na Zadnieprzu, któryby bronił Rzpltę od najść tatarskich; lecz i ten projekt dalekim był od urzeczywistnienia, nie zszedł z kart broszur politycznych na grunt życia rzeczywistego. Znacznie wcześniej Jakób Podlodowski, w celu wyżej wskazanym, marzy o zawiązaniu na Ukrainie zakonu rycerskiego św. Łazarza, ale i ten projekt nie zdołał Podlodowski wcielić w życie. Były i inne w tym kierunku marzenia i zamiary mniej rozgłosne, na karcie dziejów niezapisane, świadczące jednak, że myśl polskiej społeczności ku wytworzeniu tego rodzaju instytucji niejednokrotnie się zwracała. Prawa bractwa niżowego, nigdy nie tworzące kodeksu spisane, a jedynie istniejące w tradycyi, zbliżające się w niektórych swych orzeczeniach do reguły zakonnej (zachowywano bowiem w Siczy z całą ścisłością celibat) świadczą, iż jeden z tych projektów zakonów rycerskich, z którymi polskie umysły niejednokrotnie się nosiły, otrzymał na Siczy pewne urzeczywistnienie.

Przy całym braku źródeł dziejowych, dotyczących się pierwotnej historii Zaporozża, widzimy kilka postaci polskich rycerzy, które stanowczo oddziaływały na ukształtowanie się pierwszych zawiązków bractwa rycerskiego na Niżu. Są nimi: Przeclaw Lanckoroński, Eustachy Daszkiewicz, Dymitr Wiśniowiecki i Samuel Korecki. Prawie każdy z nich był panem możnym, prawie każdy był obdarzony wrażliwą wyobraźnią, każdy męstwem wyróżniał się, pra-

wie każdy posiadał upodobanie w podróżach rycerskich, w szukaniu przygód, wyróżniał się niemniej ducha jak i ciała mocą. Wszystkie te przymioty potrzebne były dla założycieli bractwa orężnego, złożonego z żywiołów niesfornych, burzliwych, często ciemnych, ślepo hołdujących sile fizycznej. Kto ją posiadał, miał powagę i przewagę wśród tych tłumów, żądnych zarówno boju jak i łupu: „mężny, hojny, a dobrej sławy cheiwy“, jak się wyrażali niżowcy, w drugiej połowie XVI. w., mógł mieć nad nimi przewagę. Prawie każdy z wyżej wskazanych rycerzy temi przymiotami się odznaczał.

Przeclaw z Brzezia Lanckoroński rozpoczyna szereg tych mniej więcej znanych twórców sieczowego bractwa. Przemożny ten pan małopolski, wszedłszy w posiadanie starostwa Chmielnickiego, stał tem samem na pograniczu krain wystawionych na bezpośrednie niebezpieczeństwo najazdów tatarskich. Wiąże więc on około siebie całą sieć poplecznictwa orężnego, stają pod jego chorągwie liczne *druhy popleczne*, zubożała, z mienia przez Tatarzyna wyzuwana szlachta, która, chcąc ocalić siebie i swą ziemię od łyk pogańskiego jasyru, poddaje się rozkazom możnego rycerza protektora, staje na stanowisku jego klientów. Poplecznictwa sieć rozszerza się coraz dalej i szerzej; rycerz małopolski nie poprzestaje na tępieniu wroga wtedy tylko, gdy ten wpada do ziem osiadłych, szuka go w pustyni, zapędza się pod warowne częstokoly Oczakowa; nie więc dziwnego, że docierał do progów i pomnażał swych *druhów popleczych* spotkanymi tam zastępy orężników różnej wiary, pochodzenia i języka. Chęć walki z niewiernymi, chęć często wysunięcia się z pod opieki prawa, jednoczyły różnojęzyczne jednostki, różne co do stopnia kultury, pochodzenia, pojęć. Przeclaw Lanckoroński potrafił w dziczące gromady tchnąć ducha rycerskiego, zjednoczyć obyczajem prawdziwego chrześcijańskiego rycerstwa.

Eustachy Daszkiewicz również ze stanowiska starosty zamków ukraińnych rozszerza swój wpływ na Niż. Staje on tam jako urzędowy niejako organizator, pierwszy stara się uchwałami sejmu skleić niejako oazę daleką stepowego rycerstwa z Rzpltą. Było to za dni Zygmunta I. Zachodnie prowincye Polski poraz pierwszy dowiedziały się o Siczy, która już wtedy w bractwo orężne była zorganizowana, i mogła już wtedy 6000 orężnika do boju wystawić.

Słuchano na sejmie przedstawień Daszkiewicza o zorganizowaniu z niżowców stałej straży na Dnieprze, ale do uchwał stanowczych nie przyszło. Nie dbano wówczas, jak i później, o siłę i jedność państwa, o zrab Rzpltej, który mógł się łatwo rozluźnić i rzeczywiście rozluźnił się. Dymitr Wiśniowiecki i Samuel Korecki, obaj możni kniaziowie ziem ukraińnych, zapisali swe imiona nie tylko na karcie dziejów, ale i w fantazyi ludowej. Poezya ukraińska ludowa, przed wiekami, a zarazem i poezya nasza współczesna, mówią o nich. I jedna, i druga barwami jaskrawemi maluje owe postacie. Lud ukraiński czcił je znać obie zarówno, bo w wyobraźni ludowej zlewają się one w jedną postać bohatera, rycerza olbrzymich czynów. Cześć ludu jest dla nas miarą, jaką przewagą odznaczali się oni wśród ziem niżowych. Oto pieśń ukraińska ludowa, oddająca hołd ich pamięci, lecz w tej pieśni Wiśniowiecki Dymitr, kończący swój rycerski a zarazem awanturniczy żywot na haku wieży sultańskiego więzienia w Stambule, za czasów Zygma. Augusta i Samuel Korecki — jeniec z pod Cecory — później niż w półwieku, to już w XVII. stuleciu zamordowany w tejże wieży, jednoczą się w jedną całość. Dla pojedynczej fantazyi ludu znika przestrzeń czasu, znikają rysy charakterów różniące ich wzajem; jednaki duch bohaterski spaja te dwie postacie w jedną.

Buw pan Koreckij
 Dmytro Wysznoweckij
 Win nebesnu syłu maw,
 I wojewaw,
 Hromom, ta swoim słowom!
 Joho newirny nezłubyły...
 Łowyt' na joho wartowały,
 Łowyt' na joho czatowały,
 Potom joho spojmały
 Taj w kajdany zakowały,
 I rebro jeho krukem zatiahały,
 I na stini przybywały...
 Wysyt' pan Koreckij ne deń i ne dwa,
 A wysyt' ot tak sim hoda
 I ne ist' i ne pje,
 A taki wse swoje dumaje...

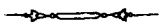
Przytoczony tu fragment pieśni jest jeduem z świadectw dziejowych rycerskiego służenia rycerzy polskiej Rzpltej bezpieczeństwu ziem ukraińnych. Dymitr Wiśniowiecki w dziejach siczowych za-

ważyl najbardziej. Potrzeba było tam człowieka nie tylko bojowego animuszu, ale fantazyi niemalej, zamiłowania w życiu burzliwym, w swawoli tak bezbrzeżnej, jak bezbrzeżną była pustynia, na której krańce on zabiegł, aby sprostać zadaniu organizatora niesfornych gromad w rycerskie szeregi. Dużo on tam przelał swego ducha rycerskiego, lecz zarazem nie zaszczerpił karności bojowej, gdyż sam jej nie miał. Zygm. August pragnie go z owych stepów dzikich sprowadzić do ojczyzny, do wnętrza Rzpltej, gdzie jego miejsce właściwszym by było, lecz Dymitr niesforny nie wraca. Buduje na wyspie Chartycy warownie przeciwko Tatarom, których to warowni ślady do dziś tam wznoszą się, ale z Niżu nie wraca; i bezwiednie spełniając misję dziejową Rzpltej, niesienie myśli rycerskiej na Niż, gdzie więcej było usposobień rozbójniczych niż innych, sam w tym zawodzie zatracą się, ginie dla społeczeństwa i dla cywilizacyi, wśród której wzrósł na chrześcijańskiego bojownika. Tego zatracenia siebie dla innych bardzo wiele przykładów dają nam nasze dzieje; Dymitr Wiśniowiecki niewyłącznym tu przykładem. Poezya polska, współczesna, wcale się nie rachując z faktami historycznymi, przekształciła tego mężnego wojownika a krnąbrnego obywatela kraju, który nie chciał wracać do ojczyzny na głos woli królewskiej, przekształciła na typ nader idealny — rycerza bez trwogi i zarzutu. Zygmunt August był dla niego pobłażliwy, cenił znać jego odwagę bojową, gdy pisze w jednym ze swych listów do Radziwiłła: „pod takim czasem najwięcej takich sług potrzeba, ale nie z takimi myślami“... Ostatnie wyrazy Zygmunta Augusta stosują się bez zaprzeczenia do owego zerwania z porządkiem społecznym, jakie głównie wyróżniało śmiałków, co biegli na Niż. Duma Luc. Siemieńskiego o Wiśniowieckim, acz piękna, i niezwykle poetyczną szatą odziana, nie rachuje się z rzeczywistością historyczną, podobnie jak żaden z poetów naszych nie sięgał po radę do historii, gdy kreślił śliczne rapsody poetyczne o wypadkach ziem ukraińnych. Bojowe męstwo tych duchów niespokojnych, wielkie było bez zaprzeczenia, ale pożytek rzeczywisty dla ziemi rodzinnej często bardziej ujemny niż dodatni. O zgonie bohaterskim Dymitra Wiśniowieckiego дума wyżej wspomniana mówi następujące wyrazy, gdzie treść prawdy dziejowej nieskazitelnie przechowana:

Trwoga bije w Carogrodzie,
 Co dokazał Lach na haku,
 Co dokaże na swobodzie!..
 Sto strzał w niego wystrzelili,
 Z piersi serce wydobyli,
 Zjedli serce po junaku...

Biegnać na Niż, niesiono tam polski język i polski obyczaj... Wśród różnojęzycznych gromad mowa nasza bujniała tam gwarnie; w pierwszej epoce zawiązków Siczki mówili po polsku wszyscy znakomitsi rycerze siczowi. Są w tym względzie poważne świadectwa dziejowe. Bielski przy schyłku XVI. w., a monastersey letopiscy kijowscy, jak Leon Boboliński, w XVIII. stuleciu, mówią nam o tem jednomyślnie, a zgodnie z biegiem dziejowych wypadków. Swierszczowski, lublinianin, Wawrzyniec Kozłowski, her. Jastrząb, płocczanin, Zadorski, Janczyc, Zaleski, Kopyłowski, Beskowski, Libiszowski, Sokołowski, Czyżowski, Bogucki, których jednocześnie (w r. 1574) widzimy w siczowych szeregach, chodzili na tatarskie potrzeby pod znakiem wawelskiego białego orła, i inną, niż polską mową nie mówili. Samuel Zborowski, co tam nosił swą swawolną głowę i jego „popleczni orężnicy“, acz często ze swą macierzą skłóćeni, nie używali na Niżu innej prócz polskiej mowy... I zaiste, póty rzeczywistej sławy Zaporozża, póty ono żywi w swem łonie duch rycerski, póty wydaje ze swych szeregów „mężów lwiego serca“ i jest rzeczywistą zaporą od wroga, póty Sicz mienić się może „tarczą Ukrainy“, póki Rzeczpospolita była jej macierzą, a orzeł wawelski powiewał nad jej zbrojnemi tabory... Gdy tej opieki nie stało, Zaporozże przedzierzga się na gromadę prawie zbójczą; wyższe aspiracye znikają w piersiach jej bojowników, i wreszcie, nadchodzi rok 1775, gdy pieśń ludowa wielkie *requiem* dziejowe nad sławą i samem istnieniem Siczki zaśpiewała.

Maryan Dubiecki.



ŹRÓDŁA HISTORYCZNE WSCHODU

ODNOŚNIE DO PISMA ŚWIĘTEGO.

II. Asyryologia.

(Ciąg dalszy).

4. Zawartość dokumentów asyryjsko-chaldejskich¹.

Dokumenta religijne z Chaldei są nader ważne, o wiele nawet ważniejsze, względnie do naszego przedmiotu od dokumentów staro-egipskich; jednakże, jeżeli odejmiemy z pierwszych podania o stworzeniu świata i o potopie, księga zmarłych zawiera jaśniejsze wiadomości o religii ludów z nad Nilu, aniżeli wszystkie dokumenta chaldejskie o religii ludów z nad Eufratu i Tygru. Co więcej, kroniki chaldejskie przedstawiają jeszcze tę niedogodność, iż nie są dotąd wszystkie odczytane, a nadto, nawet w poprawnie odczytanych nie wszystko jest pewne; istnieją znaki obrazowe, do których wymówienia i zrozumienia nie posiadają jeszcze klucza specjaliści. Braki te jednak, jakkolwiek zmniejszają wartość dokumentów, nie pozbawiają ich ważności; dzięki legendom i hymnom możemy nieco uchylić zasłony z prastarych dziejów ludzkiego ducha, zajrzeć do serca i umysłu pierwszych ludzi.

O wierze w życie przyszłe dowiadujemy się z tej części poematu Isdubara, która nosi nazwę: *Zstąpienie Istar do piekieł*. J. Smith wynalazł cały poemat w bibliotece niniwskiej, J. Oppert

¹ Obacz treść zeszytu X. z paźdz. str. 20.

najpoprawniej tę część przetłumaczył¹. Przytaczamy z niej kilka-
naście pierwszych wierszy.

Ku ziemi, z której się nie wraca,
Niech Istar, córka Sina, kieruje swego ducha.
I Istar, córka Sina skierowała swego ducha,
Ku domowi wieczności, siedzibie bożka Irkala,
Ku domowi do którego się wchodzi, lecz z którego się nie wychodzi,
Ku drodze, którą się idzie bez powrotu,
Ku mieszkaniu, w którym ślepotą zastępuje światło.
Jest to miejsce zgłodniałych, karmiących się pyłem i błotem;
Nie ma tam światła, zostaje się w ciemności².
Jako ptaki latają tam dusze ciał...

Tekst ten uważany jest przez asyryologów jako dowód wiary
Chaldejczyków w nieśmiertelność duszy. J. Halévy, którego o sprzy-
janie chrystianizmowi pomówić nie można, pisze³: „Co się staje
z człowiekiem położonym w grobie?. Ciekawy ustęp znaleziony
w bibliotece Asurbanipala odpowiada na to pytanie, wprawdzie nie
wprost, lecz za to w sposób nie ulegający żadnej wątpliwości. Po
śmierci odłącza się od ciała pierwiastek życiowy, nie mogący być
zniszczonym, duch bezcielesny, który się zowie po asyryjsku *ekimmu*
albo *egimmu*... Ekimmu zamieszkuje grobowiec i spoczywa na
zwłokach zmarłego. Jeżeli się dobrze z nim obchodzą dzieci umar-
łego, staje się ich opiekunem, w przeciwnym razie staje się złośli-
wym i usiłuje im szkodzić. Największe nieszczęście, jakie może
spotkać człowieka, jest pozbawienie go pogrzebu“.

Ostatni szczególniej wiersz w przytoczonym powyżej tekście
uważany jest za dowód klasyczny. Th. Pinches nieco odmiennie go
tłumaczy:

„Okryty też, podobnie jak ptaki, odzieżą z piór“.

Z tego powodu T. Tyler mówi:⁴ „Babilończycy nadawali du-

¹ *L'immortalité de l'âme chez les Chaldéens*. Paris, 1875, p. 8.

² Bonnety porównywa to wyrażenie ze słowami Joba, X., 20—22.

³ *L'immortalité de l'âme chez les peuples sémitiques*.

⁴ There is evidence pointing to the conclusion that the Babylonians regarded all souls as possessing, when disembodied, a semi-birdlike character — a conception agreeing, indeed, substantially with what is to be seen on Egyptian paintings — and it is this conception which is portrayed on the seal. In proof of the assertion just made the reader may be referred to the tenth line in the „Descent of Istar“. Here the quasi-birdlike character of the soul

szom po rozłączeniu z ciałem pół-ptasi kształt, pojęcie zupełnie zgodne z egipskimi wyobrażeniami; w wierszu powyższym ten kształt pół-ptasi jest jasno uwydatniony“.

Szkice egipskie wyobrażające dusze w kształcie ptasim znane są od dość dawna, lecz w ostatnich dopiero czasach odnaleziono szkice chaldejskie tegoż samego znaczenia i doniosłości na pieczęciach. Dr. Hayes Ward w styczniowym zeszycie, z r. b. w czasopiśmie *Scribner's Magazine* zamieścił artykuł pod tytułem: „The Babylonian Seals“. Jedna z pieczęci babilońskich przedstawia obraz zupełnie podobny do egipskiego „sądu po śmierci“. Do bożka podziemnego przyprowadzają postać pół-człowieka i pół-ptaka. Z ramion bożka wypływają źródła wody żywej, podsądny ze złożonemi rękoma oczekuje wyroku, oprawcy, którzy go przyprowadzili, trzymają w pogotowiu narzędzia do wymierzenia kary, nieco za nimi widać zbliżającą się osobę niosącą ofiarę, widocznie dla przebłagania. Podobnego rodzaju przedstawienia znajdują się ryte na pieczęciach będących własnością muzeum wiedeńskiego, a opisane przez Cullimora w *Oriental Cylinders*.

Pieczęć Ward'a przedstawia nie tylko pojęcia Babilończyków o nieśmiertelności duszy, lecz zarazem pojęcia ich o karach zagrobowych. T. Tyler uważa wyobrażenie pieczęci jako „judgment before the Babylonian Minos“¹. Cały wielki poemat epiczny osnuty jest na wierze w życie przyszłe. Isdubar pyta ducha² swego zmarłego przyjaciela, co widział w głębi ziemi, Heabani nie śmie mu tego opowiedzieć; z pozostałych urywków, gdzie przychodzi często wyraz płacz, wnosić można, iż było tam miejsce cierpień³.

comes out with sufficient clearness. *The Babylonian and Oriental Record*, Nr. 4, 1887, p. 56.

¹ Dr. Ward's seal, then, may be taken as representing the disembodied soul as brought up unwillingly for judgement before the Babylonian Minos. The attendant next to the judge is apparently listening to the delivery of the judgment, which would seem to include a castigation with a stick or similar instrument in the hand of the attendant, and behind the back of the unfortunate soul. How sever is the sentence is seen from the shrinking away of the soul, and from the position of its hands. *Loc. cit.* p. 56.

² The spirit (or ghost) of Hea-bani like dust from the earth (arose). G. Smith. *Chal. acc. of. Gen.*, p. 298.

³ W tem miejscu poematu znajdują się wielkie braki; druga połowa tylko

Clermont-Ganneau umieścił był w *Revue archéologique* artykuł pod tytułem *L'Enfer assyrien*¹; opisuje w nim odlew brązowy przedstawiający cztery dzielnice: niebo, powietrze, ziemię i piekło. J. Perrot, doskonale obznajmiony z zabytkami Wschodu, widzi w tej ostatniej części analogiczne podobieństwo z wizerunkami tebajskimi, które wyobrażają podziemną pielgrzymkę po śmierci², i temi słowami streszcza swoje zapatrywanie na pojęcie pozagrobowe Chaldejczyków. „Te pojęcia nie różniły się bardzo od pojęć Egipcyan, a nawet od pojęć wszystkich ludów starożytnych, o których wierze i stanie psychicznym mamy jakie takie wiadomości“.

Pojęcie kary jest sprzężone z pojęciem nagrody; w chaldejskim poemacie spotykamy się z opisami szczęścia sprawiedliwych.

kilkunastu wierszy istnieje. Podajemy tu początek tego ustępu według Smith'a (str. 298).

Tell, my friend, tell, my friend,
the secrets of the earth which thou hast seen, tell.
I cannot tell thee, my friend, I cannot tell thee,
(how) can I tell thee the secrets of the
earth which I have seen?
. I sit weeping
. may I sit and may I weep
. of growth and thy heard rejoiced.

Dr. E. L. Fischer, rozbiegając w swem dziele *Heidenthum und Offenbarung* ustęp z poematu Isdubara, następujący wysuwa wniosek: Sonach hätten sich uns also aus der Analyse unserer Tafel drei wichtige dogmatische Punkte ergeben: 1) der Glaube an die Unsterblichkeit der Seele, 2) an einen Mittelort oder Purgatorium und 3) an einen Himmel auch für die gerechten Menschen, speciell für die gefallenen Helden, der „Ruheort Nergal's“. Die Region des Himmels, Samu genannt, hatte verschiedene Wohnungen und Rangstufen, wie es auch die Perser annahmen und die Bibel desgleichen; die höchste war der „Himmel Ann's“, des obersten Gottes (str. 242).

¹ Ob. t. XXXIII, pl. XXV.

² C'est une conception analogue à celle que mettent en scène toutes ces peintures des tombes thébaines où nous voyons l'âme accomplir son voyage sur le fleuve souterrain, au milieu des démons grimaçants et multiformes, qui la saisiraient et la dévoreraient, sans la tutélaire intervention d'Osiris. Là ne se bornent pas les ressemblances; voyez cette barque, dont la forme même rappelle l'aspect des barques égyptiennes; voyez aussi ce fleuve, qui emporte la barque; on peut le comparer au Nil infernal de l'*Ament*; il nous fait aussi songer à ce Styx et à cet Achéron que les Grecs transporteront dans leurs enfers. *Hist. de l'art.* t. II., p. 368.

Isdubar opowiada los walecznych, którzy polegli na polu walki. Skoro tylko dostali się do państwa podziemnego, natychmiast otoczeni są staranną opieką. Spoczywają na miękkich wezglówiach, rodzice i krewni opatrują ich rany i pokrzepiają siły wodą żywą. „Pojęcie zapłaty wiecznej, pisze Perrot¹, wyrażone jest żywiej jeszcze i jaśniej w hymnie religijnym, z którego pozostały dwa ustępy; poeta opisuje w nim szczęście sprawiedliwego, który bierze udział w uczcie bogów i sam nawet staje się bogiem:

Umyj twe ręce, oczyść twe ręce;
 Bogowie starsi twoi, umyją sobie ręce, oczyszczą ręce;
 Posilaj się pokarmem czystym w czystym naczyniu,
 Pij czystą (żywą) wodę z czystego naczynia;
 Gotuj się używać pokoju sprawiedliwego.

Przyniesiono wody źródlanej,
 Anat, wielka oblubienica Anu,
 Trzymała cię w swych świętych objęciach,
 Jau przeniósł cię do miejsca świętego;
 Przeniósł cię na swych świętych rękach,
 Umieścił cię wśród miodu i bluszczu,
 Wlał w usta twoje cudowną wodę,
 A dzielność wody otworzyła ci usta“².

¹ *Loc. cit.*, p. 359, 360.

² W przywiedzionych wyżej hymnach spotkaliśmy się kilkakrotnie z wyrażeniem wody żywej, która miała nadzwyczajne własności; pieczęć Ward'a przedstawia bożka z którego ramion wytryskuje strumień wody żywej: stąd wnioskować można, że u Chaldejczyków woda żywa była symbolem życia duchownego, boskości, łaski. W podaniach rabinów żydowskich symbol wody żywej odnosi się do tego samego pojęcia. Asyryolodzy angielscy uważają te nowe nabytki wiedzy „jako nowe i nadspodziewane światło“ mogące objaśnić niektóre ciemne ustępy Pisma św. Chrystus Pan u św. Jana (VII., 38) mówi: *Kto wierzy w mię, jako mówi Pismo, rzeki wody żywej popłyną z żywota jego*. Identycznego wyrażenia napróżno szukamy w Biblii; lecz w wielu miejscach użyte jest wyrażenie woda żywa w temże znaczeniu. Stąd Chrystus Pan powoływał się tedy widocznie na znany ogólnie przez wszystkich Semitów symbol.

W. A. Harrison w *Babyl. and Orient. Record*, March, 1887, p. 68 pisze: Kuinoel cites, in illustration of this passage, two Rabbinical sayings: „When a man turneth unto the Lord, he shall be as a fountain of living water, and his streams shall flow to all the nations and tribes of man“. And again — „His two reins are like fountains of water from which the Law flows“. This last passage is singularly illustrated by the drawing from Dr. Ward's seal, where a double stream of water would seem to be flowing from

Wiara w życie przyszłe naprowadza na pytanie, czy Chaldejczycy mieli pojęcie o zmartwychwstaniu ciał. Jeżeli jest prawdą, jak asyryolodzy i egiptolodzy przyznają, nie wyłączając samych racjonalistów¹, że wielkie było podobieństwo pojęć religijnych u Chaldejczyków i Egipcyan, wówczas należałoby wnosić, że mieszkańcy z nad Eufratu i Tygru mieli jakieś wyobrażenie o zmartwychwstaniu ciał. Pomniki egipskie pojęcia te wybitnie zaznaczyły, chaldejskie nie dorównują im pod tym względem. Jednakże starania, jakie łożyli Chaldejczycy około zwłok zmarłych, kosztowne ozdoby, broń, naczynia różne, pokarmy i amulety jakie tam składali, uprawniają do wysnucia tegoż samego wniosku, jaki wynikał z badań grobowców egipskich.

Chaldejczycy i Asyrowie, podobnie jak Egipcjanie, uważali nie tylko jako hańbę, lecz jako rzeczywiste nieszczęście dla człowieka, pozostawienie zwłok jego bez należytego pogrzebu, za wielką poczytywano zbrodnię zgwałcenie grobowca; stąd gdy królowie ich chcieli wymierzyć srogą karę na buntowników, nie dość że ich okrutnie katowali przed zadaniem śmierci, ale nadto i przedewszystkiem zwłoki ich niszczyli ogniem, rzucali na pastwę dzikim zwierzętom. Kroniki asyryjskie pełne są tych faktów. Zemsta Asyrów idzie czasem dalej. Asurbanipal po wzięciu Suzy opisuje spustoszenia jakich dokonał. Rozsypał w gruzy świątynie, statuy bogów, powycinał święte gaje, wreszcie wziął się do grobowców. „Grobowce ich królów, dawnych i najbliższych, ponieważ nie oddawali czci Asurowi i Istarze, moim panom, ponieważ niepokoiли królów moich ojców, zostały z rozkazu mego zgwałcone i otworzone na światło słoneczne, resztki z nich zabrałem do Asyrii; pozostawiłem ich cienie bez spoczynku, pozbawiłem ich modlitwy ofiarnika“.

the reins of the god. It is clear that in the passage from the fourth Gospel, Jesus is making use of symbolism with which not only Jews but other Orientals also were familiar.

¹ Si l'on compare la religion de l'Assyrie et de la Babylonie à celle de l'Egypte, on remarque de prime abord qu'au milieu de toutes leurs différences, et bien que chacune possède son caractère propre, nettement accusé, elles appartiennent néanmoins à la même grande famille de religions et en forment deux branches, bien distinctes, mais se ressemblant à beaucoup d'égards. Tiele *Hist. com. des anc. rel.*, p. 241.

Co więcej, samo wyrażenie zmartwychwstania ciał używane było w chaldejskiem piśmiennictwie: Merodach nazywany był bogiem, który wskrzesza umarłych¹. Tablice ceglane w British Muzeum² zawierają ważny dokument, Smith zaliczył go do poematu o Stworzeniu świata, Sayce, z wielu innymi asyryologami, uważa go za hymn do Merodacha, przytaczamy tu z niego kilkanaście wierszy:

(Królu) kraju, panie świata,
 opiekunie nieba i ziemi,
 Pierworodny synu boga Hea,
 Odnowicielu nieba i ziemi,
 możny panie ludzkości, królu świata,
 boże bogów,
 (panie) nieba i ziemi, nie mający sobie równego,
 Towarzyszu Anu i Bela,
 Miłosierny między bogami,
Miłosierny, który wskrzeszasz umarłego do życia³,
 Merodachu, królu nieba i ziemi.

.

Hymn powyższy wskazuje nadto, jak zauważono⁴, pewne pojęcia monoteistyczne u Chaldejczyków; ponieważ kwestya ta jest nader ważną, musimy ją obszerniej omówić.

Szkoła racjonalistyczna przyjmuje w dziedzinie pojęć religijnych postęp i rozwój, jako punkt wyjścia: na tej podstawie budują racjonałiści swe systemy religijne, wskazują wrzekome stopnie, jakimi kroczyła myśl ludzka od swego zarania⁵. Hypoteza ich nie

¹ He (Merodach) is called the redeemer of mankind, the restorer to life, and the raiser from the dead. Smith. *Chal. Acc. of Genes.*, p. 52.

En revanche, ceux-ci nous laissent deviner, que les Assyriens croyaient, d'une certaine manière, à la *résurrection des morts*. Le dieu Mardouk et son épouse Zarpanit portent très souvent le titre de „celui“ ou „celle qui fait revivre les morts“ (*muballith* albo *muballithat miti* albo *mituti*). La même épithète est parfois aussi donnée à d'autres divinités, surtout à Istar. Perrot. *Hist. de l'art*, t. II., p. 360.

² K, 2962, Obv. — ob. *Chal. Acc. of Gen.* p. 80.

³ Geht aus Z. 10 des obigen Hymnus hervor, dass die Babylonier und Assyrier den Glauben an die Auferstehung der Todten besaßen. Dr. Fischer *Heiden. und Offenb.*, str. 244.

⁴ Ob. Dr. Fischer, *Loc. cit.*

⁵ Racjonałiści zgadzają się w zasadzie, różnią się jednak w szczegółach; wskazujemy tu, według *Histoire des Religions* ks. de Broglie, klasyfikacye, jakie podali główniejsi ich przedstawiciele.

tylko nie jest wywiedziona z historii, lecz jak sami przyznają¹, nie da się historycznie stwierdzić. Ta bezpodstawność hipotezy byłaby dostatecznym powodem do jej odrzucenia, lecz mamy tu coś więcej: opierając się właśnie na historii, możemy dowieść, że jest zupełnie błędna.

Historia pozytywna uczy nas, że wszystkie stare ludy (z wyjątkiem Żydów), które zostawiły po sobie pomnikowe ślady, wyznawały wielobożność; czy one przedtem przechodziły przez pojęcia animizmu, henoteizmu i kultu przyrody, jak chcą racjoniści, nie a nie nie wiemy o tem pozytywnego. Dalej, historia uczy nas, że wielobożność, której przebieg śledzić możemy przez przeciąg kilkudziesięciu wieków, nie okazuje nigdzie dążności do przeobrażenia

Klasyfikacja Tiele'a (Manuel de l'histoire des religions).

1. Religia początkowa nieznana.

2. Animizm (wiara w duchy).

3. Wielobożność narodowa.

4. Religie *nomistyczne*: Bramanizm, Mozaizm i Judaizm, Mazdeizm, Konfucyanizm, Taosyzm.

5. Religie *powszechne* (universalistes): Budaizm, Chrystianizm, Islamizm.

Klasyfikacja Maxa Müllera (Essai sur l'origine et le développement de la religion).

1. Henoteizm (wiara w bóstwo nieokreślone).

2. Wielobożność.

3. Jednobożność, Wszechbożność (Panteizm), Bezbożność (Ateizm), Zabobonność (Fetysyzm) i religie dzikich.

Z Jednobożności rozwinął się: Judaizm, Chrystianizm, Islamizm; z Wszechbożności Braminizm; z Bezbożności Budaizm.

Klasyfikacja Réville'a (Prolégomènes de l'histoire des religions).

1. Kult przyrody.

2. Wielobożność z balwochwalstwem, Animizm z Guślarstwem.

3. Religie *prawodawcze* (légalistes): Konfucjanizm, Taosyzm, Bramanizm, Mozaizm i Judaizm, Mazdeizm, Islamizm.

4. Religie na zasadzie *odkupienia* (rédemption) oparte: Budaizm i Chrystyanizm.

¹ Il est vraisemblable que sinon la théologie, du moins la religion elle-même s'est développée avec le temps; mais, pour le moment, *nos sources ne nous permettent pas de suivre ce développement*. Tiele Loc. cit. p. 211. W innym miejscu tenże sam asyryolog mówi jeszcze wyraźniej: La question de savoir si le monothéisme est antérieur au polythéisme, et si le dernier est une corruption du premier, ou celui-ci un développemens de celui-là, *ne saurait être tranchée par des raisons tirées de l'histoire*, mais seulement par une deduction philosophique. *Ibid.* p. 138.

się, do zajęcia wyższego szczebla. Przeciwnie, jeżeli co daje się spostrzedz wybitnie, to tylko rozwój samej wielobożności działającej rozkładowo. Z postępem czasu i kultury mnożą się bogowie i boginie, a z ich rozrostem upadają coraz niżej pojęcia religijno-moralne. Przypatrzmy się Mezopotamii.

W czasach historycznych, a o te czasy nam tu chodzi, roz-wielmożnioną już była wielobożność w Chaldei i Asyryi¹. W bogach i boginiach pogańskich, jak wiadomo, uosobnione były wszystkie namiętności ludzkie, nawet najohydniejsze. Nie było inaczej w Mezopotamii. Znamy nazwy i atrybucye ich bogów i bogiń, wiemy jakiego kultu oni się domagali — krwi i rozpusty. Posłuchajmy co mówi niepodejrzany o stronniczość, pod tym względem badacz. „W historii jedynie asyryjskiej, pisze Tiele², spotykamy tylko tak częste i tak chępliwie opowiadania o nieszczęśliwych jeńcach, odartych żywcem ze skóry, wbitych na pal, spalonych na stosie: obcinano nosy i uszy, wylupiano oczy, przed bramami zdobytego miasta wznoszono piramidy z odciętych głów, z zimną krwią spełniano tysiączne inne srogości... Lecz niedostatecznie zwrócono uwagę, że te okrucieństwa w ścisłym zostawały związku z ich pobożnością. Królowie asyryjscy, można powiedzieć, chęplili się ze swej srogości, jedynie aby okazać swą pobożność“. Te katusze działy się w obliczu posągów, bogowie ich wymagali. Poucza nas o tem Asurbanipal w opisie pogromu Chaldei³... „Pozostali przy życiu wojownicy, zostali odarci ze skóry przed posągami byków skrzydlatych i lwich kolosów wzniesionych przez Sennacheriba, mego dziada; ja sam obdzierałem ze skóry na grobie Sennacheriba i porzuciłem drgające ich członki na pastwę psom, szakalom, sępom, orłom, ptakom niebieskim i morskim rybom. Tym sposobem ukoilem zemstę bogów rozgniewanych za ich niegodne czyny“.

Takich to dziękczynień domagali się ci bogowie za zwycięstwa, lecz i w czasie pokoju krwi żądni byli — z niemowlętek składano

¹ W panteonie assyryjsko-chaldejskim liczono w ostatnich czasach: 7-miu bogów najwyższych, 50-ciu wielkich bogów nieba i ziemi, 300-tu duchów niebieskich, 600 duchów ziemskich, którzy byli bogami mniejszymi i Baalim. Finzi, *Ricerche per lo studio dell' antichità Assira*, pag. 534.

² *Loc. cit.* p. 222.

³ Babelon. *Loc. cit.* str. 356.

ofiary Molochowi. „Ofiary z dzieci, pisze Tiele¹, miały swe źródło w pobożności również, niskiej wprawdzie i całkiem egoistycznej. Składano ofiary z dzieci, aby sobie zapewnić długie życie. Mówiono: daję swoje potomstwo za własne życie, głowę dziecka za głowę człowieka. Ta teoria i ta praktyka znane były w starożytności u wielu ras i u wielu ludów, a nawet w wielkim była poważaniu u naszych praojców, starych Germanów... Ludy semickie oddawali się tej praktyce przez cały czas swego istnienia“. Tenże sam pisarz, który się nie mógł zdobyć na słowo oburzenia, zdobywa się wreszcie na słowo uznania i kończy: „Zaszczyt należy prorokom Izraela, którzy pierwsi powstałi przeciw tym okrucieństwom Semitów“.

Krwiożerczy Moloch wymagał ofiary z życia niewinności, rozpustna Zarpanita wymagała ofiary z samej niewinności; wstrętne *Kedeshim i Kedeszot* byli kapłanami i kapłankami Anu². Rzucamy zasłonę na ten kult ohydny, który jednak był publiczny, dział się w biały dzień, w świątyni przed obliczem bogów i na ich cześć. Wspomina o tem Baruch³, opisują Strabon i Herodot⁴, stwierdzają

¹ *Loc. cit.* p. 209, 210.

² Takie było główne tło całego pogaństwa na świecie. Historyk francuski znakomicie to uwydatnia (*Les Césars*, 5-me edit., t. III. p. 300): „Wszystkie skłonności, pisze de Champagny, natury zepsutej, skłonności nieczyste i okrutne odgrywały tu rolę. Ten, który był mężobójcą od początku, który wiedział, że syn niewieści zetrze kiedyś jego głowę, chciał, aby czciciele jego byli mężobójcami, pragnął, gdyby być mogło, zniszczyć w zarodzie rodzaj ludzki. Postarał się był kult rodzenia uczynić sprośnym, kult śmierci krwawym. Człowiek, dla przypodobania się bogom, miał być zabitym na ciele i duszy: nóż ofiarnika pozbawiał życia, rozpusta unicestwiała jego zaród. Wszędzie gdzie panowało bałwochwalstwo, ofiary ludzkie szły zawsze w parze z czciami sprośnych bogów: przedział kilkudziesięciu wieków, oddalenie kilku tysięcy mil, nie wywołuje żadnej różnicy w zapatrywaniach, a szczególnie w praktyce. Po odkryciu Nowego Świata, w Meksyku i Tlaskala wynaleziono ohydne przedmioty czcicieli Egiptu, którym Rzym i Grecya oddawały hołdy w swych misteryach, które Indye na każdym przedstawiają nam kroku. Krwawe ofiary spełniały się tam tak dobrze jak w Kartaginie i Tyrze, a choć nie na tak wielką skalę, wspólne one były Grekom, Rzymianom, Galom, Azyatom i Germanom, w ogóle wszystkim ludom, krom ludu Bożego“.

³ VI., 42, 43.

⁴ Una iisdem Babyloniis lex est, omnibus modis execranda. Nempe omnibus mulieribus indigenis commune est, semel in vita ad Veneris templum

dziś racjonalści, stwierdzając zaś muszą przyznać, iż podobne pojmowanie bóstwa nie było rozwojem, lecz ostatecznem rozstrojeniem i spaceniem pojęć religijnych.

Pozostaje jeszcze kilka słów powiedzieć o mędrcach greckich i rzymskich, którzy w pojęciach Bóstwa wzniesli się po nad gmin. Sokrates, Platon, Cyceron pojmowali wprawdzie jedynobóstwo, lecz ani nikogo nie nawrócili, ani sami o tej prawdzie głęboko przeświadczeni nie byli. Bystry ich umysł odrzucał wielobóstwo, lecz przywyknienia ziemskie zbyt ciężły nad ich wolą, i świat i oni zostali poganami: pierwszy z nich umierając składał ofiarę Eskulapowi, drugi znosił rodzinę, ostatni wreszcie nie miał pewności co do istnienia duszy. Pojęcie jedynobozności obudziło się w ich rozumie nie w skutek, lecz raczej na przekór wielobozności; zresztą byli uczonymi i wiedzieć mogli, że istnieje lud wyznający jedynobozność — ludem tym byli Izraelici.

Kwestya żydowska odnośnie do jedynobozności jest nader ważną, z powodu niej racjonalści są w rzeczywistych opalach. Aby jako tako utrzymać hipotezę rozwoju religijnego, największa część racjonalistów przyznaje, iż Żydzi doszli do jedno-

desidentibus, cum externis viris consuetudinem habere. Caeterum cum pleraeque sint divitiis tumentes, quae sui copiam facere recusent, hae vehiculis cameratis subvectae, pro templo consistunt, relicta interim a tergo magna famulatii turba. Pleraeque etiam hunc in modum faciunt: Ad templum Veneris sedent, nodis corollisque tempora revinctae, e quibus dum aliae seorsum abeunt, aliae regrediuntur. Nam diverticula undecunque sic funiculis distincta adiutum praebent externis ad mulieres illas, quam cuique libuerit deligendam. Porro cum semel illic consederint, non prius domum regrediuntur, quam hospitum aliquis pecuniam mulieri in sinum iniecerit, et cum eadem a fano seorsum abducta rem habuerit. Hospitem autem illum, qui pecuniam obtulit, dicere oportet: Tanti ego tibi deam Mylittam imploro. Mylittam enim Assyrii Venerem appellant. Ac vero pecuniam illam, quantulacunque sit, non est fas rejicere, siquidem in sacrum convertitur usum. Neque mulieri etiam permittitur hospitem aliquem repudiare, sed quicumque is est, qui pecuniam obiecerit primum, hunc illa sequitur citra delectum. Postremo ubi iam congressa fuerit cum externo mulier, dea expiata, domum revertitur. Ac deinceps haud ita multo conduxeris. Jam quae forma sunt elegantiores, citius (ut par est) expediuntur: quae vero deformes, diutius coguntur desiderare pro templo antequam legi faciant satis. Fitque interdum, ut uno atque altero anno, aut etiam triennio atque diutius expectare oporteat miseras. Alicubi, nempe in Cypro, similis quaedam lex est... Herodotus., I., CXCIX.

bożności. Występuje Renan i nie bez słuszności pyta¹: „Jakim sposobem przypuścić można, żeby z Abrahamistów wielobożnych powstali wyznawcy jedności Boga. W jakiej epoce przypaść to mogło? Jakiemu to wpływowi przypisać? Powiedzą może, iż był to skutek długiego rozmyślania o rzeczach boskich? Przypatrzmy się temu bliżej. Jakto! jedno pokolenie doszłoby było w czasach tak odległych do takiego głębokiego filozoficznego poglądu, na jaki w wiele lat potem zaledwie zdobyła się Grecya, a który uważany jest za najwznioślejszy!... Powiedzą może, że wiara w jednego Boga jest dziełem Mojżesza? Lecz taka zmiana byłaby czemś nadzwyczajnem w dziejach ludzkości, a zresztą potrzeba wykazać skąd Mojżesz zaczerpnął tę myśl, gdyż ona nie mogła być owocem długich jego rozmyślań filozoficznych... Może w Egipcie — powiedzą?... Lecz właśnie przeciw wielobożnym naleciałościom egipskim Mojżesz musiał walczyć na puszczy z ludem izraelskim...” Po tych jędrnych zarzutach należałoby się spodziewać, że Renan przyjdzie do stwierdzenia objawienia pierwotnego, lecz sofistyczny umysł inaczej rzecz swą kończy: „Przypuszczam tedy, mówi dalej, że w czasach nader odległych lud hebrajski posiadał rzeczywiste instynkta jednobożne”. Tiele, profesor uniwersytetu w Leydzie, spotyka się z tą samą trudnością; jako rzeczywisty protestant burzy wszystko, lecz nic nie stawia — kwestyi nie rozwiązuje. Nie przyjmuje on najprzód tłumaczenia Renana. „Hypoteza instynktu religijnego, pisze on², zwłaszcza jednobożnego, ludów semickich nie jest ani dosadna, ani zadawalniająca, rozchodzi się tu bowiem o wytłumaczenie różnicy wyznań w ludach należących do tejże samej rasy; zresztą wyraz instynkt jest może dogodnym do wyrażenia naszej nieświadomości, lecz nie sam przez się nie tłumaczy”. Nie przyjmuje również pierwotnego objawienia. „Wyższość pojęć religijnych u Izraelitów, mówi dalej, podniesioną była przez wielu autorów, niektórzy z nich przychodzili do wniosku o konieczności objawienia... Lecz o objawieniu nadnaturalnem nader trudno wyrobić sobie jakie takie pojęcie, a nadto, tym sposobem stosowalibyśmy do religii Izraelitów metodę, którą odmawiamy in-

¹ *Nouv. consid. sur le caractère général des peuples sémitiques.*

² *Loc. cit. str. 329.*

nym religiom“. Wykręt to i do tego niezręczny; nielogiczność jest tu zbyt widoczną, abyśmy potrzebowali ją wykazywać. Inny pastor protestancki daje lepszą odprawę Renanowi: „Zdaje się nam, pisze Bonnet¹, że wiele zarzutów p. Renana zwraca się przeciw jego własnemu systemowi. Skądby się w istocie wzięły te instynkta u ludu izraelskiego? A zresztą czy rzeczywiście lud ten posiadał instynkta jednobożne? Czyż cała jego historia nie wskazuje nam przeciwnie, iż jeżeli posiadał jakie instynkta, to one były tylko wielobożne“. Soury, uczeń Renana, nie mogąc obronić hipotezy swego mistrza, ani kwestyi rozwiązać, rozciął ją utrzymując, że Żydzi byli bałwochwalcami (sic). Nie będziemy się zastanawiać nad tem orzeczeniem nienawiścią dyktowanym, z całego powyższego wywodu wyciągamy tylko następujący wniosek: ponieważ Żydzi nie doszli do jednobożności ani „instynktem religijnym“, ani pracą filozoficzną, musieli zatem posiadać pierwotne objawienie. Do tego samego wniosku dochodzimy względem ludów chaldejskich.

Dowiedliśmy poprzednio, iż nie było rozwoju myśli ludzkiej w pojęciach religijnych, jak marzą racjonalisci; dalej, ciż racjonalisci przyznają, że jedynobożność jest postępem; otóż, jeżeli w pojęciach pogańskich dadzą się odnaleźć ślady jedynobożności, będzie to dowodem, że one są okruciami pozostałymi z pierwotnego objawienia. Ślady te u ludów mezopotamskich są nader wybitne.

Powołujemy się tu na tyle razy wspomnianego profesora z Leydy, świadectwo jego jest ważnem: jako egiptolog i asyryolog zna dobrze stan rzeczy, jako ewolucjonista nie może być podejrzany o sprzyjanie jedynobożności pierwotnej. „W czasach pełnej wielobożności, pisze Tiele², przebija się pewna jedynobożność w ich religii. Wielu jest bogów, lecz zawsze jeden Bóg stoi po nad wszystkimi innymi, królowie wyznają się czcicielami Pana panów. Cześć oddawana bożkom poszczegółowym odnosiła się pośrednio do najwyższego Władcy... Bóg jednak najwyższy zmieniał się wskutek stosunków politycznych... Kraj podzielony był pierwotnie na małe księstwa, które bywały czasami i czasowo tylko jednoczone pod

¹ *Les découvertes assyriennes*. Paris, 1884, p. 111.

² *Loc. cit.* str. 237, 201, 172.

berło zręczniejszego księcia. Wówczas miejscowy Bóg domu panującego stawał się najwyższym Bogiem. W czasie panowania królów z Ur, Bogiem najwyższym był Agu, nazwany później Sin; pod panowaniem babilońskim był nim Marduk, opiekun Babilonu... Był on dla nich królem Bogów, panem nieba i ziemi, najwyższym Be'lem. Nazywano go po prostu Ilu, Bóg. On jest stwórcą, wola jego jest najwyższem prawem, według którego rządzone jest niebo i ziemia. On uspakaja nawałnice morskie, zmienia kwiat, on sam się nie zmienia; cała chwała bogów w nim ma swe źródło... Różni bożkowie byli tylko bożkami prowincjonalnymi, a raczej *mieli tylko różne nazwy odnoszące się do jednego i tegoż samego bóstwa*, które czczone było w różnych miejscowościach". Zaiste nie można jaśniej przyznać Semitom mezopotamskim pojęcia jednobożności. Smith przemawia tak samo, często tych samych używa wyrażań, a zaznacza zarazem genezę rodziny bogów. Każde miasto chaldejskie miało swego boga opiekuńczego; skoro które z nich założyło gdzieindziej osadę, nowo powstałe miasto nowem mianem nazywało swego opiekuna, lecz dla zachowania łączności, dla zaznaczenia pochodzenia, uznawało go *synem* boga opiekuńczego swej dawnej stolicy¹. Dokumenta klinowe zresztą dostarczają szczegółowych, jasnych dowodów.

W dziele Smith'a wydanem przez Sayce'a² umieszczony jest hymn do Hea, który rzuca wiele światła na jednobożność Chaldejczyków. British Muzeum posiada dwa egzemplarze tego hymnu. W pierwszym egzemplarzu znajduje się z jednej strony tablicy ce-

¹ In early times the gods were worshipped only at their original cities or seats, the various cities or settlements being independent of each other; but it was natural as wars arose, and some cities gained conquests over others, and kings gradually united the country into monarchies, that the conquerors should impose their gods upon the conquered. Thus arose the system of different ranks or grades among the gods. Colonies, again, were sent out at times, and the colonies, as they considered themselves sons of the cities they started from, also considered their gods to be sons of the gods of their mother cities. Political changes in early times led to the rise and fall of various towns and consequently of their deities, and gave rise to numerous myths relating to the different personages in the mythology. Smith, by Sayce, *The Chald. acc. of. Gen.*, p. 46.

² *Loc. cit.*, London, 1880, p. 74 i nast.

głanej 30 wierszy, z drugiej 26; drugi egzemplarz jest identyczny z pierwszym, lecz w środku hymnu, na odwrotnej stronnicy, wtrącone zostały pięć wierszy (14, 15, 16, 17, 18). Przy niektórych wierszach umieszczone są na marginesie dopiski objaśniające (glossa), mianowicie przy 1, 5, 11, 19, 27; wyrażają one, że *tytuły dawane bóstwu w tych wierszach odnoszą się do jednego i tego samego Boga*.

Cały hymn technicznie jednobożnością, sławiony jest w nim Bóg, który stworzył świat i nim rządzi; *pięćdziesiąt różnych nazw*, jak mówi wiersz 19, odnoszą się tylko do atrybutów jednego i tego samego bóstwa. Wiersze zaś od 14 do 18 są wyrazem wielobożności, i jak zauważył Sir Henry Rawlinson, są *wtrącane* przez stronników politeizmu, a raczej można, zdaje się, powiedzieć, wtrącone zostały później dopiero, w czasach rozstrojenia pojęć religijnych¹. Myśl tę naprowadza ta okoliczność, iż hymn, o którym mowa, nie stanowi wyjątku pod tym względem, w chaldejskich pomnikach piśmiennych znajdują się inne hymny i poematy, w których jednobożność jasno jest wyrażona. Przywiedliśmy poprzednio hymn do Marduka, są jeszcze inne.

Poemat noszący tytuł *Enuma* „niegdyś“, opisuje stworzenie świata. Sam Tiele przyznaje, „iż w nim prawie zawsze Stworzyciel wyrażony jest w liczbie pojedynczej“². Co więcej, wiersz 9, (I. tablicy) mówi: *wówczas wielcy bogowie stworzeni zostali*. Wiadoczną zatem jest rzeczą, iż musiał być *ktoś*, który je stworzył;

¹ It is evident that this hymn to the Creator emanated from what Sir Henry Rawlinson has termed the monotheistic party among the ancient Babylonians, and that the speech of Hea in lines 14 to 19 has been inserted by a poet who did not belong to it. The various deities of the popular faith are all resolved into the one supreme God, the maker of the world and man, who was worshipped at Babylon under the names of Bel, „the Lord“, and Mero-dach the sun-god, at Eridu under that of Hea and at Nipur under that of Anu. *The gods of the multitude are said to be only the fifty names of the Creator*. To him is ascribed the regulation of the stars, the naming of the angels, and the subjection of the subordinate demi-gods, and *marginal notes expressly state that the several titles under which the Creator is addressed on the obverse of the tablets, all belong to one and the same divinity*, Smith, *Chal. Acc.* p. 79, 80.

² Il est presque toujours parlé du Créateur au singulier... *Loc. cit.* p. 184.

co się zaś tyczy samego wyrażenia *wielcy bogowie*, nie jest dotąd ustalonym między asyryologami, czy go nie można wziąć w znaczeniu *duchów, aniołów*.

Hymn zaznaczony w British Museum K. 3664 Ob. zawiera przepisy ascetyczne; w obecnym stanie są tylko z niego ułamki ¹.

1. Każdego dnia do *Boga twego* zbliżać się masz,
2. Ofiarę, modlitwę ust i obraz...
3. *Twemu Bogu* serce skruszone... winienesz
-
16. Kiedy mówisz wówczas *on da*...
-

Te hymny i poemata otrzymaliśmy wprowadzić dopiero z rąk Asurbanipala, są one jednak odpisami tylko z dzieł, które, co najmniej sięgają XX-go wieku przed Chr. Starożytność tych dokumentów jest także jednym z dowodów, że pojęcia jednobożne nie wyrobiły się z postępem czasu i cywilizacyi, lecz istniały od najdawniejszych czasów, a stąd mogły jedynie pochodzić z pierwotnego objawienia.

W końcu zaznaczamy, że wielu poważnych badaczy ², na historii opierając się, wysnuwają wniosek pierwotnej jednobożności. Movers ³ utrzymuje, że Baal dla Fenicyan, El dla Syryjczyków, był tym, czem Jahweh dla Żydów; były to nazwy jedyne Boga, zabytkami pierwotnej jednobożności, spaczonych w późniejszych czasach, lecz która zachowała swą nieskazitelność w El Szaddai, u Hebrejczyków i w El-Elion u innych Semitów. Melchizedech błogosławi Abrahama w imieniu Boga, którego nazywa *El-Elion*; Abraham w odpowiedzi mówi: Podnoszę rękę moją do *Jehowy* (który jest) *El-Elion* ⁴, stwierdza zatem, że nazwy Jehowa i El-Elion odnoszą się do jednego i tego samego Boga. De Pressensé ⁵, zestawiając podania religijne różnych ludów, wnioskuje: „Utrzymujemy stanowczo, że jednobożność była wiarą pierwotną ludzkości... Fety-

¹ Smith. *Chal. acc.* str. 73.

² Ob. Dr. Fischer, *Heiden. und Offenb.*, str. 186. Godet, *Annot. de la traduction de Thiersch, Les origines de l'histoire sainte*, Lausanne, 1882. Buddensieg, *Die assyr. Ausgrabungen*. Heilbronn, 1880, str. 30.

³ *Rel. der Phoen.* str. 169 i nast.

⁴ *Gen.* XIV., 22.

⁵ *Les origines*, p. 491.

szym nie był pierwszym stopniem rozwoju, lecz pierwszym jego obniżeniem“. Nie potrzebujemy tu przypominać, że dla wszystkich wierzących Chrześcijan, pierwotna jednobożność nie ulega żadnej wątpliwości.

Czy Trójca Przenajświętsza objawiona została ludziom od początku, jest kwestyą sporną między teologami, nie przesądzając jej, musimy jednak zaznaczyć jej ślady w podaniach ludów mezopotamskich. Różne ludy pogańskie miały swoje „Tryady“, mieli ją nawet Słowianie; w Egipcie, jak widzieliśmy, pojęcie o Trójcy w wielu punktach zbliżało się do pojęć naszych o Trójcy Przenajświętszej, z pojęć chaldejskich podobny wniosek wyprowadzić można.

Pierwszą wzmiankę o Tryjadzie napotykamy w napisie królów elamickich z Larsy; pojęcie to, skażone wprawdzie naleciałościami, przechowuje się jednakże w czasach późniejszych. W Asyryi i Babilonie znajdujemy trzech bogów przewodniczących, mających najwyższą władzę: Anu, Bel i Hea. Chaldejczycy rozróżniają trzy osoby, różne dają im nazwy, przyznają im te same atrybuty, nie bez pewnego odcienia różnic. O Stwórcy mówią zawsze w liczbie pojedynczej, stworzenie jednak przypisuje raz Anu, innym razem Belowi, a również i Hea¹. Anu jest najwyższym Bogiem, „bogiem nieba“, zamieszkuje najwyższe sfery, kieruje światem; gwiazda, jaką jest oznaczony w napisach, jest symbolem bóstwa. Bel jest panem świata, w szczególny zaś sposób jest panem ludzi, on największy bierze udział w sprawach człowieka; jako najwyższy Bóg uważany jest za brata Anu, a często za jego syna². Wreszcie Hea „bóg wód“, pochodzi od Anu, nazywany jest często *Zi-kia* „du-

¹ On trouve quelquefois la création attribuée à chacun des trois dieux les plus hauts placés dans la hiérarchie. Tiele, *Loc. cit.* p. 187.

² Bel après avoir créé la terre, l'orne, la peuple, l'anime... Bel ensuite se coupa la tête et de sang mêlé à la poussière de la terre, il forma l'homme qui, en tant que formé de la tête du dieu suprême, est doué d'une intelligence et d'une Sagesse divines... Le grand Bel est rangé tantôt à côté d'Anou, comme son frère, tantôt au-dessous de lui, comme son fils... Tiele *Loc. cit.*

Bel, named Enu, Mul, and Elum in Accadian, was lord of the surface of the earth and the affairs of men. He was held to be the most active of the gods in the general affairs of mankind... Smith. *Loc. cit.* p. 53.

chem głębokości (abyssi)“ i „okiem świetlnem“. Był on „panem życia“, „stworzycielem ludzi“, bogiem „mądrości i przepowiedni“¹. Jeżeli nadto przypomniemy sobie, że Semici w Babilonii i Asyryi nadawali Bogu imię ogólne *Ilu*, Akadyjczycy zaś *Dingira*, wówczas nie bez słuszności wnioskować można, że imona Anu, Bel i Hea, odpowiadające egipskim Amon, Ra i Ptah, ze względu na poszczególowe ich atrybuta, uderzające stanowią podobieństwo z trzema Osobami naszej Trójcy Przenajświętszej². (C. d. n.)

X. W. Zaborski.

¹ Hea était dieu des eaux célestes, bienfaisantes et fécondantes, il était le maitre de la vie et le créateur des hommes et de leur ressemblance... Il était le dieu de la sagesse, le maitre de l'oracle, comme il était déjà chez les Accads et les Soumirs l'adversaire puissant des enchanteurs et des mauvais esprits... Tiele. *Loc. cit.* pp. 189, 190. Hea is called god of the lower region, he is lord of the sea or abyss; he is also lord of generation and of all human beings, and bears the titles: lord of wisdom, of mines and treasures; of gifts, of music, of fisherman and sailors, and of Hades or hell. Smith. *Loc. cit.* p. 51.

² Nel panteon babilonese, al di sopra della turba de' minori Idii v'è una specie di Triade suprema, formata da *Anu*, Dio del Cielo e padre degli Dei, *Belo*, Dio della terra e gran Demiurgo, *Hea*, Dio dell'Oceano e del mondo sotterraneo, spirito di sapienza infallibile; e negli attributi, che loro sogliono appropriarsi, vedesi quasi un'ombra della Trinità cristiana. P. G. Brunengo, D. C. D. G. *L'impero di Babilonia e di Ninive*. Prato, 1885, v. I. p. 95.

CUDA I ICH ZNACZENIE W DZIEJACH OBJAWIENIA.

II.

Rozwiązawszy kwestyę o możliwości cudów, drugie niemniej ważne zachodzi pytanie, czy cuda mogą być przedmiotem władzy poznawczej człowieka. Każdy cud jest faktem zewnętrznym podpadającym pod zmysły, chodzi więc tylko o to, czy człowiek może mieć pewność historyczną o takim wypadku. Nadto cud każdy jest faktem nadprzyrodzonym, przewyższającym możność wszelkich sił natury, czy tedy człowiek może się zupełnie upewnić, że siły naturalne nie wystarczają do jego spełnienia.

Na pierwsze pytanie odpowiadają filozofowie nie wierzący w Objawienie Boże: że nigdy nie można mieć krytycznej pewności o cudownych zdarzeniach, gdyż one już same przez się są niemożliwe¹, a dający świadectwo o nich nie zasługują na wiarę, bo albo złudzeni popadają w błąd, albo po prostu kłamią. Co do drugiego pytania, to stosunek naszego rozumu do sił ukrytych w przyrodzie jeszcze mniej dozwala wyrokować o tem, a stąd, przypuściwszy nawet możebność cudów, nigdy nie możemy o pojedynczym fakcie zawyrokować, że jest cudem.

Do uznania bowiem jakiegoś faktu za cud, potrzebna jest najprzód znajomość wszystkich sił przyrody, i granic ich potęgi, oraz

¹ Strauss, Glaubenslehre p. 247. — Schleiermacher, Glaubenslehre p. 47. Hume, An inquiry concerning human understanding. Sect. X.

wszystkich praw, wedle których w różnych okolicznościach działają; taka tylko znajomość pozwala wydać sąd roztropny, że w tym lub owym wypadku siły naturalne nie były zdolne do skutecznego, a więc wyższej siły było potrzeba, siły stojącej ponad całą naturą stworzoną. A taką znajomością któż pochwalić się może? ¹ Wiedzy takiej zaiste, jakiej wymaga Renan, do stwierdzenia cudów ², nie posiada nawet komisya uczonych krytyków, fizyologów, przyrodników i t. d. Owszem, nowsza wiedza tłumaczy nam wiele faktów, które dawniejsza ciemnota poczytywała za cuda, nie znając sił przyrody. Edward Hartmann, autor „Bezwiednej zasady“, wylicza cztery sposoby, za pomocą których wszystkie cuda można tłumaczyć, nie odwołując się do interwencji Bożej. Wymownie opisując siłę magnetyczną i jej nadzwyczajne skutki, upatruje w niej pierwszy klucz do rozwiązania zagadki cudów. Ale częstokroć, jego zdaniem, i tej nawet siły nie potrzeba, bo nieraz siła woli wystarcza, na dowód czego przytacza dziwne zjawiska, jakie w organizmie ludzkim wywołuje sama tylko energia woli człowieka. Owszem, samo nawet wyobrażenie wywołuje częstokroć te same skutki, co rzecz wyobrażona. Tak np. żywe wyobrażenie rzekomo zażytego lekarstwa, potrafi wywrzeć wpływ równie silny, jak samo lekarstwo. A fantazyja hypochondryczna wywołuje symptomy rzeczywistej choroby. Wreszcie fakt to niezbity, że w leczeniu chorych ufność i przekonanie chorego o skuteczności lekarstwa jest prawdziwą przyczyną uzdrowienia, którego same lekarstwa dokonaćby nie zdołały ³.

Inną znowu drogą zdąża Hume do tego samego celu ⁴. O nieziennej stałości praw przyrody świadczy cały rodzaj ludzki i wszystkie wieki ją potwierdzają. Cuda zaś byłyby pogwałceniem tej stałości. Abyśmy więc roztropnie uznać je mogli, musielibyśmy mieć przemawiające za nimi świadectwo, któreby wartością swą nie tylko dorównywało powszechnemu świadectwu o stałości praw

¹ Planck, Ueber die Haltbarkeit des historischen Beweises für die Göttlichkeit des Christenthums. — Schaller, der historische Christus und die Philosophie p. 108. — Denzinger, Religiöse Erkenntniss II. p. 352.

² La Vie de Jésus p. XCV. sqq.

³ P. 151—158 i p. 307.

⁴ Hume l. c.

przyrody, ale owszem nawet je przewyższało, musielibyśmy mieć pewność, że kłamstwo lub złudzenie ludzi świadczących o cudzie, większym byłoby cudem niżli sam cud, o którym wydają świadectwo. Jedno zaś i drugie jest, zdaniem Hume'a, rzeczą niemożliwą. A zatem, przypuściwszy nawet możliwość cudów, niepodobna o ich istnieniu mieć zupełną pewność. W gruncie rzeczy też samą stawiają zasadę: Rousseau¹, Diderot², Laplace³ i inni⁴. Wreszcie przeciwnicy cudów, chcąc wykazać niepodobieństwo przekonania się o ich wierzytelności, uciekają się nawet do tak zwanego argumentu *ad hominem*, formułując go mniej więcej w sposób następujący. Dogmat chrześcijański uznaje istnienie aniołów i szatanów, czyli dobrych i złych duchów, którzy niewątpliwie działaniem swem mogą wpływać na siły przyrody i wywoływać skutki wprost przeciwne jej prawom. Lecz w takim razie, jakimże sposobem odróżniący można cud prawdziwy od Boga pochodzący, od cudu, który jest tylko działaniem dobrych lub złych duchów? Tu nie masz niemylnego probierza: a więc i wszelka wierzytelność cudów czyli wszelka pewność o pochodzeniu ich od Boga tem samem upaść musi⁵.

Strauss⁶ zarzuca nam nawet, że w dowodzeniu cudów wpadamy w błędne koło (*circulus vitiosus*): gdyż, aby rozeznaczyć cud prawdziwy, boski, od fałszywych, pozornych cudów, nie mamy innego kryterium, jak samą tylko naukę, na której potwierdzenie cud ów jest dokonany. Jeśli nauka jest Boską, to i cud ów Bożym jest cudem, jeśli fałszywą jest nauka, tedy i cud sam fałszywym nazywać wypadnie. Z drugiej zaś strony skąd nam wiadomo, że nauka jakaś jest Bożą? Cała wiadomość, cała pewność nasza pod tym względem, opiera się ostatecznie na prawdziwości cudów, które naukę tę potwierdzają. Czyż to więc nie istne koło błędne prawdziwością nauki dowodzić prawdziwości cudów i na odwrót prawdziwością cudów stwierdzać prawdziwość nauki?!

¹ 2—3 Lettres écrites de la Montagne.

² Pensées philosophiques.

³ Essai philosophique sur les probabilités.

⁴ Anner, Supernaturels examined, Dist. II. — Mr. Jacksons Lettre to Deists p. 140. Cf. Denzinger, Relig. Erkenntniss, t. II. p. 353 i t. d.

⁵ Hobbes, Leviathan, c. 32.

⁶ Strauss, Glaubenslehre § 17.

Skąd wniosek oczywisty: że, przypuściwszy nawet nietylko możebność, ale i rzeczywistość cudów, mimo to nie moglibyśmy mieć żadną miarą zupełnej o nich pewności.

Oto na jakim stopniu stoi kwestya cudów w dzisiejszej umiejętności.

W odpowiedzi na te wszystkie teorye i zarzuty, zważmy, czy można mieć pewność o historycznej rzeczywistości cudu, o ile on jest faktem podpadającym pod zmysły? Pewność tę bez wątpienia mieć można. Cud bowiem, jako fakt historyczny, nie różni się w niczem od innych historycznych faktów i jako taki do udowodnienia swej rzeczywistości nie wymaga ani liczniejszych ani pewniejszych świadectw, jak każdy inny historyczny wypadek. Wystarczają tu świadkowie wiarogodni, tj. tacy, którzy sam fakt naocznie widzieli, i ani w zbadaniu tego sami siebie, ani w opowiadaniu o nim nas omylić nie mogli.

Że Łazarz w czwartym dniu po śmierci na głos Chrystusa z grobu powstał, jestto fakt tego samego rodzaju, jak jego choroba lub śmierć. A do przekonania się o rzeczywistości tego faktu zupełnie zbyteczną byłoby rzeczą wymagać albo głębszej nauki, albo bystrzejszej pojętności, albo większego wyteżenia zmysłów, niż do jakiegokolwiek materialnego zjawiska.

Masy ludu przypatrujące się wskrzeszeniu Łazarza mogą być zupełnie wiarogodnymi tego faktu świadkami. Bo czyż podobna było im wątpić, że śmierć Łazarza, który już cztery dni leżał w grobie i cuchnąć nawet zaczynał, nie była pozorną, lecz rzeczywistą? A po wskrzeszeniu mogliż te masy ludu choćby na chwilę zwątpić o nowem życiu tego człowieka, którego widzieli na głos Chrystusa wychodzącego z grobu, owszem prześladowanego nawet przez Faryzeuszów, czyhających na jego zgubę. W poznaniu i uznaniu takiego faktu przypuszczać złudzenie — to już niedorzeczność oczywista.

Że zaś pisarze, którzy fakt ten nam przekazali, uwodzić nas nie mogą, rzecz to nie mniej widoczna. Pisma ich bowiem pojawiły się w czasie, kiedy żyli jeszcze Żydzi, którzy cudu tego naoczniymi będąc świadkami, byliby niezawodnie kłam zadali uczniom Chrystusowym, gdyby ci w swem sprawozdaniu pokusić się chcieli o jakiegokolwiek oszustwo. Jeśli więc nieprzyjacielem Chrystusa nie

odważyli się na to, toć znak to niechybny, że wskrzeszenie Łazarza prawdziwym było faktem.

Czyż godzi się zatem, świadectwo ze wszech miar wiarogodne odrzucać dla tego jedynie, że sam fakt zdaje się sprzeciwiać prawom przyrody, a raczej przewyższać jej siły? Taki sposób postępowania wtedy tylko loicznym nazwaćby można, gdyby bezwarunkową było prawdą, że skutek nie mający swej przyczyny w czynnikach widzialnego świata, zgoła istnieć nie może. Przeciwnie zaś, jeśli prawdą jest bezwarunkową, że poza tym światem jest inna nieskończenie wyższa przyczyna, której świat wszystkie swe siły i prawa i ciągle swe zachowanie i sam byt swój nawet ma do zawdzięczenia — to taki sposób dowodzenia, w obec tej pozaświatowej przyczyny wszechprzyczyn, jest czczym tylko i niedorzecznym frazesem.

Loiczny sposób postępowania, chcąc coś stanowczego orzec o takim fakcie, jest następujący. Najprzód należy jak najściślej dochodzić wiarogodności świadków, czy pomyłka albo oszustwo było z ich strony możliwem. Przekonawszy się zaś o niewątpliwej, niepodejrzanej wiarogodności świadków, przystępujemy dopiero wtedy do odszukania prawdziwej przyczyny faktu. Jeśli pewną jest rzeczą, że natura bezwzględnie nie może takiego skutku wywołać, w takim razie nie wolno nam zaprzeczać faktu historycznie niewątpliwego, lecz sięgnąć potrzeba do przyczyn wyższego rzędu — do przyczyn nadprzyrodzonych — tego wymagają zasady zdrowej loiki. Jeden nawet jedyny tylko fakt — byleby był historycznie pewny i widocznie przewyższający siły przyrody, dostatecznie już dowodzi istnienia wyższej jakiegś pozaświatowej potęgi, władającej przyrodzonymi prawami wszechświata.

Ale tu właśnie sam rdzeń trudności *hic Rhodus, hic salta*, mówi filozofia niedowiarstwa: bo wszakże żaden roztropny człowiek nigdy nie może być pewnym, że fakt jakiś przewyższa granicę sił przyrodzonych, gdyż granic tych nikt zakreślić nie umie, nikt nie wie, jak daleko one w pewnych warunkach sięgają. Doprawdy dziwna to logika. Czyż bowiem istotnie konieczną jest wszechstronna znajomość granic sił przyrodzonych, by w danym razie orzec można, że przyczyna jakiegoś skutku nie może tkwić w ich obrębie? Bynajmniej, wystarczy wiedzieć to jedno, że siły czynne przy dokonaniu pewnego faktu sprostać mu nie mogą. Taka zaś

znajomość sił przyrody nieskończenie się różni od wszechstronnego zbadania ich granic. W pierwszym bowiem razie wystarcza zwykła wiedza prostego ludu, w drugim zaś niemal wszechwiedzy wymagałoby potrzeba. Nikt nie wie, ile przyrodzone jego siły w pewnych warunkach skutecznie potrafią, ale każdy człowiek zdrowym obdarzony rozumem jasno pojmuje i niewzruszenie przekonany jest o tem, że są czyny, działania, skutki, do których siły jego bezwarunkowo są niezdolne. Żaden lekarz nie zna wszystkich sił i własności swych lekarstw, a jednak wie o tem dobrze, że np. jeden znak ręką zrobiony bezwzględnie niedostateczną jest siłą, aby umarłego wskrziesić do życia, lub złamaną nogę w jednej chwili uzdrowić. Rolnik nie zna całej płodności nasienia w ziemię rzuconego, nie wie ile ziarn ono rodzi we wszystkich możebnych warunkach, owszem tego nawet najlepszy przyrodnik z całą swą wiedzą ściśle oznaczyć nie potrafi, ale dość zdrowego rozumu choćby nawet nieokrzesanego rolnika, aby poznać z całą pewnością, że kilka chlebów w ręku człowieka przez samo tylko łamanie rozmnożyć się nie może, tak dalece, iżby tysiącom ludzi starczyły za pokarm obfity — tu i najgłębsze przyrodoznawstwo nie zdoła oznaczyć warunków, w których fakt taki naturalnym sposobem byłby możliwy.

Słowem — nie znamy wprawdzie zazwyczaj całej potęgi sił przyrodzonych, nie znamy ostatecznych granic, jakich one osiągnąć mogą w korzystnych dla siebie warunkach, ale wiemy nieraz z wszelką pewnością, jakich granic osiągnąć nie mogą.

Kiedy chowamy do grobu ciało zmarłego, na którym już uwydatniają się znaki skażenia i rozkładu, czyż naturalisci będą opierać się temu, w nadziei, że może jakaś tajemnicza siła przywróci życie zmarłemu? Nikt nie puści się w podróż po morzu piechotą, rachując na to, że siłę ciężkości zrównoważy jakaś inna, nieznana siła dobroczynnej przyrody; nikt nie skoczy w ogień, w nadziei, że jakaś siła ukryta zasłoni go przed palącym żarem; rolnik nie będzie wyczekiwał z założonemi rękami, aby mu rola bez pracy tajemniczym jakimś sposobem gotowe zrodziła żniwo.

Mamy więc co do niektórych skutków największą pewność, że siły przyrodzone w żaden sposób wywołać ich nie mogą. Pewność ta opiera się częścią na fizycznych, częścią zaś na metafizycznych powodach. Codzienne doświadczenie i znajomość nauk przy-

rodniczych daje nam we wielu wypadkach niewątpliwe przekonanie o tem, jak daleko siła przyrody sięgnąć nie może. Skoro zaś nauka odsłania nam jakąś siłę w przyrodzie zdolną zawiesić lub zniweczyć działanie innych sił przyrodzonych, wtedy możemy się historycznie upewnić, czy w danym fakcie owa przeciwna siła była czynną lub nie. Niejednokrotnie też i metafizyczne powody niezbić nam wykazują, że przyczyna pewnego faktu tkwić musi po za obrębem sił fizycznych. Tak np. potęga twórcza jest przywilejem wyłącznie samemu Bogu tylko przysługującym; a w niektórych faktach widoczną jest rzeczą, że jedna tylko siła twórcza wywołać je mogła, gdyż ani w materji tego faktu nie było odpowiednich czynników, usposabiających ją do podobnego skutku, lecz owszem, przeciwne takim skutkom własności, ani też żadna siła przyrodzona, której podobne zjawisko przypisaćby można, nie miała najmniej-szego w owym fakcie udziału.

Kiedy Bóg chce uwierzytelnić objawienie swoje przed narodami, lub potwierdzić nadprzyrodzone sług swoich posłannictwo, wtedy używa faktów, które według powszechnego przekonania, przewyższają wszelkie przyrodzone siły. Faktów zaś choćby najbardziej niezwykłych i zdumiewających, jeśli nadprzyrodzone ich źródło nie jest widocznie pewnem, Kościół nigdy nie uznawał za cuda i nigdy nie dowodził nimi Boskiego posłannictwa swego. Procesy kanoniczne są tego najwymowniejszym dowodem¹.

Cała wymowa Hartmana usiłującego dowieść, że wszystkie cuda przyczynom naturalnym przypisać należy, to tylko filozoficzne kuglarstwo. Nie zaprzeczamy bynajmniej, że tak zwana siła magnetyczna dziwne nieraz wywołuje zjawiska, że w nowoczesnym spirytyzmie jeszcze dziwniejsze fakty spostrzegać się dają. Ale jakżeż niezmierna zachodzi różnica pomiędzy zjawiskiem magnetycznem lub spirytystycznem doświadczeniem, a faktami, które Kościół za prawdziwe cuda uznaje! A najprzód co do samej istoty faktów. Kiedyż to najbieglejszy nawet magnetyzer lub spirytysta wskrzesił umarłego, kiedy ślepego od urodzenia wzrokiem obdarzył, kiedy kilku chlebami tysiące ludzi nakarmił, kiedy nieuleczalnego paralytyka uzdrowił jednym swem słowem? Zważywszy też sam sposób

¹ Denziger, Religiöse Erkenntniss t. II. p. 352.

działania owej „cudotwórczej“ siły magnetycznej, nie mniejszą i tutaj spostrzegamy różnicę. Ileż to manipulacyi odbywa każdy magnetyzer lub spirytysta, jak szczególnego usposobienia natury wymaga on od swego *medium*, a do zjawisk jasnowidzenia, ileż to łączników musi nawiązać pomiędzy *medium* a odnośnym przedmiotem! Prawdziwy cudotwórca pomija te liche śródeczki. Chrystus Pan jednym słowem leczy wszelkie choroby, z tą samą łatwością uzdrawia obecnych, jak i daleko od siebie oddalonych, jednym aktem swej woli przywraca ślepym wzrok, słuch głuchym, niemym mowę, paralitykom władzę członków, umarłym życie, i to wszystko bez żadnych zgoda przygotowań, w jednej chwili, na samą prośbę nieszczęśliwych, a częstokroć i bez prośby nawet, na sam widok nędzy ludzkiej... Ileż to razy nie udają się próby magnetyzerów i wszelkie usiłowania spirytystów pozostają bez skutku! A czyż coś podobnego zdarzyło się kiedykolwiek prawdziwemu cudotwórcy? Nigdy — bo siła cudotwórcza nie jest zależną ani od czasu, ani od miejsca, ani od jakichkolwiek innych współczynników; cały jej skutek zawisł jedynie od woli samego cudotwórcy. Przeciwnie zaś siła magnetyczna potrzebuje mnóstwa warunków, z których ogółona pozostaje martwą i bezpłodną. Cóż więc oznacza ta różność istoty i działania dwóch tych sił rzekomo sobie pokrewnych? Oto, że siła pierwsza jest Bożą Wszechmocą, druga — zwykłą tylko siłą przyrody, zależną, jak tyle innych sił fizycznych od mnóstwa okoliczności. Cudotwórca występuje tu jako narzędzie w rękę Boga, służące do uwidocznienia na zewnątrz Jego Wszechpotęgi; magnetyzer zaś ukazuje się prostym tylko śmiertelnikiem, wyzyskującym w danych warunkach siły przyrody ku zamierzonemu celowi. Psychiczny charakter skutków tej siły natury faktów wcale nie zmienia, gdyż dusza podlega też wpływom sił przyrodzonych.

Wyjaśnienia te pozwalają nam z tem większym naciskiem nazwać całą argumentacyą Hartmanna sztucznem tylko kuglarstwem. Malując bowiem najjaskrawszemi barwami potęgę magnetyzmu i dzieła spirytystów, kłamliwą tą przesadą zamydla oczy czytelnikom, aby nie spostrzegli, jak ogromna przepaść dzieli wszystkie te zjawiska od czynów, które Kościół nazywa cudami.

Inne przyczyny naturalne, zdolne cudów dokazać, to energiczna wola, bujna wyobraźnia i żywa wiara w niezawodny skutek.

Tak orzekła filozofia nowoczesna. Przypatrzmy się tym jej twierdzeniom nieco bliżej, przez mikroskop zdrowej krytyki.

Że energiczna wola, spotęgowana żywą wyobraźnią i silną wiarą w niezawodność skutku, wywiera wpływ niezmierny na ludzkie czynności, na cały psychiczny nastrój człowieka i co za tem idzie, na jego organizm i zdrowie ciała, ale czyż skutki siłą takiej woli wywołane, dorównają choć w części faktom, które Kościół zowie cudami? Czyż najsilniejsza nawet wola potrafiła kiedykolwiek ożywić martwy nerw wzroku lub słuchu, albo wskrzesić zgasłe już życie? Czyż wiara choćby najżywsza, zdołała kiedykolwiek w okamgnieniu złamaną goleń uzdrowić? Czyż energiczna wola zdobyła sobie choćby raz tylko bezwzględne panowanie nad siłami przyrody? Czy umiała skinieniem swoim uciszać wichry i wzburzone uspokajać fale?? Doprawdy, chyba oszust albo szaleniec może stawiać działanie ludzkiej woli i wyobraźni na równi z prawdziwymi cudami, od których dzieli je otchłań nieprzebyta!

Energia woli rozbudza nieraz drzemiące władze duszy, pod których wpływem ociążałe lub nikłe siły ciała potężnieją i nabierają sprężystości pozwalającej im dokonać czynów, jakich w stanie osłabienia nigdyby spełnić nie zdołały. Ale zakres ich działalności nie przekracza nigdy i nigdzie zwyczajnych granic właściwej im natury; przeciwnie zaś wola cudotwórcy albo raczej wola Tego, którego narzędziem jest człowiek-cudotwórca, przewyższa wszystko, na co świat i ludzie zdobyć się mogą.

A zatem te niby naukowe racje nowoczesnej filozofii są tylko niefortunnym wybiegiem. Dziwnie doprawdy wnioskują koryfeusze tej filozofii. Oto treść ich argumentacyi. Jeśli siła naturalna, mówią oni, tak dziwne wywołuje skutki, toć w innych, lepszych warunkach może większe jeszcze wywołać potrafi. Jeśli teraz znamy już czynniki w przyrodzie o tak dziwnych, tak niezwykłych własnościach, których przez długie wieki ludzie nie znali, a których sposób działania i teraz jeszcze jest tajemnicą, jeśli czynniki te teraz występują na jaw, to może w łonie natury jest jeszcze więcej takich przyczyn ukrytych, które z czasem poznamy, a których skutki, być może, będą prawdziwymi cudami. Tak więc ustawicznie wzywając na pomoc ulubione swe „może“, marzyciele niedowiarstwa budują sobie wygodny most, sklecony z urojonych przypuszczeń i po

nim przebywają tę przepaść olbrzymią, dzielącą choćby najdziwniejsze zjawiska przyrodzone od prawdziwych cudów. Jak już wspomnieliśmy wyżej, charakterystycznym znamię cudu jest jego niezawisłość od wszelkich warunków czasu i miejsca, od wszelkich przedwstępnych przygotowań lub usposobień zarówno samego przedmiotu, w którym cud się dzieje, jak i osoby działającej. Takie znamię pokazuje widocznie, że cud jest dziełem Boga, który sam jeden tylko w czynnościach swoich bezwzględnie jest niezawisłym. Wiara w niezawodność cudownego skutku, tak u samego cudotwórcy, jak u osoby doznającej cudu, nie jest usposobieniem naturalnem, wymaganem jako niezbędny fizyczny warunek cudu, ale tylko przedmiotem moralnym, który nadprzyrodzonym działaniem jako swą prawdę uwydatnia. Przeciwnie zaś wszystkie te tajemnicze siły przyrody wraz z całym blichтром swych zjawisk, noszą na sobie widoczne piętno zawisłości od najrozmaitszych warunków, czyli piętno czynności naturalnych.

Wszystkie te urojone „może“, jak z jednej strony nie są w stanie wykazać żadnej innej zawisłości w prawdziwych cudach, oprócz zawisłości od woli ich sprawcy, tak znowu z drugiej, odnośnie do owych niezwykle zjawisk przyrodzonych, wcale nie dowodzą ich niezawisłości od mnóstwa najrozmaitszych warunków i środków pomocniczych, bez których siły owe zawsze pozostają bezskutecznymi. Chociaż bowiem z upływem wieków i wzrostem oświaty coraz nowe i coraz dziwniejsze odkrywamy siły w przyrodzie, na wszystkich jednak tych siłach widnieje zawsze to samo, niezatarte piętno zawisłości. Stąd więc to jedno chyba logicznie wnosićby można, że i nadal, w wiekach późniejszych, wszystkie inne naturalne siły, wiedzą przyszłych pokoleń na jaw wywołane, z temże samem ukazać się piętnem. Zawsze przeto pozostanie ta istotna, nieskończona różnica między prawdziwym cudem, a objawem sił przyrodzonych, choćby najdziwniejszym, choćby najbardziej tajemniczym.

Przypatrzmy się teraz dowodzeniu Hume'a. Hume na tyle jest dla nas względny, że raczy na chwilę przypuszczać możebność, a nawet i rzeczywistość cudów, ale twierdzi zarazem, że nie możebną jest dla nas rzeczą, rozpoznać charakter prawdziwej cudowności. Cud jest, według niego, pogwałceniem praw przyrodzonych. O stałości tych praw, mówi Hume, mamy najwyższą pewność, o niej

świadczą wszystkie wieki i niezachwiane przekonanie wszystkich narodów; ażeby więc wolno nam było przypuścić cud jakiś, potrzebaby mieć świadectwo pogwałcenia tych praw, wartością swą przewyższające świadectwo o ich stałości. Takiego zaś świadectwa historia nasza nigdy i nigdzie nie podaje: o pogwałceniu bowiem praw przyrody świadczy tylko mała garstka ludzi, o których umysłem wykształceniu i usposobieniu moralnem żadnej nie mamy rękoi, tem bardziej, że za stałością praw fizycznych przemawia cały zastęp świadków uczonych we wszystkich wiekach i narodach. Pominąć zaś takie świadectwo, a przyjąć świadectwo owej garstki ludzi wątpliwego wykształcenia, nie znaczyłoby to sprzeniewierzyć się zasadom prawdziwej umiejętności, zdrowej loiki.

Cud jest zgwałceniem praw fizycznych — oto zasada Hume'a, ale właśnie zasadniczo nieloiczna. Jeśli istotnie chce on trzymać się „zasad zdrowej loiki“, to przyznać musi, że Bóg jest Stwórcą wszechświata i wszystkich sił w nim działających, że On to jest prawodawcą całego kodeksu przyrody, według którego siły jej działają, że On jest wreszcie absolutnym Panem tego świata, jego kierownikiem i rządcą, nie wypuszczającym ani chwilę z wszechmocnej swej ręki steru tych rządów i berła panowania, że zatem Bogu przysługuje najwyższe prawo zawieszania czynności sił przyrody, jeśli to odpowiada Jego zamiarom. Takie zaś zawieszanie tych sił w ich działaniu, żadną miarą nie można nazwać gwałceniem praw natury. Król ulaskawiający złoczyńcę na śmierć skazanego, bynajmniej nie narusza przez to praw rzeczypospolitej, tylko usuwa go z pod ich działania, zastosowuje wyższe prawo przysługujące jego majestatowi i zawiesza czynność swych urzędników, tak, że prawo ogólne, według którego mieliby działać, w tym razie nie ma skutku. Podobnie i Bóg nie jest poddanym żelaznej konieczności własnych praw swoich, które wytknął przyrodzie, On jest ich królem i Panem, Jemu więc przysługuje wszelkie nad nimi zwierzchnictwo i zupełna swoboda w odstępowaniu od nich, kiedykolwiek to się zgadza z Jego wszechmądrością.

Dalej mówi Hume: „Mamy niewzruszoną pewność o stałości praw fizycznych“. Prawda — ale ta pewność nie jest absolutną, lecz warunkową. To znaczy: siły fizyczne dopóty działają stale i nieprzerwanie według praw swego najwyższego Pana, dopóki się

Panu temu nie spodoba, na zasadzie władzy absolutnej, zawiesić stałego ich działania. O takim to, nie o innym charakterze tej stałości przeświadczone są wszystkie wieki i wszystkie narody. Dowodem takiego ich przeświadczenia jest modlitwa, którą zawsze i wszędzie zanosili do Wszechmocnego Władcy świata, aby ku szczęściu ludzi bieg przyrody kierował, aby w grożącym niebezpieczeństwie zesłał pomoc z nieba, oddalając wszechmocną swą ręką zgubne wpływy sił naturalnych. O modlitwie takiej świadczy praktyka całego starożytnego pogaństwa. A w praktyce tej to szczególnie uwagi jest godne, że nie wzywano pomocy jakiegoś Bóstwa mytologicznego, lecz zanoszono modły do Boga bezimiennego, do Stwórcy i Pana wszechświata. Mamy więc pewność o stałości praw natury, ale zarazem i tę pewność mamy potwierdzoną tem samem świadectwem wszech narodów i wieków, że prawa natury podlegają nieustannie Najwyższemu Panu, który dla najszlachetniejszego ze swych stworzeń tj. dla człowieka, prawa owe niekiedy zawiesza, wiedziony nie bezmyślnym kaprysem, ale najdobrośliwszą Opatrznością swoją. Cóż więc odpowiemy na żądanie Hume'a, że dla zupełnej pewności potrzeba, aby świadectwo dowodzące znoszenia praw natury, przewyższało liczbą i powagą świadków, dowody za stałością tychże praw przemawiające. Niedorzeczne to żądanie. Bo że w pewnych razach możliwym jest wyjątek od prawidłowego działania sił fizycznych, to rzecz tak niezachwianie pewna, iż nikt o niej nie wątpi. Jak więc widzieliśmy, o możliwości takiego wyjątku tj. o możliwości prawdziwego cudu świat cały był zawsze przekonany, oprócz nowoczesnych filozofów, jak długo o filozofii rozprawiają, a zatem wszelkie też powątpiewanie o rzeczywistości cudu byłoby nieroztropnem, jeśli o fakcie takim zapewniają nas świadkowie wiarogodni, którzy i sami omylić się nie mogli co do rzeczywistości faktu, i innych też w swem sprawozdaniu o nim omylić ani mogli, ani chcieli. Na potwierdzenie zaś takiego wyjątkowego wypadku, żądać tylu świadków, jak na potwierdzenie stałości praw fizycznych, to już oczywiste *absurdum*. Bo cud jest przecież wyjątkiem w działaniu przyrody; wyjątek zaś na jednym tylko dzieje się miejscu, w jednej częstotliwości czasu, co stąd wynika, wobec niektórych tylko ludzi: a zatem już sama istota cudu wyklucza żadaną równość liczby i świadków, czyli cud już z natury

swojej nie przypuszcza powszechnego świadectwa, jakie zawsze poprzeć można niezmiennoscą praw fizycznych. Że zaś nieraz, owszem bardzo często mała liczba świadków na tę samą wiarę zasługuje, co największe ich mnóstwo, to rzecz każdemu krytykowi aż nazbyt dobrze wiadoma. Sami tylko nowocześni filozofowie o tem nie wiedzą, wtedy przynajmniej, gdy im co orzec przychodzi w kwestyach religijnych.

Całą argumentacyi Hume'go służy za podstawę zasada, że fakt nadzwyczajny większej podlega wątpliwości niż zwyczajny, i że dla udowodnienia go silniejszych potrzeba dowodów. Zasada ta jest fałszywą, a żadna zdrowa krytyka jej nie uznaje. Fakt nadzwyczajny zarówno jest faktem jak i zwyczajny, a jeśli o nim zeznają świadkowie skądinąd wiarogodni, nie godzi się, dla tego jedynie, że jest nadzwyczajnym, w wątpliwość go podawać. Krytyka winna najprzód roztrząsać charakter wiarogodności świadków. A jeśli wiarogodności tej nie zarzucić nie może, tedy przyjąć musi fakt, jakkolwiek byłby nadzwyczajnym. Na drugim dopiero miejscu należy badać charakter i istotę nadzwyczajności faktu, a jeśli rozum ludzki z pomocą światła nauki nie znajduje w obrębie sił fizycznych przyczyny naturalnej, wystarczającej do wywołania takiego faktu, owszem, jeśli znajduje, że fakt ten przewyższa wszelką władzę sił przyrodzonych, natenczas nie wolno nam powątpiewać o naprzód już uznanym charakterze historyczności tego faktu, ale owszem z tem większą pewnością winien upatrywać jego twórcę wśród innych przyczyn wyższego, bo nadprzyrodzonego porządku.

Pozostaje nam jeszcze rozpatrzyć się nieco w teorii tych, co niby ze stanowiska wiary katolickiej zaprzeczają możebność poznania prawdziwych cudów.

Dogmat katolicki, mówią oni, przyznaje tak złym jak i dobrym duchom władzę nad siły bądź ludzkie, bądź też materialnej przyrody, przypisując im moc zawieszenia sił fizycznych i niemi kierowania, przez co są oni zdolni do wywołania skutków, przewyższających wszelkie działanie przyrody. Jakżeż fakty takie odróżnić od prawdziwych cudów? Kryterium tu nie ma żadnego, a zatem i żadnej możebności rozpoznania prawdziwego cudu.

Na to odpowiadamy najprzód, że bez wahania uznajemy katolicką naukę, która nadludzką potęgę przypisuje duchom, tak tym

co wieczną miłością z Bogiem są złączeni, jak i owym, którzy grzeszną pychą od Niego odpadłszy, otwarli sobie otchłanie królestwa piekielnego, staczającego z królestwem Bożem nieustanną walkę; uznajemy również, że duchy te naturalnemi swemi siłami wielki wpływ mogą wywierać na działanie przyczyn w przyrodzie, tak dalece, że zrządzić nieraz mogą skutki wprost przeciwne jej prawom. Powszechnie zgadzają się na to Doktorowie Kościoła. Dość czytać Ojeów śś.: Chryzostoma, Hieronima, Teofilakta w objaśnieniach do św. Mat. VII. 22¹, Augustyna², Grzegorza³, Originesa⁴, Tomasza z Akwinu⁵. Ale wszystkie te rzekomo samowolne czynności duchów podlegają panowaniu Boga, który posługuje się nimi do swego najwyższego celu, aby ród ludzki i tą drogą poznawał Bożą prawdę i zdążał do wiecznego zbawienia, a osiągnąwszy i jedno i drugie, pomnażał zewnętrzną chwałę Bożą. A zatem niepodobna przypuścić, żeby Bóg w Opatrzności swojej dozwolił owym duchom używać swej potęgi na stwierdzenie fałszu i to tak dzielnie, iżby człowiek dał się uwikłać w zgubny błąd co do religii i moralności. Czyni Aniołów są zawsze w zgodzie z wolą Najwyższego ich Pana, i zawsze wychodzą na korzyść moralną człowieka. Aniołowie bowiem są: *administratorii spiritus, missi in ministerium eorum, qui salutem consequuntur*. Działalność zaś duchów piekielnych, o ile w Opatrzności swojej Bóg ją dopuszcza, nie może tak potężnego wywierać wpływu, ani tak cudownych wywoływać zjawisk, iżby rozum i wola człowieka z konieczności mu uleść musiały. Musi więc już z woli Bożej istnieć dla człowieka jakiś środek rozpoznawczy, jakieś kryterium, wskazujące mu chytre sidła piekielnego ducha.

Ale jakież to kryterium? Strauss z samej już jego probierczej natury wysnuł nowy zarzut przeciw możebności rozpoznania cudów. Takim kryterium, mówi on, służącym do odróżnienia rzeczywistego cudu od szatańskiego omamienia, mogłaby być jedynie

¹ Ob. Cornel. a Lap. Maldonat in hunc locum.

² De Divers. Quaest. 83. qu. 79. — Lib. 2. ad Simpl. qu. 1.

³ Moral. I. 2. c. 8.

⁴ Contra Cels. I. I. cc. 6. 24. 68.

⁵ S. I. 9. 110. a. 4. — 2.2^{ae} q. 172. a. 5. — Quaest. de potentia q. 6. de miraculis a. 5. — C. Gent. I. 3. cc. 103. 154.

prawdziwa wiara, nauka prawdziwie Boża, lecz, że jakaś nauka prawdziwie od Boga pochodzi, o tem znowu jedynie z prawdziwych cudów na potwierdzenie jej dokonanych przekonać się możemy; a zatem chcąc nie chcąc wpadamy w koło błędne (*circulus vitiosus*). To zaś nieuchronne koło błędne dowodzi niemożności rzetelnego kryterium, dla odróżnienia prawdziwych cudów od kłamliwych naśladownictw szatana. Biedny Strauss! Zdaje się, że wraz z odstępstwem i zapomnieniem wiary, kórej nigdy dobrze nie poznał, odstąpił też od praw loiki i zupełnie o nich zapomniiał. O „błędne koło“ wtedy tylko pomówić by nas można, gdybyśmy téj samej prawdy, którą dopiero uzasadnić zamierzamy dowodem z cudów czerpanym, chcieli używać jako kryterium do rozpoznania prawdziwości cudów; ale o to żaden apologeta chrześcijański jeszcze się nie pokusił. Katolicka apologetyka zupełnie inną postępuje drogą. Kiedy rozeznąć potrzeba, czy nadzwyczajne jakieś zjawisko od Boga pochodzi, czy też od ducha piekielnego, chrześcijanin pyta się przede wszystkim, z którą nauką zjawisko to w ścisłym pozostaje związku, tj. jakiej religijnej lub moralnej nauki, fakt ten mógłby być rzeczywistym wyrażeniem; dalej zastanawia się, czy nauka owym znakiem potwierdzona, zgadza się z innemi prawdami religii i moralności, które rozum, albo samem już przyrodzonym swem światłem jasno poznaje, albo wie o nich z objawienia innymi znakami uwierzytelnionego. Jeśli nie masz tu zgody i loicznej harmonii, znak to niewątpliwy, że owa nauka nie jest Bożą prawdą, bo prawda prawdzie sprzeciwiać się nie może, a stąd wypływa, że i znak ją potwierdzający nie jest dziełem Boga, jedno tego, który jest „ojcem kłamstwa“.

Przeciwnie zaś, jeśli nadzwyczajny, cudowny wypadek czy to w swej istocie, czy w tendencji swojej, prowadzi do nauki zupełnie zgodnej z prawdami religii i moralności, które podaje rozum i objawienie skądinąd już udowodnione, wtedy niezawodny to znak, że ów fakt nadzwyczajny jest dziełem Bożem, nie oszustwem szatana, a takie kryterium nie zawiera w sobie błędnego koła, lecz owszem prawnym jest i loicznym probierzem, przez samego Chrystusa P. poleconym, do rozpoznania prawdziwych dzieł Bożej wszechmocy od zgubnych fałszerstw szatana¹. Bo duch kłamstwa nie bę-

¹ Św. Mat. XII. 24, ob. św. Łuk. XI. 15. i Deuter XIII. 1.

dzie używał swej władzy ani do utwierdzenia prawd Bożych, ani do ugruntowania prawdziwej moralności, tego odbłasku niepokalanej świętości samego Boga.

Często też samą istotą swoją cuda prawdziwie Boskie wyróżniają się widocznie od dzieł duchów stworzonych. Jakkolwiek wielka jest potęga tych duchów, jakkolwiek szerokie jest pole ich działania, zawsze jednak wolno im tej potęgi używać tylko w pewnym zakresie, tylko według nałożonych im ustaw. Tak w przyrodzie mogą tylko poruszać ciała z miejsca na miejsce¹, mogą zastósowaniem praw fizycznych zawiesić, lub przeinaczyć jakieś zjawisko, czy też czynność przyrody, mogą wpływać na zmysły ludzkie, a za ich pośrednictwem na wyobraźnię i na duszę nawet. Wszystko to skutecznie mogą daleko prędzej, łatwiej i doskonalej, niż jakkolwiek siła przyrodzona, jako duchy większą obdarzone potęgą, nie zawisłe od ciała materialnego i znające daleko głębiej własności sił naturalnych. Nigdy jednak nie mogą wywołać skutków, które wymagają twórczej ręki Najwyższego Pana: nigdy nie mogą wskrzeszać umarłych, martwych oczu ożywiać nową siłą widzenia, leczyc w oka mgnieniu nieuleczalne choroby, lub żywność w jednej chwili tysiąckrotnie rozmnażać. Jak sama istota faktu, tak też i okoliczności jasno ukazują Boski jego charakter. Św. Tomasz wylicza pięć takich szczegółowych okoliczności czyli warunków²: skuteczność, trwałość, pożytek, sposób i cel (*efficacia, duratio, utilitas, modus et finis*). W istocie cud prawdziwie Boży nosi na sobie widoczne piętno Wszechmocności, która nieczyjej nie potrzebując pomocy, ani żadnego współdziału sił naturalnych, nad wszystkimi panuje potęgą swojej woli i dzieła swoje z niczego wyprowadza do bytu, a zatem tyle działa, ile chce. Wszelki zaś czyn demoniczny pozbawiony jest tego charakteru i z niczego nie wyprowadzić nie zdoła. Duch stworzony skutecznie swe dzieła za pomocą sił naturalnych, które koniecznie są mu potrzebne. Nie działa więc tyle ile chce, ale ile Bóg mu pozwala i siły przyrodzone bądź jego osobiste, bądź przedmiotowe, dopuszczają. Czem są np. czary Fa-

¹ Św. Tom. I. q. 110.

² In 2. Sent. dist. 7. q. 3. a. 1.

raona obok cudów Bożych jeśli nie jawnym dowodem, że w tych widoczny jest palec Boży, w tamtych kuglarstwo szatana i jego pomocników¹.

Czyny Boskiej wszechmocy mają dalej trwałość odpowiednią Bożej mądrości i dobroci. Łazarz nie umarł zaraz po wskrzeszeniu, ale żył jeszcze długo, jako wymowny świadek Bóstwa Pana swojego. Ślepy od urodzenia nie stracił zaraz cudem odzyskanego wzroku, ale dopóki żył, zachował dar Chrystusowy. Takie są czyny Boże — czyny zaś demoniczne są tylko chwilowe złudzenia zmysłów, albo krótko trwająca igraszka kombinacją sił fizycznych wywołana. Nadto widoczna jest i różnica w celu. Bo cel cudów Bożych w porządku moralnym i religijnym najświętszy jest i najwznioślejszy: tj. pobudzenie rozumu do wiary, a woli do świętości obyczajów wedle zasad tej wiary. Celem zaś dzieł demonicznych jest odstępstwo od wiary i cnoty, niemoralność, przyjęcie fałszywych doktryn o Bogu i stosunku człowieka do Niego, słowem najzupełniejszy rozbrat z Bogiem. Cuda Boże są zawsze dobrodziejstwem dla człowieka, objawem nieskończonej dobroci i miłosierdzia Bożego, a nigdy marnem, ostentacyjnem popisywaniem się przed ludźmi, nie mającem żadnego związku z prawdziwymi ich potrzebami bądź fizycznymi, bądź moralnymi. Cuda Boże nigdy nie są igraszką dla nasycenia ciekawości, tylko dobrodziejstwem dla złagodzenia nędzy ludzkiej. A czyż dzieła szatana, nieprzejednanego wroga naszego, mogą pochlubić się tym charakterem dobroczynności? Prawda, że i on niesie pomoc ludziom, ale tylko do zaspokojenia ich namiętności. Taka zaś pomoc to nie dobrodziejstwo, ale sidła, któremi on człowieka do wiecznej zguby pociąga.

Zważyć też należy i sam sposób dokonywania cudów. Cud Boży, jako dzieło Bożej wszechmocy, dzieje się w jednej chwili na sam rozkaz Boży, na jedno Jego słowo, na jedno skinienie. Ponieważ bowiem Bóg działa samą tylko wolą, nie potrzebując ani przedwstępnych przygotowań materyału, ani współdziałania innych sił materyalnych, dla tego też w jednej i tejże samej chwili wiele naraz cudów zdziałać potrafi. Czary demoniczne przeciwnie — nie

¹ Exod. VII. IX. sqq. 9.

dzieją się bezwzględnie na sam rozkaz ich sprawy, lecz wymagają nieodzownie: czasu, przygotowań, pomocy sił innych, słowem nie uwydatniają się jako czyny woli wszechmocnej, ale tylko jako sztuczne, zabiegliwe popisywanie się stworzenia, posiadającego większą może znajomość przyrody i potężniejszy wpływ na jej siły¹.

Jest więc różnica nieskończona między prawdziwym cudem Bożym, a kłamliwym naśladownictwem stworzenia, różnica, którą w szczegółowych wypadkach poznać i wskazać nie trudno. Ten tylko w rozpoznawaniu tem omylić się może, kto sam pragnie być oszukany. Kto ochotnie garnie się pod sztandar fałszywych doktryn, kto bez namysłu przyjmuje kłamane zasady moralności i urojone dogmata religijne, aby tem wygodniej mógł żyć według namiętności, według żądz zepsutego serca swojego, ten oczywiście gotów też przyjąć bez wahania i fałszywe cuda na potwierdzenie ulubionych swych kłamstw i błędów, które w zepsutem swem sercu za najwyższą prawdę poczytuje.

Aby nie pominąć żadnego zdania nowoczesnej filozofii o cudach, warto też nadmienić o nauce Perty'ego, profesora medycyny w Bernie². Jest on *ex professo* antagonistą materyalizmu, ale materyalizm ten usiłuje zwalczyć nowym panteizmem. Co do cudów, bez wahania przypuszcza historyczną ich prawdę i śmieje się z nowego racjonalizmu, któryby chciał wszystkie cuda w krainę bajek odesłać. Jednakże przyczyny cudów nie upatruje on w Bożej wszechmocności, tylko w magicznych siłach przyrody. Każdy człowiek, jego zdaniem, ma w sobie takie tajemnicze siły magiczne, albo związane i niejako śpiące, albo zupełnie czynne. Wszystkie fakta nadzwyczajne, wzniosłe, wspaniałe, które w historii, w sztuce i w samej nawet religii przypisywano Aniołom i Bogu, to wszystko siłom tym przypisać należy. Temi to jedynie siłami twórcy różnych religii wynaleźli swe dogmata i utwierdzili ich uznanie wśród ludzi, temi siłami geniusze sztuki tworzyli arcydzieła, temi siłami bohaterowie dokazywali cudów waleczności i najnieprawdopodobniejsze

¹ Ob. S. Thom. in II. ad Thessal. lect. II. i Cursus Theol. R. P. Joannis a S. Thoma tom. I. p. 396, sqq.

² Die mystischen Erscheinungen der menschlichen Natur. 1872. Blicke in das verborgene Leben des Menscheingeistes.

odnosili zwycięstwa. Oprócz tych sił magicznych działających w każdym człowieku, wskazuje Dr. Perty inną jeszcze przyczynę cudów: jest nią — *geodaemon*, *der Erdgeist*, który włada wszystkimi siłami natury, niemi kieruje i do dziwnych nieraz prowadzi rezultatów. Ów *geodaemon* nie różni się w rzeczywistości od ducha napelniającego wszechświat (*Universalgeist*), który jest sprawcą przyczyną wszystkiego, istotą wszechrzeczy, życiem, treścią i źródłem wszelkiego działania. Ten to duch powszechny, o ile w ziemskiej przyrodzie życie swe rozwija, zowie się geodemem, a owe siły magiczne, za pomocą których sam człowiek nieraz dokonuje cudów, to jego siły, jego czynność i jego potęga. On to właściwie jest ową istotą w naturze, którą Bogiem nazywać powinniśmy. On istniał zawsze, przed wszystkimi jestestwami, on i po każdym z nich istnieć będzie i choć wszystkie kolejno zginą, on przetrwa wszystkie, gdyż jest ich treścią i życiem, a one wszystkie są tylko zewnętrznem jego kształtem, doczesnem objawieniem.

Oto panteizm szwajcarskiego profesora i lekarza. Boga prawdziwego ruguje on ze świata i wraz z nim odrzuca cały nadprzyrodzony porządek... a za to daje nam swego „wszechświatowego ducha“, swego geodemona — jako cudotwórcę nawet. Tylko że cuda jego w rzeczywistości niczem się nie różnią od arcydziel sztuki, od urojeń religijnych marzycieli, od heroizmu wielkich zdobywców lub wodzów. Szkoda słów i czasu na zbijanie takich dogmatów, które snąć sam autor za bajkę uważa, bo ich ani jednym nawet nie poparł dowodem. Wszystko to tylko mrzonki wyobraźni — bez żadnej zgola podstawy. Walczyć z niemi, byłoby zbytecznem, bo one same przez się rozplyną się, jak mgła w historii ludzkiej myśli.

(C. d. n.)

X. Antoni Langer.



PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Pamiętnik towarzystwa literackiego imienia Adama Mickiewicza, pod Redakcją *Romana Pilata* we Lwowie 1887, in 8^o str. 279. Rocznik I.

Krzewić cześć dla wielkiego wieszczu i jego poezyj, przez zamieszczanie rozpraw o Mickiewiczu i jego dziełach, zbieranie i porządkowanie materyałów odnoszących się do jego pism i życia, roztrząsanie krytyczne utworów poety i śledzenie wreszcie ogólnego ruchu historyczno-literackiego w wymienionym powyżej kierunku — oto główny cel zawiązanego w maju z. r. we Lwowie „Towarzystwa literackiego imienia Adama Mickiewicza“.

Pierwszy rocznik tego „Pamiętnika“ leży przed nami, zobaczmy, co on nam nowego przynosi: Całość podzielona jest na sześć oddziałów; zdaje się, że podział ten już odtąd w następnych rocznikach obowiązywać będzie. Po wstępnem słowie, w którem redakcyja składa podziękowanie zamiejscowym współpracownikom jako to: pp. Wł. Spasowiczowi w Petersburgu, Wł. Nehringowi we Wrocławiu, A. Brücknerowi w Berlinie i t. d. za nadesłane artykuły, zaznajamia nas dalej ze składem redakcyjnego komitetu „Pamiętnika“, w którym spotykamy imiona Dra R. Pilata, Wł. Belzy, ks. Dra Jana Siemieńskiego, Dra Albina Zippera i inne, w końcu podaje owoc swych „usiłowań w kierunku literacko-naukowych badań nad epoką Mickiewiczowską“, owoc, jak się sama przyznaje, „może jeszcze dopiero w zawiązku“, lecz który późniejsze starania w pożywny dla ogółu pokarm zamienić mają.

W oddziale pierwszym, najważniejszym zdaniem naszym, zamieszczone są trzy samodzielne rozprawy w literaturze znanych i głośnych imion. Pierwsza jest pióra Dra Józefa Tretiaka, a rozbiera ideę Wallenroda. Najpierw więc o niej słów kilka.

Przytoczywszy pokrótce sądy i wyniki badań Mochnackiego, Cybulskiego, Bełcikowskiego, Danielewskiego, Nehringa, przychodzi autor do tego rezultatu, że one „objaśniły częściowo zagadkowość poematu, ale całkowicie zagadki nie rozwiązały“. Podług p. Tretiaka pozostało jeszcze „coś niedocieczonego, jakaś ciemność, zagadkowość“, której nawet i monografia p. Chmielowskiego o Mickiewiczu nie zdołała usunąć. Autor pragnie przeto „wniknąć“ w tę niedocieczoność przez zwrócenie uwagi na „ustępy, dotychczas pomijane zwykle przy rozbiórach Wallenroda“. Zobaczmyż tedy, które to ustępy uważa autor za takie, jak „wnika“ w to „coś niedocieczonego“ i w jaki sposób przedstawia ideę Wallenroda, według siebie jedynie możliwą i prawdziwą!

Główną osią, około której, jak chce p. Tretiak, cały poemat winien się obracać, jest pieśń Wajdeloty. Nazywa on ją (str. 9) „najwspanialszym hymnem na cześć poezyi takiej, jaką wyznawali młodzi romantycy, a przedewszystkiem Mickiewicz,“ „apoteozą poezyi narodowej, zwie ją dalej (str. 10) „najwspanialszym manifestem poetycznym, jaki gdziekolwiek wydał romantyzm“. Zaprawdę, trudnoby już zdobyć się na większe pochwały i dobór silniejszych i pochlebniejszych słów i wyrażeń. Że pieśń Wajdeloty od pierwszego ukazania się Wallenroda aż do dni naszych zawsze równo gorąco podziwianą była i za perłę poezyi polskiej uchodzi, tego nikt nie zaprzecza, ale czy ona głównie i czy ona jedynie ideę Wallenroda zawiera? Wiadomo z listu Mickiewicza pisanego do Odyńca wkrótce po ukazaniu się na świat Wallenroda¹, że chciał on pierwotnie poemat cały zacząć od pieśni Wajdeloty, któraby natenczas, podług pięknego zwrotu p. Tretiaka, tworzyła „cudnie rzewną i wzniosłą przegrywkę“ do całej powieści. Mickiewicz nie podaje bliższych powodów tej zmiany prócz ogólnikowej uwagi, że „chciał początkowo zrobić dwie powieści oddzielne, poema za-

¹ P. koresp. IV. 102.

cząć od opisu zarazy, ale musiał dać je¹ w usta Wajdeloty dla różnych przyczyn i to układ zepsuło...“

Nie spieramy się z p. Tretiakiem, że pieśń Wajdeloty z naczelnego miejsca w środek poematu przesunięta, w skutek tego w niektórych swych zwrotach niezrozumiała się staje i „widoczne ślady pierwotnego swego przeznaczenia nosi“, ale trudno nam się pogodzić z sądem autora, jakoby Halban był „przedstawicielem, uosobieniem poezji narodowej“. Czy Wajdelota, jak mniema p. Tretiak (str. 11), w pierwotnym planie poety podrzędna jakąś odgrywał rolę, nie znając tego „planu“ trudno dziś orzec, nie mniej trudnem rozsądzać, w jaki sposób Mickiewicz chciał dwie oddzielne powieści przedstawić, czy one miały być tylko dwiema częściami tego samego poematu, czy też czemś więcej? To też chcieć dzisiaj odgadywać pierwotny plan poety, wnioskować o „refleksyach“, które na zmiany tego planu wpłynęły, szukać tego, czego nie ma, a może i nie było wcale, zdaje nam się być rzeczą, jeśli już nie korzystną, to bynajmniej nie potrzebną.

Wiadomem jest ile trudności sprawiał Wallenrod krytykom; silili się oni napróżno odszukać w nim myśl przewodnią i połączyć postać historycznego Konrada z poetycznym. Zdaje się, że Słowacki złośliwem swem wyrażeniem w Beniowskim, o „wallenrodyzmie i metodyzmie“ zdrady, które to wyrazy, ni stąd ni owdą, (jak wiele takich w Beniowskim) wyrwały mu się z pod pióra, a o których prawdzie sam bodaj był przekonany², nabawił niepotrzebnie tylko kłopotu późniejszych krytyków, którzy, idąc za przykładem mistrza, upatrywali w poemacie Mickiewicza „apoteozę zdrady“. Że o takiej apoteozie Mickiewicz nigdy nie myślał ani myśleć nie mógł, bo sprzeciwiałaby się ona jego pogodnej, prawej naturze, wykazał naszym zdaniem, jasno i dokładnie Wł. Nehring³. To też p. Tretiak nie upatruje bynajmniej w Wallenrodzie zdrady; śledząc ideę poematu, przed której oznaczeniem, jak powiada (str. 6), i najnowszy krytyk Mickiewicza p. Chmielowski się cofnął, bo jej od-

¹ Przez to „je“ rozumie słusznie p. Tretiak pieśń i powieść Wajdeloty.

² Patrz str. 5 Pamiętnika oraz Nehringa studyum o Konradzie Wallenrodzie.

³ L. c.

szukać nie zdołał, a chcąc tę ideę bądź co bądź w Wallenrodzie znaleźć, wpada na pomysł oryginalny i samodzielny co prawda.

Nie będziemy zatrzymywali się nad analizą idei Wallenroda rozbieraną przez p. Tretiaka, bo to nie doprowadziłoby nas do żadnego rezultatu. Naszem zdaniem, rozprawka cała mile się czyta, styl w niej elegancki, wytworny, bez kunsztu i naciągania, ale pomysł całości choć oryginalny i nowy, za śmiały — i chybiony! Co się tyczy idei Wallenroda, to pozostawmy ją taką, jaką ją poeta naszem zdaniem mieć chciał tj.: jako „psychologiczną zagadkę w osobie niezwyklego bohatera“. A przecież i sam p. Tretiak w końcowych słowach swej rozprawki powiedział, że „reprodukcya głównej idei poematu w duszy czytelnika im mniej była wiadoma, tem większą sprawiała rozkosz“, kiedy tak, to pocóż kazał nam szukać jakiejś idei osobnej, skoro nam niewiadomość takowej rozkosz sprawiała dotychczas?

Drugą z rzędu rozprawą zamieszczoną w „Pamiętniku“ są dwa odczyty Wł. Spasowicza: „Mickiewicz i Puszkina przed pomnikiem Piotra Wielkiego“, ogłoszone na wiosnę b. r. w Krakowie, których recenzja w fejetonach Czasu zaraz po ich ogłoszeniu się pokazała. Nie mając jej pod ręką, odsyłamy do niej łaskawego czytelnika, sami zaś od siebie słówko tylko dodamy.

Drukując te odczyty w „Pamiętniku“ Redakcja bardzo dobrze zrobiła, bo, lubo takowe równocześnie Kraj petersburski w oddziale swym literackim pomieszcza, nie każdy najprzód z tendecją tego pisma się zgadza, a powtóre ma je zaraz pod ręką. Tak zaś mamy *in extenso* czarne na białem to, co nam się wszystkim nader podobało, ale czego dla głębokości myśli i poglądów, a szybkiej i niewyraźnej pronuncjacji autora — prelegenta, na razie objąć i zrozumieć nie mogliśmy.

O obydwóch odczytach da się powiedzieć, że uwidoczniają w nich się główne zalety ich autora, trzeźwy i jasny wykład i pogląd na rzeczy, głębokość zdań i myśli, unikanie frazesów i treściwość stylu. P. Spasowicz rzucił w nich i rozwinął dużo nowych poglądów na stosunek Mickiewicza z Puszkinem, przedstawił nam ten stosunek w jak najkorzystniejszym dla obu poetów świetle, ale czy odkrył u Mickiewicza nowe zapatrywania, nieznane nam dotąd, może jakie jego poezye, wpływ donośny Puszkina? Cały traktat

jest treściwy i zwięzły, odmówić mu tego bynajmniej nie chcemy i nie możemy, ale czy w nim nie występuje zawsze na plan pierwszy osoba Puszkina, jego do Rosyi ówczesnej, i jej literatury stosunek, jego wpływ na nie, rozwój polityczny, a Mickiewicz na tem nie wychodził po macoszemu? Przyznam się, że z tematu czego innego spodziewaliśmy się po autorze; to co dał, ważnym i doniosłym może być przyczynkiem dla literatury rosyjskiej, nam nie wiele nowych poglądów i myśli Mickiewicza dotyczących ukazuje, a przecież sam autor na str. 36 powiada: że „temat rozmowy był olbrzymi, największy może w warunkach dziejowych nietylko 1828 r. ale i dzisiejszych, krytyczny pogląd na osobę, a zatem i na dzieje Piotra W...“ czemuż więc autor okazał się tak skąpym ze swym krytycznym poglądem włożonym w usta Mickiewiczowi? Skoro sam temat rozmowy obu poetów olbrzymim nazwał, czemuż dłużej nad nim się nie zastanowił, a zamiast tego badał i rozwijał przed nami genezę „miedzianego jeźdźca“ Puszkina, interesującego nas w każdym razie mniej od utworu Adama? Również program i plany „grudniowców“, które autor tak obszernie analizuje, (str. 56—59) mało nas tu obchodzić mogą. W ogóle autor przedstawił nam po mistrzowsku całą postać i charakter Puszkina na podstawie najnowszych źródeł i samodzielnych swych badań, opracował postać poety, dla którego Mickiewicz bez wątpienia wiele miał przyjaźni i szacunku, ale nie przedstawił nam tego, czegośmy się po temacie spodziewali.

Trzecią z rzędu rozprawką jest krytyczna analiza znanego wiersza Mickiewicza do Lelewela przez Romana Pilata. We wstępie powiada autor (str. 81), że „wpływ Lelewela na świat literacki Mickiewicza“ dotąd zupełnie jeszcze jest „nieopracowanym“ i dlatego na początek rozebrać pragnie znany wiersz Adama pisany w r. 1822 do Lelewela, „w którym znajdujemy widoczne ślady tego wpływu“. Zaznajomiwszy nas z genezą wiersza i uprzytomniwszy okoliczności, wśród których powstał tj. „gdy Lelewel w trzy lata po opuszczeniu uniwersytetu wileńskiego powołany został znowu do Wilna w grudniu 1821 r., tym razem na stałego profesora“, a Mickiewicz w imieniu i z upoważnienia kolegów, chcących zrobić mistrzowi owacyę, wierszem tym hołd i uwielbienie wszystkich Lelewelowi składał.

Podzieliwszy wiersz pod względem treści na trzy części (I. 1—100; II. 101—202; III. 221—226), zwraca p. Pilat głównie na to uwagę, że Mickiewicz reprodukuje w nim poglądy Lelewela, „zarówno na historyografię, jakoteż na dzieje powszechne“, mianowicie w części pierwszej rozwija pogląd na historyografię, lub jak ją Lelewel nazywał także historyką, w następnej dzieje powszechne, od najdawniejszych czasów aż do najnowszych przechodzi, w trzeciej i zarazem ostatniej wielbi charakter i zasługi Lelewela. Tę część wiersza, jako najkrótszą i najmniej treściwą, bo ogólnikowo tylko zasługi Lelewela, jako historyka wychwalającą, a z zapatrywaniem jego najmniejszego nie mającą związku, pomija p. Pilat zupełnie. Natomiast dwom pierwszym kilkanaście stronic (84—94) poświęca. Odszukanie w wierszu Mickiewicza wyrażen, myśli i poglądów Lelewelowskich i zestawianie takowych z równo lub podobnie brzmiącemi słowami i ustępami w dziełach i poszczególnych historycznych rozprawkach uczonego historyka, np. „Historyka“, „O historii“, „Jakim ma być historyk“¹, „O łatwym i pożytecznem nauczaniu historii“ i t. d., nader skrzętne i pilne, a z filologiczną oddane sumiennością. W ciągu całej swej rozprawki dowodzi autor ustawicznie, jak wszystkie wyrażenia, sądy historyczne znajdują się jak najwyraźniej w dziełach i wykładach Lelewela, a „niektóre rysy powtarzają się nawet dość dokładnie“ (str. 92). Z drobiazgową sumiennością cytuje je autor wszystkie, tak, że bodaj tam już coś nieodkrytego pozostało, bo nie zapomina on nawet o tak drobnych szczegółach, jak wzmiankę o przybieraniu herbów, (str. 92).

Oczywiście tylko u Lelewela sucha, historyczna proza, u Mickiewicza natomiast poezya obrazowa, pełna przenośni i fantazyi. Forma wyrażenia zatem główną zapatrywań różnicę u obu stanowi, jakkolwiek przyznać się musimy, że jeżeli w którym, to w tym wierszu Adama, obok niezaprzeczonego blasku i uroku pogodnej a obrazowej jego muzy, nie mniej może zwykłej mu swobody wyrażen i rymu napotkaliśmy, najmniej odznaczającej go tak niezwykle od niższych w Apolinie braci twórczości poetyckiej i poetyckiego polotu. Temat wiersza nie nadawał się bez kwestyi do tego, to też,

¹ Tyg. wil. V, 374—375.

uznając zasługę p. Pilata w sumiennem odszukaniu Lelewelowskich poglądów w wierszu Mickiewicza, nie odmawiamy jego rozprawie wartości, niestety tylko czysto-filologicznej natury.

Zatrzymaliśmy się dłużej może jak należało nad rozbiorem trzech pierwszych rozpraw „Pamiętnika“, nie pozostanie wiele miejsca na omówienie reszty, a tu ich tyle i tak różnorodnych!

Już sam tytuł drugiego oddziału *Miscellanea* dowodzi rozmaitości rzeczy i przedmiotów.

Jedną z najsympatyczniejszych rozprawek „Pamiętnika“ jest — naszym zdaniem — praca p. Fr. Konarskiego „O erotyku Mickiewicza: Gdybym się zmienił w wstęgę złocistą“. Dlaczego utwór ten nie został przydzielony do oddziału pierwszego „rozpraw“, doprawdy wytłumaczyć sobie nie umiemy. Według naszego mniemania, mówiąc z Panem Tadeuszem „i z wieku i urzędu“ ten tytuł jej się należał, bo i forma wdzięczna i treść odpowiednia i długość wreszcie na rozprawę oddzielną wystarczająca (str. 97—113). Zaznaczywszy tak na wstępie wartość rozprawki i wagę, jaką do niej przypisujemy, wypada nam choć kilka na to przytoczyć dowodów.

We wzorowej swej ocenie dzieła p. Chmielowskiego „Adam Mickiewicz“, zamieszczonej w oddziale IV. Pamiętnika str. 210—220, a o której niżej jeszcze słów kilka powiemy, podnosi prof. Nehring, że „szczególniej interesującą byłaby kwestya, czy Mickiewicz wpisał, czy nie wpisał pannie Henryecie Ankwiczównie wiersza: „Gdybym się zmienił w wstęgę złocistą“, nie wchodząc już wcale w kwestyę sporną, kiedy ten wiersz był napisany i nie wchodząc w inne równie delikatne kwestye“. Oczywiście, kiedy czcigodny profesor tę recenzję swą pisał, nie znał jeszcze zapewne rozprawki p. Konarskiego, w której, naszym zdaniem, niektóra „delikatna“, nawet kwestya owego erotyku na zawsze już wyjaśnioną została, lubo tego, czy do D.D., czy do Henryety Ankwiczówny był pisany, nie rozstrzyga. Zaznaczywszy na wstępie, że do autorstwa erotyku przyznawało się oprócz Mickiewicza dwóch jeszcze poetów, niejakiś Mikołaj Wąż i Cyprian Norwid, a wykazawszy następnie bezzasadność twierdzeń Norwida, jakoby on także podobny erotyk napisał, stawia p. Konarski najsamprzód pytanie, czy Mickiewicz, czy Wąż jest autorem wiersza, a gdyby za takiego Mickiewicz słusznie mógł być uważa-

nym, natenczas czy go napisał w Odessie, czy w Rzymie, czyli innymi słowy, czy pisał go w albumie Ewuni, czy też D. D.

Z nieznanym „zaściankowym“ poetą, Mikołajem Wężem, obchodzi się p. Konarski nader grzecznie, gdyż nie odmawia on mu bynajmniej autorstwa owego erotyku, udowadnia tylko, i w tem odszukaniu jego największą zasługą, że w wydaniu licznych poetów greckich Tb. Bergka podobnej treści wiersz się znajduje¹, którego mógł znać i naśladować Mikołaj Wąż, tak samo jak i sam Mickiewicz. Nie przeczyśmy, że przez to odkrycie p. K. aureola wdzięku i uroku, jaka dotychczas ów erotyk otaczała, o wiele się zmniejsza i ginie, z drugiej jednak strony wdzięczni być powinniśmy autorowi, że wynalazł punkt wyjścia, i że nie potrzebujemy bynajmniej autorstwa owego erotyku Mickiewiczowi odmawiać. Co się zaś naśladownictwa alias przeróbki poetycznej tyczy, to już z tą myślą oswoić się musimy, że obok całego uwielbienia i podziwu talentu i geniuszu, jakie mamy dla naszych poetów, od wpływu obcych, a mianowicie Greków na ich i najmisterniejsze i za najbardziej samodzielne nieraz uchodzące utwory, obronić ich rzadko tylko możemy².

Ale nie tylko jeden wierszyk greckiej antologii mógł natchnąć Mickiewicza (niemniej i Węża) do napisania owego erotyku, p. K. odszukał jeszcze i drugi, którego podobieństwo widoczniejsze i bardziej w oczy bijące. Szczupłość ram naszych nie pozwala nam niestety rozszerzyć się nad nim, do samej więc tylko rozprawki p. K. odesłać musimy czytelnika. Tutaj dodajemy tylko, że i dalsze wywody autora, jakkolwiek na pozór zbyt może problematycznej natury, nadzwyczaj są misterne i głęboko pomyślane. Porównanie romantycznego poety polskiego z klasycznym lirykiem greckim wcale udatne i zgrabne, a czas, w którym Mickiewicz, wielbiciel starożytnych poetów, mógł się zajmować liryką grecką, trafnie, zdaje się, na lata 1815/16 przeniesiony, nie mniej i wpływ wykładów Żukowskiego na Mickiewicza szczęśliwie odszukany.

¹ Str. 1022—3 scolion 19 i 20.

² Nawet oryginalność wiersza Kochanowskiego:

„Szlachetne zdrowie,
Nikt się nie dowie...”

została w ostatnich czasach zakwestyonowaną i oryginal grecki zacytowany, który na razie uszedł naszej pamięci.

Nie przypisując do notatki Mickiewicza o Bürgerze p. Wł. Belzy (str. 113—118) zbytnej wagi, jakiej i sam autor jej nie przypisuje, ważniejszym natomiast wydaje nam się być odkrycie p. Alberta Zippera, że wiersz Mickiewicza zatytułowany „The meeting of the water“ nie jest nie tylko naśladowanym, ale dosłownie prawie tłumaczonym z Tomasza Moora „Irish Melodies“, a jako taki nie między oryginalnymi, jak dotychczas poezjami Adama, ale między przekładami miejsce znaleźć powinien. Wiadomość o rękopisie poematu Mickiewicza „Kartofla“ podana przez p. Maryą Święcicką, córkę Aleksandra Mickiewicza, za pośrednictwem ks. J. Siemieńskiego, ważną jest dla nas, lubo nie odsłania mgły dotychczas utwór ten otaczającej. Doniosłą również jest rozprawka p. Wł. Belzy, że w wierszu „Panicz i dziewczyna“ nie dwie ostatnie strofy, ale części poematu są pióra A. Mickiewicza. Świeżo bowiem jeszcze p. Chmielowski, używając, zdaje się, pierwszej edycji poezyi Odyńca, dwie ostatnie strofy tylko Mickiewiczowi przyznał nie wiedząc, że Odyńiec pisząc „strofy“ pomylił się tylko w terminologii. Na podstawie otrzymanych kilku autografów Mickiewicza, podał ks. J. Siemieński niektóre z nich warianty, a mianowicie do wierszy Adama: „Do Matki Polki“, „Do mego Cicerone w Rzymie“ i „Do Maryi Łempickiej“. Wdzięczność należy się szanownym właścicielom za dostarczenie autorowi tych autografów cennych poety, a jemu (Ks. J. Siemieńskiemu) serdeczne słowo podzięk za zakomunikowanie ich szerszej publiczności.

Rozwiązania a raczej odpowiedzi czeka następny elaboracik p. Henryka Kopii: „Czy to wiersz Mickiewicza“, dla braku miejsca i czasu pozostawiamy razem z autorem znawcom poezyi i życia Mickiewicza danie nań kategorycznej odpowiedzi. Małej wagi zdają nam się być „Warianty pieśni Filaretów“; a przytoczenie naśladowania „Farysa“ nieznanego poety uważamy za całkiem tutaj niepotrzebne i nie na miejscu. Niechajby i on, jak inne poronione płody z „Farysomanii“ spoczął lepiej na wieki w rękopisach! Natomiast ważnem jest udowodnienie p. Henryka Kopii, że śliczny wierszyk „Na twą pierś białą spadł śnieżek biały“ niesłusznie w wydaniu poezyi Mickiewicza z r. 1880 przypisywany jest autorowi Pana Tadeusza, kiedy wiadomem jest dobrze, że autorem jego nie jest kto inny, jak Fr. Morawski. Sympatyczne głosy cudzoziemców

o Mickiewiczu, jako to Uhlanda i jakiegoś Anglika w gazecie „The Academy“ ładnie kończą oddział „Miscellaneów“ pochlebnymi obcych o naszym pocięciu sądami.

W oddziale III. zamieszczone zostały korespondencye, wspomnienia, pamiątki.

Rok temu hr. Marya z Tyzenhauzów Przeddziecka darowała Bibliotece Jagiellońskiej znaczny zbiór listów pisanych do Lelewela w latach 1806—1830. Z tych listów, które pisali do uczonego historyka nieomal wszyscy w świecie naukowym wybitniejsi wówczas Polacy (Baliński, Bentkowski, Brodziński, Gołębiowski, Maciejowski, Malinowski, Osiński i t. d.), zebrał p. *M. Stankiewicz* wszystko i najdrobniejsze szczegóły i wzmianki dotyczące Mickiewicza, podając wyjątki aż z 49 listów. Chciał bo też autor, jak powiada (str. 146), w ogóle materyał dotyczący Mickiewicza wyczerpać w całości, co też zdaje się i uczynił, ale naszem zdaniem, nie potrzebował wypisywać i jako przyczynki do rozświetlenia nam życia i pism Adama podawać, tak blahych szczegółów z rodzinnego życia poety, jak np. list 7. str. 149 z listu Mikołaja Malinowskiego, ...Mickiewicz już do zdrowia przychodzi...; albo list 10. str. 150 Wysockiego ...Adam milczy, nie śpiewa, bo głodny, a Franciszek milczy i zapomina o swych kolegach, bojąc się głodu...; lub 29. str. 161 z listu Mikołaja Malinowskiego ...Adam zdrów i wesół, komu Adam winien jest staranie w wydrukowaniu dzieł swoich w Paryżu...“ i tego rodzaju mało mówiących wzmianek więcej jeszcze przytacza autor. Mimo całej czei i poszanowania, jakie mamy dla naszego wieszcza, wątpię, aby kogo zbyt dziś obchodzić mogło, którego dnia maja 1825 r. Mickiewicz czuł się zdrowszym, którego słabszym, albo proste zapytanie Malinowskiego, komu „Adam zawdzięcza wydrukowanie swych dzieł“, mogące naówczas interesować piszącego list, lecz dziś?... jest to pietas dla mistrza zanadto daleko posunięta — niedorzeczna!

Ne quid nimis! Wracając się do podanych przez p. Stankiewicza wyciągów, dodać winniśmy, że tu i owdzie podał nam i rzeczywiście ciekawy szczegół z życia Adama¹, jeśli to zasługa jego, a nie listów. Powodu jednak autora, dlaczego nie zamieścił owych

¹ Patrz list 16, 19 i t. d.

dwóch obszernych listów Mikołaja Malinowskiego z 28/12 1827 i 7/3 1828 r., ponieważ już były kiedyś oddzielnie drukowane, nie aprobujemy, dla dopełnienia chociażby całości powinny były tu figurować, a zresztą, jak wiadomo, najbogatsze one w treść, o jaką tu chodzi.

O zamieszczonych dalej listach już to samego Mickiewicza, już to tylko osób z nim kiedyś w bliskich pozostających stosunkach obszerniej mówić brak czasu, miejsca i potrzeby wreszcie. Ciekawą jest wzmianka p. Ładzica o literze „N.“ w podpisie Mickiewicza, lubo przypuszczenie jego, że przy bierzmowaniu poeta przyjął imię Napoleona, jak sam powiada, bardzo wątpliwe. Jest jeszcze kilka wdzięcznych wspomnień o Mickiewiczu w dalszym ciągu tego oddziału, ale te już pominąć jesteśmy zmuszeni.

Następuje oddział IV., a w nim pomieszczone recenzje i sprawozdania listów, wydań, opracowań i rozpraw Mickiewicza i o Mickiewiczu. Zdawać recenzję z recenzji, lub sprawozdanie ze sprawozdania nie naszą tu rzeczą, mogło nam się w nich to i owo podobać lub nie, jednakże nie tu miejsce i pora występować z tem, wszakże na jedną z nich pragnęlibyśmy zwrócić uwagę, jako na krytykę wzorową, recenzję przeprowadzoną z nadzwyczajną akuratnością a głęboką wiadomością rzeczy i znajomością przedmiotu, jaką się odznacza opracowanie Wl. Nehringa dzieła p. Chmielowskiego „Adam Mickiewicz“ (str. 210—220). Nie złem jest i opracowanie p. Zdźisława Hordyńskiego „Poglądu na poezję polską w pierwszej połowie XIX. stulecia“ p. Chmielowskiego (str. 220 do 222). Również trafnością zdań i poglądów odznacza się druga ocena tego autora zamieszczona na str. 224—229. Inne jako pomniejszych pomijam.

W oddziale V. „Pamiętnika“ zamieścił p. Stankiewicz bibliografię o Adamie Mickiewiczu za rok 1886. Bibliografia za rok ten nader obfita, a wzbogacona mianowicie wydaniem poezyj Adama w 3 tomach Piotra Chmielowskiego, dalej wydaniem krakowskiem Wl. L. Anczyca i wreszcie — lwowskiem księgarni polskiej. Wszystkie trzy ocenił wyżej (str. 203—5) A. Brückner.

Kronika wydziału „Pamiętnika“, jak to nie mogło być inaczej, ogranicza się na kilku ogólnych uwagach dotyczących się jedynie zawiązania się Towarzystwa. Wreszcie zamieszczony jest statut

Towarzystwa, a spis rzeczy zamyka ten pierwszy rocznik, nie roszczący sobie, jak sama redakcyja pisze (str. VI.), wielkich pretensyj, a lubo podaje nam go ona jako „owoc jeszcze w zawiązku“, to jednak i tym owocem niejeden śmiało nasycić i delektować się może.

Kończymy wyrazem uznania tak dla redakcyi, jak dla jej współpracowników, a lubo życzylibyśmy sobie w przyszłości więcej rozpraw samodzielnych nad dziełami Mickiewicza, mniej za to szczegółów drobnych, a niewiele rozświetlających, przeciwnie nieraz tylko niepotrzebny chaos do ustalonych raz już zdań wprowadzających, mamy nadzieję, że redakcyja w przyszłości i temu zaradzi.

K. B.

Konfederacya Spytka z Melsztyna przez *Antoniego Prochaskę*. Lwów 1887 r.

Sam tytuł książki wskazuje, że autor przedsięwziął swe studyum na szerokiem polu dziejowem. Imię bowiem przywódcy konfederacyi Korczyńskiej łączy się tak ściśle z imieniem Zbigniewa Oleśnickiego i obu pierwszych Jagiellonów. Długosz, kronikarz owej epoki, wszystkie te wydarzenia sobie współczesne zapisał, a p. Prochaska, wczytując się pilnie w księgi historyka, daje nam cenne i zajmujące studyum uzupełnione innemi źródłami, wyświecającami fakty, może zbyt jednostronnie przez Długosza podane. Długosz, jak wiadomo, należał do przeciwnego Spytkowi obozu i sławił mądrość rządów Oleśnickiego — autor zaś niniejszej pracy z niewiarą odrzuca świadectwo nestora historyków naszych.

Śmierć Władysława Jagielly zastała Polskę zaledwie z Litwą połączoną, a wielki ten fakt dziejowy spełniał się powolnie i pracowicie; historia przekazuje nam jak liczne były do zwalczenia trudności... gmach budujący się niejednokrotnie drżał jeszcze w podstawach swoich. Czy więc Oleśnicki popełniał taką intrygę, jak zarzuca mu p. Prochaska, starając się o utrzymanie na tronie dynastyi Jagiellońskiej, przyprowadzając, z nielegalnym trochę pośpiechem, naród do złożenia przysięgi młodemu Władysławowi; a ujmując rządy w dłoń silną, chociażby i żadną władzy, czyż nie odwraca wiele przypuszczalnych klęsk od ojczyzny. Dalej znowu zdaje się mieć za złe autor Oleśnickiemu, że nie sprzął wyniesieniu na tron czeski Władysława. Co nam znowu wydaje się całkiem logiczne, gdy przypomnimy sobie, że stronnictwo czeskie w Polsce było całkiem husyckie — że z Czech płynęła herezyja, której biskup sprzyjać nie mógł. Fanatyzm to był, według p. Prochaski, my jednak dodamy, że nie tak dalece nie polityczny, jak to się w następstwach okazało, co zaś pożałowania może być jedynie godnem, że kanclerz w tej polityce nie wytrwał i nie odradził młodzieńkiemu Władysławowi przyjęcie korony węgierskiej. Wschód domagał się troskliwego oka kierowników państwa — Litwa i Ruś powoływały Polskę do prawdziwej i przez Boga wskazanej sobie misyi cywilizacyjnej — korona zaś czeska czy węgierska mogła tylko dogodzić dumie na-

rodowej, ale sięgnięcie po nią było nieprzebaczalnym błędem politycznym. Kto wie, czy Oleśnicki nie przewidywał tych wszelkich następstw — które długą pokutą nie dały się naprawić, kosztowały życie króla i tyle krwi...

Przechodząc zaś po kolei do stronnictw w Polsce, p. Prochaska przyznaje, że rządziła niemi wielka prywata. Oleśnicki i cały zastęp panów stojących przy tronie, nie chcieli władzy z rąk wypuścić, innych gniewało, że jej osiągnąć nie mogli lub utracili. Jak Spytek, przez niepamięć królewską na zasługi rodzica, zawiązywali więc konfederacye — te objawy życia średnich wieków, mające zawsze cele obrony własnej, często jednak, jak u nas w Polsce, źle bardzo rozumianej. Pan Prochaska sam oglądał oryginał aktu konfederacyi Korczyńskiej w metryce litewskiej w Petersburgu (a co nie mało podnosi wartość pracy) — podaje dosłowny wypis z oryginału z podpisami szlachty, która do niej przystąpiła. Z tego wypisu wysnuwa autor najwięcej zajmujący ustęp swojej książki dowodząc, jak mylił się Długosz, upatrując żywioł anarchiczny w konfederacyi Korczyńskiej — gdyż ta ostatnia miała tylko na celu obronę praw drobnej szlachty uciśnionej przez możnowładztwo. P. Prochaska śledzi za tą szlachtą i pokazuje nam, jak zaledwie po upływie lat kilku, obdarzone łaskami Kazimierza Jagiellończyka, przy boku jego staje bez zawiści żadnej i dostarcza tem królowi materiału do podparcia idei monarchicznej w Polsce. Pozwolimy tylko sobie dodać, że w każdym razie był to materiał surowy — podziwiając rękę, co z niego użyteczny żywioł wydobyć musiała. Cały szereg konfederatów korczyńskich wynosi król do wysokich godności, a my raczej widzielibyśmy w tem dowód, że nie przekonanie, ale warcholstwo było prawdziwym powodem konfederacyi.

P. Prochaska idąc za Szujskim robi porównanie konfederacyj polskich z niemieckimi, słuszne robiąc wnioski, że o ile one były dodatnią stroną życia wewnętrznego nowych sąsiadów, u nas miały cechę rewolucyjną i ujemną, choć jedne, jak Borkowica, były wyraźnie skierowane przeciw władzy monarszej, drugie zaś kryły się pod puklerz obrony własnej, mniej faworyzowanych przeciw możnowładztwu.

Taką była niezawodnie konfederacya Spytki z Melsztyna, której p. Prochaska przeciwstawia zawiązaną po upadku jej konfederacyą przy boku królewskim, a choć niechętny Oleśnickiemu autor powiada, że przywódcą ich musiał być biskup, kiedy naród przyrzeka naprzód wierność Kościołowi, a następnie królowi — przyznaje jej jednak, że jest zbiorem uchwał i praw prawdziwie rycerskich.

Jeszcze słówko winniśmy powiedzieć o ciekawych spostrzeżeniach, jakie robi p. Prochaska nad spisem nazwisk szlacheckich podpisanych na akcie konfederacyi Spytki, wykazując nam, jak mało dygnitarzy zaciągnęła w swoje szeregi. Widzimy ich bowiem tylko dziewięciu na 168 nazwisk podpisanych — wtedy kiedy konfederacya z 1438 r. liczyła członków 44, z których 33 zajmowało pierwszorzędne dygnitaryste. Herby skonfederowanych badał także autor, a choć mu stało na przeszkodzie znaczne uszkodzenie pieczęci przy oryginalnym akcie konfederacyi Korczyńskiej, dopełnił jednak poszukiwaniem i dał nam spostrzeżenie bardzo ciekawe, nie dostrzegając pomiędzy stronnictwami żadnych nienawiści herbowych, pomimo, że jedne i te same herby dawały się widzieć w przeciwnych obozach. Jednoherbowość jednak widocznie łączyła konfederatów Spytkowych, a więcej może jeszcze pokrewieństwo i powinowactwo,

które autor umiał pracowicie odnaleźć, przytaczając całe rodowody przedniejszych członków i słuszenie robiąc uwagę, że w braku przewodniej idei, one łączyły jednostki, rozdmuchiwały wojownicze usposobienie narodowe.

M. S.

Nauki katechizmowe o prawdach wiary i obyczajów katol. Kościoła według średniego katechizmu Deharba. Tom IV. Wydał ks. J. Stagraczyński. Poznań, nakł. księgarni katol. 1887.

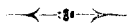
Jednem z najważniejszych obowiązków każdego duszpasterza jest wykładanie i nauczanie prawd wiary. Gorąco, rozumnie, gładko powiedziane kazanie robi chwilowy efekt, unosi na chwilę, ale niewzruszone zasady życia i moralności chrześcijańskiej kładzie dokładna znajomość Boga i jego praw. Objaśnianie więc tych tajemnic wiary naszej ma być tematem najzwyczajniejszym kazań.

Ażeby dopomóc w tem swoim współbraciom pracującym w winnicy pańskiej, powziął ks. Stagraczyński szczęśliwą myśl wydania nauk katechizmowych, w którychby jasno i przystępnie wyłożoną była cała religia katolicka. Pierwsze trzy tomy ukazały się dawniej i znalazły należne uznanie. Obecnie ukazał się tom czwarty, w którym szanowny autor podaje naukę o łasce i dobrych uczynkach, o sakramentach w powszechności, a dalej o trzech pierwszych sakramentach tj. Chrztu św., Bierzmowania i Eucharystyi.

W układzie swoim trzymał się autor powszechnie używanego po szkołach, zakładach i domach średniego katechizmu Deharba. Wykłada rzeczy jasno, przystępnie, a rzecz ubarwia przykładami Pisma św. i innemi, czerpanymi z Żywotów Św. lub ksiąg duchownych. Materye zwykle dzieli na pojedyncze nauki, kończąc stosowną przemową.

Jedną i drugą uwagę pozwolimy sobie zrobić szanow. autorowi. I tak nie zawsze nam się zdają jasne nagłówki, czy to w formie pytania, czy też zdania twierdzącego. I tak niedosyć zrozumiałem jest pytanie na str. 51 „Kiedy dobry uczynek jest zasługą?“, na str. 63 „O jakie przedewszystkiem uczynki trzeba się starać?“ albo na str. 152 „Czem są chrześni rodzice?“. Dobra intencja nielogicznie pomieszczona w dziale najprzedniejszych uczynków, kiedy jej właściwe miejsce było przy wyliczaniu, czego potrzeba, aby dobry uczynek był zasługującym przed Bogiem. W dwóch naukach o „Nawiedzeniu N. Sakramentu“ brak rozkładu, i stąd się autor powtarza. Uwagi te bynajmniej nie ujmują wartości dzieła, które istotnie zasługuje na uznanie i wielką pomoc przynieść może wszystkim opowiadaczom słowa Bożego.

Z. B.



Philosophia moralis, seu Institutiones ethicae et juris naturae sec. principia philosophiae scholasticae, praesertim S. Thomae. Suarez et De Lugo. Methodo scholastica elucubratae a *Julio Costa* — *Rosetti*, Sacerdote Soc. Jesu. Oeniponte 1886.

Od dość dawnego już czasu dawał się odczuć brak etyki, opartej na zdrowych chrześcijańskich zasadach, a uwzględniającej nader obfity materiał poglądów, systematów i zarzutów, nagromadzonych przez nowszych autorów.

Brakowi temu ma zaradzić niniejsza książka; czy wysokiemu temu a trudnemu zadaniu autor podołał? Erudycya w nim wielka, znajomość gruntowna najnowszych i dawniejszych mistrzów, zwłaszcza św. Tomasza, Suaresa i De Lugo, których widocznie obrał sobie za przewodników w moralnej swej wędrówce. W czym tylko nie idzie w ślady św. Tomasza, to w jasności i przeźroczystości, którą tak słusznie, a tak bardzo słynie Doktor Anielski. Wielka to szkoda, bo jeśli nigdy, to dzisiaj najmniej ciemność wykładu nie jest i nie może być znamięniem i, jak się z przekąsem niektórzy lubią wyrażać, właściwą cechą i przymiotem filozofa.

W wielu kwestiach odznacza się autor jasnością, właściwą głębszym umysłem; jest jednak dość spora liczba takich, w których podziały i podpodziały, za liczne w jednym dowodzie, utrudniają jego zrozumienie. Taką n. p. jest cała kwestya wstępna, o *celu ostatecznym*. Za to odznacza się prawdziwą głębokością i jasnością zarazem traktat o obowiązkach względem Boga, siebie i bliźnich. Uwzględnia tu autor wszystkie najważniejsze trudności nowoczesnych, obszernie je rozwija i zbija.

Najważniejszą bezwątpienia całej tej pracy częścią jest jego traktat *de societate humana*. Jeśli kiedy, to za dni naszych, daje się czuć gwałtowna potrzeba wszechstronnego zgłębienia tej kwestyi. Trzeba śmiało zająrzeć wszelkim trudnościom w oczy, nie lękać się żadnego zarzutu, na każdy umieć z godnością, spokojem, ale i z siłą przeciwnikom odpowiedzieć. Pod tym względem nie autorowi zarzucić nie można.

Pierwszy dział (Pars IV.) *de jure politico* §. 1 przedstawia nam najsamprzód historię prawa politycznego, następnie wyjaśnia kwestyę o istocie i zadaniu społeczeństwa i władzy świeckiej. Z postawionych zasad wyprowadza następnie dwa bardzo ważne wnioski: 1) że z natury swej religia i moralność osób prywatnych nie podlega bezpośrednio władzy państwa, 2) że rodzina nie jest również bezpośrednio pod zwierzchnictwem władzy postawiona.

Dział drugi obejmuje kwestyę o pochodzeniu państwa i władzy państwowej. Autor stawia teorię scholastyczną, jako jedynie prawdziwą, choć o ile nam się zdaje, nie we wszystkiem dotarł do samego jądra prawdy. Rozróżnia władzę *in abstracto* i władzę *in concreto*, o pierwszej mówi, iż bezpośrednio od Boga pochodzi, jako sprawy natury i społeczności ludzkiej, co do drugiej utrzymuje, iż pośrednio pochodzi od Boga, bezpośrednio zaś od ludzi. Uczony filozof stara się wprawdzie uwolnić tę teorię od zarzutów czynionych Rousseau'owi i całą tezę temu poświęca, nie ze wszystkiem jednak usiłowania te mu się udają. Wszak prócz powyższego zdania jest inne, również między scholastykami utarte, a rozwinięte obszerniej przez nowszych, że władza, tak w oderwanem swem pojęciu, jak i w konkretnym podmiocie władzę piastującym, bezpośrednio od Boga pochodzi. I to zdanie, co najmniej, wydaje nam się bezpieczniejszem.

Ostatni dział poświęca O. Costa-Rosetti stosunkowi władzy politycznej do majątków a w ogóle wszelkich posiadłości swych poddanych, nie dosyć to znana a piękna kwestya. Autor nie pomija żadnego z ważniejszych, dawnych i nowych systemów; obszernie zastanawia się nad teoryami postawionemi przez współczesnych socyalistów; wreszcie rozwija i uzasadnia na chrześcijańskim gruncie oparte i z niego wyrosłe teorie socyalne.

Całość pracy wywołuje w czytelniku zadowolenie, że wszystkich ważniejszych pytań autor dotknął, i na wszystkie odpowiedział z głęboką znajomością rzeczy, a na zarzuty przeciwników z prawdziwym taktem. Gruntownością poglądów, może śmiało stanąć nowe to dzieło obok Taparellego, a spodziewać się można, że w następnych wydaniach i w innych pracach, podjętych na tem tak ważnem polu, dorówna i jasnością wykładu temu prawdziwemu w tym kierunku mistrzowi.

W. D.

Die christliche Staatslehre, nach den Grundsätzen der Encyklika vom 1 Nov. 1885., von Chr. Pesch S. J. — 1887.

Encyklika Ojca św. z 1 listopada 1885 r. jest jednym z owych słonecznych promieni, który przedzierając się przez ciemne obłoki błędów naszych czasów każdemu, kto chce widzieć, wskazuje ścieżkę, którą winniśmy postępować, jeśli nie chcemy runąć w przepaść, która pochłonęła tyle ofiar, już to jednostek, już to państw całych. Autor rozważa przedewszystkiem dwie nauki, dwie, że tak powiemy tezy tej encykliki, mianowicie, że państwo jest utworem socyalnej natury ludzkiej, i że, jako takie, ma pewien naturalny, jemu wyłącznie właściwy cel. Sposób traktowania tej sprawy przez O. Pesch'a jest jasny, zrozumiały i poglądowy. Trzyma on się w środku między pozytywnym przeprowadzeniem dowodu, a krytyczną odprawą poglądów swoich przeciwników. Zawiazek państwa, cele tegoż i stosunek państwa do Kościoła, oto punkta, według których autor myśli swoje porządkuje. 1. Państwo jest utworem prawa natury — a więc nie jest dziełem czystej samowoli, przeto pochodzi od Boga. Idealem państwa jest związek wszystkich państw świata. Te wywody, w których autor łączy się głównie z Suarez'em, były narażone na ciężkie zarzuty ze strony protestantów, którym zdawało się, że O. Pesch przyznaje za wielkie pole ludzkiej wolności. 2. Najwyższym celem państwa jest wielbienie Boga, podstawą — obyczajowo-religijny charakter władzy państwowej, a najbliższym celem zwiększenie dobra publicznego. 3. W jakim więc stosunku do Kościoła winien pozostawać państwowy ustrój społeczny, właściwe jego cele i środki? Trzy tezy według O. Pesch'a przedstawiają naukę encykliki: Kościół i państwo są we własnym zakresie działania zupełnie samodzielnymi; państwo i Kościół powinny się nawzajem uprzejmie wspierać; Kościołowi winno być przyznanem pierwszeństwo przed państwem w razie jakiegos konflikty.

Szczupłość dzieła nie dozwoliła autorowi wykazać, w jaki sposób głównie Chrześcijaństwo, a właściwie jedynie katolicyzm przyczynił się do pełnego rozwoju państwa. Przy tem wszystkim nadzwyczajaj słusznymi i zupełnie na czasie postawionemi są ustępy, omawiające pytanie rozdziału państwa od Kościoła, o stosunku tych władz do siebie i nieprawych roszczeniach państwa do wyższości nad Kościołem w bardzo i bardzo wielu praktycznych kwestyach. Nauka Kościoła o państwie jest tak prostą, byle przedstawić ją bez domieszki fałszu, musi przekonać i podbić umysł każdego nieuprzedzonego myśliciela. Niestety, nowoczesne wychowanie tak krzywi w tym względzie pojęcia, a po książkach i dziennikach każdy z tak opaczniemi o tej kwestyi raz po raz spotyka się zdaniem, że katolicy autorowie formalnie są zmuszeni całą prawdziwą naukę również raz po raz na nowo powtarzać i przypominać. Jednem z takich przypomnień i to przypomnień najlepszych i najgruntowniejszych w swym rodzaju jest właśnie niniejsza książka.

Ks. A. Arndt.

Die Gegner „Edgars“ und ihre Leistungen von Ludwig von Hammerstein. Frier. 1887.

Młody prawnik Edgar, ochrzczony przez protestanckiego pastora, ale w gruncie rzeczy w nic nie wierzący, zachorował ciężko w czasie wycieczki do Anglii. Oddano go do szpitala sióstr miłosierdzia i tutaj poznał pewnego Jezu-

tę wydalonego z Niemiec. Edgar wdał się z Jezuitą w dysputy religijne o Bogu, religii, świecie, Kościele i odzyskał nie tylko zdrowie ciała, lecz i zdrowie duszy, tak, że opuszczając szpital był już gorącym katolikiem, a niebawem został zakonnikiem.

Oto treść książki¹ napisanej w lekkiej, powieściowej formie, ale w gruncie bardzo poważnej, a która w Niemczech obudziła silne wrażenie i silniejsze jeszcze gniewy. Zwłaszcza krytyka protestancka napadła na Edgara z niepomowaną złością. Broszura, której tytuł w nagłówku wypisaliśmy, jest odpowiedzią na tę niechętną i niesłuszną krytykę. Zacytowawszy dosłownie recenzje trzynastu najpoważniejszych czasopism i gazet zwalcza każdy z osobna. Wiele z nich zwłaszcza te, które zamiast zbijać „Edgara“, zadowolili się kilku przewiskami mającemi ośmieszyć jego autora, ledwie zasłużyły sobie na wzmiankę, bo z tego rodzaju krytyką niepodobna wojować; natomiast z paru innemi, jak np. z *Bauhütte*, urzędowego organu wolnomularzów, ciekawa wywiązała się dyskusya. O Hammerstein na str. 12 i nast. przedstawił program działalności loży z r. 1879, odsłaniający najdokładniej tajemnice tego piekielnego związku. Na twierdzenie „*Bauhütte*“, że wszystko to czezym jest tylko wymysłem, udał się O. Hammerstein do źródła, z którego program otrzymał, tj. do biskupa w Grenoble, a tenże w liście dołączonym do broszury, odpowiedzialność za autentyczność przytoczonego dokumentu w zupełności na siebie przyjął i wyjaśnił według Leona Taxila praktyczne zastosowanie tegoż programu. Nadto dołączył O. Hammerstein rozmaite fakty i niezbite dotąd orzeczenia znaczniejszych wolnomularzy, a zwłaszcza Blandschliego, Floryana Schmidta i innych, skutkiem czego „*Bauhütte*“ w replice swej, nie próbując nawet zbic nowych zarzutów, laje tylko i wymyśla równie biskupowi jak i Jezuitcie. Dla ludzi dobrej woli, dość jasny to sposób przyznania się do winy.

Recenzenci berlińscy zwłaszcza *Post*, nabożne *Deutsh ewangelische Kirchenzeitung* i jeszcze pobożniejszy od nich nadworny kaznodzieja, pastor Stöckel, na jasne statystyczne wywody, którymi O. Hammerstein wykazał, że socyalizm, upadek moralności, prostytutuya, w ogóle zbrodnie wszelkiego rodzaju są w krajach protestanckich o znaczny procent liczniejsze, niż w katolickich, wzruszają tylko milosiernie ramionami lub zadowolniają się prostem, na niczem nie opartem przeczeniem. Na nie się im ta wygodna taktyka nie przydała, bo O. Hammerstein w niniejszej swej broszurze nie tylko wykazał zupełną bezpodstawność wygłoszonych z trójnoga zaprzeczeń, lecz owszem, wezwawszy na pomoc statystykę urzędową, bardziej jeszcze dowód swój potwierdził i rozszerzył. O zarzutach a raczej obelgach rzuconych na O. Hammersteina, Jezuitów, Papieża i t. p. i mówić nie warto; tego rodzaju zarzuty wskazują chyba wielkie zakłopotanie obrońców protestantyzmu, pragnących uwagę czytelnika w inną odwrócić stronę. Mimo, a raczej dla wszystkich tych nietajonych gniewów, i niedyplomatycznych obelg, jest równie „Edgar“, jak i odpowiedź na protestancką krytykę tak nielojalnie z „Edgarem“ walczącą, dobrą i bardzo dziś na czasie apologją prawdy, apologją, która niejednemu już pewnie oczy otworzyła.

¹ Zdaliśmy z niej sprawę w *Prz. Powsz.* T. XI. str. 437.

Dessins d'ornemens de Hans Holbein. Facsimile en fotogravure. Texte par Ed. His. Bâle 1887.

Muzeum Bazylejskie posiada znaczną ilość kartonów Holbeina; stróżem zaś tych skarbów jest obecnie znakomity estetyk i miłośnik sztuki p. Edward His. Za inicjatywą znanego tego pracownika na polu sztuk pięknych wyszła niniejsza publikacya zwracając na siebie uwagę równie piękną zewnątrz, jak i tekstem wyszłym z pod pióra wielkiego znawcy i krytyka.

P. His podaje w swej pracy dużo biograficznych szczegółów o Holbeinie, zestawiając w bardzo zajmujący sposób wpływ na ornamentacyjną sztukę XVI. stulecia dwóch najznakomitszych w tym zawodzie mistrzów. Prawie współcześni sobie Benvenuto Celini i Hans Holbein obaj nie wzdragają się dawać rysunki swoje do robót rzeźbiarskich i złotniczych; stąd sztuka uszlachetniona do dziś nam przekazuje bogatą swoją spuściznę, miłośnik piękna sam nie wie któremu z mistrzów ma oddać pierwszeństwo, bogata kompozycya Celiniego, szczęśliwa kombinacya kolorów złota i drogich kamieni pociągają nie-mało, rysunek zaś Holbeina, w którym obok włoskiej szkoły czuć zasilek nowych teutońskich pomysłów, zniewala do oddania hołdu temu nowemu objawowi życia. Według p. His wpływ Holbeina był stanowczym, jego zasad trzymają się mistrzowie w ornamentacyjnej a mianowicie w złotniczej sztuce aż do czasów Ludwika XIV., w której to epoce przewrót w pojęciu sztuki stał się zupełny, choć nie zawsze szczęśliwy. Późniejsze odkrycia zabytków sztuki starożytnej jak Greckie, Etruskie, Egipskie i Assyryjskie zwróciło sztukę ku naśladownictwu, odejmując jej twórczość, która tak obficie płynęła z pod ołówka Holbeina.

Strona techniczna wydawnictw p. His'a nie pozostawia do życzenia. Fototypia umiejętnie użyta reprodukuje z zadziwiającą wiernością w znacznej części wielkości naturalnej kartony mistrza. Tablic liczymy przeszło pięćdziesiąt; motywów zaś kilka set. Zastosowanie tych ostatnich do sztuki nowoczesnej łatwo może mieć miejsce i, jak mówi p. His, ma tę wyższość, że się nie dadzą tak dalece jak greckie lub egipskie spospolitować, gdyż wykonanie zawsze musi być staranniej, nie pozwalając złotnikowi udawać się do mechanicznych sposobów tak wiele dzisiaj używanych w złotnictwie, a degradujących sztukę.

Przypatrzmy się teraz tablicom. Pierwsza przedstawia puchar złoty z pokrywą brylantami zdobną, na przedniej stronie pachołeta podtrzymują cyfrę H. J. i herb królowej Aug. Joanny Seymour. Tabl. II. i III. naszyjnik nadzwyczaj bogatego rysunku, perłami z niezwykłym wdziękiem zdobny i wiązanami literami H. J., własność zapewne nieszczęśliwej tejże królowej. Współ z kilku innemi jeszcze rysunkami pochodzą one z Londyńskiego *British Museum*, gdzie się rysunki te przechowują, jako pamiątka zaginionych zabytków, bo od chwili w której Karol I. król angielski dał pozwolenie księciu Buckingham na ich sprzedanie, zginęły bez wieści dla artystycznego świata.

Jeszcze jeden rys charakterystyczny zaznaczyć musimy, że te same klejnoty dają się odnaleźć na portretach przez Holbeina malowanych, co dowodzi, że według tych wzorów sztuka złotnicza te arcydzieła wykonała. Wszystkie te kartony należą do najlepszej epoki Holbeina, kiedy mistrz przebywał na dworze Henryka VIII. Dalej znowu spotykamy rysunek łuku tryumfalnego dla Henryka VIII. i Anny Boleyn, odnoszący się do tegoż czasu.

Następnie kartony do okien, własność muzeum Berlińskiego i Bazylejskiego, projekt dekoracyi organu w Bazylei i piękniejszy nad wszystko rysunek ołtarza N. Panny z dzieciątkiem; figura jest tak wdzięczną, dziewczącą i piękną, że i sam Holbein nie równie pięknego nie wyrysował. Na zakończenie wspomnieć musimy o kartonie przedstawiającym „Zwiastowanie“, i o pięciu tablicach (X. — XV.) zawierających mało znane, bo będące w prywatnem posiadaniu kartony Męki Pańskiej, prawdziwe *pendant* do słynnych kartonów o tymże przedmiocie, które stanowią bogactwo kolekcyi bazylejskiej.

J. S.

Le Comte Pellegrino Rossi, sa vie, son oeuvre, sa mort, par le comte Henry d'Ideville, avec un portrait par Heuner. 1 vol in 8° p. 312. Paris 1887.

Rzadko który, nie tylko z współczesnych, ale i z dawniejszych dyplomatów i mężów stanu przedstawia w sobie tyle rzeczywistych, czy może tylko pozornych sprzeczności, co Rossi. W młodości komisarz cywilny króla Joachima, później professor prawa w Paryżu, ambasador francuski w Rzymie występujący tamże z całym dyplomatycznym aparatem przeciw — Jezuitom, wreszcie minister Piusa IX. za sprawę papieską przez sekciarzy zamordowany; Rossi jest w życiu swoim jakby obrazem różnych prądów, uwidaczniających się w historii pierwszej połowy naszego wieku, a życiorys jego, choćby już z tego tylko powodu, musi być nie tylko ciekawym, ale i pouczającym. W niniejszej biografii ma to tembardziej miejsce, że dla autora nie istnieją żadne tajemnice dyplomatyczne, i że z równą swobodą i pewnością siebie wypowiedzieć umie i chce swe zdanie o każdej z licznych karyer interesującego swego bohatera. Najważniejsze naturalnie są ostatnie chwile Rossiego, zbadanie przyczyn, ostateczne wykrycie podżegaczy i wykonawców popełnionego na nim morderstwa. Autor z dokumentami w rękę wskazuje na zbrodniarzy, którzy jedynie mogli mieć i mieli interes w zabiciu Rossiego, i wyśmiewa śmieszną bajkę składającą ten mord na Jezuitów i tak zwane „stronnictwo czarne“. W ogóle cała książka hr. d'Ideville przepełnioną jest bardzo ciekawymi, w pewnej części nieznanymi dotąd szczegółami, które każdy, interesujący się historią Kościoła katolickiego w naszym stuleciu, a w szczególności każdy bardziej interesujący się pontyfikatem Piusa IX., z pożytkiem i przyjemnością odczyta.



SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Rocznica zaboru Rzymu. — Telegram króla Humberta. — Kwestya rzymska a konferencya w Friedrichsruhe. — Odezwanie się *Timesa*. — Broszura „List Papieża a Włochy urzędowe“. — Mowa na wiecu nauczycielskim w Paryżu. — Modlitwa kardynała Gibbonsa. — Rozwój Kościoła katolickiego w Stanach Zjednoczonych.

Dzień 20 września rocznica zaboru Rzymu przez wojska piemonckie, miał stać się, w myśli nieprzejednanych wrogów Kościoła, uroczystym protestem zjednoczonych Włoch przeciw tak żywo i z tak różnych stron w ostatnich czasach poruszonej kwestyi pojednania Watykanu z Kwirynałem. Komitety i dzienniki rewolucyjne gotowały się od dawna i usiłowały przygotować ludność do obchodu tego „narodowego święta“, jak *Diritto* smutną tę rocznicę radził urzędownie odtąd nazywać. Napróżno parę spokojniejszych dzienników z liberalną *Opinione* na czele, starało się uśmierzyć gorączkowe te zapaly, przedstawiając nie bez słuszności, że ciągle na wszystkie tony i przy każdej sposobności powtarzane zapewnienia: Jesteśmy w Rzymie i w Rzymie zostaniemy, nie godzą się ani z poczuciem własnej siły, ani z wiarą w głoszone hasło, bo ten tylko, kto się obawia coś utracić, musi co chwila dodawać sobie otuchy i zaręczać innym i sobie samemu: tego wziąć sobie nie pozwolę. „Nikt nie obwieszcza i nie obwołuje raz po raz „tego, pisała bardzo słusznie liberalna *Italie*, co żadnej nie podlega

„wątpliwości. Pojąć prawdziwie nie możemy ślepoty radykałów, nie „widzących na jakie niebezpieczeństwo się narażają, pchając do tej „manifestacji“. *Opinione* i *Italie* postawiły doskonałą, zupełnie prawdziwą zasadę; ale myśli czerwonych rewolucjonistów nie tak trudno odgadnąć. Kwestya rzymska wystąpiła w tym roku na jaw z nową siłą, głośniej niż kiedykolwiek i dlatego zjednoczone Włochy pragnęły zagłuszyć trapiące wątpliwości głośniejszemi niż zwykle manifestacyami.

Manifestacje odbyły się, lecz raczej śmiesznością niż chwałą okryły swych twórców i propagowane przez nich idee. Po raz pierwszy wprowadzie rząd włoski, jakby chciał uspokoić skrajne rewolucyjne żywioły i zaręczyć, że wbrew pewnym pozorom, nie myśli odstąpić doświadczonych swych stronników, kazał reprezentacji wojskowej figurować przed *Porta Pia*; ale mimo tego kroku, mimo energicznych nawoływań dzienników, Rzymianie zebrali się w bardzo szczupłej liczbie na miejscu uroczystości i z pewnym podziwem patrzyli na tablicę, mającą upamiętnić zdobycie Rzymu a ozdobioną dwoma chorągwiami: rzymskiej rady miejskiej i łoży wolnomularskiej. Mowy wypowiedziane przez syndyka Rzymu, księcia Torlonię i przez niejakiego Giovagnoli harmonijnie odpowiadały wywieszonym sztandarom; Torlonia wypowiedział kilka szumnych, nieznaczających frazesów, Giovagnoli rzucił się z prawdziwie sekiarską zaciekłością na Watykan, Syllabus, Leona XIII., projekt pojednania Włoch z Papiestwem, a wreszcie na Niepokalane Poczęcie Matki Bożej. Wieczorem odegrano w teatrze „Manzoniego“ dramat p. t. „Dwudziestego września“, a w czasie przedstawienia tego wykazała się dopiero w całej brzydocie swej i nagości złość sekiarska przeciw Kościołowi i duchowieństwu; odsłonił się nieukrywany już cel, dla którego wolnomularstwo tak wytrwale, nie przebierając w środkach, zdążało do zaboru Rzymu. Sala teatralna zmieniła się jakby w jakąś jaskinię zbójów lub dawnych garybaldczyków; zwłaszcza na widok kardynała odgrywającego jedną z głównych a najobrzydliwszych ról, odzywały się ze wszech stron dzikie groźby i krzyki. Gdyby cztery petardy rzucone przed paru godzinami w stronę Watykanu i Bazyliki św. Piotra przez nieznanego jakiegoś, a raczej nieschwytanego zbrodniarza, wysadziły były w powietrzu ostatnie schronienie pozostawione Ojcu św., tłum zgroma-

dzony w teatrze odprawiałby pewnie swe bachanale na świeżych gruzach i zgłiszczach; zamach nie udał się, więc przynajmniej w teatralnej sali trzeba sobie było choć w części wynagrodzić zawiedzione nadzieje.

W tymże samym dniu król Humbert, odpowiadając na telegram syndyka Torlonii i robiąc alluzję do bliskiego jubileuszu papieskiego, pisał dosłownie: „Rzym pokaże całemu światu w niezadługo mającej nastąpić szczęśliwej okoliczności, że starając się o rozumny postęp społeczny we wszystkich kierunkach, potrafi oświadczyć pewną i zaszczytną gościnność wszystkim, którzy przybędą złożyć swą cześć Najwyższemu Pasterzowi, a jednak nie przestanie być jednocześnie stolicą silnego i wolnego narodu“. Król kreśląc tę depeszę, widocznie nie wiedział jeszcze ani o petardach rzuconych na Watykan, ani o beczonych scenach odegranych nieurzędownie w teatrze *Manzoni*, a urzędownie przed *Porta Pia*; w każdym razie sceny te okazały aż zbyt jawnie, na jaką to „pewną i zaszczytną gościnność“ liczyć mogą pielgrzymi, zdążający do Papieża uwięzionego „w stolicy silnego i wolnego narodu“. Zresztą, aby najmniejszej w tym względzie nie pozostawić wątpliwości, *Capitale* i pokrewne jej duchem gazety, zaprotestowały głośnie przeciw królewskiemu telegramowi, jako „aktowi niekonstytucyjnemu, przedsięwziętemu bez porady odpowiedzialnych ministrów“; a zakupiony niedawno temu przez Crispiego dziennik *Capitan Fracassa* w dłuższym artykule wyśmiewał i naigrawał się z *Indisposizione Vaticana*, jak nazwał urządzaną na cześć Ojca św. przez katolików całego świata watykańską wystawę. Dalej jeszcze posunął się deputowany do parlamentu Hektor Ferrari w mowie wypowiedzianej na biesiadzie, wyprawionej przez „Demokratyczne Towarzystwo Judyty Tavani“; zacytujemy ostatni ustęp tej mowy dla pokazania, jaki ton panuje w dziennikach, na uroczystościach i zgromadzeniach tolerowanych, a nawet popieranych przez ten sam rząd, który w obec Europy mówi wciąż o szczęśliwym położeniu papieża i o swym dla Niego szacunku.

„Obowiązkiem naszym jest walczyć bez przerwy przeciw wiecznemu naszemu wrogowi... Obywatele! w mury rzymskie wślizguje się era pojednawcza; ale my stać będziemy czujnie, bez wytchnienia na straży i przeszkodzimy temu cudzołóżniczemu, wstręt-

„nemu połączeniu. Nie myślimy się zajmować ani zdrącejmy wpły-
„wami, znajdującymi gościnność po kościołach; ani dziećmi odby-
„wającymi długie podróże, aby otrzymać księżę błogosławieństwo;
„ani telegramami kryjącymi w sobie przesiąkniętą wa-
„tykanizmem zamiary. (Oklaski) Naszym obywatelskim obo-
„wiązką jest pozbyć się księdza; w chwili, w której masy zro-
„zumieją, że ksiądz równie jest niepotrzebnym przy urodzinach,
„jak i przy śmierci, w tej chwili skończy się panowanie czarnego
„tego upioru“.

Nie hamująca się w wyrażeniach coraz bardziej w ostatnich czasach rosnąca złość radykałów włoskich, bądź co bądź, daje do myślenia; czyżby może zwątpili o możebności utrzymania Rzymu w swych rękach i zamyślali o użyciu ostatecznych środków, do których przed kilkunastu laty uciekła się paryska komuna, gdy przekonała się, że nie ma już dla niej ratunku? To pewna, że mimo wszelkich zaprzeczeń, kwestya rzymska coraz bardziej zyskuje na żywotności i coraz natężniej domaga się rozwiązania, występując na jaw, zaprzatając opinię, budząc coraz nowe nadzieje i gniewy przy każdej sposobności. Zaledwie Crispi, dawny spiskowiec a dzisiejszy prezes włoskiego ministerium, podążył niespodzianie na tajną konferencyę z księciem Bismarkiem do Friedrichsruhe, a natychmiast ze wszech stron posypały się pytania: Czy podróż ta jest w jakim stosunku do uregulowania nienormalnego i niemożliwego stanowiska Papieża; czy Bismark dlatego głównie wezwał do siebie Crispiego, aby osobiście przedyskutować z nim konkretne warunki możliwego pokoju między Watykanem a Kwirynałem? Liberalne dzienniki włoskie energicznie zaprzeczyły tym pytaniom; kwestya rzymska, mówiły jedne po drugich, choć nie bardzo podobno własnym swym słowom wierzyły, jest przecież kwestyą czy-sto wewnętrzną, Papież jest poddanym włoskim, jak każdy inny, i nawet nie podobna przypuszczać, aby kanclerz niemiecki wdawać się miał w domową kłótnię między rządem króla Humberta a jednym z jego poddanych. Dla nadania tym wywodom pewnej cechy prawdy, wymyślił sprytny jakiś reporter, czy redaktor *Gazety Frankfurckiej* całą długą rozmowę z Crispim, w której tenże miał się wygadać, że książe Bismark śmiał się serdecznie ze wszystkich upatrujących w nim obrońcę świeckiej władzy papieża. Mógł Bismark

śmiać się, mógł się i nie śmiać; w każdym razie wrzekoma owa rozmowa z Crispim, była, jak dowcipnie wyraziła się *Riforma*, nie *dyalogiem*, lecz *monologiem* zbyt bujną imaginacją obdarzonego redaktora, który dla większego efektu własne swe słowa i zapatrywania włożył w usta włoskiego ministra. „Kto nie utracił jeszcze „zupełnie zdrowych zmysłów, zauważa słusznie florencka *Nazione*, „ten nigdy nie uwierzy, aby p. Crispi w czasie swej podróży „z Friedrichsruhe uważał za stosowne zwierzać się z tego pierwszemu „lepszemu dziennikarzowi, co myśli o kwestyi watykańskiej, lub „o pochodzie Rosyi na Konstantynopol“.

Jeśli nawet włoska prasa, która z pewną naiwną natarczywością starała się i stara się wmówić w opinię, że żadne zagraniczne państwo nie ma prawa mieszać się do kwestyi rzymskiej, i że zresztą nikt na świecie o tę kwestyę się nie troszczy, nie przykładala zbyt wielkiej wagi do sprawozdania podanego w *Gazecie Frankfurckiej* i do dziś dnia pewnego niepokoju ukryć nie może; to prasa francuska, a w znacznej części niemiecka i angielska przekonana jest, że jednym z głównych powodów konferencyi w Friedrichsruhe było ułożenie konkretnych punktów, na podstawie których zmienićby się mógł dzisiejszy wrogi, nienaturalny stosunek Włoch do papieństwa. Wedle informacji zaciągniętych przez *Figaro*, Bismark, jako „stary przyjaciel Włoch“, radzić miał zmianę dotychczasowych praw gwarancyjnych na prawo międzynarodowe, stawiające papieża i jego niezależność pod opieką wszystkich mocarstw; Crispiemu miał ten plan — zresztą nie dziś po raz pierwszy postawiony — bardzo przypaść do smaku i wywołać zapewnienie, że król Humbert z pewnością bez trudności nań się zgodzi. „Z ogólnej sytuacji, pisze *Kreuzzeitung*, wynika z prawdopodobieństwem zbliżającym się do pewności, że kwestya rzymska „jest dziś przedmiotem poważnych roztrząsań. Czy na razie rozchodzi się o zabezpieczenie wolności obchodu jubileuszu papieskiego, „czy o zaprowadzenie pewnego *modus vivendi*, czy o zawarcie stałego pokoju między królem a papieżem, powiedzieć trudno; ale „widocznem jest, że rozprawy o pojednaniu stronników papieskich „z domem sabaudzkim toczą się zupełnie na seryo“. Jaśniej jeszcze i dosadniej wyraża się korespondent paryski do londyńskiego *Timesa*, głośny i znany Blowitz, streszczając rozmowę, którą miał

mieć z powodu zjazdu w Friedrichsrube, z pewnym włoskim mężem stanu:

„Kocham i życzę mej ojczyźnie szczęścia i rozwoju jak największego, „miał mówić ów mąż stanu, ale pomimo tego trudno mi nie wyznać, — a w tym „względzie zgadza się zemną bardzo wielu mych współrodaków, że rozważając „za pośrednictwem jakich to środków Rzym został stolicą Włoch, odzywa się do „dzisiejszego dnia w sercach naszych uczucie niechęci i, rzekłbym niemal, upokorzenia. „Weszliśmy do Rzymu wbrew przyjętym przez nas honorowym zobowiązaniom. „Skorzystaliśmy z chwili, w której Francya, — a jej właśnie złożyliśmy to „uroczyste zobowiązanie, — została zwyciężoną, w której uwaga całej Europy „została pochłonięta przez straszną wojnę 1870 r. Z potężną armią rzuciliśmy „się na starca w gruncie rzeczy bezbronnego, mogącego zaledwie okazać, że „bronić się pragnie i tylko sile ulega. Zajęliśmy Rzym i ogłosiliśmy go sto- „licą Włoch. Następnie, mimo wszelkich protestów, domieszaliśmy jeszcze ironię „do naszych czynów. Ogłosiliśmy prawa gwarancyjne, z których papież ani razu „nie zrobił użytku, a pomimo tego zatrzymaliśmy je i chlepieli się z nich, jak „gdyby prawo dające pewnej osobie jakieś gwarancyje, mieć mogło jakiegokolwiek „znaczenie, jeśli też sama osoba prawa tego uznać nie myśli i nie chce. Wszy- „stko co w tym względzie powiedziano dotąd i co jeszcze powiedziećby się „dało, nie zmienia sytuacji; to jest zle i w niem leży rzeczywista przyczyna, „uwłaczająca naszej godności narodowej i osobistej“.

„Prawda i poprostu wyznać to należy: inaczej działać nie mogliśmy. „Gdybyśmy nie byli zajęli Rzymu, musielibyśmy zwalczyć rewolucję, mogącą „wystawić na sztych całe dzieło tak mozolnie od r. 1859 przyprowadzone do „skutku. Dzisiaj, niebezpieczeństwo to już nie istnieje. Dość jesteśmy siłnymi, „możemy więc już nie oglądać się na rewolucyjne groźby, a słuchać jedynie „głosu honoru i sumienia... Mając obok siebie papieństwo, powinniśmy w niem „mieć nie wroga, lecz przyjaciela i pomocnika. Potrzebna jest i konieczna dla „nas rzeczą, aby papież był, lub przynajmniej ogłosił, że jest wolnym, nie „przeciw nam, ale z nami i za naszym pośrednictwem. Dotykamy tu kwestyi „najdelikatniejszej i najbardziej skomplikowanej ze wszystkich, które kiedykol- „wiek zajmowały polityków europejskich. Mówię o kwestyi rzymskiej. Kwestya „ta przemieniła się w umysłach Włochów w pewnego rodzaju przesąd, a wiesz „Pan dobrze, jak trudno walczyć przeciw przesądom całego narodu“.

„Biorąc rzecz z drugiej strony, dlaczegoż tak silnie trzymamy się Rzymu? „Nie łatwo na to odpowiedzieć. Nikt z nas miasta tego nie lubi. Najnieprzy- „jemniejsza to, najniekorzystniejsza położona stolica na całym świecie i najnie- „zdrowsza, mimo wszelkich przedsięwziętych dotąd wysiłków, aby uczynić ją „przynajmniej znośną w tym względzie. Król zwłaszcza na pierwszym miejscu „nie cierpi Rzymu. Już sama myśl, że obok siebie ma tego starca, — Papieża, „jest mu nieznośną. Inni monarchowie nie przyjmują ponawianych zaprosin „i nie przybywają do Rzymu, nie chcąc rozgniewać króla i wypłacać nie milego „figla jego polityce, a obawiając się zarazem pewnych trudności nieuniknionych „w dzisiaj przez nas zajętej, fałszywej pozycji. Mamy do rozporządzenia mia- „sto nadające się wybornie na stolicę: Florencję, pomimo tego pozostajemy „w Rzymie na przekór głosowi sumienia całego świata, na przekór fundamen- „talnym zasadom dyktowanym przez zdrowy rozsądek, a dziś nikt nie śmie

„jawnie wystąpić z propozycją przeniesienia stolicy włoskiej ze Rzymu, choć „każdy wie, że zgoda z papieżem stałaby się możliwą dopiero od chwili, w której Rzym przestałby być siedzibą rządu włoskiego, a wolny papież objąłby „rządy nad wolnym Rzymem“...

Czy powyższa rozmowa miała, czy nie miała miejsca w rzeczywistości, o to mniejsza; w każdym razie samo pojawienie się jej w kolumnach *Timesa* i znaczenie, jakie odrazu z różnych stron jej przypisano, wykazały dostatecznie, jak wszędzie i wszyscy widzą, że kwestya rzymska w dotychczasowym swem stadium pozostać nie może. Nowym dowodem w tej mierze było powszechne a gorączkowe zainteresowanie się broszurą p. t.: *List Papieża a Włochy urzędowe*, spowodowaną listem papieża do kardynała Rampolli, a wysłaną, jak później się okazało, z pod pióra utalentowanego a znanego ze swych sympatyj dla Włoch, publicysty Rendu. W dość długim szeregu, jędrnym a energicznym językiem skreślonych rozdziałów, autor udowodnił, że obranie Rzymu na stolicę Włoch było, jest i pozostać musi niefortunnym eksperymentem, zainaugurowanym przez szkołę doktrynerów, wielbionym dzisiaj jedynie przez tych, którzy dobrowolnie zamykając sobie oczy na ubiegłą i współczesną historję, niczego z niej uporeczywie nauczyć się nie chcą. Liberalna prasa włoska usiłowała z początku ważną tę broszurę zabić milczeniem, i kto wie, czy do dziś dnia taktyki tej by się nie trzymała, gdyby nie figiel spleatany przez starego szermierza skrajnego liberalizmu, Bonghiego, który niespodzianie wystąpił w *Liberté* z otwartym listem do Renduego, zgadzając się z nim w niektórych ubocznych punktach, sprzecząc we wszystkich zasadniczych. Bonghi jest bezwątpienia zręcznym i utalentowanym publicystą, lecz tą razą zbyt niewdzięczną sprawę wziął w rękę, tak, że nie tylko nie podał żadnego nowego, niezbitego dotąd sto-krotnie dowodu, ale nie zabłysnął nawet żadnym błyszczącym, podbijającym wrażliwe wyobraźnię frazesem. Jedynym skutkiem odezwy Bonghiego było, że dziennikarze włoscy, radzi nie radzi, zająć się musieli całą tą polemiką, choć dla uratowania sytuacji zaklinali się wspólnie z *Opinione*, że „rozhodzi się tu o kwestyę dziś nie istniejącą“.

„Otóż, odpowiada słusznie a dowcipnie *Figaro*, co to znaczy być pe-
wnym siebie, trumfować bez wielu kosztów i zachodów! Kwestya rzym-
ska dziś już nie istnieje!: tysiące ust krzyczą na zabój, magiczną tę for-

„mulkę, każdego poranku dwieście dzienników dowodzi poważnie jej prawdziwość. Ależ zlitujcie się, łaskawi panowie, jeśli tak silnie jesteście o tem przekonani, pocóż dnia każdego siłić się na nowe dowody? Co się mnie tyczy, powtórzę słowa Bonghiego: „Czujemy potrzebę zatwierdzenia przy każdej sposobności i bez sposobności, że Rzym jest naszą stolicą. Uważajmyż nieco lepiej na siebie, bo wyglądamy na ludzi, którzy, pragnąc przekonać się stanowczo o posiadaniu nóg, uważają za swój obowiązek raz po raz się ich dotykać“. P. Crispi oświadczył: „Zupełnie nam jest obojętnem, co się dzieje, lub co kto mówi w Watykanie“. Powinienby był jeszcze dodać: „Co się dzieje, lub co kto mówi na całym świecie“. — Słyszałem o pewnem zwierzęciu, które, aby uniknąć niebezpieczeństwa, ukrywa łeb po za drzewo, a nie widząc myśliwego mówi samo do siebie: „Teraz mnie nie widzi“. Przed nie tak jeszcze wielu laty nie byłbym nigdy uwierzył, żeby ojczyzna Machiawela puścić się miała na tego rodzaju politykę“.

Prawdziwe i słuszne wyrazy, ale w niejednym razie i względzie mogliby je niestety! Francuzi i do siebie zastosować. Jakże np. nazwać i w jakich słowach wyrazić się o bankiecie urządzonym przez radykałów włoskich z powodu rocznicy zdobycia Rzymu i o jeszcze śmieszniejszym telegramie *Obywatela Douville-Maillefeu* w którym tenże dość charakterystycznie złączył w jednym okrzyku radość swą z istnienia rzeczypospolitej francuskiej i z nieistnienia doczesnej władzy papieskiej? Nie mówimy nawet o nowych gwałtach spełnionych znowu na zakonnicach, wypędzonych z domów i szpitalów dla nich postawionych; gwałty te powtarzają się systematycznie, w regularnych odstępach czasu, wedle ściśle określonego planu, dążącego do zupełnego usunięcia wszystkich i każdego, kto swą suknią zakonną jest żywym protestem przeciw niemoralności i niewierze, a umysły tak się do gwałtów tych przyzwyczaiły, że już prawie oburzać się na nie przestały. Co gorsza, dorastające dziś pokolenie, oddycha w bardzo znacznej części zatrutem, prawdziwie zabójczem powietrzem i wcześniej już kształci się na przyszłych prześladowców i wrogów wszystkiego, co Boże i święte. Aby powziąć wyobrażenie, jakie wpływy krążą między nauczycielami rządowymi we Francyi i jakie nauki uczniom swym podają, dość zacytować ustęp z mowy wypowiedzianej przez niejakiego Dubois, na odbytych we wrześniu pod protekcją ministra oświaty, wiecu nauczycielskim w Paryżu:

„Wskazując uczniom, głosił mówca, a nikt nie pomyślał o przywołaniu go do porządku, na podziwienia godzien łańcuch przez naturę utworzony, którego ściśle złączonemi ogniwami są zwierzęta, rośliny i minerały, pouczamy,

że zwierzę czerpie życie z rośliny, roślina z minerału, a tem samem, że my ludzie winniśmy mineralom ruch, myśli i światło. W ten sposób pozbyliśmy się fałszywego zapatrywania się na świat. W ten sposób fizjologia wyrzuciła jako niepotrzebne graty, wszystkie dogmata, zabobony i kłamstwa. A przecież znajdują się ludzie, którzy zowią nasze nauki szkodliwymi, groźnymi dla społeczeństwa, a nie zważają, że wyrosły one z wiedzy i umiejętności“.

Jakże inne, a po tylu szaleństwach spełnianych i wygłoszonych w imię rozumu, jakże pocieszające objawy, spotykamy na drugiej półkuli, w tak niedawno jeszcze temu nietającej swych uprzedzeń przeciw katolikom północnej Ameryce, będącej dzisiaj żywym przykładem żywotności Kościoła, uwolnionego od kajdan nakładanych nań przez despotyzm, mniejsza o to przez kogo wywierany: przez ulicę, króla czy parlament. Księża, biskupi, wszyscy katolicy amerykańscy nie ustępują nikomu w miłości swej ojczyzny, jej praw i urządzeń, a skoro tylko nadarzy się odpowiednia sposobność, nie wahają się głośno objawić tej swojej miłości. Sposobność taka nadarzyła się przy uroczystem święceniu stuletniego jubileuszu konstytucyi rządzącej Stanami Zjednoczonymi; jubileuszu obchodzonego nadzwyczaj świetnie we Filadelfii w połowie września b. r. Pod koniec uroczystości, arcybiskup Baltymorski, kardynał Gibbons, otoczony bardzo licznie zebranem duchowieństwem, ukląkł i w obecności prezydenta, ministrów, generalów, przedstawicieli wszystkich stanów i niezliczonych tłumów publiczności, odmówił przesłanną modlitwę, tę samą, którą przed stu laty ułożył pierwszy biskup katolicki, a osobisty przyjaciel Waszyngtona i Franklina, ksiądz Carrol, tę samą, która później przez długie lata, aż do nieśczęsnej wojny domowej, powtarzana była w amerykańskich kościołach:

„... Prosimy Cię Panie, modlił się kardynał, spuść Ducha twego, Ducha rady i mocy na prezydenta Stanów Zjednoczonych... Niechaj Boska Mądrość Twoja przewodniczy Swem światłem obradom kongresu, niechaj jasne Jej promienie świecą nad jego pracami, niechaj przenikną prawa ułożone dla kierowania i rządzenia nami, aby przyczyniając się do zachowania pokoju, przyczyniały się również do wzrostu narodowego dobrobytu, zachęcały przemysł, utrzymywały umiarkowanie, rozwijały pożyteczne wiadomości i zachowały nam zawsze dobrodziejstwo wolności równej i jednakowej dla wszystkich.

Prosimy Cię również i modlimy się za sędziów, za urzędników i za wszystkich, którym poruczona jest straż dobra publicznego, aby każdy z nich za pomocą wszechpotężnej Twej opieki, spełniał szczęśliwie i bez zarzutu obowiązki przywiązane do swego urzędu. Prosimy Cię w szczególności za sędziów

Najwyższego Trybunału: niechaj zawsze tłumaczą prawa według reguł przepisanych bezstronną sprawiedliwością...

... Daj nam Panie, aby chwalebne prawa konstytucji naszej wryły się głęboko w sercach i w pamięci ludu naszego. Niechaj przejmą się nią umysły wzrastających pokoleń, a tak nigdy nie wygaśnie w nich święty ogień miłości ojczyzny. Niechaj będzie węzłem tu jednoczącym i utrwalającym we wspólnem narodowem braterstwie, różne ludy i rasy osiedlające się w pośród nas. Daj, aby szacunek jej oddawany doprowadził nas do stałego społecznego porządku; aby konstytucja ta była dla nas i dla przyszłych pokoleń opiekuńczą tarczą, pod zasłoną której doczesny, dziś w udziale przypadający nam dobrobyt, nigdy nie doznał uszczerbku.

Daj, o Panie!, aby ta Rzeczpospolita nasza, z którą żadne państwo współzawodniczyć nie może pod względem doczesnego dobrobytu i rozwoju ludności, stała się również pod kierunkiem Opatrzności Twojej Boskiej, jako wzór i przykład dla wszystkich narodów, jak wolność zachowywać bez swawoli, wykonywać władzę bez tyranii.

Polecamy wreszcie nieskończonemu miłosierdziu Twojemu wszystkich naszych braci a współobywatelów zamieszkujących Stany Zjednoczone. Niechaj znając prawa Twe po trzykroć święte, będą błogosławieni; niechaj chowając je, świętości dostępują. Niech zachowają wspólne między sobą zjednoczenie i strzegą owego pokoju, którego świat dać nie może, aby używając należycie dóbr tego świata, zasłużyli sobie na uczestnictwo w wiekuistem szczęściu“.

Wzniosła, patryotyczna modlitwa amerykańskich katolików, wygłoszona w ich imieniu przez kardynała Gibbonsa, znalazła najlepsze wyjaśnienie i potwierdzenie w wypowiedzianej tegoż samego dnia mowie kanclerza archidiecezyi Filadelfskiej, którego pozornie suche, cyframi poparte wywody, nie mniejsze przecież wywierają wrażenie od natchnionych wyrazów pierwszego dostojnika amerykańskiego Kościoła:

„W r. 1791, opowiadał mowca, biskup Baltymorski Carrol, zwołał pierwszy synod, mający założyć podwaliny kościelnej organizacyi w Stanach Zjednoczonych. W r. 1827 sześciu prałatów amerykańskich zebrało się na pierwszy synod prowincjonalny w Baltymor. Po r. 1840 popłynęła ku krajowi naszemu wielka fala katolickiej emigracyi, zwłaszcza z Irlandyi i z Niemiec i od tego czasu, dzięki niesłychanemu rozwojowi, objawiającemu się u nas w każdym kierunku i pod każdym względem, postępy katolicyzmu stały się zadziwiającymi. Porównajmy r. 1787 z r. 1887. Naówczas mieliśmy 25 księży, dziś mamy ich 7658; naówczas nie mieliśmy ani jednego biskupa, dziś mamy 12 arcybiskupów i 61 biskupów. Wiek temu liczba katolików nie przenosiła 30.000; dziś wynosi co najmniej 8.000.000; nie mieliśmy seminaryjów, dziś mamy ich 36. W r. 1787 nie istniał ani jeden komitet katolicki, dziś mamy ich 88; nie istniały katolickie szkoły średnie, dziś mamy ich 593; nie istniały szkoły katolickie, dziś mamy ich 2.297, a do szkółek tych uczęszcza około 600.000 uczniów. W kraju naszym panuje w tej chwili 22 zakonów i kongregacyj męzkich i 45 zakonów i kongregacyj żeńskich. Szpitale, domy dla sierot, różnego rodzaju schronienia

i przytulki dochodzą do liczby 485. Wszystkie te cyfry wyjąłem ze sprawozdań wyszłych na rok bieżący, a cyfry te wymowniejsze są od słów najwymowniejszych. A komuż zawdzięczać mamy ten postęp, ten cudowny postęp świętej naszej wiary? Po Bogu: szcżytnej, godnej wszelkich pochwał naszej konstytucyi⁴.

Przebieg uroczystości filadelfskich to najlepsza odpowiedź dla tych, co myślą, lub mówią, że Kościół katolicki, spełniwszy pewne cywilizacyjne zadanie, dziś nie ma już odpowiedniego pola do dalszej działalności i rozwoju, i skazany jest, choć może nie na zagładę, to na bierność, martwość i ślimacze zasklepienie się w ideałach, nie odpowiadających już potrzebom naszego czasu. Takie, choć nieco jeszcze wstydliwie wypowiedziane zapatrywania spotykamy od czasu do czasu i w pewnej części naszej prasy; prawda, że też sama prasa nie wiedziała i nie wspomniała o głośnych zresztą w całym świecie uroczystościach amerykańskich, jak nie wspomniała do chwili, w której piszemy te słowa, o oryginalnem podniesieniu sprawy papieskiej przez *Timesa*, jak w ogóle zbyt często nie wie o faktach, nie interesujących może pewnych kółek czytelników tego lub owego wiedeńskiego dziennika, ale o których polscy i katolicy czytelnicy chętnie by się pewnie dowiedzieli, i dowiedzieć się mają prawo.

Ks. Jan Badeni.

Z podróży po Śródziemnem morzu.

Malta i Maltańczycy.

Sprawy Towarzystwa Żeglugi Parowej, przy którym zostawałem w Genui, spowodowały mój wyjazd na południe Włoch i północne brzegi Afryki. Podróż ta tem bardziej wypadła po mojej myśli, żem oddawna pragnął poznać ostatnie kończyny włoskiego kontynentu. Podróż moją odbyłem bez wypadku, bez większych przypadłości nieznosnej *mal di mare*, bez wspaniałego a przerażającego widoku burzy morskiej i przeróżnych wrażeń, spotykanych w opisach podróży, chociaż przeplýwałem między Scyllą i Charybdą.

Statek nasz przystanął w Korfu, lecz na ląd wysiąść nie było sposobu, gdyż nieubłagany nasz komendant, prawdziwy wilk morski, nie na żarty przyrzekł odjechać każdego, kto by się odważył, choćby na jeden kwadrans, opuścić pokład okrętowy. Łódź okrętowa, powracając z portu, przywiozła dla mnie niespodziewaną nowinę i zamiast do Tunizu miałem wysiąść w porcie La Vallette, na wyspie Malcie i tam czekać dalszych poleceń co do sprawy, w jakiej byłem wysłany. Obojętną było dla mnie rzeczą jechać do Tunizu i tam jak Maryusz na zwaliskach Kartaginy dumać nad marnościami spraw ludzkich, lub też podziwiać gospodarkę angielską na wyspie Malcie, stąd wyrażając się z włoska *far della necessità virtù* poddałem się woli tych, od których byłem zależnym.

Na drugi dzień po wyjeździe z Korfu, znalazłem się w porcie La Valetty, na wyspie Malcie... i trzy lata na niej pozostałem. Trzy lata! to spory kawał czasu, aby dobrze poznać kraik, którego granice można objąć okiem, objechać do koła w 36 godzinach. Ileż to razy potem, kazawszy podbić trzewiki mosiężnymi ćwiekami, uzbrojony potężnym koszturą, w kapeluszu ze skrzydłami jak u wiatraka, w towarzystwie poczciwego Rocca, murzyna z okolic Dongoli, a mego famulusa na Malcie, puszczałem się w głąb wyspy, chcąc się jej przyjrzeć z bliska, poznać życie i zwyczaje mieszkańców, zapytać, czy wiedzą czem dawniej byli i czy przechowali po przodkach w spuściznie pamięć swojej bohaterskiej przeszłości. Niestety! tyle razy powracałem z moich wycieczek najzupełniej rozczarowany. Od żyjących mało mogłem zaczerpnąć wiadomości o umarłych... Martwe głowy, omszone wiekami ruiny i ciemne czeluście katakumb więcej mi daleko powiedziały i więcej nauczyły! Ileż to wspomnień, ile pamiętnych w dziejach wypadków łączy się z widokiem tych skał uzbrojonych potężnymi bastyonami, z widokiem świątyń, wieżycami strzelających pod obłoki, i śladami ruin spotykanych na każdym kroku! Cała historia wędrówek narodów z północy na południe, ze wschodu na zachód, staje żywo przed oczyma, jak tylko dotkniemy stopą gruntu, zlanego krwią obrońców wiary Chrystusowej i sfanatyzowanych wyznawców proroka. Malta jeszcze przed wiekiem tak głośnie z rycerskich czynów swoich władców, kiedy to jeszcze ich galery urągały burzom i całej potęgze muzułmańskiego wschodu, dziś ta Malta bezpowrotnie stra-

ciała swoje znaczenie, a dzieje jej są już tylko wspomnieniem historycznym. Tam gdzie niegdyś wrzało życie, rozbrzmiewał szezęk oręża i rozlegały się dźwięki trąb, witające zwyciężkie galery rycerskiego zakonu, powracające z dalekich wypraw i obciążone łupami Wschodu, dziś tam słychać tylko głosy angielskiej komendy i ostre tony piszczałek szkockiej muzyki, ogłaszającej godzinę wieczornego spoczynku. Zanim mi przyjdzie dzielić się z czytelnikiem osobistymi wrażeniami i spostrzeżeniami wyniesionymi z kraju zupełnie mi dotąd nieznanego, pozwolę sobie razem z nim w zamierzechłą przeszłość prastarej Malty się cofnąć, i idąc z biegiem wypadków, doprowadzić czytelnika do chwili, w której straciła na zawsze swoją świetność, stając się anomalią w nowym ustroju państw — inaugurowanym przez pierwszą francuską rewolucję.

Po jakimś wielkim kataklizmie, wskutek którego ten niewielki szmat ziemi oderwał się od masy stałego ładu, Malta długie jeszcze wieki byłaby pustynią, gdyby śmiałość przedsiębiorcza a spekulacyjna handlarzy Sydonu i Tyru nie była, na 1500 lat jeszcze przed Chrystusem, stworzyła z niej swojej kolonii. Obszerne porty, przystanie pewne i bezpieczne już wtedy dały poznać ówczesnemu światu samotną skałę, wysuniętą na wodnej rubieży między dwoma starami kontynentami. Wartość handlowa Malty pod ludem tak przemysłowym i przedsiębiorczym jak fenicki, stała się strategiczną pod panowaniem narodów bardziej wojowniczych. Grecy oświeceńsi i ruchliwsi od Fenicyan, zawładnąwszy handlem śródziemnego morza, opanowali Ogygię, wygnali z niej tych ostatnich, a wyspę przewalili Melitą, z powodu wielkiej obfitości miodu, jaki tam znaleźli — a jak inni utrzymują — na cześć nimfy Melity, córki Dorydy i Nerse-sza. Odlamy kolumn i kapitelów, ruiny dziś już zupełnie nie kształtne świątyń i gmachów publicznych, których budowa sięga czasów pierwszego panowania Attyckiego (700 lat przed Chr.) oraz ołtarz poświęcony Prozerpinie, córce Jowisza, wiele medali brązowych z wyobrażeniem Junony i Izydy, przechowanych w muzeum staro-żytności w Lavallette, świadczą dziś o panowaniu Greków. W 528 r. przed Chr. Kartagińczycy wzbivszy się w potęgę stali się panami wyspy. Bogactwa możnej Carthago spłynęły i na Melitę, ale zarazem zwróciły na nią łakome spojrzenie i zaborcze aspiracje Rzymian. Pierwszy najechał ją i złupił Attylius Regulus, w lat kilka-

naście potem opanował Cornelius, ostatecznie jednak Rzymianie usadowili się na niej dopiero w 242 r. przed Chr., po świetnem zwycięstwie morskiem, odniesionem nad Kartagińczykami przez Kaja Lutecyusza. Rzym, asymilujący do swej własnej potęgi prowincye połączone z obszernem cesarstwem, zdawał się wiele przywiązywać wagi do tej kolonii, podniósł ją bowiem do godności kwirynalu i licznemi obdarzył przywilejami. Dobrobyt i przemysł musiały być już wtedy wysoko posunięte, gdyż poeci i historycy owego czasu zaszczytnie o stanie wyspy się odzywają. Lukrecyusz Carus i Sylwiusz Italicus opiewają w swoich rymach misterne wyroby Melity, a Cycero jeszcze wymowniejsze dał o nim świadectwo, gromiąc nadużycie rzymskich urzędników, gospodarujących na Malcie¹. Rzymianie dobrymi byli panami; wspierali handel, przemysł i sztuki; nowocześni badacze rzeczy ojezystych na wyspie Malcie, Abela i Ciantar dowodzą, że miejscowe wyroby płócienne i bawełniane miały pierwszeństwo przed innemi na rynkach rzymskich, dalej nawet, bo w Gallii i Syryi. Po upadku potęgi i cywilizacyi latyńskiej, kwitnący stan Melity musiał się zmienić pod ciężarem nawały barbarzyńców. W r. 454 Wandalowie, a wkrótce potem Goci, opanowawszy Sycylią, posuwając swoje zdobycze aż do ostatnich kończyn spustoszonego Wschodu, zagarnęli Malte. Belizaryusz, wódz cesarza Justyniana, wysłany na odebranie północnej Afryki z rąk Wandalów, opanował ją w r. 533, — ale na niej nie znalazł już Greków — ci co tam mieszkali, nie mieli ani cnót, ani nauki swoich przodków, pozostało im jedno tylko nazwisko. W 870 r. wyspa przechodzi pod panowanie Arabów. Ciemna noc średnich wieków, okrywszy swoim całunem grób największego państwa starożytności, pograżyła w długim letargu i maluczką Melitę. Dawna sława i pomyślność zgnieciona żelazem, zniszczona ogniem dzikiego gwałtu, długo nie mogła się podnieść z upadku, życie ciągnęło się w martwocie

¹ Kajus Verres, pretor Sycylii, założył na Malcie fabrykę wyrobów bawełnianych, z których rzymskie niewiasty sporządzały swoje ubrania niezmiernie zbytkowne. Cycero w obec senatu wyrzucił Verresowi chciwość, oskarżał go o rabunek sprzętów złotych i srebrnych, poświęconych opiekuńczym bóstwom wyspy, wyrzucił mu współudział w nieprawnych zyskach w rozmaitych przedsiębiorstwach — poniżając swoim postępowaniem godność rzymskiego dostojnika.

i nędzy. Z czasem jednak wszystko powoli zmieniło się znowu na lepsze. Mieszkańcy wyspy przestali narzekać na swoich nowych władców. Emirowie przebywający w Sycylii zarządzili wyspą już nie jak zdobywcy, lecz jak mądrzy gospodarze; szanowali religię chrześcijan, z ludnością obchodzili się łagodnie i nie obciążali podatkami, owszem, dla wzbogacenia jej urządzali zbrojne wyprawy na bliższe porty Śródziemnego morza. Zarazem i mieszkańcy Malty i sąsiedniej wysepki Gozzo, nazywającej się wtedy *Gaulos*, zasmakowawszy w tego rodzaju rzemiośle, zasłynęli jako najodważniejsi korsarze i na własną już rękę nie wahali się przedsiębrać łupieżkie wycieczki. Liczne porty na Malcie dawały ich statkom bezpieczne schronienie przed pogonią, prawie zawsze chybiającą celu.

Wódz przybyły z Normandyi, rozkuwszy z kajdan Sycylię w 1090 r., opanował Maltę. Arabowie poddali się nowemu władcy i zrazu zdawało się, że nie żałują panowania swoich emirów. Roger pozwolił im pozostać na wyspie, szanował ich religię, język i zwyczaje, żądał tylko nie wielkiej od nich daniny i wydania niewolników chrześcijańskich, których kilka tysięcy znajdowało się w ich rękach. Kilka lat upłynęło w cichym spokoju; Arabowie ulegli; na pozór oddani pracy, zateśknili snąc za dawniejszą swobodą, gdyż jednego dnia, kiedy wszystek lud znajdował się na nabożeństwie, zdradą chcieli opanować wyspę, sprzysiężenie jednak spełzło na niczem. Pomimo to Arabowie nie dali za wygraną — w liczbie 1200 co najdzielniejszych mężów, obwarowali się na wyżynach zwanych dotąd Kalua-ta-Bahria i długi czas zacięty stawili opór drużynie Rogera, widząc jednak niepodobieństwo utrzymania się, tem bardziej, że spodziewana pomoc z Afryki nie nadchodziła, poddali się na łaskę zwycięzcy. I tym razem Roger obszedł się z nimi po ludzku, nikogo nie ukarał śmiercią, kazał ich tylko wsadzić na okręty i zostawić na brzegach Tunisu.

Z rąk Normandów Malta przeszła w posiadanie cesarzów niemieckich, wskutek małżeństwa Konstancyi, dziedziczki Sycylii i Malty, z Henrykiem IV., synem cesarza Fryderyka Rudobrodego. Wyspa wyludniona ciągłemi wojnami na długi czas znowu utonęła w ostatniej nędzy; jedynymi jej mieszkańcami byli żołnierze i urzędnicy, niemający kim rządzić i od kogo odbierać podatków; dopiero Fryderyk II., opanowawszy w r. 1224 Kalabrię, sprowadził stąd na

Małtę kilka tysięcy mieszkańców — przeważnie rolników — którzy przez lat 50, uwolnieni od wszelkich podatków, podnieśli cokolwiek dobrobyt wyspy. Po Hohenstaufach Malta przeszła w ręce Francuzów, opanował ją bowiem Karol Andegaweński, brat króla francuskiego Ludwika IX. W 21 lat później Roger, admirał aragoński, wyrzucił z niej Francuzów, i znowu na nieszczęśliwą krainę ciężkie nad wyraz przysły czasy. Namiestnicy królestw Aragony i Kastylii tyraniizowali lud, obdzierając go i łupiąc bez miłosierdzia — napróżno deputacye, wyprawiane kilkakrotnie do stolicy, błagały króla o wymiar sprawiedliwości i ulgę w ciężarach — posłowie powracali zawsze z niczem, albo wcale nie dotarli tam, gdzie spodziewali się znaleźć zadosyćczynienie swoim skargom.

W pierwszej połowie XVI. wieku rycerze św. Jana Jerozolimskiego wchodzą w posiadanie Malty, ofiarowanej im przez cesarza Karola V. Opowiadając choć pobieżnie dzieje wyspy, przychodzi mi na tem miejscu wspomnieć kilkoma słowy o zakonie, który poczęty z jałmużny chrześcijańskich pielgrzymów pod skwarnym niebem Syryi, zasłynął najpierw jako dzielny obrońca świętych miejsc, a następnie, ustaliwszy się na wyspie Rodos a wreszcie na Malcie, stał się szansem, o który rozbijały się półtrzecia wieku wszystkie ataki muzułmańskiej nawały.

Zakon św. Jana Jerozolimskiego zorganizował się w końcu XII. wieku, kiedy Jerozolima pozostawała jeszcze w rękach niewiernych. Po zdobyciu miasta przez Krzyżowców, zakonnicy prowadzili dalej dzieło swego miłosierdzia; obsługiwali szpitale, pielęgowali rannych, bronili dróg publicznych przed napadami Saracenów, ułatwiając takim sposobem pielgrzymom z Europy sposób dostania się do grobu Chrystusowego. Głośne ich czyny sprawdziły do ich szeregów liczne zastępy zbrojnej szlachty z całego chrześcijaństwa, i od owego czasu do nazwy Jałmużników zaczęli łączyć miano — rycerzy. W skutek niezgód pomiędzy książętami chrześcijańskimi, Soraceni zdobyli Jerozolimę w 1187 r., zakonnicy zaś wynieśli się do Ptolomaidy — a po zupełnem wyparciu Krzyżowców z Palestyny — znaleźli przytułek i nowe schronienie u Lusyniana, króla Jerozolimy i Cypru, na wyspie tegoż nazwiska. Rycerze, wzmógłszy się na siłach przez nowe zastępy zbrojnych przybyśków z Europy, w 1310 r. zdobyli na greckich i muzułmańskich

kosarzach wyspę Rodos, przyjmując nazwę rycerzy rodyjskich. Ale i tam niepodobna im się było ostać, gdyż po bohaterskiej, niesłychanej w ówczesnych dziejach obronie przeciwko wojskom Solimana II., rozproszyli się po całej Europie, przebywając już to w Messynie, już to w Viterbo, to wreszcie na wyspach Hyères. Wędrowka ta trwała do r. 1530 i dopiero Karol V., przyłączwszy do swego ogromnego państwa Malte, ofiarował ją na własność rycerzom rodyjskim, zostającym wtedy pod wodzą dzielnego Wielkiego Mistrza Filipa de l'Isle Adam. Komisarze zakonu udali się bezzwłocznie na wyspę, a w jakim ją znaleźli stanie, poznajomi czytelnika ich relacya zdana Wielkiemu Mistrzowi. „Wyspa Malta jest to żywa wapienna skała na 7 mil długa, a 4 mile szeroka, pokryta ledwie na 4 stopy ziemią roślinną, prawie niezdolną do produkcji zboża, obfituje natomiast w figi, melony i winną latorośl. Handel ogranicza się na wywozie miodu, bawełny, kminu i soli. Brak tu zupełny wody studziennej, gdzieniegdzie tylko tryskają źródła w środku wyspy; mieszkańcy używają wody deszczowej zbieranej w cysterny. Drzewo sprzedaje się na wagę, lud prosty używa na opał i do gotowania nawozu bydłowego, lub dzikiego ostu, rosnącego tutaj w wielkiej obfitości. Stolicą wyspy jest biedna miescina, położona w środku wyspy, zwana Città-Vecchia, jest to niekształtna masa domów, z których połowa jest niezamieszкана; południowy brzeg wyspy nie ma żadnych portów, ani zatok, na północnym tylko brzegu jest kilka przylądków i zatok, zdolnych pomieścić wielką flotę. Widzieliśmy tu dwa rozległe porty, do których wejście broni mały zameczek, opatrzony trzema działkami i kilkoma żelaznemi moździerzami. Ludność nie przenosi 12.000 dusz, mieszkańcy ubodzy i nędzni z powodu nieurodzajności gruntu i częstych odwiedzin barberijskich łotrzyków. Klimat nieznosny, szczególnie w lecie. Wysepkę Gozzo dzieli od Malty kanał półtrzeciej mili szeroki, w środku którego leżą małe wysepki Cumino i Cuminetto. Gozzo ma 8 mil w obwodzie, nie ma tam żadnego portu, a sąsiedztwo skał podwodnych czyni przystęp do brzegów bardzo trudny i niebezpieczny. Ziemia zdaje się być urodzajniejszą jak na Malcie; mieszkańców jest 5000, rozprószonych w kilku wioskach, a licha warownia stoi na straży wysepki“.

Z chwilą objęcia w posiadanie wyspy przez zakon, Malta

zmieniła się w stanowisko wojskowe, a raczej w jeden wielki arsenał. Szczątki rycerzy rodyjskich zabrały się do energicznej pracy przy wzniesieniu murów, świątyń i domów mieszkalnych. Obrona nowej siedziby wymagała fortyfikacyj, należało je więc stworzyć dla bezpieczeństwa miejsca, będącego łakomym kąskiem dla najstraszniejszych owego czasu nieprzyjaciół południowych państw chrześcijańskich. Programem nowych władców wyspy była wojna, niebezpieczeństwo i sława. Troska W. Mistrzów zakonu nie była bez podstawy. Turcy wiele razy kusili się o zawładnięcie Malty, lecz zawsze bezskutecznie. Najkrwawszą epopeją w jej dziejach jest obrona stolicy przed całą nawałą turecką w r. 1565. Po odparciu kilkunastu szturmów, w których padło 28.000 niewiernych, a 250 rycerstwa i 7500 żołnierzy maltańskich, Wielki Mistrz La Vallette, otrzymawszy znaczne subsydia od książąt chrześcijańskich, postanowił na gruzach dawnych szanieców zbudować nowe zupełnie miasto. Przez dwa lata pracowano dzień i noc bez wytchnienia; mieszkańcy, bez różnicy płci i wieku, pomagali robotnikom, przybyłym z Włoch, Francji i Hiszpanii, wiedząc, że od pośpiechu w robotach zależało bezpieczeństwo, a może i zbawienie kraju. Wielki Mistrz nie doczekał się jednak owoców swoich zabiegów i starań, zostawiając dokończenie wielkiego dzieła swojemu następcy, którym był de Monte. Za stolicą wyspy, nazwaną odtąd La Valette, cały kraj okrył się mocnemi i trwałemi budowlami — nad brzegami powstały silne warownie, a pod ich osłoną wypłynęły wkrótce liczne galery, okrywając swoją flagę niespożytą chwałą.

Kończył się wiek XVII. Stosunki wyspy, pomimo znaczenia, jakie sobie potrafił wyrobić zakon pomiędzy państwami chrześcijańskimi, w oplakanem znajdowały się położeniu; liczne rodziny poległych w boju żołnierzy i marynarzy maltańskich pozostawały bez żadnego opatrzenia; dochody, pobierane przez zakon z komanderyj rozstrzelonych po całej Europie, zaczęły się uszczuplać, wiele dóbr będących jego własnością zostało dlań bezpowrotnie straconych, jak w Anglii, Skandynawii, Niderlandach, a to w skutek zawieruch reformacyi. Finansom zakonu groziło bankructwo, to też Wielki Mistrz de Rohan, obejmując ster rządu przedewszystkiem zwrócił uwagę na tę piekącą kwestyę. Jakoż wyprawił posła Kawabra de Sagramoso do Polski, aby wyjednał u Stanów Rzeczypospolitej

zwrot dóbr, będących własnością zakonu, a mianowicie komanderye w Wielkopolsce i W. Ks. Litewskiem, które to dobra, lubo należały do zakonu, od wielu jednak lat Wielcy Mistrzowie żadnych z nich nie pobierali dochodów¹. Zabiegi te pożądanym uwieńczył skutek. Z drugiej strony W. Mistrz de Rohan, obawiając się, aby z ziemiami polskimi, które niedawno przeszły w ręce rosyjskie, dobra będące własnością zakonu nie zostały bezpowrotnie stracone, wyprawił swego posła kawalera de Littz z listami wierzytelnymi do cesarza Pawła I., o którego życzliwości dla zakonu dobrze w La Valette wiedzano, prosząc go, aby nie odmawiał zakonowi swej opieki i pozwolił na pobieranie dochodów z polskich komanderyj. Cesarz Paweł nie tylko że z wielkimi honorami przyjął wysłańca W. Mistrza, lecz polecił jeszcze hr. Bezborodko, kanclerzowi państwa, oraz księciu Kurakinowi, aby w jego cesarskiem imieniu podpisali zobowiązanie co do dochodów pobierać się mających na przyszłość z wielkiego przeoratu rosyjskiego, które to dochody cesarz *proprio motu* podniósł do wysokości 300.000 fl.

W tym właśnie czasie zmarł wielki mistrz de Rohan, a pierwszym czynem jego następcy, hr. de Hompesch, było podziękowanie cesarzowi za tę niespodziewaną pomoc. Jakoż kapituła wyprawiła do Petersburga kawalera maltańskiego hr. Raczyńskiego, a wkrótce potem znanego już u dworu petersburskiego kawalera de Littz z prośbą, aby cesarz przyjął tytuł protektora Zakonu, jako oznakę wdzięczności za doznane dobrodziejstwo.

W tym to właśnie czasie konwencya, zmieniając porządek rzeczy we Francyi, postanowiła opanować Malte — jakoż admirał francuski Brueys, wiozący armię spedycyjną do Egiptu, stanął pod murami La Valetty z potężną flotą, a dnia 12 czerwca generał Bonquarto zajął miasto i wyspę całą w posiadanie francuskiej republiki. W. mistrz Hompesch wyjechał do Triestu, rycerze zakonnici

¹ W ostatnich czasach Rzpltej dobra zakonu w Polsce składały się z jednego wielkiego przeorstwa, sześciu komanderyj w ordynacyi Ostrogskiej, fundowanej przez Janusza księcia Ostrogskiego, kasztelana krakowskiego, oraz komanderyi Stwołowskiej, założonej przez jednego z książąt Radziwiłłów w 1610 r. Na sejmie 1773 r. Stany pozwoliły szlachcie na fundowanie w kraju 8 nowych komanderyj z dóbr dziedzicznych — długami nie obciążonych, zastrzegając sobie regularną opłatę wszelkich podatków i ciężarów publicznych.

rozprószyli się po całej Europie, a większa ich część znalazła gościnne przyjęcie w Petersburgu, gdzie cesarz Paweł dnia 29 listopada 1798 r., pomimo opozycji świętej Stolicy, uroczyście przyjął tytuł Wielkiego Mistrza Zakonu Jerozolimskiego, a obecni tam kawalerowie maltańscy złożyli przysięgę wierności swemu nowemu najwyższemu dostojnikowi. Cesarz ustanowił zaraz nowy przeorat rosyjski dla szlachty wyznania greckiego i wyznaczył 216.000 rs. jako dochód, rozdzielić się mający pomiędzy 98 komanderyj, następnie wydał odezwę do wszystkich przeoratów w Europie, aby się połączyły w jedno wielkie ciało, wreszcie postanowił zająć się główną siedzibą zakonu. W tym czasie Angliecy blokowali Maltę, nieliczne ich wojska nie śmiały kusić się o zdobycie miejsca bronionego przez czterotysięczną republikańską załogę; cesarz Paweł polecił więc księciu Wołkońskiemu, aby w kilka tysięcy ludzi wsiadł na okręty, pomógł Anglikom do opanowania wyspy i zostawił tam załogę, któraby z oddziałem Anglików i Neapolitańczyków mogła skutecznie bronić La Valetty przed prawdopodobnymi atakami Francuzów. Do tej jednak ewentualności nie przyszło — i pułki, mające wspierać działania Anglików na morzu Śródziemnem, odebrały rozkaz być gotowymi do pochodu na Indye.

Tu się kończą dzieje wspaniałej rycerskiej arystokratycznej republiki — skazanej na zagładę, bo już nie mającej racyi bytu. O imionach Wielkich Mistrzów, których czyny swego czasu głośił cały świat chrześcijański na Malcie, mało się wie, a jeszcze mniej mówi; miejscową zamożniejszą klasę, tak zwaną inteligencyi, zajętej handlem, niewiele już obchodzi świetna przeszłość ojczystej ziemi — lud prosty w pocie czoła zarabiający na codzienny kawałek chleba, nie słyszy nikogo, ktoby mu mówił o bohaterskich czynach ojców, ginących tysiącami na skalistych brzegach maluczkiej ojczyzny — w falach oceanu, lub wybrzeżach afrykańskich. Niektóre narody chrześcijańskie przechowały w swojej pamięci nazwiska znakomitszych rycerzy maltańskich wyszłych z ich łona, najliczniejszy ich zastęp dostarczyły Włochy, Francya, Hiszpania i Portugalia. Polska szczyci się swoimi: Bartłomiejem Nowodworskim, Piotrem Kochanowskim, Madalińskim, Dąbrowskim, Andrzejem Miaskowskim, Baranowskim — i wielu innymi.

(Dok. nast.)

P. W. Zubrzycki.

Szkolnictwo w Bułgarii.

III.

W Rumelii w 1881/82 roku na 31 szkół 4 i 3 klasowych było 109 (87 nauczycieli i 22 nauczycielki), (87 bułgarskich, 16 greckich i 5 tureckich), o 32 osoby więcej niż w roku poprzednim; a w 1882/83 110 (86 bułgarskich, 16 greckich, 8 tureckich). W czterech zaś gimnazyach w 1881/82 było 62 nauczycieli (łącznie z 5 dozorcami), a w następnym roku 66 (łącznie z 4 dyrektorami).

Siły te ściągano ze wszystkich stron. Bułgarii i dawniej, dzięki ofiarności prywatnej, kształcili się za granicą na wyższych zakładach naukowych. Toć np. na 48 bułgarskich profesorów w księstwie za rok 1879/80 otrzymali byli wyższe wykształcenie 16 w Rosyi, 7 w Austrii, 13 w innych krajach; w następnym roku na 55 bułgarów mieli wykształcenie 25 w Rosyi, 14 w Austrii, 13 w innych państwach i t. d. Nie wszyscy profesorowie mogli mieć uniwersyteckie wykształcenie. Tak na powyższą z 1879/80 r. 47 bułgarów 12 tylko mieli wyższe wykształcenie, 11 specjalne, 20 szkoły średnie, a 4 niższe wykształcenie bułgarskie; w 1881/2 roku stosunek ten się nieco podlepszył, bo np. tej ostatniej kategorii (tj. z niższem wykształceniem) był tylko jeden profesor.

Ponieważ rodzime siły bułgarskie nie mogły wystarczyć potrzebom, uciekano się tedy do pomocy pobratymców. Tak na 51 profesorów księstwa z 1879/80 było 3 Czechów i 1 Serb austriacki; w 1880/81 na 62 było 6 Czechów i 1 Chorwatka; w 1881/82 na 76 było 8 Czechów, 2 Chorwatów, 1 Rusin i 1 Słowieniec. W Rumelii często wyższy był procent pobratymców, pomiędzy którymi zawsze prym wodzili Czesi, tak co do liczby, jak gorliwości i pod tym względem ze strony Bułgarii wdzięczność im się należy.

Nie rychło jednak jeszcze ułożą się tak stosunki w Bułgarii, aby stan nauczycielski liczebnie i naukowo odpowiadał tym wymaganiom, jakie dziś stawiają temu stanowi w Europie. Naturalnie nie źle oni tu stoją. Płaca dyrektorów gimnazyalnych wynosi 6000 lewów, starszych profesorów 5000 lewów, młodszych 4000 lewów; w żeńskich gimnazyach, seminariach nauczycielskich i 3 klasowych szkołach mało co mniej płacą. Ale gdy się pamiętać zechce, że

porucznik lub kapitan dowodzący kompanią lub drużyną (nie mówiąc już o wypadkach gdy komenderuje pułkiem) otrzymuje tyleż, a często więcej, nie potrzebując studyów uniwersyteckich; gdy się uwzględni, że łatwość osiągnięcia pierwszorzędnej kariery państwowej, choćby ministeryalnej, jest wielką w Bułgarii i stanowi nie małą ponętę dla wielu, — to nie dziwno będzie, że mało ludzi sposobi się do zawodu nauczycielskiego, bądź co bądź żmudnego, pracowitego i mało dającego szans tego, co się nazywa w świecie karierą.

Nie mniej od personalu nauczycielskiego przyczyniał ambarrasu szkolnictwu brak środków naukowych, a zwłaszcza nowych książek podręcznych. Uczuwał się on tak dalece, że przy wykładzie wielu przedmiotów uczniowie musieli poprzestać na dyktatach, lub notatkach pisanych podług wykładów profesorskich. Dla wielu znów przedmiotów służyły dosłowne przekłady z rosyjskich, a niekiedy czeskich książek szkolnych, bez względu na różnicę systemów powyższych w rosyjskich a austriackich szkołach. Najstaranniej do pewnego czasu pielegnowany był w szkołach język rosyjski, jako obowiązkowy przedmiot w gimnazyach.

Brakowi podręczników starano się stopniowo zaradzać, chociaż z wielką trudnością dla mało jeszcze wyrobionej terminologii naukowej w języku bułgarskim. W pozakładanych pismach pedagogicznych, będących organami potrzeb szkoły¹, zaczęto opracowywać oddzielne monografie szkolne dla wielu przedmiotów, roztrząsać bieżące żywotne sprawy szkolne, dyskutowano nad metodyką, zaczęto sprowadzać z zagranicy (najczęściej z Wiednia) przybory naukowe (mapy, narzędzia fizykalne i t. p.), wyznaczono konkursy na układanie najlepszych książek podręcznych etc. Nie mało się też przyczyniły do postępu szkolnictwa narady i zjazdy nauczycieli i profesorów, bądź z jednego okręgu, bądź z całego kraju, z początku przygodne, później peryodyczne — w rodzaju wieców lub sejmów nauczycielskich, w rodzaju słynnych zjazdów galicyjskiego towarzystwa pedagogicznego.

Dzięki tym zabiegom, postęp szkolnictwa był widoczny, a liczba uczęszczających uczniów coraz się wzmagala.

¹ Jak np. *Uczeben Wiestnik* wychodzący w Sofii.

I tak uczęszczało	uczniów	uczenie	razem
w r. 1878/9	365	—	365
„ 1879/80	918	160	1078
„ 1880/81	1353	220	1573
„ 1881/82	1643	276	1910

W Rumelii:

w klasowych	1880/81	1970 uczących się
„	1881/82	3004 „
„	1882/83	3255 „
A w obłostnych gimnazyach w	1881/82	1506 „
„ „	1882/83	1551 „

W ostatnich dwóch latach wcale nie widać przyrostu uczących się, a nawet się dostrzega zmniejszanie frekwencji, co przypisać należy zarówno wielkim wypadkom politycznym (jak proklamowaniu w Płowdiwie unii obu Bułgarii, wojnie serbskiej i całemu temu przesileniu, w którym obalenie księcia Aleksandra może jeszcze nie było punktem kulminacyjnym), które i młodzież szkolną porywając za sobą, odciągały od ławy szkolnej, jako też innym przyczynom, osłabiającym pierwotną gorliwość szkolną. O ile do 1883 r. władze szkolne nie mogły znaleźć słów pochwały dla młodzieży szkół średnich, o tyle później rozpoczęły się utyskiwania na nią zarówno w Rumelii jak księstwie. Nawzajem młodzież zaczęła powstawać na bezpośrednich swych przewodników, a zwłaszcza na nauczycieli, zaszły zmowy i nieporządki w gimnazyach płowdiwskim i łomskim i doszło do tego, że uczniowie różnych szkół gimnazjalnych posyłali gremialne petycje do Narodnego Sobranja przeciw dyrekcjom i profesorom. Rozdrażnienie wzmagało się tembardziej, że niektóre dzienniki, zamiast uspakajać umysły, jeły niebacznie wywlekać te spory przed forum opinii publicznej. Część winy spada na nietaktowność profesorów, ale o wiele znaczniejsza spoczywała gdzieindziej. Dla braku uniwersytetów i w ogóle wyższych zakładów naukowych w Bułgarii, młodzież gimnazjalna pragnęła zająć miejsce młodzieży akademickiej, że tak powiem w hierarchii młodocianego społeczeństwa szkolnego, do czego mniemała się być upoważnioną niejednokrotnie wiekiem swych członków. Nieraz spotyka się tam młodzieńców 20 letnich, siedzących na ławie szkolnej w klasie 4-tej, 3-ciej, a niekiedy i drugiej. Tacy pod wąsem

młodzieńcy z trudnością poddawać się chcieli dyscyplinie szkolnej dla dziatwy i nie zadawali sobie tytułem przyszłych filarów i nadziei społeczeństwa, lecz pragnęli już teraz być skończonymi i czynnymi obywatelami kraju. Widziałem nieraz, jak studenci gimnazjalni występowali na mityngach ludowych w Płowdiwie i Sofii, jako mowcy ludowi, wcale nieźle wywiązujący się ze swego zadania i zbierający głośnie oklaski tłumów, a nawet swoich własnych profesorów. Jakże później taki mówca wróciwszy do szkoły mógł znieść najlżejszą bodaj uwagę profesora, z którym wolno mu było różnić się w opiniach politycznych, dyskutować z nim i widzieć w nim nieraz swego antagonistę! Od zarzutu zbyt wczesnego angażowania młodzieży szkolnej w spory polityczne nie są wolne obywatelskie stronnictwa polityczne, bo same tę akcyę prowokowały. Początek zrobiono przed trzema, a nawet czterema laty, kiedy jedno ze stronnictw, chcąc osłabić w obozie przeciwników działalność niektórych profesorów gimnazjum płowdiwskiego, podszedło przeciw nim uczniów gimnazjalnych i wywołało pierwszy ich strejk. Niebezpieczna ta broń zwróciła się później przeciw nim samym, kiedy większość młodzieży ocknęła się w innym obozie i zaczęła występować czynnie.

Mówiąc o błędach, nie mogę pominąć zalet tej młodzieży, która, nie mając prawie żadnej tradycyi za sobą, zdoła samodzielnie wyrabiać w sobie cnoty, będące gdzieindziej dziełem licznych pokoleń, a może koleżeńskość, solidarność i obok skromności, umiarkowania a wytrwałości ojców swoich, zaczyna tu i ówdzie pojawiać błyski zapалу i entuzjazmu, który zdawało się został wypieniony ze społeczeństwa bułgarskiego w dalszej 500-letniej atmosferze obcego naturze słowiańskiej władztwa. Uczuwa ona brak silnie rozwiniętej towarzyskości w życiu prywatnem i, co w sferach swoich rodzi, budzi ją u siebie w swojej własnej sferze, tworząc kółka koleżeńskie ku wzajemnej pomocy lub rozrywce, kształcąc w swych członkach zamilowanie dobra i piękna. Widziałem nieraz w Sofii lub Płowdiwie, jak na wzgórzach i skalach okalających miasto, koło tej młodzieży gromadziły się, tworząc chóry śpiewackie, które drogim dźwiękiem pieśni narodowej kołysały do snu, lub budziły ze snu stolicę kraju. Widziałem — jak młodzież ta w rocznicę zgonu zasłużonych krajowi mężów urządzała publiczne biesiady — na wzór

naszych przez młodzież naszą akademicką urządzanych wieczorków Mickiewiczowskich — gdzie oddawano cześć zasłudze słowem i pieśnią, a gdzie młodzież, hołd składająca pamięci takich mężów jak Lubena, Korawelowa, Boticeva, Lewskiego, Karadży i innych, występowała poniekąd przed społeczeństwem, jakby z całoroczną spowiedzią ze swych myśli i uczuć w kierunku, który zakreslili patronowie dnia i biesiady, umacniając w ten sposób siebie w tymże kierunku, a w części oddziaływując i na słuchającą ją publiczność.

Uniwersytetów i wyższych zakładów naukowych w ścisłem znaczeniu tego wyrazu nie ma dotąd w Bułgarii. Brak ten do pewnego stopnia w zakresie kursów niemal licealnych wypełniały dwa zakłady naukowe: OO. Zmartwychwstańców polskich w Odrynie (Adryanopolu) i amerykańskie Robert College w Carogrodzie. Oba te zakłady zapisane kiedyś będą chlubnie w dziejach oświaty Bułgarii. Dostarczały i dostarczają one dotychczas pewien poczet wykształconych ludzi na różnem stanowisku w Bułgarii tak w służbie politycznej i sądowej, jak dla zawodu nauczycielskiego, pozostawiając wdzięczną pamięć u młodzieży. Ilu tylko zdarza się spotkać wychowaućów szkoły Zmartwychwstańców, bez względu na ich wyznanie religijne, wspominają oni tylko ze czcią i miłością swych wychowawców. A to niepośledni patent dla szkoły.

Dopóki nie zostanie założony w Bułgarii uniwersytet, a na razie choćby szkoła jurystyczna, rządy (tak księstwo, jak rumelijski) korzystają z innych uniwersytetów i szkół wyższych lub specjalnych na obczyźnie, wysyłając tam swoich stypendystów. Na ten cel już w 1879 r. wstawiono w budżet księstwa kwotę 60.000 lewów, z których udzielano stypendya przy wyższych szkołach 1200 lew. rocznie na osobę, a przy średnich zagranicznych po 900 lew. W następnych latach zmniejszono nieco tę kwotę, ale później, uważając za niedostateczną, starano się znów podwyższyć.

W Rumelii na ten sam cel rząd tamtejszy asygnował z początku 330.600 groszy, a później 288.900 gr. Oprócz stypendyów tu i tam udzielano jednorazowe zapomogi.

Przeciętnie rząd księstwa (ministerstwo oświecenia) utrzymywał za granicą 32 stypendystów, z których 8 uczęszczało na prawo, 4 — nauki przyrodnicze, 4 — fizykę, 1 — matematykę, 1 — filologię,

1 — medycynę, 1 — pedagogię, 1 — malarstwo, 1 — szkołę przemysłową, 6 — średnie szkoły, 4 — kursa żeńskie.

Rząd rumelijski utrzymywał stypendystów w 1881/82 roku		całe stypendya	zapomogi
na prawie		8 stypendystów	4
na kursach nauk fizyko-matematycznych			
i technicznych	4	„	4
historyczno-filologicznych i filozoficznych	3	„	
pedagogice	15	„	
malarstwie	2	„	
w wojskowych zakładach	10	„	
Razem		42 stypendystów	8.

A zaś w 1882/83 roku:

	całe stypendya	zapomogi
na prawo	8 stypendystów	6
fizyko-matematyczne i techniczne nauki	5 „	6
historyczno-filologiczne	2 „	—
pedagogię	15 „	1
malarstwo	2 „	
wojenne nauki	9 „	
Razem	41 stypendystów	13

W powyższą rachubę nie brało się tych stypendystów, których utrzymywały inne ministerstwa, a zwłaszcza jurystów, oraz uczniów utrzymujących się za granicą kosztem własnym lub w ogóle prywatnym. Można więc przypuścić, że ogół Bułgarów pobierających za granicą wykształcenie wyższe wynosi około 200 osób rocznie.

Ze stypendystów rządowych księstwa z powyższej 32 liczby kształciło się 13 w Rosyi, 9 w Austrii, (6 w Zagrzebiu, 3 w Pradze), 5 w Niemczech, 3 we Francyi i 2 w Carogrodzie.

Ze stypendystów zaś rumelijskich (w 1882/3), oprócz wojskowych, kształciło się: w Pradze 6, w Genewie 1, w Rosyi 9, w Niemczech 2, w Wiedniu 3, we Francyi 2, w Belgii 2, we Włoszech 2, w Zagrzebiu 2, w Ameryce północnej 1.

Prawie połowa tedy uczniów bułgarskich za granicą kształciła się w krajach niesłowiańskich, wśród otoczenia obcego naturze słowiańskiej. Na ten przedmiot zwróciłem był w epoce wojny serb-

skiej uwagę ówczesnego prezydenta ministrów p. Petkę Korawelowa. W dłuższej z tego powodu zawiązanej rozmowie doszliśmy do zgodnych wniosków, że jeśli dla wykształconych już ludzi lub specjalistów korzystnym być może czasowy pobyt za granicą, zwłaszcza tam, gdzie nęci jaka znakomitość profesorska, lub specjalny zakład naukowy, to dłuższe kształcenie się i stały w ciągu kilku lat pobyt za granicą, niekorzystny wpływ wyrzucić może na duszę młodego Bułgara. A i nie każdy kraj słowiański nadaje się również dla takiego pobytu. Wiedza i nauka wszędzie dziś jest jednaka, ale nie wszędzie atmosfera duchowa jest jedną, nie wszędzie są te same wymagania, potrzeby społeczne, duch i charakter narodu. Bułgar z natury mało wrażliwy, więcej skryty, zamknięty w sobie, mało udzielający się innym, zimny, wyrachowany, jeśli dostanie się wśród otoczenia takichże samych ludzi, wśród sfery, gdzie te właściwości weszły w charakter narodowy — spotęguje je tylko jednostronnie i rozwinąć może do rozmiarów ujemnych — przywar i wad. Przeciwnie, ocknąwszy się w sferze ludzi odmiennego charakteru narodowego, pod dłuższem działaniem tej sfery, nadwątlili siłę powyższych skłonności i rozwinięte te właściwości natury słowiańskiej, które drzemiały u niego, a które uzupełnią i wzbogacą jego własną naturę wszechstronniej. Ze wszystkich ludów słowiańskich plemiona ruskie, polskie i serbsko-horwackie celują gorętszym temperamentem, otwartością, wspaniałomyślnością, zapalem i entuzjazmem, a u niektórych z nich tą rycerskością szlachetną charakteru, która podnieca duszę do również szlachetnych czynów i w życiu ludów nieraz zaważa na ich szali.

Z tego powodu, prezydent ministrów przyznał, że korzystniejszym dla młodzieży bułgarskiej może być pobyt i kształcenie się w szkołach galicyjskich i horwackich (niż gdzieindziej), a nawet rosyjskich, jeśli się zdoła uchronić młodzież od wpływów nihilistycznych. Natomiast ze swojej strony radzilibyśmy, aby młodzież polską, horwacką i rosyjską snadniej wysyłano na kształcenie się do Czech i Bułgaryi (niż gdzieindziej, nb. jeśli w Bułgaryi będą wyższe szkoły), bo tam mogą się pozbyć swojej lekkomyślności, a wzmocnić ducha wytrwałości, zapobiegliwości, oszczędności, zalety, które Czesi i Bułgarzy celują.

J. G.

Listy o Rumunii.

II.

Węzły łączące naród rumuński z innymi ludami obszernego kraju, leżącego między morzami czarnem i adryatykiem, datują nie tylko od czasu cesarstwa Bizantyńskiego, wiele z nich pochodzi z epok dawniejszych, niektóre odnieść wypada do czasów prawie przedhistorycznych, gdyż oparte są na porządku rzeczy znacznie poprzedzającym ten, jaki spotykamy od czasów pierwszego pojawienia się w dziejach nazw, które dotąd te ludy noszą. Zdać się to może paradoksem, ponieważ Bułgarowie i słowianie nie mieszkali wówczas w krajach, o których mówimy, ale mieszkali w nich ludy inne, które znikły do szczętu tylko pozornie, w rzeczywistości zaś, jak to najczęściej się zdarza, zaasymilowały się z później napływającymi warstwami, zostawiając wszakże wyraźne swoje ślady. Jednym z węzłów, o których mówić zamierzamy, jest język.

Naprzód *Kopitar*, później *Miklosich*, *Schuchardt*, *Härsden* i inni, znajdując w językach bałkańskich niektóre pierwiastki fonetyczne, leksykograficzne i grammatyczne wszystkim wspólne, a jednak nie dające się sprowadzić do któregośkolwiek z tych języków pojedynczo wziętych, wniesli, iż pierwiastki te odnieść należy do dawnego szczepu trako-illiryskiego, którego jedynymi, dziś istniejącymi, potomkami są Albańczycy. Jedną z familli tego szczepu stanowili Dako-Getowie podbici przez Trajana; i oni to, zlawszy się z osadnikami rzymskimi, sprowadzonymi na brzegi Dunaju, wytworzyli zawiązek narodu rumuńskiego. Pierwiastki lingwistyczne zbliżone do siebie, a rozwijające się w poszczególnych językach bałkańskich, stanowią właśnie kardynalną różnicę między językiem rumuńskim a innymi językami, płynącymi z romańskiego źródła. Że zresztą istota sama języka Rumunów jest romańska, czyli nowołacińska, to udowodniły dostatecznie nieśmiertelne prace *Diez'a* i całej jego szkoły.

W języku rumuńskim, obok łaciny, najwybitniejszym jest żywioł słowiański, ale ten stanowią prawie wyłącznie same wokabuły, zatem dodaje on materiału, ale nie form językowi. Wokabuły te nie uległy asymilacji i dla tego nie trudno odrazu je poznać. Oprócz tego, użycie ich jest najpospoliej rzadsze niżeli wokabułów łaciń-

skich, i aby wyrazić językiem ekonomistów, rzechy można, iż mają mniejszą od innych wartość cyrkulacyjną. Zjawisko analogiczne przedstawia nam język angielski, który nie przestaje należeć do germańskich, pomimo to, że *Tommerel* na 43.566 wyrazów, objętych słownikiem *Robertsona* i *Webstera*, naliczył 29.883 wokabulów łacińskich.

Dziś zupełnie już niemal wiadomą jest rzeczą, w jaki sposób element słowiański wszedł do języka rumuńskiego. W wieku IX., kiedy Rumunia w hierarchicznym porządku kościelnym zależała od Bułgarii, tj. podlegała stolicy metropolitalnej w Okrydzie (Ocrida), język słowiański był w Bułgarii liturgicznym, a ponieważ ten tylko język w owych krajach i czasach był piśmiennym, stał się tedy językiem administracyjnym rządu krajowego, czego dowodzą liczne bardzo dokumenty i napisy z dawnych wieków. Dopiero w XVI. wieku, za inicjatywą siedmiogrodzkich kalwinów, pragnących upowszechnić swą naukę między ludem, wzięto się do pilniejszego badania i kształcenia narodowego języka, a w w. XVII. język ten, za wolą synodu krajowego, oraz gospodarów: *Bessaraby* i *Bazylego Lupo*, wprowadzony został jako język kościelny i urzędowy do ksiąg liturgicznych i prawodawczych. Język rumuński, który poprzednio i prawie aż do naszych czasów dzielił panowanie z językiem słowiańskim, a później z greckim, otrzymał je wreszcie wyłącznie dla siebie, skutkiem ruchu religijnego za Karpatami i ruchu politycznego w Wołoszczyźnie i Mołdawii, zachowując wszakże zawsze mnóstwo wyrazów cudzoziemskich i pozostawiając stary alfabet cyrylici.

Dzielo oczyszczenia języka i przyjęcia alfabetu łacińskiego wzięło początek u Rumunów Austro-węgierskich, a pierwszy i główny ruch w tym względzie objawił się u Unitów. Oba jednak te przedsięwzięcia spotkały na silne przeszkody, natury religijno-politycznej, które niebawem przybrały charakter walki, mało już związku mającej z nauką i literaturą. W rzeczy samej, nowatorowie głównie ku temu wyteżali swe usiłowania, aby z języka wytworzyć sobie oręż dla swej narodowości niecierpianej od Węgrów, Słowaków i Niemców: stąd kwestya akcentów, znaków dyakrytycznych, deklinacyj i konjugacyj stały się i pozostały kwestyami partyotycznymi. Nadto, istniała tam kwestya filologiczna dość skom-

plikowana sama z siebie. Chodziło bowiem o to, aby mowę grubą, szorstką, w której nie tlała żadna iskierka tradycyi literackiej, uczynić szatą myśli nowoczesnej, narzędziem nowoczesnej kultury. Taka kwestya filologiczna spletała się z pierwszą w najdziwniejszy sposób. Najgłówniejszą myślą i zadaniem plejady reformatorów, którą składali: *Piotr Major*, *Sinkai*, *Klein* i inni, było wyprowadzić na jaw, o ile tylko okazało się podobnem, początek łaciński ojczystego języka: lecz z tego wynikły twierdzenia przesadne, reguły niemożliwe, a szczególnie sposób wyprowadzania etymologii przeciwny nie tylko przepisom filologii porównawczej, ale najprostszej oczywistości i prawdom najzwyczajniejszym zdrowego rozsądku. Pierwsze gramatyki, wydane w końcu wieku zeszłego i z początku teraźniejszego, głównie zaś słownik czterech języków, drukowany w Badzie w 1825 r., uwieńczający pierwsze stadyum tego ruchu — są, jeśli je poddamy pod surowy sąd krytyki, zbiorem potworności i fałszów; lecz uważać je raczej należy za historyczne pomniki przejściowego stanu, a zapatrując się na nie z tego stanowiska, wiele dziwnych obłędów, mniej nas razić będzie, wiele niedorzeczności stanie w mniej śmiesznem świetle.

Pisownia otworzyła również pole do zapalczywych sporów. Głównem, powszechnie zadawanem, wszystkich interesującym zagadnieniem było: jak mają się wyrażać literami łacińskimi liczne brzmienia nieznane Rzymianom, które zatem w łacinie nie posiadały odpowiednich znaków? W rozwiązaniu tego zadania wielkie zaszło rozdwojenie; *fonetyści* poprzestawali na zastąpieniu niedostatku za pomocą znaków, lub zapomocą zachowanych kilku liter abecadła cyrylicznego; *etymologisci*, aby dać większą wybitność pierwiastkowi łacińskiemu, a tak przygotować i reformę wymawiania, nie tylko odrzućali wszelkie znaki, lecz chcieli zwrócić każdy wyraz do kształtu pierwotnego i pisać go tak, jak się pisał w macierzystym języku. Dwie te dążności przybrały później różne rozgałęzienia, krzyżujące się w rozmaitych kierunkach, i anarchia ortograficzna doszła do ostateczności. Nietylko każda książka wychodziła z pisownią innej metody, ale i sami mistrzowie nowych pisowni niedługo pozostawali konsekwentnymi i przekraczali własne prawidła, i nie tylko w oddzielnych pismach, ale często na tejże karcie pisali rozmaicie jedne i te same wyrazy. Pomnażała to za-

miejszanie mała znajomość rzeczy i zrozumiałość wielu ludzi mierznych zdolności, którym zdawało się, że bez długich przygotowań mogą się ogłosić prawnodawcami języka.

W Siedmiogrodzie spory te językowe nie tak łatwo powstawały, w następnych latach stały się jeszcze rzadszymi, ludzie prawdziwej zasługi naukowej zdołali tam sobie wyrobić powagę zdania, i zmuszali poważnemi swemi studjami do milczenia nieumiejętne tłumy pisarków. Na czele nowego kierunku stanął kanonik uniecki *ks. Ciparu*. Wprawdzie nie dość posiłkował on nauką *Boppa* i *Diez'a*, lubo i ta nie była mu obcą, ale przynajmniej użył właściwie wszystkich zasobów nauki dawnej, i zapewnił swej teorii pierwszeństwo. System jego jest puryzmem podniesionym do przesady, lecz oparty jest na poszukiwaniach historycznych w obrębie gramatyki i leksykografii. Za zasadę pisania przyjęty w nim etymologizm radykalny. Większa część wydawnictw nowych, szczególnie w *Blasendorf* i niemal wszystkie zakłady szkolne Rumunów austro-węgierskich stosują się do poglądów *ks. Ciparu*.

Nie tak działo się w Rumunii, gdzie ruch w rzeczy języka i pisowni później się zaczął, ale stał się znacznie rozleglejszym i skomplikowanym, tem więcej, kiedy do manii latynizowania przyłączyła się niezdrowa mania francuszczyzny. Zasady wyrobione w Siedmiogrodzie przechodziły po za góry, i głoszący one zakarpaccy uczeni wyrobili sobie wielką wziętość, szczególnie *Laurianu*, ale skoro ci nauczyciele zasiedli w założonej przed dwudziestu laty akademii rumuńskiej, zaczęto przesadzać w teorii samej z siebie już wyegzagerowanej; przesada ta przeszła wreszcie wszelkie możliwe granice, co naraziło samą sprawę reformy językowej na upadek. Główną przyczyną tego niepowodzenia była słynna próba słownika języka rumuńskiego, ukończonego w 1876 r., lecz zapomnianego jeszcze przed ukończeniem druku. Taki los spotkał w Rumunii teorię przyniesioną z Siedmiogrodu, i to więcej może z powodu natręctwa jej obrońców, niżeli z powodu nie małych wad jej wewnętrznych. Pomimo to *szowinizm* gramatyczny i ortograficzny nie dał za wygraną; owszem, znalazł wśród tych okoliczności znakomitego przewodzącę w uczonym encyklopedyście *Elia de Radulesen* i tak licznych zyskał zwolenników, iż, bądź świadomie, bądź nieświadomie, przeżył własną porażkę i żyje do dni naszych.

Zasługa zadania stanowczych i śmiertelnych ciosów obydwom obozom *hyperlatynistów* należy w znacznej części Jasskiej szkole literackiej zostającej pod przewodnictwem *T. Majoreseu*, a mającej za organ *Convorbiri literarie*. Do pisarzy tego wybornie redagowanego przeglądu przyłączyły się liczne znakomości literackie, jako to: *Alexandri*, książę żyjących poetów rumuńskich, *Odobescu* erudyty i biegły stylistą; ale więcej nad wszystkich wsparł sprawę stanawszy obok walczącego za nią *Majoreseu*, historyk i filolog *Hășdeu*, człowiek niepospolitych zdolności i wszechstronnej nauki. Uczeni ci zrehabilitowali nakoniec prawa stanowcze, historyczne, których wymijać nie wolno w filologii, wykazali, iż nie można tworzyć drogą apriorystyczną nowego języka za dekretemi akademii, ani nagiąć na nowo języka żyjącego w ustach ludu do odgrzebywanych form jego archaicznych, bądź rzeczywiście kiedyś istniejących, bądź tylko w bujnej wyobraźni zrodzonych i tworzyć w ten sposób nie smaczną jakąś karykaturę języka łacińskiego; lecz przede wszystkim sporządzić inwentarz istniejącego kapitału języka, zbadać grunt jego i prawa, ustanowić wreszcie stałe zasady użycia pospolitego. Reakcyja ta dobre wydała owoce: obecnie studia filologiczne weszły na daleko lepszą drogę, kwestye gramatyczne i leksykograficzne oddzieliły się od politycznych. Pisownia poczęła przybierać pewien stopień jednostajności drogą kompromisu praktycznego pomiędzy sprzecznymi z sobą systemami. *Etymologicum magnum Romaniae*, nowa praca *Hășdeu*, którą niedawno zaczął ogłaszać za inicjatywą i pod wysoką protekcją króla, stanowić będzie pomnik wcale innego znaczenia, niżeli poprzednia niefortunna próba, pod imieniem akademii wydana, a na którą stracono dziesięć lat pracy. Akademia sama, obecnie zreformowana, żyć wreszcie zaczęła rzeczywistym, nie fiktycznym życiem.

Przed XVI. wiekiem język rumuński nie mając pisma, nie posiadał wcale literatury, ani zakładów naukowych. Temu samemu losowi podlegał przyjęty w Kościele i w prawodawstwie język słowiański, nie dość wykształcony, ograniczający się do wyrażenia pewnej tylko kategorii myśli i potrzeb. Być może — sprzeczać się o to nie myślimy — że kiedyś jakiś erudyta wynajdzie jakiś rękopiśmienny lub drukowany pomnik słowiańsko-rumuński z tej epoki; lecz będzie to zawsze wyjątek tylko niczego nie dowodzący, bo

gdyby istniały rzeczywiście z owych czasów dzieła jakie, mające być samodzielny, chociażby względny, zapewne nie zostałyby zapomniane ani w Rumunii, ani tem mniej w oświeceniowych krajach słowiańskich północnej Europy. Jeśli więc jakie książki istniały w owych wiekach, to zaledwie wolno przypuszczać, aby były innego rodzaju, jak książki ludowe, podług wyrażenia *Görresa* i *Nisard'a*, to jest duchowne i świeckie legendy, powiastki staro-dawnego zakroju, opowiadania takiego rodzaju jak np. dawne o Aleksandrze Macedońskim, o Barlaamie i Jozafacie i t. p., albo też kroniki, homilie, żywoty świętych i t. p. spotykane w późniejszych epokach, a których znane wędrowki w średnich wiekach, z kraju do kraju, każą domyślać się, że powstały w dawniejszej przed wzmiankowaną erze. W rzeczywistości, przed wskrzeszeniem ducha narodowego w Rumunii, całą jej literaturę, o której można coś powiedzieć, stanowiła jedynie literatura ludowa w ścisłym i właściwym znaczeniu wyrazu, jako to: pieśni, przysłowia, aforyzmy, bajki i zagadki; dzieła nie pojedynczych osobistości, ale niejako nieosobiście utworzone przez ogół ludu, krążące w ciągu wieków w jego sferze, z ust do ust przez długie lata podawane. Od najdawniejszych też czasów miewali Rumunowie swoich bardów i trubadurów, którzy już to pod strzechą wieśniaczą, już przy biesiadach możnych, opiewali możne dzieje i najświeższe czyny dzielnych rycerskich książąt. Zapewnia o tem sławny kronikarz XVII. wieku, *Miron Costin*.

Pisemna literatura rumuńska wzięła początek w XVI. wieku, w chwili pierwszego rozwoju szkół i sztuki drukarskiej. Pierwszy ten, dziecinny rzecz można, okres trwał blisko lat dwieście, oglądając się wciąż i posilkując literaturą grecką i słowiańską, obracając się wyłącznie w religijnych i ascetycznych materyach, będąc w gruncie rzeczy słabem tylko echem omdlejącej ówczesnej ascetycznej literatury wschodniej. Język narodowy, jeśli miał jakie miejsce w szkołach, to chyba ostatnie; nauka jego ograniczała się do abecadła i czytania ksiąg liturgicznych. Same szkoły, z wyjątkiem krótkotrwałych powodzeń, wegetowały nędznie; nie miały ani należytego w dostatecznej liczbie rozmieszczenia w kraju, ani postępu, ani stałego, nieprzerwanego istnienia. Cały prawie kapitał intelektualny Rumunów, w ciągu tych dwóch wieków, składał się z niewielkiej

liczby wcale niewyborowych dzieł teologicznych, ascetycznych i moralnych, najczęściej tłumaczonych z greckiego i ze słowiańskiego; z kilku kronik mniej więcej posługujących do nauki historii, z kilku tekstów prawodawczych i zresztą z pewnej liczby książek ludowych, wspomnionego wyżej rodzaju. Język sam, z jednej strony pełen jest nieregularności i barbaryzmów, z drugiej w usiłowaniach do podźwignienia, najczęściej niepomysłnych, postępuje ciężko, jak gdyby spętany, aczkolwiek dąży do tego, aby się podnieść do form wytworniejszych, do sposobu oddawania myśli odpowiedniego przykładom autorów łacińskich, nowo-greckich i całemu tokowi literatury oświecenijszych narodów współczesnych. Jeszczeż usiłowania te, które same z siebie przypuszczać każą pewny stopień wyższej kultury indywidualnej, nie pojawiają się często, bo ludzie uczeni byli dość rzadcy, a między nimi przemagała pogarda ojczystego języka.

Ruch umysłowy wywołany u Rumunów Zakarpackich przez unię religijną przeszedł i rozrósł się prędko nie tylko w sferze studiów filologicznych, ale też historycznych, teologicznych, socjalnych, pedagogicznych i innych nauk; przeszedł, jak wzmiankowaliśmy, do Rumunii, gdzie też otwarte znalazł pole. W gruncie rzeczy naród rumuński, zamieszkujący prowincję korony św. Stefana, same przeciwności miał i ma w udziale. Sytuacja jego polityczna jest tam podrzędną i podwładną stanowi politycznemu innych ludów, innego szczepu, innego wyznania. Skutkiem tego ruch udzielony z po za Karpat, wzrósł w szerszym daleko rozmiarze w księstwach naddunajskich, gdzie autonomia i niepodległość narodowa, obok tej zaś lepsza sytuacja ekonomiczna, sprowadzały wszystkie siły intelektualne całego szczepu rumuńskiego. Wreszcie od niedawna Rumuni Siedmiogrodzcy przestali głos zabierać, stali się raczej hołdownikami, niżeli przewodcami ruchu umysłowego, lub też różnemi drogami do jednego zdążają celu, przyjmując np. niektóre żywioły kultury od Niemców i obstawiając więcej niż kiedy przy swych teoryach, przywołujących w pomoc i hołdujących starożytniej łacinie. Działalność ich literacka ograniczyła się do skromniejszych rozmiarów, wszakże zachowała w sobie mniej próżnego blasku, a więcej harmonii, jednym słowem, zachowała coś gruntowniejszego.

Zupełnie inaczej przedstawia się nam rozwój umysłowy w kra-

jach naddunajskich. Zakres tej pracy nie pozwala rozpatrywać zjawisk pojedynczych i produkcji oddzielnie wziętych, ani też koniecznem to jest dla scharakteryzowania stanu rzeczy, tem więcej, iż, skoro czasy dzisiejsze przejdą w dziedzinę historii, sami Rumuni, zapatrując się na rzecz bardziej przedmiotowo, przyznają niezawodnie, że w liczbie imion dotąd u nich rozgłoszonych, bardzo mało na trwałą sławę zasługuje. Natomiast pozostaną i plon obfity przyniosą dzieła zbiorowe, na które tylu szlachetnych złożyło się robotników, częstokroć niewiedząc sami do jakiej części gmachu, posłużą materiały przez nich pojedynczo dodawane. Otóż właśnie ta praca zbiorowa jest tu najwięcej interesującym przedmiotem.

W Rumunii tedy, a nie mówimy na razie o stanie rzeczy po za Karpatami, ruch rozpoczął się w szkołach, będących wyłącznie greckimi, w równie greckich lub zgreczonych klasztorach i w kółku arystokracji fanariackiej, pod przewodnictwem idei przyniesionych przez francuzów. Narodowa arystokracja, przyjąwszy dopiero cudzoziemską ideę, postanowiła wyzwolić się od wpływu greckiego i Greków, bardziej jeszcze znienawidzonych, niż Muzułmanie.

Po odzyskaniu bytu narodowego i postawieniu języka ojczystego na stopie, jaka mu przystała, równo z postęпами temi wzrastała w Rumunii uprawa nauk, które w naszej epoce próbują tam sił w najróżniejszych kierunkach, przy pracy czynniejszej niżeli kiedykolwiek, nagłonej jeszcze tą myślą, aby wynagrodzić czas stracony. Celem wykształcenia nowych pokoleń, szkoły wyższe i niższe pomnażają się stopniowo w całym kraju; zastąpiły one już nauczycieli prywatnych i konwikty założone przez cudzoziemców. Obok tego, wyselaną bywa młodzież kosztem skarbu, albo kosztem prywatnych obywateli do wyższych zakładów naukowych i uniwersytetów krajów zachodnich; za powrotem każdy prawie z tych młodzieńców, już od pierwszej chwili, chce nowe ziarno nabytków umysłowych rzucić na ojczystą niwę, każdy prawie staje się we własnych pismach głosicielem nowych idei; i oto Rumunia posiada dziś stosy papieru zaczernionego atramentem, nagromadzone w kilku dziesiątkach lat, przewyższające niepomiernie także pomniki z ostatnich kilku wieków istnienia jej dziejowego.

Żaden badacz nieuprzedzony dziwić się nie będzie i nikt, spodziewam się, nie będzie tyle niesprawiedliwym, aby miał z tego

powodu ujmować szacunku Rumunom, że w wielkiej masie i najrozmaitszej mieszaninie pism ogłoszonych w ostatniej połowie wieku, dość mało znajduje się prac oryginalnych, a niewiele z nich doszło nawet do granic, od których mierność się rozpoczyna. Narody nie wydają mocą dobrej woli geniuszów i ludzi wielkich. Arcydziała, a nawet dzieła, mogące słusznie rościć prawo do tej nazwy, bywają zwykle owocem czasu dopiero i doświadczenia. Wszakże, zważywszy rzeczy zbliska, nie możemy zataić, że dary przyrodzone, którymi lud rumuński jest uposażony, że stojący przed nim otworem niezmierny rozwój wieku, w którym żyjemy, wszystko to każało spodziewać się czegoś lepszego. Nie zachodził tu jedynie sam brak doświadczenia, młodości przyrodzony: zachodził brak mądrości, a przyczyn tego, więcej niżeli w czem innem, szukać należy, jak później obaczymy, w porządku moralnym.

Faktem jest, że w liczbie dzieł, napelniających księgarskie półki, niezmierną większość stanowią nieudolne plagiaty, niewytrawne zlepki rzeczy niezrozumianych; wszystkie zaś prawie nieznośnemi czyni obfitość wyrażen nadętych, sześciostopowych, które zresztą bez miłosierdzia w kółko powtarzają się. Rozumie się, że autorowie tych dzieł uchodzą w swym kraju niemal wszyscy za ludzi wielkich, nawet ogłoszeni bywają ludźmi europejskimi: są profesorami uniwersytetów i liceów, akademikami, członkami atheneum, pierś ich zdobią liczne ordery, wizerunki mające uwiecznić pamięć ich w bronzie i marmurze, spotykają się już niekiedy w salach Zgromadzeń i na placach publicznych. Lud nie wie o tylu pięknych rzeczach; bowiem w Rumunii, ci nawet, którzy umieją czytać, czytają mało, mniej niż sobie wyobrazić można. Któż zresztą weźmie się do czytania, jeśli w tem, co napisano, nie znajduje dla siebie pokarmu umysłowego; gdyż największa część, żeby nie powiedzieć wszystkie książki są płytkie, nie zaglądają w jądro kwestyi, modelowane są wedle wzorów z obczyzny, często na chybił trafił zapożyczonych; jeśli nakoniec język tam i pisownia są tak niestale, tak chwiejne, że zdają się być z umysłu przysposobione do zaciemnienia sensu, lubo Rumunia jedynym jest może krajem w Europie, którego język prawie nie ma narzeczy, zatem, gdzie mowa uczonych powinna być przystępniejszą być dla wszystkich.

Z rodzajów literatury mniej nieszczęśliwie uprawianych, wy-

mienimy tu rodzaj liryczny, płynący ze wspaniałej poezyi ludowej, która nie dopuściła szczęściem zbyt widocznego wstępowania w ślady szkoły francuskiej, a tak uchroniła narodową poezję od ostatecznej zaguby. Skądinąd nie zbyt podobno mylą się ci, którzy twierdzą, że zalety liryzmu tego istnieją więcej w formach, niżeli w gruncie rzeczy, więcej znajduje się w nim obrazów, niżeli myśli; więcej sentymentalizmu, niżeli prawdziwego uczucia. Drugim rodzajem, do którego Rumuni mają dar szczególny, jest proza powieściowa, głównie nowelistyka, zbyt mało w porównaniu uprawiana. Teatr żyje prawie wyłącznie przekładami. O filologii i pocieszających w niej postępach mówiliśmy wyżej, tu dodamy tylko, że studia nad ojczystą literaturą ludową i nad podaniami ludu, prowadzone są z wielkiem zamiłowaniem i z dobrem powodzeniem, szczególnie przez młodych uczonych, przejętych tem, co dziś zowią *Folk-lore* (miłość ludzi). Przeciwnie, na polu historii politycznej i historii literatury zjawiają się same bańki mydlane, z wyjątkiem *historyi krytycznej*, zaczętej już (lubo dalej nieprowadzone) przez *Hăşdeu*. Na zalecenie zasługują zbiory dokumentów, dokonane za staraniem akademii oraz kilku osób prywatnych, z najglówniejszych archiwów Europy. W naukach ścisłych mamy kilku ludzi zdolnych do zrobienia czegoś więcej w przyszłości, muszących obecnie ograniczać się do skromnych początków; w naukach filozoficznych, religijnych i prawnych, nie, albo gorzej jak nie. Jedynym i to pod każdym względem miernym filozofem, którego dotychczas wydała Rumunia, był człowiek z zasad materyalista, a sprawował on, jakby dla ironii, urząd ministra wyznań; koryfeuszem krajowego prawa publicznego był zwolennik pewnego rodzaju komunizmu i czciciel starożytnego pogaństwa. Wymowa rozwija się łatwo w sądownictwie i w parlamencie; wymowa kościelna z upadku wydzwignąć się nie może. W dziennikarstwie mało dobrego, a złego bardzo wiele. W krytyce literackiej niepowściągliwość, osobistości i często gwałtowność nie do uwierzenia.

Ważny wyjątek z ogólnej reguły stanowi w literackiej krytyce *Majoresen* i cała szkoła jego, znana w kraju pod nazwą *Junimeca* (młodość), oraz *Noua Directie* (nowy kierunek). Pomimo niemałych stron ujemnych, szkoła ta od dwóch dziesiątków lat dobrze się krajowi zasłużyła, a mniej sobie ważąc wszystkie gniewy

tłumu pisarzów, postępuje wytrwale pod własnym sztandarem, nie tylko w przedmiocie języka, ale i w każdym innym rodzaju studyów, wykrywa odważnie klęski, pochodzące z przyjętego fałszywego kierunku, zdziera urok z niejednej przywłaszczonej sławy i wlewa w młode pokolenie idee trzeźwiesze, wytrawniejsze i sumienniejsze.

W rzeczy samej, literatura rumuńska przyrównana być może do człowieka, który, mimo i w samymże nawet oblędzie, idzie naprzód i zmierza do celu. Zważywszy wszystko, rzecz można, że postęp w niej jest, jak pod względem natężenia, tak i rozszerzenia działalności i że, pomimo zapalczywej opozycji wielu przeciwników tego kierunku, nie zbywa przecież na chlubnych w każdej gałęzi wyjątkach. Jeżeli dalej rzeczy pójdą dotychczasowym torem, wolno spodziewać się, iż w niedługim przeciągu lat literatura ta, przynajmniej zewnątrznie wyzwoloną zostanie z tego stopnia niższości, w jakim staje dotąd w rzędzie literatur innych narodów, i nie będzie daleką od wyrobienia sobie własnych wzorów. Ale jeśli mówić mamy o wyższym polocie ludzkiej myśli, o czystszych strumieniach natchnienia, nawet w te smutne czasy, to Rumunia nie zna ich jeszcze, a choćby poznać miała sposobność, kto wie, czy dzisiaj przynajmniej, umiałaby i chciała z sposobności tej skorzystać.



WYCHOWANIE MŁODZIEŻY I HERBARCYANIZM.

(Z okazji dzieła p. M. Baranowskiego: „Pedagogika i Dydaktyka“. Lwów. Gubrynowicz i Schmidt, str. 190).

Już przeszło wiek cały z gorączkową skwapliwością pracuje nasz naród nad podniesieniem poziomu wychowania. Wstępując w ślady Konarskiego słynna komisya edukacyjna starała się wyzyskać zdobycze zagranicznych pedagogów i zastosować je do religijnych i narodowych tradycyj naszego społeczeństwa. „Chowanna“ Trentowskiego usiłowała wprowadzić nadwzrost owe tradycje i przeszczepić na nasz grunt panteistyczno-idealny system Hegla, który teorię wychowania wysnuwa z ogólnych filozoficznych zasad; atoli wiadomo, że dzieło to nie wywarło u nas znacznego wpływu. Później kilku mniej lub więcej wybitnych mężów¹ próbowało podnieść narodowo-katolicką myśl w wychowaniu i ich to usiłowaniom, ich wpływowi na sfery nauczycielskie, równie jak duchowi narodowemu zawdzięczamy, że bezwyznaniowość mniej dotkliwie dała nam się dotąd uczuć, niż innym prowincjom austriackim. Zdawało się, że idąc dalej w tym kierunku wytworzymy z czasem umiejętny i wzorowy system wychowania, odpowiadający zarówno wszelkim wymaganiom pedagogiki jak i warunkom narodowym. Atoli prąd bezwyznaniowości, który powiał nad Europą, nie zaniechał i u nas wywołać zamieci. Zaczęto badać i zalecać systemy wychowania nie oglądające się ani na patryotyzm, ani na głębszą religijność. I nie

¹ Dr. Wł. Seredyński „Pedagogia polska“; Dr. Z. Sawczyński „Pedagogika w urywkach“; (Kellner) i t. p.

poprzestając na *Fr. Dittesie*, przewodryze bezwyznaniowego racjonalizmu w szkolnictwie austriackiem, rzucono się do systemu *Herbarta*. Kto wie, czy na ów zwrot nie wpłynął epitet *umiejętnej pedagogiki*, który wielu uczniów Herbarta systemowi swego mistrza wyłączenie przyznaje. Dopóki jednak sprawa roztrząsana była jedynie w kołach mężów uczonych i doświadczonych pedagogów, nie było w tem nic zdrożnego; owszem można się było cieszyć nadzieją, że z tego ożywionego ruchu umysłowego wynikną tylko nowe i cenne nabytki dla pedagogii narodowej. Inaczej jednak rzecz się przedstawia od chwili, kiedy system Herbarta usiłują przedwcześnie wprowadzić do naszych szkół. O istnieniu takiego niebezpieczeństwa przekonywają nie tylko używane w gimnazyach naszych podręczniki Lindnera, znanego zwolennika Herbarta, ale nadto i świeżo wydrukowane dzieło *Pedagogika i Dydaktyka* do użytku nauczycieli szkół ludowych i *seminaryów nauczycielskich*(!) Znaczy to zmieniać stanowczo kierunek wychowania narodowego, co przecież jest rzeczą doniosłego znaczenia, że wymaga dokładnego uprzedniego zbadania nietylko dodatnich, ale i ujemnych stron zalecanego systemu Herbarta. Spróbujemy tu rzucić choćby kilka myśli.

Uczniowie Herbarta¹ jako główną zaletę pedagogicznego systemu tego myśliciela wymieniają wyraźne postawienie i ściśle przeprowadzenie zasady: *Pedagogika jako umiejętność zawisła od praktycznej filozofii (etyki) i od psychologii. Owa wskazuje cel czyli zadanie wychowania, ta zaś drogę, środki i sposoby*². I w rzeczy samej trzeba przyznać Herbartowi ścisłość i konsekwencję w ułożeniu całego systemu; jednakowoż — jak zeznaje sam Fröhlich, gorący jego zwolennik — nie sam tylko system Herbarta zasługuje na miano umiejętnego a zarazem nie jest zupełnie nowy, bo opiera się w wielu rzeczach na Niemayerze, Pestalozim, Dioterze i innych pedagogach. Nie można też zarzucać uczonym wychowawcom innych obozów, jakoby za mało uwzględniali etykę i psychologię; owszem, wypadaloby ich pochwalić jeszcze za to, że w sposób popularny i najkrótszy starają się przedstawić to, co Herbart odmalował w zaویłych zwrotach, w długich okresach i odrębną a trudną termino-

¹ Żył od r. 1776 do r. 1841.

² Herbart, „Umriss pädag: Vorlesungen“, wyd. II. 1841, str. 1.

logią. W każdym razie jednak naczelną zasadą Herbarta wskazuje, że chcąc dobrze zrozumieć i skutecznie przeprowadzić jego system wychowawczy, potrzeba koniecznie zbadać nawskróś i zastosować jego psychologię i etykę. Gdyby te podwaliny pedagogiki okazały się u Herbarta niewzruszonymi, to moglibyśmy śmiało system jego do szkół wprowadzić, ale niestety, właśnie one wykazują niejedną słabą stronę. Przejdźmy je w krótkości.

Herbart słynie jako pierwszy, który *psychologię* skierował na właściwe empiryczne tory. I należy mu się ta zasługa zwłaszcza, że nie lękał się ze zasadą empiryi wystąpić wtenczas, kiedy transcendentalny idealizm górował jeszcze we wszystkich dziedzinach nauki. Atoli o ile bardzo przysłużył się nauce przez wiele trafnych spostrzeżeń psychicznych, o tyle znowu mniej był szczęśliwy we wnioskowaniu, dotyczącem natury i ustroju duszy.

Według Herbarta materya może być pierwiastkiem życia. Ciało ludzkie wykonywa swe wegetacyjne i zmysłowe czynności samodzielnie i odrębnie od duszy, która jest jedynie pierwiastkiem życia rozumnego. System nerwowy łączy duszę z ciałem żyjącem. Tymczasem samowiedza, którą i Herbart uznaje za jedyne źródło badania duszy ludzkiej, nie tylko nie nastręcza ważniejszych danych do takiego twierdzenia, ale owszem świadczy, że to samo „ja“, które świadome jest wrażeń zmysłowych i ruchów fizycznych, świadome jest także tego, że myśli i pożąda. Dlatego też do jednego i tego samego „ja“ wszystkie owe czynności odnosimy. Gdyby zaś pierwiastek życia wegetacyjnego i zmysłowego w człowieku był całkiem różny od pierwiastka życia rozumowego, to wówczas dusza rozumna w żaden sposób nie mogłaby być świadoma ruchów zmysłowych, jako swoich własnych. Zresztą gdyby wszystkie czynności życiowe w człowieku nie miały jednego wspólnego pierwiastka, to wówczas nie powinnyby sobie tak dalece przeszkadzać, a przecież faktem jest, że natężone skupienie myśli robi zmysły nasze w mniejszym lub większym stopniu niewrażliwemi, zaś silne namiętności ciała osłabiają bystrość myśli. I wiele jeszcze innych doświadczeń przemawia za tem, że człowiek — jak uczy filozofia chrześcijańska — ma tylko jeden pierwiastek życiowy dla wszystkich czynności, i że ciało bez duszy żadnego życia nie posiada.

Daleko jeszcze donioslejszem jest twierdzenie Herbarta, jakoby

duśza, co do swojej istotnej jakości, nie mogła podlegać żadnej zmianie. Dusza nie da się ukształcać, uczy on, ale pozostaje zawsze tem, czem była przy urodzeniu człowieka. Ukształcać można tylko treść duszy tj. wrażenia i pojęcia, i na tem polega cała możliwość wychowania. Pojmuje on więc duszę nie jako ziarnko, które kiełkuje, rośnie i rozwija się w bujną roślinę, lecz jako rodzaj próżnego naczynia, które napelnia się treścią dopiero przez wychowanie tj. przez wrażenia zewnętrzne. Krótko na to odpowiedzieć można, że takiej duszy niepodobna byłoby uważać za istotę żywą, bo życie objawia się zawsze ruchem, rozwojem i doskonaleniem.

W dalszej konsekwencji uczy Herbart, że dusza nie ma żadnych władz lub sił, lecz są w niej tylko sploty wyobrażeń, uczuć i pożądań. Mniemane czynności duszy polegają na wzajemnem oddziaływaniu owej treści. Słowem rozum, fantazyja, pamięć, uczucie, wola nie oznaczają żadnych władz duszy, lecz są tylko czczemi ogólnemi pojęciami, wyrażającemi rodzaj czynności wyobrażeń. Jedyną czynnością duszy jest to, że się utrzymuje przy istnieniu przez reakcyę przeciw zamieszaniu, jakie sprawia napływ nowych wyobrażeń. Wyobrażenia zaś stają się samodzielnymi siłami przez to, iż wzajemnie się powstrzymują i zaciemniają tj. spychają ze samowiedzy. Wskutek tego powstaje łączenie, zlewianie się lub rozdzielanie wyobrażeń. Uczucie, jestto świadomość wydobywania się na jaw, lub zaciemniania się jakiegoś wyobrażenia. Pożądanie jest świadomością dążenia jakiegoś wyobrażenia do reakcyi przeciw przeszkodom i do przedostania się w zakres samowiedzy. Pożądanie staje się wolą, gdy się łączy z przekonaniem, że dążenie owo będzie pomyślnym uwieńczone skutkiem. Uczucie więc i wola są drugorzędnymi stanami duszy. Trudno się dziwić tym twierdzeniom Herbartu, bo są one tylko konsekwentnymi wnioskami z zasadniczego, mylnego założenia. Te tylko z jego twierdzeń, które podają bezpośrednie spostrzeżenia psychiczne, przydały się do ogólnego rozwoju psychologii. W wielu jednak rzeczach stanął on w widocznej sprzeczności ze zasadą, że całkiem odmienne skutki muszą też mieć całkiem odrębne przyczyny. Różnorodność bowiem objawów (np. poznawanie, chcenie i t. p.) zmusza nas do uznania kilku władz w duszy człowieka. Nie da się także ściśle wytłumaczyć, w jaki sposób wyobrażenia, będąc z natury swej biernymi, mogą samodzielnie przejść

w stan czynny; co innego gdy przerabianie ich przyznamy działaniu duszy. Samowiedza również opowiada tylko o ścieraniu się owych wyobrażeń, które się do niej dostały, lecz nie wie i nie może wiedzieć o tem, czy wyobrażenia, aby się do niej dostać, staczają walki gdzieś po za jej obrębem. A przecież na świadomości tych ciemnych walk polega u Herbartu uczucie i wola! Nie tu miejsce jednak wykazywać szczegółowo każdy usterek Herbartu; uczyniła to już dawno filozofia; możemy więc poprzestać na sprawdzeniu, że w obec tego systemu człowiek rozumowy jest tylko wytworem działania świata zewnętrznego. Wychowawcę można tu przyrównać nie do ogrodnika, lecz do architekta, który zakłada w próżni duszy ludzkiej dowolne podwaliny. Dopiero później, gdy pierwsze wyobrażenia zaczną kielkować i staczać walki z nowemi, może wychowawca do czynności architektonicznej dołączyć także pieczołowitość ogrodnika. Atoli takie pojęcie duszy znacznie osłabia odpowiedzialność za czyny ludzkie, bo ogranicza wolną wolę.

Psychologia wskazuje pedagogowi jedynie drogi, środki i sposoby wychowania, cel zaś tegoż określa etyka. Otóż według Herbartu cel człowieka jest czysto naturalny i subiektywny. Po za osobnikiem nie masz nic, coby dlań wartość mieć mogło, lecz osobnik sam nadaje wartość wszystkim przedmiotom, z czego wynika, że *nie można osobnika wychowywać dla dóbr idealnych jako to: dla Boga, dla ludzkości, dla państwa, dla rodziny i t. p., bo te przedmioty wtenczas dopiero zyskają uznanie ze strony osobnika, gdy odpowiadają najwyższemu probierzowi indywidualnych pragnień i czynów*. Nie wolno wychowawcy zapomnieć o tym celu i dlatego też dosadnie oświadcza Rolfus:¹ *Wszelkiej wartości pozbawiona jest taka pedagogika, która nie wychowuje dziecięcia dla istniejących stosunków, ale dopiero przez indywidualność pozwala istniejącym stosunkom nabrać wartości*.

Jakiż więc cel wytyka człowiekowi etyka Herbartu? Celem tym jest *cnota*. Człowiek powinien dążyć do nabycia pięciu najwyższych moralnych idei, a te są: *wewnętrzna wolność, doskonałość, miłość bliźniego, sprawiedliwość i prawo odwetu*. I Herbart

¹ „Real-Encyclopädie der Erziehung“. Moguncya, 1873. II. 450.

więc w pierwszym rzędzie stawia ideę wewnętrznej wolności czując, że bez niej nie byłoby etyki, atoli pamiętać należy, że idea Herbartowska nie jest przedmiotowa i nadzmysłowa, lecz czysto subiektywna, wytworzona przez rozsądek każdego osobnika. Zgadzanie się woli ze sądem wydanym przez owe pięć idei moralnych stanowi cnotę. Niestety trudno tylko pojąć, jak rozum ze swymi ideami może u Herbartu skutecznie oddziaływać na wolę, skoro przecież według jego systemu rozum i wola nie są władzami duszy, ale tylko czczymi pojęciami określającymi przebieg walki, jaką jedno wyobrażenie stacza z drugimi, aby się przedostać do samowiedzy! Któż tu i komu może rozkazywać? Pomijając jednak tę ważną kwestyę, śledźmy dalej tak myśli Herbartu odnośnie do etyki i pedagogiki.

Otóż uzasadniając wyliczenie pięciu najwyższych idei moralnych tłumaczy Herbart, że każda z nich polega na stosunku woli albo do rozsądku własnego (wewnętrzna wolność, doskonałość), albo do woli innego osobnika. W tym ostatnim razie wola nasza albo wspiera wolę drugiego (miłość bliźniego), albo jej się sprzeciwia (sprawiedliwość), albo jej wyrządza coś miłego lub niemiłego (odwet). Wychowawca ma dążyć do tego, aby dziecię przyzwyczaić do pokonywania popędów zmysłowych i kierowania się ideami moralnymi, czyli ma zmierzać do wyrobienia *moralnego charakteru*. Dopomaga mu do tego rozbudzanie *wielostronnego, równoważnego interesu* tj. kształcenie zamilowania *empirycznego, spekulacyjnego, estetycznego, sympatycznego, społecznego i religijnego*. Środkiem do tego jest *nauka wychowawcza* ożywiona przez pobudzanie do mimowolnej uwagi na podstawie praw apercpepyi oraz przez koncentrację i jasność nauki. Jasność zaś nauki wymaga „artykulacyi“ tj. uwzględnienia pięciu formalnych stopni nauczania mianowicie: analizy, syntezy, asocjacyi, systemu i metody. Oprócz nauki wychowawczej podaje jeszcze Herbart dwa inne środki wyrobienia woli, a to: *rząd pedagogiczny* (karność) tj. rodzaj policyjnego czuwania nad zewnętrznem ułożeniem wychowanka, który Ziller¹ otwarcie zowie dresurą, oraz *prowadzenie moralne*. Stósownie jednak do swych zasad psychologicznych głównie opiera się Herbart na nauce wychowawczej, bo mówi

¹ „Die Regierung der Kinder“. Lipsk. Teubner. 1847. str. 5.

*Nauka tworzy bezpośrednio zasób myśli, wychowanie zaś charakter, atoli to ostatnie jest niczem bez pierwszego; w tem streszcza się cała moja pedagogika*¹.

W całym tym systemie etyki i pedagogiki uderzają przede-wszystkiem dwie słabe strony, a to: pominięcie strony religijnej i wygórowany sąd o moralnej doskonałości każdego człowieka. Wprawdzie wspomina Herbart o interesie religijnym, atoli wymienia go na ostatnim planie i nadaje mu bardzo małe znaczenie. Owe zaś pięć najwyższych idei moralnych nie czynią o religii najmniejszej wzmianki. Najgorliwsi też nawet uczniowie Herbarta nie tają tego braku i dlatego Ziller² stara się system swego mistrza uzupełnić zapewnieniem, że całe wychowanie moralne powinno się odbywać w duchu religijnym. Fröhlich³ zaś nie stara się go pod tym względem wcale usprawiedliwiać, ale otwarcie mówi: *Nie ulega żadnej wątpliwości, że Herbart w teorii swej nie uwzględnił należycie religijnej strony wychowania*. A jednak kiedy Scheibert, jeden z obrońców Herbarta, chciał dodać szóstą ideę pobożności (miłości Boga), inni stanowczo tę propozycję odrzucili. Zwracamy uwagę na ten stan rzeczy, bo u nas w kraju z pewnością zechcą system Herbarta zalecać jako nader religijny i chrześcijański. A przecież każdemu chrześcijaninowi nie tajno, co jest najgłówniejszem przykazaniem religii, czyli co jest najważniejszą zasadą moralną. Zimna rozważa nie mniej także wskazuje, że jeśli w liczbę najwyższych idei wstawiamy pojęcia określające stosunek naszej woli do siebie samych i do woli innych ludzi, toć skoro przyznajemy istnienie Boga powinniśmy również na naczelnem miejscu umieścić ideę, wyrażającą stosunek naszej woli do woli naszego Pana i Stwórcy czyli ideę miłości Bożej. System, który ogranicza się na humanitarnych jedynie ideach a pomija Boga, nie może mieć nigdy pretensyi do nazwy religijnego, a tem mniej chrześcijańsko-katolickiego, a nadto tak pod względem filozoficznym jak i pedagogicznym znaczną już wykazuje lukę.

¹ „Über meinen Streit mit der Modephilosophie“. 1814. XII. str. 241.

² „Vorlesungen über allg. Pädagogik“ §. 5, str. 26—30.

³ „Die wissenschaftliche Pädagogik“. Lipsk 1887, str. 45.

Owo też pominięcie strony religijnej — wprowadzie nieunikniony wynik z innych psychologicznych i etycznych zasad Herbarta — czyni bezsilnemi całą etykę i pedagogikę tego myśliciela, bo pozbawia wolę skutecznego bodźca, a nakazy rozumu ogalają z dostatecznej sankcyi. Według tego systemu motywem skłaniającym wolę do życia cnotliwego jest jedynie obawa sprzeczności z głosem rozumu i piękność cnoty jako takiej. *Wola poddaje się wyrokowi rozumu*, mówi Herbart, *bo w przeciwnym razie powstałaby w treści duszy sprzeczność, której nie zdołałby znieść wyrobiony charakter i musiałby ją odczuć jako zelżenie siebie samego*. Tego samego uczyli już stoicy. W rzeczy samej być cnotliwym nie dla jakichś nagród, lecz jedynie dla piękności cnoty, to wspaniała i szczytna myśl, ale — nie dla ludzi. Taki jest ustrój naszej natury ludzkiej, że gdyby nagroda cnoty i kara za występki miały polegać jedynie na uszczęśliwiającem poczuciu wypełnionego obowiązku, oraz na wyrzutach sumienia, to wówczas runąłby musiał cały moralny porządek świata. Boć wiadomo, że nie każdy człowiek ma równie delikatne uczucie moralne, a przecież sprawiedliwość domaga się równości. Wiadomo, że wolna wola jest w stanie na jakiś czas zagłuszyć wyrzuty sumienia, a nawet całkiem je stłumić w miarę pograżania się w zbrodniach. Tak więc człowiek przewrotny i wyratynowany nie miałby żadnej kary, mógłby tuczyć się cudzą krzywdą, a być przytem najszczęśliwszym, gdy przeciwnie człowiek cnotliwy, mając delikatne sumienie, dręczyłby się lada drobnem przewinieniem. Błąd etyczny Herbarta i w ogóle naturalistycznego humanitaryzmu leży w tem, że cnotę uważają za cel człowieka. Tymczasem cnota choćby najwznioślejsza nie jest jeszcze celem, lecz dopiero środkiem do celu, środkiem do trwałego szczęścia, które sięgać musi poza grób, podobnie jak i istnienie duszy (bo to Herbart przyznaje) poza grób sięga. Dzisiejszy przeto humanitaryzm a dawny stoicyzm wypowiadają wprawdzie zasady wzniosłe — ale przechodzące siły ludzkie, budzą szacunek — ale rozmiągają się z prawdą.

Herbart przecenia również moralną doskonałość każdego osobnika, mniemając, że rozum zdoła u każdego i w każdym przypadku zawładnąć wolą. Toć sam mistrz przestrzega przed wielką siłą zmysłowych popędów, a każdy człowiek podobno narzeka nie-

raz ze św. Pawłem na ów zakon w członkach ciała sprzeciwiający się zakonowi umysłu! Któż się uchroni od wszelkiego upadku? A jest faktem psychologicznym, że każdy upadek moralny osłabia hart woli i prowadzi do dalszych upadków. I nieraz też powtórzyć musi człowiek za Owidiuszem: *Video meliora proboque, deteriora sequor*. Dochodzi wreszcie do tego, że rozum utracą zupełnie swą władzę zwierzchniczą, przechodzi pod rozkazy woli, staje się niewolnikiem namiętności i na to tylko bystrości swojej używa, aby namiętność wytłumaczyć i usprawiedliwić (stąd też nawet największy szuler znajdzie rozumną wymówkę), oraz aby nowe sposoby do jej nasycenia obmyślać. Dobre przyzwyczajenie wyniesione z lat młodocianych i piękne zasady rozumowe skutecznie wprowadzie popierają rozkazy lepszego przekonania, ale to nie trwa długo. Człowiek wychowuje się aż do grobowej deski, a zwłaszcza charakter moralny nie ustala się nigdy w młodocianych latach, lecz dopiero później wśród zawieruchy życia.

Talent się kształci w ciszy i spokoju,
Ale charakter pośród życia boju.

To też kształcenie charakteru możnaby porównać z rozwojem powoju wazonowego. Ziemia stosownie spulchniona i zraszana, to jakby owe zasady rozumowe ciągle się utrwalające, w których wola zapuszcza zdrowy korzeń i wystrzela lodygą dobrych czynów, dobrego przyzwyczajenia. Oto okres wychowania młodocianego. Ale lodyga powoju wic się będzie po ziemi i gnić we wilgoci, jeśli jej wcześniej nie damy trwałej podpory. Im stalsza podpora, tem piękniej i prościej lodyga będzie się wzbijać w górę. Takiej podpory silnej potrzebuje i wola ludzka. Odgadł ją już Pythagoras, ów słynny wychowawca starożytny, a udoskonaliło ją chrześcijaństwo. Tą niezłomną i zawsze istniejącą podporą charakteru jest wola Boża, jest głęboka religijność.

Nowoczesny humanitaryzm, którego wyrazem jest także Herbart, zboczył ze szlaków Chrystyanizmu, odrzucił postęp, jaki w historii świata zaznaczył wpływ objawienia Bożego, odrzucił wyższe pozagrobowe cele człowieka, a kazał mu żyć jedynie dla ziemi, i za różnicowe hasło ogłosił: rozumowe jedynie badanie Bóstwa. Zobaczmy do czego doprowadziło owo cofnięcie się na pogański

grunt dawnych Greków i Rzymian. Nie chcemy tu poruszać pozytywistycznego kultu wielkich mężów odpowiadającego kultowi natury i bałwochwalstwu starożytnych, ale zwracamy jedynie uwagę na rozwój charakterów. I sprawdzić wypada, że we wieku, kiedy świat tak znacznie postąpił pod względem rozumowym, kiedy mamy tylu światłych i uczonych mężów, coraz większy brak uczuć się daje szlachetnych i stałych charakterów. Zmysłowość objawiająca się czy to chęcią zysku, czy też innemi namiętnościami tak dalece wzięła górę nad lepszym przekonaniem rozumowym i nad ideałami moralnemi, że dziś dość spojrzeć na nowoczesne sztuki, na chaos sentymentalnej literatury, aby nabrać wyobrażenia o wartości i sile większości charakterów. Dlaczegoż tak nas wabia kreacye Sienkiewicza? Jest w nich wiele realnego powabu, ale kto wie, czy ów magiczny urok nie leży dla nas w bohaterskich, stalowych charakterach jego postaci! Przeciwnie zaś Kraszewski, lubo tak znakomity, nie zdołał wzbić się ponad swój wiek i dlatego też nie masz w jego utworach zacnych a stałych charakterów, bo najszczytniejszym nawet bohaterom swoim pozwalał się chwiać i zmieniać za lada powiewem wiatru. Jakby o żelaznym wilku słuchamy opowiadań o wytrwałości naszych pradziadów i o ich harcie ducha, którego żadne nieszczęścia nie zdołały przełamać. Dziś lada niedoła przyprowadza nas do rozpacz i coraz częściej broń samobójczą wtłacza w dłonie mężów o najpiękniej rozwiniętym organizmie fizycznym. Dziś wielu wątpi zupełnie, czy człowiek w ogóle zdolny jest do wzniosłej moralności, do zapanowania nad sobą. A nie brak i takich, którzy wręcz oświadczają, że człowiek nie ma wcale wolnej woli i nie jest odpowiedzialny za swe czyny. Smutny to obraz, ale niestety aż nadto prawdziwy!

A można przecież i dzisiaj znaleźć ludzi z silnym, szlachetnym charakterem. Znajdą się oni i w klasie uczonych, ale daleko więcej jest ich w klasie prostaczków, pod naszymi wiejskimi strzechami. Trzeba zbliżyć się do ludu, jak nasz Karol Antoniewicz i patrzeć, jak bohatersko nieraz ten wieśniak potyka się z całą rotą przeciwności! jak mężnie przechodzi nieraz najkrytyczniejsze i najboleśniej-sze chwile! Religia katolicka to owa niezłomna podpora charakteru, o której zapomnial Herbart i racjonalisci. Potrzebny jest rozwój zasad rozumowych, ale te nie wystarczą w chwilach zawieruchy

moralnej; potrzeba również harmonijnego kształcenia i innych władz duszy; potrzeba przede wszystkim większego uwzględniania wychowania fizycznego, a więc rozwoju sił ciała, rozwoju zdrowia, uwzględniania warunków płci, klimatu, narodowości, pożywienia, stanu i wieku, ale to wszystko za mało dla natury skażonej wybujałą zmysłowością, tym oczywistym dowodem grzechu pierworodnego. „Jeżeli wola ma oprzeć się jakby na opoce i przejść w stały charakter, to musi za ostatni i najwyższy motyw swoich decyzji i czynności obrać wolę Bożą; to uczyni ją mocną i stałą; wówczas to rozwinię się pozytywnie dobry charakter“¹. Tam, gdzie środki naturalne już całkiem zawodzą, religia jeszcze podtrzyma wolę w dążeniu ku enocie przez pobudkę miłości Bożej, ubezpieczy ład moralny przez nieugiętą sankcję prawa Bożego, przez nagrody i kary, tak doczesne, jak pozagrobowe, a wreszcie poda skuteczną nadnaturalną pomoc przez łaskę Bożą wyjednaną przez Odkupienie. *Czuwajcie i módlcie się* oto maksyma, która konsekwentnie wykonywana prowadzi nawet mało oświeconego chrześcijanina niezawodnie do najwyższej doskonałości moralnej. Jestto prawda, która przebyła już wiekowe próby i wykształciła już we wszystkich stanach mnóstwo niespożytych charakterów moralnych, zachęciła do nadludzkich nawet cnót i poświęceń! Ale cudów tych nie zdola oczywiście dokazać jakaś mglista i nieokreślona religia racjonalistyczna, uznająca tylko istnienie Boga i nieśmiertelność duszy!

System Herbarta przeto nie jest w stanie dać rękojmi i wyrobienia zacnych i stałych charakterów i uszczęśliwienia społeczeństwa. Nie może on być przeto zastosowany w swojej całości w szkołach, tembardziej u nas Polaków, u których hart ducha i wytrwałość w niedoli powinny być chlebem codziennym, jeśli się ostać mamy. Nam potrzeba umiejętnego, ale też zarazem narodowego i przede wszystkim głęboko religijnego systemu wychowania! Nie wynika stąd jednak, abyśmy rozwijając wychowanie narodowe nie mieli korzystać z tych zdobyczy psychologicznych i dydaktycznych, jakie i Herbart i inni pedagogowie zagraniczni dla nauki poczynili. Nie masz błędu, w którymby nie było coś prawdy. Tak też i w systemie Herbarta — jeśli pominiemy jego wywody spekulatywne

¹ Rolfus l. c. I. 371.

o naturze i jakości duszy ludzkiej oraz słabe określenia etyczne — możemy znaleźć i zużytkować wiele cennych doświadczeń; atoli należy rzecz ostrożnie badać i tylko z fragmentów korzystać. Toć nawet uczniowie Herbart nie przyjmują już systemu mistrza swego bez zastrzeżeń, bo oto, co mówi Fröhlich¹: *Jako przyjaciele prawdy, którzy chcemy dojść do wyższej wiedzy pedagogicznej, powinniśmy się w obec tego systemu zachowywać nie całkiem biernie, nie bez krytycznego wyboru.* Jest w tym systemie bowiem jeszcze wiele wad, których tu nawet niepodobna było poruszać. I tak sam Ziller ubolewa, że Herbart tylko teoretycznie rzecz wysnuł, ale jej nigdy nie przeprowadził praktycznie, i dodaje: *Ugrupowanie Herbartowskiej dydaktyki tak, jak jest ono rozwinięte, odznacza się niestety wielką niejasnością*². Poprawiono już błąd Herbart, jakoby nauka analityczna miała stanowić osobny cykl dla siebie; idea zaś koncentracji nauki wywołuje po dziś dzień nader ożywioną dyskusję pomiędzy jego uczniami. Zdyskredytowanego w tej walce Zillera tłumaczy Fröhlich w ten sposób, że *Ziller mniej jeszcze niż jego mistrz Herbart zbadał życie, zabawy, czyny, dążenia i pragnienia świata dziecięcego i zazwyczaj zbyt wygórowane ma o nim wyobrażenie*³. Także i stosunek wielostronnego interesu do cnoty nie jest dość ściśle określony. *Herbart, który wytknął te obydwie cele,* powiada Th. Vogt, gorący jego obrońca, *nie zbadał całkiem jasno zawilego ich stosunku nawet wtenczas, gdy myśli swe o nich zaczął już spisywać*⁴. Wielką także lukę w całym tym systemie pedagogicznym stanowi zupełne pominięcie wychowania fizycznego, co i Stoy⁵ przyznaje i pragnie uzupełnić. Zresztą nie chcemy się tu zaciekać w drobiazgi; każdy bowiem łatwo odgadnie, że musi być w tym systemie przy jego ogólnej konsekwencji wiele praktycznych braków, skoro naczelne zasady psychologii i etyki są mylne i niedokładne. To też system filozoficzny Herbart uważa dziś świat za przebrzmiały, zaś systemu jego pedagogicznego z łat-

¹ L. c. 181.

² „Jahrbuch d. V. f. w. Pädagogik“, 1875, str. 267.

³ L. c. 187.

⁴ „Jahrb. d. V. f. w. Pädagogik“ 1869, str. 252.

⁵ „Encyklopedie der Pädagogik“

wych do zrozumienia powodów w żadnem jeszcze państwie nie usiłowano w całości przeprowadzić; dla praktyki ma on tylko wartość fragmentaryczną. Jedna tylko szkoła w Lipsku, założona przez uczniów tego myśliciela, usiłuje łagodzić i upraktyczniać system swego mistrza. Uwagi te o Herbarcie kończymy słowami Ralfusa: *System pedagogiczny Herbarta ma w każdym razie (dla swej ścisłości) znaczną wartość naukową i jest nader charakterystycznym i ciekawym wysiłkiem ducha ludzkiego, ale niestety jest on bez wartości, jeśli ma być zastosowany w praktyce*¹.

W obec takiego stanu rzeczy nader dziwnie brzmieć muszą słowa wspomnianego podręcznika p. t. „Pedagogika i Dydaktyka“. Autor p. M. Baranowski¹ powiada: „Szkoła Herbartowska napotkała między nowszymi pedagogami niemieckimi i przeciwników, jednakże *zasady jej pozostaną na zawsze niewzruszone*, jakkolwiek szczególnie wysnute przez jej zwolenników uledz muszą czasem krytyce“. Sądziłibyśmy, że trzeba bardzo ściśle ważyć każde zapewnienie, które się podaje uczącej się młodzieży, zwłaszcza, jeśli to ma być poniekąd dyrektywą w zawodzie. Czyż zasady systemu Herbartowskiego są rzeczywiście tak „niewzruszone“, jak to kandydatom stanu nauczycielskiego zapewnia autor? Można było pochwalić i zużytkować co jest cennego, ale zarazem albo wytknąć wady całości, albo w najgorszym razie nic o całości i o niewzruszoności zasad nie wspominać. Tak samo przy wskazywaniu literatury pedagogicznej należało albo wymienić dzieła wszystkich cenniejszych pedagogów jakiegokolwiek obozu, albo też zupełnie ten dział książki opuścić. Tymczasem zwłaszcza w niemieckiej literaturze, wyjąwszy dzieła jednego L. Kellnera, widzimy spis samych tylko dzieł szkoły Herbartowskiej lub racjonalistycznej. A przecież i sam autor jest na tyle doświadczonym pedagogiem, że nie trzyma się ściśle „niewzruszonych“ zasad Herbartowskich, bo dodał higienę i niektóre zasady dyktatyczne, z których sztydzą uczniowie Herbarta, a zupełnie już skądinąd zaczerpnął psychologię! Jedynie etykę i kierunek wychowania oparł autor zupełnie na Herbarcie, przez co też stanął *ipso facto* w sprzeczności z dogmatami religii katolickiej, a nadto ściągnał

¹ L. c. II. 452.

² L. c. str. 60.

obawę bezowocności na wszystkie podawane środki wychowawcze, bo i sam się wyraża, że człowiek — gdy raz go opanują namiętności — *traci wolną wolę*¹! Może być, że tak chce pedagogika Herbarta, ale nato się nigdy nie zgodzi pedagogika chrześcijańska, bo doświadczenie uczy, że przez głęboki wpływ religii mogą być jeszcze moralnie uratowani ludzie uważani już za straconych. Taka nauka gotowaby doprowadzić do rozpacz i do samobójstwa! Wielka szkoda doprawdy, że autor, znany zresztą z najlepszej strony, dał się tak olśnić nazwie „umiejędnej pedagogiki! Jego osobiste, szlachetne chęci znać stąd, bo w uwagach swoich kładzie nacisk na wychowanie patryotyczne i chrześcijańskie, ale niestety staje przez to w rażącej sprzeczności ze systemem, w którym wytyka wychowaniu cel niechrześcijański, podaje naturalistyczną definicję dobra moralnego, każe rozumowo tylko poznawać Boga, pomija całkiem obowiązki względem Boga, a nadto ignoruje zupełnie Objawienie i potrzebę łaski Bożej. Trudno, aby na takim gruncie Kościół mógł iść w parze ze szkołą, trudno też, aby szkoła spełniła odpowiednio swój obowiązek patryotyczno-wychowawczy. A przecież autor pojmuje wybornie zadanie szkoły, bo uczy: „Jakkolwiek głównem zadaniem szkół jest nauczanie, ważniejszem jest ich zadanie wychowawcze“². Czemuż więc narażać nasze szkoły na niebezpieczne próby? Czyż nie lepiej byłoby, gdyby autor swe cenne zresztą dzieło przeznaczył nie do użytku szkolnego, lecz dla teoretyków.

Nawiasowo także musimy wyrazić zdziwienie, że autor propagując bezwyznaniowy system Herbarta uczy równocześnie, że nasz system szkolny austriacki nie jest bezwyznaniowy, bo każe wychowywać religijno-moralnie! Co innego bezwyznaniowość, a co innego zupełna niereligijność. Tę ostatnią widzimy obecnie jedynie w szkołach francuskich, pierwsza zaś pozwala i nakazuje wychowywać według jakiejś mglistej, wspólnej wszystkim wyznaniom religii, nie sprzeciwiającej się zasadom ani izraelitów, ani ewangelików, ani schizmatyków lub katolików i t. p. I dla tego też autor w myśli Zillera³ śmiało żądać może „przyswajania młodzieży zasad

¹ L. c. str. 29.

² L. c. str. 96.

³ L. c. str. 171.

religijnych w nauce świeckiej w szkole“, lubo szkoły zawsze są mieszane pod względem wyznań, a zasadnicza ustawa państwowa z dnia 25 maja 1868 §. 2, alin. 2 wyraźnie powiada: *Nauczanie innych przedmiotów jest niezawisłem od wpływu każdego kościoła, lub stowarzyszenia religijnego*¹. I jestto właśnie jeden z głównych punktów, który chce obalić parlamentarne stronnictwo „szkół wyznaniowych“.

Może być jednak, że autor chciał tylko powiedzieć, iż nauczyciele powinni uzupełniać braki ustawy i wychowywać młodzież prawdziwie religijnie². Mamy nadzieję, iż przyjdzie do tego, gdy za podstawę nauki obierzemy umiejętną pedagogikę chrześcijańską. Wówczas też ziści się życzenie autora, „że dom i szkoła nie będą nigdy w sprzeczności ze zasadami głoszonymi przez Kościół“, a wychowanie nasze, odpowiadając wszelkim wymaganiom pedagogicznym, stanie zarazem na właściwym sobie gruncie narodowo-katolickim. Oby, ta chwila nie dała długo czekać na siebie!

Ks. W. Gadowski.

¹ Dz. u. p. nr. 48.

² Zastrzegamy się ponownie, że nie chcemy bynajmniej dotknąć osoby autora. Owszem, tak przy prywatnem porozumieniu się z okazji tej oceny jak i poprzednio publicznie, a nawet w kilku miejscach w toku omawianego dzieła zaznaczył szanowny autor swe osobiste narodowo-katolickie przekonania i szlachetne dążenia wychowawcze. W samym zresztą wykazie podręczników pedagogicznych pomiął on skrajne wydawnictwa pozytywistów warszawskich. Z chęcią podnosimy te pochlebne zalety autora, bo rozechodzi nam się jedynie o rzecz, która rzeczywiście wielkiej jest doniosłości, i dla tego wyrażamy nadzieję, że sam autor podda jeszcze dzieło swe gruntownemu roztrząśnieniu, usunie zeń niepotrzebne naleciałości, oprze je wyraźnie na zdrowych zasadach pedagogicznych i religijnych, i dopiero w takim poprawnem i konsekwentnem wydaniu przedłoży je do uwzględnienia władzom szkolnym. Wówczas będziemy pierwsi, którzy nietylko autora ale i dzieło jego gorąco zalecimy.



ARTYSTA CHRZEŚCIJAŃSKI

FRYDERYK OVERBECK.

(Dokończenie).

Śmierć ukochanej towarzyszki życia (22 czerwca 1853) przyjął Overbeck ze zwykłym poddaniem się woli Bożej, a spokojem swym i pogodą budował wszystkich. Piszac później do przyjaciółki swej małżonki, owej towarzyszki, która z piękną Niną niegdyś do Rzymu przybyła, wspominał ile się z nią nawiązuje pamiątek! „Nie „chciałbym jednak abyś sądził, że mnie tylko noc żałoby otacza. „Dotąd oko się zwilża wspomnieniem na wszystkich ukochanych, „którzy mnie wyprzedzili, ale w mej duszy tkwi ufność niewzruszona, że są u Boga, którego nad wszystko miłowali, a myśl ta „i przekonanie jest mi wielką pociechą. Ach! jakże był pięknym, „jak pozazdrosczenia godnym koniec dobrej żony mojej! Wszystko „co sobie wymarzyła, o co Boga prosiła od lat trzynastu, to jest „od śmierci naszego Alfonsa, wszystko się aż do najdrobniejszego „spełniło szczegółu. Spoczywa w jednym grobie na cmentarzu św. „Piotra, wraz z trojgiem dzieci swoich, a i mnie tam położą, gdy „się skończy dla mnie walka życia“.

Mimo tak chrześcijańskiej rezygnacyi, życie starca zagrożonego utratą wzroku, a zupełnie osieroconego, nadzwyczaj smutną i samotną zwiastowało przyszłość. Bóg atoli nie zawodzi nigdy dziecięcej ufności, w miarę wiary i zdania się na Opatrzność łaski swe mnożąc obficie.

Przybyły do Rzymu w 1842 r. rzeźbiarz Karol Hoffmann z Wiesbadenu, rychło się zbliżył do Overbecka, a niebawem serdeczna przyjaźń zawiązała się między obu rodzinami. Młoda żona artysty, z domu von Rünagel, z katolickiej pochodziła rodziny. Rzymskie wrażenia podbiły i duszę jej męża dla Prawdy. Złożył on wyznanie wiary w 1844 r., a przy bierzmowaniu był mu ojcem chrzestnym Overbeck. Ścieśniło to jeszcze stosunki ich wzajemne, a pani Overbeck tak pokochała dzieci Hoffmannów, iż odtąd ciągłymi bywały one w pałacu Cenci gośćmi.

Gdy więc śmierć żony osierociła sędziwego artystę, odrazu znalazł się otoczony gronem kochającej rodziny, a młoda pani Hoffmann z takim zapalem i miłością przejęła się rolą przybranej córki, że Overbeck nie zaznał ani chwili osamotnienia życia ni serca. Osłodziwszy mu pierwsze tygodnie wdowiej żałoby, zabrała go z sobą na letni pobyt do Rocca di Papa. Pobyt ten ukołił ból mistrza, orzeźwił jego zdrowie, pomyślnie na wzrok wpłynął. Był to czas wielkiego uspokojenia dla artysty, chętnie gubił się w cieniu kasztanowych lasów, rozkoszował w widoku wspaniałej włoskiej przyrody, cieszył się łagodną melancholijną krasą jesieni, tak odpowiadającą jego własnemu usposobieniu. Pewnego dnia, gdy już nadchodziła pora powrotu do Rzymu, Overbeck z wielkiem jął mówić rozrzewnieniem o sprzeczności zachodzącej między tą miłą, serdeczną jesienią, a idącą samotnością zimową. W końcu dodał ze smutkiem: Wszystko com kochał mnie odbiegło, zostałem niby drzewo bez liści.

Wzruszona do żywego pani Hoffmann ofiarowała mu za zgodą męża i nadal wspólność rodzinnego życia, które się niebawem ustaliło nierozzerwalnym węzłem. Overbeck bowiem zapragnął w uznaniu gorącego poświęcenia przybranej córki, legalnie ją adoptować. Po Mszy św. razem wysłuchanej w domowej kapliczce, dopełniono za pomocą adwokata i w obecności kilku przyjaciół prawnych formalności tego aktu, po którym Overbeck zawołał na przybraną córkę pół żartem, pół łzawo: „Teraz na mocy pozyskanej ojcowskiej władzy, nakazuję ci towarzyszyć mi na cmentarz watykański“.

Tam też udali się we dwoje, aby na grobie żony i dzieci, śpiących w cieniu bazyliki Piotrowej pomodlić się tem rzewniej, iż

Overbeck przyczynie świątobliwej towarzyszki życia przypisywał zabezpieczenie czulej na starość opieki.

Ponieważ dawne mieszkanie w palazzo Cenci nie wystarczało dla licznej rodziny, Overbeck wraz z Hoffmannami przeniósł się niebawem na Via Sette Sale, do willi Camellotti, położonej wśród winnic Eskwilinu, opodal od starożytnego kościoła San Martino ai Monti. Laurowe drzewa otaczały gęsto nowe mistrza schronienie, otwierając tu i owdzie wśród zielonego cienia zachwycające widoki na Termy Tytusa i olbrzymie szczątki Koloseum, na niedalekie bazyliki Lateranu i Najśw. Panny Większej, po za któremi oko ginęło w dalekiej kampanii, tu i owdzie zatrzymane jakim odłamem rzymskiego akweduktu, aby ostatecznie na górach Łatyńskich się zatrzymać. W uroczej tej siedzibie, w młodszym, szczęśliwym otoczeniu odżył, odmłodził się i widokiem szczęścia rozpogodził zachód własnego życia. „Dobroć tego ukochanego człowieka“, pisała pani Hoffmann, „w raj zamienia biedną ziemię naszą“.

Najmilszą tych lat rozrywką było dla Overbecka przewodniczyć zwiedzającym Rzym pątnikom i tłumaczyć im arcydzieła sztuki i pomniki historii. Lecz i w własnej pracowni nie szczędził on komentarzy, nie odmawiał tłumaczenia własnej myśli, nieraz bardzo mistycznej. Chcąc się ochronić przed zbytnim napływem ciekawych, pracownię swą otwierał dla publiczności raz w tydzień, w południowych godzinach niedzieli. Bogactwa natchnienia chrześcijańskiego stanowiły jedyną ozdobę komnat pozbawionych jaskrawego zbytku, w którym się artyści kochać zwykli. Zaledwie się który gość pojawił, z bocznych drzwi wysuwała się postać wyniosła malarza, który tych pielgrzymek nigdy nie brał dla siebie, zwracając je wyłącznie ku sztuce, upatrując w nich hołd dla kierunku i zasad przez siebie wywieszonych. Jeśli zoczył rzetelny interes i społeczenie w swym gościu, chętnie na każde odpowiadał pytanie, a postać jego służyła za najlepszy komentarz dla uduchowionej szkoły, której był przedstawicielem. Powaga jego, strój malowniczy, aksamitny na głowie beret, suty płaszcz z ramion spływający, kapłańskie namaszczenie, składały się w dziwną całość, postaci wykrojonej z jakiego prerafaelickiego obrazu, syeneńskiej mianowicie szkoły. Goście poniewolnie odzywali się doń jako do ojca, zwąc go *Padre* albo *mon Père*. Jakaś aureola świętości zda-

wała się unosić nad jego wyniosłem czołem i schudzoną ascetyczną twarzą. Poranny nadprzyrodzony zasilek na resztę dnia zostawiał mu pewne skupienie wewnętrzne, pókój niczem nie zamaćony. Wszystkie narodowości i wyznania spotykały się co niedziela w pracowni mistrza. Dnia 7 lutego 1857 r. zwiedził niespodzianie pracownię Ojciec św. Pius IX., długo w niej zabawił, a Overbeckowi nie szczędził słów uznania i zachęty.

Dzieci Hoffmannów nie jedną milęgo starca zajmowały chwilę. Lubiał je skupiać w około siebie, opowiadać im i tłumaczyć Pismo święte w sposób przystępny a podniosły zarazem. Po ich odejściu na spoczynek, zwykł był po cichu odmawiać różaniec i modlitwą dzień zamykać. Letnie miesiące teraz stale przepędzał poza Rzymem, to w ulubionej artystom Perugii, to w nadmorskiem Nettuno, lub Porto d'Anzio, to u wód w Vicarello, to najczęściej w malowniczej i niedalekiej Rocca di Papa, gdzie po kilkorazowych pobytach, Hoffmannowie postanowili wystawić sobie własny dom, noszący nazwę willi Overbeck-Hoffmann¹.

Żałobne lata po stracie małżonki natchnęły mu z kolei dwie serye stacyj drogi krzyżowej, tchnące wysokiem namaszczeniem i nastrojem. Jedną z nich rozpoczął w Perugii, i tam też naszkicował węglem piękny obraz umiłowanego ucznia, spoczywającego na łonie Zbawiciela. Chrystus odsłania św. Janowi swoje Bóstwo i tajemnicę Trójcy ś-tej. Zbawiciel w postawie siedzącej, o promieniącym obliczu, przytula do serca klęczącego ucznia, który w zachwycie spogląda w górę ku odsłoniętym sobie tajemnicom.

Via Crucis otrzymała osobne papieskie breve pochwalne. Overbeck z taką miłością tego się chwycił zadania, że w dniu ukończenia czternastej stacyi, uroczyste *Te Deum* w pobliskim kościółku zarządził. Oryginały tych stacyj, rozpowszechnionych rycinami, znajdują się w Watykanie i stanowią jedyną ozdobę pól prywatnych komnat ciągnących się poza Rafaelowskimi Stanzami. Myśl, iż obrazami tymi zdola wiernych do nóg Ukrzyżowanego przywieść i rzucić, była bodźcem Overbeckowi w długiej i zmudnej pracy nad starannem wykończeniem każdego pojedynczego obrazu.

¹ Willę tę przed kilkoma laty próbowano nabyć dla kolegium polskiego w Rzymie, lecz rozpoczęte układy nie zostały pomyslnym uwieńczone skutkiem.

Im dalej w lata, tem przybywa rocznie i pamiątek, tem też serce chętniej, pobożniej je święci. W korespondencyi Overbecka znajduje się taki np. zwrot do 51-ej rocznicy pożegnania rodzicielskiego domu: „Cóż to dziś takim rozradowaniem i błogością duszę mą napęlnia? Czyli tego przyczyną czerstwe zdrowie, jakiego „w 68 roku życia zażywam? czy uczucie, że na obczyźnie Pan mi „zgotował dom rodzinny, który mi się stał ojczyzną? Czy myśl, że „gdy wszyscy moi w pokoju odeszli, znaleźli się dobrzy ludzie, którzy mnie przygarnęli jak swego? Wszystko to zapewne wielkimi „darami Bożymi, za które nigdy dość dziękować nie zdołam, wszelako nie to mam dziś na myśli, boć to przemijające dobra, które „bodaj jutro jeszcze posiadać będę. Może więc sława, którą pozyskałem, miło próżność serca głaszcze i pieści? Znam się niestety! „na tej głupiej ludzkiej skłonności, która dla duszy przynosi niebezpieczeństwo, i więcej się nią zawżdy martwiłem aniżeli się cieszyłem. Cóż mnie tedy dziś tak raduje przy 51-ej rocznicy mego „wyjścia z domu rodzicielskiego? Oto myśl, iż litościwa łaska Boża „z pośród tysiąca wybrała twego biednego, nie nieznaczącego, trwożliwego, nieśmiałego brata, aby słabemi siłami mojemu Imię Boże „rozślawiać, i opowiadać dzieło zbawienia w mowie dla wszystkich „narodów zrozumiałej! I jakże nie mam słodkiej doznawać pociechy, „spoglądając wstecz na przebieżaną połowę stulecia, gdy zbiorę „w jedną całość wszystkie kroki moje od owej pierwszej modlitwy, „jaką Bóg wzbudził w młodocianem sercu, kiedy na widok pokus „świata, które mnie otoczyć miały, wezwałem tej jedynej pomocy, „która nie zawodzi. Odtąd po dziś dzień plecie się dla mnie łańcuch nieprzerwany ciągłych, niezasłużonych łask Bożych. Zdumiałabyś się, gdybym ci ogniwo po ogniwie z tego łańcucha pokazał „i wytłumaczył. Ale na to chyba wypadłoby całe moje życie opisać“.

Jeżeli Overbeck w cichości serca święcił przeszło półwiekową rocznicę pożegnania rodzicielskiego domu, przyjaciele i znajomi postanowili z kolei głośnym obchodem upamiętnić pięćdziesięciolecie jego stałego w Rzymie pobytu. Pobożny starzec nie domyślając się bynajmniej ile hołdów mu dzień 20 czerwca 1860 r. przyniesie, powszednim zwyczajem o rannej godzinie wyszedł do Bazyliki Najśw. Panny Większej, dla wysłuchania Mszy św. i rozpamiętywania słodkich uczuć i wrażeń, niegdyś doznanych u wstępu do

miasta wiecznego. Oto jak siostrze opisywał zgotovane sobie następnie niespodzianki: „Dość masz jasne wyobrażenie o Rzymie i całej okolicy, aby zrozumieć, co to jest w piękny dzień rzymski „znaleść się na wyżynach *Monte Mario*, skąd wzrok obejmuje całe „miasto wraz z onego majestatycznem otoczeniem, wijącym się „wstęgą Tybrem i granicą malowniczego gór pasma; czem dla artysty spotkać się w willi Madama, przez Giulia Romana, najlepszego ucznia Rafaela ozdobionej, z najbliższymi serca przyjaciółmi. Był to atoli zaledwie wstęp do dalszych niespodzianek. „Gdyśmy po południu zawrócili do domu, nagle wypadło ku nam „pięciu jeźdźców, zapraszając nas, abyśmy za nimi tą jechali drogą, „po której o tej samej godzinie przed 50 laty po raz pierwszy stanąłem u bram wiecznego miasta. Zaledwie przybyliśmy nad Tyber, gdy owi jeźdźcy, miasto jechać mostem, zawrócili ku przyległej osterii, przed którą stał tłum różnolity z szklankami w rękę, „aby wypić na moje zdrowie i głośnie podnieść okrzyki. Urządzająca całą uroczystość córka moja, taki wszędzie gotowy w tem „święcie udział znalazła, iż nie sami tylko współrodacy, lecz i artyści wszelkich narodowości uczestniczyli w nim chętnie.

„Zaczem wjechaliśmy przez most do miasta, kędy wszyscy „oglądali się z ciekawością na długi poczet pojazdów i jeźdźców. „Lecz nie ku domowi zmierzał cały pochód, ku memu zdziwieniu, „zwrócił się na lewo, ku ślicznej Willi Malta, dziś własności króla „Ludwika Bawarskiego, gdzie przed pół wiekiem pierwsze w Rzymie znalazłem mieszkanie. Tam, za upoważnieniem królewskiego „właściciela, odbyć się miał właściwy obchód jubileuszowy. Jeśli „u wjazdu na most zdumiałem się serdecznością witającego mnie „z uniesieniem tłumu artystów, co powiedzieć o wrażeniu, jakiego „doznałem wśród wysokich murów okalających ogród willi, który „się roił od znanych i nieznanych a życzliwych twarzy. Wszystko „to wydawało mi się snem czarodziejskim! Winogradem porośłe „cienniki wiodły nas prosto ku sali ogrodowej, gdzie stół malowniczo przybrany otaczał środkową fontannę“. Wieczorem ogród za- jaśniał lampami i transparentami z datą 1810—1860 r. z postaciami Najśw. Panny, św. Łukasza, Rafaela i Albrechta Dürera. Podniosły się toasta wierszem i prozą, a nawet muzyką wygłoszone. Ojciec św. łaskawie uczestniczyć w onej serdecznej owacy

raczył, przysyłając Mgra Talbot jako przedstawiciela swego. I cesarz Franciszek Józef zapragnął wyrazić mistrzowi cześć swą i uznanie, przesyłając mu przez swego posła, barona Bacha, komandorski krzyż orderu swego imienia. Uroczystość zakończono zasadzeniem ręką mistrza pamiątkowej palmy, w pięknym ogrodzie willi, dziś do niepoznania przebudowanej i zmodernizowanej przez swego obecnego właściciela, hr. Bobrińskiego.

Pokojowe znaczenie palmowego drzewa nasunęło Overbeckowi wyrażone w jednym z listów życzenie, aby się ono rozrość mogło na ziemi. „Bo że nam ciężkie grożą nawałnice, bodaj powszechne „w całej Europie, a niezawodnie we Włoszech, o tem wątpić nie- „podobna. Ale dla tego lękać nam się nie trzeba. Pomoc nasza „w Panu, Twórcy nieba i ziemi. Szczęściem dla nas byłoby cierpieć „dla sprawy, za którą z podniesioną walczymy przyłbicą“.

Niebawem przeczuwane wypadki jęły się w groźną zamieniać burzę. „Bolejecie tam współ z nami nad tem co się dzieje, ale módlcie się też, aby Bóg dni próby skrócił, a ku zbawieniu dusz „naszych ją obrócił. Chmury się gromadzą nad nami, i nie wiemy „zgoła co nas czeka w najbliższym czasie, ale ukrzepia nas myśl, „iż miłującym Boga wszystko dopomaga ku dobremu. Wśród klęsk „bieżących, po dawnemu w umiłowanej sztuce szukam osłody „i umocnienia. Oby Bóg dozwolić raczył, aby ta łaska, która mnie „przez całe podpirала życie, i nadal dla mnie podporą została. Ale „niech się dzieje wola Jego święta, bo nawet gdyby mi tę łaskę „odebrał, wszakże On sam byłby mi podporą i oparciem. Jemu „niech będzie chwała na wieki!“

Przez ostatni lat dziesiątek życia, Overbeck stale co lato powracał do willi Rocca di Papa. Upajał się ciszą, pokojem wiejskim, zapachem rezedy i róż jerychońskich, krasą cienistych kasztanów, tęskną pięknnością jesienniej pory. „Kto pobożnym okiem śledzi „przyrodę, temu i radość z oglądania najdrobniejszej trawki w mo- „dlitwę się przemienia“, mawiał często.

Ale nawet owe wakacje letnie nie przerywały ciągu pracy i ustawicznej czynności mistrza. Opowiadając raczej dzieje jego życia aniżeli twórczości, nie wspomnieliśmy o wielu dziełach znaczących, o wielu pięknych i rzewnych obrazach i rysunkach. Niepodobna jednakże przemilczeć o cyklusie, w którym Overbeck upa-

trywał najważniejsze i najgłębiej obmyślane dzieło swoje, a które istotnie najlepiej odzwierciedliło mistyczny nastrój jego ducha i teologiczne obok artystycznego wykształcenie.

Wspomnieliśmy, iż rysunki jego dały były nowy popęd zaniedbanej sztuce malowania na szkle. Obejmując wzrokiem i gorliwością wszystkie gałęzie sztuki, Overbeck zamierzył wznowić i tradycje kobiernictwa, którymi sam Rafael nie gardził, dostarczając nieśmiertelnym wzorów społecznym artystom tkaczom. Rozmiłowany w średniowiecznej spuściznie Overbeck zamarzył tedy o wznowieniu zapomnianej niemal powszechnie sztuki, i w tym celu, wieloletnią pracą zgotował kartony poświęcone siedmiu Sakramentom. Cały to poemat wiary mistrza, środkowe przedstawienie każdego poszczególnego Sakramentu oprawiają z czterech stron harmonie i prorocstwa Pisma św., allegorye i ornamentyka pełna mistycznego znaczenia. Overbeck najwyżej stawiał to swoje dzieło; dla tego też może dozwolił Bóg, że z żadnym utworem nie doznał tyle przeciwności, zawodów, kłopotów bez liku. Miał to być jego śpiew łabędzi, uwieńczenie życia i pracy, tymczasem przedłużone dni pasmo coraz to nowych niestrudzoną ręką chwytalo się przedsięwziąć. Niektóre jego obrazy szły bardzo daleko w świat, jak np. ów obraz ukoronowania Najświętszej Panny, który na żądanie nieszczęśliwego cesarza Maksymiliana za nim do Meksyku popłynął. Nie sam bo król bawarski z pośród głów ukoronowanych osobną łaską i szacunkiem wyróżniał Overbecka. Jedyny monarcha pruski, który kochać potrafił inną sztukę jak sztukę wojenną, Fryderyk Wilhelm IV., marzył zawsze o przeniesieniu Aten niemieckich z nad Izary nad Sprewę; nosił się z różnemi projektami upoetyzowania koszarowej jednostajności swej stolicy; mistyczny marzyielski kierunek jego umysłu wiódł go do osobliwego sympatyzowania z kierunkiem nowej chrześcijańskiej szkoły. Od wstąpienia na tron wciąż przemysliwał, aby pogański Berlin, gdzie tak skąpo kościołów, a te które się znajdują, tak nieodpowiednie Bożej piękności i chwale mają kształty, uposażyć jaką wspaniałą świątynią. W miejscu nad wszelki wyraz szpetnego tumu, chciał wznieść harmonijny przybytek z przyległemi na wzór Pizańskiego *Campo Santo* krążgankami, któreby zawierały groby królewskie. Zamiar ten nie przyszedł do skutku.

Rokowania z Overbeckiem podjęte za pośrednictwem generała Radowitza nie przyprowadziły do żadnych rezultatów, bo mistrz obawiał się, aby w protestanckiej stolicy nie związane skrzydeł jego geniuszowi, nie kazano mu odstąpić od ściśle i wyraźnie katolickiej tradycji. Natomiast, jakby w nagrodę za to poświęcenie, ujrzał przed sobą w ostatniej niemal godzinie znojnego dnia pracy wymarzone pole działania, obszerne ściany wspaniałej świątyni, która z jego ręki miała się freskami ozdobić. Tą przedśmiertną robotą mistrza miało być wewnętrzne odmalowanie wspaniałej katedry w Diakowarze. Budowa tej świątyni powierzona została dawnemu towarzyszowi i przyjacielowi Overbecka, Roesnerowi, który co dopiero kierował był wzniesieniem romańskiego kościoła ŚŚ. Apostołów Cyryla i Metodego w Pradze. Z innej strony, mistrz wszedł był w bliskie stosunki z ks. Biskupem Strossmayerem, gdy tenże w czasie swych pobytów w Rzymie, zasięgał jego rad i skazówek przy zakupnie licznych pocztu obrazów starej i nowej szkoły, którymi obdarzył sławiańską akademię w Zagrzebiu. Niebawem przyszło do zobopólnych narad, mających na celu piękność zamierzonej budowy. Gdy się zaś Overbeck przekonał, iż katedra Dyakowska poświęcona św. Piotrowi, a w stylu romańskim wzniesiona, wedle najściślejszych zasad katolickiego budownictwa, posiadać będzie i kształty łacińskiego krzyża, i wzniosłe kopuły, sklepienie, nadające się tak składnie do dzieł pędzla, z zapalem podjął się dostarczenia trzydziestu dziewięciu kartonów z życia Księcia Apostołów, oraz Starego i Nowego Testamentu. Czego nie chciał, nie mógł się podjąć dla protestanckich Prus, to miał teraz wykonać dla katolickiej Słowiańszczyzny. Z młodzieńczym zachwytem jął się nowego przedsięwzięcia osiemdziesięcioletni blisko starzec, a rysunki jego dla Dyakowskiej katedry przydały jeszcze nowy pęk promieni ustalonej jego sławie. Bolał tylko, iż z powodu sędziwego wieku, nie mógł sam przenieść swych kartonów na mury przybytku Bożego, ani odziać swych rysunków w krasę barw i światło cieni. Pod wrażeniem światłych i świetnych przedsięwzięć Biskupa Strossmayera, powtarzał jak ważną jest rzeczą, aby w duchowieństwie rozwijać znajomość i cześć dla sztuki, zrozumienie jej chrześcijańskich wymagań i prawideł. Stosując do swego kunsztu piękne zdanie św. Augustyna: *In necessariis unitas, in dubiis libertas,*

in omnibus charitas, odzywał się, iż ma być *Unitas* w istocie rzeczy, to jest, że sztuka chrześcijańska duchem Bożym tętnąć powinna; *libertas* w formie gotyckiej, bizantyńskiej, czy starożytnej; *charitas* w obec tych, z którymi walczyć przychodzi.

Z świadomością, że Łukaszone bractwo pełnęło sztukę na lepsze tory, lecz z niewymowną zarazem pokorą, pisał Overbeck do jednego z najpierwszych towarzyszków: „Raz jeszcze wspólnie wychwalajmy Pana, iż naszych słabych dzieł użył do ożywienia „sztuki i pchnięcia jej na szlachetniejsze tory. Wiele jeszcze do „zrobienia pozostaje. Aleć w samej naturze rzeczy to leży, iż nie „na ziemi w zupełności się nie da ukończyć, ale coraz dalej a dalej „się rozwija. Tak tedy cośmi sami dokonali, to było tylko po- „czątkiem, którego dalszy ciąg, da Bóg, inni przeprowadzą“. Nie tracił nadziei, że nawiązana nić tradycji sztuki chrześcijańskiej po tylu trudach i usiłowaniach nie tak łatwo już się zerwie, a jednak nie zaślepiał się na wionący znów ponad światem prąd grubego materyalizmu: „Ileż to upłynęło zdarzeń i wrażeń, odkąd cię „nie widziałem, pisał do jednego z przyjaciół w 1868 r. po wojnie „austriacko-pruskiej. Cały peryod dziejowy się zamknął, aby usta- „pić miejsca nowej epoce. Nowe wielkie państwa powstają, inne „zstępują do grobu. Wszystko zda się być wstrząśniętem, jedna „tylko opoka Piotrowa stoi jak stała, bodaj jeszcze silniejsza i od- „młodzona w oczach naszych. A nasza umiłowana sztuka! czyż „i dla niej nowy się okres rozpoczął? Z naszych ideałów i snów „młodości, nie wiele się urzeczywistniło, a oto już nowe pokolenie „w całkiem odmienionym występuje kierunku. W odwiecznej walce „ducha z ciałem, ciało coraz więcej usiłuje wiać górę i zalać wszy- „stkie nasze usiłowania. Ale dla tego nie wątpię, dla tego zwątpić „nie powinniśmy. Tem silniej tylko nam trzeba się opierać na opoce „Kościoła i wiary, aby, skoro sztuka sama nie jest obwarowaną „Bożemi obietnicami, przynajmniej tam, gdzie chodzi o obronę „prawdy, uczestniczyć mogła w nieśmiertelności przyrzeczonej Ko- „ściołowi. Nam zaś wypada coraz więcej oczyszczać nasze usiłowa- „nia z wszystkich ludzkich naleciałości, z wszystkiego co się w nas „Bogu niepodobać może. Dajmy się prowadzić coraz więcej du- „chowi Kościoła, świętemu Duchowi, a wtedy Bóg będzie z nami „i w naszych będzie On dziełach“.

Czasy coraz stawały się gorsze; atmosfera coraz duszniejsza. „Dzikie hordy“ pisze Overbeck do siostry w r. 1867, ze wszech „stron na małe państwo papieskie nacierają, w nadziei opanowania „Rzymu i wzbudzenia ruchów rewolucyjnych wśród ludu. Ten się „opiera podszeptom złych doradców... Nie wiercie fałszywym „wieściom z umysłu rozsiewanym, a głoszącym, iż Rzym jęczy pod „nieznośnem jarzmem tyranii. Tak bynajmniej nie jest. Cieszymy „się tu prawdziwie ojcowskimi rządami, a Rzym z zachwyceniem „spogląda na tak widocznie od Boga strzeżonego *Pio nono*. Ach! „gdyby wam było danem choć raz tego męża Bożego zobaczyć, „ujrzeć jego oczy pełne ojcowskiej dobroćliwości!“

„Wczoraj właśnie, gdy nadeszły były z Belgii moje kartony „z siedmiu Sakramentami i w bramie je rozpakowywano, przypa- „dek, a raczej dobroć Boska zrządziła, iż w tej samej chwili Ojciec „św. przed domem naszym przejeżdżał i spoglądając w otwarte „drzwi, podniósł na nas błogosławiącą rękę. Co za piękne poświę- „cenie naszego nowego mieszkania, z którego teraz dopiero zaczy- „namy być zadowoleni, po niedogodnościach przenosin i dłuższym „nieporządku“.

Bitwa pod Mentaną doczekała się tu szerszego opisu, oraz wyrazów głębokiego uznania dla żuawów papieskich, którzy naj- żywsze w Overbecku budzili sympatye. Obrońców Stolicy świętej miał on za prawdziwych chrześcijańskich bohaterów, czy gdy szli dzielnie na krwawe z nieprzyjacielem zapasy, czy gdy poświęcali się służbie cholerycznych. Opromienione aureolą legii tebańskiej ry- cerstwo Piusowe po raz ostatni na polach Mentańskich miało zło- żyć dowody waleczności i ofiarności. Nie dożył Overbeck smutnych chwil zaboru Rzymu, uniósł z sobą do wieczności piękny obraz miasta wiecznego z dni poprzedzających otwarcie Watykańskiego Soboru.

W ostatnim roku życia Overbeck powziął był zamiar uobra- zowania świętości i szczęścia chrześcijańskiego rodzinnego życia, szeregiem rysunków, składających się w cyklus idealnych *tableaux de genre*. Jeszcze w początku listopada 1869 r. pracował nad do- kończeniem czwartego z rzędu obrazka, przedstawiającego weselne śluby i gody. W dniu św. Karola obchodził swobodnie imieniny przybranej córki i kilku innych członków rodziny, wyszedł na zwy-

klą ku Monte Pincio przechadzkę, wysypał sakiewkę w ręce ubogich, wstąpił zwykłym obyczajem na krótką modlitwę do kapliczki Czcii nieustającej, i wieczór spędził na pogadance w kole najbliższych. Zauważano tylko, iż wyjątkowo mówił o sobie i własnej przeszłości, co mu się nigdy prawie nie zdarzało, i że wracając myślą w dawne czasy, wspominał swe częste chłopięce wycieczki do katolickiego kościoła w Lubece, gdzie godzinami wpatrując się w obraz Najświętszej Panny marzył o wykonaniu kiedyś podobnego... Gdy tegoż dnia udał się na spoczynek, położył się, aby nie wstać już więcej. Ciężkość oddechu i duszność odrazu zapowiedziały bliski koniec pełnego lat starca. Przywołani lekarze ani ulgi, ani rady znaleźć nie umieli. Służbę około chorego sprawiała francuska *Soeur de bon Secours*, siostra Ambrozja, uosobienie porządku, czystości i zręczności, co nad wyraz było miłem Overbeckowi.

„Od pierwszego zaraz wieczoru mej służby“, pisała siostra Ambrozja, „uderzyło mnie oblicze zasłużonego starca, które mimowoli zwracało myśl ku postaciom świętych patryarchów Starego Zakonu. Przytem prostota jego i słodycz odrazu zniewoliła me serce. Najbardziej atoli mnie poruszała jego wielka wiara w nieskończoną dobroć Boga. Spostrzegłszy, iż już nie ma nadziei wyzdrowienia, zwrócił się wyłącznie ku Bogu i szczęśliwości niebieskiej, wyłącznie o tem tylko mówiąc i myśląc. Nawet gdy w ostatnich dniach przytomność jego chwilami się zamykała, zawsze był tylko zajęty myślą, jakby najpiękniej Najświętszą Pannę, lub św. Jana odmalować. Ilekroć ponawiała się gorączka, tyle razy zdawało mu się widzieć przy sobie umiłowanego ucznia Zbawiciela, i jeszcze na godzinę czy dwie przed zgonem, prosił o pędzel i farby, aby uchwycić rysy tego pięknego Apostoła, który odwiedzić go przybył. Koniec nastąpił cichy i spokojny, istny obraz snu sprawiedliwego“.

10 listopada przybył wielki jałmużnik dworu papieskiego, Mgr. de Mérode, z błogosławieństwem Ojca św. *in articulo mortis*. Łaska ta wielką sprawiła radość wiernemu synowi Kościoła. Od tej chwili rozpogodziło się jego wejrzenie nieustającym uśmiechem. Ciągłe słyszał dźwięki dalekich śpiewów i dzwonów kościelnych. Tegoż samego dnia otrzymał ostatnie Sakramenta ŚŚ. z wielkiem rozradowaniem ducha. Niebawem spostrzeżono, iż koniec się zbliża. Drzwi się nie zamykały, zewsząd cisnęli się przyjaciele

i znajomi, aby po raz ostatni wielkiego mistrza ujrzyć i pożegnać. Niezapomniany był to obraz, wryty w pamięć wszystkich, którzy nań patrzeli. Liczba zebranych, niebiański pokój i pogoda umierającego, sprawiały niezwykle, lecz kojące wrażenie. Nie było tu ani cienia trwogi śmierci, ostatnie przejście wydawało się tak łatwe! Zaiste nie była to śmierć, lecz ciche odejście. Dnia 12 listopada 1869 r. wieczorem, około 6-ej godziny, spostrzeżono, iż koniec się zbliża. Ostatnie chwile życia miały na modlitwie. Przybrana córka klęcząc obok łóżka konającego powtórzyła słowa znanej pobożnej pieśni, śpiewanej na tak rzewną nutę po niemieckich kościołach:

*Jezu, dir leb ich
Jezu, dir sterb ich,
Jezu, dein bin ich im Leben und im Tod¹.*

Overbeck chciał jeszcze dopowiedzieć *Amen*, ale wymówiwszy głośno pierwszą zgłoskę, drugą w niebie dopowiedział.

Nie ustające pielgrzymki cisnęły się do zwłok zgasłego patriarchy chrześcijańskiej sztuki. Wszystko co Rzym miał wybitnego, artyści, posłowie zagranieźni przy Stolicy św., alumni przeróżnych kolegów, spieszyło oddać hołd ostatni dzielnemu zapaśnikowi Prawdy i Piękna. Że nie wyraził był osobnego życzenia co do miejsca ostatniego spoczynku, umyślono szanowne szczątki pogrzebać w parafialnym kościele *San Bernardo alle Terme*. Tam go ponieśli artyści i przyjaciele, w trumnie okrytej laurowymi wieńcami. I tak ziemską powłoka Overbecka spoczęła w świątyni poświęconej wielkiemu średniowiecznemu, Świętemu, miodopłylnemu nauczycielowi, któremu wykrojono kościół z olbrzymich łaźni Dyoklecjana. Po drugiej stronie tegoż pogańskiego gmachu, w świątyni *Santa Maria degli Angeli*, przez Michała Anioła podobnież z Termów Dyoklejanowych przerobionej, znajduje się grób innego sławnego, acz całkiem różnego malarza, awanturniczego Salvatora Rozy.

Biały marmurowy krzyż w bocznej kaplicy kościoła św. Bernarda oznacza miejsce spoczynku wielkiego artysty i chrześcijanina. Napis krótki, nazwiskiem wymowny:

¹ Jezu, dla Ciebie żyję,
Jezu, dla Ciebie umieram,
Jezu, do Ciebie należę w życiu i w śmierci.

Joannes Fridericus Overbeck.
In Pace.

Zaiste, dobrze sobie zasłużył na pokój i światłość wiekuistą ten niezmordowany robotnik Boży, tak pracą, znojem i przykładem własnym, jak i cierpliwą cnotą, budującą zasługą osiemdziesięcioletniej pielgrzymki, która nigdy nie zboczyła z drogi wiodącej ku niebieskiemu Jeruzalem. Prawdziwy kapłan umiłowanej przez się wiernem i podniosłem uczuciem sztuki, zostawił potomnym nie tylko uszlachetniony jej kierunek, lecz i przykład harmonii życia dostrojonego do czci i służby prawdziwego Piękną, którego źródło u Boga.

Ten to wzgląd przedewszystkiem nas zniewolił do obszerniejszego streszczenia wyczerpującej biografii Overbecka. Przez długi czas ubolewaliśmy, że Polska nie posiada własnej szkoły i sztuki. Nagły rozkwit jej podwawelski w dzisiejszej chwili wielkiego smutku i spotęgowanej krajowej niedoli zastępuje milczącą poezią, aby ducha krzepić, serce podnosić, i rękojmią żywotności pięknych ideałów od zwątpienia obronić. Pod wodzą hetmana tego rozbudzenia artystycznego, wielkiego mistrza, który zrozumiał przeszłość, i z niej wysnuwa wspaniałe obrazy i mądre nauki zarazem, rośnie zastęp uczniów, kształci się i rozwija sztuka polska, pogrzebowe dziecię, godne dawnej sławy i wielkości.

Ale rzecz dziwna! do pełnego chóru brak nam jeszcze jednego dźwięku, jednej najważniejszej stróny. Malarstwo religijne u nas milczy, sporadycznie raz po raz zabłyśnie jakaś nadzieja, że się wśród licznego zastępu naszych artystów znalazł mistrz poświęcający wyłącznie swój talent i pędzel sztuce chrześcijańskiej, ale rychły następuje zawód. Fałszywa uczuciowość z jednej strony, chłód i obojętność wieku z drugiej, składają się, aby w zawiązku wykrzywiać i marnować kwiaty, które mogłyby ku ozdobie ołtarzy Pańskich się rozwinąć, wonią swą Boże przybytki napelnić, i jakoby częstkę niebiańskich tajemnic dla ziemi odsłonić. Podjęliśmy niniejszą pracę w nadziei, iż poznanie i przedstawienie podobnego wzoru, chrześcijańskiego życia i ściśle chrześcijańskiego kierunku w sztuce, może wzbudzi Overbeckowi naśladowców i następców, wśród utalentowanych zaciągów naszych młodych malarzy. Dla nich przede-

wszystkiem układając to przydługie streszczenie, o nich w ciągu mozolnej nieraz acz milej myśląc pracy, nie możemy chyba jej lepiej zamknąć, jak przytoczeniem ostatniego pisma Overbecka dotyczącego sztuki, w urywku, zatytułowanym przez samegoż mistrza „Testamentem zostawionym chrześcijańskiej artystycznej młodzieży“:

„Młody czcicielu sztuki, który ją ukochałeś jako najdroższą „oblubienicę, ku niej wszystkie myśli twe i zmysły zwracając, oto „dla ciebie spisałem niektóre poglądy, aby ci je jakoby mały kapi-„talik pozostawić, na wzór rodziców o dzieci swoje troskliwych... „Nie spodziewaj się tu nowych wskazówek co do rysunku lub ma-„larstwa, nowej metody lub środków naukowych. Tego wszystkiego „inni cię nauczą, daleko więcej ku temu odemnie uprawnieni... „

„Chodziło mi tylko o zebranie kilku prawd zasadniczych, które polecić tobie do rozpamiętywania zapragnąłem, a na których, jako na stałym fundamencie, budować możesz. Prawdy te, same z siebie biją w oczy, atoli za dni naszych, tak poszły w zaniebdanie, iż nie będzie zbytecznem je tu powtórzyć i wyłożyć.

„Cóż jaśniejszego np. i z natury swej zrozumialszego, iż wśród chrześcijan, przez chrześcijan kształconych, i sztuka tylko po chrześcijańsku winna być pojmowaną, tak, aby o osobnym chrześcijańskim kierunku bodaj mowy być nie mogło? A jednak, alboż dziś sztuka jest chrześcijańską? czyli raczej nie wypada dziś uprzątnąć najprzód całej masy naleciałości niechrześcijańskich, aby dopiero zabrać się do odbudowania sztuki chrześcijańskiej, godnej tego miana?

„W przypuszczeniu, miły mój młody uczniu, iż z całego serca chcesz być chrześcijaninem, i że przedewszystkiem pragniesz robotą rąk własnych Bogu twemu i Zbawicielowi służyć i chwałę Jego przymnażać, tym sposobem królestwo Jego przybliżając na ziemi, umyśliłem ci wytłumaczyć, co znaczy właściwie sztuka chrześcijańska. Dopiero bowiem, gdy to dobrze zrozumiesz, potrafisz obrać sobie drogę, upatrzysz cel, do jakiego dążyć musisz, aby umiłowaną poślubić oblubienicę.

„Przedewszystkiem wyjaśnić ci muszę, iż jeśli sztuka w ogóle nie jest niczem innem, jeno wyrazem zewnętrznym, za pomocą barw, dźwięków i kształtów, tych wszystkich wewnętrznych uczuć, które sztukmistrza napełniają i ożywiają, tak i sztuka chrześcijań-

ska w szczególności nie jest niczem innem, tylko wymownym głosem tej wiary, która duszę artysty wypełniać powinna. Celem zaś sztuki chrześcijańskiej nie może być nic innego, jeno ową wiarę w drugich budzić lub karmić, czyli innemi słowy: za pomocą piękna i czaru sztuki dusze dla Prawdy zdobywać.

„Chrześcijańskiemu artyście trzeba tedy najprzód mieć w sercu gorejącą wiarę, a następnie znaleźć wymowny jej wyraz. Stąd jasno wynika, iż jeśli pierwszej niedostaje, i mistrz sam nie jest rzetelnie przejęty i rozgrzany swoim zadaniem, nie podobna, aby kogośkolwiek dziełem swoim zagrzał. Zaczem, jeśli nie rozporządza i wymownym wyrazem onych wewnętrznych uczuć, dzieło jego nie zdoła wywrzeć tego prostego wrażenia, tak pożądanego w każdym utworze sztuki.

„Pomówmy najprzód o żywej wierze. Ale tu znów przedmiot na dwoje się rozpada, a mianowicie na przedmiot wiary i samą jej istotę.

„Co się tyczy pierwszego, łatwo zrozumieć, iż tu przedewszystkiem wypada strzedz się pilnie zboczeń osobistej fantazji lub subiektywnej uczuciowości, któremi siebie i drugich obłakać tylko można, lecz jak najściślej się należy zespolić z Kościołem, osiąść złożone w nim skarby, oraz prawdziwe ich zrozumienie.

„To zaś tylko wtedy podobnem się staje, jeśli artysta w samym czerpie źródle. Źródłem tem tradycya kościelna, i to nie tylko pisana, która jest w Piśmie św. zawartą, lecz i żywa nauka Kościoła, która wyjaśnia Pismo św., w każdym wieku i czasie. Z tej to krynicy pić mu trzeba, i tak przesiąknąć jej duchem, aźby własna osobistość i świadomość zatoneła w istocie Kościoła. Bo tylko ten, który całą duszą w Kościele Bożym stoi, uprawnionym zostanie przez dzieła swoje do chrześcijańskiego świata przemawiać i od niego być rozumianym, i wtedy dopiero mowa jego znajdzie odgłos gotowy.

„Cała historia sztuki prawdzie tej świadczy. Umysł chrześcijański znajduje zbudowanie w dziełach wszystkich chrześcijańskich wieków, poczynszyszy od zawiązków sztuki chrześcijańskiej w katakumbach, dopóki artyści prawdziwie pozostali przejęci duchem Kościoła. Dopiero gdy zaczęli bardziej popisywać się mistrzostwem zdobytych środków, aniżeli wierności duchowi Kościoła przestrze-

gać, sztuka przestała nieść zbudowanie chrześcijańskim sereom. Zajmowano się wprawdzie jeszcze chrześcijańskimi przedmiotami w malarstwie i rzeźbiarstwie, w budownictwie i muzyce, ale wyszła z nich chrześcijańska poezya, zabrakło chrześcijańskiego ducha.

„Wróć tedy do źródła, i z łona Bożego Pisma ssaj mleko niebieskie, które cię coraz bardziej a bardziej uduchowni. Czyń to atoli jako apostoł radzi, jako dziecię nowo narodzone w objęciu matki czyli Kościoła, abyś dla własnej duszy skarby zbawienia i pociechy mógł znaleźć, a następnie z własnych dóbr z innymi się dzielił. Czerpaj też nie mniej i z Pisma św. wprowadzonego w czyn i życie, to jest z żywotów Świętych Pańskich. Tam bowiem się nauczysz, jak i w jakim duchu Pismo św. czytać należy, aby zeń dla siebie i drugich pożytek wyciągać.

„Gdy się tak w Piśmie św. i innych kościelnych księgach rozczytywać będziesz, aby posiadać zapas nauki Bożej, wtedy już nie zdołasz tworzyć dzieł podobnych tym, którzy w obrazach czy rzeźbie tak cię zimnym pozostawiają i niezaspokojonym. Możeć i inni to samo co i ty czytali, lecz czynili to bez dziecięcej, żywej wiary, i litera martwa nie zdołała im swego ducha udzielić. Dla tego masz czytać przede wszystkim, aby w sobie wiarę ożywić, masz myśleć, iż Bóg sam z Pisma do ciebie przemawia. A wtedy Duch Jego na ciebie spłynie i napelni cię taką obfitością, iż jej wystarczy, abyś się mógł z innymi nadmiarem jej dzielić“.

Na tem się kończy urywek testamentu Overbecka. Przybliżyć królestwo Boże na ziemi, oto zadanie sztuki i jej kapłanów, bo kapłaństwem i apostołstwem jest sztuka, ale sztuka pojmowana w ten sposób, w jaki ją Overbeck pojmował.

M.



KS. STAN. CHOŁONIEWSKI W RZYMIE¹.

Z chwilą wstąpienia siostry do zakonu, a bardziej jeszcze z chwilą uroczystej jej profesyi zakonnej rozpoczyna się nowy peryod w życiu Chołoniewskiego. Jeżeli dotąd był on chrześcijaninem i w zasadach i w życiu; jeśli, wyjąwszy może paru lekkich, chwilowych zboczeń, szedł zawsze drogą wskazaną przez przykazania Boże: to odtąd przejawsz się miłością wyższej doskonałości, zdąża wytrwale do ideału, który mu łaska Boża w duszy wymalowała; zwalcza mężnie przeszkody na tej drodze stojące; nie waha się na długie lata opuścić ojczyzny i rodziny, byle tylko stać się sposobniejszym narzędziem w ręku Stwórcy swego do służenia Mu i rozszerzania Jego chwały. Nowy ten peryod mniej może ponętny dla tych, którzy w Chołoniewskim widzą tylko autora *Snu w Podhorcach*, nie myśląc o innych jego pracach, mniej głośnych, lecz bodaj czy nie ważniejszych i to pracach, nie tylko piórem dokonanych; w każdym razie i autora *Snu w Podhorcach* poznać i ocenić dokładnie nie podobna, nie poznawszy źródła, z którego natchnienie jego wypłynęło, tła, na którym pouczający a barwny swój obraz odmalował; celu, do którego zdążało równie to dzieło, jak wszystkie inne jego pisma, zabiegi i usiłowania. Zresztą jeśli w Chołoniewskim słusznie cenić można pisarza, to bardziej jeszcze cenić należy: kapłana, obywatela, człowieka; chcąc poznać wszechstronnie piękną tę postać, niezbędnem jest zaznaczyć, jaką drogą i pod jakimi wpływami wyrobił się Chołoniewski w męża, który choć w ciasnym zamknięty zakresie, z większemi niż inni trudnościami

¹ Por. *Przegl. pow.* Kwiecień — Lipca 1887.

Rzecz prosta, że pokochawszy tak „słodkiego swego Mistrza“, pragnął Cłońniewski jak najwięcej i najlepiej w modlitwie z Nim przestawać, że w gronie równomyślących najmiej mu rozmowa o Jezusie z ust płynęła; że „cierpliwa, wszystko znosząca miłość“, dawała mu sił w ciężkich przejściach, podtrzymywała w codziennych trudnościach. „Mam dużo długów¹ spłacić w czasie kontraktów, żadnych lub bardzo mało dochodów, znikąd pocziwej rady. „Ale Jezus Chrystus jest przy mnie *omnibus diebus* i to mię podtrzymuje. Odkąd oddałem Mu wszystko, nabrałem więcej otuchy, „mam więcej rozumu... Na modlitwie bardzo *oschłej* przepędzam pół godziny. Do Komunii św. przystępuję przynajmniej co 15 dni. Pomódl się tylko, aby mi z głowy nie wyleciały wyborne Twoje uwagi co „do zajmowania się majątkiem. Głupia gorączkowość mi przeszkadza; roztargnień bardzo wiele. Kiedy nie czas po temu, to mam „chęć do modlitwy; kiedy czas odpowiedni, modlitwa idzie jak „z kamienia. Tak zawsze dzieje się z tymi, którzy dopiero pierwsze kroki zaczynają stawiać. Ale nadziei tracić nie chcę; ufać „będę w Panu, choćby mię zabił. Tak długo, jak cymbał brząca „będę to sobie powtarzał, aż wreszcie i w duszy obudzą się odpowiednie dźwięki“.

W miesiąc później wraca znów do tego samego tematu, który widocznie nie mniej jemu samemu jak i siostrze leżał bardzo na sercu². „Dziękuję ci serdecznie, że tak się zajmujesz i nie przestajesz mię badać, jak idą interesa mej duszy... Rozmyślanie odprawiam wiernie każdego dnia. Przerywam je odczytując krótki „jaki rozdział ze św. Augustyna lub innej jakiej książki przypadającej do mego duchownego smaku; później medytuję dalej. Ponieważ „waż nie rozumię się dosyć na tych interesach i jestem wystawiony „na gorączkowy pośpiech, a stąd na silne roztargnienia, musiałem

I że niejeden z Twych uczniów gromady
Zamazal w sercu wszelkie Twoje ślady.
Miłością dla mnie gorejąc mój Boże!
Łask swoich na mnie całęś wylał morze:
A otoś zniknął w zapomnienia fali,
I nikt się nawet nad tem nie pożałi.

¹ Do Cec. Choleńniewskiej 21 października 1820. List franc.

² Do Cec. Choleńniewskiej 20 listopada 1820. List franc.

„sobie dopomódz książką rozmyślań o Ewangeli, jak ktoś co nie-
„bardzo pewnym jest własnych nóg, woli raczej chodzić o lasce,
„niż bez niej zmęczyć się po nad siły, a może nawet narazić się
„na ustanie w drodze. Mam już dosyć doświadczenia, aby wiedzieć,
„że rozmyślanie, odprowadzane wiernie choćby z największą oschłością,
„jest największą zachętą i przygotowaniem do Komunii św.“

W rozmyślaniach tych, w kornej modlitwie przed Bogiem, pierwszym pytaniem, jakie Chołoniewski sobie stawiał i wszechstronnie rozbiarał, było znowu: „Czy Bóg odemnie żąda, abym mu słu-
„żył w stanie duchownym, a jeżeli żąda, jakich chwycić się mam
„środków, aby spełnić najlepiej najświętszą Jego wolę“? „Pomódl
„się dla mnie o ducha pokory i umartwienia“, powtarza raz po raz w listach do siostry, bo w świetle pokory i umartwienia, panując nad duszą i ciałem, najjaśniej widać wolę Bożą“. Z końcem października zwierzył się Chołoniewski przed Grocholskimi ze swymi projektami, zapytał o radę i nie zawiódł się na ich nie tylko braterskiej, ale chrześcijańskiej przyjaźni. „Oboje odznaczają się¹ w słu-
„żbie Pana Jezusa; bardzo mi pomagają w dobrych projektach,
„które czasami na przyszłość sobie klecę; ja znowu, kiedy tylko
„sposobność się nadarzy, zapraszam ich do rozmowy o Chrystusie“. O. Calebotta wzywał, choć nieznanego jeszcze sobie osobiście Chołoniewskiego do Rygi, aby tam obszernie z nim rozmówić się, przedyskutować powołanie do stanu kapłańskiego i zgodzić się na obiór pewnych środków; zawikłane interesa majątkowe nie dozwoliły na razie na spełnienie tego projektu, później ustąpił on miejsca innym lepszym i praktyczniejszym. Zamiast do Rygi postanowił Chołoniewski, prawdopodobnie za poradą Grocholskiego, udać się do Wiednia, odbyć tam pod kierunkiem Redemptorystów porządne rekolekcyje, a jeśli Bóg zawoła, to bez wahania się pójść za jego głosem; jeśli Bóg pozwoli, to w Rzymie, stolicy chrześcijaństwa przygotować się do święceń kapłańskich, aby pod każdym względem, tak cnoty, jak i nauki stać się kapłanem wedle serca Bożego, prawdziwym pośrednikiem między Bogiem a ludźmi.

Takie były główne, nie dość jeszcze dokładnie zarysowane linije ogólnego planu; szczegóły czasowi, okolicznościom, zmiennym

¹ Do *Cec. Chołoniewskiej* 20 listopada 1820.

stosunkom i względom należało zostawić. Młody właściciel Janowa, bił się na chwilę bardzo na seryo z myślami, czy z majątku się zupełnie nie wyzuć, i nagi nie pójść za nagim Chrystusem. Wątpliwość ta wskazywała na wysoki nastrój duszy, lecz zostawiała ją w spokoju, bo Chołoniewski, pragnąc siebie Bogu poświęcić na służbę, wszystko swoje w ofierze przynosił, a nie wiedział tylko, czy lepiej w ten, czy w inny sposób ofiarę tę złożyć; dotkliwsiemi mu były duchowne walki, przez które każdy i to zazwyczaj tem cięższe przechodzić musi, im bardziej własne życie ukształca na wzór życia Chrystusowego. Jasno świecące słońce łaski Bożej zachodziło od czasu do czasu za chmurę, a tysiączne fantastyczne strachy, przerażające widma, korzystając z nadejścia nocy, wyrastały i olbrzymiały przed okiem. W takich ciężkich chwilach pocieszały zasmuczonego pełne serdecznej wyższej miłości listy siostry Cecylii, „które „są dla mnie, pisał Stanisław¹, jakby latarnią morską wśród do- „koła roztaczających się ciemności, jakby promykiem słonecznym, „oświecającym wewnątrz czarnej mej jamy“; dźwigała znużonego szczera, gorąca modlitwa: „O miłości, miłości², nie opuszczaj nas; niech „nie słaba iskierka, ale wielki ogień jasnym i żywym zapali się pło- „mieniem... Zlituj się nademną o Jezu! Wszak imienia Twego na- „wet nie mogę wymówić bez Twej pomocy, a coś dobrego mógłbym „bez Ciebie uczynić“?

W styczniu 1821 r. wyjechał Chołoniewski na kijowskie kontrakta, aby ściągnąć nieco grosza i jeźli się da wydzierżawić przynajmniej parę folwarków przed projektowaną podróżą wiedeńską, a może i rzymską. Kontraktowy zgiełk nie zdołał przygłuszyć głównej myśli, około której wszystkie inne teraz się obracały. „Nie „mogłem załatwić³ wszystkich interesów w Kijowie, ale spodziewam „się, że w ten lub inny sposób, za łaską i miłosierdziem Pańskim, „skończę je przed jaskółkami. Wspomagaj mię, najukochańsza „moja przyjaciółko, radami i modlitwami, bo czas mój bliski; „chwała na wieki i dzięki Chrystusowi, iż nie przestaje pukać do „drzwi mego serca. Prawda, z interesów jeszcze się nie wywikłałem;

¹ Do *Cecylii Chołoniewskiej*, 27 lutego i 22 marca 1821. List franc.

² Do *C. Chołoniewskiej*. Kijów. 29 stycznia 1821. List franc.

³ Do *C. Chołoniewskiej*, Kijów 29 stycznia 1821.

„ale dusza moja coraz barbziej spojona i przywiązana do kotwicy,
 „którą Bóg w odwiecznem miłosierdziu raczył rzucić w czasie burzy
 „dni mych minionych. Dusza moja, powtarzam sobie z Dantem,
 „przeszła, jak wielki ten geniusz, przez *la città dolente*:

*Ma già volge il mio disiro e il velle,
 Siccome ruota che igualmente è mossa
 L'Amor che muove il sole e le altre stelle*“.

*Amen!*¹

Wielki tydzień przepędził Chołoniewski w Berdyczowie „pod opieką cudownej Matki Bożej“², której prosił gorąco „aby otworzyła mu brame, przed którą stał i kołatał“. Ach! kiedyż wreszcie brama ta się otworzy! „Dusza moja“³ wzdycha za stanem, w którym mogłaby stać się przyjemniejszą P. Jezusowi, a zatem mniej „niegodną Jego miłosierdzia. Oto na czem zależy moje powołanie; „innych pobudek nie miałem i nie mam“. I dla tego właśnie, że szedł za tak szlachetnemi i rozumnymi pobudkami, walczył Chołoniewski przez parę jeszcze miesięcy i zwalczył wrodzoną niecierpliwość, która szeptała mu zdradziecko, aby rzucić wszystko: długi, interesa, pozaczynane sprawy, a powiedziawszy domownikom: „Radźcie sobie jak możecie“, puścić się bez dnia zwłoki w przedsięwziętą drogę. Lecz wreszcie nie z początkiem czerwca, jak się spodziewał, lecz dopiero z końcem lipca, ułożyły się interesa, usunęły przeszkody. „Jeden tylko Pan Bóg wie“⁴, jaka mnie „nieraz porywała niecierpliwość, owa niecierpliwość, co jak woda, „która zwolna wezbrała, z tem większą siłą przewala się przez „tamy, zastawione ze wszech stron przez świat i jego wymagania, „w koło ludzi pragnących zdążać prostą drogą do Chrystusa Pana. „Módl się teraz tylko i proś ukochanego naszego Zbawiciela, aby „nie była to niecierpliwość wierzgającego dziecka, które po chwili „zapomina na wszystkie swe troski, ale ażeby niecierpliwość ta,

¹ Lecz już powiodła me chęci i wolę,
 Jak równo koło toczy się przez pole,
 Miłość, co wprawia w ruch gwiazdy i słońce.

² Do C. Chołoniewskiej Berdyczów 11 kwietnia 1821. W. Sobota List francuski.

³ Do C. Chołoniewskiej 18 czerwca 1821. List franc.

⁴ Do Cec. Chołoniewskiej 30 lipca 1821. List franc.

„niecierpliwość dobra i rozumna przyniosła owoce odpowiednie łasce,
 „jaką czyni mi Pan mój i Bóg mój, wzywając mię do swej służby.
 „Bóg tak jest wielki, iż nikt, ani na ziemi, ani w niebie, nie jest
 „sam ze siebie godzien, aby mu służyć; ale zarazem tak jest nie-
 „skończenie dobrym, że najnędzniejsze stworzenia, byle okryły się
 „płaszczem Jego miłosierdzia, mogą a nawet i powinny przystąpić
 „do jego świętych ołtarzów“.

Smutne, ale szczerze chrześcijańskie było pożegnanie z rodziną, z domem całym, „Lunią i jej staruchami“, nad którymi Stanisław zdał opiekę szwagrowi. Na razie jechał wprawdzie tylko do Wiednia, ale dokąd stamtąd obrócić miał swe kroki, na jak długo żegna Podole, tego nikt w tej chwili na pewno nie mógł przewidzieć. W każdym razie słuszną można było mieć nadzieję, że zbliża się czas, w którym ostatecznie rozejdą się chmury męczących niepewności, a nadzieja ta napelniała otuchą serce Chołoniewskiego i osładzała mu ciężkie chwile rozstania się z ukochanymi. „I wy
 „nie smućcie się, mówił żegnającym go, bo jeśli was opuszczam, to
 „dla Chrystusa. Emilka będzie nieco smutna po moim wyjeździe,
 „pisał na samem wsiadaniu do szwagra¹, bo wie, że ją bardzo ko-
 „cham i szanuję, — ale się pocieszy łatwo, bo sama Chrystusa
 „nad wszystko przekłada. Ciesz się więc i Ty bracie, Mimie ko-
 „chany, z tego zmiłowania Boga nad moją nędzą, że mi na koniec
 „dozwala próbować dróg, które mi Jego miłosierdzie przeznaczyło.
 „Polecam się więc bardziej niż kiedy Twym modlitwom i żegnam
 „Cię nie smutnem, ale wesołem sercem, z dobrą nadzieją uściska-
 „nia Ciebie, kiedy Bóg zechce... Emilka i Lunia odprowadzają
 „mię do Berdyczowa dzisiaj, we czwartek; w poniedziałek będę na
 „Wniebowzięcie w Poczajowie, a stamtąd do Łopatyna się udam,
 „gdzie zabawiwszy kilka dni, na Lwów, Kraków do Wiednia naj-
 „przód się udaję, gdzie mam się dopiero oryentować, co ze mną
 „dalej ma być“.

Stosownie do tego skrupulatnie wykonanego planu, znalazł się Chołoniewski w dzień Wniebowzięcia N. Panny przed cudownym obrazem Matki Boskiej Poczajowskiej, aby wzorem dawnych rycerzy, idących na ważne, dalekie wyprawy pokłonić się najprzód pani

¹ Janów 11 Augusta, dzień wyjazdu mego. 1821. List polski.

swych myśli, obraz jej we wdzięcznem swem sercu wycisnąć, a z imieniem jej na ustach, mając zapewnione jej łaski, śmielej podążyć w nieznane sobie kraje. „Podziękowałem raz jeszcze Matee Boskiej¹, że przed dziesięciu laty ocaliła mnie od podwójnej śmierci, „doczesnej i wiecznej i że uprosiła mi na to łaskę dłuższego życia, „aby mnie później zachęcić do wejścia w służbę Boskiego Swego „Syna“. Dzień odpustowy nie był, co prawda, najsposobniejszy do dłuższej, z wewnętrznem skupieniem odprawianej modlitwy; młody pielgrzym, mając świeżo w pamięci ład i porządek francuskich i niemieckich nabożeństw, poddał pod pierwszem wrażeniem, nie znając jeszcze naszego ludu od wnętrza, bardzo ostrej krytyce ówczesne polskie, a w szczególności poczajowskie odpusty.

„Pielgrzymki² do tego tak wślawnego miejsca nie bardzo „mię zbudowały. Nie znają tu ani jednego ze środków, używanych „za granicą dla należytego pokierowania i ujęcia w karby pobożnych tych ćwiczeń. Tłumy ciągną bez porządku, bez nadzoru zakonników, nie śpiewają wspólnie pobożnych pieśni. Kupa z trzech „lub czterech tysięcy ludzi wszelkiej płci i wieku popycha się, ciśnie się, szturcha się po drogach; jedni zakładają obozowiska po „lasach; inni w najlepsze się fetują; zwłaszcza żebracy wszelkiego „stroju i rodzaju, wyglądają na ludzi, którym obiecano sprawić we „soły, hulaszczy bal. Na miejscu odpustowem ten sam nieporządek „i jeszcze więcej zgorszenia; ciekawa zwłaszcza rzecz przypatrywać „się spowiedziom. Nadechodzi jakiś zakonnik i z wielką biedą prze- „dostaje się do konfesyonału silnie zbudowanego, aby mógł znieść „bez szkody szturmę penitentów. Natychmiast potężna gromada, „mężczyźni i kobiety, rzucają się na ten punkt wytyczny i nastę- „puje atak, pod wszelkimi możliwymi kształtami. Penitent, który „szczęśliwym losem wybrany, najbliższym jest kratek, musi się „poddąć, jeszcze przed skończoną spowiedzią, bardzo ostrej poku- „cie, bo dźwiga na barkach ze trzydzieści ciał leżących jedno na „drugiem, a które, jak kłosa w jeden snopek związane, podnoszą „się i spadają na przemian... Duch pielgrzymek jest duchem naj- „zupełniej chrześcijańskim, ale jeśli ma przynosić owoce zasługujące

¹ Do *Cec. Chotomiewskiej*. Lwów. 10 września N. St. 1821. List franc.

² Do *Grocholskich*. Łopatyn 3 września N. St. 1821. List franc.

„na niebo, to powinien najprzód przeniknąć do wnętrza duszy... „Ale prowadzić swą duszę osłupiałą, skurczoną i schyloną ku ziemi „do źródeł wszelkich łask; fabrykować jakąś bez nazwy mieszaninę „z niskich żądz i najświętszych czynności; składać Bogu jedynie „zewnątrzną, cielesną ofiarę, nie podejrzewając nawet, że P. Jezus „zupełnie się czegoś innego domaga: to mię pobudza do bojaźni, „do drżenia o innych, a najprzód o siebie samego“.

Całe dwanaście dni zabawił Choloniewski w Łopatynie, majątku stryja swego Franciszka Ksawerego, u którego pobyt uprzyjemnił liczny zjazd wielu bliższych i dalszych krewnych. Stryj, „Pan Łowczy“, — jak go powszechnie nazywano — był silnie przekonany, że Stanisław, tak jak dzisiaj robią możni Anglicy, zdecydował się na podróż jedynie dla oszczędności, i usiłował go namówić, aby nie szukając obcych bogów, z nim razem przepędził zimę we Lwowie. „Atak, sądząc po zewnętrznym pozorze¹, był słaby, „ale słowa płynące z bardzo czulego, a zarazem bardzo bojaźliwego „serca, dotarły do najgłębszych zakątków mej duszy i silnie ją „wzruszyły. Wiele innych ciężkich, przykrych myśli rzuciło się „jednocześnie na mnie i nappełniało kielich goryczą. Wreszcie wyjechałem w piątek raniutko i tego samego dnia przyjechałem do „Lwowa. Cały ten dzień dusza moja chodziła w ciemnościach. „Kilka razy chciałem zawracać, aby jeszcze parę tygodni spędzić „z kochanym naszym staruszką. Ale z drugiej strony szło do „ataku, jasne, niczem się nie dające przekupić poczucie obowiązku, „a nadzieja, że jutro złożę ten krzyżyk u stóp ukochanego Zbawiciela w najwyższym trybunale spowiedzi, podtrzymywała mnie i „ciągnęła, choć z biedą, do Lwowa. Muszę wam jeszcze dodać, że „zachcianki powrotu do Janowa były uszczęśliwione, znajdując po „myślną sposobność i weszły w przymierze przeciw memu sercu „z zachciankami Łopatynskimi. Spowiedź sobotnia w lwowskim „kościółce Bernardynów, chociaż bardzo nędzna, zrzuciła jednak ze „serca ten ciężar. Dziękować za to miłosierdziu Pańskiemu! O dro- „dzy moi, w jak błyszczących barwach, pomimo naszej ślepoty, „przedstawia nam się czasem to miłosierdzie. Opuściwszy Łopatyn,

¹ Do *Grocholskich*. Lwów 10 września 1821. List franc.

„wjechałem w smutne sosnowe lasy, serce mi się ścisnęło, wzdy-
 „chałem z głębi duszy do Chrystusa, dużo płakałem, ale mało się
 „mogłem modlić. Nagle przychodzi mi na myśl otworzyć na chybił
 „trafił książeczkę „Naśladowania“, i zaczerpnąć pociechy z pier-
 „wszych zdań, które wpadną mi pod oko. Po raz pierwszy spró-
 „bowałem tej praktyki, przez niejedną zresztą piękną duszę zaleco-
 „nej, i znalazłem w Ks. II. Rozd. 12, następne słowa: „Czasami
 „Bóg cię opuści, czasami cię bliźni doświadczy, a co gorzej, często
 „sam sobie będziesz nieznośnym“. Przeczytajcie sobie cały ten ustęp,
 „a pojmiecie, jakim dla mnie był balsamem“.

Nerwowa tęsknota za domem, za drogimi sercu, jedna z naj-
 niebezpieczniejszych pokus dla dusz do wyższej doskonałości wy-
 branych, bo trudno w niej nadzwyczaj postawić granicę między
 szlachetną, chrześcijańską miłością rodziny, a niewieścią grą ner-
 wów, chorobliwą grą wyobraźni; oddalona na razie, wracała nieraz
 jeszcze, lecz zawsze pobijana doświadczoną już bronią, ustąpiła
 wreszcie zupełnie pola nie mniejszej, lecz rozumniejszej, a zatem
 spokojnej miłości. Na razie w drodze ze Lwowa do Krakowa me-
 lancholia nie miała sposobności zarzucić swych sieci, jak w drodze
 z Łopatyna do Lwowa, bo całą uwagę podróżnika zajmowała rzecz
 prozaiczniejsza, choć niemniej nieprzyjemna; silna fluxya w zębach,
 której nabawił się, poetyzując z jednym z przyjaciół po zachodzie
 słońca nad brzegami Pełtwi. Wojskowy doktor w Mościskach nie
 wiele pomógł; opuchnięty, zmęczony gorączką powłókł się nasz po-
 dróżny do Łańcuta, gdzie skoligaceni z nim przez Rzyszczewskich
 Alfredowie Potoccy przyjęli go z otwartymi rękoma i przez dwa
 tygodnie, aż do zupełnego wyzdrowienia, nie pozwolili opuścić go-
 ściennego zamku. „Mam tutaj dobre książki¹, codzienną gazetę, Je-
 „zuitów, Kościół, Mszę w zamku, przesłiczne pomieszkowanie, widok
 „wspaniały..., a co miłsze i ważniejsze, mieszkańcy i właściciele
 „zamku są ludźmi prawdziwie Bożymi. Alfred niczego w tym wzglę-
 „dzie nie pozostawia do życzenia, a to, mówiąc szczerze, najwięcej
 „pomaga do zawiązania poufanych, przyjacielskich stosunków...
 „Charakter Alfreda bardzo miły; żona jego wyborną jest panią
 „domu i matką rodziny... Niczego mi nie brakowało, gdyby nie

¹ Do *Grocholskich*. Łańcut 22 września 1821.

„to, że gdziekolwiek patrzę na szczęśliwe ognisko domowe, przenoszę się myślą do was, i jak Szwajcar choruję nieomal z tęsknoty. „Codzień lepiej się przekonuję, że w moim wieku i mając takich „przyjaciół, jest moralnem niepodobieństwem puścić się w świat, „zdecydować na długą nieobecność, nie wezwawszy pomocy Jezusowej. Można wszystko, wszystko co jest ludzkim, poświęcić, „wyjawszy prawdziwej miłości, a jeśli i ją kto poświęcić zdoła, to „jedynie Jezusowi Chrystusowi, miłości doskonałej“.

Po dwutygodniowej „kwarantannie“ lańcuckiej, nastąpiła również dwutygodniowa, ale już nie względami zdrowia spowodowana, zupełnie dobrowolna kwarantanna krakowska. W domu jednej z bliższych krewnych, która, jak utrzymywał Stanisław¹, ma w kieszeni „biskupa, panów profesorów *e tutti quanti*, a nawet Jezuitów, po- „trafiła opanować, zapoznał się i zaprzyjaźnił z główniejszemi „komitosciami krakowskiej Rzeczypospolitej, zwłaszcza z biskupem „Woroniczem i z prezesem senatu Wodziekim. „Wodziecki człowiek „przyjemny i gościnny²; biskup tutejszy świątobliwy i uczony, „dwie rzeczy, które pięknie razem wydają się. Dom swój umeb- „wał, że tak powiem, historią polską. Z wielką pracą wszystkie „dzieje krajowe, od początku do zgonu Polski, w kilku salach wy- „malowane. Malarz rodak wiele talentu okazał. Ks. Woronicz „z wielkim dowcipem urządził obrazy, pamiątki...; szczegóły oso- „bliwie ostatnich wypadków pięknie odmalowane na ścianach, ko- „lumnach, sufitach... Szanowna to praca w oczach Polaka, chlubna „dla Ks. Woronicza, który nieliczne dochody poświęca na zacho- „wanie, pielęgnowanie najmniejszych pamiątek, zabytków ojczyznej „ziemi, które coraz bardziej stają się rzadkimi“.

Widok świetnej niegdyś, dziś opustoszałej, jakby dogorywa- „jącej dawnymi wspomnieniami żyjącej stolicy; widok zwłaszcza kró- „lewskiego niegdyś zamku, który tyle pięknych, sławnych i wielkich „dni pamiętał, wywarł na Chołoniewskim, jak na duszy każdego „Polaka, co wzył się choć trochę, choć trochę zrozumiał i pokochał „historję swego kraju, nadzwyczaj smutne i rzewne wrażenie. „Pewny

¹ Do *Grocholskich*. Kraków 2 października 1821.

² Do *Grocholskich*. Kraków 8 października 1821. List częścią polski.

„jestem¹, że nawet ruiny Rzymu nie przemówiłyby mi tak silnie
„do serca, jak ruiny Krakowa. Serce nasze bardziej zahartowane
„na widok zmiennych losów rodzaju ludzkiego, wziętego ogólnie,
„a Rzym był całym rodzajem ludzkim, był stolicą narodów; ale
„przedwczesny upadek i śmierć współczesnego nam narodu, któ-
„rego zwyczaje i tradycje przechowujemy wszyscy, jak przechowu-
„jemy rodzinne portrety, ma w sobie coś ponurego, przygniatającego
„duszę. Zbliżyliśmy się do grobów wielkich naszych królów, do miejsc
„uświęconych cudami wszelkiego rodzaju przez wielkich naszych
„mężów; serce bije nam z miłości i czci dla tych wielkich histo-
„rycznych wzorów; niestety! niebiańskie to wzruszenie trwa załed-
„wie chwilę! Czyż jesteśmy dziećmi tej samej rodziny; czyż słabe
„to pokolenie może sobie rościć prawo do pokrewieństwa z temi
„pięknymi i silnymi duszami, ozdobą swych wieków? Zimne ich
„prochy nie już nie mówią do otaczających; żywi ich nie słuchają,
„i nie rozumieją. Świątynia opuszczona, arka oniemiała. Stawiając
„wciąż pod pręgierz pogardy czasy, które zowiemy *barbarzyńskimi*,
„chcielibyśmy się otrząść z niegodnych pamiątek przeszłości. Ostat-
„nie to nieszczęście, do którego dojść może naród, który już stra-
„cił swą samoistność; jest to narodowe samobójstwo! Nie pozuję
„na to, co zwyczajnie nazywają *patryotyzmem*; zresztą o nazwę mi
„nie idzie, bo w niczem ona nie zmienia uczuć ożywiających duszę,
„a uczucia te właściwie stanowią o wartości człowieka. Widok
„Krakowa poruszył we mnie klawisz ukryty na dnie serca; wszak
„aż do końca życia nowy jakiś nieznaný dotąd, raz po raz się od-
„zywa. Różne nagle jakby mimowoli ogarniające mię uczucia, do-
„wiodły mi, że i w biednym mojem sercu znajduje się kącik,
„w którym drzymała miłość ojczyzny. Jest to dla mnie jakby nowe
„jakieś odkrycie odłogiem dotąd leżącego kraju. W jednej chwili
„zrozumiałem całą siłę i znaczenie owych słów wielkiego proroka:
„O! Jeruzalem, jeśli na cię zapomnę, niechaj prawica moja uschnie“.
„Strzedz będę z pewnym słodkim niepokojem tego odnalezionego
„kraiku; me serce poświęci mu najczulsze starania; czuwać nad
„nim będę, jako nad kosztowną częścią życia mej duszy, jako nad

¹ Do *Grocholskich*. Kraków 8 października 1821.

„najpiękniejszym spadkobierstwem, przez ojca mi przekazanem. Samo „nawet bolesne przeświadczenie, że nową tę miłość karmić mogę „jedynie wspomnieniami nieistniejącej ojczyzny, doda mi ognia do „żarliwego ukochania tej innej, lepszej ojczyzny, której Jezus Chrystus jest naczelnym wodzem. Pomagajmy sobie jak możemy. Amen“.

Rozbudzona ze snu szlachetna miłość ziemskiej ojczyzny, szła odtąd bez przerwy w parze z miłością do ojczyzny niebieskiej; jedna drugiej nie przeszkadzała, przeciwnie w miarę wzrostu drugiej, rosła i uszlachetniała pierwsza, młodsza jej siostrzyca. Pracując dla Boga, rozszerzając cześć i miłość dla religii, nakłaniając swych ziomek do życia prawami religii unormowanego; więcej się podobno Chołoniewski ojczyźnie przysłużył, niż tylu innych, którym jak to doskonale, choć mimochodem zaznaczył, nie tyle rozchodziło się o rzecz samą, o prawdziwy patriotyzm, ile raczej o dźwięcznie brzmiącą nazwę patrioty.

Pierwsze niemal kroki po przybyciu do Wiednia skierował Chołoniewski do klasztoru Redemptorystów, gdzie od pewnego czasu mieszkał dawny przyjaciel i doradca Werner, który ze swej strony bił się z myślami czy wstąpić do zakonu, czy dalej, jako świecki kapłan Panu Bogu służyć. Werner przyjął przyjaciela z otwartymi rękami. Obaj byli oni w tej chwili w tem samym mniej więcej położeniu, obaj czuli i rozumieli, że jeśli nie chcą kołować bez końca, kreślić piękne plany, mazać je i na nowo kreślić, to raz wreszcie trzeba powziąć stanowczą decyzję, a potem rzucić się w wodę i płynąć odważnie. Jakoż Stanisław wykonując punktualnie już dawniej ułożony program, przedewszystkiem zabrać się postanowił do gruntownych rekolekcyj, w czasie których wiarą oświecony, łaską Bożą wsparty, w tę lub ową stronę miał swą łódź ostatecznie skierować. „Współ ze mną, wynurzał się siostrze w dwa tygodnie po „przybycie do Wiednia¹, podziwiać będziesz dobroć Chrystusową, „która zaprowadziła mnie już wreszcie do bezpośredniego celu, dla którego do Wiednia przyjechałem. O. Passerat, zastępca o. Hofbauera „generała Redemptorystów, uchodzi w oczach wszystkich ludzi poważnych za człowieka obdarzonego rzadkiem światłem i szczególnymi la-

¹ Do *Cecylii Chołoniewskiej*. Wiedeń, 1 listopada 1821. List francuski.

„skami w prowadzeniu dusz. Drogi ten Ojciec przełożony nowicyatu Redemptorystów, podjął się dawać mi rekolekcyę przez mniej więcej dzień dni. Będę je robił w ich klaszorze. Otworzę zupełnie serce memu kierownikowi; wymaluję mu ze wszystkimi szczegółami mapę tego kraju. Rekolekcyę tę, pojmujesz to doskonale, zdecydować mają o bardzo wielu rzeczach, a zwłaszcza o podróży do Rzymu“. „Godzina moja wybiła¹, godzina ważna, jedna z tych, koło których, jak koło osi, całe życie ma się obracać i w nowym krążyć kierunku“.

Tradycyjnym przez św Ignacego naszkicowanym sposobem, odbyły się rekolekcyę. Cały czas, od piątej rano do dziewiątej wieczorem, zajęły rozmyślanie, badanie własnego sumienia, wszechstronne zastanawianie się nad wyborem stanu, konferencyę z duchownym przewodnikiem. Zły i dobry Anioł staczali ciężką walkę w krainie myśli, opisaną tak jasno a jędrnie przez św. Ignacego w książce „Ćwiczeń duchownych“, walkę o duszę, tem zaciętszą, że nieraz:

Jedna chwila tej bitwy wyrzeka
Na całe życie o losach człowieka;

zły anioł wzbudzał smutek, mącił pokój serca, starał się wystawić służbę Bożą w ciemnych posępnych kolorach; dobry Anioł dodawał sił, oświecał umysł, napelniał serce błogim pokojem; zapewniał, że byle śmiało wstąpić na Łódź za Chrystusem i ufać Chrystusowi na słowo Jego, ucichną wichry, uśmierzy się burza, rozproszą ciemności. „Z początku, opisuje sam Chołoniewski przebyte walki i różnorodne zasadzki nieprzyjaciela², wiele się nacierpiałem z powodu „illuzyj podsuwanych mi przez złego ducha. Tak np. pod pretekstem, że należy pozostawić umysł w zupełnej obojętności co do wyboru stanu życia, usiłowałem usunąć ze serca wszystkie poprzednie zamiary zostania księdzem; tymczasem samo to usiłowanie „wprawiało mię w niepokój, bo jak później zreflektowałem, już „w Wilnie powziąłem ogólne postanowienie oddania się służbie Bożej. Z drugiej znów strony, kiedy zastanawiałem się, w jaki sposób mam praktycznie to postanowienie wypełnić, to czasami kłam-

¹ Do *Emilii Grocholskiej* Wiedeń. 1 listopada 1821. List francuzki.

² Do *Cecylii Chołoniewskiej* Wiedeń 21 listopada 1821. List franc.

„liwy jakiś, zbyt pośpieszny zapal, doradzał mi wybrać drogę do-
 „skonalszą, jako bezpieczniejszą, a wyborny duch ożywiający zgro-
 „madzenia Redemptorystów i niezwykle zalety wielu jego członków,
 „dodawały tym myślom pozoru i blasku, to znów chwilami czułem
 „wyraźnie, że nie mam ani odwagi, ani pociągu do tak wysokiego
 „stanu doskonałości. Burzliwe te przypływy i odpływy zatopiły pra-
 „wie zupełnie biedną mą duszę; zwolna dopiero Sakramenta św.,
 „światłe rady duchownego przewodnika rozjaśniły horyzont i odda-
 „liły nawałnicę, w czasie której lepiej jeszcze mogłem poznać całą
 „głębię mej nędzy, lepiej przekonać się, jak mało mogę sobie sa-
 „memu zaufać. W kilka dni później wydało mi się, że na razie trzeba
 „myśleć tylko o rzeczy najbliższej i najważniejszej, tj. o wstąpieniu
 „do seminaryum w Rzymie, a dalszą przyszłość zostawić z zupełną,
 „wspaniałomyślną ufnością w rękach Bożych. Biedna moja głowa
 „i serce tak się zmęczyły zaraz przy pierwszych szturmach, że na-
 „stępne rozmyślenia odprawiałem machinalnie, budząc tylko często
 „akty zupełnego zdania się na wolę Bożą w małych i wielkich rze-
 „czach... Mój spowiednik głosi obecnie również za Rzymem, każe
 „mi dość często przystępować do Komunii św. i dodaje mi, ile może,
 „otuchy. Silnie jestem przekonany, że najlepszą dla mnie rzeczą
 „jest na rady jego zupełnie się spuścić... Tenże O. Passerat będzie
 „mi mógł towarzyszyć, jak się przynajmniej spodziewam, w podróży
 „do Włoch. Dla mnie byłoby to prawdziwe szczęście. Nie wyjadę
 „prawdopodobnie przed Bożem Narodzeniem; zresztą, cel mój jeden
 „jedyny: wypełnienie woli Bożej, ale co do ś r o d k ó w, żyję z dnia
 „na dzień...; bo wszystkie środki¹ składam w ręce Bogu, na któ-
 „rego w s z y s t k o bez targu zdać, wszystko mu poświęcić winie-
 „nem, jeśli chcę działać konsekwentnie i z nadzieją dójścia do celu“.

Nazajutrz po ukończeniu rekolekcij wylał Choloniewski dzięki przepełniające mu serce w polskim wierszyku, nie czarującym ani blaskiem obrazów, ani harmonią rytmu, ale w którym przecież z pod chropowatej formy przegląda tak głębokie i prawdziwe uczucie, że nie jeden z mistrzów poezyi mógłby mu go pozazdrościć².

¹ Do *Grocholskich* 22 listopada 1821.

² *Pisma pośmiertne* t. II. 154. W dwóch rękopismach, które mam pod ręką, zachodzą pewne warjanty, ogólnie raczej niekorzystne niż korzystne dla wiersza później widać polerowanego.

„Ach! długom na świecie drzymał,
Szperał i marzył zbyt długo,
I dobrzem o szczęściu trzymał,
A nieszczęścia byłem sługą;
Grzechu noc czarna zajęła
Umysł i serce wzburzone,
Już me nadzieje zwiedzione,
Już i niewinność zniknęła“.

Dziecinnych latek wspomnienia
Jak czarujące sny złote,
Jak harfy niebieskiej brzmienia
Chciałyby słodzić tęsknotę. —
Daremnie; bo słusznie mściwe
Jędze w sumieniu nie zmarły:
Niebo mi z serca wydarły
Duchy te nielitościwe.

Kiedy wśród piorunów błysku
I strasznej żywiołów wojny
Słońce w przecudnym połysku
Ukaże promień spokojny:
Natura cała przybiera
Kolory jasno posępne,
Lecz wkrótce mgły niedostępne
Światło zwyciężkie rozdziera.

Ukaż się Jezu! me słońce!
Przywróć pogodę mej duszy,
Ciebie mam tylko obrońcą,
Ciebie jednego poruszy
Głęboka nędza grzesznika. —
Okropne umysłu cienie
I ciężkie serca uśpienie,
Wszystko Twe światło przenika“. —

„W nim też dopisywał już prozą poeta przepisawszy swój „wierszyk szwagrowi¹, moja ostatnia nadzieja. Woli jego szukać „jedynem nadal będzie mojem zatrudnieniem. Dotąd mój X. Passerat i X. Calebotta radzili mnie tu się zatrzymać przez jakiś czas, „aby dobry wybór zrobić z miejsc, w których gruntownie teologii „uczą. O Wiedniu z tego względu myśleć nie można, bo tu wiele „nieładu i dziwacznej mieszaniny o tych naukach. Zostaje więc Pa- „ryż i Rzym do wyboru. Zdaje mi się, że na Rzymie skończy się „deliberacya“.

¹ Do Grocholskiego 20 grudnia 1851. List polski.

Zaledwie Choloniewski skończył rekolekcyę, rozpoczął je Werner, a idąc, jak mu się zdawało, za otrzymanem światłem, przywdział w dzień Niep. Poczęcia N. Panny habit Redemptorysty. Choloniewski był obecny przy obłóczynach przyjaciela, a ceremonia ta i prosta, ale bardzo serdeczna przemowa O. Passerata głębokie na nim uczyniła wrażenie. A ja, pytałem, czyż prędko ujrzę się w kapłańskiej sutannie; czyż prędko, kiedyż wreszcie postanowienie me i projekty będę mógł w czyny zamienić? Pytanie to stawało przed okiem tem naturalniej i z tem większą siłą, że jak się niebawem ze smutkiem przekonałem, zamierzona podróż do Rzymu nie tak prędko, w każdym razie nie za parę tygodni, ani nawet miesięcy przyjsć mogła do skutku. Teologia, jeśli ją kto bierze na seryo, wymaga, nie mówiąc już o dokładnej znajomości języka łacińskiego, pewnych przedwstępnych, zwłaszcza filozoficznych studyów, których Choloniewskiemu zupełnie brakowało. Na domiar oddawna skołatanemu zdrowiu domagało się natarczywie radykalnej kuracyi, a jak z jednej strony Choloniewski nie chciał i nie mógł poświęcić osobnych kilku lat na uczenie się w Rzymie łaciny i filozofii; tak z drugiej strony należało przygotować spory zapas sił fizycznych, aby wybrawszy się raz do Rzymu nie kwękać i nie chorować, lecz z całym zapalem i możliwem wyteżeniem jać się twardej naukowej pracy. Z tych względów ułożono w rozmowie z zaprzyjaźnionymi Redemptorystami i z O. Celebottą, o którego pobycie we Wiedniu po paru dopiero miesiącach Choloniewski z wielką radością się dowiedział, że najlepiej będzie z łaciną i filozofią prywatnie, o ile można najspieszniej, we Wiedniu się uprzętnąć, latem podreperować zdrowie w jakim kąpielowem miejscu, a później dopiero o Rzymie pomyśleć.

Niemало trzeba było mieć energii woli, aby te postanowienia, zwłaszcza pierwszą ich część, należycie wypełnić. Można wprowadzić się w swym pokoiku, otoczyć foliałami i słownikami; ale ani zamki i klucze, ani wał z potężnych „in folio“, nie mogły obronić przed troskliwą natarczywością przyjaciół, których skargi na pustelnicze życie Choloniewskiego aż na Podole dopływały i przywiodły mu stamtąd cały potok wymówek i żalów. W pierwszych dniach grudnia zawitał do Wiednia brat Jędrzej ze żoną z poślubnej paryskiej i szwajcarskiej podróży, którą, mówiąc nawia-

sem, odbył własnymi końmi; braterstwu przecież trudno było zakazać wstępu do swej fortecy, trudno było ograniczyć ich odwiedzin na pewne urzędowe godziny. Natomiast raz tylko w tydzień wychylał się do gościnnych salonów Rozalii Rzewuskiej, która choć męczona ciągłą migreną i gorszą jeszcze troską o przyszłość czworga dzieci, ściągała jednak do siebie jakby magnetycznie, dyplomatów i uczonych, godziła przy swym stoliku filozofów z poetami, a jednych i drugich nieraz trafną myślą dziwiła. Dłuższe godziny, nie żałując już czasu, spędził przy łożu umierającego w kwiecie wieku Ksawerego Zamojskiego, przygotował go na śmierć, z prawdziwie braterską troskliwością zajął się pogrzebem, sprosiwszy nań wszystkich Polaków bawiących we Wiedniu. Życie poświęcone wyłącznie modlitwie, nauce, dobrym uczynom, urozmaicone tylko przyjacielską rozmową z równo myślącymi, dobrym było praktycznym wstępem do obranego kapłańskiego stanu; ale prowadzone ze zbytniem może wytężeniem zostawiło nowe ślady na skolatanem już zdrowiu. To też ledwie wiosną zaczęła w walce nad zimą przemagać, a już doktorzy zmusili coraz bardziej na siłach upadającego pacjenta, zamienić męczące pielgrzymki po oderwanej krainie filozofii z bardziej realistycznymi pielgrzymkami na świeżem powietrzu, po kąpielowych chodnikach z kubkiem wody mineralnej w rękę.

Wyjeżdżając z Wiednia w towarzystwie Calebotty przez Dreźnie do Karlsbadu, nie przewidywał Choloniewski, że raz jeszcze na zimę założyć będzie musiał w Wiedniu kwaterę, aby znowu z wiosną wyruszyć do Cieplic. Ożywiona korespondencya z rodziną, z Fryderykiem Schległem, z Rozalią Rzewuską, czasem jakiś wierszyk na prędce przetłumaczony lub sklecony, dłuższe rozmowy z O. Calebottą, z Jezuitą Landesem, z Jędrzejem i żoną jego Elizą, a później z siostrą Emilią, która w połowie 1823 r. zjechała z córeczką Manią do kąpieli w Egrze, uprzyjemniały kuracyjne nudy, ścięśniały bardziej węzły krwi i przyjaźni i raz po raz roztwierały szerszy jakiś widnokrąg przed wyobraźnią, sercem i rozumem. Zwłaszcza O. Calebotta, „którego jednym z celniejszych rysów jest „obok wielkiej gorliwości wielka łagodność i wyrozumiałość w prowadzeniu drugich“ — zyskiwał sobie u niego z dnia na dzień wpływ coraz większy i widoczniejszy. „Obcowanie z tym człowie-

„kiem, otwierał swe serce przed Rozalią Rzewuską¹, stało się epoką „w mem życiu. Jego słowa były dla duszy mej promieniem, w którego świetle cały świat przedstawił mi się inaczej niż dotychczas“. Żalobna wieść o śmierci wspólnego przyjaciela Wernera, w nowym kierunku popchnęła poufne rozmowy, odżywiła dawne wspomnienia i wstrzęsła do głębi serca szczerze kochającego nieco ekscentrycznego księdza-poetę, który przed śmiercią, jakby dla zamknięcia całego życia, jednego pasma zmiennych przygód i dziwnych awantur, pożegnał się z habitem Redemptorystów i z chorobliwą niespokojnością za nowymi drogami zaczął się oglądać. Pierwszy Schlegel zakomunikował Choloniewskiemu w długim serdecznym liście bliższe szczegóły o zgonie wspólnego przyjaciela:²

„Przyjaciół nasz miał śmierć bardzo spokojną i słodką. Choro-
rował na prawdę tylko dziesięć dni i zasnął, powiedzieć można,
zanim poznano, że niebezpieczeństwo tak bliskie i groźne. Stąd
też i ja nie miałem pociechy widzieć się z nim bezpośrednio przed
śmiercią. Za to z pociechą przypatrywałem mu się po śmierci;
wyglądał jakby spał, a na twarzy spokojnej jak nigdy za życia,
wyrył się słodki uśmiech pielgrzyma, który już doszedł do nie-
bieskiej ojczyzny. Co do opuszczenia zakonu Redemptorystów,
najlepiej byłby zrobił, nigdy do nich nie wstępując, ponieważ, nie
mówiąc już o zdrowiu, nie było to jego powołanie, tak, że praw-
dziwi jego przyjaciele i ci co go dobrze znali, nie mogli mu mieć
za złe później uczynionego kroku. A jeśli wystąpieniem tem
z klasztoru wzbudzić mógł w pierwszej chwili pewien niesmak
i różne niezbyt pochlebne sądy, to wynagrodził winę i spłacił
światu dług zaciągnięty przesłicznym testamentem, łączącym w so-
bie wszystko, czego wymagała sprawiedliwość, delikatność uczuć
i przyjaźń. Ucieszyłem się niemało, znajdując w testamencie tym
dowody głębokiego jego przywiązania i wdzięczności dla Twojej ro-
dziny, drogi przyjacielu! Dzieła jego pośmiertne, mające wyjść,

¹ *Drezdno*. 4 września 1822. List franc. Rozalia Rzewuska na wiosnę 1882 r. opuścić musiała Wiedeń „z niezmiernym żalem całego miasta“, jak pisał Choloniewski do szwagra, aby ratować „zrabowane gospodarstwo“ w Opolu.

² *Wiedeń* 2 czerwca 1823. List francuski.

„jak mówią, w ośmiu tomach, są własnością Redemptorystów, którzy przygotowują je obecnie bardzo starannie do druku, pragnąc im zjednać jak najszczerze uznanie. O. Coudenhove więcej ci będzie mógł w tym względzie podać szczegółów, skoro będzie miał szczęście ujrzeć Cię w Karlsbadzie. Zazdroszczę mu prawdziwie tej podróży; przydałaby mi się dla zdrowia, a towarzystwo Twoje i O. Coudenhovego dopełniłoby miarki szczęścia. Czuję wielką potrzebę bardziej się zbliżyć i zjednoczyć z ludźmi, dzielącymi ze mną tak zupełnie te same religijne uczucia, poświęcającymi się dla tego samego duchownego powołania... Bądź więc tak łaskaw, Panie Hrabio, a zawiadam mię o swych planach na przyszłość, o projektach dalszych podróży, abym myślą przynajmniej mógł za Tobą pogonić, kiedy w rzeczywistości pogonić nie wolno. Ludzie dążący do tego samego celu, nigdy w życiu tem tak szybko mijajacem nie powinni tracić się z oka“.

(C. d. n.)

Ks. Jan Badeni.



DZWONY

JAKO PRZEDMIOT SZTUKI KOŚCIELNEJ.

(Dokończenie).

Drugi ze znanych mi pojedynczych i na wzmiankę zasługujących dzwonów, znajduje się w *Pysznicu*, włości nadgranicznej, po prawym brzegu Sanu, naprzeciw Rozwadowa położonej. Jestto dzwon jezuicki, jak świadczą wszystkie napisy na nim odlane. Przeszedł on ciekawe koleje, zanim się dostał do Pysznicu po zniesieniu kolegiów jezuickich w Galicyi. Nie miłe to wspomnienie dziejowe, niezbyt daleko odległe, kiedy duch Józefiński wciskający się przez cały wiek w wewnętrzne sprawy i rządy kościelne, owładnął wszystkie warstwy społeczne, usposabiając je wrogo przeciw wszystkiemu, co tylko tętnęło podnioslejszym duchem katolickiego Kościoła, opierającego się temu protekcyjnemu ujarzmieniu i krępowaniu swobodę działania książąt apostolskich, sprawujących prawomocne — bo od Chrystusa im powierzone rządy w owczarni Jego. Ofiarą żywiołów wrogich, rugującą wszelką żarliwość kapłańską, padli w Galicyi OO. Jezuitci, których klasztory i kościoły zabrano, a nie rzadko na świeckie użytki obrócono; rzeczy zaś czysto kościelnej natury albo dobrotliwie (!) rozdano kościołom świeckim, albo za bezcen sprzedano... Dzisiejszy dzwon pysznicki przypomina tę smutną gospodarkę. Był on pierwotnie w kościele OO. Jezuitów w Jarosławiu, którzy go własnymi funduszami dla swego kolegium sprawili. Po zniesieniu kolegium jarosławskiego sprzedał go rząd parafii Pysznickiej za 460 Złr. mk., oprócz dostawy potrzebnego siana i owsa

dla koni wojskowych. Splawiono go Sanem do Pysznicy, a od brzegu rzeki do kościoła ciągnęło go 12 wołów. Taka jest w krótkości historia tego dzwonu, zaczerpnięta z inwentarza kościoła pysznickiego.

Rozmiarami swymi rywalizuje ten dzwon z większymi w kraju. Średnica jego wynosi 1·28 metr., wysokość 1·03 metr., grubość w pierścieniu odsercowym 10 centymetr. Ton jego jest *Fis* w średniej oktawie, według kamertonu wiekańskiego. Dźwięk ma czysty, ale suchy i krótki, poddźwięku nie ma prawie żadnego, co stąd pochodzi, że jest wyszczerbiony, prawdopodobnie przy wiezieniu go do kościoła, ale szczerbę tę zalano. Tym sposobem ocalono wprowadzie dzwon od niechybnego pęknięcia, ale przy osłabionym pierścieniu odsercowym w miejscu uderzenia musiano wykręcić cały korpus dzwonu tak, że teraz serce w inne miejsce krawędzi uderza, niż pierwotnie. Okoliczność ta wpłynęła bardzo niekorzystnie na jakościową wartość tonu, odjęła dzwonowi elastyczność dźwięku i pogłos, który się bardzo ceni w każdym dzwonie i dodaje mu harmonijności. Wielka to szkoda, bo dzwon ten musiał mieć pierwotnie śliczny i pełny dźwięk, co już stąd wnosić można, że długość średnicy jego wskazuje ton głębszy, niż *Fis*, a zatem waga jego jest większa, czyli że grubość ścian wypełnia całe górne wnętrze i nadaje, mimo dłuższej średnicy dolnej, wskazującej co najmniej na *Dis*, wyższy, ale zarazem pełniejszy ton całemu dzwonowi. Nie można też przypuścić, aby zalanie wyszczerbienia wpłynęło na podwyższenie tonu, bo właśnie przeciwnie musiałoby być. Gra tu także wielką rolę i dobroć kruszców i stopień gorąca przy topieniu.

Gdzie i kto ułął ten dzwon nie wiadomo, ani z inwentarza, ani z napisów. Pod koroną na górnej obręczy jest tylko taki napis: *A. M. D. G. (ad maiorem Dei gloriam) et Societatis Jesu*. Na środkowej ścianie zaś czytamy: *Deo ter Optimo, Maximo, ad maiorem gloriam, Virginis sine labe conceptae honorem, nec non SS. Joannis Baptistae, et Evangelistae, atque SS. Ignatii, Xaverii, Borgiae, Kostcae, caeterorumve Societatis Divorum venerationem. Ego sum es clamantis: parate viam Domini. A. D. 1779*. Napis górny, jakoteż imiona ŚŚ. patronów Towarzystwa Jezusowego — ŚŚ. Ignacego, Franc. Ksawerego, Franc. Borgiasza i Stanisława Kostki na dzwonie odlane wyraźnie wskazują, że dzwon

ten jedynie dla Kościoła OO. Jezuitów i za ich staraniem był ulany. Dziś wzywa on w innem miejscu wiernych do kościoła, a w skażonym dźwięku jego dosłuchuje się religijny umysł, że nie przeszedł bez szwanku przez burzę potęg złowrogich dla Kościoła katolickiego... Uszczerbek dźwięku jego jest niepowetowany, ale jak mnie zapewniono, nosi się przewielebny ks. dziekan i proboszcz pysznicki z myślą, dodać sprzedanemu więźniowi lepszych towarzyszków w dwóch nowych dzwonach, które mają powstać z dobrej woli ofiarnych sere ludu mazurskiego, aby mu dźwięczniej ogłaszały chwałę Bożą i wołały *in hac terra invia et inaquosa: Vere Dominus est in loco isto... locus iste non est hic aliud, nisi domus Dei, et porta coeli*¹.

Nie mogę też pominąć dwóch pięknych dzwonów w podkarpackiem miasteczku *Nowotańcu*, w Sanockiem, które mają tony *c* i *a* w wyższej oktawie. Większy dzwon o średnicy 70 centmtr., a 50 centmtr. wysokości, pięknie ornamentowany po bokach wizerunkami Matki Boskiej, św. Zygmunta i św. Bonifacego. Odlew gładki i prawidłowy, choć cały dzwon trochę za lekki i o niskim profilu, przez co ton jego *c* nie jest tak doniosły i pełny, ale czysty i za pierwszym serca uderzeniem uchwytny. Odlany jest w Krakowie przez ludwisarza niemieckiego pochodzenia, jak świadczy napis na górnym pierścieniu pod koroną: *In honorem SS. Trinitatis, B. Mariae Virginis, me fecit Johann Sigis. Weidner Cracoviae. Anno Dni 1760.* Przy każdym wizerunku stosowna invokacya. *SS. Virgo Maria sis nostra coeli porta. — St. Sigismunde ab incursibus daemonis nos defende. — St. Bonifaci aperi nobis januam coeli.* Widać, że od krakowskiego Zygmunta dano temu dzwonowi imię, a nawet jest wielkie podobieństwo w odlewie. Drugi malutki, ale bardzo dźwięczny dzwonek, o pełnym, równym tonie *a*, harmonizuje ślicznie z większym w wielką sextę. Odlano go bez względu na to, jaki będzie miał ton, byle tylko był dzwon trwały. Odlew ciężki, chropowaty, ale ton, zdaje się przypadkowo trafiony, jest bardzo miły i donośny, a to w skutek większej wagi kruszcu i wysokiego stosunkowo profilu. Ludwisarza nie ma zaznaczonego, tylko u góry napis koszlawemi głoskami odlany: *Dzwon ten sprawiony funduszem całego Nowotańca 1826 r.* Trzeci mały, wrza-

¹ Genes. XXVIII. 16, 17.

skliwy dzwonek, bez żadnej artystycznej wartości, psuje zgodną harmonię pierwszych dwóch.

Staję nareszcie z miłym czytelnikiem przed najcenniejszym arcydziełem sztuki ludwisarskiej — przed królewskim *Zygmuntem na Wawelu*. Przypatrując mu się z bliska, schylam z uszanowaniem głowę, spuszczam w dół oczy, które oglądały to arcydzieło, a zanurzony w pietyzmie i poważnej zadumie, przesuwam w myśli koleje półczwarta sta lat, w ciągu których ten dzwon wydobywał z wnętrza swego różne tony. Uderzeniami serca swego poruszał on w różnych czasach także i serca wielkiego narodu, budził w nim uczucia tryumfu i sławy, radości i smutku, boleści i rezygnacyi, znacząc wszystkie koleje, jakie naród polski przechodził przez te półczwarta wieku... Zbyteczna zda mi się być egzegeza, z jak rozmaitem uczuciem słuchał naród dźwięku tego dzwonu. Ma on bowiem „swoję odrębną liryczną deklamację“¹. Innym tonem głosił on narodowi zwycięstwa nad nieprzyjaciółmi odniesione, kiedy potęgą piersi swojej przebił niebiosą wtórując piersiom rycerskim — śpiewającym dziękczynne *Te Deum laudamus*. Odmiennej nutą zapowiadał panowanie jedynastu Królów, którzy po zgonie Zygmunta I. tron polski dzierżyli; a znowu odmienną ogłaszał ich śmierć. Ale najboleśniej zajęczał nad grobem ujarzmionej Polski, a jęk ten rozległ się z góry Wawelskiej po całym obszarze ziem polskich, jakoby płacz Jeremiasza proroka: *Quomodo sedet sola Civitas plena populo: facta est quasi vidua Domina Gentium: princeps provinciarum facta est sub tributo*²...

Pytali mnie niektórzy przyjaciele moi: dlaczego o dzwonie Zygmunrowskim pierwej nie pisałem, zostawiając go aż na sam ostatek? Właśnie dla tego, że to dzwon królewski i jako taki — jest królem wszystkich dzwonów. A przed królem najpierw idą dostojnicy i dworska świta, przez co zaostrza się ciekawość patrzących i wyczekujących, jak sam król wygląda. Kto króla najpierw ujrzy, na dworzan nie patrzy; bo i źleby się po królu wydali. A przecież ten zdobny orszak dostojników dworskich królewski majestat podnosi. Przeto i ja, zapoznawszy pierwej moich czytelników z najpię-

¹ Winc. Pol — prelekcyje o muzyce kościelnej T. VIII. str. 316.

² Ihren. I. 1.

knieszymi dzwonami w różnych miejscach kraju, wiodę ich w końcu na zamek królewski, aby tam pośród tak licznych, choć niemych pamiątek potęgi i chwały narodu, poznali dokładniej czterowiekowego świadka, co dotąd sam jeden nie zamilkł, ale nad grobami królów swoich żalobnym jękiem świetną przeszłość w sercach wszystkich wskrzesza...

Majestat królewski ma i to do siebie, że się nawet w więzieniu ukryć nie potrafi, a sam widok jego głęboki szacunek wymusza. Tak i dzwon Wawelski, choć ciasne więzienie na wieży Zygmuntowskiej od czterech blisko wieków zamieszkał, mimo to, patrzących nań z bliska wprawia w zdumienie, oko zachwycą, serce rozkoszają napelnia, podziwiać się każe. W całej Polsce tak okazałego dzwonu nigdzie nie znajdzie. Wielkością swoją, artyzmem odlewu, poważnym, harmonijnym dźwiękiem i głębokością tonu, króluje on nad wszystkimi innymi. Nie darmo nosi imię królewskie fundatora swego.

Średnica jego wynosi 2·45 metr.; wysokość 1·93 metr., a grubość pierścienia odsercowego 28 centymetr. Po obu bokach przeciwnych na zewnątrz ścianie znajduje się odlew króla Zygmunta, stojącego w majestacie z berłem i jabłkiem w rękę; obok orzeł polski i Pogoń. Obydwa wizerunki królewskie umieszczone w przeciwnym kierunku do osi, czyli w krzyż ramion dzwonu tak, że jeden zwrócony w stronę północną na miasto, drugi na południe. Pod koroną dzwonu jest napis łacińskimi głoskami w dwóch rzędach w koło tak umieszczony:

1. *Deo ~ Opt ~ Max ~ (Optimo-Maximo) ac ~ Virgini ~ Deiparae ~*
2. *Campanam ~ hanc ~ dignam ~ animi ~ operamque ~ ac ~ gesto-*
1. *Sanctisque ~ Patronis ~ suis ~ divs (divus) Sigismundus ~*
2. *rum ~ suorum ~ magnitudine ~ fieri ~ fecit ~ anno ~ Sa-*
1. *Poloniae ~ Rex ~*
2. *lutis ~ MDXX.* Poniżej postaci królewskiej imię i nazwisko ludwisarza Norymberczyka: *Hans Beham von Normberg* i symbol sztuki ludwisarskiej, lub może herb Behama. Pomiędzy pojedynczymi słowami napisu dzwonowego, (gdzie ja daję pauzy), odlane listki dębowe. Innej ornamentyki, mimo wielkiej przestrzeni dzwonu, nie ma wcale żadnej, a to prawdopodobnie z wyraźnej woli króla,

gdyż majestat królewski wszystko zastępuje, prawdopodobieństwo tego domysłu tłumacząc tem, że taki artysta w sztuce ludwisańskiej, jak Beham, do wykonania tego dzieła zawezwany, potrafiłby z pewnością najbogaciej dzwon ornamentować, który miał uwiecznić sławę jego. Jeżeli zaś tego nie uczynił, to nie bez celu.

Fachowi muzycy długo się spierali o to, jaki właściwie ton w skali muzycznej wydaje dzwon Zygmunt? Ważyło się zdanie między *Fis*, a *G*. Po dokładnem zbadaniu oznaczono ton *G*, w małej oktawie basowej, pomimo że długość średnicy przynajmniej na *E* w tej samej oktawie wskazuje. Atoli to jest właśnie zaletą dzwonu, że przy tej średnicy wydaje ton wyższy, bo ma większą wagę, wyższy profil i grubsze ściany. Poznać to można z grubości pierścienia odsercowego, który tylko o jeden centymetr jest cieńszy od największego w nowszych czasach ulanego dzwonu cesarskiego dla katedry kolońskiej, chociaż jego dolna średnica prawie o cały metr jest dłuższa, od średnicy naszego Zygmunta. Starzy ludwisarze znali się doskonale na tej dyferencji, w jakiej potrzeba naddać kruszczu dzwonowi, aby przy dłuższej średnicy, zwiększonej wysokości i grubszych stosunkowo ścianach, czyli powiększonej wadze, wydał ton wyższy, niż to wskazuje długość średnicy, która jedynie o liczebnym tonie decyduje. Przy tak umiejętnej operacji zyskuje dzwon podwójnie: najpierw, że jest trwalszy, a powtórę, że ma dźwięk czysty, elastyczny, ton pełny i długi pogłos, a co największa sztuka — że oprócz głównego tonu, ma jeszcze tony poboczne, czyli *przygłosy*, przez co już sam jeden harmonię stanowi. Dla tego to w naszym Zygmuncie słychać najdokładniej dwa silnie występujące przygłosy: małą tercję *B* i wielką kwintę *D*, a oprócz tych najwyraźniejszą kontra-oktawę *G*. I ta artystyczna konstrukcja nadaje mu tę charakterystyczną, jemu właściwą śpiewność, która tem milej działa na uczucie, o ile tony są głębokie, dźwięczne i pełno-brzmiaące. Pod względem techniki dzwonowej zasługuje w Zygmuncie na uwagę jeszcze i ten szczegół, któregom w żadnym z badanych przez się dzwonów nie spotkał, że całe wnętrze, poczynwszy od dolnej kresy u wylotu, aż po samo dno, ma miejsce w miejsce malutkie, okrągłe wklęsłości, w formie podwójnego dukata i takiej głębokości, co mu na pierwszy rzut oka nadaje podobieństwo do rybiej łuski, lub pancerza. Te symetrycznie rozłożone wtłoczenia

i osiągnięta tym sposobem pewna chropowatość całej przestrzeni ścian dzwonowych doniosłe ma znaczenie. Jest bowiem faktem udowodnionym, że zewnętrzna krusta, czyli skóra dzwonu jest znacznie twardsza, niż środkowy kruszec. Twardość tej krusty chroni dzwon od pęknięcia i czyni go trwalszym, a zarazem wywiera znaczny wpływ na czystość tonu tak dalece, że starzy zdolni ludwisarze woleli raczej pozostawić przypadkowe chropowatości na dzwonach, niż użyć pilnika, lub dłuta do ich usunięcia, aby nie narużyć tej zwierzej krusty. Jeżeli zaś taki mistrz, jak Beham, umyślnie całe wnętrze ścian dzwonowych powtlaczał, to z pewnością nie zrobił tego dla samej fantazyi, ale chciał temi wklęsłościami i wypukłościami całą płaszczyznę w tych samych ramach cokolwiek rozszerzyć, a tem samem nadać dzwonowi jeszcze większą trwałość. Zyskała przez to i muzykalna strona dzwonu, bo wydobyte uderzeniem serca tony pojedynczych pierścieni, ześlizgując się pokarbowaną przestrzenią od dna, aż do wylotu, drgają, przez co ostatni ton odsercowego pierścienia staje się tremolowy (drżący), podobnie jak z cytry, lub wiolonczeli wydobywa artysta lekko drgającym przyciskiem palców na strunach — tremolowe tony, które najmilej pieczą uczucie słuchu. Tremolowy ton w ogóle, a w dzwonie w szczególności, to jak błysk światła przesuniętego po falistem zwierciadle morza, które drgającą pięknnością wzrok ludzki zachwyca; to cienie mistrzowskim pędzlem narzucone po skrajnych kończynach ślicznego obrazu, które całość jaśniej uwydatniają i efekt podnoszą. Takie błyski, takie cieniowanie dźwięku dzwonowego, to ton tremolowy. I taki ton ma nasz prześliczny Zygmunt.

Zawieszony na trzeciem piętrze wieży, panuje nad swymi braćmi pod nim wiszącymi tak potęgą głosu, jak rozmiarami i wagą, około 170 cetnarów wiedeńskich. Poznajmy się z nimi; wszak to najbliższe otoczenie króla wszystkich naszych dzwonów. Na najniższem piętrze wiszą dwa dzwony bardzo stare, z gotyckimi napisami pod koroną. Pierwszy w tonie *E*, z przygłosem *g*, o średnicy 1·39 metr., a wysokości 1·10 metr. Nie ma żadnej ornamentyki, tylko u wierzchu obrączkę z ząbków gotyckich w pewnem oddaleniu od siebie po dwa stojących. Dźwięk ma nieczysty, nieuchwytny, ton niejasny i trudny do oznaczenia. Ze względów akustycznych, jest to dzwon najmniej udany. Drugi obok niego zdaje

się być jeszcze starszy, ulany około połowy XV. w. Pod koroną sztabka gotycka i nieczytelny, bo całkiem brudem i kurzem przykryty napis gotycki pod górną listwą. Na środkowej ścianie tarcza herbowa *Topor*. Niesłuchanie wielka waga, około 65 cetnarów; grubość ścian i pierścienia odsercowego 24 centymetrów wynosząca, dyformuje go. Przy średnicy 1·90 metr., a 1·44 metr. wysokości, wydaje ledwie ton *D*, z przygłosem *gis*, choć przy tych rozmiarach, gdyby był prawidłowo ulany, mógłby o cztery tony być niższy. Mimo tej wadliwości konstrukcyjnej, ma ton bardzo piękny, doniosły, pełny i jasny, za pierwszym serca uderzeniem zdecydowany, jako czyste *D*.

Na II. piętrze także dwa dzwony, z których pierwszy znacznie wyszczerbiony domaga się przelania. Ton ma *Es* i przygłos *b*, średnicę 1·58 metr., wysokość 1·26 metr. wynoszącą. Dźwięk jego brzydki, warczący, hałaśliwy i kotłujący się. Ornamentyki nie ma wcale żadnej. Obok niego wisi drugi dzwon, zwany „Półzygmuntem“. Jestto najpiękniejszy dzwon po Zygmuncie pod każdym względem. Ma swoją historię odlaną na dolnej obręczy. Dzwon to biskupi *par excellence* — o czym świadczą nie tylko odlane na nim nazwiska biskupów Konarskiego i Andrzeja Trzebieckiego, ale i herby kilku innych książąt Kościoła. Sprawił go biskup Konarski, ale w r. 1751 pękł, i dopiero za 6 lat — prawdopodobnie kosztem kapituły krakowskiej — został przelany. Odlali go dwaj zdolni ludwisarze, podobno krakowianie, Weidner i Scholtz, gdyż nazwisko pierwszego z nich spotykamy na dzwonie w Nowotańcu, o trzy lata później także w Krakowie lanym, który — jak to już wyżej nadmienilem w monografii tego dzwonu — ma zupełnie tę samą konstrukcję i podobną ornamentykę. Okazały to dzwon tak pod względem artystycznej formy, jako też rozmiarów. Średnicę ma 1·70 metr. długą, a wysokość 1·25 metr. Dzwoni w tonie *H*, z przygłosem *d*. Dźwięk ma czysty, elastyczny i tkliwy. Stroi się bardzo pięknie z Zygmuntem w czystą tercję i ma tę samą barwę dźwięku. Widać, że ludwisarze uwzględnili wszystkie wymogi akustyki, aby dzwon do Zygmunta zastósować, i nie robili na chybił trafił.

Napis na dolnej obręczy jest taki: *Campana haec Konarsciana post Trzebieciana, demum anno Jubilaei 1751. fracta. A. D. 1757 refacta*. Nieco niżej znajdujemy nazwisko obydwóch ludwisarzy:

Joannes Weidner, et Samuel Scholtz me fecit Cracoviae. Zewnętrzne ściany bogato są ornamentowane w stylu barocowym. Widzimy tam herb biskupa Trzebieckiego „Łabędź“, a po bokach tarczy insygnia biskupie: pastorał i infuła, zaś nad tarczą książęca korona. Nieco dalej herb „Habdank“ i herb Janusza „Baranek“ z insygniami biskupimi. Na przeciwnej stronie dzwonu nie wielki, ale śliczny odlew św. Stanisława Szczepanowskiego z napisem u spodu: *Excitator mortuorum*. Potem herb kapituły krakowskiej: kapelusz biskupi z trzema kutasami na sznurkach wiszącymi, a poniżej symbol Opatrzności: oko w aureoli słonecznej i napis pod spodem: *Custodi nos Domine, ut pupillam oculi*.

Wszystkie te dzwony na wieży Zygmuntońskiej zawieszone są na silnie zbudowanych rusztowaniach dębowych, co przy takich ciężarach wielką jest zaletą, a z wielką korzyścią tak dla samych dzwonów, jako też dla wieży, której dobrze i mocno skonstruowane rusztowania podczas dzwonienia wcale nie tracą. Atoli jest przy wszystkich dzwonach jeden bardzo wielki mankament. Niedostatkim tym, dającym się w każdej chwili i prawie bez kosztów uchylić, jest obniżenie serc dzwonowych w skutek naciągnięcia się pasów rzemiennych. U wszystkich dzwonów uderzają serca w niewłaściwy pierścień i nie główką, ale cieńszym trzonkiem powyżej główki, czasem aż w połowie jego długości. Nawet u Zygmunta, choć serce dopiero przed kilku laty po urwaniu się umocowano, obciągnęło się o dobre dwa cale. Oddziaływa to niekorzystnie tak na dźwięk dzwonu, jak nie mniej jest pierwszą przyczyną rozbicia go, bo serce, którego punkt ciężkości leży w główce, nie odskakuje po uderzeniu od kresy dzwonowej przy zbyt obniżonym punkcie zawieszenia, ale partę siłą zamachową, naciska na nią, tarza się po dzwonie, zanim ten odwinie się w drugą stronę. Nie przesądzając bynajmniej dobrej woli osób, do których zarządu to należy, że w tę sprawę wglądną, chcę zwrócić tylko uwagę na rzecz mającą w swych skutkach doniosłe znaczenie...

Oprócz strony techniczno-artystycznej, wypada się jeszcze zastanowić nad stroną harmonijną dzwonów wawelskich. Nie raz zadawano sobie pytanie: czy są one harmonijne? Pod tym względem podzielone są zdania. Jedni apodyktycznie twierdzą, że są harmonijne; drudzy przyznają im harmonijność częściową tj. wyłączając

niektóre dzwony, jako dysonanse. Potępiać żadnych bym nie śmiał, bo jedni i drudzy mają swoje racje, dla których wydają sąd twierdzący, albo warunkowy. Co do pierwszych, to taka już natura ludzka, że każdy pragnie widzieć to, co jest własnością narodu, w najlepszym świetle, jako najdoskonalsze; a ta miłość patriotyczna tak nim kieruje, że ani wie, kiedy z prawdą się rozmija. Działa jednak w uczciwym przekonaniu i dobrej myśli, a jeżeli jeszcze coś znajdzie, co jego zdanie podpira rzeczywistość, utwierdzi się w niem i idzie na pewne. Tak sądzić wypada o tych, którzy dzwony wawelskie za harmonijne ogłaszają bez żadnej restrykcji. A takich jest podobno najwięcej. Nawet Wincenty Pol, któremu trudno stronniczość zarzucić, stanowczo twierdzi: „Wszakże dzwony podług czterech głosów strojne znajdują się u nas tylko w *katedrze krakowskiej*, w *Krośnie* i na *Podgórzu* ¹⁴. O ile w tem twierdzeniu jest słuszności, zaraz zobaczymy.

Zestawiając tony pięciu dzwonów wawelskich *G, H, D, Es, E*, widzimy, że tylko trzy pierwsze o tercję od siebie oddalone, tworzą akord *G-dur*; zaś dwa ostatnie psują go, gdyż nie mogą się zmieścić w tym składzie tonów akordowych bez wielkiej dysharmonii. Jeden z nich oddalony od kwinty *D* o pół tonu, drugi o cały ton, a takie następstwo tonów bezpośrednich po sobie, gdyby nie było prymy *G* i tercji *H*, tworzyć by mogło tylko melodyę, a *nie* harmonię, która z akordów powstaje. Melodyi zaś tu być nie może, bo pryma, tercja i kwinta stanowią już akord i to z tonów głębszych i donioślejszych. Zostaje zatem dysonancja. Gdy atoli z każdą, choćby najmniejszą dysonancją w harmonii rachować się trzeba, a choć ją akord *G-dur*, wzmocniony przygłosami tonów i kontra oktavami prymy, tercji i kwinty w części przygłusza, — to jednak o czystej harmonii dzwonów wawelskich mowy być nie może. Nad to, należy tu jeszcze uwzględnić nierówność barwy dźwięku, co jest bardzo ważne; a tej dzwony wawelskie, pochodzące z różnych epok i o rozmaitej konstrukcji, żadną miarą mieć nie mogą i nie mają, bo nie są lane z pewnym planem i w pewnym akordzie z góry oznaczonym, jak np. dzwony w *Krośnie*, lub w *Kościele wotywnym* w *Wiedniu*.

¹ Prelekcja I. o muzyce kościelnej t. VIII. str. 307.

Większą tedy mają słuszość ci, co, uwzględniając ściśle wszystkie wymogi akustyczne — przyznawają im warunkową harmonijność. Gdyby te 5 dzwonów katedry krakowskiej miały taką kombinację tonów, jakiej się wymaga w każdej doskonałej harmonii, tj., gdyby zamiast dwóch ostatnich dzwonów była oktawa *G* do dzwonu Zygmunta i oktawa *H* do dzwonu Trzebieckiego, zasłynęłyby swym strojem daleko po za granicą kraju i przewyższyłyby dzwony kościoła wotywnego w Wiedniu, bo są od nich większe, choć o wyższych tonach, ale miękkich i o wiele milszych, jak ostre tony *Fis*, *Ais*, *Cis* tamtych. Pomimo, że są zwolennicy dzwonów melodyjnych, tj. tak skombinowanych, że ich tony idą porządkiem naturalnej skali w górę; — to jednak jest faktem, że dzwony harmonijne zawsze wyżej się cenia, bo harmonia silniej działa na uczucie ludzkie i podnosi je do wyżyn niebiańskich. Ślicznie ją określił W. Pol w swoich prelekcjach o muzyce kościelnej: *Harmonia — mówi — jest najwyższym ideałem duchów strojnych w Panu i podniesionych ku niebu... bezpośrednim wyrazem wspólnej modlitwy*¹. Dla wcielenia tej myśli, którą duch ludzki od początku i w dzwonach odczuwał tak, jak ją w zgodnym śpiewie na zewnątrz wylewał, pracowali z zadziwiającą wytrzymałością starzy mistrzowie sztuki ludwisarskiej, aby wynaleść stałe prawidła, według których możnaby ułożyć dzwony harmonijne w każdym akordzie. Wspomniany na początku Emory — sam zostawił 300 rozmaitych kombinacji dzwonów i robił doświadczenia. To też narody chrześcijańskie, mając raz świadomość tego, co dawniej bez nadziei skutku tylko próbowano, starają się zużytkować nabytą wiedzę i zespolić ją ze sztuką muzyki kościelnej, a tem samem rozszerzyć jej sferę. Stąd to tyle harmonijnych dzwonów po różnych świątyniach, bo zrozumiano, że to jeden środek więcej — doskonałej chwały Bożej na ziemi, że to jeden stopień wyżej — do zbliżenia się przez to do zgodnych chórów Anielskich. Rozumiał to psalmista Pański, kiedy stopniuje ten objaw zewnętrznej czci Pana Boga, na różnych instrumentach muzycznych Mu oddawany: *Laudate Dominum in sono tubae... in psalterio* (tu śpiew ludzki), *et cithara... in tympano et choro, in chordis et organo* (tu już towarzyszenie instrumentów, w których organy równocze-

¹ T. VIII, str. 347.

sności tonów, a zatem harmonii symbolem)... *in cymbalis bene sonantibus* — (udoskonalona harmonia). (Ps. 150.). Takim też instrumentem *bene sonans* — dźwięcznie brzmiącym, są właśnie dzwony. Złączone od wieków z liturgią Kościoła kat., zamykają w swych tonach całą sferę śpiewów religijnych; są przeto symbolem najwznioślejszej modlitwy, wzbijającej się z ich dźwiękiem ku niebu.

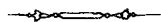
Wysokie pojęcie wartości i znaczenia tego przedmiotu sztuki religijnej było prawdziwym geniuszem, chrześcijańskim natchnieniem do wzniosłych kreacyj ich talentu. Schiller napisał niespożyty po wszystkie czasy poemat o dzwonie. Nasz wsławiony Dyrektor Akademii sztuk pięknych — Jan Matejko — uwiecznił swym mistrzowskim pendzlem „Zawieszenie dzwonu Zygmuntońskiego“. Takimi geniuszami kieruje zawsze najwznioślejszy motyw; poziomość nie ma tu przystępu. Znawcy i niezawcy, przypatrując się temu areydzielu „Zawieszenie dzwonu“ na wystawie sztuk pięknych przed kilkunastu laty jeszcze w pałacu biskupim umieszczonej, objawiali swe zdania o jego wysokiej artystycznej wartości. Niektórzy twierdzili, że to pierwszy obraz tego mistrza, który zachwyca oko jasnym kolorytem nieba i żywymi barwami osób na nim się znajdujących. Jako niekompetentny do wydawania krytycznego sądu w tej dziedzinie sztuki — tyle tylko na pewne twierdzić mogę, że mistrz nasz tem jasnem niebios sklepieniem zaznaczył te górne regiony, do których przesłańcem religijnych uczuć serca ludzkiego jest dzwon; a w rozjaśnionych twarzach całego dworu królewskiego i dalszego otoczenia odmalował radość narodu, że z hojności królewskiej przybył do skarbnicy narodowej jeden więcej klejnot, nieocenionej wartości, aby na długie wieki imię polskie wsławił. Prawda, że nie każdy dzwon ma tę wartość, co Zygmuntoński; ale także prawda, że każdy w mistycznym znaczeniu uważany, wskazuje człowiekowi, dokąd ma przysłać swe prośby, do kogo kierować swe dziękczynne hołdy, komu najwyższą cześć oddawać — słowem, — że od Boga jest — dla nieba stworzony.

I w takim znaczeniu dzwony koniecznie uważać należy, a wtedy rozbudzi się umysł estetyczny i zamilowanie tego tak ważnego przedmiotu sztuki kościelnej, który ma uwydatnić harmonię duszy naszej — z Stwórcą naszym. W nabywaniu rzeczy zwykłych i mier-

nej wartości, oględni jesteśmy. Kupujący jakiś instrument muzyczny, skrzypce, fortepian, ... pytają o firmę, oglądają się za znawcą, któryby go wybrał i wydał sąd o nim. A przecież dzwon średniej wielkości, jeśli jest dobry, więcej kosztuje, niż najlepszy fortepian i ma służyć licznym pokoleniom na długie wieki. Jakiejże tu potrzeba oględności, znawstwa, aby nie chybić pod żadnym względem w tak ważnym nabytku! Ale, że miłość Boga z wiary płynąca na wszystko się zdobędzie, więc idzie tylko o to, aby wszystko, co ma służyć do chwały prawego Boga, było prawdziwie piękne, bo Bóg jest miłośnikiem piękna i Najwyższem Pięknem.

Ten cel miałem na oku, pisząc niniejszą rozprawę o dzwonach i zaznajamiając miłych czytelników moich z najpiękniejszymi z nich w kraju. Dalby Bóg, abym choć w części osiągnął mój cel, a opisanymi pięknymi i strojnymi dzwonów — na doskonałą chwałę Bożą zadzwonił!...

Ks. Jan Balwierczak.



STOSUNEK PAŃSTWA PRUSKIEGO DO KOŚCIOŁA.

(Ciąg dalszy.)

Rozkazem gabinetowym z 27 czerwca 1754 rozciągnął król swą władzę nad inną dyecezyą. Już dawno nosił się on z myślą, żeby hrabstwo kłodzkie oderwać od dyecezyi pragskiej, ale na razie zaniechał tego. „Tymczasem, pisze on, nie mnie nie odwiedzie od mego „głównego zamysłu, ale zarówno jak na Szląsku podciągnę pod swą „władzę sprawy duchowne i przyjdzie kiedyś czas, że zastąpię sam „biskupa w Kłodzku. O tym zaś zamiarze moim nie trzeba wspo- „minąć ani księciu biskupowi, ani komu innemu, boby mi mogli „pokrzyżować plany“¹. Cezaropapizm więc był celem całej kościelnej polityki Fryderyka.

Podobnie jak biskup wrocławski mieli także kanonicy i cały kler uznawać zwierzchność króla nad Kościołem. Przy składaniu przysięgi na wierność przedłożono im rotę, którą zamykały słowa: „Zobowiązuję się wyraźnie, że od tej przysięgi nie odstąpię nigdy „i pod żadnym pozorem, a gdybym się tego dopuścił, niech mi „tego Bóg ani w tem, ani w przyszłym życiu nie przebaczy!“

Za niewierność względem króla zagrożono tu temiz samemi karami, jakimi grozi Pismo św. za grzech przeciw Duchowi świętemu². Daremnie przedstawiali mu kanonicy, że ostatnie wyrazy

¹ Lehmann t. III. str. 520.

² Król pisze o tem do kardynała Singendorfa: „Le St. Esprit et Moy nous avons resolu ensemble que le prelat Schaffgotsch seroit élu Coadjuteur

są wręcz przeciwne wierze katolickiej, gdyż absolucya kapłańska według dogmatu jest integralną częścią sakramentu i nie im tu zmieniać nie wolno. Przedkładali, że możnaby inną przysięgę ułożyć, któraby nie obrażała religii, a zobowiązywała ich równie święcie i nieodwołalnie. Król odpowiedział na te wszystkie prośby i przedstawienia rozkazem: „Kto w przeciągu 24 godzin nie złoży przysięgi, ma być natychmiast z kraju wypędzony“.

Aby zaś i na niższym duchowieństwie wymódzić uznanie swego najwyższego episkopatu, król, korzystając z nieobecności Schaffgotscha, naonczas w nielasce zostającego, rozdawał samowolnie przez lat kilka wszystkie beneficia. A kiedy po śmierci Almestona zamianował król hrabiego Strachwitza suffraganem wrocławskim, z góry mu nakazano, aby uznał za prawomocne wszystkie przez rząd poczynione nadania beneficjów¹. Owszem, pod grozą kary 100 dukatów za każdy raz, kazano mu donosić rządowi, jeśliby który z beneficjantów ważył się starać u księcia biskupa o kanoniczną instytucję na otrzymane przez rząd beneficjum². Nie poprzestając na tem, kazał król wyszukać sobie pewną liczbę księży na Górnym Szląsku, coby zechcieli mu służyć za szpiegów wśród duchowieństwa. Mieścienna płaca miała ich utrzymywać w gorliwości judaszowej. Reskryptem zaś z d. 24 gr. 1764 r. rozkazał Fryderyk ministrowi Schlbrandorfowi wygotować spis parafij katolickich na Szląsku z wykazem dochodów, a to w tym celu, aby lepiej uposażone beneficia przychylnie dla rządu usposobionym były rozdawane. „Będzie „z tego niezawodnie ta korzyść, że każdy duchowny katolicki, prze- „konawszy się, że inni jego towarzysze odznaczający się wiernością „względem Nas są wynagradzani od czasu do czasu przez odpo- „wiednie uposażenia, zmieni swe usposobienie i postara się zasłu- „żyć u Nas na podobneż względy. Wówczas także nie tak łatwo „znajdzie się ktoś, coby chciał niezgodnie z wolą Majestatu postę- „pować“. Istotnie, czytając to odnosi się wrażenie, jakby się czy-

de Breslau et ceux de Vos Chanoins qui s'y opposeront seront comme des ames dévouées à la cour de Vienne et au Diable, et qui résistent au St. Esprit meritent le plus haut periode de Damnation. II. 399, IV. 142.

¹ Lehmann t. IV. str. 122.

² Tamże str. 118.

tało najtajniejsze motywa tak ulubionego dziś *Anzeigepflicht*. Schla-brandorf poszedł jeszcze dalej. Podobnie jak w Kliwii miały wszystkie beneficja być rozdawane jako *officium cum libertate resignandi*. Ale niestety, zewnętrzne przyczyny przeszkodziły temu¹. Ciekawa nadto rzecz, że już za Fryderyka przyjęto zasadę, której trzymają się dziś w postępowaniu z starokatolikami, tj. iż z uchyleniem się od posłuszeństwa wyrokom papieskim nie traci się prawa prezenty. Wszystko zgola, co się tyczyło Kościoła i duchowieństw, żywo obchodziło Fryderyka. Surowo było zakazane poświęcać się stanowi duchownemu przed ukończeniem 22 roku życia. „Wiem „dobrze, że prawo kanoniczne innych trzyma się zasad, ale to mogę „powiedzieć z własnego doświadczenia, że 18-letni młodzieniec czę- „stokroć nie ocenia całej ważności kroku, który rozstrzyga o przy- „szłem jego szczęściu lub niedoli². Przytem kandydatom stanu duchownego nie wolno było uczęszczać na żaden zagraniczny uniwersytet, jedynie ważne studia w obec rządu były w kraju.

Kazania również podlegały kontroli Fryderyka. Biskup był obowiązany przy święceniach kapłańskich mieć przemowę o posłuszeństwie względem króla. W r. 1756 wydał król rozporządzenie, zabraniające na przyszłość Jezuitom we Wrocławiu kazań dogmatyczno-polemicznych w swoim kościele.

Liberałowi takiemu, jakim był Fryderyk, nie do smaku także były liczne uroczystości w Kościele katolickim. Z narodowo-ekonomicznych jedynie względów zlecił biskupowi Schaffgotschowi, aby się postarał w Rzymie o zniesienie pewnej liczby świąt. Biskup odnośną prośbę umotywował niegodziwością położenia, w jakim się Kościół naonczas w Prusach znajdował. Na nieszczęście biskupa dowiedział się o tem Fryderyk i wystósował do „zdrajcy“ list pełen jadu i wściekłości³. W ośm lat później król zabronił jak najsurowiej duchowieństwu ogłaszać ludowi zapowiedziany przez papieża jubileusz.

Jak wszystko w Kościele, tak i klasztory zostawały pod najwyższem zwierzchnictwem króla. Fryderyk uważał je za własność

¹ Lehmann t. IV. str. 155.

² Tamże t. III. str. 196.

³ Tamże t. III. str. 391.

państwa. To też, kiedy odniósł zwycięstwo pod Lowositzem, wydał polecenie do wszystkich przełożonych klasztornych, aby urządzili po kościołach swoich dziekczynne nabożeństwa i sprosili na nie okoliczną szlachtę¹. Istnienie swoje i jaki taki byt zawdzięczały klasztory jedynie temu, że wznosiły fabryki i inne utylitarne zakłady. Jak zaś sobie z nimi zamyślał Fryderyk postąpić na przyszłość, pokazał najlepiej los, jaki spotkał dobra instytucyi szlacheckich dam w Roermund. Sprzedane one zostały na rozkaz króla, który krok ten umotywował tym prostym powodem: „Potrzeba mi pieniędzy w tych ciężkich czasach“.

I w istocie, potrzebował on pieniędzy do ciągłych wojen rozbójniczych. Dla tego też postanowił on wziąć w swoją kuratelę wszystkie pobożne zapisy i testamenty duchownych. A kiedy książę biskup Singendorf zaprotestował przeciw temu, opierając się na orzeczeniach koncylium trydenckiego, król dał mu do zrozumienia, że w Szląsku są bez znaczenia wszelkie kościelne dekryty i postanowienia koncylium trydenckiego². Nawet i Schaffgotsch remonstrował przeciw takiemu postępowaniu. I tak, gdy po śmierci przeorysy w Annaberg na rozkaz ministra zapieczętowano wszystkie po niej pozostałe ruchomości, Schaffgotsch uskarżył się przed królem na włamywanie się w jego jurysdykcyę. Otrzymał na to twardą odpowiedź: „Nie waż się pan tykać moich praw królewskich. Po „głady pańskie powinny być w zależności od moich“³. Nakoniec w czerwcu wyszedł edykt normujący pobożne zapisy. Według niego nie powinny one przewyższać sumy 500 talarów. Protest duchowieństwa, zaniesiony do stóp tronu, nie odniósł żadnego skutku.

Aktem atoli najwyższej samowoli było przywłaszczenie sobie jurysdykcyi kościelnej w kwestyi małżeństw mieszanych, która wkrótce nabrała w Szląsku wielkiego znaczenia, a następnie stała się punktem środkowym polityki pruskiej. W chwili opanowania Szląska przez Prusy normą w postępowaniu przy małżeństwach mieszanych był edykt Karola VI. z d. 21 lipca 1716 r. Na mocy tegoż, jeżeli nowożeńcy nie zawarli przed ślubem umowy piśmiennej,

¹ Lehmann t. IV. str. 418.

² Tamże t. III. str. 402.

³ Tamże t. III. str. 470.

synowie przyjmowali religię ojca, córki zaś religię matki. Praktyka zaś kościelna wymagała, aby przed zawarciem ślubów strona akatolicka zobowiązywała się piśmiennie pod przysięgą, że pozwała na wychowanie wszystkich dzieci w wierze katolickiej.

Niestety, kardynał Singendorf odstąpił od tej praktyki w r. 1746 i 1747, nie uwiadomiwszy poprzednio Stolicy św. i postanowił, że jeżeli nie można było zawrzeć powyższego układu, wystarczyło, żeby strona katolicka nie zobowiązywała się do niczego, co by mogło być ze szkodą religii katolickiej. Fryderyk potwierdził zrazu rozporządzenie Karola IV., ale nie minął jeszcze rok, kiedy ogłosił on za nieważne wszelkie układy przedślubne i nakazał, aby wychowanie odbywało się według płci. Czy więc dzieci nie należą więcej do rodziców niż do państwa? Prawda — ale wedle poglądów Fryderyka, państwo może jedynie rozstrzygać o wychowaniu dzieci¹. Wyjątki w tym względzie czynił król jedynie na korzyść protestantów. I tak, na krótko przed wydaniem edyktu z r. 1750, postanowił on, aby małżeństwa mieszane, a nawet czysto katolickie, jeżeli tylko nowożeńiec należy do wojska, były zawierane przed kapłanem protestanckim. Dopiero w r. 1774 udało się osiągnąć Klemensowi XIV. przyzwolenie, aby katolicy służący w armii po zapłaceniu taksy kapłanom wojskowym, mogli brać śluby i chrzty z rąk duchownych katolickich.

W obec tego samo z siebie wynika, że o dyspensy w sprawach małżeńskich trzeba się było starać tylko u J. K. M. Obok tego zdawało mu się więc słusznem, aby biskup wrocławski nie starał się już nadal o przyzwolenie ze strony Rzymu, ale sam od siebie dyspensował. W tym celu zwrócił się król do Stolicy św. z najokropniejszymi groźbami, żądając dla wrocławskiego wikaryusza generalnego pełnej władzy, nawet na wypadek zbiegających się przeszkód mieszanego wyznania i pokrewieństwa. Chwytno się wszystkich środków, byle poddać Kościół pod zwierzchnictwo państwa, a Szląsk sprostestantyzować. Od r. 1540 w miastach katolickich Szląska podział na parafie katolickie obowiązywał i protestantów. Fryderyk, który bez namysłu żadnego gwałcił sumienia katolików, widział w tem wielką niesprawiedliwość i zniósł w 1757 r.

¹ Lehmann t. III. str. 335.

przymusowe zaliczanie protestantów do parafij katolickich. Skutkiem ubytku opłat, wiele parafij tak zubożało, że nie mogły istnieć i zostały dla tego zniesione¹. Na przedstawienia kapituły w tym względzie odpowiedział król, że nie mają się mieszać do spraw wchodzących w obręb administracyi kraju. Ginęęły parafie katolickie, i zamykano kościoły, ale za to wciąż nowe powstawały zbory. W czasie kiedy Szląsk przeszedł pod panowanie Brandenburgii, obok 2000 kościołów katolickich istniało 400 zborów protestanckich, teraz zaś ubyłoby znacznie pierwszych, ale za to liczba protestanckich w ciągu paru lat wzrosła o połowę. Nie mało przyczyniła się do tego polityka, jakiej się naówczas chwylicili inni monarchowie.

Zaledwo wkroczył Fryderyk do Szląska, zniósł natychmiast radę katolicką w Lignicy, Świdnicy i po innych miastach, a zaprowadził natomiast protestanckie. Tajny rozkaz gabinetowy z dnia 11 paźdz. 1741 r. rozporządza, aby posady burmistrzów, syndyków i kameraryuszów zajmowali tylko protestanci, katolicy zaś co najwięcej mogą być dopuszczani na urząd drugiego burmistrza lub rajcy. Jak z posad miejskich, tak i z rządowych wykluczono katolików. Inny również tajny reskrypt przepisuje, że żaden z katolików nie może otrzymać urzędu, dopóki nie złoży 300 talarów! Taka to była równość w obec prawa, takie dotrzymywanie obietnic!

Ale może Fryderyk okazał się wyższym ponad państwowe przesady, kiedy zatrzymywał Jezuitów w Szląsku, lub może wyświadczył coś dobrego dla katolików zakładając kościół św. Jądwigi w Berlinie? Niestety, oba te fakty w obec dokumentów Lehmann'a w innem przedstawiają się świetle. Wśród wstępnych narad pokojowych z Austryą 1762 r. pisał pełnomocnik pruski Hertberg do króla: „Nie zdołałem uzyskać uznania zwierzchności kościelnej „W. K. M., lecz oświadczyłem przynajmniej, że jeśli kiedy W. „K. M. wypędził Jezuitów — nie znaczyłoby to, że W. K. M. łamie pokój, lecz że idzie za przykładem innych mocarstw katolickich“².

Zatrzymanie zaś Jezuitów w kraju spowodowały tylko przyczyny natury ekonomicznej: król nie miał nauczycieli, zostali więc

¹ Lehmann t. IV. str. 147.

² Tamże t. IV. str. 101.

Jezuici, ale nie jako zakon, lecz jako „królewski instytut szkolny“. Przy nominacjach na katechetów, lub postanowieniach dotyczących nauki religii, wpływ biskupa był tylko pozorny — „dla ceremonii“¹.

Wzmianka o kościele katolickim w Berlinie nasuwa nam pytanie, jaką polityką kierował się Fryderyk co do praw kościelnych w innych częściach kraju. Zasada, że każdy może swobodnie wyznawać swoją religię i wykonywać jej przepisy, nie tyczyła się Brandeburgii i Pomorza. W Berlinie zakazano najsurowiej księżom katolickim udzielać chrztu i ślubów. Przed wystawieniem Kościoła św. Jadwigi pozwolono na coś podobnego raz jedyny, a to jeszcze z wyraźnem zastrzeżeniem: *sans consequence*². 19 czerwca 1750 r. wyszedł nawet ogólny zakaz, zabraniający duchownym katolickim na obszarze dawnych krajów pruskich³ sprawowania jakichkolwiek funkcij kapłańskich (*actus ministerialis*). Każde przekroczenie w tej mierze ulegało surowej karze. Kiedy po poświęceniu katolickiego Kościoła w Berlinie, król nadał trochę wolności katolikom, konsystorz protestancki we Francyi wystąpił przeciw temu z gwałtownym protestem⁴. I cóż to oburzało tak protestantów? Oto 2 lutego 1773 r. mianowano ks. Henryka Elberfelda „pierwszym katolickim kapłanem“ (Pater) w Berlinie. Co do czynności jego urzędu udzielono mu następującej instrukcyi: „Ile razy odprawiać „będzie katolickie nabożeństwo w obecności wojska, lub gdziekolwiek „indziej, musi w modlitwie wyrazić publicznie imię Nasze i Naszego „domu w słowach: „Pobłogosław i t. d“. Jeżeli w podróży stanie „w miejscowości, w której My bawimy, winien natychmiast Nam „się przedstawić — w innym razie głównodowodzącemu oficerowi. „W kazaniach powinien unikać wygłaszania zdań drażniących protestantów. Wzbrania mu się również nawracania kogokolwiek na „swoją wiarę — i gdyby ktoś z własnej woli chęć ku temu okazywał, powinien go z niezem odprawić. Nakoniec pozostawiamy „to Naszej woli, czy katolicką służbę Bożą, na którąśmy najmiłościwiej zezwolić raczyli i nadal zatrzymamy, wraz z funkcyami

¹ Lehmann t. IV. str. 143.

² Tamże t. IV. str. 456.

³ Tamże t. III. str. 322.

⁴ Tamże t. IV. str. 456.

„i przepisami, jakieśmy ks. Elberfeldowi zakreslili — czy też w przyszłości w tem lub owem, według Naszego zdania, poczynimy zmiany. „Nie mamy bowiem zamiaru nadawać przez to religii katolickiej „jakiegokolwiek znaczenia“.

Wakująca podówczas kanonia w Minden nie mogła być na mocy pokoju westfalskiego komu innemu nadana, jak tylko katolikowi, co zresztą sam Fryderyk przyznawał. Wszelkie próby pozbawienia katolików tego prawa mogły Fryderykowi tylko zaszkodzić. Zamianował więc generał-majora Kalinowa-Zarembę kanonikiem, podobnie jak to i dzisiaj praktykuje się w Brandeburgii i Magdeburgu, gdzie dotychczas jeszcze generałów i ministrów mianują kanonikami. Później jednak wydała mu się cała ta sprawa zbyt znaczącą, polecił więc generałowi, aby wyszukał dobrego kupca katolika¹ i kanonię odsprzedał. Ażeby na przyszłość zawarować sobie wolny wybór, mianowicie na lat trzydzieści — ofiarowała kapituła królowi pewną sumę — która jednak Fryderyka nie zadowolniła. „Żądam 28.000 talarów“, była jego odpowiedź, „i od tego nie odstąpię“.

W Kliwii zakazał wszelkich stosunków z arcybiskupem kołońskim. Za przekroczenie tego zakazu skazano proboszcza z Scheda na grzywnę 50, kapitułę w Rees na 100, a kapitułę w Xanten na 150 talarów. Biskup padernborski, powołując się na reces z r. 1672 chciał wykonywać swoje prawa w Ravensbergu, który do jego diecezji należał. Ale nadaremnie. Fryderyk uznawał tylko jedną władzę biskupią tj. samego siebie. Biskup z Roermund uskarżał się pewnego razu, że dzieci katolickich żołnierzy otrzymują chrzest z rąk pastora protestanckiego; — otrzymał za to surową odprawę, żeby się nie troszczył o sprawy państwa pruskiego.

W r. 1754 zabronił król w Prusiech pielgrzymek do Polski, motywując zakaz stratami, jakie kraj, wskutek wynoszenia pieniędzy za granicę, ponosi. Wskutek pierwszego podziału Polski w r. 1772 dostały się pod berło Fryderyka Prusy zachodnie z wyjątkiem Gdańska i Torunia, Wielkopolska po rzekę Noteć i biskupstwo warmińskie w Prusach wschodnich, a tem samem liczny zastęp katolików przeszedł pod jego rządy. I w tych krajach zaprowadzono

¹ Lehmann t. IV. str. 323.

natychmiast państwowy episkopat. Podobnie jak niegdyś w Kulm mianował król hr. Karola Hohenzollern biskupem *cum jure successionis*, jak później w Oliwie mianował sam opata, mimo protestu papieża, tak samo przywłaszczył sobie w biskupstwie warmińskim prawo mianowania na wszystkie prebendy kapitulne, choć jego własny minister Zedlitz mocno się temu sprzeciwiał. Zarząd dóbr kościelnych odebrał duchowieństwu, motywując ten krok w ten sposób: „by duchownym nie zabierać czasu i nie odrywać ich od pracy w kościele“¹. Ta troska o dobro Kościoła byłaby rzeczywiście wzruszającą, gdyby nie fakt, że na mocy innego znowu rozporządzenia 50⁰/₁₀ dochodu z dóbr kościelnych kasa królewska pochłaniała². Suma, do wysokości której dozwolone były pobożne zapisy, wynosiła dla protestantów ¹/₅₀, u katolików ²/₅₀ majątku. W małżeństwach mieszanych upośledzano i na tym punkcie katolików.

Nawet i represaliami Wielki Fryderyk nie gardził. 19 grudnia 1758 r. wydał rozporządzenie, że na przyszłość ma kler cały w państwie pruskim oddawać dziesiątą część dochodów do kasy wojkowej. Za przyczynę takiego postąpienia podawał on tę okoliczność, że dwór wiedeński uzyskał w celu prowadzenia z nim wojny upoważnienie do odbierania dziesiątej części dochodów duchowieństwa w całym państwie niemieckim. Fryderyk wiedział dobrze, że kłamstwu temu nikt nie uwierzy; ale dla niego każdy środek był dobrym. Nie wahał się nawet zredagować sam breve papieskie i ogłosił je publicznie, aby go użyć przeciw Austrii!

W celu przeprowadzenia swej polityki kościelnej posługiwał się nieraz fałszowaniem dokumentów, przekupstwem, szpiegostwem, przejmowaniem listów, i t. p. środkami, z których sobie nie robił najmniejszego skrupułu. Pewnego razu kazał przytrzymać posłańców księcia biskupa, aby się dowiedzieć o treści jego listów³. To samo czynił po wielokroć z listami kanoników i innych osób.

Najbrzydszą atoli plamą rządów Fryderyka II. pozostanie na zawsze powieszenie ks. Faulhabera. Pewien dezterter, schwytany w ucieczce, zeznał, chcąc ująć kary, że uczynił to jedynie na po-

¹ Lehmann t. IV. str. 471.

² Tamże t. IV. str. 432.

³ 5. września 1757 r.

radę kapłana przy spowiedzi. Na pytanie bowiem, czy dezercya jest wielkim grzechem, miał spowiednik odpowiedzieć: „Jest to grzech ciężki, ale Bóg może go przebaczyć“. Według przepisów króla musiał każdy spowiednik przed udzieleniem abszolucyi zwrócić uwagę żołnierza na to, że opuszczenie sztandaru jest ciężkim grzechem. Faulhabera uwięziono; oświadczył on przed sądem, że całe zeznanie żołnierza jest fałszywe, ale wzbraniał się dawać jakiegokolwiek wyjaśnień, bo go wiązała tajemnica spowiedzi. Pierwszy sędzia uwolnił kapłana i uznał niewinnym — a następnie cofnął i żołnierz swoje zeznanie. Ale wkrótce przyszło do ponownego procesu. Żołnierza zmuszono do obstawania przy swoim pierwotnem zeznaniu, a Fryderyk skazał kapłana na powieszenie. Bezpośrednio po odcytaniu wyroku wykonano wyrok śmierci, nie dopuszczając nawet spowiednika. Katolicy uważali księdza Faulhabera, jak Landrat donosił, za męczennika.

Z Fryderykiem rozpoczął się wiek filozoficzny, który się jawił jako jutrzienka nowej epoki, zwiastująca przywrócenie praw człowiekowi przynależnych. „Tolerancja i wolność“, to były pierwsze słowa Fryderyka przy wstąpieniu na tron, ale słowa te bez dźwięku przebrzmiały, nie doczekawszy się ziszczenia. Przy jego śmierci cały kraj był żywym niejako świadectwem jego nietolerancji i wrogiego postępowania z objawioną religią. Sam wprawdzie żadnej religii nie uznawał, ale wiernym pozostał pruskiej tradycji w polityce swojej z Kościołem, stałym w nienawiści wszystkiego co katolickie.

(C. d. n.)

Ks. Augustyn Arndt.



PRZEOBRAŻENIA W TEORYACH EWOLUCYJNYCH.

(Rzecz przeczytana na posiedzeniu wydziału przyrodniczego Tow. Przyjaciół Nauk w Poznaniu¹ z powodu pracy prof. E. Strassburgera²: *Systematyka roślin i najniższe kresy życia* wydanej w „Wszechświecie“).

Jakkolwiekbym nigdy nie myślał mierzyć się z tak znakomitym badaczem natury, jakim jest prof. E. Strassburger, na polu jego specjalnej nauki, śmiem, korzystając z okazji pojawienia się ostatniej jego pracy w „Wszechświecie“ tegorocznym, dotknąć kwestyi, która i w szerszych kołach ogólny budzi interes. Mam nawet do tego pewną osobistą pobudkę.

Przed laty, gdym był jeszcze studentem, miałem miłą sposobność dyskusyi z tym uczonym, który przedstawił mi się wówczas nie tylko jako zapalony zwolennik Darwina, ale i jako gorący obrońca samorodztwa, tj. teoryi powstawania życia jedynie z pomocą sił fizycznych i chemicznych. Zapal młodzieńczy i wymowa powołanego właśnie na profesora botaniki w Jenie rodaka, urok nowej jeszcze podówczas i w całym swej świeżości blasku występującej teoryi Darwina, albo, jak ją Francuzi nazwali, *Transformizmu*, wreszcie fakt, że wtedy kwestya samorodztwa nie była jeszcze ostatecznie doświadczeniem rozstrzygniętą³, dodawały argumentom mego interlokutora siły pociągającej, nie zdołały jednak już

¹ Dnia 20. października b. r.

² Zasługi prof. E. Strassburgera w fizjologii roślin są szczególnie wielkie odnośnie do kwestyi zapłodnienia roślin mianowicie jednopłciowych. Należy on do twórców nowej teoryi dziedziczności. W ostatnim czasie wydał także po polsku: „Krótki przewodnik do zajęć praktycznych z botaniki mikroskopowej w Warszawie“.

³ Toczyła się właśnie wtedy walka między Bastianem i Puchetem z jednej a Pasteurem z drugiej.

wtedy zmienić mego przekonania. Nadzieja, że na podstawie nowej doktryny dojdzie się z czasem do zupełnego wyjaśnienia tajemnicy pierwotnego pochodzenia istot żyjących, a przy pomocy paleontologicznych odkryć, do zbudowania prawdziwego łańcucha ustrojów, do istotnie naturalnej systematyki w zoologii i botanice, była przyszanem się, dla umysłu największą ponętą. Wrażenie z tej rozmowy pozostałe, zachęciło mnie do gruntownego przeczytania świeżej polskiej rozprawy prof. Strassburgera, ogłoszonej w „Wszechświecie“ o systematyce roślin i najniższych kresach życia i do porównania wniosków z niej wysnutych z temi, które wyniosłem z dyskusyi wspomnianej.

Całe królestwo przyrody przedstawiało się wówczas, (mówię słowami prof. Strassburgera) na kształt bogato rozgałęzionego drzewa olbrzymiego, którego pień odziemny, główne konary i gałęzie odpowiadały zaginionym już postaciom ustrojów, gdy tymczasem zielone liście, bujnie około gałązek rozrosłe przedstawiać miały gatunki, jakie się z kolejną czasą wytworzyły i przy życiu pozostały. Jakże je sobie ten sam pierworzędny uczony wyobraża teraz, po tak bogatych plonach naukowych w dziedzinie paleontologii; po odkryciu całego świata dawniej nam nieznanego, fauny głębin morskich i nie mniej tajemniczego a większego jeszcze świata istot najdrobniejszych, tak zwanych bakteryi albo mikrobów, wreszcie po rozstrzygających kwestyę samorodztwa pracach Pasteura?

Z tem pytaniem zabrałem się do czytania wspomnianej rozprawy prof. Strassburgera; a przeczytawszy ją, zadaję sobie drugie: czy w obec zmian w poglądach najnowszych na pierwotne powstanie życia i na „istotę dziedziczności“ systematyka naturalna ustrojów zyskała na jasności, jak sobie to obiecywali transformiści, i na naturalności, jak o tem jeszcze głoszą?

Dodać muszę, że styl tej pracy szanownego profesora jest tak pięknym, a treść tak pełną faktów nader zajmujących i godnych przytoczenia, że recenzent musi być w obawie, czy zdoła w krótszych słowach równie jasno przedstawić rzecz, o którą chodzi. Nie byłbym się jednakowoż nigdy kuśił o streszczenie tej pracy, gdyby w założeniu, z jakiego autor wychodzi, i we wnioskach, do jakich dochodzi, nie były wyrażone poglądy sprzeczne z moimi i zniewalające mię, do wykazania zasadniczego błędu w samem założeniu i do ocenienia wartości wyciągnionych stąd wniosków. Dlatego też

powodu tylko w pierwszej części mej rozprawy zdają ściśle sprawę z pracy prof. Strassburgera, w drugiej zaś dają bardziej ogólny pogląd na przeobrażenia, jakim od dwóch dziesiątków lat uległy teorye transformistyczne.

Autor rozpoczyna swój artykuł od historii rozwoju systemów naturalnych w grupowaniu zwierząt lub roślin i zaznacza, że już Lineusz, choć sam był potężnym orędownikiem zasady niezmienności gatunków, a zarazem i genialnym twórcą sztucznego wprowadzie ale zawsze dydaktyczną wartość przedstawiającego systemu roślin, zestawił pierwszy całe szeregi „naturalnych“ rzędów roślinnych, i jakoby przeczcuciem wiedzion, kładąc nacisk na wyższość metody naturalnej, uznał ją za cel ostateczny, do którego nauka systematyki, czyli systematologia zdążać powinna. Wspominając o pracach Jussieu'ów i Candollé'ów, przełom w tym kierunku stanowiących, oraz o nieznanym mi botaniku szwedzkim Eliaszu Fries, uznaje autor postęp istotny w tem, że dawniejsze nazwy „rząd“ lub „skupienie“ przeobraziły się powoli w nowsze, jak „rodzina“ lub „szczęp“, ale twierdzi, że sprzeczność zasadnicza, z założenia wyradzająca się pomiędzy pojęciem „pokrewieństwa“ z jednej strony, a „niezmienności gatunku“ z drugiej strony, nadała pojęciu pokrewieństwa cechę nieco mistyczną, czysto idealną. Dopiero zachwianie zasady o nieziennej stałości gatunków przez Darwina, obudzić mogło wiarę w to, że podobieństwo ustrojów, ich typowość, opiera się nie na urojonem, idealnem, ale na istotnem pokrewieństwie, na rzeczywistem pochodzeniu różnych gatunków z jednego pnia, i odtąd poczęto kreślić drzewa rodowe, mające być wyrazem domniemanych węzłów pokrewieństwa. O tem jednak pokrewieństwie sądzić było można tylko na mocy podobieństwa zewnętrznych oznak, czyli przez porównanie morfologicznych analogij. Przy czem orzekanie, czy się ma do czynienia z zupełną tożsamością cechy, czy tylko z podobieństwem — orzekanie zależne zawsze od subiektywnej oceny badacza — jest rzeczą bardzo zawodną, niebezpieczną, jak się o tem w codziennem pożyciu przekonać możemy. Podobieństwa uderzające mogą zachodzić nie tylko między członkami jednej rodziny, ale i między ludźmi, wcale nie krewnymi i z innych ras pochodnymi. Tak też i morfologia porównawcza nie tylko analogię, ale i najsubtelniejszą zgodność w budowie tkanek wykazała nieraz u istot, których wcale o powinowactwo nie można posądzać. Prawdę w takich razach wąt-

pliwego spokrewnienia wykazać może tylko historyczne badanie pochodzenia, genealogia.

Takiej właśnie usługi w dziedzinie historii naturalnej spodziewano się po zdobyczach na polu paleontologicznem, gdyż we wnętrzu ziemi ukryte od wieków szczątki wygasłych już ustrojów zwierzęcych i roślinnych, czyż to nie jakby archiwum, w którym skrzętny szperacz odszukać może formy przejściowe pomiędzy dwoma nam znanymi i tym sposobem, niejako autentycznie, stwierdzić wspólną genealogię pojedynczych mniej lub więcej podobnych gatunków? Różowe nadzieje w taką pomoc paleontologii dla teorii ewolucyjnej z początku pokładane, z czasem jednak znikły. Niedostateczność tej pomocy przyznaje otwarcie sam autor, pocieszając się przynajmniej jedynym faktem, przez paleontologię ujawnionym, mianowicie, że zaginione już ustroje są tem prostsze, im pokład ziemi, wśród którego spoczywają, jest dawniejszy. Fakt ten wystarcza mu za dowód powolnej kolei zmian w świecie ustrojów i stopniowego rozwoju jednych form z drugich w ogóle; lecz sam ostrzega, że niepodobna żądać od paleontologii, aby nam zarysować miała poszczególny przebieg rozwoju w naturze, i przyznaje, że ta naturalność, którą ewolucyoniści systemowi przyrodniczemu nadać się starają, jest tylko względna i ograniczona. Istotnie w budowie tego naturalnego systemu uwiadczenia się coraz bardziej szczyrby i przerwy tak znaczne, że do ich zapelnienia i wyrównania ani paleontologiczne studia, ani olbrzymi ciągły postęp w poznawaniu żywych istot nowo odkrytych właściwie nic się nie przyczyniły. I tak, badania nad nieznanymi do niedawna mieszkańcami głębin morskich zapoznały świat uczony niespodzianie z mnóstwem gatunków uważanych przed tem za zaginione, z powodu ich podobieństwa do paleozoicznych okazów; ale przejściowych form, jakich się spodziewano, wcale nie przysporzyły. Autor o wyniku tych badań nie wspomina wcale, może dla tego, że tyczą się głównie świata zwierzęcego. Za to wiele szczegółów podaje o niemniej świeżo poznanych, najdrobniejszych istotach żyjących, którym jednozgodnie już przyznano najważniejszy wpływ w ekonomii całej ziemskiej przyrody, a których obecność wszędzie naokoło nas, w atmosferze, w wodzie i w wierzchnich warstwach ziemi, w ciałach gnijących, a nawet i w żywych organizmach stwierdzono, tj. o bakterjach.

Myśl, że badaniem najdrobniejszych istot dotrze się do naj-

niższych kresów życia na ziemi, do granic życiowości, była oddawna najsilniejszym bodźcem dla naukowych na tem polu odkryć; im jednak dalej na tej drodze postępowały nauki przyrodnicze, tem dalej odsuwała się ostateczna meta, której człowiek bodaj nigdy w badaniach swych nie dosięgnie; tembardziej rozwiewała się nadzieja, że sam będzie mógł obserwować początki życia w najprostszych jego wyrazach na ziemi. Gdy Leeuwenhoek pierwszy raz zastosował mikroskop do badania żyjatek w kropli wody z kałuży lub tp. płynów się znajdujących, sądzono, że tak nazwane „wymoczki“ (*infusoria*) stanowią ostatni stopień życia na ziemi; nie przypuszczano nawet, ażeby się wylegały inaczej jak z martwego materiału. Rozmaitość ich postaci i przejawów życiowych, udowodnienie doświadczeniem, że drogą samorodztwa nie powstają nigdy, zmusiły do przypuszczania i do szukania istot jeszcze drobniejszych i jeszcze pierwotniejszych.

W miarę udoskonalenia się mikroskopu, a zwłaszcza metod przy badaniu z jego pomocą, odkrywano coraz nowe liczne i różnorodne żyjotka, które jako najpierwotniejsze ustroje (*protozoa*) po kolei uważano. Za taką istotę pierwotnej organizacyi uchodziła do niedawna *Amoeba diffluens*¹, nim poznano, że i ona sama, choć w postaci bryłki bezkształtnej, kryje w swem ciełe daleko znaczniejsze niejednolitości, niż to z góry przypuszczać było można. Spostrzeżenia i doświadczenia nad nią czynione, jako nad utworem jednorodnym i bezkształtnym, składającym się jedynie z gołej „zarodzi“ (*protoplasma*), miały zapoznać fizyologów z najogólniejszymi własnościami zasadniczej substancyi żywych ustrojów, tj. materyi ożywionej pierwotnej. To też nie tylko obudziły powszechny interes przyrodników, ale i zyskały rozgłos niesłychany w świecie naukowym.

Już sama klasyfikacya tych istot, które obecnie do „śluzowców“ zaliczamy, była w istocie bardzo trudną. Nie można ich właściwie ani do roślin, ani też do zwierząt policzyć. Nazywano je też raz *Mycetozoa* (grzybozwierzę), to znowu *Myxomycetas* (śluzogrzyby). Ustroje te dosięgają niekiedy rozmiarów takich, że je nawet gołym okiem zobaczyć możemy; badać jednak ich różnych przejawów nie można inaczej, jak pod mikroskopem, bo zwykle

¹ Przedzierzgnięta przez terminologów krakowskich nazwana

w nader małych rozmiarach występują. Zarodniki ich (*spory*) są bardzo drobnych rozmiarów, i mają cechę pojedynczej komórki; a więc zawartość protoplazmową t. zw. „zarodź”, w niej osobne wyraźne jądro, wreszcie błonkę zewnętrzną. Błonka ta pęka, gdy zarodek dostaje się do wody. Zawartość wtedy występuje na zewnątrz goła i, choć podobna jest do bryłki lub kropli, okazuje życie ruchem i zmienianiem swych konturów. Bryłka wydłuża się powoli w gruszkowaty kształt. Cienki jej koniec przedłuża się dalej w rzęsę albo biczek, który jej służy do nader żwawych ruchów, skąd też *plywką* się nazywa. W tej postaci rozmnaża się bryłka przez podział zarodki na części, także pływkami opatrzone; po kilku jednak dniach traci sama pływkę i odtąd porusza się już tylko zwolna, jakby pelzając, skąd nazwa „pelzaka” albo „ameby”. Pelzaki te mogą skupiać się w większe bryły, które nazywamy *Plasmodium*; cała ta masa, gołym okiem nieraz już dostrzegalna, pelza dalej, i to najchętniej ku górze, np. po łodydze roślin lub drzew starych, albo przeciwko prądowi wody i żywi się wchłaniając otoczone przez nią ciała. Co więcej! Takie plasmodium umie wybrać sobie na drzewach miejsce najdogodniejsze pod względem światła, ciepła i wilgoci, dobiera je sobie w ściśle określonym stopniu, podobnie jak i żywność swoją dobiera sobie w ściśle określonym stężeniu. Starzejąc się dopiero wybiera miejsca suchsze, osłonecznione, odkryte, i tam wytwarza swe zarodniki, aby prędzej dojrzały i jak najłatwiej rozszerzyć się mogły. Takie to złożone i różnorodne zjawiska występują już w gołych, bezkształtnych, plasmatycznych tylko masach.

Spostrzeżenia nad najmniejszymi obecnie nam znanymi istotami, nad bakteriami, podobnież zawiodły nadzieje tych, co spodziewali się znaleźć w nich najprostsze istoty żyjące, zbliżające się własnościami swymi do nieorganicznych. Niektóre bakterie pod najsilniejszym mikroskopem ledwo jako punkciki dostrzegalne, „mikrokoki”, o średnicy mniejszej niż dwutysięczna część milimetra, przedstawiają mimo to zjawiska, stosunkowo jeszcze zawilsze i bardziej skomplikowane. Dowiedziona jest rzeczą, że w wyjałowionych zupełnie płynach powstawać nie mogą wcale; że więc mnożą się zawsze wedle gatunku, czy to z zarodników, czy to przez rozszczepienie się, czy przez pączkowanie. Nie podobna zatem przypuszczać, aby charakterystyczne i niezmiennie własności każdego pojedynczego

ich gatunku mogły być nabytemi świeżo. Mogły one być tylko przyswojonemi przez bardzo długi szereg generacyj. Niektóre z nich wprawdzie w rozwoju swym zmieniają kolejno swe kształty, jak z większych zwierząt np. owady, wnętrzniki i meduzy, — ale zawsze w niezmiennym tych odmian porządku. „Formy nieruchome następują po ruchomych i ruchliwych, a przez wytwarzanie szczególnych zarodników trwałych istnienie gatunków zabezpieczonem zostaje na długi szereg niekorzystnych warunków“. Temi słowy wyraża się autor; ponieważ jednak, jako ewolucjonista, nie może wierzyć, aby te drobne istoty od samych zaczątków życia na ziemi „miały przetrwać aż dotąd bez zmiany, gdy inne niezachwianie zdążały do wydoskonalenia i to coraz większego“, przeto musi przypuszczać, że „powstały później i że przedstawiają zakończenie różnych rozwiniętych i rozwijających się jeszcze latorośli, które drogą samorodztwa w różnych okresach czasu powstać musiały“.

Przechodząc do innych przejawów życia bakteryj, wspomina autor mianowicie dwa: ruchliwość, którą jednak nie wszystkie posiadają, i wspólną wszystkim, choć w nierównym stopniu, wrażliwość. Ruchome bakterye zdążają z odległości do miejsc, w których się znajduje odpowiednie dla nich pożywienie. Najwyraźniej okazują to doświadczenia Pfeffera, który pod szkiełko pokrywające wodę z bakteryami zbliżał rurki szklane włoskowe z płynem pożywym. Od rozcieńczenia tego płynu zależało prędsze lub powolniejsze skupianie się bakteryj ku tym rurkom. Zbyt stężony roztwór działał na nie wyraźnie odpychająco; bakterye zbierały się więc z początku w pewnej odległości od ujścia rurki i dopiero w miarę, jak słabło stężenie płynu w rurce, bliżej się podsuwały. Doświadczenia te dowodzą „wielkiej wrażliwości na słabe wpływy zewnętrzne, których działanie ujawnia się odnośnie do żyjatek w szczególny zawsze, a do warunków życia danych bakteryj przystósowany sposób. O szczególnej wrażliwości niektórych zwłaszcza bakteryj względem obecnego w roztworze tlenu będziemy jeszcze mieli w dalszym ciągu sposobność wspominać. Tu tylko zaznaczam, że autor pominął milczeniem w swej pracy trudną kwestyę anaerobiozy, wprowadzoną przez ważne obserwacye Pasteura nad drożdżami. Wyraża się w tej mierze tylko tyle, że jedne bakterye, obdarzone zdolnością ruchu samodzielnego, tracą tę zdolność w braku powie-

trza, drugie zaś mniej są na tlen czułe, i, choć ruchliwe, nie garną się wcale do miejsc w tlen obfitujących.

Nie mniejszą jest różnaitość czynności chemicznych właściwych różnym gatunkom bakteryj, a więc własności rozkładowych w podłożach (czyli płynach), jakie im służą za miejsca plenienia się. Pojedyncze gatunki bakteryj przeobrażają rozmaicie materję służącą im za ośrodek, ale zawsze w pewien określony sposób; produktem więc tej pracy pojedynczych gatunków, którą według skutków nazywamy gnicielem lub fermentacyą, (a która zawsze jest rozkładaniem się organicznych związków) będą w tych samych warunkach te same zmiany chemiczne. Podobnie i dostawszy się do wnętrza istot wyższych żyjących, bakterye pewnego gatunku wywołają zawsze tylko pewne swoiste, czyli specyficzne objawy chorób infekcyjnych. O tych chorobotwórczych bakterjach nie będę tutaj dłużej się rozszerzał, bo i autor tylko o nich napomyka, aby zaraz potem dojść do wniosku: że ustroje tak rozmaicie oddziaływać mogące i w tak różnorodnie przystosowania uposażone, jak bakterye, nie mogą być żadną miarą, w ewolucyjnem pojęciu, ustrojami najprostszego rodzaju. Już sama różnica odporności ich zarodników, w niektórych gatunkach nadzwyczajna, nie dozwala takiego przypuszczenia. Innemi słowy: nawet tych najdrobniejszych istot nie może uznać biolog za ostatnie kresy życia, gdyż i budowa ich musi być zanađto skomplikowaną i funkcyje życiowe są zanađto urozmaicone.

W dalszym ciągu zastanawia się autor nad zdolnością oddziaływania materji żyjącej w ogóle, mianowicie nad jej wrażliwością, lub czułością na wpływy zewnętrzne choćby najslabsze. Wrażliwość tę uważa za „najrdzenniejsze odbicie i streszczenie niewypelnionej dotąd niczem przepaści, oddzielającej ciała żywe od martwych“. Nie znamy istot żywych bez tej czułości fizyologicznej; w niektórych razach jest ona tak bijącą w oczy, że zastanawia nawet ludzi, wcale się nad przyrodą nie zastanawiających. Autor przytacza takich kilka przykładów z botaniki, jak zwijanie się natychmiastowe listków „czulika“ (*Mimosa pudica*) za najlżejszem dotknięciem, — jak wpływ jednej trzymilionowej części milligramu fosforanu ammonii na włoski liściowe „rosiczki“, (*Drosera*) rośliny u nas po łakach torfiastych rosnącej i owadożerczej. Nawet i z fizyologii ludzkiej i toksykologii dobiera przykładów, jak potężnie np. działają na organizm nasz minimalne dawki niektórych lekarstw i trucizny, choć stosunek

ich wagi do wagi naszego ciała przedstawia się znikomym. Zachodzi w tych wypadkach mechaniczne nieustosunkowanie pomiędzy zewnętrzną podniętą a wywiązującemi się w skutek niej dalszemi zjawiskami. Wszystkie jednak powyżej przytoczone przykłady wrażliwości fizyologicznej przewyższać ma, według autora, subtelnością swoją wspomniane już oddziaływanie na tlen niektórych bakteryj ruchomych, a mianowicie „pręcikowatego lasecznika“ nazwanego przez Cohna *Bacterium Termo*¹. Na dowód tej nadzwyczajnej wrażliwości przytacza autor doświadczenie Engelmanna, który bakteryj tych używał jako najpewniejszego odczynnika do wykrycia najmniejszych ilości tlenu rozpuszczonego w wodzie, nie przewyższających podobno trylionowej części miligramu, a więc ilości „zbliżających się, jak mówi autor, do tych niepochwytłych dla zmysłów naszych wielkości, jakie teoretyczna fizyka i chemia ustanawia rachunkiem dla pojedynczych atomów tlenu“².

Autor jednak zasadniczo nie uznaje nieprzebytych przepaści w naturze pomiędzy istnieniem martwych rzeczy a życiem istot organicznych, i jest tego przekonania, że, jak chemia zatarła już przedział pomiędzy związkami organicznymi a nieorganicznymi, tak też wyrównać się może z czasem ów przedział najważniejszy w pojęciu mechanicznem tj. owa, według Sachsa, „rdzenna właściwość“ jestestw ożywionych, czyli wrażliwość ich fizyologiczna na drobne podrażnienia z nieprawidłowym, jak on się wyraża, stosunkiem między podniętą a wyzwolonemi przez nią siłami. Dlatego też autor rozwodzi się z jednej strony nad przykładami równie nagłego wyzwolenia sił prężnych w dziedzinie przyrody nieożywionej: jakimi są wybuch prochu strzelniczego, nagła zmiana krystalizacyi saletry przez zetknię-

¹ Nazwa ta, o czem autor nie wspomina, zarzuconą już została przez bakterjologów, jako zbyt wiele różnych gatunków obejmująca.

² Experiment Engelmanna, podany już w t. II. str. 252 *Wszechświata*, polega na wpuszczeniu do płynu zawierającego te bakterje ziarenek chlorofilowych, czyli zieleni w roślinnych komórkach zawartej; ziarenka te przy dostępie światła, wydzielając z siebie tlen przez rozkład znajdującego się w wodzie dwutlenku węgla, pobudzają natychmiast sąsiednie bakterje do ruchu. Przykrywszy taki preparat szkiełkiem, i obkleiwszy lakiem, trzyma się go z początku w ciemności. Bakterje wtedy, spożywszy zapas tlenu, przestają się ruszać. Promień światła wystarczy, by je do ruchu znowu pobudzić. Engelmann obliczył ilość tlenu, jakie ziarenko chlorofilowe np. z komórki wodorostu wydzielić może na sekundę: a więc ilość potrzebną do wywołania tej pięknej fizyologicznej reakcyi na tlen.

cie jej z kryształem saletry innego kształtu¹ i t. p.; z drugiej zaś strony wypowiada znów swe przekonanie, że najdrobniejsze i najniższe z pomiędzy dziś nam znanych jestestw nie są jeszcze bynajmniej ustrojami najprostszego rodzaju. Trzeba więc, aby być konsekwentnym, przypuszczać istnienie w przeszłości, a może i w teraźniejszości, jestestw nie tylko daleko drobniejszych jeszcze, ale i w budowie i w swych życiowych przejawach daleko prymitywniejszych, a więc zbliżających się coraz bardziej do własności ciał nieożywionych. Tu autor tłumaczy, że takie jestestwa pierwotne musiały a względnie muszą być z konieczności niezmiernie małe, o wiele po za krańcami miar dostrzegalnych obecnymi naszymi metodami badania, ale, że z tego jeszcze wcale nie wynika, aby wraz z udoskonaleniem w budowie organizmu i w czynnościach życiowych miała równomiernie wzrastać wielkość ciała. Owszem wypowiada, że wśród najmniejszych znanych już nam bakteryj są formy z ustrojem bardzo złożonym w porównaniu do wspomnianych wyżej plasmodyj, które, jak już wiemy, dochodzą do względnie wielkich wymiarów, choć składają się tylko z gołej zarodki i dla tego przedstawiają bardzo niski szczebel znanego nam świata żyjących.

Dla pogodzenia hipotezy samorodztwa w przeszłości ze swoimi nowszymi poglądami na transformizm odnośnie do gatunków istniejących, czuł się Naegeli zniewolonym chwycić się hipotezy „probiotów“ czyli przedżyjatek, istot o wymiarach nieskończenie małych, (sic!) któreby musiały przejść długi szereg przemian kształtu i wielkości, zanimby dostały rozmiarów dostrzegalnych nam, przy obecnych naszych przyrządach optycznych. Naegeli obliczył nawet w przybliżeniu ich minimalną wielkość, odmierzając według teraźniejszych teoretycznych poglądów wielkość drobinek najbardziej złożonej materii organicznej, tj. białka. Według tego ob rachunku jedna tysięczna milimetra sześciennego mieściłoby powinna około czterystu milionów drobinek białka! Zaiste, pomiędzy wielko-

¹ Za dotknięciem saletry skryształizowanej w romboedry ścięte kryształkiem tejże samej saletry, formy arragonitowej (w prysmach) mętnieją romboedry natychmiast, rozpadając się w kryształki drobniotkie prysmatyczne. To dotknięcie wystarcza do przejścia z równowagi obojętnej w stan równowagi stałej, której wyrazem jest prysmat formy arragonitowej.

ścią mikromilimetrowej¹ bakteryi a obliczoną przez Naegelego drobinek białkowych objętością zostaje tak ogromny obszar, że jak Strassburger się wyraża, pomieścić się w nim mogą nieskończone prawie szeregi stopniowań. Na to zgoda zupełna! gdyż w liczbach tak co do czasu jak i co do rozmiarów przywykliśmy przyjmować bez skrupułów wszelkie hipotezy. Inna rzecz, gdy chodzi o określenie własności samej materyi tych domniemyanych przedżyjatek, któreby, według przypuszczenia Naegeliego, miały się kiedyś wyłaniać same z materyi nieożywionej. Strassburger twierdzi, że wystarczyłyby im zasadnicze własności chemiczne i fizyczne, jakie materję żyjącą w ogólności charakteryzują. Na taką definicyę jednak trudno nam się zgodzić, bo takich własności ogólnych tylko fizycznych i chemicznych (i morfologicznych także), zawsze i tylko żyjącym istotom przynależących, a obcych minerałom, dotąd nie znamy i nie zdołalibyśmy nawet ich określić. Jest jedna zasadnicza, wszystkim organizmom, póki żyją, wspólna cecha, zupełnie zaś obca wszelkim niezdolnym życia przedmiotom: mianowicie własność nieustannej od urodzenia aż do śmierci przemiany materyi, sił i form, czyli rozwoju według odziedziczonego typu, i odradzania się według tegoż samego typu w potomności. Ale to cecha czysto biologiczna. Według autora „materja istot pierwotnych musiałaby oczywiście posiadać zasadniczo własność odżywiania się i wzrastania, dalej rozpadania się na części, skoro przez taki wzrost przekroczyłaby pewne określone wymiary“; ale przytem musiałaby też mieć „własność powolnego zmieniania się i przeistaczania w ciągu długich okresów czasu tj. własność nabywania coraz nowych, utrwaląc się mogących właściwości, któreby częstkom z podziału powstającym przekazywać się mogły“. Ta ostatnia kategoria własności jest dla autora, jako transformisty, naturalnie koniecznym postulatem. Ale w takim razie powinien on konsekwentnie tej pierwotnej materyi życiowótworczej przypisać także pewne własności psychiczne: nie tylko odczuwanie wrażeń, ale i pewien stopień pamięci, choćby dla wytłumaczenia faktu dziedziczności; albo nawet rozciągnąć pojęcie potencyalnej energii w fizyce i chemii, aż do tego stopnia, ażeby

¹ Mikromilimeter = tysięczna część milimetra. Znamy bakterye jeszcze mniejszej średnicy.

wszelkiej materyi w zasadzie psychiczne własności z góry przynawać.

Nie mniej zadziwiającem i według mnie zupełnie błędnem jest twierdzenie autora, że konieczność samorodztwa wynika bezpośrednio z prawa o zachowaniu siły: „Powątpiewać bowiem, mówi on, o powstaniu istot żywych z martwych, byłoby to zaprzeczać całości i ciągłości stosunków i zjawisk w świecie materyalnym“. Twierdzenie takie logicznie nie da się wcale uzasadnić. Kwestya pierwotnego początku życia na ziemi wchodzi już w dziedzinę zupełnie transcendentalną, nie mniej jak kwestya absolutnego początku materyi i siły w ogóle, i tylko drogą spekulacyi traktować ją można. Jeżeli kto powołując się na prawo nieustanności siły i materyi, uważa za pewnik, że materya i siła nie mogły powstać z niczego, że więc wiecznie istnieć musiały, to tem samem dojść musi do drugiego, zupełnie równorzędnego pewnika: że i życie nigdy nie powstało na ziemi, że i ono żadną syntezą wytworzyć się nie mogło tam, gdzie wprzód życia wcale nie było. Wiara w jakąś archibiozę naturalną czyli samorodztwo jest nielogicznym postulatem na równi z wiarą w *perpetuum mobile*, którą tak długo starano się uzasadnić. Jeżeli już oczywistą jest, że to ostatecznie przypuszczenie sprzeciwia się naszym obecnym pojęciom mechaniki, bo nie zgadza się z prawidłem zachowania siły; to również jasno, że przyjęcie samorodztwa sprzeciwia się naszemu obecnemu pojęciu życia, którego żadną miarą pojąć nie możemy bez urodzenia, bez przodków. Logicznym więc będąc, trzeba dojść do wniosku, że na równi z zasadą nieustanności materyi i siły, istnieje zasada nieustanności życia w przyrodzie, i że dla naszego umysłu równie niedostępną kwestya powstania życia na ziemi, jak powstania materyi i siły w ogóle.

Jeszcze jedną sobie pozwolę zrobić uwagę, którą uczynił już Preyer. Przypuszczenie samorodztwa nie tylko sprzeciwia się wynikom wszelkich naukowych spostrzeżeń dokładnych i doświadczeń dotychczasowych, oraz prawom przyrody w nauce uznanym, ale jest nadto dla naszego umysłu równie nieprawdopodobnem, jak przypuszczenie istoty żyjącej, której życie końca by nie miało; bo ilość faktów, która nas drogą induktywnej generalizacyi doprowadziła do wniosku, że wszystko, co żyje, umierać musi tj. byt swój skończyć, — nie jest większą od liczby faktów, które nas tą samą generalizacją induktywną prowadzą do wniosku, że wszystko, co żyje, musiało

pochodzić z żywego i podobnego mu jestestwa, musiało mieć przodków¹. Aby tej sprzeczności samorodztwa z logiką i doświadczeniem uniknąć, przypuszczali niektórzy uczeni przeniesienie życia na ziemię z dalekich pozaplanetarnych przestrzeni wszechświata, za pomocą najdrobniejszych i najprymitywniejszych żyjątek, które nazywano *Kosmozoami*. Zarodniki ich musiałyby w najniekorzystniejszych warunkach tysiące lub miliony lat wędrować, nimby na ziemi odżyły. Śmiała ta hipoteza jest przecież areynieprawdopodobną, a nadto kwestyi początku życia wcale nie rozstrzyga, tylko ją odracza. Dla tego prawdziwie logiczny myśliciel, jeżeli nie może się pogodzić z dogmatem stworzenia przez Boga, mógłby tylko dość do wniosku, że życie nigdy nie powstało, że zarówno jak pierwotna materya i siła jest wiecznem, a że sama kwestya powstania życia w ogóle jest fałszywie postawioną, bo opiera się na przypuszczeniu, że przed zjawieniem się istot żyjących tylko martwa, anorganiczna przyroda istniała. Oczywiście, że i ta hipoteza ani prawdopodobną, ani pojętną być nie może, bo choćbyśmy istnienie życia przypuścić jeszcze mogli w najstarszych geologicznych okresach, w tych nawet, które żadnego nam śladu życia nie pozostawiły, to już trudniej je pojąć po za początkiem tych okresów, zanim ziemia się wyłoniła z pierwotnej mgławicy, zanim słońce się ukształtowało z pierwotnej materii prothylu², gdy wszystko jeszcze, według Crookesa, znajdowało się w ultragazowym stanie i w temperaturze tak wysokiej, że nawet atomy chemiczne, znajdując się powyżej punktu swej dysocyi, powstać jeszcze nie mogły.

Nasz autor tych wszystkich hipotez, do których się ewolucyoniści czuli zniewolonými uciec, gdy się wiara w samorodztwo zachwiała, nie przytacza nawet. Dla niego samorodztwo, jako nieunikniony teoretycznie postulat jest dogmatem, i nasuwa mu się tylko pytanie, czy ono było jednorazowem (*monogenesis*), czy też wielokrotnie w biegu wieków, a może i dziś jeszcze powtarzać się mogło (*polygenesis*); a to ostatnie przypuszczenie żadnej oczywiście trudności dla niego nie przedstawia. Wszak niedawno jeszcze inny uczony z jenańskiego uniwersytetu głosił, że w głębinach mórz zna-

¹ Preyer. Allgemeine Physiologie. Leipzig 1883.

² Prothyl (od $\theta\lambda\eta$ = materya) tj. pierwotna materya.

lażł, w galaretowatej masie, na samem dnie się osadzającej, taką samorodną ożywioną substancję, której dał zaraz grecką nazwę *Bathybios*, — nazwę niestety bardzo efemeryczną. Tak i autor nasz przypuszcza, iż może ustroje różnego wydoskonalenia, obecnie zamieszkujące kulę ziemską, nie pochodzą z jednorazowego w nieskończonej prawie odległości czasów wydarzanego samorodztwa, lecz raczej „są wyrazami różnych szeregów, których początek sięga różnych, bardzo odległych od siebie epok“; nawet pozwala sobie uwagę, iż w ten sposób fakt, że obecnie, obok ustrojów wysoko organizowanych, istnieją jeszcze ustroje bardzo proste, staje się dla umysłu naszego o wiele zrozumialszym. Wychodząc z tego przypuszczenia, przypisywać gotów autor podobieństwa, jakie zachodzą między zarodkowymi stanami ustrojów wyższych, a dorosłemi istotami niższego rzędu, nie już ich powinowactwu, ale jednostajnym ogólnym własnościom materii ożywionej, z której w różnych czasach powstać miały. Nawet co do bakterij, tych niedawno odkrytych i najdrobniejszych, jakie dotąd znamy, istot, przypuszcza — autor — znający rozliczność ich form i czynności biologicznych, że nie są wszystkie współrzednymi, pokrewnymi między sobą ustrojami, lecz są raczej ogniwami różnych szeregów. Sam mówi, że „mogą one być wierzchołkowymi różnych szeregów świeżego pochodzenia wyrazami, mogą też być uwstecznonymi z istot wyższych ustrojami“, jakoby gałązki rodowego drzewa ku dołowi¹ zwieszone i spadające niżej poziomu, z którego gałąź cała z pnia lub konaru wyrzeliła. „Cały obraz ożywionej przyrody według tego poglądu przedstawiać się musi wyobraźni badacza pod postacią, nie już olbrzymiego jednego drzewa rodowego, albo choćby drzew kilku, „ale chyba całego lasu pełnego drzew nierównych wiekiem, wzrostem i kształtem, z których najstarsze i najgrubsze pnie odpowiadają rozwojowi gatunków, aż do najdawniejszych okresów życia sięgających, młodsze zaś drzewka i zarośla rodzajom świeższego pochodzenia; a nie brak w tym lesie i pniów obalonych i zmurszałych starodrzewia, wyobrażających wygasłe już gromady ustrojów“.

Obraz to poligenezy transformistycznej bardzo zaiste malowniczy,

¹ Takie uwstecznienie przypuszcza autor u bakterij spokrewnionych z wodorostami, ale nie posiadających właściwej tymże zieleni chlorofilowej.

mogący zapewnić odpowiadać wyobraźni i potrzebie wytłumaczenia sobie początków życia, jaką niektórych badaczy przyrody i myślicieli trawi; ale pytanie, czy może on przynieść istotną korzyść, jeżeli nam chodzi o najlepszą, najzrozumialszą, najprostszą systematykę roślin? Czyż zamiast ułatwiać pogląd na żyjącą naturę badaczowi pragnącemu w najdogodniejszy sposób ugrupować w umyśle rośliny lub zwierzęta, nie piętrzy on raczej tylko przed nim nowych trudności, na których pokonanie nie starczyłoby ludzkości lat milionów? Cokolwiekby jeszcze odkryto w dziedzinie przyrody, zawsze przecież ugrupowanie wedle rodzajów i gatunków będzie z natury rzeczy sztucznem i względnem, jak każda klasyfikacya. Pod względem więc dydaktycznym przynajmniej wyższość musimy przyznać metodzie ugrupowania wedle typów, na zasadzie pewnych morfologicznych i fizjologicznych analogij byle łatwo przystępnej i zrozumiałej, choć wolnej od pretensyi dochodzenia autentyczności rzeczywistego ustrojów pokrewieństwa. Jeżeli transformizm w swym dalszym rozwoju, zamiast upraszczać i rozjaśniać naturalną systematykę, tylko przyczyniać się ma do jej komplikowania, to przez to samo traci dla niej znaczenie i staje się zbytecznym. A jednak urok i wpływ, jaki ta teoria na umysły wywarła od samego jej ogłoszenia przez Lamarckę, a zwłaszcza przez Darwina, gdy jeszcze powszechnie trwano przy poglądach teleologicznych, zawdzięcza ona bodaj czy nie najwięcej nadziei, jaką dawała, doprowadzenia w krótkim czasie do jaśniejszego, bo naturalnego ugrupowania wszystkich na ziemi ustrojów.

Obecnie zwolennicy tej teorii na wielu punktach już rejterują, zawiedzeni w nadziejach i zapowiedziach swoich. Gdy Pasteurowskie doświadczenia zadały cios stanowczy koniecznemu jej postulatowi tj. faktowi samorodztwa w teraźniejszości, cofają się z nim, aby ocalić filozoficzną swoją dedukcyę, w odległe czasy, których warunki fizyczne wcale nam nie są znane. Cofają się też twierdząc, że nie wszystko da się wytłumaczyć postępowym rozwojem z jednego pnia, ale że pojedyncze gatunki nawet tak prymitywnych i tak podobnych do siebie istot, jak bakterye, rozwinać się mogły z nieograniczonej liczby pni rodowych. Wystawmy sobie tylko, że ilość tych pni była prawie tak wielką, jak obecna ilość gatunków, a przypuszczenie to przedstawi się nam jako zupełny prawie powrót do

fundamentalnej zasady dawnych naturalistów tj. do zasady stałości obecnie istniejących gatunków. A jednak od zaprzeczenia tej zasady rozpoczął Darwin całą walkę dla swej teorii!

Tenże sam uczony głosił nadto, że tylko te istoty utrzymać i rozmnażać się mogą, które w walce o byt są dzielniejsze i bardziej odpowiadają istniejącym warunkom, — a wybór w ten sposób przez naturę powoli przeprowadzany nazwał „naturalną selekcją“. Obecnie selekcja naturalna jako czynnik ewolucyjny, tak samo jak i monogeneza, wcale nie wystarcza¹; sam Strassburger, jak widzieliśmy, przypuszcza także uwstecznianie ustrojów przez usuwanie pojedynczych organów lub wsteczne kształtowanie się takowych. Twórca tej nowej teorii dziedziczności *Weissmann*, przypuszcza dla wytłumaczenia tych uwstecznień panmixyę, czyli krzyżowanie się bez doboru. Takich czynników ewolucyjnych przybędzie nam z czasem może jeszcze więcej w skutek nowych hipotez. Łatać one mogą szczyby w systemie jestestw organicznych, przyznawane zresztą przez najgorętszych Darwinistów; ale przez to sama teoria Darwina na doniosłości nie zyskuje, tylko traci. Cóż bowiem ujawnia ta konieczność przypuszczenia uwstecznień w rozwoju, jeżeli nie pewną celowość w przyrodzie? Skoro jednak w zasadzie zgodzimy się na celowość, to już pojęcie rozwoju — postępowego czy wstecznego mniejsza o to — traci charakter, jaki mu nadać chcieli ci, co z góry odrzucali celowość. W takim razie ewolucja może być tylko środkiem do celu, ale nie zasadą. Odmówienie z góry celowości przyrodzie jest ostatecznie najsłabszą stroną teorii Darwinowskiej i wszystkich systemów naturalnych na niej opartych.

Zdawszy sprawę z pracy prof. Strassburgera, którego naukową powagę uznaję a formę piękną i malowniczą podziwiam, nie mogę pominąć milczeniem uwagi, nasuwającej się przy tym pobieżnym poglądzie na historję dwóch teoryj, na których autor się opiera, a których nie tak dawno jeszcze użyć się starano za tarany przeciwko Bogu, jako początku wszystkiego.

¹ Naegeli nawet dobór naturalny jako czynnik ewolucyjny poprostu odrzuca.

Były czasy, w których wszyscy uczeni, nawet ludzie wierzący, uważali samorodztwo za pewnik dowiedziony, i tem tłumaczyli powstawanie rozmaitego robactwa, wnętrzników i t. p. Mimo postawionego już przez Harveya aksjomatu przeciwnego: *omne vivum ex ovo (vel e vivo)*, mikroskop był przez długi czas tylko bronią, w ręku heterogenistów. Były czasy jeszcze niedawne, kiedy chemia nawet szła ręką w rękę z teorią samorodztwa, aż kwestya ta zredukowała się za dni naszych do wpływu atmosfery i oczyszczenia powietrza. Dla wyjaśnienia tego zagadnienia podjęto staranne zbadanie osłoniętych do tego czasu tajemnicą zarodkowych pyłków w powietrzu, któreby inaczej, jak się pięknie wyraża J. Natanson¹, teraz jeszcze pozostały pokryte pyłem tajemnicy. Badaniom tym zawdzięczamy nową zupełnie naukę, bakteryologię, zawdzięczamy też największe nowoczesne zdobycze w technologii, w higienie i terapii. Obecnie kwestya samorodztwa, pozbawiona już praktycznego znaczenia, może mieć, jak to wykazaliśmy, tylko teoretyczne znaczenie dla tych, co nie zważają na wszystkie induktywne dowody przeciwko niej, potrzebują tej dedukcyi filozoficznej dla wytłumaczenia pierwotnego powstania życia w przeszłości. Jaką wartość mają te ich filozoficzne dowody, staraliśmy się to powyżej okazać.

Pogląd na krótką dotychczasową historję teoryi Darwina pod niejednym względem podobny przedstawia obraz. Myśl przez tego uczzonego rzucona podziałała jako ferment potężny ku posunięciu naprzód badań i wiadomości w kierunkach dotąd zupełnie zaniedbanych. Teorya jego rzuciła nowe światło na wszystkie działy biologii i wpłynęła nawet na zmianę wyobrażeń w dziedzinach od biologii niezależnych, nie tylko w całej geologii, mineralogii, ale i w chemii nawet, dając pochop do teoryi ewolucyjnej elementów chemicznych. Walka o tę kwestyę w botanice, w zoologii, w antropologii wszczęta, przynosi jako plon materiał naukowy, z niesłychaną szybkością się gromadzący, z którego korzyści na różne gałęzie i zastosowania nauki wciąż spływają. Powoli jednak teoretyczne poglądy zwolenników Darwina, Wallaca i Haeckla ule-

¹ Świat istot najdrobniejszych. Warszawa 1885.

gają zmianom, bo nie wystarczają: nie wystarcza najsamprzód zasada naturalnej selekcji, ani zasada monogenezy; upada coraz bardziej ufność w samorodztwo, tę główną podstawę transformizmu; zawodzi także nadzieja pokładana w pomoc studyów paleontologicznych, badań fauny dna morskiego i odkrycia świata istot najdrobniejszych; a najmniej spełnia się może obietnica klasyfikacji zupełnie naturalnej, jasnej i prawdziwej. Stąd urok pierwotny nowej teorii błednieje i zapal pierwotny stygnie. Przyjaciele jej nawet otwarci z pomiędzy uczonych¹, jakkolwiek korzystali z niej obficie, nie chcą się do jej zwolenników przyznać, bo nie tylko nie znajdują dla niej dostatecznych dowodów, ale i z doświadczenia znają przemijającą wartość najbardziej w swoim czasie niezbędnych i niby wszystko wyjaśniających hipotez. Ale natomiast gdzież znajdziemy najkonsekwentniejszych jej zwolenników? W tych warstwach, w których jej twórcy najmniej zapewne myśleli i pragnęli swe poglądy szerzyć, i gdzie ich spopularyzowana nauka staje się hasłem do przeprowadzenia najprzewrotniejszych pod względem moralnym i społecznym zasad.

Ten los ludzkich teoryj najświetniejszych i najskwapliwiej rozszerzanych, może być dla nas wielką nauką. Przypomina nam pierwsze przykazanie: *Nie będziesz miał bogów cudzych przedemną.*

Dr. Fr. Chłapowski.

¹ Np. Virchow.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Sprawy wojenne króla Stefana Batorego. Dyaryusze, relacye, listy i akta z lat 1576 — 1586. Zebrał i wydał *ks. Ignacy Polkowski*. Kraków. Nakładem Akademii Umiejęt. 1887.

Pomiędzy publikacjami, które się ukazały w roku bieżącym w celu uczczenia 300-letniej rocznicy śmierci króla Stefana, jest tylko jedno wydawnictwo źródłowe *ks. Polkowskiego*, spóźnione wprawdzie o parę miesięcy, ale obejmujące 431 stronnic ścisłego druku, oprócz obszernej (XXXI. stron.) przedmowy na początku. Nie wdając się w genezę tej publikacyi, bo nas wydawca w tem wyręczył, przechodzimy wprost do jej rozbiornu. I tu na wstępie musimy wyrazić żal nasz z powodu wyboru materyału. „Sprawy wojenne“ zawierają akta rozmaitej treści z całego panowania króla Stefana: dyaryusze, akta, listy, artykuły wojenne, słowem mozaikę historyczną, z której dopiero ważniejsze dokumenta czytelnik sam wysortować sobie może. Szkoda, że wydawca, który posiada zbiór znaczny aktów odnoszących się do panowania króla Stefana, nie obdarzył nas publikacją więcej jednolitą, a tem samem pożyteczniejszą. W czasach kiedy np. Malinowski i Przeździecki puszczali w świat swoje *Zróżdła*, wystarczała wiązka luźnych dokumentów, aby szczupłe kółko uczonych polskich zadowolnić. Dziś, odkąd za granicą powstały monumentalne wydawnictwa aktów historycznych, odkąd u nas w kraju Akademia Umiej. z jednej, a grono uczonych warszawskich z drugiej strony zabrało się do systematycznej pracy nad publikacją rękopiśmiennych materyałów dziejowych, nie uwa-

zamy za rzecz odpowiednią budzić ze snu wspomnienia anarchicznej cokolwiek, acz uznania godnej przeszłości naukowej. Stało się jednakże, a gdy i w tem, co ks. P. nam podaje, jest wiele rzeczy cennych i godnych uwagi, więc przyjmujemy książkę z wdzięcznością dla nieznanego jej inicjatora i z uznaniem dla wydawcy, który skarbami swoimi z szerszą publicznością wspomniałomyślnie się podzielił.

Za tem jednak nie idzie, ażebyśmy się z góry godzić mieli na sposób, w jaki materyał opracowano i światu naukowemu do użytku podano. Publikacya ks. P. ma pod tym względem ważne usterki, które po porządku traktować będziemy.

Otóż co do przedmowy, nawiasem powiedziawszy, zanadto może obszernej, uderza rzecz jedna tj. niedokładne i niejasne opisanie manuskryptów, z których wydawca czerpał swoje materyały. Pojmujemy dobrze, że tam, gdzie rękopisy skatalogowano, opisanie ich nie jest potrzebne, ale wypadki takie są rzadkie i dotyczyć mogą tylko manuskryptów biblioteki Jagiellońskiej, dla których istnieje repertoryum w dokładnej publikacyi dra. Wisłockiego. O innych pracach tego rodzaju, jako nieskończonych jeszcze lub nieodznaczających się ścisłością naukową, nie wspominamy. Wydawca poszedł inną drogą. Mówiąc o manuskryptach bibl. Kórnickiej podał z nich tylko te materyały, które w niniejszej publikacyi miejsce znalazły, pominął zaś inne, niemniej może ciekawe, chociaż właściwie do innej odnoszące się epoki. Co gorsza, znalazłszy w Ms. bibl. dzikowskiej XXIV. A. 23. i w rkp. Jagiell. nr. 3705 dyaryusz sejmu warszawskiego z r. 1581, a więc akt najważniejszy swojej publikacyi, nie wyjaśnia wcale, jaki stosunek między tymi dwoma rękopisami zachodzi, chociaż zdaje się, że oba te odpisy muszą być równobrzmiące, kiedy ks. P. do kolacyonowania kopii dzikowskiej mógł używać kodeksu bibl. Jagiell. (XII). Dla niewtajemniczonego w tę sprawę dziwnem wydać się musi, że w Ms. dzikowskim akta owego sejmu zajmują kart 80, w rkp. bibl. Jagiell. tylko 39 (por. uw. na str. 285). Wydawca byłby, naszym zdaniem, lepiej postąpił, gdyby w krótkich słowach wyjaśnił stosunek obu rękopisów jakoteż związek ich z kodeksem petersburskim. Natomiast można było wygodnie opuścić streszczenie publikacyi, zamieszczone od str. XXI. — XXXI., bo dla fachowego historyka jest ono nie-

potrzebnem, skoro na końcu książki ma spis aktów, a nieobznajomionemu z tokiem wypadków nie wiele pomoże.

Materyał, zawarty w książce ks. P., jest, jak już wspomniano, rozmaity. Najważniejszym naturalnie jest dyaryusz sejmowy, dalej korespondencya ks. Piotrowskiego z marszałkiem w. kor. Andrzejem Opalińskim, relacya Allemaniego z poselstwa do Szwecyi a w końcu i owe listy oligarchów litewskich na początku umieszczone. Obok tego jednakże znajdują się także rzeczy mniej ważne i mniej potrzebne. Do takich należą np. czysto formalne listy: króla Stefana do cara (nr. XXVII), panów polskich do bojarów moskiewskich (nr. XXIX), sultana Murada do króla (nr. XXXI), a w końcu listy kniazia moskiewskiego (nr. CXXIII. i CXXIV), wydrukowane już u Theinera (*annales eccles.*) po łacinie, i artykuły wojenne hetmana Tarnowskiego (p. 240 — 256), które pod względem treści mało się różnią od książeczki, ogłoszonej w zbiorze Tarnowskiego pod tytułem: O obronie koronnej i o sprawie i powinności urzędników wojennych Jego Mci P. Jana Tarnowskiego etc.

Opuściwszy te dokumenta, wykreśliwszy nadto wszystkie nagłówki listów, tak często się powtarzające, można było zyskać wiele miejsca na ogłoszenie ważniejszych materyałów, które niewątpliwie zbiór ks. P. zawiera.

Przystępując nareszcie do sposobu wydania, musimy się powołać na trzy kardynalne zasady, o których przy publikacyi źródeł historycznych pamiętać należy. Jest to najpierw czystość tekstu, powtórne objaśnienia odpowiednie, po trzecie jednostajność pisowni.

Ks. P. nie przestrzegał tych zasad z całą ścisłością. Co do czystości tekstu, to, jakkolwiek nie mogliśmy kontrolować wydawcy na każdym kroku, zdaje nam się, że w wydaniu ks. P. są nie małe usterki, wynikające bądź to z niedokładnego kopiowania rękopisów, bądź też z niezbyt starannej korekty. Najfatalniej przytem stosowano interpunkcyę, której, jak wiadomo, w manuskryptach nie ma, a która do zrozumienia lub zaciemnienia tekstu w wysokim stopniu się przyczynia. Ażeby szanownemu czytelnikowi dać o tem wyobrażenie i stwierdzić nasze zarzuty dowodem, przytoczymy kilka bardziej rażących przykładów.

I tak na str. 14 czytamy: „Prusacy wszyscy do ślachty polskiej przystępują, którzy teraz mieli sejmik w Prusiech. Wojewo-

dzie Chełmińskiemu, dobrze nałajali, tak mi dają sprawę Gdańsk, Elbląg, Toruń coś pomyślawą“.

Poprawnie powinien ten ustęp brzmieć: „Wojewodzie Chełmińskiemu dobrze nałajali, tak mi dają sprawę: Gdańsk, Elbląg, Toruń coś pomyślawą“.

Na str. 16 zam. *ad 9 Aprilis mensis primi* powinno być *ad 9 Aprilis, mensis proximi*.

Na str. 20 zam.: *tak w województwie naszym* powinno być oczywiście *w sieroctwie naszym*, bo za grzechy Bóg województwem nie karze.

Na str. 23 zam. *wieczne, wierne*.

Na str. 50 zam. ...ja też sługa Wmci nie jeno na ten czas, ale i zawsze, kiedymkolwiek jaką okazyą miał, nie zaniechałem we wszystkim i w tem co się w Knyszynie działo u J. K. Mci. Co w czem należy okazać...

powinno być: ja co w czem należy okazać i t. d.

Na str. 51 zdanie: A co się dotyczy (sic) *wina*... jest niezrozumiałe, bo zamiast *wina* musiało być inne słowo w rękop.

Na str. 144: „Pacholę Wm. Broniewski przy upominkach do Ordy pospołu z Czauszem wyjechał“. Tu *pacholę* należy do poprzedniego zdania, bo Broniewski był nie pacholęciem u marszałka, lecz posłem królewskim do Tatarów.

Podobnie błędna interpunkcja znajduje się na str. 17, 18, 32, 66, 134, 179, 194, 200, 385.

Na pisownią nie zwracał wydawca szczególnej uwagi. Na str. 16 czytamy np. *zieżdzie przyszedłem w Grodnie obok wszystkiej ziemi złożonym* (zjeżdzie); *Prowincje* obok *iakiej*.

Nr. IX. jest także drukowany mieszaną ortografią; w jednym miejscu używa wydawca *j*, w innych zatrzymuje archaistyczne *i*; gdzieniegdzie drukuje *z* to znów *s*; np. *s tamtej strony, niebezpieczeństwa*.

Słowo *tyczy, dotyczy* brzmi u ks. P. prawie zawsze *tycze, dotyczy*.

Najniefortunniej jednak wypadły dopiski i objaśnienia. Nie jesteśmy wprawdzie zwolennikami obszernych uwag i odsyłaczy, bo sądzimy, że fachowy historyk sam sobie radę dać potrafi, w każdym atoli razie jest rzeczą pożądaną i potrzebną, aby wydawca

objaśnił to, co objaśnienia potrzebuje a przynajmniej, aby uwagami swojemi czytelnika w błąd nie wprowadzał. Ks. P. postąpił sobie inaczej: umieścił bowiem mniej ważne objaśnienia, ważniejsze opuścił, a w dodatku często sam się pomylił. Nie powiada nam np. co znaczy *Hreska* (na str. 4 i 8), kto był stolnikiem litewskim (str. 17), gdzie leżą *Czaple* (str. 22), *Sulejnik* (str. 34), kto to jest *pan Wojnicki* (str. 37), *Dłuski z Iwanem* (str. 126), ten, „co we Żni nie siedzi“ (str. 138) i t. d., a za to co chwila wyjaśnia, że arcybiskupem gnieźnieńskim był Uchański (str. 2, 16, 36), że Piotr Zborowski był wojewodą krakowskim (str. 35, 38, 67, 126, 129); kasztelana trockiego nazywa nawet po imieniu w uwagach na trzech po sobie następujących stronicach (191, 192 i 193).

Gdzieindziej znowu są wyjaśnienia mylne zupełnie; tak np. na str. 2 zamiast *Lachowa* powinno być *Lachowicze* w woj. nowogr. Na str. 4 nazywa *Lasockiego* starostą *wołyńskim*, kiedy był starostą sochaczowskim, a starostwa wołyńskiego wcale nie było. *Nowe* (na str. 38) nie jest *Nowem miastem*, lecz dawniejszem krzyżackim *Nauenburgiem* nad Wisłą. Miasto powiat. *Świec* leżało w wojew. pomorskim, a nie w ziemi Chełmińskiej (str. 129). Starostą kamienieckim, do którego wojew. moldawski pisze (str. 150), nie mógł być Hornostaj wojewoda brzesko-litewski, bo jego starostwo *kamienieckie* leżało na Litwie, w okolicach Brześcia lit., gdzie Kamieniec litewski, a w liście jest widocznie mowa o staroście w Kamieńcu podolskim. Kasztelanem nakielskim był nie *Stefan Grodziński* (str. 293) lecz *Stefan Grudziński*.

Rzeczowe wyjaśnienia są także nietrafne. Na str. 99 pisze Zamoyski do marszałka w. kor. Opalińskiego, który podtenczas bawił w Wielkopolsce, „aby się o posła moskiewskiego starał“. Wydawca tłumaczy to w dopisku tak: poseł moskiewski wracając z Wiednia jechał przez Szląsk, Marchią brandenburską i Pomoranią do Szczecina, aby się stamtąd morzem dostać do Moskwy, więc Zamoyski prosi Opalińskiego, *aby o wygodach tego posła w drodze pamiętał!* Ks. P. zapomniał widocznie pisząc ostatnie słowa, że poseł podróżujący przez Szląsk, Brandenburgią i Pomorze, o granice polskie nawet się nie otarł, że więc marszałek przyjmować go nie mógł. Królowi chodziło o to, aby posła tego schwytać, wszak 17 maja, a więc o kilka stron dalej, upomina Zamoyski Opaliń-

skiego raz jeszcze: „Na moskiewskiego posła przecie pilne oko miej Wm“. (str. 104).

Na innem miejscu (str. 314 i 318) streszcza wydawca w uwadze po polsku łacińską mowę króla Stefana w ten sposób jednak, że niemal dosłownie ją tłumaczy. Tłumaczenie to wypadło także niefortunnie.

I tak król przemawiając do senatorów odzywa się między innymi w te słowa:

Deus est mihi testis, quod si in necessitatibus Rei Publicae deesse nolent (posłowie i senatorowie), *non solum de Moschovia sed de toto septentrione subigendo cogitarem.*

Król ma tu naturalnie na myśli uchwalenie poborów, a w takim razie tj. jeżeli będzie miał poparcie należyte, gotów jest całą północ podbić. Ks. P. tłumaczy to w następujący sposób: „Bóg mi świadkiem, że gdyby tego dobro Rzpltej wymagało, nie o za wojowaniu Moskwy tylko, ale o północy całej pomyślałbym“.

O kilka wierszy niżej kończy król mowę swoją tak: *Suadeo igitur, ut Dominationes Vestrae cum D. Nunciis me absente colloquantur illisque omnibus modis persuadeant, ut in hac necessitate Reipublicae emolumento et suo honori consulant.*

W streszczeniu, a raczej tłumaczeniu wygląda to zupełnie inaczej: „Radzę więc Wam Panowie Posłowie, byście w nieobecności mej namyślili się i naradzili, jak wyjść z tej sprawy z honorem dla siebie, z pożytkiem dla Rzeczypospolitej.“

Takie są ważniejsze usterki w „sprawach wojennych, a przyznać musimy, że rażą one niepospolicie każdego historyka, i utrudniają korzystanie z ciekawych zresztą materyałów, jakie publikacya Ks. P. zawiera. Nie chodzi nam tyle o pomyłki w objaśnieniach, bo je sobie każdy sam od biedy sprostować potrafi, ale o interpunkcyę. Kto kiedykolwiek miał sposobność zajmować się rękopismami XVI. i XVII. w. ten wie, z jakim mozolem nieraz trzeba wydobywać myśl z zdania pogwałconego, gdzie przecinków i średników nie ma, a zaledwie gdzieś na końcu kropka się znajduje i to w miejscu nie zawsze właściwem. Odcyfrowanie i zrozumienie tych hieroglifów, to najcięższe, ale też i najważniejsze zadanie wydawcy. Że Ks. P. tego nie uczynił, to poczytujemy mu za błąd kardynalny i życzymy, aby na przyszłość go unikał. Inne

dałyby się poprawić w eratach, których nadaremnie w książce Ks. P. szukaliśmy.

August Sokołowski.

Kronika Uniwersytetu Jagiellońskiego od roku 1864 do r. 1887 i obraz jego stanu, wraz z rzeczą o rektorach od czasów najdawniejszych. Wydanie senatu akademickiego na pamiątkę otwarcia Collegium Novum. Kraków 1887.

Pierwszy, a przez długi czas jedyny w Polsce przybytek wiedzy i światła, czcigodna *Alma Mater Jagiellonica*, przebywszy zmienne koleje dziejów i losów, chwały i upadku, ukazuje się znowu ku radości całego narodu w niebywałym blasku, bo dawnej i nowej świetności. Dzięki pieczy i hojności Naj. Pana, i poparciu usilnemu dawnego jej rektora a dziś ministra skarbu, a w skutek licznych zabiegów rządzącego senatu, obok budynków dawnych, obecnie zupełnie niewystarczających, stanął gmach nowy a wspaniały, którego uroczyste otwarcie nastąpiło w lecie bieżącego roku. Akt ten doniosły postanowił senat akademicki upamiętnić, wydając 23-letnie swe dzieje tj. od r. 1864. Kronika ta ma być niejako rekompensatą ze strony akademii, której w r. 1864, zbiegami smutnych okoliczności nie było danem uświęcić pamiątki 500-letniego jej powstania, a oraz ma być ona nawiązaniem przerwanej przez ciąg onych lat tradycji, odczytywania kroniki rocznej przy każdej nowej inauguracji.

Na wstępie dzieła dedykowanego JE. ministrowi p. Dunajewskiemu, skrócone są pokrótce dzieje akademii od jej założenia. Po świetnym a niedługim początku w XV. wieku, zaczyna się ona chylić ku upadkowi w następnych stuleciach. Do życia budzi ją na chwilę reforma kolłatajowska, ale chwalebne usiłowania tamuje bieg wypadków narodowych. Z przejściem Krakowa pod rządy austriackie zaczyna się smutna doba germanizacji uniwersytetu, czego naturalnem następstwem zupełny zastój, który trwa aż do r. 1861. Z przywróceniem języka ojczystego w wykładach, zrazu częściowo, a zupełnie w r. 1870, dźwiga się i podnosi uniwersytet z każdym rokiem pod względem sił profesorskich, zasobów naukowych i frekwencji uczniów.

Skonstatowawszy stan akademii w r. 1864, kronika ogólna zaznajamia nas z ważniejszymi wypadkami w biegu 23 lat, mającymi znaczenie dla całego uniwersytetu, jakimi były pozyskanie lub ustąpienie znakomitszych profesorów, utworzenie nowych katedr, rozszerzenie zakładów jego naukowych, organizacja wewnętrzna i t. d. W tym to także czasie witał on w swych progach dostojnych gości, jak w r. 1873 J. W. Arcyks. Ludwika, a w r. 1880 samego Najdostojniejszego Władcę. Zaznaczony nadto udział w narodowych uroczystościach, w których uniwersytet brał udział gremialnie z profesorami na czele w strojach uniwersyteckich. Wspominając ubytek profesorów czy to w skutek śmierci, czy innych okoliczności, podaje kronika krótki bieg ich życia i prace. Do nieboszczyków zastosowana w całej pełni zasada *de mortuis nihil aut bene*, dodatni wpływ ich podniesiony, z pominięciem całkowitem ich stron ujemnych, lub nader ogólną o nich wzmianką.

Następne ustępy mieszczą w sobie dzieje szczegółowe każdego wydziału, i stan jego obecny. Tu znajdujemy dokładny rys zakładów do pojedynczych

wydziałów należących, tudzież spis profesorów funkcyonujących z wymienieniem ich prac naukowych drukiem ogłoszonych. Z tego się najlepiej przekonać można o postępie i rozwoju akademii. Liczny szereg dzieł i rozpraw, z których wiele w kraju i za granicą wielkie znalazły uznanie, wskazuje, że na czele młodzieży stoją ludzie szerokiej wiedzy i wytrwałej pracy. I jeśli dziś jeszcze *Alma Mater* nie rości sobie prawa by mogła rywalizować z pierwszorzędnymi akademiami zagranicy, to jednak posiada niejedną wyborową siłę, któraby chlubę przynosiła każdej, choćby najświetniejszej instytucji naukowej.

Po zdaniu sprawy z pomocniczych zakładów, fundacyj stypendyalnych, statystyce i stowarzyszeniach słuchaczy akademickich, zamyka książkę artykuł pióra p. Karbowiaka o rektorach Uniwersytetu Jagiellońskiego, pełen ciekawych szczegółów o ich urzędzie, insygniach i stroju, a zakończony spisem rektorów od założenia akademii.

Z.

Żywoć dwudziestu trzech ŚŚ. Męczenników Japońskich z Zakonu Braci Mniejszych św. Franciszka, O. Prokop Kapucyn. Warszawa 1887 u Niemery. Str. 131.

Nadzwyczaj płodny i zasłużony na polu ascetyki, autor i tłumacz, czcigodny O. Prokop obdarza nas nową książeczką. Odnacza się ona tem szczególnie, że podnosi zasługi Tereyarzy św. Franciszka. Zakon to z jednej strony tak bardzo przez dzisiejszego Papieża Leona XIII. podnoszony, a z drugiej, przez nierozumiejących jego ducha, a patrzących tylko, na zbyt częste niestety zboczenia jego członków, prawie znienawidzony. Dobrze więc, że nam szanowny autor tak żywo przedstawia heroiczne czyny jego dzieci, dobrze i prawidłowo podług tej 3-ciej reguły prowadzonych.

Szkoda jednak, że kiedy tytuł oznajmia o 23 męczennikach, książka tylko 12-stu po imieniu nazywa. Także co do niektórych mów tych świętych, w dramatyczniejszych chwilach wypowiedzianych, przychodzą czytelnikowi pewne wątpliwości.

Książeczka staranniejszem wydaniem zdaje się być przeznaczoną dla średniej inteligencji; życzymy też jej jak największego w tem kole powodzenia.

H. P.

Młodość Mickiewicza. Obraz pierwszych wpływów na rozwój umysłu i charakteru. Skreślił *Dr. Teofil Ziemia.* W Krakowie 1887, w 16-ce str. 144. Nakład autora.

Nie potrzebujemy chyba streszczać tej książki, dodać może tylko wypada, że obejmuje ona dwa okresy z życia Mickiewicza: okres nowogródzki i wileński. Książka to dla młodzieży, dążność jej pedagogiczna, urywa też autor opowiadanie w chwili, kiedy trzeba mu było przedstawić stosunek poety do domu Wereszczaków i dalsze jego koleje. Nowogródek i jego okolice, domek Mickiewiczów i rodzina, szkoła nowogródzka i pierwsze wrażenia poety — to część pierwsza książki. Wilno z matką Boską w Ostrej Bramie, uniwersytet, jego profesorowie i opiekunowie, młodzież najszlachetniejsza i najlepsza, jaką kiedykolwiek polska wydała, jej życie i zasady, jej prace i zabawy, towarzysztwa i dążności — to wszystko złożyło się na część drugą. Jeżeli do tego

dadamy styl piękny, sposób opowiadania zajmujący, znajomość przedmiotu u autora, jaką rzadko kto w Polsce poszczycić się może, to zdaje się, że nie ma potrzeby rozpisywać się nad wartością tej książki. Nie wątpimy też, że znajdzie się ona wkrótce we wszystkich bibliotekach szkolnych i w ręku całej młodzieży polskiej. Zamiast puszczać afrykańskich lub amerykańskich, opisanych podług mniej lub więcej szczęśliwej fantazyi autorów, znajdzie tu młodzież kawalek ojczystej ziemi w świetle rzeczywistej prawdy, zamiast bohaterów urojonych co walczą z „dzikimi“, znakomitą młodzież wileńską, jak się garnie do cnoty i mądrości, do łaski u Boga i ludzi. Kończę życzeniem, żeby autor, znany profesor i pedagog od lat kilkunastu, jak najwięcej takich książek nam dostarczył.

Sz. Matusiak.

Rodzina Buchholzów. Szkice z życia berlińskiego przez Juliusza Stindegó przełożył z niemieckiego *Juliusz Starkel*. Lwów 1888.

Czytelnicy *Gazety narodowej* niejedną chwilę wesoło w tym roku spędzona, zawdzięczają feyletonom, w których mieściła się powyższa powieść. W Niemczech miała ona popyt niesłychany, skoro w przeciągu trzech lat doczekała się kilkudziesięciu wydań i kilku przekładów. Niniejsze tłumaczenie na język polski dokonane jest z czterdziestego piątego wydania.

Lecz w czemże ta wartość tej książki. Oto w wiernem odtypowaniu mieszczyki berlińskiej. Autor przestudyował na wskroś swą bohaterkę, zaglądnął w najskrytsze tajniki jej serca, wysondował wszystkie jej słabości kobiece, upodobania, pragnienia i chęci, podpatrzył ją we wszystkich fazach i chwilach życia i przedstawia ją taką, jaką ona jest w życiu zakulisowem — w stosunkach z rodziną, z sąsiedztwem i znajomymi i t. d. Mimo to nie popada nigdy autor w przesadę, ani trywialność, umie zająć i zabawić czytelnika.

Przekład w ogóle bardzo dobry i ze znajomością obu języków dokonany.

Z.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Napoléon et ses détracteurs par le *Prince Napoléon*. Paris. Calmann Lévy 1887.

W wspaniałej odzie zatytułowanej: *Il cinque Maggio*, która trysnęła z serca włoskiego poety na wieść o samotnym zgonie więźnia św. Heleny, Alessandro Manzoni, streściwszy w kilku słowach długi poczet zwycięstw bohatera wieku, rzucił przyszłości zapytanie po dziś dzień echem brzmiące:

Fui vera gloria? ai posteri
L'ardua sentenza...

Potomność dotąd spiera się i ściiera w różnem ocenianiu Napoleńskiej sławy i charakteru. Nie mylił się wyż wspomniany poeta, upatrując w meżu stojącym u zejścia się dwóch wieków i dwóch epok, znak któremu długie pokolenia sprzeciwiać się będą. Dla nich, podobnie jak dla społecznych, pozostaje on celem na przemian bałwochwalej miłości lub ślepej nienawiści:

Segno d' immensa invidia
E di pietà profonda,
D' inestinguibil odio
E d' indomato amor.

Owe sporne potomności uczucia nie przestawają wywodzić w szranki historyi coraz to nowych zapaśników słowa i pióra, wiodących zacięty bój to o prawdę dziejową, to o stronnice zasady, ubierające bieżące namiętności polityczne w szatę i maskę historycznych dociekań i sądów. Ostatniego słowa o Napoleonie nie rychło się doczekamy. Tymczasem przybywa wciąż materiału, otwierają się źródła, rozjaśnia przeszłość, ułatwiając zadania tych, którym, gdy ucichnie wiekowa wrzawa i rozterka, przypadnie złożyć z odłamów prawdy, dotąd zasuty bezwzględną czcią lub potępieniem, właściwy, podobny wizerunek nowożytnego Cezara.

Z początkiem bieżącego roku, psycholog rewolucyi francuskiej, Taine, w dalszym ciągu znakomitych studyów przełomu znaczącego koniec minionego stulecia, pokusił się o charakterystykę tego, którego jedni uważają za pogromcę rewolucyi, drudzy za jej apostoła. Trzymając się swej zwykłej metody, Taine nagromadził mnóstwo cytat, świadectw, szczegółów i rysów, składając ową mozaikę w sztuczny, jaskrawy a potworny obraz życia i postaci Napoleona. Czytelnik doznawał sprzecznego wrażenia, wertując owe karty na pozór spokojne, w gruncie namiętne: wzrok olśniony bogactwem przytoczeń, nie pozwalał myślom swobodnie w tym labiryncie własny sąd sformułować, a jednocześnie przykre jakieś uczucie wkra dało się do umysłu i serca, niby uprzytomnieniem sromotnego dzieła komuny paryskiej, ściągającej posąg bohatera z zwycięskiej, spiżowej kolumny. Między robotą Taine'a a Courbet'a zachodziło jakieś wstrętne powinowactwo, odejmujące wartości pracy historyka, nie bacznego na świetne pamiątki narodowej sławy, byle przedmiot swego studyum poniżyć i przykroić do miary własnego

widzimisię. Oczywiście, ten jednostronny, acz z tylu względów niepospolity wizerunek, wywołać musiał niesłychaną wrzawę w przereźdzonym bonapartystów obozie. Pojawiły się liczne odpowiedzi, a najdonioślejszej odprawy podjął się książę Napoleon, lepszy, jak wiadomo, stylista aniżeli polityk. Tak było do przewidzenia, odpowiedź ta nie może się mierzyć z pracą Taine'a. Wszelako, ponieważ z każdego starcia się, kamieni czy zdań ludzkich, tryskać zwykła iskra ognista, a więc i tu prawda zyskała na dwustronnej polemice, miarkowaniem zbyt bezwzględnych sądów i orzeczeń, krytyką metody, której rzeczywiście bez zastrzeżenia pochylać niepodobna. Każdy ma w pamięci świetny i wstrętny portret Napoleona, piórem historyka świeżo nakreślony, a zniżający legendową postać olbrzyma do rozmiarów włoskiego kondottiera. Książę Napoleon oczywiście zrozumiał, iż zbijanie pojedynczych zarzutów stałoby się niepodobieństwem w obec mnóstwa treściwie i ściśle zbitych szczegółów. Chwycił się tedy innej drogi, w krótkiej książeczce usiłując ogólnie wykazać wadliwość metody p. Taine'a, oraz podejrzany charakter głównie przezeń wyzyskiwanych źródeł. Punkt wyjścia zresztą jednaki, choć różnie pojęty. Taine upatruje w Bonapartem wykwit rewolucyi, a więc z natury rzeczy monstrualność i anomalie. Książę Napoleon, zawsze pochopny do przychlebiania się popółstwu, dumnie stryja nazywa dzieckiem, żołnierzem i krzewicielem tejże rewolucyi. Stawia postać jego tak wysoko, iż zaledwie teleskopem dostrzedz można ogólne rysy ginącej wśród gwiazd wielkości. Taine raczej mikroskopem się posługuje. Entomolog z powołania, jak go nie bez pewnej słuszności mianuje przeciwnik, rozbiera on poszczególnie, drobiazgowo, obiekt pod badawcze szkiełko podłożony, traci z oczu całą wielkość epopei militarnej, nie tyka się legendy zwycięskiej, zaprzecza nawet męstwa bohaterowi tylu bitew i wojen, słowem pomija całą wojskową stronę życia tego, w którym społeczesni upatrywali przedewszystkiem bóstwo wojny. I Taine widzi w Napoleonie żołnierza rewolucyi, ale wodza francuskich szyków nie spostrzega wcale, milczy o geniuszu, aby tylko wskazać na niższe strony ludzkiej, zepsutej, a rozkiełznanej natury. Podobno książę Napoleon ma słuszność, gdy twierdzi, iż dla ocenienia podobnie olbrzymich wypadków i głównego onych czynnika, potrzeba przedewszystkiem duszy zdolnej wielkość ogar-

nać i zrozumieć, do czego pisarz materyalista się nie nadaje wcale, ginąc wiecznie w analizie drobnostkowej, zamiast się na syntetyczne zdobyć wywody i wnioski.

Przesada zawsze szkodzi, a więc i dobieranie samych ciemnych farb do palety historyka uwydatniło z góry powzięty zamiar, nie zaś wynikający z spokojnych studyów wyrok. Książę Napoleon główny nacisk kładzie na zużytkowanie podejrzanych świadectw, tych właśnie, najczęściej w portrecie Napoleona przytaczanych zdań i sądów księcia Metternich'a, Bourrienn'a, pani de Rémusat, Pradt'a i Miot de Mérito. Poszczególne rozdziały zmierzają przeważnie do osłabienia wiarygodności owych świadków. W ustępie poświęconym Metternichowi ujawnia się nienawiść osobista piszącego przeciw Austrii. Wbrew pospolitemu w Francyi uczuciu i właściwemu Francuzom mniemaniu, nie Anglii, lecz Austrii przypisuje on upadek Napoleona i pogrom jego armii. Metternich dlań najgorszym wrogiem Francyi, powodem zguby cesarza, bodaj nawet śmierci jego syna przyczyną ukrytą. Owa szalona niechęć do Austrii prześwieca na każdej karcie dostojnego autora, który traci ostatecznie wszelką miarę i równowagę, gdy mu ją wspomnieć przyjdzie. Natomiast spokojniej i bardziej obiektywnie, a więc i trafniej oceniać próbuje wartość świadectw francuskich pisarzy, z których przeważnie Taine swój mozaikowy wizerunek układał. Zręczne przeciwstawienie listów pani de Rémusat, pisanych pod wrażeniem chwili, z pamiętnikami redagowanymi po latach wielu, pod wpływem reakcyi burbońskiej za czasów restauracyi, znacznie osłabia prawdziwość tych ostatnich. Czytelnicy, zachwyceni stylem i dowcipem pani de Rémusat, nie od dziś zrażeni zostali charakterem jej zwierzeń, zdradzających przedpokojowe tajemnice, które z właściwości dzierzzonego urzędu danem jej było podsłuchać. Książę Napoleon tłumaczy kwas wionący z jej zapisków zawodem doznany w nadziei dość naiwnie wyrażonej, zostawia Egeryą pierwszego konsula, który cenił rozum pani de Rémusat i dowcipną jej rozmowę. Wielbiciel kobiet, nigdy jednak Napoleon ich wpływu nie przyjmował ani znośił, i pani de Rémusat przeliczywszy się w ambitnej rachubie, nie darowała mu nigdy płynącego stąd rozczarowania. Mściła się więc po swojemu za doznany zawód, mścił się i Bourrienne, towarzysz z lat młodzieńczych, gdy go cesarz od siebie oddalił,

spozstrzegłszy, iż swej sytuacji nadużywa dla widoków wzbogacenia się i łatwych, a podejrzanych spekulacyj. Napoleon, który go długo lubił i długo też mu zawierzał, rozłączył się z nim, pochwycawszy go na gorącym uczynku pieniężnych malwersacyj. Chybionej Ege-ryi i złapanego *la main dans le sac* złodzieja świadectwa nie mogą tedy być przyjęte bez szczypty soli.

Pradt'a zanadto sami znamy, kosztem własnej narodowej sprawy, aby tu znaleźć nowe o nim wiadomości. Książęcy autor przyznaje, ile Polakom zaszkodził głupią swą próżnością i bezradną słabością. Uchodził za zręcznego i obrotnego dyplomatę, dla tego Napoleon wysłał go do Warszawy z poleceniem regulowania szczerzego Polaków zapалу, na których pomoc liczył. Poznawszy się za- późno dla nas i dla siebie na nieudolności Pradt'a, zastąpił go Bignon'em, którego mądry patryotyzm, wcześniej użyty, mógł być i Polsce i Francji nieobliczone oddać usługi. Odsunięty Pradt, ani cesarza, ani Polaków nie oszczędził w późniejszych oskarżeniach. Dziś mu już zaprzeczono wszelkiej powagi historycznej, zaczęli upadły i jego insynuacje, jakoby Napoleon otwarcie miał zalecać prowadzenie wojny kosztem krwi Polaków. Egoizm cesarza zaprzeczyc się wprawdzie nie da, ale tak cynicznego wyrazu samolubnej ambicji szukać tylko i znaleźć w podrobionych źródłach.

Rozprawiwszy się jeszcze w podobny sposób z ulubionym Taine'a świadkiem napoleońskich czasów, Miot de Mérito, książę Napoleon mniej zręcznie próbuje odeprzeć zrosły z pamięcią stryja zarzut niezaspokojonej wojowniczości, stara się nawet mu nadać pozory pośrednika miu, rozjemcy pokojowego, i znów zbyt skrajną obroną dochodzi do równie negacyjnego końca i skutku, jak to uczynił Taine bezwzględnością swego potępienia. Tu i owdzie osobista wygląda reklama. Wśród niedokładności zarzuconych historykowi rewolucyi, ks. Napoleon z osobnym naciskiem mu wymawia wzmiankę o ustaleniu dynastyi, rzekomo tylko na rzecz Józefa Bonaparte, z pominięciem ustawy senatu, która w kilka lat później zapewniała dziedziczość korony potomstwu Hieronima... Książę literat upomina się i za skrzywdzonym stryja piórem. Zawsze drobniagowy Taine zarzucił Napoleonowi brak ortografii, książę Napoleon słusznie wskazuje, iż mimo błędów pisowni i składni, nikt podobnie brzmiącym, trafnym, dalekońszym nie posługiwał się języ-

kiem, nikt lepiej nie umiał targać za wnętrzności i struny serc poruszać. Zarzut stronnego i niedokładnego wydania korespondencji napoleońskiej osobiście dotknął księcia, któremu za czasów drugiego cesarstwa, owo wydawnictwo powierzonom zostało. Zaprzecza on stanowczo liczbie dokumentów przez Taine'a wspomnianej, zaręcza, iż ogłosił wszystko co mogło mieć historyczne znaczenie, unikając tylko powtórzeń lub pozbawionych wartości listów. Trochę to samowolna gospodarka, książę Napoleon w przydłuższym rozdziale usiłuje wszakże dowieść, z jak skrupulatną sumiennością wywiązał się z powierzonego sobie zadania, i okolicznościowo pełno ciekawych przytacza szczegółów, lecz zarazem bodaj sam uprawnia jeszcze zarzuty Taine'a co do dowolności wydawnictwa, dając tu po raz pierwszy bardzo uderzający list Napoleona do króla Ludwika, pominięty w pierwszym wydaniu, ze względu na panującego wówczas Napoleona III. Któż zaręczy, iż inne względy nie wstrzymały i publikacye mniej ważnych może, lecz ciekawych zawsze dokumentów?

Końcowy ustęp jest zarazem i apoteozą Napoleona i szczytem pochlebstw dla dzisiejszych pokoleń, których zadaniem ma być uzupełnienie dzieła rozpoczętego niegdyś przez żołnierza rewolucyi. Raz na manowce polityki i popularności zabłąkany, książę Napoleon przyrodzony a niezaprzeczony traci rozum i zdolności. Nie pójdziemy więc za nim w wnioskach, jakimi zamyka swój pogląd na dzieje i dzieła pierwszego cesarstwa, raczej godząc się z nim w zasadzie i zdaniu, iż Taine posunął się zbyt daleko w nienawistnem ocenieniu człowieka, któremu bądź co bądź poniżona dziś Francya zawdzięcza znaczną część narodowego kapitału chwały i sławy. Prawda ma swoje niewzruszone prawa, w dziedzinie historyi bardziej niż gdziekolwiek, ale namiętność nigdy z siebie samej nie wyda prawdy, ani się jej dobić nie potrafi. Chwila zaś, obrona do sromotnego rozwiania Napoleońskiej legendy, rzeczywiście stósowną nie jest. Upokorzenia dzisiejsze przeżyć się tylko dadzą za pomocą lepszych przeszłości wspomnień. „Dusza narodów z podobnych urasta pamiątek. Ojczyzną nie sama bo ziemia, lecz nadewszystko historia narodów“, odzywa się słusznie książę Napoleon.

Z powyższego pobieżnego sprawozdania, raz więcej przychodzi nam wywnioskować, iż nie rychło doczekamy się stanowczego i spokojnego, a ostatecznego sądu o Napoleonie. Doraźna i namiętna

odpowieź synowca nie zaćmiewa świetnego, acz ciemnego obrazu Teine'a, ale przychodzi w samą porę, aby zrównoważyć przesadę przesadą, i skrajność potępienia wysokiem uwielbienia bez granic.

A stąd raz więcej stwierdzić nam przychodzi, iż postacie historyczne nie znają posagowej skamieniałości, nie ustalają się w spiżowych a niewzruszonych kształtach, lecz ciągle ulegają przemianom, pod wpływem wionących prądów, osobistych lub ogólniejszych wrażeń, zmiennej fali pojęć i potrzeb czasu i ludzi. Po upływie kilku wieków lub nawet lat kilkudziesięciu, nie jeden dziejowy bohater nie odnalazłby własnej indywidualności, nie poznał sam siebie w fantastycznym wizerunku, przykrojonym coraz to na inną modłę i modę przez następujące po sobie pokolenia, którym przedewszystkiem chodzi o wcielenie swych wyobrażeń i namiętności, w potężną i górującą nad inne osobistość, z kolei wiedzioną na Kapitol, lub do Gemonii dowolnie strącaną.

F.

Догматическое развитие Церкви въ связи съ вопросомъ о соединеніи церквей. Владиміра Соловьева. — (Rozwój dogmatyczny Kościoła w związku z kwestyą zjednoczenia kościołów. *Włodzimierza Sołowiewa*). Moskwa 1886, str. 85, cena 50 kop.

Znany zaszczytnie na polu publicystyki rosyjskiej autor p. Wł. Sołowiew, w niniejszej broszurce streszcza całą swoją dotychczasową polemikę, i posuwa ją o wielki krok naprzód.

Zaczynając od p. J. S. Aksakowa, wyznaje autor, że z jego artykułów w *Rusi* wiele skorzystał. A mianowicie przekonał się najprzód, „do jakiego stopnia katolicyzm i wszelkie doń zbliżenie wstrętne jest dla naszego (rosyjskiego) uczucia narodowego“; a powtóre przyszedł do jasnego i niezłomnego przekonania, że dla Rosyi, jako cząstki całej ludzkiej rzeczypospolitej, w dziedzinie historycznego pochodzenia tejże, pozostaje tylko jedno z dwojga: albo dokonać zjednoczenia Kościoła, co p. Sołowiew uważa za jej dziejowe powołanie, albo też błędzić jak omackiem w nieokreśloności swej roli historycznej.

Następnie panu A. A. Kiriejewowi, który twierdził, że Słowianie mogą się zjednoczyć, mimo rozdziału Kościoła, wykazuje niepodobieństwo tego przypuszczenia; a to z powodu nacyonalnego egoizmu poszczególnych słowiańskich narodowości. I tak, „nie mówiąc już o tych, w których działały wprost przeciwnie sobie duchowe i cywilizacyjne pierwiastki (Rosyanie i Polacy) — nawet takie narody słowiańskie, które nie mogą pokryć swej niechęci ku innym, żadnym płaszczem idealnej natury, gotowe są każdej chwili wystąpić do zaciętej walki między sobą. Tak np. skoro tylko Bułgarzy uczynili stanowczy krok ku swemu narodowemu zjednoczeniu, zaraz to Serbi zaczęli uważać za groźbę i niebezpieczeństwo dla siebie“ i t. d.

Dalej z p. N. J. Danilewskim, który odrzuca zjednoczenie dlatego, że „katolicyzm (według niego) herezya“ — wchodzi autor na pole dogmatyczne. I tu po gruntownych a jedrnych wywodach, między innemi powiada: „dla tego też przewielebni hierarchowie rosyjskiego kościoła nie uważali za możliwe (ani przed, ani po soborze Watykańskim) osądzić katolicyzmu za herezyę“ — i dalej: „moi szanowni oponenti nie raczyli zauważyć, że kwestya, czy katolicyzm jest herezyą albo nie, jest rzeczą publicznego prawa kościelnego, a bynajmniej nie prywatnego mniemania“.

„Na inne więcej skomplikowane pole, mówi autor o trzecim swym przeciwniku, wszedł szanowny redaktor duchowno-naukowego czasopisma *Wiara i rozum*, p. T. Stojanow. Według jego zdania... żadna zgoda ani zbliżenie z katolicyzmem nie jest dla nas możebną, z tego powodu, że my prawosławni zupełnie inaczej niż katolicy zapatrujemy się na samą sprawę wiary i religii. A mianowicie kościół katolicki pozwala sobie rozwijać dogmatyczną prawdę chrześcijańską, gdy kościół wschodni przyjmuje tylko zachowanie tego co na początku i raz na zawsze dane było w chrześcijańskim objawieniu“. I wykazaniu właśnie tego rozwoju dogmatycznego, od samego zawiązku Kościoła, poświęca autor dwie trzecie całej broszury, od czego też otrzymała i tytuł.

Dając to suche streszczenie pracy p. Solowiewa, musieliśmy tem samem ogłosić ją z całego jej wdziku w wykładzie i pominąć całą głębokość teologicznych dowodów. Zaznaczyć więc przynajmniej musimy, że autor umiał połączyć w tej pracy przymioty znakomitego publicysty i gruntownego teologa.

H. P.

L'ornement Slave et Oriental d'après les manuscrits anciens et modernes recueilli et étudié par Wladimir Stassoff. St. Petersburg, 1887. in fol. maj. Spisu str. 78. tablic 156.

Wszystko co tylko zmierza do poznania przeszłości ludów i narodów, nie tylko pod względem historycznym, ale pod względem sztuki, oświecenia, kultury, przemysłu i postępu, coraz więcej dziś liczy zwolenników, badaczyw i pracowników pilnych, co wysnuwają nie przeszłości, a w poszukiwaniach dają rezultaty swych prac nadzwyczaj ciekawe, interesujące i użyteczne bardzo. Mamy oto przed sobą szczególniejszą a nie pospolitą publikacyą, bo na 156 tablicach *in folio majori* jest przedstawionych w chromolitografiach przeszło 3.000 miniatur, inicjałów i ornamentów, zebranych z 500 przeszło kodeksów rękopiśmiennych od IV. począwszy stulecia aż po wiek XVIII. a przerysowanych z Słowiańskich tylko i wschodnich kodeksów; z tych ostatnich zaś o tyle tylko, o ile one potrzebne były i konieczne do źródłowego poznania iluminowanych ornamentów, przechowanych w starosłowiańskich rękopisach.

Pracę tę rozpoczął wydawca przed 20 laty. Przejrzawszy w Rosyi wszystkie publiczne i prywatne biblioteki, te mianowicie, które iluminowane posiadały rękopisy, a w Europie od Watykańskiej począwszy aż do British-Museum; przepatrzywszy wszystkie stoletnie zbiory, zebrał z nich ogrom rysunków z takich rękopisów, które pisane były w dyalektach południowych Słowian jako to: Bułgarów, Serbów, Chorwatów, Czernogórców, Rumunów; z rękopisów słowiańsko-cerkiewnych, jakimi dwie najbogatsze biblioteki: publiczna cesarska w Petersburgu i Synodalna w Moskwie słusznie się chlubią, że po-

siadają tego rodzaju najcenniejsze zabytki kultury miejscowej; dalej dla objęcia Słowiańszczyzny całej, poznałomiwszy się z rękopisami w Czechach i Polsce, a w końcu rozpatrzywszy się w rękopisach wschodnich bizantyjskich, syryjskich, etyopskich, arabskich i ormiańskich, już to dla pokazania, jak mniemam, że pod tym względem kultura ze wschodu się poczyną w Słowiańszczyźnie całej; już to dla tego, że pierwsze wzory inicjałów i ornamentów, jakimi ozdabiano sławiańskie rękopisy, czerpane były przeważnie z Bizancjum, ze znakomitą w swoim rodzaju publikacją stanął przed uczonymi badaczami w zakresie sztuki.

Obrazowe to w rycinach samych i miniaturach przedstawianie przedmiotu, aczkolwiek nie obejmuje całości zupełnej, a co gorsza pozbawione jest odpowiednio wyczerpującego tekstu, to jest studjum w danym przedmiocie; zapoatrzone jest wszelako dosyć szczegółowym rejestrem, który uczy nas, z jakiego kodeksu rękopiśmiennego przerysowany jest, umieszczony tu rysunek i gdzie kodeks ten znajduje się. Jest to wszelako jeszcze niedostateczne i ktoś kiedyś, a przedewszystkiem sam wydawca, uzupełni niewątpliwie ten przedmiot, tak bardzo obchodzący sztukę odpowiedniami studjami naukowemi.

Dziś z cennej tej publikacji nie małe odnosimy już korzyści a mianowicie mamy podane wskazówki o 500 przeszło kodeksach rękopiśmiennych sławiańskich i wschodnich, gdzie się znajdują i jakiego rodzaju ornamenty znaleźć w nich możemy. Rękopisy te, to przeważnie Pismo święte w całości lub urywkach księgi liturgiczne kościelne, kroniki i roczniki najdawniejsze, pisane w zaciszach klasztornych, a cząstka nie wielka należąca do działu tak zwanego świeckiego.

Pobieżną podawszy wiadomość o tej kosztownej i szczególniejszej w swym rodzaju publikacji, nie mogę zataić jednego jeszcze a bardzo ważnego niedostatku, któryby podniósł niesłychanie tak ważne wydawnictwo. W publikacji tej mamy przedstawione dwa tylko style ornamentów rękopiśmiennych: Sławiański i Wschodni; ostatni o ile zbliżony był do pierwszego wzorem swym. Otóż gdyby wydawca dodał był choć kilka tablic ornamentów zebranych z najstarszych kodeksów rękopiśmiennych miniaturowych w stylu romańskim, w późniejszym gotyckim, dalej w stylu odrodzenia, jakim od Włoch począwszy na całym zachodzie Europy ozdabiano kodeksy rękopiśmienne miniaturowane, niewypowiedzianie podniósłby był wydawnictwo swe, bo rozważającym ten przedmiot stawilby był przed oczy całość sztuki ornamentacyjnej, a samem rysunkowem przedstawieniem dowiódłby był różnicy stylów między wschodem całym a zachodem. Wyszłoby to wprawdzie na niekorzyść pierwszego pod pewnem wszelako względami, ale za to prawda przedmiotowa wykazana by była do oczywistości.

Zostawiając sobie na przyszłość więcej wyczerpujące studia nad opisywaną publikacją — nie mogę nie poświęcić kilku choćby wierszy tablicom, na których sz. wydawca pomieścił inicjały, ornamenty i miniatury przerysowane z kodeksów rękopiśmiennych polskiego pochodzenia.

Tablic, na których pomieszczone są rzeczy polskie jest 5 tylko (CXV—CXIX.), inicjałów zaś na nich, ornamentów i miniatur jest 67. Kodeksy rękopiśmienne, z których wydawca zebrał rysunki, są dosyć liczne a znane nam jak: Biblia królowej Zofii, psalterz floryański, kalendarz krakowski, psalterz puławski, statut wiślicki, prawa mazońskie, rękopis Baltazara Bema, nie mniej te mszały, antyfonarze, gradualy, o których pewnoś mamy, że w Pol-

see i przez artystów Polaków iluminowane były. Do tych jednak znanych rękopisów przybywają nieznane nam bliżej, znajdujące się w publicznej cesarskiej bibliotece w Petersburgu, pochodzące z suprymowanych w Polsce klasztorów: że wymienię tu iluminowane mszały z 1297, 1455, 1481 i 1504; psalterze dwa z XIV. wieku, antyfonarze i graduały z suprymowanych w Polsce kolegiat, z których p. Stasoff dając ornamenty poznał nas z nieznanymi dotąd miniaturzystami, a imiona ich: Mikołaj ze Sandomierza, benedyktyn na Łysej górze, prokop Hoberek Jan, dyakon z klasztoru św. Katarzyny, Maciej ze Żnina. Że te ornamenty i miniatury, które reprodukował p. Stasoff, mogłyby być o wiele więcej zwiększone, że materyał do nich, nieznanym wydawcy, kryje się jeszcze w kodeksach rękopiśmiennych w Krakowie, Lwowie, Gnieźnie, Poznaniu, Płocku, Warszawie, Wrocławiu i w wielu innych jeszcze bibliotekach, to wątpliwości nie ulega żadnej. A przyjdzie też może kiedy czas, że z tych nieznanych źródeł skorzystamy i my dla dobra nauki.

Wspominając o ornamentach zebranych z polskich kodeksów rękopiśmiennych, nie mogę pominąć tego jeszcze szczegółu, że w publikacji p. Stasoffa mieści się w dziale ruskich ornamentów kilka ciekawych inicjałów, które przerysowane były z kodeksów rękopiśmiennych pochodzących z Wilna, Grodna, Kowna, Halicza, słuszniejby więc należały do polskiego działu i do polskiej sztuki, niżeli do ruskiej, do której zaliczył je. Nad celem teraz i rezultatem publikacji tej zastanawiając się widzimy, że wiadomości o kulturze, oświacie, sztuce narodów słowiańskich dowiedzieć się możemy nie z dzieł iabytków, co w kraju ocalały od zniszczenia, lecz o wiele więcej z tych, co przechowane są po za granicami krain słowiańskich, a dostały się tam najróżnorodniejszymi drogami i okolicznościami. Dalej, w porównaniu na tem polu ze sztuką romańską, włoską i w ogóle zachodnią widzimy, że rodzima sławiańska na własnych kształciła się wzorach i raz przyjętych form i metody tak ściśle trzymała się, że w rękopisach, które nieraz para set lat albo i więcej dzieli, różnicy w ornamentach dopatrzeć trudno i bez inszych danych niepodobna oznaczyć, czy kodeks ten pochodzi z XIII. czy XVI. wieku. Na zachodzie i na południu nie tak było, tam z malowania, z miniatur, z ozdób rękopiśmiennych ściśle oznaczyć można epokę powstania kodeksu, i wpływy kultury i cywilizacji z wiekiem i czasem idących. Na każdy raz powtarzam jeszcze, że publikacja ta dla historii sztuki jest niesłychanej doniosłości, za którą wydawcy wdzięczność wypowiadamy publicznie.

Ks. Ignacy Polkowski.

Z pism peryodycznych.

Muzeum, czasopismo Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych.
Rok 1887.

Organ Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych kończy właśnie szczęśliwie trzeci rok swego istnienia. Ważność sprawy, której służy,

najlepiej potrzebę jego istnienia tłumaczy i uzasadnia. O ile zaś godnie i pożytecznie z obowiązku przyjętego się wywiązuje, okaże najlepiej przegląd treści w nim zawartej i sposób, jak sobie wśród tylolicznych zadań, jakie szkoły wyższe spełnić mają, poczyną.

Cały ustrój naszego szkolnictwa był dotychczas prowizorycznym. Obecnie jak najwyraźniej występuje dążność do ustalenia, co bez pewnych reform we wszystkich kierunkach nastąpić nie może. Redakcyja zapisuje przeto skrzętnie, sumiennie i dokładnie każdy ruch na polu szkolnej organizacyi, zatem wszystkie rozporządzenia władz wyższych tudzież głosy, jakie w społeczeństwie lub tegoż reprezentacyi słyszeć się dają. Jestto obraz rozmaitych chęci i dążeń, z którego każdy, komu rozwój szkolnictwa na sercu leży, jasne i dokładne wyobrażenie o najnowszych objawach w tej dziedzinie pracy narodowej powziąć może. Ale samo sumienne rejestrowanie faktów nie na wieleby się przydało, gdyby nie było do nich komentarzy. Redakcyja i w tym względzie obowiązkowi swemu zadość czyni, zastanawiając się nad każdym donioślejszym problemem, czy on się odnosi do organizacyi, czy administracyi, czy też do metody nauczania lub wychowania. Wypowiadając swoje zdanie i zapatrywanie w artykułach „od Redakcyi“, bierze inicjatywę i niejako całe towarzystwo do zastanawiania się i objawienia swojej opinii w pewnej sprawie przynagla.

W artykule „W przededniu nowej reformy“ (str. 239), roztrząsa redakcyja zapowiedź nowej reformy szkół średnich, jaką p. minister oświecenia wniósł na sesyi Rady państwa d. 30 marca 1885 r. W zasadzie zgadza się Redakcyja z potrzebą reformy szkół średnich jakoteż ze zdaniem, że reforma bez uszczuplenia zakresu nauk przeprowadzoną być powinna. W szczegółach atoli pewne czyni zastrzeżenia. Najpierw domaga się wyjątków co do normalnego wieku uczniów, wstępujących do szkoły średniej. Gdyby każdy uczeń po ukończeniu szkoły ludowej starał się o wstęp do szkoły średniej, rozporządzenia tego wcale niebyłoby potrzeba, albowiem na mocy ustawy o wieku normalnym dla wstępujących do szkoły ludowej, żaden uczeń nie posunąłby się przed skończonym 10 rokiem życia do szkoły średniej. Inaczej przedstawia się redakcyi rzecz, skoro uczniom bez uczęszczania do szkoły ludowej na podstawie egzaminu wstępnego do szkoły średniej wstępować wolno.

W takim wypadku tylko przygotowanie i uzdolnienie rozstrzygać powinny; wynik egzaminu powinien być decydującym, chociażby wiek nie odpowiadał. Ważniejsze są sprawy higieny szkolnej, aniżeli ustawa o wieku normalnym. Ostatnie żądanie zupełnie słuszne, pierwsze jednak tylko w teorii. Najsamprzód lepiej jest, jeżeli ustawa żadnych wyjątków nie dopuszcza. Powtóre, naszem zdaniem, bardzo wczesne wstąpienie do szkoły średniej i podjęcie zadań niełatwych, później koniecznie na rozwój fizyczny lub intelektualny ucznia ujemnie wpłynąć musi. Lepiej, ażeby kilku szczodrzej od Stwórcy wyposażonych o rok w ukończeniu studyów się opóźniło, aniżeli gdyby jeden tylko, na którym się nie poznano i lepiej go oceniono, aniżeli w rzeczy samej na to zasługiwał, miał później na tem ucierpieć. Wreszcie zyska na tem tylko sama dziatwa, zapobieżę się bowiem próżności wielu rodziców, chcących sztucznie uprzędzić rozwój naturalny dziecięcego umysłu.

Także przeciwną jest redakcyja zaprojektowanemu przez p. ministra przedłużeniu studyów w szkołach średnich o jeden rok. Porównując projekt ze stanem rzeczy w innych krajach, tudzież z przeciętną długością ludzkiego życia, uważa projekt za zbyteczny. Nie równie lepszy rezultat bez uszczuplenia zakresu nauki i bez obniżenia poziomu wiedzy dałby się osiągnąć przez zniesienie dwustopniowości i przyjęcie do planu lekcyjnego nauki języka francuskiego i rysunku geometrycznego. Reforma w tym kierunku byłaby zupełnie na czasie, albowiem dwustopniowość w obec powstawania innych specyalne zawody zastępujących zakładów straciła racyą bytu i nie odpowiada wcale celowi, dla którego w zarysie organizacyjnym z r. 1849 została ustanowiona. Zdaje się też, że ministerstwo, o ile dotychczas z obrad tamże podjętych do wiadomości publicznej się przedarło, myśl przedłużenia studyów o jeden rok porzuciło, natomiast zniesienie dwustopniowości w gimnazyum pod sumienną wzięło rozważę. Dwustopniowość, przypatrzwszy się jej z jakiegokolwiek strony, jest najsłabszym tworem skądinąd znakomitego zarysu organizacyjnego. Zamiast nauczania małej i wielkiej encyklopedyi, należałoby się w niższych klasach umysł za pomocą odpowiednich środków rozbudzić i formalnie do tego stopnia przygotować, ażeby stał się zdolnym do przyjęcia prawdziwej nauki, jaka na wyższe lata studyów gimnazyalnych przypada. Skoro do

zniesienia dwustopniowości z czasem przyjdzie, będzie to prawdziwą satysfakcją dla redakcyi, że z całą otwartością w tej sprawie głos zabrała i zdanie swoje stanowczo wypowiedziała.

W „odpowiedzi“ (str. 82) na mowę posła Wojciecha hr. Dzieduszyckiego, wygłoszonej d. 17 stycznia b. r. w sejmie z okazji wniosku ks. Sapiehy, a potępiającej tak szkoły jako też i nauczycielstwo, Redakcyja bardzo stanowczą i właściwą zajęła postawę. Jak wniosek ks. Sapiehy, domagający się poprawy nauki języka niemieckiego, był słusznym i uzasadnionym, tak gwałtowny atak posła Dzieduszyckiego był czystym grzmotem bez błyskawicy dobrze poinformowanej i nieuprzedzonej myśli. Nauczycielstwo krajowe, którego dobrym chęciom nie zarzucić się nie da, dawało i daje ciągle dowody, że mu szczerze zależy na dobru szkoły i powierzonej jego pieczy młodzieży. Od lat czteru na swoich zjazdach i zebraniach bywało często może nawet za surowym sędzią samego siebie i bynajmniej wadliwości w systemie, metodzie i postępowaniu ukrywać nie myśli, owszem stara się ulepszyć, co wadliwe lub ulepszenia się głośno domaga, skoro ci, do których to w pierwszym rzędzie należy, tego z własnej inicjatywy nie czynią. Przyjmuje ono też z wdzięcznością słuszne uwagi, płynące z ust ludzi interesujących się prawdziwie szkolnictwem i posiadających spraw jego głębszą znajomość. Jednak wszelkie zarzuty obelżywe a nie uzasadnione musi ono w interesie świętej sprawy, którą zastępuje, stanowczo odeprzeć, ażeby się nie stać milczeniem pogardy lub obawy winnem złych następstw, jakieby koniecznie stąd wyniknąć musiały. Publiczność nie lubi się zastanawiać, ona czeka sądów gotowych a nie broniących się uważa za winnych. Redakcyja postąpiła, dając odpawę należyłą, zupełnie poprawnie i zasłużyła sobie na uznanie dobrze myślących i nauczycielstwa.

Że nauczycielstwo swoje powołanie pojmuje i stara się postępowaniem swem dowieść, że chce działać, jak dobremu przystoi obywatelowi, świadczy długi szereg memoryałów, jaki główny wydział w imieniu Towarzystwa wniósł do władz wyższych. Czytając te memoryały, które w tegorocznem Muzeum w całości są umieszczone (str. 203—266), prawdziwą czuje się rozkosz, gdy się z nich dowiaduje, że nauczycielstwo krajowe obok żmudnych zajęć zawodowych nie spuszcza z oka całości szkolnej organizacyi i stara się

nietylko do ulepszenia metody i środków naukowych przyczynić, lecz w ogólności, nie chcąc pracowicie być bezczynnem, żywo się interesuje wszystkim, co dotyczy szkoły w najrozleglejszem znaczeniu wyrazu.

Pięknym i dobitnym słów powyższych dowodem jest memoriał, przesłany do ministerstwa z powodu podniesienia opłaty szkolnej, którem uboga i licznemi klęskami nawiedzana Galicya bardzo została dotknięta. Wprawdzie memoriał skutku nie odniósł, ale nauczycielstwo dało dowód dbałości i uczyniło, co mu ludzkość i zdrowy pogląd na rzecz nakazywały. Można się zupełnie zgodzić na bezwzględną klasyfikację, na żądanie pewnej dozy wrodzonych zdolności i wrodzonej inteligencji u garnących się do szkoły średniej, ażeby nie wytwarzać proletaryatu umysłowego, do czego atoli podniesienie opłaty do niesłychanej dotąd wysokości wcale nie prowadzi. W najlepszym wypadku można otrzymać tą drogą średnio-zamożny proletaryat duchowy, który przez to jeszcze proletaryatem szkodliwym dla normalnego rozwoju społeczeństwa być nie przestaje. Zaś zdolna i należyście wychowana młodzież jest nieocenionym kapitałem społecznym, który w usługach na rozlicznych polach służby publicznej sowicie odrzuca odsetki. Nie należy się przeto rodzicom, mającym dziatwę zdolną, którą dla posług państwowych własnym kosztem wychowują a nadto wnoszeniem podatków gospodarstwo państwowe popierają, czynić często niedających się pokonać trudności w posylaniu swych dzieci do szkoły.

Lepszym skutkiem została uwieńczona petycja przesłana do W. Sejmu w sprawie reorganizacji szkół realnych na podstawie planu normalnego z r. 1879, który z wyjątkiem Galicyi w całej zresztą monarchii został przeprowadzony. Sejm memoriał przyjął i rząd zawezwał, ażeby w drodze administracyjnej pożądaną przeprowadził reorganizacją na zasadach w planie normalnym wyrażonych. Rada szkolna wezwała też wydział Towarzystwa do przedłożenia jej szczegółowego programu nauk dla szkół realnych, czego wydział po wstępnem porozumieniu się z kołami poszczególnemi uczynić nie omieszkiał.

Towarzystwo zabrało także głos w sprawie szkół przemysłowych, których przyszłość w obec ruchu cywilizacyjnego można uważać za ustaloną i zapewnioną. Mimo zgody na ich potrzebę

i użyteczność, mimo napływu młodzieży do nich, zostawiają one pod względem swej organizacyi bardzo wiele do życzenia. Nie wchodząc w wnioski szczegółowe (str. 256) podnosimy z wszelkiem uznaniem myśl zasadniczą, że szkoły przemysłowe nie powinny na jedną modłę być urządzone, lecz na ich urządzenie powinny przede wszystkim wpływać potrzeby miejscowe.

Również został wniesiony memoriał koła krakowskiego, żądający włączenia miejskiej szkoły artystycznego przemysłu w organizm wyższej szkoły przemysłowej w Krakowie.

Na wezwanie wydziału krajowego przesłał wydział główny Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych swoją opinią w sprawie wniosku czcigodnego prof. Małeckiego, odnoszącego się do utrakwistycznego urządzenia szkół średnich. Po należytem rozpatrzeniu sprawy i umotywowaniu swego zdania orzekła przez wydział wybrana komisya, że „zasada dwuistości języka wykładowego nie da się w urządzeniu szkół średnich zastosować bez zwiecznienia ich celu i prawidłowego rozwoju“.

Świetnego powodzenia doznał wniosek w sprawie podręczników do nauki szkolnej i w ścisłej łączności z nim zostająca sprawa utworzenia w radzie szkolnej krajowej osobnej komisji naukowej. Sejm wstawił znowu w budżet 1000 złr., przeznaczając je na nagrody za najlepsze podręczniki dla uczniów szkół średnich, a w Radzie szkolnej ukonstytuowała się na posiedzeniu d. 25 stycznia b. r. komisya naukowa, która przez nominację t. zw. ekspertów na posiedzeniu z d. 4 czerwca b. r. uzupełnioną została. Można się tedy spodziewać, że właśnie utworzona komisya na wzór sławetnej komisji edukacyjnej dla ksiąg elementarnych stanie się z czasem instytucją centralną dla kierownictwa sprawami dydaktycznymi. Brak takiej instytucji w dotychczasowym urządzeniu najwyższej magistratury krajowej bardzo dotkliwie uczuwać się dawał, a działalność jej przez długie lata niemal wyłącznie w kierunku administracyjnym wyteżona nasuwała obawę, że skostnieje w biurokratyzmie i formalizmie, tamującym zawsze wszelki postęp i zdrowy rozwój społeczeństwa. Trzy sprawy przede wszystkim, niepodjęte i niezłatwione w dwudziestoletnim okresie istnienia magistratury szkolnej, czekają rychłego załatwienia przez powołaną do życia komisję naukową. Dwie z nich, mianowicie instrukcja dla udzielania języka

polskiego i niemieckiego są już w toku i zdaje się w tym roku jeszcze załatwione zostaną. Zostaje jeszcze trzecia, a powiedzieć trzeba bardzo żmudna sprawa, którą jest rewizya wszystkich dotychczas w szkołach średnich używanych podręczników. W tej sprawie Muzeum kilkakrotnie głos zabiera, szczegółowo zaś rozważa ją w artykule, którym z największą radością wita wznowienie komisji naukowej w łonie Rady szkolnej (str. 62 sq.) Potrzeba takiej rewizji jest nagłą, albowiem obecnie obowiązujące książki szkolne w niemalej części przyczyniają się do skażenia języka ojczystego, nie odpowiadają ani swym układem, ani zawartością żądaniom instrukcyi, mieszczą w sobie bardzo często rzeczy błędne albo zupełnie przestarzałe i nie obowiązujące już szczegóły.

Obok memoriałów domagających się poprawniejszej organizacyi, ulepszonej metody, zastosowanych do niej środków naukowych, większego uwzględnienia fizycznego i moralnego rozwoju młodzieży, zawiera tegoroczne Muzeum, jak konsekwencya każe, także takie, które w sprawie uzyskania lepszych sił nauczycielskich przemawiają. Wyczerpującym można nazwać memoriał w sprawie zadania, stanowiska i krzywdy zastępców nauczycieli. Wprawdzie rząd już nieco uczynił, podnosząc płacę zastępców nauczycieli po pięcioletniej służbie do 800 zlr. To jednak nie wystarcza szczególnie w obec skądinąd może słusznych rozporządzeń o udzielaniu lekcyj i utrzymywaniu konwiktów. Nadto, pomimo podwyższenia płacy niektórym zastępcom nauczycieli, społeczne ich stanowisko bynajmniej się nie zmieniło. Nie mają oni ani rangi służbowej, ani tych praw, które na mocy konstytucyi do pewnej rangi są przywiązane, a sieroty po nich są zupełnie pozbawione dobrodziejstwa, jakie zasługi rodzica im w innych warunkach jednają. Nie mają oni nawet nadziei, ażeby względnie prędko w obec trudnego awansu i bardzo ograniczonej liczby posad znośniejsze stanowisko społeczne osiągnąć mogli. Nakazuje przeto ludzkość i rozum społeczny, ażeby ludzie piastujący tak ważną sprawę, jaką jest dla państwa bezsprzecznie wychowanie pokoleń, mogli z całą swobodą i zamięłowaniem szczytnemu powołaniu się oddawać. Zaradzić temu po części mogłoby urzeczywistnienie żądań wyrażonych w dwóch innych memoriałach, odnoszących się do „uchylenia interkalaryów“, do utworzenia czternastej posady etato-

wej w każdym zakładzie wreszcie do kreowania posad nadetatowych w zakładach liczących po kilkanaście klas.

Rozpisaliśmy się nieco obszerniej o ważniejszych memoryałach, zawartych w tegorocznym Muzeum, albowiem one najwierniej malują dążność Towarzystwa i zwracają uwagę ogółu na braki, których zażegnanie dla normalnego rozwoju naszego wyższego szkolnictwa jest niezbędnem. O życzeniach, a raczej przewidzeniach w innych memoryałach zawartych nie widzimy potrzeby mówić, albowiem z nimi jak bez nich szkolnictwo prosperować może.

Dalszym bardzo ważnym przyczynkiem do ulepszenia naszego szkolnictwa pod każdym względem jest sprawozdanie z czwartego walnego zgromadzenia (str. 333—410 i 439—479), zawierające oprócz referatów także szczegółową, a często bardzo ciekawą i pouczającą dyskusję.

Na drugim walnem zgromadzeniu w szczegółach omówiona sprawa nauki języka polskiego na tegorocznym zjeździe ostatecznie załatwioną została. Wydział ma wypracować plan i instrukcję dla nauki języka polskiego i przedłożyć je bezzwłocznie wys. Radzie szkolnej krajowej do rozpatrzenia, ewentualnie do sankcyi. Życzyć tylko wypada, ażeby władza jak najprędzej rzecz tę załatwiła, albowiem śmiało rzec można, że tak dla wychowania, jak też dla postępu w innych gałęziach nauki szkolnej, jakoś nauki języka ojczystego jest rozstrzygającą. Nie można atoli ze smutkiem prawdziwym o dotychczasowym sposobie jej udzielania tego powiedzieć. Rzecz najważniejszą, a w wykonaniu wymagającą najwięcej rutyny, oględności i sumienności uprawiano przeważnie dorywczo, zatem bez tego skutku, jaki na całość nauki i wychowania wyrzećby powinna.

W dalszym ciągu na podstawie wszechstronnie obmyślanego i wyczerpująco rzecz przedstawiającego referatu prof. Cwiklińskiego, który wszystkie dotychczas sporadycznie wyrażone życzenia zawierał, zastanawiano się nad przeszkodami, które utrudniały dopięcie w znacznej mierze praktycznego celu nauki języka niemieckiego. W pierwszym rzędzie utyka nauka na braku nie to dokładnej, ale wszelkiej instrukcyi dla nauczania tego przedmiotu. Następnie, co tylko dalszą powyżej wymienionego braku jest konsekwencyą, nie odpowiadają książki celowi, jaki na mocy ustawy i ze względu na

praktyczną swoją doniosłość w nauce języka niemieckiego osiągniętym być powinien. Także sił nauczycielskich, któreby zupełnem panowaniem nad językiem, naukę jego tem skuteczniejszą uczynić mogły, coraz większy ubytek, czemu wprowadzenie praktycznych konwersatoryów na uniwersytetach krajowych, udzielanie stypendyów i czasowe urlopy celem pobytu i kształcenia się w niemieckich prowincjach monarchii lub też w Niemczech najskuteczniej mogłyby zaradzić. Wszystkie wyrażone żądania zostały uznane jako nagłe, a że odpowiadały rzeczywistej potrzebie, dowodzi okoliczność, iż po kilku miesiącach, jakie upłynęły od chwili uchwały, p. minister wyznaczył stypendya w wysokości 400 złr. dla kandydatów zawodu nauczycielskiego, mających zamiar kształcić się w uniwersytecie wiedeńskim celem objęcia posad nauczycieli języka niemieckiego w szkołach średnich galicyjskich. Także sprawę instrukcyi i podręczników w Radzie szkolnej pod ścisłą wzięto już rozwagę i zdaje się, że sprawa ta wkrótce ostatecznie zostanie załatwioną, co tylko na korzyść postępu wyjść może, albowiem wszelkie przewidywania dostatecznie już w ujemnych swych skutkach poznać się dały, ażeby nadal mogły być pożądane.

Zastanawiano się dalej nad obowiązkowością nauki historii kraju rodzinnego, nad sprawą wykształcenia nauczycieli fachowego rysunku, nad szkolnemi uroczystościami i nagrodami, nad utrzymaniem konwiktów, uważaniem ze stanowiska pedagogii i słuszności, wreszcie nad organizacją jednolitej szkoły średniej.

Od krytyki nad tymi wnioskami na razie się wstrzymujemy, albowiem jedne z nich bez obcej ingerencyi przez same grona nauczycielskie skutecznie dałyby się załatwić, drugie wykluczają sąd obiektywny, wreszcie inne nie dojrzały jeszcze do tego stopnia, ażeby o nich sąd stanowczy wydać można. Zawsze korzystniej jest dla sprawy i dla tych, którzy ją podnoszą, ażeby dłużej ją obserwowano, głębiej przemyśliwano i niedojrzałą należycie przedwcześnie nie poddawano pod dyskusyą.

Nie mniej ważną od zastanawiania się nad organizacją i metodą jest praca naukowa nauczycieli, praca nad własnym postępem, czego liczne dowody tegoroczne Muzeum w sobie mieści. Mamy tu głównie sprawozdania z ruchu naukowego w kraju i za granicą na myśli. Nie ma zeszytu, w którymby najnowsze i uwagi godne

plody piśmiennicze nie były omawiane. Znać ruch żywy w tym kierunku, który daje piękne świadectwo nauczycielstwu, że chcąc w sprawach nauki i wychowania głos zabierać i nad ulepszeniem szkolnictwa pracować, stara się utrzymać na wysokości naukowego postępu. Przyznać także należy, że tegoroczne Muzeum pod tym względem nierównie wyżej stało, aniżeli to w dwóch poprzednich latach bywało. Znać pewien ład w omawianiu i rzeczy, o których już dawno zapomniano, przestały być dla galicyjskich szkolników nowością. Jest to objaw bardzo pocieszający, chociaż tak naturalnym się wydaje. Przy tej sposobności należy się Redakeyi uznać, że wciągnęła także sprawozdania z programów szkolnych w zakres wydawnictwa i osobną dla nich rubrykę wyznaczyła. Społeczeństwo ma sposobność zapoznać się z literacką działalnością nauczycielstwa, a krytyka sumienna, chociażby nawet nie zawsze zgrabna lub pomyslna, autorom tylko pożyteczną być może.

Obok ruchu sprawozdawczego, który świadczy, że nauczycielstwo nie tylko mówi i pisze, lecz także rzeczy pożyteczne czyta, znajduje się kilka oryginalnych i wcale udatnych prac z zakresu nauki, dydaktyki i historii szkolnictwa.

Nader ważną sprawę dydaktyczną rozberra prof. Służewski w artykule (str. 271) „O niektórych terminach używanych w naukach ścisłych“. Wprawdzie szanowny profesor czyni przegląd terminów używanych tylko w nauce fizyki i matematyki i wykazuje, że ich nieujętność i rozmaitość ujemny wpływ wywiera. Zdanie jego atoli dla każdej dyscypliny szkolnej ma znaczenie. Z każdym wyrazem pewne, ściśle pod względem zakresu i treści określone pojęcia łączyć się powinny. Dowolna zmiana terminów tylko zamęt sprawia i nie dosyć można zalecić, co p. Służewski powiada: „Dla tego powinny terminy naukowe być ściśle oznaczone, i nikt, komu leży na sercu postęp młodzieży w naukach, nie powinien innych terminów używać, prócz ogólnie przyjętych. Jeżeli chłopiec słyszy kilka wyrażeń na jedno pojęcie, popada w wątpliwość, które jest stosowniejsze, a taka reflexya wypadnie zawsze na niekorzyść któregoś z nauczycieli“. Nie wchodząc w dalsze szczegóły dobrze pomyślanej i jasno przedstawionej pracy pochwalamy i podzielamy w zupełności zasadniczą myśl autora i sądzimy, że rewizya terminów i reguł we wszystkich działach nauki gimnazyalnej byłaby zupełnie na czasie.

A chociaż Wedag powiada: *Die Kinder müssen so geleitet werden, dass sie alles so viel als möglich selbst finden, was sie lernen und thun sollen, sonst werden sie Nachbeter und Dummköpfe*, nie należy się zdania takiego generalizować a tem mniej do zasadniczych reguł, twierdzeń i terminów w nich użytych stósować. Indukcyja powinna do zrozumienia reguły doprowadzić, ale reguły własnymi słowami, szczególnie u uczniów średniej miary, wyrażonej nie powinno się przyjmować, słusznie bowiem twierdzi prof. Służewski: „Z czasem pojęcia się zatrą, myśl główna się zagubi a z całej nauki zostanie mu niesmak, że się uczył, męczył a właściwie nic nie umie“. Rozbiorów tego kroju jak powyższy lub jak p. Zawilińskiego (str 72) „Ustępy na pamięć w niższych klasach“ powinno czasopismo jak najwięcej umieszczać, coby się przyczyniło do rychlejszego urzeczywistnienia zdrowej myśli, jaką Redakcyja od siebie porusza w artykule (str. 554), gdzie czytamy: „My sobie jeszcze na zbytek pozwalac nie możemy jak inne narody, mające bardzo wysoko rozwinięte szkolnictwo. Tam mogą myśleć n. p. o jednolitej szkole średniej. Nas ogólne, a od indywidualnych poglądów na sprawę wychowania zależne teorye wychowawcze nęcić jeszcze nie powinny. Mamy jeszcze bardzo szczupłą literaturę pedagogiczną. Musimy jeszcze opracowywać szczegóły, co w końcu do ogólnego obrazu doprowadzić musi... Najpierwszem i najważniejszym zadaniem naszego Towarzystwa jest dążenie do ulepszenia metody nauczania i wzmocnienia wpływu szkoły“...

Z uznaniem podnosimy z prac samodzielnych rozprawę p. Karbowiaka pod tytułem „Mieszkania żaków krakowskich w XIV—XVI. wieku“ (str. 489 s. 2), która jest pięknym i ważnym przyczynkiem do historyi szkolnictwa w Polsce.

Rzuciwszy okiem na całość pracy w ubiegającym właśnie roku w dziedzinie szkolnictwa wyższego dokonanej, której Muzeum tak wiernym jest wyrazem, mamy prawo w coraz piękniejszą wierzyć przyszłość a to tem bardziej, że początek był trudny i bynajmniej nie wolny od pesymizmu, jaki u nas wszystkiemu, szczególnie jeśli nie należy do spraw ekonomicznych lub politycznych, zwykł towarzyszyć. U góry i u dołu wszelkie wątpliwości rozwiały się, a gdy p. minister podczas swojej wizytacyi wyraził zdziwienie, iż wszystkie warstwy społeczne tak głęboko i gorąco odczuwają dołę

szkół naszych i tak się niemi interesują, w niemalej to części zasługą Towarzystwa i jego organu, który z takim taktem życzeniom stowarzyszonych umiał dać wyraz i szersze koła poruszyć. Można dzisiaj śmiało zawołać: *Sursum corda!* Zwycięstwo już odniesione powinno nowych stać się zadatkami, jakie dla sprawy tak wielkiej i świętej jeszcze odnieść wypadnie. Chcemy mieć dobre szkoły a przez nie dobrych obywateli i lepszą i jaśniejszą przyszłość. Udać się to musi, skoro się damy prowadzić dalej jako gwiazdom przewodnim: jasności celu, pracy, mężkiej odwadze, umiarkowaniu i bezinteresowności. Idąc za takimi wypróbowanymi przewodnikami, gdyby ten lub ów poczuł w sobie gorycz niezadowolenia, że nie zawsze zasłużony lecz czasem tylko szczęśliwy zbiorowej pracy zbiera owoce, niechaj pomni na wielkie słowo Goethego: „Widząc że inni dokonywają, do czego sami czuliśmy powołanie, wtedy piękne niechaj powstanie uczucie, że dopiero ludzkość jest prawdziwym człowiekiem, zaś jednostka powinna być zadowoloną i szczęśliwą, że miała odwagę całości czuć się częścią“...

Dr. K. Petelenz.



Rozmaitości.

Les Études religieuses, philosophiques, historiques et littéraires.

Pismo miesięczne, które OO. Jezuici francuscy przez 20 lat wydawali a w r. 1880, w skutek prześladowania rządowego i zamknięcia klasztorów, przerwać musieli, obecnie na żądanie wielu dawnych prenumeratorów znowu wychodzić zacznie w Paryżu, pod naczelną redakcją ks. R. de Scorraile T. J.

Udzielając tę wiadomość naszym czytelnikom, załączamy program „Studyów“, świeżo nam nadesłany.

Mysłą przewodnią i głównym celem niniejszego *Przeglądu*, wydawanego wyłącznie przez członków Towarzystwa Jezusowego, jest w pierwszym rzędzie, jak wiadomo, obrona religii, zwalczanie błędnych pojęć nowoczesnych, oraz stanie na straży zasad, praw i wszelkich prerogatyw Kościoła św. i Stolicy Apostolskiej.

Program ten nie uległ najmniejszej zmianie.

„Studia“ nasze podejmują, stosownie do okoliczności, wszelkie kwestye wchodzące w zakres teologii, Pisma św., filozofii, historii, nauk ścisłych i przyrodniczych, pedagogii, ekonomii społecznej i t. p., wszelkie w ogóle zagadnienia, mogące zająć umysły poważne, które śledzą główne objawy myśli i ducha ludzkiego.

Każdy zeszyt zawiera nadto część bibliograficzną, obejmującą wykaz i ocenę nowych książek i wszelkich nowych dzieł naukowych, zawiera nadto sprawozdania z zakresu dziennikarstwa, oraz streszczenie wypadków bieżących z miesiąca, które też w danym razie omawiane będą w artykułach zasadniczych. Wreszcie „Studia“ zamieszczają sprawozdania z zakresu nauk ścisłych i przyrodniczych, a kilka razy do roku prace naukowe, dotyczące się obcych krajów, w których misjonarze z Towarzystwa Jezusowego oddają się zawodowi apostołskiemu.

Duchem naszego pisma jest zjednoczenie rozumu i wiary na usługę Kościoła i społeczeństwa ludzkiego. Główne wysiłki nowoczesnego *ateizmu* godzą w tę prawdę, iż wszelka wiedza, tak przyrodzona, jak i nadprzyrodzona zarówno od Boga pochodzi. Koryfeusze jego uczą i wmówić we wszystkich usiłują, że duch ludzki był początkiem i normą wszelkiej wiedzy, a wszelkie dogmata religijne plodem wyobraźni lub oszukaństwa. „Studia“ przeto zostały założone w celu odpierania tego szalonego zamachu na prawdę, którego nieuniknionem następstwem muszą być potworne zbrocenia i straszne ruiny.

Siedmioletnia przerwa w wydawnictwie spotęgować tylko mogła zapal i gorliwość dla świętej sprawy, którą przemoc brutalna przez dłuższy czas stłumiła. To dosyć mówi, ile redaktorowie tej nowej seryi „Studyów“ dołożyły zamierzają dobrej woli i pracy.

„Studia“ wychodzą 15 każdego miesiąca, w zeszytach obejmujących 10 arkuszy druku in 8° (160 stronnic), i w ciągu roku utworzą trzy spore tomy o 640 stronnicach. Prenumerata jest tylko roczna, ale rozpoczynać się może od 15 stycznia, lub 15 maja albo 15 września, tj. przy zaczęciu każdego nowego tomu.

Kosztuje rocznie: we Francyi 20 franków — w państwach należących do związku pocztowego 23 franki. Zeszyt pojedynczy 2 franki.

Wszelkie zgłoszenia dotyczące się prenumeraty nadsyłać należy do księgarni *Retaux-Bray, rue Bonaparte, 82, Paris*.

Wszelkie sprawy dotyczące redakcyi i zarządu przyjmuje dyrektor „Studyów“. *Le Directeur des Etudes religieuses, rue Monsieur, 15, à Paris*.

Główny skład w Krakowie w księgarni *S. Krzyżanowskiego*.

Prenumerata przyjmuje się od chwili tego ogłoszenia.

Dowiadujemy się, że znakomity autor „Spisu Senatorów, Paców“ i innych prac, zamierza wydać tom II. „Spisu Senatorów“, jako sprostowanie i dopełnienie tomu I. Oraz, że przygotowaną ma historję Sapiechów, początek rodu Radziwiłłów, Gasztoldów, Kniaziów Holszańskich i Dubrowickich, Wołowiczów, Ogińskich i t. d. Dla dobra nauki życzymy autorowi jak najprędszego zrealizowania tych pięknych zamiarów.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Pielgrzymka francuska. — Adres hr. de Mun. — Mowa Ojca św. — Wrażenie wywołane tą mową. — Papież „socjalistą”. — Mowa ministra Crispiego w Turynie. — Garybaldowska uroczystość. — Wotum budżetowej komisji w parlamencie francuskim. — Laicyzacja szkół. — Artykuł kardynała Gibbonsa. — Niebezpieczeństwa grożące Stanom Zjednoczonym północnej Ameryki.

Szereg pielgrzymek najważniejszych narodowości i warstw społecznych, spieszących oddać winny hołd Ojcu św. z okazji pięćdziesięcioletniego jubileuszu jego kapłaństwa, otwarła pielgrzymka francuskich robotników, przybyłych w połowie października do Rzymu w liczbie około dwóch tysięcy, pod przewodnictwem zasłużonego organizatora i prezesa katolickich kółek rzemieślniczych hr. de Mun. Dobrze i opatrnościowo się stało, pisały rzymskie katolickie gazety, witając miłych gości, że pierwsza pielgrzymka do Papieża, z którego pióra i ust wyszły, nie mówiąc już o encyklice o socyalizmie, tylekrotne zachęty dla wszystkich pracujących rozumnie około rozwiązania kwestji socyalnej, który, wedle słynnego wyrażenia O. Ventury, zrozumiał, że zadaniem Kościoła jest „ochrzcić dziką bohaterkę, — demokrację”; że pierwsza pielgrzymka do tego właśnie Papieża była pielgrzymką socyalną. I we Francji i we Włoszech i wszędzie, gdzie są ludzie zajmujący się żywiej wzruszającymi dziś w posadach tyle krajów pytaniami socyalnymi, wyczekiwano z niecierpliwością, co powie Papież zgromadzonym w około siebie robotnikom,

czy i w jakim kierunku dotknie piętrzących się w około tak ważnych, groźnych a trudnych do rozstrzygnięcia społecznych zagadnień. Adres odczytany na publicznej audyencji przez hr. de Mun, zwywał niejako Ojca św. do wypowiedzenia swego zdania o coraz bardziej szerzącym się i rosnącym ruchu społecznym, do wskazania ruchowi temu odpowiedniej drogi.

Na wstępie świetnej swej mowy przypominał hr. de Mun, na zgromadzoną przed trzema latami u stóp Papieża, pielgrzymkę francuskich przemysłowców, którzy zobowiązali się tutaj przywrócić w warsztatach swych i fabrykach królestwo wiary i obyczajów chrześcijańskich, łącząc w tym celu własne swe usiłowania z usiłowaniami swych robotników. Dzisiaj robotnicy sami, szczęśliwi i dumni z przypadłego im niespodziewanego zaszczytu, przychodzą z kolei, jak na pokornych synów przystało, prosić o błogosławieństwo z Ojcowskiej Twej ręki, aby niem wzmocnieni spełnić mogli należycie zadanie, które przypało im w dziele chrześcijańskiego odbudowania świata przez pracę ręczną. Skupieni koło papieskiego tronu, pod historycznymi sztandarami swoich prowincyj i pod chorągwią Kółek katolickich: jesteśmy przedstawicielami odradzających się świeżo na głos Waszej Świętobliwości, stowarzyszeń robotniczych, mających na celu, — stósownie do programu wzniosłemi Twemi słowami nakreślonego — „bronić pod opieką religii, interesów pracy i obyczajów robotników“. Zaufaliśmy w świętych tych słowach i nie czekając na pomoc skądinąd zawiązaliśmy nasze stowarzyszenia. Doświadczenie jednak codzienn bardziej poucza, z jakimi trudnościami walczyć muszą chrześcijańskie stowarzyszenia; jak pożytecznem, owszem koniecznem byłoby opiekuńcze prawodawstwo, bo z jego dopiero pomocą korporacye nasze stałyby się mogły podstawą owego uregulowania pracy, które za świadectwem historii, stałyby się mogło lekarstwem na dzisiejszą dezorganizację, zatamowałyby mogło choć w części źródło nieszczęścia i nędzy tak obficie płynące. Historia poucza, że za każdą razą, kiedy kwestya socyalna, wywołana radykalnemi zmianami w dziedzinie przemysłu, wystąpiła na jaw: Kościół i jeden Kościół umiał i chciał ją rozwiązać, wzywając na pomoc równie sprawiedliwość władz, jak i miłosierdzia wiernych. Dlatego i dziś katolicycy robotnicy, około tronu papieskiego skupieni, spoglądają z wdzięcznością i ufnością na wspólnego Ojca

chrześcijaństwa, pewni, że jego słowa i błogosławieństwo dopomogą im do otrzymania opieki prawa, wspierającego zbawienne dzieła na korzyść ich przedsięwzięte; i że w ten sposób, z pomocą Papieża los swój polepszywszy, mieć będą wszelkie potrzebne ułatwienia do prowadzenia życia prawdziwie chrześcijańskiego, do należytego wychowania dzieci i zabezpieczenia sobie w tem życiu uczciwej starości, w przyszłym niebieskiego spoczynku i wesela.

Na adres ten odpowiedział Ojciec św. w dłuższej, programowej mowie, z której tutaj dla niezmiernej ważności poruszonych kwestyj, przytoczymy głównejsze ustępy, tem bardziej, że na mowę tę w kraju naszym zbyt mało podobno zwrócono uwagi, a nawet nie wszystkie dzienniki miały o niej jakkolwiek wyczerpujące sprawozdanie:

„... Winszujemy wam, drodzy synowie, tego publicznego aktu wiary, tego uroczystego zatwierdzenia religijnych waszych uczuć. „Winszujemy i cieszymy się w szczególności z udziału, który bierzecie — jak to nam przed chwilą zapewniał wymowny tłumacz „myśli i uczuć waszych — w dziele chrześcijańskiego odrodzenia „świata pracy. W tem to odrodzeniu i w tem zwrocie do zasad „chrześcijańskich, do nauk Kościoła katolickiego i widomej jego „głowy, leży wyłącznie rozwiązanie tak blisko was obchodzących „kwestyj społecznych. Kościół zawsze i w każdym czasie, powtarzamy to tutaj z radością, zajmował się troskliwie i jakby zazdrośnie losem warstw ubogich i robotniczych. Kościół, głosząc „przechowywane wiernie przez siebie nauki, uszlachetnił pracę, podnosząc ją do wyżyn godności i wolności ludzkiej; zmienił ją w „sługę przed Bogiem, ucząc robotnika uświęcać swą pracę pamięcią „na prawdy nadprzyrodzone, ucząc go znosić ze spokojem i w duchu pokuty, przykrości i trudy, które nań nakłada. Z drugiej „strony Kościół przypominał zawsze bogatym i możnym, ciążący „na nich obowiązek wspomagania swych braci uboższych, i szanowania w nich ludzi i chrześcijan. W czasach, w których ludy „mniej słuchały i bardziej posłusznymi były głosowi Kościoła, kiedy „wolność jego działania na mniejsze napotykała przeszkody i kiedy „mógł rozporządzać znaczniejszymi środkami, Kościół przychodził „w pomoc ubogim i robotnikom nie tylko hojnym miłosierdziem, „lecz także tworząc i wspomagając wielkie one korporacyjne instytucje, które tak potężnie przyczyniły się do postępu sztuk i rze-

„miał, a zarazem samymże robotnikom dostarczały więcej, niż dzisiaj mają, wygod i dobrobytu. Tego ducha macierzyńskiej troskliwości wszczepił Kościół w obyczaje ludów; natchnął nim statuta i urządzenia miast, rozporządzenia i prawa wszystkich władz publicznych.

„Interwencya i działalność tych władz nie są bez wątpienia niezbędnie koniecznymi wtedy, kiedy do warunków regulujących pracę i wykonywanie przemysłu nie domieszało się nic obrażającego moralność, sprawiedliwość, godność natury ludzkiej, rodzinne pożyście robotnika; lecz skoro które z tych dóbr jest zagrożonem i narażonem na szwank, natenczas władze publiczne, wkraczając w odpowiedni sposób i w należytej mierze, pracują nad zbawieniem społecznem, bo obowiązkiem ich jest bronić i opiekować się prawdziwymi interesami poddanych sobie obywatelów.

„Zresztą czego Kościół uczył i co dawniej działał, to samo i dzisiaj głosi i urzeczywistnić się stara. Niestety! zbyt wielu, zamiast wspomagać dobroczynną jego działalność, energicznie a uporczywie jej się sprzeciwia, i z tego to powodu usiłowania Kościoła nie odnoszą tych co dawniej skutków. Pomimo tego Kościół nie przestanie zajmować się wami, ukochani synowie, waszymi prawdziwymi interesami i słusznymi żądaniami. I my od samego początku pontyfikatu naszego mieliśmy was na myśli, przypominając ludom fundamentalne zasady porządku społecznego. Następnie nie spuszczaaliśmy z oczu i z bacznej uwagi prac i uchwał kongresów, obradujących kolejno we Francyi, Włoszech, Niemczech, a w ostatnim czasie w Belgii i Szwajcaryi; a z pewnością i na przyszłość nie zaniechamy dla polepszenia waszego losu niczego, czego tylko urząd nasz i ojcowskie uczucie, w sercu żywione, domagać się będzie.

„Tymczasem, ukochani synowie, nie dajcie się zwieść na nowe kłamliwemi obietnicami apostołów bezbożności i fałszu. Przyjdą oni do was, ukrywając się pod kłamliwą postacią i starać się będą odciągnąć was pochlebstwami od Kościoła i od wykonywania obowiązków religijnych. Usiłować będą wciągnąć was na tajemne swe zebrania, podburzać do chwytania się gwałtownych środków w celu polepszenia waszego losu ze szkodą całego społeczeństwa. Przed takimi ludźmi miejcie się na baczności; zamy-

„kajcie uszy na podstępne ich, złośliwe nanowy. Słuchając ich słów i idąc za nimi, narazilibyście się na wiele gorzkich zawodów i pracowałibyście nad własną swą zgubą.

„Pozostańcie, synowie moi, wiernymi Bogu i Kościołowi jego. Zachowujcie i wyrzycie w sercach waszych zbawienne nauki, podane wam przez wiarę i chrześcijańską moralność. Prawdy te i nauki niechaj wam służą za normę we wszystkich sprawach i czynach życia całego, a w godzinie cierpienia i zamieszania znajdziecie w nich zachętę, siłę i pociechę, wspólną z nadzieją osiągnięcia w nadgrodzie dóbr zgotowanych wam w życiu przyszłym“.

Mowa Ojca św., poruszone w niej pytania, jawne oświadczenie się za „w odpowiedni sposób i w należytej mierze“ pojętą interwencją państwa w walce kapitału z pracą; wezwanie państw i rządów, aby stosownie do miejsc i okoliczności, wzięły pod swoją opiekę słabszych i potrzebujących i nie dozwalały na niesprawiedliwe wyzyskiwanie ich potrzeb i mozołów: były nowym dowodem, że Kościół, ten naturalny opiekun wszystkich ubogich i słabych, nie wyrzekł się historycznej swej opatrnościowej roli, lecz jak dawniej tak dzisiaj jest najlepszym, rzeby można, jedynym obrońcą i rozszerzycielem rozumnej równości, prawdziwego chrześcijańskiego braterstwa i wolności nie dla kilku wybranych, jaką głoszą tak zwani *liberali*, lecz dla wszystkich bez wyjątku. Nie dziw, że programowa, obejmująca tak szerokie horyzonty, tak chrześcijańskim duchem natchniona mowa Ojca św. wywołała niezmierne zajęcie się i szczery podziw u tych nawet, którzy z tej lub z innej przyczyny nie godzili się bez zastrzeżeń na wszystkie jej wnioski.

Parę gazet, chcąc osłabić wrażenie słów papieskich, zawołało na pół ironicznie, na pół z pewnem faryzeuszowskiem ubolewaniem: „Leon XIII. przeszedł do obozu socyalistów!“ — „Papież socyalistą!? odpowiada liberalna *Italie*. Nazwijcie go, jak się wam podoba; ale socyalizm Papieża jest dobrym socyalizmem; to chrześcijański socyalizm, ograniczający się do rad mądrych a roztro-
pnych... Socyalizm ten stara się zapobiedz i zatamować groźne niebezpieczeństwa płynące z kwestyi socyalnej, nie tylko z pomocą środków zostających w ręku Kościoła, które same dzisiaj wystarczyćby nie mogły, ale również z pomocą praw i odrębnych stowarzyszeń. Co się nas tyczy, z całego serca przyklaskujemy tego ro-

„dzaju socjalizmowi i mowie papieskiej“. Przerażona *Opinione* uderzyła na alarm, wzywając liberałów, aby raz wreszcie zajęli się na seryo kwestyą socyalną, bo inaczej Kościół ich ubiegnie i znów przypisywać sobie będzie wyzwolenie dzisiejszych niewolników, jak przypisuje sobie wyzwolenie dawnych. Nie mniej jasno, choć o wiele szlachetniej, wyraża się liberalny i protestancki *Morning Post*, bardzo zazwyczaj Kościołowi katolickiemu i Stolicy św. nieprzychylny, a stąd używający wielkiego wpływu w liberalnych kołach włoskich.

„Wszystkie dokumenty, pisze wspomniany protestancki dziennik, wyszłe „z pod pióra i z ust Leona XIII., a na pierwszym miejscu ostatnia jego mowa, „świadczą o ciągłym jego staraniu się, aby dogmaty kościelne pojednać z rzeczywistymi potrzebami i wymaganiami społeczeństwa... Nie podobna rzeczywiście obronić się przed uczuciem wewnętrznego zadowolenia, widząc, jak naczelnik Kościoła, rozbierając najpoważniejsze zagadki społeczne, używa języka „mogącego wzruszyć serca i przekonać umysły współczesnych“.

W podobnym tonie, z najwyższem uznaniem odezwały się najpoważniejsze organa niemieckie i austryjackie; a znany redaktor wiedeńskiego *Vaterlandu*, br. Vogelsang, korzystając z powszechnego zainteresowania umysłów pytaniami przez Papieża poruszonymi, założył osobny tygodnik poświęcony wyłącznemu rozbirowi kwestyi socyalnej, naturalnie z punktu widzenia wyrażnie katolickiego. Najgłośniejsze jednak echo znalazły słowa Ojca św. we Francyi, czującej dobrze, że jeśli kiedy, to dzisiaj, w przeddzień stuletniej rocznicy wielkiej rewolucyi, potrzebują koniecznie zaradczego jakiegoś, a o ile można, radykalnego środka przeciw coraz groźniej i coraz bliżej odzywającej się, czerpiącej pokarmu i zachęty z nadchodzącej rocznicy socyalistycznej burzy. Jakkolwiek jeszcze szanujące się dzienniki jak *le Temps*, *la Paix*, *les Débats*, nie mówiąc, rzecz prosta, o dziennikach szczerze katolickich, poświęciły długie artykuły mowie Ojca św., a choć nie na wszystkie wnioski jego się godziły, choć z pewną niechęcią i niedowierzaniem wyrażały się o błogim wpływie Kościoła, na uregulowanie stosunków społecznych, to przecież przyznawały zgodnie, że myśli podane przez Leona XIII. domagają się głębokiego zastanowienia, i że nasienie, rzucone w umysły z wysokości Piotrowej Stolicy, wyda, choć nie wszystko może i nie w najbliższym czasie, piękne a obfite owoce. W każdym razie i jakiekolwiekby kto miał w tej mierze osobiste zdanie, mowa papieska stanowi przełom, rozpoczyna niejako nową

erę w historii społecznych stosunków; dzisiaj trudno jeszcze przewidzieć i wyliczyć wszystkie jej następstwa, ale i dzisiaj bez zawahania się powiedzieć można, że następstwa te będą ważne, a da Bóg, szczęśliwe.

W kilkanaście dni po mowie Ojca św. do pielgrzymów francuskich, miał prezes ministerium włoskiego, Crispi, na osobno w tym celu wydanym bankiecie w Turynie, długą polityczną mowę, która, wedle zapewnień przyjacielskich dzienników, miała być „największym wypadkiem w dziejach włoskiego parlamentaryzmu“. Już na parę tygodni przed bankietem, ogólna ciekawość podrażniona była pytaniem: „Czy i co powie Crispi, zwłaszcza w obec zbliżającego się jubileuszu i gotujących się po całym świecie manifestacyj na rzecz Ojca św., o stosunku urzędowych Włoch do Papieństwa, rządu króla Humberta do głowy katolickiego świata?“ Crispi, jak przystało na dawnego, doświadczonego spiskowca, rzucił kilka jadowitych słów na „niezawsze dość chrześcijańskie czyny Watykanu i Watykanistów“, a przygotowawszy tak sobie grunt fałszem i obelgą, wypowiedział parę dość zręcznie ukutych, do nieczego zresztą nie obowiązujących frazesów. Zapewniwszy, że wszystko cokolwiek rząd czynił i czynić będzie, natchnionem było i będzie miłością wolności i szacunkiem prawa, mowca ciągnął dalej:

„W tenże sam sposób i w tym samym kierunku postępować będzie rząd względem Kościoła, używającego we Włoszech większej i bardziej zabezpieczonej wolności, niż w jakimkolwiek innym państwie. Nie myślimy wolności tej zmniejszać; chcemy tylko, aby za nasze względy i szacunek płacono nam tąż samą monetą. Wszyscy o tem doskonale wiedzą, i nikt nigdy nie zamarzył, nikt nie pomyślał, o wywarciu na nas w tym względzie jakiegoś, choćby tylko moralnego gwałtu“.

Minister włoski zmieszał, jak słusznie zauważono, nie bez rozmysłu dwie zupełnie różne kwestye: prawdziwej czy wrzekomej wolności zostawionej ogólnie Kościołowi we Włoszech i niepodległości papieskiej, interesującej w najwyższy sposób wszystkie chrześcijańskie mocarstwa. W tej chwili drugą z tych kwestyj najbardziej są umysły zajęte; w obec ruchu objawiającego się w tej mierze w całej Europie; w obec petycyj do parlamentu zbieranych przez włoskich katolików; w obec jednogłośniego uznania wszystkich rozumnie myślących, że Włochy, jeśli własne dobro leży im na sercu, muszą czempredziej przystąpić do opartego na słuszności

rozwiązania kwestyi rzymskiej: spodziewano się i spodziewać się było można, że Crispi da jakieś wyjaśnienia w tej mierze, oświadczy się za pojednaniem, lub za dalszą walką z Papiestwem. Mowca nie uczynił ani jednego, ani drugiego; wspomniał o tem i o tamtem; przesłizgnął się jakby od niechcienia koło sprawy zajmującej gorączkowo Włochy i świat cały; i jakby uwierzył w słowa, które na rozkaz jego powtarzają urzędowe dzienniki rano i wieczorem, na wszystkie tony, w dłuższych i krótszych artykułach: „Kwestya rzymska nie istnieje“, udał, że przechodzi nad kwestyą tą do porządku dziennego. Nic nad to łatwiejszego, ale trudno w ten sposób kogobądź zadowolnić i istotnie Crispi, prócz tych, którzy z urzędu chwalić musieli, nie zadowolnił nikogo. Najpoważniejsze, nie podejrzane zresztą o stronnictwo dla Papieża organy, jak republikańska *la Paix*, protestancki *Journal de Genève*, rosyjski *Nord*, Bismarkowska *Koelnische Zeitung*, zaprotestowały w grzecznej, lecz nie mniej wyraźnej formie przeciw wyrażeniom i zapatrywaniom się Crispiego odnośnie do Watykanu.

„Co się tyczy Kościoła, tj. Watykanu, pisze *Nord*, p. Crispi zapewnił, że nikt nigdy nie myślał i myśleć nie będzie o mieszanju się w wzajemne stosunki Kościoła z państwem włoskiem. Zapewnienie to miało być odpowiedzią na przeciwne wnioski, które można było wyciągnąć z pewnych słów i kroków uczynionych w różnych epokach przez p. Bismarka; ale kto za wiele chce dowieść, ten naraża się na to, że niczego nie dowiedzie i kto wie, czy p. Crispi bardzo nie osłabił wartości swego twierdzenia, rozciągając je bez zastrzeżeń, równie na przeszłość, jak i na przyszłość. Zwłaszcza w podobnej materji z wielką ostrożnością używać trzeba słówka nigdy, bo zbyt łatwo narazić się można na wciągnięcie go do jednego szeregu ze słynnem nigdy p. Rouhera. Przedstawiciele rządu włoskiego nie po raz pierwszy zapewniają, że Kościół używa we Włoszech zupełnej wolności i bezpieczeństwa; tymczasem w Berlinie zapewnienie to znalazło, podobno na chwilę, bardzo wielu niedowierzających, a nawet i takich, co mu wprost przeczyli.“

W podobnym, tylko w ostrzejszym jeszcze tonie odezwała się i streściła wrażenie odniesione w kołach dyplomatycznych, po mowie Crispiego, wiedeńska *Correspondance politique*:

„O tem wszystkiem, co minister-prezydent powiedział na temat „kwestyi rzymskiej“, lepiej zamilczeć, bo dziennikarskie roztrząsania tej sprawy nic jej w tej chwili nie pomogą. Pomimo tego nie podobna wstrzymać się od jednej uwagi nad słowami p. Crispiego. Minister-prezydent odważył się powiedzieć, że Kościół używa we Włoszech większej i zupełniejszej wolności, niż gdziekolwiekby indziej. Wszyscy, słysząc to zapewnienie, osłupieli ze zdziwienia. Zresztą zbytecznem by było przeciw słowom tym walczyć i fałsz ich

okazywać, bo żadnych innych dowodów nie potrzeba, jak tylko przywieść sobie na pamięć fakta: owe bezustanne zniewagi ciskane przez radykalną prasę włoską na Kościół i Ojca św. A w ostatnich dniach, czyż, z okazji jakiegś garybaldowskiej uroczystości obchodzonej w Rzymie, nie miały może miejsca wrogie ponad wszelki wyraz manifestacye przeciw Papięzowi; czyż świeżo przybyli do Rzymu pielgrzymi francuzcy nie zostali haniebnie zelżeni?*

Wiedeński dziennik, mówiąc o niedawno temu święconej garybaldowskiej uroczystości, miał prawdopodobnie na myśli wiec włoskich radykałów, zebrany w ostatnich dniach października w *Villa Gloria*, który zresztą pod względem gwałtowności tonu, nielogiki mowców i śmieszności czynionych zarzutów, niczem nie wyróżniał się od zbyt licznych swych towarzyszków. Jak zawsze tak i tą razą potoczył się strumień szumnych i brzmiących słów na temat „krwi męczenników wylanej za wolność“, „pijawek wysysających krew ludu“, „zbrojców w żółtych rękawiczkach“, „spruchniałego, gnijącego tronu Papięzów“, „wroga wszelkiego postępu spiskującego w Watykanie“, „księdza wślizgującego się wszędzie i czekającego na sposobną chwilę, do spełnienia czarnych swych planów“. Od czasu do czasu odzywały się okrzyki: „Precz z Watykanem, precz z Austryą!“. „Z powrotem do domu opowiada *Messagero*, nie wiedzieć, „naïwnie czy ironicznie, nie ważniejszego nie zdarzyło się; rozdawano tylko rozmaite druki, zawierające nawoływania do zemsty, i do mordu, a wymierzone przeciw bardzo wysoko położonym osobistościom“. W podobnym duchu i podobnemi mowami święcili w pierwszych dniach listopada dawni Garybaldzcy dwudziestoletnią rocznicę bitwy pod Mentaną. „Obywatele, wołał profesor Pannesi, walka się zbliża, a walka będzie straszną. Z jednej strony staną patryotyzm i wiara; z drugiej strony rząd, Kościół, forum, koszary, ambony i banki“. „W błędzie jest, dowodził półkownik „Majocchi, kto mniema, że zabrawszy Papięstwu władzę doczesną, „można je teraz cierpieć i tolerować. Nie, — zniszczyć je należy „aż do fundamentów; żadnego nawet śladu po niem nie zostawić, „bo stoi ono na ustawicznej przeszkodzie wszelkiemu porządkowi „społecznemu“. Najjaśniej może wyraził myśl zgromadzonych zecer Corradelli: „Demokracja zbrojną ręką zdobyć powinna swe prawa; „trzeba umieć walczyć, a w danym razie i umrzeć!“. Jak obecny komisarz policyjny mógł cierpieć wszystkie te zniewagi odnoszące się w równej mierze do Watykanu jak i do kwirynału; jak mógł

wtedy tylko głos podnosić, kiedy który z mowców zbyt śmiało przeciw Austrii wystąpił: to należy już do tajników rządów dawnych spiskowców, zasiadających dziś na ministeryalnych fotelach. Inna rzecz, czy porządek społeczny i interes dynastji wyjdą dobrze na tego rodzaju, bądź co bądź niemoralnem pobłażaniu.

Komisya budżetowa w parlamencie paryskim zakwestyowała ponownie dalsze utrzymanie ambasady francuskiej w Watykanie, wiedząc i spodziewając się, że wotum jej nie rozumne i dla samejże Francji najzgubniejsze, nie przejdzie w pełnej izbie, ale rada, że przy tej sposobności zmanifestować może swe antykościelne sympatye.

Czyż dzisiaj odpowiednia chwila, pyta słusznie organ Grévy'ego, la *Paix*, zrywać stosunki nasze z Watykanem, kiedy wszystkie inne mocarstwa doń się zbliżają, i starają się o jego poparcie, aby w ten sposób zjednać dla siebie katolików?⁴

„Papież, odpowiada niejako *Figaro* na to zapytanie, Papież zamknięty w Watykanie, rozmyślający nad mądrymi kombinacyami, które uczyniły zeń napowrót potęgę polityczną pierwszego rzędu, Papież jest bez porównania potężniejszym, niż król belgijski, król holenderski, lub królowa hiszpańska, do których przecież i nadal posyłać i płacić będziemy naszych ambasadorów. Lub czyż może, jak to zaznaczyło kilka radykalnych dzienników, chcecie ukarać Papieża za utrzymywanie stosunków z Bismarkiem? Wtedy dopuścilibyście się najkolosalniejszego ze wszystkich głupstw możliwych... W gruncie rzeczy, deputowani wotujący za tym wnioskiem, nie będącym ani na czasie, ani na miejscu, nie patrzyli tak daleko przed siebie: chcieli tylko po prostu zabawić się płatając niewinnego figielka, a nadto pielęgnując podziwienią godną nieznamość rzeczy i stosunków, w której żyją i obracają się nowe warstwy parlamentarne, nie zastanowili się podobno nad ważnością i znaczeniem watykańskiego poselstwa. Spodziewajmy się, że inni oczy im otworzą i że Francya, tak już odosobniona w Europie nie lubiącej jej i nie rozumiejącej, nie wyzuje się dobrowolnie z wszelkiego uczestnictwa w działalności i propagandzie katolickiej*.

Tego roku ambasada w Watykanie przetrwa wymierzone przeciw niej szturmy; ale jak długo jeszcze stan taki potrwa, do czego wreszcie doprowadzi ta powtarzająca się peryodycznie, brzydka i niemoralna gra, w której honor i dobro Francji raz po raz na jedną kartę z dziwną lekkomyślnością są stawiane? Tymczasem dla prześlągnięcia radykalów, rząd Rouviera zlaicyzował w przeciagu pięciu tygodni, od 1 września do 6 października, 100 szkół, nie pytając, a często wbrew wyraźnym i energicznym protestom gmin. Radykali nie dali się prześlągać; po dopełnieniu jednej niespra-

wiedliwości domagają się nowej, wiedząc, że prowadząc rząd do złych czynów, kopią pod nim grób i to grób niesławny. Biedna nasza Francya! woła ze sztuczną boleścią *Journal des Débats*. Parlament, ministrowie, urzędnicy, cała maszyna rządowa pracuje i przemyśliwa nad tem, jak ze spokojnego i dobroczynnego klasztoru wypędzić siostry uczące, ze szpitalów wypędzić siostry miłosierdzia; a jednocześnie ludność we Francyi przerażająco topnieje, w samym Paryżu błąka się po ulicach 5000 patentowanych młodych nauczycielek bez chleba; ci sami, którzy na miejskich trybunach najenergiczniej domagają się laicyzacji szkół, powierzają w ciichości swe dzieci opiece zakonników i zakonnic, podczas gdy szkoły zbudowane i utrzymywane z szalonymi kosztami przez rząd, świecą pustkami. Dokąd zajdziemy na tej drodze? pytają z żalem i niepokojem wszyscy rozumniejsi Francuzi. Skandaliczny orderowy proces, rozgrywający się w tej chwili przed izbą paryską, jest poniekąd smutną odpowiedzią na to pytanie.

Jakie niebezpieczeństwa grożą społeczeństwu i wierze w Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki; dokąd zejść byśmy mogli na drodze, którą dziś kroczymy, jeżeli spostrzegłszy się dość wczesnie, nie użyjemy możliwych środków do zwalczenia złego?: — oto pytanie, które z męską otwartością zadał sobie kardynał Gibbons, patriota w prawdziwym a najlepszym tego słowa znaczeniu i odpowiedział na nie w obszernym artykule umieszczonym w październikowym zeszycie bardzo rozszerzonego *North American Review*. Stwierdziwszy, że gdzie życie rodzinne gaśnie, tam i państwo chyli się ku koniecznemu upadkowi; gdzie nie ma moralności w rodzinach, tam nie można spodziewać się moralności w zarządzie spraw publicznych; wylicza dostojny autor główne niebezpieczeństwa grożące w tej chwili Ameryce, a z których jak ze źródła wypływają: „nienasycone nasze pragnienie zysku, kolosalne bogactwa obok „strasznej nędzy; zbytki i dziwactwa bogatego, niezadowolenie ubo- „giego; żadnymi względami nieokiełzane życie“. Głównymi temi źródłami złego w Ameryce są: mormonizm i rozwody; niedokładny a błędny system wychowania; nieświęcenie niedzieli; oszustwa popelniane przy wyborach; przewlekające się w nieskończoność, a zatem złe wykonywanie sprawiedliwości. Nad każdym z wyliczonych źródeł zastanawia się kardynał obszernie a praktycznie; nie mogąc

przytoczyć wszystkich tych wywodów. streścimy je przynajmniej w najgłówniejszych rysach, tembardziej, że uwagi w nich podane, a same z siebie ciekawe, zastosować się dadzą pod niejednym względem i do naszych stosunków.

Mormonizm jest prawdziwą raną Stanów Zjednoczonych: odbiera ufność i poważanie rządowi, poniża kobietę, jest policzkiem i groźbą wciąż wymierzoną przeciw świętości małżeństwa. Środki użyte przez rząd i społeczeństwo są zupełnie niedostateczne; emisaryusze mormońscy szerzą swe zasady bez obawy; pomnażają swe zaciągi w Anglii, Szwecyi, Danii, Szwajcaryi i zalewają nimi biedną naszą ojczyznę. Nie mniejszem złem, kto wie czy nie większem, bo osłoniętem protekcyą prawa, jest łatwość rozwodów. Każdy stan ułożył sobie w tym względzie księgę nie praw, lecz „pretekstów“; w paru stanach udzielenie rozwodu zależy wyłącznie od widzimisię sędziego. Obok mormonizmu i rozwodowego prawodawstwa stanąć może bez zbyt silnego rumieńca, fałszywy a ogólnie niemal przyjęty system wychowania. „Wychowywać“, to znaczy rozwijać władze duszy, władze i zdolności rozumowe, moralne i religijne. System wychowania przemawiający wyłącznie do rozumu i pamięci a nie troszczący się o religię i moralność, jest systemem złym, błędnym, szkodliwym. Dobrze mówi Webster: wychowanie artystyczne jest pożytecznem, wychowanie religijne jest niezbędnem. Kto ustanawia rozwód między jednym a drugim, między świeckiem a religijnem wychowaniem; kto dzieci kształci li tylko dla świata, a nie dla Boga, ten duszy ludzkiej straszny cios zadaje. Jak nogi dla ciała, tak wychowanie, przeszkadzające sparaliżowaniu władz moralnych, potrzebnem jest dla duszy. Cóż więc praktycznie uczynić należy? Przyjąć w szkołach naszych publicznych zasady, któremi rządzą się obecnie szkoły kanadyjskie.

Innem niebezpieczeństwem grożącym Stanom Zjednoczonym jest gwałcenie chrześcijańskiego szabatu, gwałcenie wytepiające w umysłach zbawienną bojaźń i cześć winną Bogu. „Nie-
„zaprzeczonym jest faktem, pisze dosłownie kardynał, że nieprzy-
„jaciele religii są zarazem jawnymi wrogami chrześcijańskiego
„szabatu. Widziałem w stolicach europejskich niedzielę zbesz-
„czeszczoną. Przez kogo? przez tych ludzi, którzy straciwszy poczu-
„cie religijne, chełpią się ze swej bezbożności i z potem czoła pra-

„cują nad wytępieniem chrześcijaństwa. Jeżeli w Baltimore nie wi-
„dać jeszcze w niedzielę kopiących fundamenta, budujących domy,
„tak jak to się dzieje po wielkich miastach europejskich, to jednak
„w ostatnich 25 latach część dla dnia świętego bardzo się i u nas
zmniejszyła“. A jednak jakież nadzwyczajne korzyści pod wzglę-
dem religijnym, społecznym, indywidualnym płyną z wiernego świę-
cenia niedzieli. Dzień święty dla duszy jest tem, czem noc dla ciała;
jest dniem dobroczynnego odpoczynku, żywym świadkiem objawie-
nia; dniem radości, miłosierdzia; węzłem miłości między wiernymi
zgrupowanymi przed tym samym ołtarzem.

Wybory mają być oznaką woli wolnego narodu; tem groźniej-
szem jest powtarzane w ostatnich czasach raz po raz ostrzeżenie
przed „wyborczem oszustwem“. Bez wątpienia oskarżenia tego ro-
dzaju są nieraz po prostu tylko rozpaczliwym okrzykiem zwyciężo-
nego stronnictwa, ale skądinąd wiadomo, że wielu zbyt już dobrze
znanymi środkami dopuszcza się najrozmaitszych oszustw przy wy-
borach i to nieraz z powodzeniem. Różne są przyczyny tego złego;
najbardziej jednak winnymi są dobrzy i sumienni obywatele, któ-
rzy zbyt łatwo zraziwszy się pewnemi trudnościami, przestają się
troszczyć o sprawy polityczne i nie biorą udziału w kampanii wy-
borczej. W ten sposób machina rządowa wpada w brudne ręce po-
lityków z profesyi; oszukaństwa się mnożą; instytucje narodowe
się chwieją. Szczęściem widać już na tym punkcie pewien szczę-
śliwy zwrot; dobrzy spostrzegają, że nie wolno im cofać się od
spełniania publicznych obowiązków, niemniej ważnych i na sumie-
niu cięższych, jak obowiązki prywatne.

Bardzo nakoniec źle i zgubnie działa zbyt wolne i niedosta-
teczne wykonywanie sprawiedliwości; zbyt długi przeciąg czasu zo-
stawiony zazwyczaj między wydaniem a spełnieniem wyroku na
zbrodniarzu. Życie ludzkie jest rzeczą świętą, lecz nie mniej świętą
jest chwalebna czujność, aby inni życiem ludzkim nie pomiatali.
Kiedy zbrodniarz został na śmierć skazanym, mimo wszelkich wy-
silków adwokata, aby klienta swego w szaleńca przemienić, naten-
czas występki powinien ponieść należną mu karę. Ciągłe apelacje
od jednego sądu do drugiego; wyszukiwanie bez końca przyczyn
uniewinniających; odwoływanie się do łaski gubernatora i łatwość
uzyskania tej łaski: stanowią cały, przesadny i niezdrowy system

protekeyjny; sądy przysięgłych tracą w ten sposób na powadze, sprawiedliwość na należnym szacunku. Po sumiennie i dokładnie przeprowadzonym procesie, nastąpić winno szybkie wykonanie wyroku: a wtedy zbójcy obawiać się będą sądów, ustaną sarkania przeciw powolnej sprawiedliwości, znikną coraz bardziej grasujące ohydne zemsty prywatne, sumienie publiczne będzie zadowolone.

Oto treść głośnego a znakomitego artykułu kardynała Gibbonsa. Bez wątpienia wiele złego jest, wiele niebezpieczeństw grozi Stanom Zjednoczonym; ale bądź co bądź szczęśliwy kraj, którego synowie mogą i chcą z taką otwartością, z głębokiej miłości płynącą, wskazywać na niedostatki ojczystych urządzeń i najlepsze, na Bogu i wierze oparte, podawać na nie lekarstwa, a których słowa, choć z ust katolickich kapłanów płynące, nie napotykają na lekceważenie, obojętność lub niechęć, lecz na szczere uznanie i powszechną wdzięczność.

Ks. Jan Badeni.

Ze świata nauk, odkryć i wynalazków.

Ostatnie zaćmienia. — Tajemnicza siła pana Thore. — Ciekawy sposób działania lekarstw na organizm ludzki. — Telautograf. — Kryptografia zdyskredytowana.

W ostatnich czasach astronomowie nie mogli się skarżyć na brak osobliwych i ważnych dla nauki zjawisk. W pierwszej połowie minionego sierpnia częściowe zaćmienie księżyca, w drugiej zaś, od dawna w naszych stronach niewidziane, zaćmienie słońca, wielkie budziło zainteresowanie. Zaćmienie słońca zwłaszcza, już to dla swej osobliwości i nadzwyczajnych fenomenów, które mu zwykle towarzyszą, już to dla niezmiernego wpływu, jaki w dzisiejszych czasach wywiera na rozświecenie i rozwiązanie najważniejszych zagadnień astrofizyki, daleko więcej niż księżyc zaciekaowało tak profanów jak i adeptów w dziedzinie astronomii. Pierwsi wprowadzie oczekiwali tylko nowych wrażeń i osobliwości, ale zato drudzy tj. astronomowie z powołania, daleko większe w tym zjawisku pokładali nadzieje. „Dziś bowiem, jak słusznie powiedział kiedyś prof.

Young¹, gdy tak dokładnie znamy : masę, wymiary i ruchy słońca ; to jednak o jego składzie chemicznym bardzo mało wiemy ; tak dalece, że gdy zapytamy o przyczyny tylu zadziwiających zjawisk na jego powierzchni, o plamy jakie na nim widzimy, i o ich peryodyczny ruch, odbieramy odpowiedzi wręcz sobie przeciwne, choć pochodzące od ludzi, co całe swe życie badaniu słońca poświęcili“. Bardzo wiele z tych tajemnic rozświecić, a przez to samo rozwiązać powyższe pytania i spory astrofizyków uśmierzyć miało ostatnie zaćmienie. Lecz nie mniejsze spodziewali się odnieść korzyści i astronomowie w ścisłym znaczeniu słowa, bo była to chwila, która mogła ostatecznie rozstrzygnąć kwestyę hipotezy Le Verrier'a. Ten bowiem, na podstawie posuwania się peryheliów Merkurego, przypuszcza, istnienie nowej planety, bardzo zbliżonej do słońca, i dlatego w zwykłych stosunkach wcale niewidzialnej.

Nie dziw więc, że uczeni z całym zapalem gotowali się na to nadzwyczajne widowisko, które miało być dane dnia 19 sierpnia o godzinie 5 minut 24, sekund 50·6 rano. Sceną, naturalnie miało być niebo — miejsce dla widzów zbyt obszerne, bo północne Niemcy Polska, Rosya, Syberya i Japonia. Jednak tylko Moskwę, brzegi Wołgi i Tobolsk uznano za najlepsze stanowisko do spostrzeżeń ; gdyż na tej przestrzeni zaćmienie miało trwać najdłużej, bo aż 3 minuty i 50 sekund. W tych to więc stronach urządzili sobie uczeni obu światów *rendez-vous*. Pracę rozdzielono między siebie: pp. Young i Tacchini mieli się zająć spektroskopią ; panu Copeland i Ojeu Perry przypadła czynność zdejmowania fotografii spektra i korony ; p. Glasnapp miał szukać nowej planety ; a panu Struvemu polecono badać średnicę słońca ; po wszystkich wreszcie obserwatoryach miały być czynione spostrzeżenia meteorologiczne i zdejmowane fotografie zaćmionego słońca. Dwa balony nawet, jeden o objętości 700, drugi 1000 metrów sześciennych, przygotował cesarski instytut techniczny w Twerze. Używać ich mieli profesor Zwierincew i Mendlejew do spostrzeżeń po nad chmurami. Uczyniono zatem wszystko, na co tylko umiejętność, dziś tylu środkami władająca, mogła się zdobyć.

A jeśli które, to to ostatnie przygotowanie okazało się najpraktyczniejszym, bo niebo, jakoby zazdrosne o swe tajemnice, po-

¹ Na konferencyi „Association américaine“ w Filadelfii r. 1884.

włókłszy się gęstą oponą chmur, bardzo mało z zaćmienia dozwoliło dojrzeć. Kilka tylko deseni i trzy fotografie korony zdołał zdjąć p. Glasnapp, toż samo udało się pp. Stanojewiczowi i Kononowiczowi; na brzegach Wolgi widziano protuberencye, a nie widziano korony; i oto jedyny owoc i cała naukowa zdobycz tylu starań, zabiegów i trudów. I tak okazało się najdowodniej jak człowiek, mimo tylu wynalazków, narzędzi i usiłowań, słabą jest bardzo istotą i od nadziemskich rzeczy najzupełniej zależną. Zabawnie jednak pocieszyli się w tej słabości ludzkiej Berlińczycy. Oto na widok zachmurzenia rozlepiono po rogach ulic afisze donoszące, iż zaćmienie z powodu niepogody odkłada się do następnej niedzieli. Lecz zaćmienie to nie festyn ludowy, one trzy minuty upłynęły szybko, księżyc i ziemia pomknęły dalej swemi drogami, wreszcie i chmury się rozeszły i znów obaczyliśmy wesołe wprawdzie i rozpromienione oblicze naszej gwiazdy, ale pełne jak dotychczas zagadek i tajemnic.

Nie mniejsze zajęcie od słońca obudza dziś w naukowym świecie pewna zagadkowa siła organizmu ludzkiego. Odkrywcą jej jest p. Thore, który też bardzo wiele poczynił doświadczeń w tej mierze. Zasadniczy eksperyment, który zaprowadził uczonego francuskiego na to nowe pole badania, był następujący: mały walec z kości słoniowej zawieszony był na nitce jedwabnej nieskręconej. Walec ten, gdy się doń zbliżało trzymaną w rękę laseczkę również z kości słoniowej, wykonywał ruch obrotowy w kierunku wskazówek zegarka lub przeciwnym, wedle tego, z której strony zbliżano doń laseczkę. Ciekawe i tajemnicze to zjawisko, jak się przekonano później, nie zależy zupełnie od materji, ani od kształtu, ani też od wyglądenia powierzchni walca i laseczki. Ciepło, światło, magnetyzm, ciężkość, a nawet elektryczność nie wystarczają, zdaniem p. Thore, do wytłumaczenia obserwowanego ruchu; zatem, sądzi odkrywca, trzeba przypuścić jakąś osobiwą i dotąd nieznaną siłę naszego organizmu. Każda jednak nowa doktryna musi stoczyć walkę z tak potężnym dziś duchem krytyki, a każdy uczony występujący z nową hipotezą nie ujdzie spotkania z nieprzyjacielem. Znalazł go też i p. Thore w osobie angielskiego uczonego p. Crookes¹. Szanowny przeciwnik

¹ Revue d'un memoire lu à la Société royale de Londres le 26 mai 1887 par W. Crookes.

nowej hipotezy mniema, iż zbyt cieżkiem jest uciekać się tu aż do nowej jakiejś zagadkowej siły, gdy wszystkie powyższe doświadczenia i zjawiska, jakie sam zbadał, można w łatwy i jasny sposób wytłumaczyć ciepłem promienistym naszego ciała. Ciepło to albo: sprawia słaby prąd powietrza, który uderzając o wałek lekki i wolno zawieszony porusza takowy — albo podnosi temperaturę na jego powierzchni, a przez to samo wywołuje większe ciśnienie molekularne, objawiające się obrotem, jak to na zwykłym radiometrze widzimy. Ale odkrywca nie daje się zbić tymi subtelными wywodami uczonego przeciwnika. Gdyby ciepło promieniste, powiada p. Thore w liście do p. Crookes, było ostateczną przyczyną obserwowanych zjawisk, to inne ciało, promieniące daleko silniej aniżeli ludzkie, powinno przerwać ruch walca, lub w przeciwną stronę go zwrócić; co jednak w rzeczywistości nie ma miejsca. Jeśli np. weźmiemy butelkę z wrzącą wodą, która naturalnie ma daleko wyższą temperaturę niż ciało ludzkie, czyli niż 37° C., i umieścimy ją tak, by jej działanie było przeciwne działaniu ręki trzymającej laseczkę — zjawisko odbywa się dalej bez żadnej zmiany. Wiele nadto innych zjawisk przywodzi nasz uczony na obronę swej hipotezy, a między innymi najbardziej zaciekawia to, że wałek obraca się daleko prędzej i w przeciwnym kierunku, jeśli się doń zbliża laseczkę trzymaną w prawej ręce, niż w lewej. A więc, mówi w końcu p. Thore, jedno z dwojga przypuścić potrzeba: albo ciepło promieniste w powyższych doświadczeniach nie posiada żadnego wpływu; albo promieniowanie ciała ludzkiego jakieś osobliwsze posiada własności — a to jest niemożliwe. Ciekawa rzecz, jak się ten spór naukowy zakończy, przypomina on bardzo w swoich szczegółach ów słynny w historii fizyki spór Wolty z Galvanim, o rzecz więcej błahą, bo o drganie ud żabich, którego jednak rezultaty tak się w skutkach doniosłymi okazały. Możemy więc przypuszczać, że i teraz ludzkość znajduje się na drodze nowego odkrycia.

Dla fizyki nie tyle może jest obiecującą owa tajemnicza siła pana Thore, co zagadkowe, bo bez dotknięcia nawet, wpływy na organizm ludzki niektórych lekarstw, trucizn i metali. Ciekawe szczegóły tych zjawisk, przypominające mimowoli ową *actio in distans*, o której niegdyś tyle rozprawiano, opisują pp. Bourru i Burot, profesorowie w Rochefort, w swem nowo wyda-

nem dziele pod tyt.: *La Suggestion mentale et l'action à distance de substances toxiques et medicamenteuses*¹.

Było to roku 1885, gdy uczonym owym lekarzom przyniesiono majtkę chorego na histeryę; przyszło im na myśl użyć w tym razie dla próby, metaloterapii i badać działanie metali na chorego. Przy tej to właśnie sposobności przekonano się, iż z pomiędzy metali złoto najsilniejszy wpływ wywierało na rozstrojony organizm. Gdy je kładziono na skórę, wywoływało silne bóleści jakby z poparzenia; co miało miejsce i wtedy, gdy je umieszczono na ubraniu chorego, lub trzymano w odległości 10 do 15 centymetrów. Próba ta zachęciła badaczy. Powtarzano po kilka, a nawet kilkadziesiąt razy podobne doświadczenia z innymi metalami; a zawsze z niemniejszym powodzeniem. Badano też działania silnych lekarstw i trucizn, i również się pokazało, że choć w pewnej odległości od chorych się znajdując, wywoływały podobne objawy, jak gdyby były zażyte na wewnątrz. Jakże więc tę zagadkę wytłumaczyć? Miałoby tu w istocie zachodzić „działanie na odległość“? Pierwsza myśl, jaka się tu mimowoli nasuwa, jest: że to lotne części materij, do doświadczeń użytych, dostając się do organizmu, wywołują te ciekawe zjawiska. Lecz to tłumaczenie musi upaść, gdy zważymy, iż do wspomnianych prób używano ciał, albo wcale nielotnych, albo hermetycznie zamkniętych w szklanych naczyniach. Najbliższymi zatem rozwiązania tego zagadnienia, zdaje się, że są sami odkrywcy, którzy przyczynę tych zjawisk upatrują w ruchu wewnętrznym, czyli wibracyi badanych ciał. Wibracje te nie udzielają się tu bezpośrednio centrom nerwowym, jak się to zwykle dzieje, lecz dostają się tam w skutek transmisji przez nerw obwodowy. Można się spodziewać, że już w najbliższej przyszłości odkrycie to zużytkowaniem zostanie na korzyść cierpiącej ludzkości, w tych przypadkach zwłaszcza, w których zwyczajne zażywanie lekarstw jest niemożliwe, a kto wie czy innego zupełnie kształtu nie nada lecznictwu.

Lecz przejdźmy do wynalazków więcej praktycznych. Tu nas uderza swą doniosłością „tel-autograf“. Zasługa tego wynalazku należy się p. E. Gray. Nowy ten aparat, mający z czasem usunąć

¹ W „Bibliothèque scientifique contemporaine“, Paris. J. B. Baillière. 1887.

z naszych stacyj telegraficznych tak niedogodne aparaty Morse'a, dozwala przesyłać depesze telegraficzne własnem pismem wysyłającego. Główną częścią składową tego wynalazku jest cienka blacha żelazna, na której się kładzie papier i pisze się piórem czy ołówkiem; nie robi to żadnej różnicy, gdyż te narzędzia, jakoteż i sam papier są właściwie dla wygody samego piszącego, żeby widział co pisze. Do przesłania pisma wystarczyłby kawałek spiczastego drewnianka, bo samo ciśnienie przy pisaniu na blachę wywołuje prąd elektryczny i udziela się drugiej stacyi, gdzie odpowiedni przyrząd reprodukuje pismo. Cały ten wynalazek przedstawia wielkie podobieństwo do telefonu; i w jednym bowiem i w drugim główną rolę odgrywa drganie blachy, z tą tylko różnicą, iż w jednym razie drganie to powstaje wskutek falowania akustycznego, w drugim zaś wskutek uginania się z pewną modyfikacją blachy przy pisaniu. Prąd elektryczny w jednym i drugim aparacie ruchy te przenosi na miejsce przeznaczenia. Przy reprodukcji znów — w telefonie ruch mechaniczny drgań przemienia się w ruch fizyologiczny bębena słuchowego, w tel-autografie zaś drgania te poruszają narząd piszący. Pomyślnie próby, jakie poczyniono dotąd z tym aparatem, i bijąca w oczy jego praktyczność każą się spodziewać, że tel-autograf nie mniejsze od telefonu znajdzie powodzenie.

Bardzo też praktycznem i świeżem zastosowaniem matematyki, jest użycie jej do odczytywania kryptogramów, czyli skrytopisma. Czytelników, chcących dokładniej tę kwestyę zgłębić, odsyłamy do obszernej rozprawki p. Gabryela Dallet, ogłoszonej w *Revue scientifique*¹, pod tyt.: *Les écritures chiffrées*. Autor przechodzi tu całą historię i rozwój kryptografii, i przedstawia bardzo jasno i przystępnie wszystkie jej rodzaje i odcienia, poczynawszy od hieroglifów egipskich, średniowiecznej mowy kwiatów i gry wachlarzy, a skończywszy na najzawilszych sposobach tajenia swych myśli przy wzajemnem porozumiewaniu się osób wtajemniczonych. W końcu tej rozprawki nie radzi powierzać swych myśli tego rodzaju pismom, z tej prostej przyczyny, że dziś już wszystkie możliwe przemiany czyli zastąpienia liter jedne przez drugie, za pomocą matematyki można odgadnąć i odczytać. Cios ten zadać miał kryptografii p.

¹ Nr. 10, 3. Sept. 1887.

Rerchhoffs, który przez dłuższy czas zajmując się tą sztuką, i odczytując tajemne pisma nihilistów rosyjskich, doszedł w końcu do poznania pewnych zasad i reguł, wedle których każde, by najwięcej pogmatwane pismo, można stosownie do wprawy i sprytu czytającego dość prędko odcyfrować.

By choć z grubsza poznać owe zasady, trzeba wprzód cokolwiek się zaznajomić z dość skomplikowaną kryptografią, jakiej dziś powszechnie używają w dyplomacyi. Sposób ten polega na przemianie liter alfabetu wedle pewnego słowa, albo też porządku głosek, która to przemiana tylko osobom interesowanym ma być wiadoma, to zaś słowo lub porządek — nazywa się kluczem. Nie małą też odgrywa rolę przy użyciu klucza t. zw. tablica Vigenere'a, która jest po prostu kwadratem utworzonym z liter alfabetu pisanych pionowo, ale tak, iż w każdej następnej kolumnie, każda z kolei litera alfabetu zastępuje miejsce pierwszej litery czyli *a*; —

a	b	c	d	i t. d.
b	c	d	e	
c	d	e	f	
d	e	f	g	
e	f	g	h	

w pierwszej zatem kolumnie alfabet zaczyna się od *a*, a w drugiej od *b* etc. Jeżeli tedy potrzeba np. odczytać pismo pisane wedle klucza *cadi*, to znaczenia pierwszej litery każdego słowa szukać należy w kolumnie pod *C*, drugiej pod *A*, trzeciej pod *D*, i t. d. Po tem pobieżnem wyjaśnieniu, można bardzo łatwo zrozumieć doniosłość zasad p. Rerchhoffs'a. W każdym kryptogramie, powiada autor, dwa jednakowe poligramy są wynikiem dwu grup jednakowych liter tym samym alfabetem pisanych, a z tą pierwszą zasadą idzie w parze i druga: iż ilość liter zawartych pomiędzy dwoma podobnymi poligramami jest zawsze wielokrotnością ilości liter użytych za klucz. Najjaśniej rzecz tę można okazać na przykładzie p. Dallet'a.

Mamy do odczytania kryptogram:

p f t s p p n f p e q g u u f e d j i g h r f t v p v r f f e q g e i g

w nim są odznaczone cztery pary jednakowych poligramów *egg*, *ft*, *fe* i *rf*. Porachowawszy litery między dwoma jednakowymi poligramami, otrzymujemy liczby: 21, 21, 15 i 6, które są wielokrotnościami trójki, a więc wedle wyżej przytoczonej zasady klucz naszego kryptogramu składa się z trzech liter. Pozostaje teraz tylko dojść z jakich liter się składa. W tym celu należy jeszcze raz wypisać dany kryptogram w grupach po trzy litery zawierających:

p f t s p p n f p e q g u u f e d j i g h r f t
 v p v r f f e q g e i g

następnie wypisać obok siebie, najprzód wszystkie pierwsze litery każdej grupy, potem drugie, a wreszcie trzecie:

p s n e u e i r v r e e
 f p f q u d g f p f q i
 t p p g f j h t v f g g.

W każdym z tych trzech szeregów powtarzają się pewne podobne litery, i tak:

w pierwszym powtarza się 4 razy *e*, 2 razy *r*,
 w drugim " " 4 razy *f*, 2 razy *q*, 2 razy *p*,
 w trzecim " " 3 razy *g*, 2 razy *p*, 2 razy *f* i 2 razy *t*.

Tu przychodzi w pomoc wyliczenie p. Rerchhoffsa: iż z pomiędzy wszystkich liter najczęściej — zwłaszcza w języku francuskim — powtarza się *e*, dalej *s*, *r*, *i*, *a*; zatem wedle tego prawdopodobieństwa w pierwszym szeregu litera *e*, która się aż 4 razy powtarza, przynajmniej raz musiała być użytą w zwykłym znaczeniu; w drugim to samo można powiedzieć o *f*, które się równie często powtarza, w trzecim *g*. Nie pozostaje więc już nic innego, jak tylko popatrzeć na tablicę Vigenere'a — a przekonamy się, że alfabet, w którym $e=e$, zaczyna się od *a*, w którym $f=e$, zaczyna się od *b*, wreszcie gdzie $g=e$, zaczynać się musi od *c*, przeto klucz wedle którego przykład nasz odczytać należy, jest *a b c*; czyli innemi słowy pod drugą literą każdej grupy trzeba podpisać literę bezpośrednio ją poprzedzającą w zwykłym alfabecie, pod każdą zaś trzecią literą grupy — na drugim miejscu przed nią stojącą. Tym sposobem otrzymamy:

kryptogram: p f t | s p p | n f p | e q g | u u f | e d j | i g h
 zwykle pismo: p e r | s o n | n e n | e p e | u t d | e c h | i f f
 | r f t | v p v | r f f | e q g | e i g
 | r e r | v o t | r e d | e p e | s h e

to jest: *personne ne peut déchiffrer votre depeche*. Prawda, że przytoczony przykład jest bardzo prosty i umyślnie dobrany w celu łatwiejszego zrozumienia i okazania prawideł p. Rerchhoffsa; inne kryptogramy mogą być daleko trudniejsze, bo przyznać trzeba, że tak wspomniane reguły, jak i prawdopodobieństwo powtarzania się liter mogą mieć swoje wyjątki; lecz gdy z drugiej strony zważymy, że pisma tego rodzaju zwykle bywają dłuższe, że przeto już przez samo podobieństwo poligramów wiele domyślić się można, a stąd doświadczony odczytywacz takie wyjątki prędko odgadnie: to każdy z pewnością przyzna, że nie zupełnie bezpieczną jest rzeczą powierzać swe tajemnice kryptografii.

Edward Wereszczyński.

Bursa św. Kazimierza w Tarnowie.

Z dniem pierwszego września b. r. przeszedł za staraniem Najprzew. Księdza Biskupa Tarnowskiego, bezpośredni zarząd tamtejszej bursy św. Kazimierza, z rąk świeckich, w których wedle statutu bursy, nigdy pozostawać nie był powinien, do rąk kapłana, a mianowicie do rąk ks. Jana Oleksika, wikaryusza katedralnego w Tarnowie. Korzystając z tej sposobności skreśla kurenda Ordynaryatu Tarnowskiego z 27 sierpnia krótki rys dotychczasowych dziejów tej bursy.

Bursa św. Kazimierza dla ubogich uczniów wyznania rzymsko-katolickiego, uczęszczających do Tarnowskich publicznych szkół ludowych i średnich, zawdzięcza swój początek dobrowolnym składkom zebranych przez O. Kazimierza Mikulskiego, członka zakonu OO. Bernardynów. Dla nowo powstałej bursy ułożony został osobny statut, zatwierdzony przez namiestnictwo reskryptem z d. 12 grudnia 1874,

a stosownie do jednego z paragrafów tegoż statutu, kustoszem, czyli bezpośrednim przełożonym alumnów w Bursie umieszczonych, miał być zawsze jeden z kapłanów OO. Bernardynów konwentu Tarnowskiego, a gdyby to być nie mogło, jeden z miejscowych kapłanów świeckich. Jakoż pięciu OO. Bernardynów piastowało z kolei urząd kustosza bursy, ale gdy doświadczenie wykazało, że sprawowanie tych obowiązków przez zakonnika zgodzić się nie może ze ścisłym zachowaniem klasztornej klauzury, a samejże bursie na odpowiednią korzyść nie wychodzi, zrzekli się urzędowo OO. Bernardyni przysługującego im prawa, aby z ich grona wybieranym był każdorazowy kustosz. Kuratoria, nie mogąc na razie znaleźć odpowiedniego kapłana, wyznaczyła na opróżniony urząd człowieka świeckiego, a sama, z uznania godną energią, zaprzątnęła się koło materyalnych i pedagogicznych ulepszeń w powierzonym swej opiece zakładzie. Po bliższem zbadaniu rzeczy, zajmowany dotychczas budynek okazał się niepraktyczny i za ciasny; sprzedano go więc, a za uzyskane w ten sposób i drogą składek pieniądze, wystawiono jednopiętrowy dom, w którym oprócz ks. kustosza i trzech sióstr Boromeuszek, sprawujących obowiązki gospodyni domu, znaleźć może pomieszczenie 50 wychowañców.

Nie dość wystawić; trzeba było jeszcze urządzić z dawnych fundamentów wyrastający, ale rzeczy można, nowo powstały zakład. W jaki sposób zakład ten urządzono, jakie w nim staranie o wykształcenie ciała i rozumu, a bardziej jeszcze o wykształcenie serca i duszy wychowañców, co już dotąd i za czyją pomocą zdziałano, co zdziałaby jeszcze należało: na te pytania odpowiemy najlepiej przepisując słowa dostojnego Organizatora tego, prawdziwie pięknego dzieła:

Gdy pierwotnie alumni otrzymywali tylko bezpłatne pomieszkowanie, opał, światło, łóżko, pranie bielizny i pewną pomoc w nauce, dziś dzięki zabiegom kuratorji, otrzymują alumni obok wymienionych emolumentów za mierną opłatą, bo 8 złr., 6 złr., a wględnie 4 złr. miesięcznie także i wikt; gdy dawniej kuchnia, pranie bielizny i w ogóle gospodarka domowa zostawała w rękach osób świeckich, które postępowaniem swoim wzniecały ustawicznie niezadowolonia — dziś ta sama gospodarka złożona jest do rąk zakonnic, które poświęceniem się swoim dla dobra alumnów, oszczędno-

ścią, a przede wszystkim pobożnością i pracą swoją nie tylko potrzeby ciała w zupełności i z ogólnem zadowoleniem zaspokajają, ale co najważniejsza, na moralne ukształcenie serc tych maluczkich, a częstokroć opuszczonych sierót (jakimi są alumni bursy) nader zbawienny wpływ wywierają. Dowodem tego najoczywistszym klasyfikacya uczniów z końcem roku szkolnego. Z tej okazuje się, że już od czterech lat z 50 alumnów bursy w przecięciu 11—12 otrzymuje postęp celujący, inni postęp zadawalniający, a ledwie jeden, lub najwięcej dwóch znalazło się takich, którzy dla braku talentów, pożądanego postępu nie zrobili. To wszystko dowodzi, że zarząd bursy zasługuje na Nasze zaufanie, gdyż zadanie swoje należycie pojmuje i takowe według sił swoich najlepszych spełniać usiłuje. I to Nas spowodowało, żeśmy protektorat nad bursą przyjęli, i zakład ten ofiarności waszej, wielcebracia, już w roku ubiegłym gorąco polecili.

I dzisiaj też imieniem Tego, który maluczkich zawsze otaczał swoją opieką, który nie zważając na trudy i ciężary apostołskiego urzędu swego, maluczkich do Boskiego serca swego tulił, błogosławił i zapewniał, że „takowych jest królestwo niebieskie, — stajemy przed wami, ukochani w Chrystusie Panu naszym bracia i synowie nasi, i polecamy wam bursę św. Kazimierza w Tarnowie, jako najmilsze dziecię Nasze, któreśmy całym sercem Naszym umiłowali i dla którego żywimy całą Naszą życzliwość i przyjaźń. Aby nie uszczuplać i tak skromnych bardzo zapasów kasowych bursy, urządziliśmy Naszym kosztem w bursie kaplicę domową i zaopatrzyliśmy takową w potrzebne aparata liturgiczne, bo pragniemy, aby alumni bursy, czego dawniej nie było, dla odległości kościoła, codziennie byli na Mszy św. — by wspólnie z ks. kustoszem odprawiali w kaplicy ranne i wieczorne modlitwy — by się od pierwszej młodości swojej ćwiczyli w pobożności, w medytacyach i t. p., by, jeżeliby taka wola Boża była, wyrabiali w sobie ducha powołania kiedyś do służby ołtarza. Pragniemy bowiem, aby z czasem bursa zamieniła się na seminarjum *puerorum*. I dlatego taką opieką otaczamy tę instytucję, zwłaszcza w tych smutnych, dla sprawy Bożej, tak nieprzyjaznych czasach naszych.

Nie zawiodła Nas nigdy nadzieja Nasza, którą w ofiarności

waszej pokładaliśmy. Wykazy datków i ofiar na bursę w kurendach Naszych ogłaszane dowodzą, że bursa w Tarnowie, to wypieszczone dziecko duchowieństwa tarnowskiego, i w koronie zasług, która czeka zacnych kapłanów Naszych w niebie, te datki na bursę jaśnieć będą jako najdroższe jej kamienie. Dlatego kończąc to wspomnienie nasze o bursie wołamy słowami Mędrca Pańskiego: *Fili! oculos tuos ne transvertas a paupere. Animam esurientem ne despereris: et non exasperes pauperem in inopia sua. Cor inopis ne afflixeris: et non protrahas datum angustianti. Rogationem contribulati ne abjicias: et non avertas faciem tuam ab egeno. ... Non sit porrecta manus tua ad accipiendum, et ad dandum collecta.* (Eccl. 4.)¹.

Z prawdziwą radością witamy to powstające małe seminarium, instytucję, której Kościół potrzebuje i pragnie rozposzechniać, a która w naszych czasach, przy zasadniczem odłączeniu szkoły od Kościoła i obniżeniu moralności między młodzieżą szkolną, więcej niż kiedykolwiek okazuje się niezbędną.

Z podróży po Śródziemnem morzu.

Malta i Maltańczycy.

Podróżnikowi przybywającemu do portu La-Valette czarujący przedstawia się widok; przezroczyste wody Śródziemnego morza oblewają stopy miasta, piętrzącego się na skale w amfiteatr i ludne przedmieścia Sangla, Vittoriosa, Floriana, Tigné z wymuskanemi bielutkimi domkami, okręty kołyszące się na bezpiecznych wodach zatoki, 22 kościoły strzelające wieżami pod wypogodzone niebiosa, olbrzymie mury fortyfikacyi św. Elma i Ricasoli tworzą nad wyraz miłą panoramę. Domy budowane z białego miejscowego kamienia

¹ Synu, oczu twoich nie odwracaj od ubogiego! Nie wzgardzaj duszy łaknącej: i nie drażnij ubogiego w niedostatku jego. Nie trap serca człowieka niedostatecznego, a nie odwołaj datku uciśnionemu. Nie odrzucaj próśby utrapionego, a nie odwracaj oblicza twego od potrzebującego... Niech nie będzie ręka twoja wyciągniona ku braniu, a skurczona ku dawaniu.

wyglądają jakby dopiero co postawione, czyste i schludne pod niebem bez mgły i zawieruch, zachowują pierwotny swój wygląd. Nie znam miasta dbającego więcej o swoją powierzchowność jak stolica Malty. Każdy dom ma swój taras, płaskie dachy, pokryte kolorowymi kaflami lub łupkiem, pozwalają wodzie deszczowej spływać do cystern, których kilka w każdym znajduje się podwórku — ile piątr w domu, tyle oszklonych balkonów zwanych *loggia*, na których Maltanki rozkoszują się w wieczornej dobie powietrzem, niosącym na swoich falach dziwną, upajającą woń właściwą morzu. Do miasta prowadzą trzy bramy wykute w żywej skale i należycie ufortyfikowane: porta Reale, porta Floriana i porta Muscet. Ulice równe i brukowane białym połyskującym kamieniem; kamień ten niezbyt twardy wytwarza pył, który za lada powiewem wiatru unosząc się w górę sprowadza niebezpieczne zapalenie oczu, dlatego też przy wjeździe do La-Valetty uderzyła mnie ogromna ilość osób noszących ciemne okulary. W mieście, właściwie mówiąc, nie ma ani jednego wspaniałego gmachu, ale domy budowane są tak trwale, z tak dobrze pojętą symetrią, iż sprawiają widok prawdziwie imponujący; do okazalszych budowli policzyłbym pałac wielkich mistrzów, kościół katedralny pod wezwaniem św. Jana, zbudowany w r. 1577 przez wielkiego mistrza La Cassiere, a mieszczący w sobie groby wielkich mistrzów i znakomitszych rycerzy maltańskich, publiczną bibliotekę liczącą około 100,000 tomów, szpital i arsenał; ulice są wąskie z 5-io lub 6-io piętrowymi domami; a architekt znalazłby tam obfity materiał do studyów. W sieniach pełno kwiatów i wazonów z drzewami pomarańczowymi i cytrynowymi — czasem w podwórku liliputowych rozmiarów szemrze fontanna. Pokazywano mi jedną ulicę używającą niegdyś szczególniejszego przywileju. Prawa zakonu maltańskiego uważały zawsze pojedynek jako obrazę majestatu boskiego i ludzkiego i jako taką surowo karały; ponieważ jednak było niepodobieństwem zapobiedz kłótniom i sporom pomiędzy rycerzami, często bardzo się wydarzającym, postanowiono przeto, że strony potykające się orężnie na jednej z ulic zwanej „Strettas“ były karane tylko za niesforność i непослушенство. Lecz polityka zakonu wyznaczając miejsce do orężnych rozpraw prawie zawsze zamykała pod klucz winowajców, miejsce to bowiem znajdowało się w bliskości rezydencji w. mistrzów, a każdy z przechodniów obowiązany

był pod surową karą uwiadomić straż pałacową o zaszłym spotkaniu; krzyże, które pobożna ręka znaczyła węglem lub kredą na murach domów tej ulicy, wskazywała miejsce gdzie padli nieszczęśliwi zapaśnicy, nadmienić wypada, że podobne spotkania prawie zawsze kończyły się śmiercią jednej ze stron walczących.

Na jednym z przedmieść La-Valetty zwróciły moją uwagę głębokie doły wykute w skale i zakryte wielkimi głazami, dziś będące bez żadnego użytku — i tylko jako pamiątka świadczą o zapobiegliwej gospodarce wielkich mistrzów. Przed objęciem wyspy przez zakon rada miasta zwana Uniwersytetem obowiązana była skupować zboże, gdyż miejscowa jego produkcja nigdy nie wystarczała na potrzeby mieszkańców. Ponieważ ludność wyspy a z nią i potrzeby ciągle się powiększały, Uniwersytet przeto był zniewolonym do robienia coraz większych zapasów zboża, które zsypywano w doły na ten cel właśnie wykopane; spód ich wykładano deskami i ścielono słomą, a po zapełnieniu dołu otwór zamykano szczelnie okrągłymi głazami, zalepiając szpary masą nadzwyczaj twardą, podobną do cementu, lub zalewano ołowiem. Ziarno tak zamknięte mogło się utrzymać całe lata nie tracąc na swej jakości. Od wilgoci, której pomimo całej ostrożności nie można było uniknąć, ucierpiały niekiedy tylko wierzchnie warstwy. W takich samych dołach chowane zboże widziałem w Sycylii w okolicach Syrakuzy i Modiki. Na kilka miesięcy przed moim przyjazdem do La-Valetty natrafiono właśnie na jeden z takich dołów zupełnie widać zapomniane z kilkudziesięcioma korcami zdrowego jęczmienia.

Jedną z plag nawiedzających kilka razy do roku Malte, graniczącą tylko o miedzę z Afryką, jest *sirocco*; zabijające jego podmuchy nieraz dały mi się we znaki. Zaznałem go w Sycylii, ale nigdy w takim stopniu jak w La-Valette. Aby pojąć uczucie jakiego się wtedy doznaje w całym organizmie, trzeba być samemu pod wpływem tego piekielnego żaru — ja przynajmniej wpadałem w jakąś niepojętą niemoc i apatię, gdyby mi wtedy powiedziano, że świat cały ma się za chwilę rozsypać w gruzy, zdaje mi się, że wiadomość tę przyjąłbym najzupełniej obojętnie. Maltańczycy, lubo oswojeni z tego rodzaju sensacyami, radzą sobie jak mogą, aby wpływ *sirocco* stał się mniej dokuczliwym; polewają oni wodą zmieszaną z octem posadzki, zwykle z kafli lub cegły, rozścielają na nich trzciniowe

rogoże, nakrywają je prześcieradłem i z konieczności odbywają *far niente*, nie wiem tylko czy *dolce*.

Burze i gwałtowne wichry są tutaj rzadkością, jeżeli jednak kiedy się rozszaleją, sprowadzają na całą wyspę szkody długo nie dające się powetować. O jednym z takich kataklizmów, który do dziś dnia zatrzymała pamięć ludzka, był cyklon dnia 23 września 1755 r. Fale morskie gnane przeciwnymi wiatrami wyrzuciły na brzeg kilkanaście okrętów, wywracając je dnem do góry, wiele domów zostało zalanych i do szczytu zrujnowanych, woda dochodziła w niektórych ulicach do drugich piątr, prosty lud myślał, że się zbliża koniec świata; więcej jak 600 osób, a w tej liczbie kilkudziesięciu rycerzy zakonu, oficerów galer i niewolników na nich się znajdujących nędznie utraciło życie. Tak jak w lecie zwrotnikowe gorąco bywa prawie nie do zniesienia, dokuczliwe znowu zimno w miesiącu grudniu i styczniu daje się uczuć szczególnie cudzoziemcom, przebywającym chwilowo na Malcie. Nieraz dziwiono się i nazywano mnie niewieściuchem, widząc moję drażliwość na wszelkie zimowe intemperye. Na naszej północy na zimową porę mamy futra i ciepłe paltoty, kominki i piece, podwójne szyby w oknach i drzwi dobrze opatrzone. Na Malcie tego nie znaleźć, może tylko u Jego Excelencyi Gubernatora wyspy można by się spotkać z tego rodzaju komfortem, tak pospolitym w krajach północnych. Hiszpańskie *braseiro*, rodzaj mosiężnej miednicy o trzech nóżkach, napełnionej węglami i gorącym popiołem, ogrzewa pokój zamożnego Maltańczyka; lud prosty nie zna tej wygody, gdyż drzewo na Malcie kupuje się na wagę, a węgla kamiennych mało też kto używa. W czasie zimy Maltańczyk rozgrzewa członki szklanką *brandy*, do której przyzwyczaili go dzisiejsi władcy wyspy, w lecie chłodzi się porcją granitów (jestto mieszanina śniegu, zwykle sprowadzanego z Etny, z sokiem tamaryndowym, poziomkowym lub malinowym. Przed kilkoma laty założono na przedmieściu Floriana sztuczną fabrykacyę lodu, na którem to przedsiębiorstwie przemysłowiec z nad Sprei świetnie podobno robił interesa.

Na wycieczki w okolice La-Valetty wybierałem się zazwyczaj piechotą, gdyż fiakry zwane *calesse* są na Malcie rzadkością. *Il calesse* jest to drewniana skrzynia bez resorów, niezbyt wygodnie usłana poduszkami z koziej wełny, niemilosiernie trzęsąca, którą

Maltańczyk prawie nigdy nie jeździ, w tych potwornych wózkach rozpierają się zwykle młodzi angielscy oficerowie, dążąc na wschodni brzeg wyspy, na blisko leżącą skalistą wysepkę Folfonę, gdzie całe dnie przepędzają polując na dzikie gołębie i przeróżne ptastwo morskie i tym sposobem zabijając śmiertelne nudy garnizony. Pewnego razu namówił mię do dalszej wycieczki w środkowe okolice wyspy młody M., syn pułkownika fortecznej artylerii maltańskiej — ożenionej z hrabianką C. z Galicji, jemu to zawdzięczałem, iżem zwiedził niektóre ciekawsze wyspy oraz sąsiednie wysepki Gozzo i Comino, a nadto za jego wskazówką poznał miejscowy język.

Wiedziałem już przedtem, że maltańska gwara ma wiele podobieństwa do języka arabskiego pomieszanego z włoskim — sądziłem, że dla znającego dobrze ten ostatni, nie trudno mi będzie porozumieć się samemu z ludnością zamieszkującą środek kraju — atoli raz wybrawszy się w południową stronę wyspy stanąłem w jednym *casale* nie znalazłszy nikogo, z kim bym się mógł rozmówić po włosku. Język maltański jest trudny do wymowy — zepsuta ta mieszanina pierwiastków hebrajskiego, syryjskiego, hiszpańskiego, włoskiego i nowogreckiego posiada jednak wiele figur retorycznych, wyrazów pełnych siły i jędrności; jest ona miłą i dźwięczną dla ucha, lecz trudną do nauczania się, miałem sposobność przekonać się o tem, zapoznawszy się lepiej z maltańską gramatyką. Z młodym M. zwiedziłem dawną stolicę wyspy Città Vecchia, przez mieszkańców zwaną Mdina. Jak utrzymują, ma się ona wznosić na gruzach jakiegoś wielkiego miasta, o którym dzisiaj tylko pamięć pozostała. Sławne miejscowe katakumby, stanowiące całe podziemne miasto, są dotąd przedmiotem badań miłośników starożytności; poszukiwania ich rozwiązały już niejedną zagadkę, mającą związek z przeszłością i przeznaczeniem tej podziemnej nekropolii. Są to wązkie korytarze, rozciągające się pod miastem we wszystkich kierunkach, po obydwu stronach tych podziemnych uliczek widać wykute w skale nisze różnej wielkości, w których składano ciała zmarłych; w chwilach napadu korsarzy miały służyć za bezpieczne schronienie dla przerażonych mieszkańców. W wielu miejscach rząd angielski kazał te przejścia zamurować, gdyż często zdarzały się wypadki, że udający się bez przewodnika do tych pod-

ziemi, już więcej stamtąd nie powracali. W r. 1853 miała tam zginąć głodową śmiercią cała rodzina angielska, składająca się z pięciu osób, ciała nieszczęśliwych znaleziono dopiero po kilku tygodniach ze śladami straszego konania.

Najciekawszą miejscowością, którą mieszkańcy z dumą każdemu pokazują, jest grota i kaplica św. Pawła. Podanie mówi, że święty ten apostoł w podróży swej z Cezarei do Rzymu rozbił się na brzegach Melity i długi czas na niej przebywał. Każdy Maltańczyk musi raz na rok odbyć pielgrzymkę do świętego miejsca i uderzyć czołem przed marmurową statua przedstawiającą patrona wyspy. Grota leży niedaleko od Città Vecchia i podzieloną jest na trzy części; pierwsza otwierana bywa tylko w wielkie święta i uroczystości; w drugiej znajduje się ziemia posiadająca własność antifebryczną i stąd uważana za cudowną, wiedzą też o niej w sąsiedniej Sycylii i na południowym krańcu Włoch. Wreszcie w trzeciej części groty znajduje się ołtarz, na którym św. Paweł miał odprawiać Mszę św., oraz piękna statua tego apostoła wykuta z białego marmuru, dłuta Melchiora Caffa z roku 1690. W bliskości groty św. Pawła oglądaliśmy inną daleko obszerniejszą wykutą w skale; o tej znowu mówi podanie, że była mieszkaniem nadobnej Kalipso, wielbicielki Ulissesa. Lat temu nie wiele mieszkali w niej pustelnicy, dziś koziarz ze swem brodatem stadem założył tam swoją siedzibę. U stóp groty tryska obfite źródło wody, które dla nas, znużonych długą przechadzką pod pałacami promieniami iście zwrotnikowego słońca, było nagrodą naszych trudów.

Powracając późnym już wieczorem do La Valetty, zwiedziłem jeszcze miejscowość zwaną il Boschetto, niegdyś letnią rezydencję wielkich mistrzów zakonu. Pałac musiał być kiedyś wspaniały, dziś w zaniedbaniu domaga się spiesznej naprawy, bo niewiele lat upłynie, a rozsypie się w gruzy. Ogród, jak na skwarną skalistą Malte, obszerny i nieźle utrzymany, jest jedynem miejscem, gdzie rosną wspaniale drzewa cyprysowe i pomarańczowe i tak miłe dla smaku mandarynki i granaty. Ziemię do tego ogrodu przez wiele lat sprowadzano umyślnie okrętami z Sycylii, a wielcy mistrze dbali o jego utrzymanie, dziś gdyby nie ciągła opieka właściciela, którym, o ile mię pamięć nie myli, jest rząd, drzewa by tam prędko

powysychały, a nie głęboki pokład ziemi roślinnej rozwiałyby południowe wichry afrykańskie.

Budowa geologiczna wyspy przedstawia rażący kontrast z urodzajnością gleby, jaką stworzyła siła i praca mieszkańców. Dosyć spojrzeć z wyżyn *Città Vecchia*, dawnej stolicy Malty, na uprawną, zieleniejącą kampanię, na drzewa uginające się pod ciężarem owoców strefy południowej, na schludne domki i malownicze farmy, rozsiane po całej powierzchni wyspy, ogrodzone płotem z suchego kamienia, aby korzystać wyobrażenia o wytrwałej i cierpliwej pracy mieszkańców, oraz zapobiegliwej gospodarce dzisiejszych władców wyspy. Wielu utrzymuje, że panowanie angielskie, zamiast dobrobytu spowodowało ubóstwo większej części ludności; z tego com widział pozwolę sobie być wręcz przeciwnego zdania, owszem złote funty są monetą bardzo powszechną, nawet pomiędzy mniej zamożnymi — gdyż lud ma nieustający zarobek w porcie, warsztatach okrętowych, warzelniach soli i t. d. Praca dla Maltańczyka jest przyzwyczajeniem; w moralności tego ludu nie ma nic bardziej upokarzającego, jak lenistwo i zniewieściałość tak właściwa mieszkańcom południowych krain. Na Malcie nie ma żebraków ani lazzaronów. Niezmordowany przy robocie, wystawiony przez cały dzień na zwrotnikowe gorąco, robotnik maltański spieszy nieraz na drugi koniec wyspy, aby noc przepędzić pod własną strzechą i za zarobiony w pocie czoła szyling przynieść rodzinie białego chleba z angielskiej piekarni.

Sztuka rolnicza prowadzona jest tutaj bez żadnej reguły; przy pomocy pługa patryarchalnej prostoty, motyki i brony zazwyczaj z drewnianymi zębami, rolnik maltański uprawia ziemię, rozbija bryły, usuwa kamienie, taczkami wozi nawóz, na jaki stać jego oborę i sieje pewny obfitego zbioru. Uborem wieśniaka jest gruba, wełniana czapka w rodzaju długiej szlafmycy, takąż koszula i szerokie, krótkie, do kolan sięgające spodnie; bogatsi opasują biodra szeroką, czerwoną, wełnianą chustką, za którą zatykają krótki, na dwa palce szeroki nóż w skórzanej pochwie, obówie noszą zawsze własnej roboty — a raczej tylko podeszwy bardzo grube, chroniące ich od gorąca i ostrych kamieni. Na święto, pomimo gorąca, ubierają się w grubą opończę z kapturem i kamizelką ze świecącymi guzikami. Maltańczycy na całym Śródziemnem morzu słyną jako

najodważniejsi i najzręczniejsi marynarze, to też tysiące ich służy w handlowej marynarce angielskiej, francuskiej i włoskiej. Maltańczyk w swoim *speronare*, rodzaju szalupy, długiej na 12 metrów, odwiedza brzegi Egiptu i Hiszpanii, przepływa Gibraltar, dociera do portów Czarnego morza i Syrii. Kontrabanda surowego jedwabiu, bydła, rumu, cygar i cukru przynosi mu wielkie zyski; dla niego uraga burzy, żartuje z celników, z którymi zwykle żyje w dobrej harmonii, albo też potrafi ich zręcznie oszukać. W ciągłych stosunkach z Hiszpanią, Grecją i Włochami marynarz tutejszy umiał sobie przyswoić wstrzemięźliwość, oszczędność i czynność mieszkańców tych krajów. Nigdy nie zdarzyło mi się spotkać Maltańczyka pijanym, chociaż codzieln widzi w porcie La Valetty marynarzy angielskich trzymających się ścian domów dla utrzymania równowagi — co tem dziwniejsza, że sam nigdy, jak to mówią, nie wyleje za kołnierz porcyi groku lub whisky. Maltańczyk, czy żegluguje po dalekich morzach lub też pracuje przy kamieniołomach, w warzelniach soli i przy warstatach okrętowych, czy wreszcie potem zlany kopie motyką własny kawałek gruntu a raczej skały, nadzwyczaj mało potrzebuje na swoje utrzymanie; kawał solonej ryby, koziego sera, trochę chleba i parę główek cebuli lub czosnku na cały dzień mu wystarczą; zamiast wina woli zwykłą *brandy*, z którą go poznali angielscy przybysze. W wielkie święta, jak Boże Narodzenie, Wielkanoc, Nowy Rok, raczy się wieprzowiną lub drobiem, którego mu dostarcza sąsiednia Sycylia. Fizyonomia Maltańczyka przypomina typy mieszkańców północnej Afryki i zdradza bliskie z nimi pokrewieństwo; ludność miejscowa mało się widać kojarzyła z napływową europejską. Maltańczyk jest małego wzrostu, krzepko zbudowany i muskularny, nos u niego spłaszczony, grube wargi, włosy gęste i czarne, cera śniada jak u Egipcjanina, jego pobratymca. Lubo surowy rygor rycerzy maltańskich, a potem kilkudziesięcioletnie obcowanie z powolnymi synami Albionu powinno było ostudzić kipiącą krew Maltańczyka, jest on zawsze namiętny, gwałtowny i mściwy, przytem przesądny i zabobonny.

Lud maltański, a mam tu na myśli ludność zamieszkującą środkowe i południowe okolice wyspy, mało ma stosunków ze stolicą — styka się on z nią ledwie parę razy do roku z okazji uroczystości w dzień ŚŚ. Jana i Pawła patronów wyspy; dlatego też

aż po dziś dzień przechował z niewielkimi zmianami zwyczaje i wierzenia pozostałe z przeszłości po Wandalach, Arabach i Normandach. Maltańczyk nie zawiera ślubów w miesiącu maju, uważając go za feralny, żadnych też ważniejszych zajęć w tym miesiącu nie rozpoczyna, utrzymuje się bowiem przekonanie, że złe duchy tym miesiącem rządzące nie pozwalają nic pomyślnie zakończyć. Starzy konserwatyści trzymają się i dziś zdania, że kobieta może być widzialna dla świata tylko dwa razy w życiu, to jest w dzień jej ślubu i dzień jej pogrzebu. Przed 30 jeszcze laty młode dziewczęta z mieszczańskich rodzin od 6 roku życia oddawano do klasztoru, gdzie nauczony się czytać, pisać, robić torty i smażyć konfitury powracały do domu rodziców, ażeby zaraz stamtąd, z rozkazu ojcowskiego przenieść się pod dach męża, bez ich wiedzy i woli wybranego. Interes rodzin, rzadko wzajemna skłonność nowożeńców, bywały głównym motorem przy zawieraniu związków małżeńskich. Było zwyczajem, tu i owdzie praktykowanym, że przed podpisaniem umowy przedślubnej narzeczony posyłał swojej oblubienicy surową rybę, a do jej paszczy wsuwał zaręczynowy pierścioneć, przedstawiający złęczone dłonie, jako symbol wierności, a oprócz tego rozmaite podarunki jak: „srebrny łańcuszek z medalem przedstawiającym rozbicie się św. Pawła, złote koleczyki w kształcie księżycy, na nowiu i t. p.; panna młoda zaś w zamian swemu przyszłemu, ręczniki własnego wyrobu, chustki do nosa, lub czerwony parasol, bez którego żaden Maltańczyk się nie obchodzi. W drodze do Kościoła ślubny orszak poprzedza kilku muzykantów wycinających skoczną sarabandę na flecie, tamburynie i gitarze, za nimi idzie drużba rozdając znajomym i spotykanym na drodze migdały smażone w miodzie i cukierki z krochmalu; potem drużki prowadząc pod ręce pannę młodą, ubraną w białą lub zieloną suknię, okrytą długim welonem zasłaniającym całą jej postać — dawniej wprowadzano ją aż do bramy kościelnej pod baldachimem i palono kadzidła z ziół zbieranych w pewnych miejscowościach wyspy. Ten sam porządek zachowuje się za powrotem z Kościoła, przyczem drużba rozrzuca drobną monetę, aby pamiętano o tak ważnej uroczystości; podczas uczyty weselnej, złożonej z potraw na zawsze przepisany ceremoniałem, panna młoda siada przy osobnym stole, dopiero pod koniec biesiady zbliża się do męża — pije z jego kubka

i je na jednym z nim talerzu — matka pociera jej usta miodem i solą życząc, aby w czekających ją obowiązkach żony, gospodyni i matki była zawsze słodką i roztropną. Goście weselni i rodzina nowożeńców ofiarują im po parze gołębi, kurę lub królika. Kapłan błogosławiący związek otrzymywał w podarunku parę butelek marmazy i kołacz robiony rękami panny młodej. Opowiadano mi, że dawniej, z okazji chrztu, rodzice chrzestni przynosili dziecku zwitek papieru, pieniędzy, woreczek ze zbożem, szabelkę i t. d. — jeżeli to był chłopiec a sięgnął rączką za papier, miało to być wróżbą, iż kiedyś będzie z niego doktor, adwokat, ksiądz, jeśli za woreczek, rolnik, — jeśli chwyci szabelkę, będzie wojakiem; dziewczynie podawano motki jedwabiu, nici i igły, lalki i naczynia kuchenne. Ciekawszymi nierównie były — a przechowują się dotąd w niektórych miejscowościach na wysepce Gozzo i Comino, z niektórymi odmianami, ceremonie pogrzebowe. W chwili śmierci gospodarza lub gospodyni najemne kobiety jękiem i żałobnymi zawodzeniami napelniały cały dom, wywracały sprzęty, zdejmowały ze ścian obrazy, przed ich żalobną zapalczywością nie ostawiały się nawet doniczki z kwiatami — szklanki i talerze tłukły na kawałki, a skorupy wrzucały do wrzącej wody, sypiąc doń sadzę i popiół poczem tą miksturą skrapiały do koła wszystkie zabudowania; w stajni ustrzygano koniom, osłom i mułom końce ogonów, a jeśli nieboszczyka nie stać było na podobny inwentarz, biedna koza poddać się musiała tej operacyi. Przy grzebaniu ciała kładziono nieboszczykowi pod głowę zamiast poduszki liście pomarańczowe, młodej dziewczynie wtykano do ust białą różę; ten sam zwyczaj widziałem w okolicach Neapolu. W domu, w którym leżał umarły, nie godziło się przez 3 dni palić ognia, ani gotować; obiad domownikom przynosili sąsiedzi, a spożywano go siedząc na ziemi z podwiniętymi nogami.

Maltanki noszą ubranie zwane *faldetta*, które je czyni podobnymi do zakonnic; jest to czarna mantynowa zasłona, w rodzaju płaszcza, okrywająca całą ich postać, nie jest ono jednakże bez pewnego wdzięku. W La Valette na ulicy, cały dzień czasem nie można spotkać kobiety, zdawałoby się, że jedynymi mieszkańcami Stolicy są czerwone mundury i ogorzali marynarze — najczęściej można je widzieć w porannych godzinach, spieszące do kościoła św.

Jana, lub po Mszy świętej do klasztorów dla odwiedzenia swoich sióstr, córek lub przyjaciółek. Surowość obyczajów bywa tu bardzo przestrzegana.

W czasie pobytu mego na Malcie postanowiłem zwiedzić wysepkę Gozzo, która od wieków przechodziła te same co i Malta koleje, a oddzieloną jest od niej kanałem nie więcej nad dwie mile szerokim. Parowy statek w pół godziny zaniósł mnie i mego towarzysza młodego M. do niemieckiego portu, zwanego Calle Maggiore, gdzie wsiadłszy na osła, za niedługą chwilę znalazłem się w murach miasteczka Gozzo, uchodzącego za stolicę wyspy. Dwa dni wystarczyło mi na obejrzenie ciekawszych miejscowości, a między innemi ruin nazwanych „wieżą cyklopów“. Istotnie, ślady pozostałe z budowli nie wiedzieć na pewno w jakim celu wzniesionych, kazały mi wnioskować, że twórcami ich były chyba jakieś przedhistoryczne wielkoludy, niezwykłą obdarzone siłą. Niektórzy badacze starożytności włoscy utrzymują, że wieża olbrzymów jest dziełem Fenicyan, i że prawdopodobnie dla uwiecznienia wielkiego znaczenia wydarzeń, może zwycięstw lub odkryć, wzniesli gmachy, których nieubłagana ręka czasu nie zdołała w zupełności zdruzgotać. Podobny sposób układania olbrzymich kamieni jednych na drugie, widziałem w okolicy Palermo a mianowicie w Soluncie osadzie kartagińskiej, w Piana-dei-Grecii na wyżynach Castrogiovanni; takie same zabytki sztuki murarskiej mają się znajdować w północnej Francyi, Szkocyi i Danii. W bliskości zameczka Gozzo, niedaleko „wieży olbrzymów“ pokazywano mi bogate kopalnie alabastru, z którego wyroby, jak kandelabry, lichtarze, popielniczki, przyeiski i t. d. w wielkiej ilości wyprowadzane bywają do Sycylii, Hiszpanii i prowincyj neapolitańskich. Ludność Gozza, nie przenosząca 12.000, zamieszkuje sześć wiosek arabskiej nazwy Gharb, Tschenquia, Seicara, Zebny, Zemial i Nadar. Środek wysepki nadzwyczaj jest urodzajny, więcej tu stosunkowo ogrodów, pastwisk, i źródeł jak w Malcie; dlatego to jeszcze za rządów w. mistrza zakonu hodowano wielką ilość bydła opasowego; a dziś także świeże mięso codziennie stąd wprowadzają do Małty na potrzeby mieszkańców oraz szpitali wojskowych, ogromną ilość tego artykułu spotrzebujących. Powietrze na Gozzo świeże i zdrowe, z owoców: przepyszne winogrona, brzoskwinie, figi i melony, tak bardzo przez

angielskich smakoszków poszukiwane. Wyspa produkuje wielką ilość bawełny chętnie widzianej na rynkach francuskich i hiszpańskich, nadto sól, ryby i jarzyny. Brzegi pełne są grot malowniczych, maleńkich ale wygodnych przystani, dających pewne schronienie setkom łodzi, uganiających się za połowem ryb, ostryg i koralu. Liczne rodziny nadbrzeżnych mieszkańców żyją z polowania na dzikie ptactwo, gnieźdzące się w szczelinach skał, a zbieranie puchu i pierza, jakkolwiek z tysiącem połączone niebezpieczeństw, tak jak na brzegach Islandyi i Skandynawii za erdredonem, znaczne mieszkańcom przynosi korzyści.

W jednym z domów włoskich w La-Valette poznałem się był z przeorem Kapucynów w Gozzo; korzystając więc ze sposobności nie zaniedbałem go odwiedzić w klasztorze w prześlicznej położonym okolicy, w pośród zieleni cyprysów, karuby (drzewo św. Jana) i wonnego kwiecia. Uprzejmy gospodarz 70 letni, ale pełen życia starzec, oprowadzał nas po zabudowaniach klasztoru i ogrodzie z wielką starannością utrzymanym, opowiadając ciekawe szczegóły o dziejach wysepki i klasztoru, którego od wielu lat był przełożonym. Oglądałem tu klasztorną aptekę, w której pokazywał mi pewną specyalność wyspy Gozzo tj. rodzaj trufli, rosnącej w jednej tylko miejscowości nad brzegiem zwanym Nagira-tal-gemal i od niepa-miętnych czasów uważanej jako jedyny środek na krwotok, dysenterję, szkorbut i choroby skórne. Trufię tę nazwaną w tamtejszej łacińskiej kuchni *cynomorion coccineum*, mieli przywilej zbierać tylko wielcy mistrze zakonu; obdzielali nią nie tylko szpitale na Gozzo i Malcie, ale wysyłali do Sycylii, Tunisu, Kandyi i niektórych aptek na włoskim kontynencie. Z gościnnym Padre Angelo zwiedziłem miejsce, z którego przed trzema wiekami wybierano młode sokoly, przesyłane na dwór madrycki, jako oznakę hołdu składanego przez w. mistrzów następcom Karola V., który, oddając Maltę w posiadanie rycerzy św. Jana Jerozolimskiego, położył warunek, aby co rok posyłano dworowi panującemu jedno młode pi-skłę. Z moim uprzejmym cicerone zwiedziłem warzelnię soli, wreszcie zamek Gozzo, w którego okolicy znachodzone szczątki zgruchotanych kolumn, kapitelów i ślady fundamentów olbrzymich budowli świadczą o świetnym niegdyś stanie wyspy. Samo miasteczko Gozzo, le-

żące na wzgórzu, w niewielkiej odległości od morza, jest dziś rezydencją biskupa i komendanta wyspy.

Zbliżył się czas mego powrotu na łód stały Włoch. Z żalem przychodziło mi pożegnać strony do dziś dnia tyle dla mnie mające uroku i tyle za sobą pozostawiające wspomnień. Maltańczycy gościnni jak ich pobratymcy Arabowie nie odrazu jednakże otworzyli swoje drzwi i serca cudzoziemcowi stukającemu do ich progów; z natury podejrzliwi i niedowierzający, wprowadzili mnie do swoich domów poznawszy z czasem, że nie potrzebują się obawiać mojego sąsiedztwa ze względu na pokój ich domowego ogniska. Łatwo mi potem już przyszło zjednać sobie względy i zaufanie wyspiarzy, dzięki znajomości języka, w którym prędko nastąpiła zamiana wspólnych wyobrażeń, a może też i interesowi, jaki okazałem w poznaniu ich przeszłości, zwyczajów, ich szczęśliwego kraiku, a który z czasem tak ukochałem jak moją własną, daleką, a według pojęć Maltańczyków, lodowatą z ołowianem niebem ojczyznę.

P. W. Zubrzycki.

Z Berlina.

Ks. Biskup Kopp. — Sprawy kościelno-polityczne. — Kongres socjalistów. — Polityka kolonialna.

Po dziesięciomiesięcznem blisko osieroceniu otrzymała dyecezya wrocławska, obejmująca także prowincję brandenburską i pomorską, nowego biskupa w osobie ks. Kopp'a, dotychczasowego biskupa fuldajskiego. W miejscu zaś jego objęcie rządu dyecezyi fuldajskiej wybrany w tych dniach ks. Józef Weyland, dotychczasowy proboszcz wisbadeński: będą tedy wszystkie stolice biskupie w Prusach znówu obsadzone.

Nowy książę-biskup wrocławski odezwał się do swoich dyecezyj w obszernym liście pasterskim, w którym szczególny nacisk kładzie na powagę władzy biskupiej. Orędzie to odczytano także w języku polskim we dwóch kościółkach tutejszych, gdzie się nabożeństwo polskie odprawia. Ks. biskup Kopp wyklada w tem piśmie dyecezyi swoje i jej obowiązki, ale oświadcza zarazem, że

zadania pasterskie stanowią granice jego władzy. List pasterski nie zwraca się szczegółowo do katolików, nie używających języka niemieckiego, choć ogólnie wspomina, że dyecezya wrocławska sięga od Bałtyku po źródła Odry i liczy przeszło dwa miliony katolików, „rozdzielonych na państwa i języki“. Natomiast zapewnia biskup, że szczególną opieką otoczy katolików, żyjących w rozprószeniu między ludnością protestancką. Otóż w tej liczbie znajduje się niemała część katolików polskiego pochodzenia, mianowicie w Berlinie, która w wysokim stopniu opieki tej potrzebuje.

Nowy biskup, wspomniawszy w swem orędziu wśród jakich warunków zmarły poprzednik jego, ks. Herzog, objął rządy, odzywa się w te słowa: „Prawda, że owe czasy podlegały wszelakim niepewnościom i zmianom, które zwykle towarzyszą przejściu ze stanu walki do zgody. Od roku stosunki nasze kościelne stanowczo polepszać się zaczęły; Kościołowi przywrócono szereg ważnych wolności i spodziewamy się, że w skutek wzajemnego zaufania obecnego i dalszego współdziałania władz duchownych i świeckich na drodze zgody, sprawy kościelne coraz bardziej będą się ustalały. Ale w chwili, gdy z odebranych już owoców ugody się cieszymy i wdzięcznem sercem jej sprawcom błogosławimy, podnoszą się tu i owdzie głosy obawy, że prawa rządu ukrócone zostały przez wolności, które nam ledwo co przywrócono, i że stąd zagraża niebezpieczeństwo wzajemnemu pokojowi wyznań“.

Ks. biskup Kopp zbija owe zarzuty liberalne i protestanckie. Wreszcie oświadcza: „My przynajmniej nie będziemy jeszcze bardziej powiększali tego rozdwojenia, które i tak już w skutek różnicy wyznań religijnych pomiędzy dziećmi jednej ojczyzny istnieje. Będziemy się wystrzegali wszystkiego, coby innych słusznie obrazić i dotknąć mogło. W wykonywaniu cnót obywatelskich będziemy się z nimi współubiegali i tam nie ociągali, gdzie tego dobro społeczeństwa i ojczyzny wymaga“.

Zaznaczywszy, że wszyscy obywatele winni złączyć swe siły, by podpieścić filary, na których jeszcze (!) spoczywa chrześcijański urząd społeczeństwa, kończy biskup list swój apostrofą do św. Jadwigi, patronki Śląska.

Nadto wydał nowy biskup łańcki okólnik do duchowieństwa, w którym dotyka obaw „niemałej liczby księży“, że ostatnie

ustawy kościelno-polityczne zagrażają swobodzie duchowieństwa. Ks. biskup Kopp prosi księży o zaufanie dla siebie i reszty biskupów, którym bardzo wiele na tem zależy, aby swoboda duchowieństwa została zachowaną dalej; zaleca wielką ufność do papieża, *qui illam cleri libertatem, nunquam neglectam, novissimis temporibus tanto successu curavit, ut non sit, cur amplius timeamus*, a w końcu wzywa duchowieństwo do korzystania z obecnego położenia, aby naprawić, co gorsze czasy nadwężyły, gdyż wtedy będzie można mieć nadzieję odparcia niebezpieczeństw w przyszłości.

Wiadomo, jakie nieprzyjemności ks. Kopp z powodu pierwszego wystąpienia parlamentarnego ponosił: w kołach katolickich uwydatniała się wówczas pewna nieufność względem niego, która dziś ustąpiła. Ks. Kopp jest jako człowiek nieposzlakowany, jako kapłan sumienny. Jego prawota powinna wszystkich uspokoić, aby bez uprzedzenia oczekiwali dalszej jego działalności. Ks. biskup Kopp miał twarde walki do staczania, a jeśli na śliskiej drodze dyplomatycznej pierwsze kroki jego były nieśmiałe, niepewne, i ostrą na się ściągnęły krytykę, wszystko to później zmieniło się, odkąd lepiej rozejrzał się w położeniu i zawiązał stosunki ze stronnictwem środkowem. Ks. Kopp w celach kościelnych zgadza się z centrum, choć zdąża do nich inną drogą. Woli on prosić niż żądać, i gdyby owoce polityki miały stanowić o jej wartości, toby nowy biskup wrocławski na takiej ocenie nieźle wyszedł. Czy atoli nie dozna ostatecznie zawodu, to dopiero przyszłość wykaże.

Przejeżdżając przez Berlin, złożył ks. Kopp przysięgę, wymaganą od biskupów, podług nowej rotacji za zgodą stolicy apostolskiej. Był to pierwszy wypadek tego rodzaju od czasów wybuchu walki kościelno-politycznej. Rota ministra Falka, rozciągająca się i na ustawy majowe, upadła; nowa rota opiewa między innemi, że przysięga, poprzednio złożona papieżowi, nie zawiera nic takiego, coby zostawało w sprzeczności z wymaganiami państwa.

Wspomniane w okólniku biskupim obawy niemależ liczby księży, odnoszą się do głośnej notyfikacji kandydatów na probostwa. Władza rządowa z powodów, dość ogólnikowo określonych, ma prawo odrzucania księży, nie dobrze zapisanych u rządu. Nie tylko w okolicach polskich wypytywały się władze niższe o polityczne zachowanie się księży, ale także w niemieckich prowincjach,

a ponieważ tam po wsiach nieraz rzeźnik lub piekarz jako naczelnik gminy bywa mężem zaufania, przeto zdanie takich figur stanowi nieraz o losie księdza. Zabawne, aczkolwiek z drugiej strony smutne zdarzenie tego rodzaju przytoczyły dzienniki katolickie. Taki oto rzeźnik oświadczył poufnie siostrze pewnego wikarego, że dał o bracie jej księdzu dobrą opinię rządowi, na co znowu ktoś zauważył: „Dobrze, że Pani u tego właśnie rzeźnika mięso kupujesz“.

Nie dziw, że prawo notyfikacyi ma coś nader ubliżającego, w rodzaju jarzma kaudyńskiego. Z okazji wiecu szląskiego w Nisie odbyły się tedy poufne narady duchownych nad tą sprawą i ostatecznie uchwalono, że za nieuczciwość uważać należy, jeśliby ksiądz ubiegał się o probostwo, na które nie został przyjęty kandydat władzy duchownej, lub jeśliby ksiądz inny przyjął takie probostwo z poręki rządu. Tę rezolucyę mieli księża po dekanatach podpisywać, aby tym sposobem wspólną działalnością odeprzeć raz na zawsze pokusy i zachować nieskazitelność duchowieństwa. Zebrano także pewną liczbę podpisów, ale śnać nie wszędzie były zapatrywania w tym względzie jednakowe, bo rządowa *Schlesische Ztg.* dowiedziała się o poufnych krokach księży i ogłosiła publicznie, że pewne sfery duchowne pragną w niwecz obrócić ustępstwa, poczynione rządowi przez Rzym, i zepsuć harmonię między władzą świecką a duchowną.

Tymczasem skończyła się poufna akcyja duchowieństwa na niczem. Z Rzymu nadeszła bowiem wiadomość, że układy względem notyfikacyi o tyle zostały pomyślnie zakończone, że rząd pruski zrzekł się na przyszłość zakładania protestu przeciwko nominacyi proboszczów, opartego na faktach, które nie są czem innem jak tylko wykonaniem obowiązków kapłańskich lub praw obywatelskich. O tę wolność księży i swobodę obywatelską toczył ks. Kopp w sejmie pruskim na próżno walkę.

Skoro się więc zdarzy, że kandydat na probostwo ściągnie na siebie niełaskę rządu przez występowanie opozycyjne na zgromadzeniach wyborezych, w rozmaitych stowarzyszeniach, przez pisywanie korespondencyi do prasy opozycyjnej lub przez troskliwość o dzieci z małżeństw mieszanych, to w takim razie rząd już nie będzie mógł powoływać się na to i odrzucać go jako *ingrata per-*

sona. Takie będzie formalne położenie sprawy. Czy więc na przyszłość notyfikacja nie będzie miała wyłącznie znaczenia oddania biletu wyzytowego? tego jednak mniemać nie można. Rząd bowiem pruski nie zrzekł się prawa protestu przeciwko księżom, źle widzianym przez biurokracyę. Kiedy w izbie posłów ks. biskup Kopp wnosil swoje poprawki, oświadczył p Gossler, że przyjęcie ich byłoby nader „niewygodnem“ dla rządu. A byłoby niewygodnem właściwie dla tego, że urzędnicy, śledzący z iście pruską skrzętnością wszelkie kroki duchownych, musieliby oprzeć ewentualny protest na innych faktach, nie zaś na takich, które mają styczność z religijnymi obowiązkami księdza lub są wynikiem jego swobody obywatelskiej. Protest więc nastąpi, tylko uzasadnienie będzie inne!

Krótko przed przybyciem nowego biskupa do Wrocławia zaprzątała germanizacya Górnego Szląska żywo prasę wrocławską, oczywiście popieraną przez tutejsze organa rządowe. Taki organ inspirowany, jak wychodzące w Lipsku „Grenzboten“, oświadczył wręcz, że regencya wrocławska domagać się będzie, aby ksiądz biskup Kopp księży górnoszląskich nakłonił do przysposobienia dzieci polskich do pierwszej spowiedzi w języku niemieckim, ponieważ w szkole wszystko wykłada się po niemiecku. Do tej kompanii przyłączyła się „Schlesische Ztg.“, umieściwszy artykuł jednego z magnatów górnoszląskich, który głównie obwinia duchowieństwo, że nie popierało nigdy i teraz nie popiera polityki germanizacyjnej. Autor artykułu przedstawia wprawdzie rzecz tak, jak gdyby chodziło głównie o to, by dzieci niemieckich osadników nie spolszczyły się w kościele, ale wyraźnie zaleca przy tem starać się o pozyskanie dla niemieczyzny dzieci takich katolików, których przodkowie kiedyś byli Niemcami, chociaż rodzice tychże dawno o tem zapomnieli. Wreszcie wypowiada on przekonanie, że dopóty wszystkie usiłowania rządu nie przeprowadzą germanizacyi w pożądanym rozmiarach, dopóki duchowieństwo posługiwać się będzie językiem ojczystym ludu z kazalnicy i przy spełnianiu czynności religijnych.

Socjaliści odbyli w bieżącym roku wcale inaczej swój kongres niż dawniej. Najprzód nie prasa tego stronnictwa ogłosiła pierwsza wezwanie na to zgromadzenie, lecz dzienniki rządowe, a między innymi „Norddeutsche Allgemeine Ztg“. Do odezwy tej przyłączony był porządek obrad. Tylko miejsce, gdzie się kongres miał odbyć,

nie było wymienione, chociaż rządowym dziennikom miejscowość (St. Gallen w Szwajcaryi) była znana. Publiczność nie wiedziała zrazu, co sądzić o tak niespodzianem ogłoszeniu. Później dowiedzieliśmy się, że jedno z zaproszeń na kongres było wystosowane do pewnego posła socjalisty, uwięzionego podówczas. Władza więzienna nie wręczyła mu zaproszenia, lecz przesłała je wprost na ręce prezesa policyi w Berlinie, a stamtąd droga do biur przybocznego organu Bismarkowego niedaleka. Udał się socyalistom manewr zamierzony w zupełności, bo chodziło tu o to, aby właśnie rządowa prasa pierwsze podała uwiadomienie o mającym się zebrać kongresie. Skutkiem tego przyczepili się oczywiście tajni agenci do przywódców socyalistów, towarzysząc im aż do Szwajcaryi; między jednym z nich a posłem Grillenbergiem, rozporządzającym ogromnemi pięściami, przyszło na dworcu w St. Gallen nawet do bójki.

Dla czegoż socjaliści tym razem zachowali inną taktykę, niż przed zjazdem tajnym na zamku Wyden (Szwajcarya) lub w Kopenhadze? Oto dlatego, że po dawniejszych kongresach prokuratorya niemiecka uczestników ściagała i ostatecznie pewną liczbę członków na długi czas do więzienia wsadziła. Długa to była historia, bo prokuratoryi chodziło o to, aby sądy uznały zjazdy owe za zebrania tajnych związków; sądy długo się opierały, aż wreszcie trybunał lipski przychylił się do tego poglądu i tem samem zmusił podwładne sądy do tej samej logiki. Socjaliści wiedzieli, że im znowu zagrożą procesem, gdyż uczestnicy zjazdu liczniejszego nie mogą się ukryć przed czujnem okiem agentów pruskich. Z tego powodu oświadczyli z góry, że kongres tegoroczny będzie nie zupełnie tajny, że nawet na nim będą obecni ludzie, nie przyznający się do zasad socyalistycznych. Spełniło się to, ale czy prokuratorya niemiecka zaniecha procesu? Wątpię.

Uczestnicy kongresu przesłali nadto dziennikom oficjalne sprawozdanie, streszczające przebieg czyli raczej ostateczne wyniki obrad, ale najważniejszy punkt został tylko dotknięty. Zjazd porucił trzem posłom (Liebknecht, Bebel, Auer) roztrząsanie kwestyi, czy program stronnictwa nie powinien być zmienionym, mianowicie domaganiem się tego, by ziemia i gospodarstwo rolne stały się własnością całego społeczeństwa (oczywiście po dokonaniu zamierzonego przewrotu obecnego porządku społecznego). Szkoda, że nie można

obecnie o tej sprawie więcej się dowiedzieć. Nawiasem wspomnę, że tu w Berlinie powstało stowarzyszenie demokratyczne, bardzo nieliczne i bez wszelkiego wpływu, które zapisało jawnie toż samo hasło na swym sztandarze.

Socjaliści w St. Gallen kładli silny nacisk na swe zasady rewolucyjne. Otóż w rządowych kołach przypuszczają, że stało się to z powodu, że agitatorzy obawiają się utraty wpływu na masy, którym się przykrzy, że rewolucja socjalna nie wybuchła jeszcze w Niemczech. Masy przerzucają się do obozu anarchistów, gotowe „zepsuć“ socyalistom wszystko zbyt za wczesnym wybuchem.

Kolonialna polityka kanclerza przestąpiła dawno ciasne granice, jakie jej kiedyś przed 3 $\frac{1}{4}$ laty książę Bismark nakreślił. Według ówczesnego programu miała kolonizacya być rzeczą prywatną, popieraną przez rząd chyba jakimś dokumentem piśmiennym. Kolonie miały rządzić się same, a w żadnym razie nie miały się one spodziewać załóg stałych. Wkrótce już jednak o owem przemówieniu wyperswadowali niektórzy kupcy hamburscy kanclerzowi, że przedsiębiorcy prywatni nie mogą na siebie brać ciężaru sprawowania rządów i w rzeczy samej znajduje się już gubernator państwa niemieckiego w Kamerunie i dwóch komisarzy w Afryce i w Nowej Gwinei. Ostatni ten kraj został czempredzej zabrany, aby nie wpadł w ręce angielskie.

Tymczasem teraz wołają Niemcy koloniści o opiekę wojskową, gdyż żołnierze marynarki nie mogą daleko posuwać się w głąb krajów nieznanych. W Kamerunie wyćwiczyli Niemcy na pruski sposób bandę murzynów, ale jakoś nie mieli wielkiego zaufania do tego żołdactwa, kiedy nie tak dawno temu, oddziałowi załogi okrętów polecili spalenie kilku wsi murzyńskich i ukaranie ludności, która nie chciała z rąk wypuścić pośrednictwa handlowego między wybrzeżami a wnętrzem kraju. A co się stanie w razie nieprzyjaznej postawy szczepów Afryki wschodniej przeciwko Niemcom? Sułtan Zanzylaru uląkł się kiedyś na widok pancerników niemieckich, ale admirał Knorr nie może przecie puszczać się z temi pancernikami w głąb Afryki, naczelnicy zaś band arabskich, urządzający naganki na czarnych niewolników, są ludźmi wcale niebezpiecznymi.

„Potrzeba nam wojska kolonialnego“, woła tedy pozasłużbowy pułkownik Friese w broszurce niedawno wydanej. Zdaniem tego

pana, powinien misyonarz niemiecki i niemiecki podróżnik ruszyć na zwiady, gdzie co zabrać można, a za nimi winien postępować żołnierz pruski, któryby wywierając groźny wpływ na bezbronną ludność, ubezpieczał przedsiębiorcom wszelkiego rodzaju przeprowadzanie zamiarów kolonialnych. Ciekawiśmy, jak takie przedstawienia spodobają się Niemcom, zwłaszcza po strasznych ofiarach Francyi w Tonkinie. Niemcy czytali ze zgrozą, jak młodzież francuska tam na rzeź po prostu szła, i wątpię, aby mimo wszelkiego szowinizmu chcieli wysyłać do Afryki synów swoich. Przebakują tedy o armii na sposób tych, jakie posiadają Angliey i Holendrzy, do którejby za sowitem wynagrodzeniem, Niemcy wstępowali dobrowolnie, nie zaś pod naciskiem służby obowiązkowej. Pułkownik Friese zwraca uwagę na licznych oficerów pozasłużbowych, z którymi nie ma co począć w Niemczech. Oczywiście poleca on do służby po koloniach tylko takich, którzy opuścili służbę bez obrazy honoru wojskowego. Nie zwraca przecież uwagi na to, że gdyby tacy panowie pracować chcieli i umieli, mogliby gdzie indziej znaleźć środki do życia, nie potrzebując się narażać na zabójczy klimat Afryki.

Ostatecznie skończy się tedy pewnie na tem, że w imię patryotyzmu będą wysyłane do Afryki załogi stałe. Tymczasem zaś wystarczy entuzyastom kolonialnym, których interesa z tem są powiązane, że parlament zgodzi się na nową linię parowców do wschodniej Afryki, z subwencją państwa.

X.

SPIS RZECZY.

Artykuły o rzeczach współczesnych.

Stronnica

KLASYCYZM W SZKOŁACH ŚREDNICH. Przez <i>Ks. M. Morawskiego T. J.</i> (Dodatek)	I
STOSUNEK PAŃSTWA PRUSKIEGO DO KOŚCIOŁA. Przez <i>Ks. Augustyna Arndt'a T. J.</i> (c. d.) . . .	81, 217, 413
WYCHOWANIE MŁODZIEŻY I HERBARCYANIZM. Przez <i>Ks. W. Gadowskiego</i>	347

Artykuły naukowe i literackie.

ZAWIAZKI DZIEJÓW SICZY ZAPOROZKIEJ. Przez <i>Maryana Dubieckiego</i>	1, 233
ŹRÓDŁA HISTORYCZNE WSCHODU ODNOŚNIE DO PISMA ŚW. II. Asyryologia. Przez <i>Ks. Wł. Zaborskiego T. J.</i> (c. d.)	20, 252
ARTYSTA CHRZEŚCIJAŃSKI FRYDERYK OVERBECK (dok.)	41, 200, 362
CHOLERA W GÓRACH. Karta z góralskiej kroniki. Przez <i>Karola Mátyása</i>	60
DZWONY JAKO PRZEDMIOT SZTUKI KOŚCIELNEJ. Przez <i>Ks. Jana Balwierczaka</i> (dok.)	67, 400
PIERWSZE OLTARZE CHRZEŚCIJAŃSKIE. Przez <i>Ks. Eustachego Skrochowskiego</i>	187
CUDA I ICH ZNACZENIE W DZIEJACH OBJAWIENIA. II. Przez <i>Ks. Antoniego Langerę T. J.</i>	270

Ks. STAN. CHOLONIEWSKI W RZYMIE. Przez Ks. <i>Jana</i> <i>Badeniego T. J.</i>	379
PRZEOBRĄŻENIA W TEORYACH EWOLUCYJNYCH. Przez <i>Dra Fr. Chłapowskiego</i>	423

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa krajowego:

DZIEJE LITERATURY POWSZECHNEJ Z ILLUSTRACYAMI. Tom II. Dzieje literatury średniowiecznej, opracowane przez <i>J. Radlińskiego, E. Grabowskiego, J. A. Świecickiego i B. Grabowskiego (Czesław Pieniążek)</i>	97
TAK ZWANA „EMANCYPACJA“ A CHRZEŚCIJAŃSKIE STANOWISKO NIEWIASTY. Przez Ks. <i>Pratata A. L.</i> Tom. I. Część kry- tyczna.	102
LISTY ŻYGMUNTA KRASIŃSKIEGO. T. III. (<i>B. Jasińczyk</i>) . . .	104
TEOLOGIA PASTERKA KATOLICKA dla użytku seminariów du- chownych i pasterzów dusz. Przez Ks. <i>Józefa Krukow-</i> <i>skiego Dra św. Teol. (Ks. A. Kraetzig T. J.)</i>	106
PAMIĘTNIK TOWARZYSTWA LITERACKIEGO imienia Adama Mic- kiewicza, pod redakcją <i>Adama Piłata</i> . Rocznik I.	289
KONFEDERACJA SPYTKA Z MELSZTYNA. Przez <i>Antoniego Pro-</i> <i>chaske</i>	300
NAUKI KATECHIZMOWE o prawdach wiary i obyczajów katol. Kościoła, według średniego katechizmu Deharba. Tom IV. Wydął Ks. <i>J. Stagracyński</i>	302
SPRAWY WOJENNE KRÓLA STEFANA BATOREGO. Zebrał i wydał Ks. <i>Ignacy Polkowski. (August Sokółowski)</i>	441
KRONIKA UNIwersYTETU JAGIELLOŃSKIEGO od roku 1864 do r. 1887 i obraz jego stanu, wraz z rzeczą o rektorach od czasów najdawniejszych	447
ŻYWOT DWUDZIESTU TRZECH ŚŚ. MĘCZENNIKÓW JAPOŃSKICH z Zakonu Braci Mniejszych św. Franciszka. <i>O. Prokopa.</i> <i>Kapucyna</i>	448
MŁODOŚĆ MICKIEWICZA. Obraz pierwszych wpływów na rozwój umysłu i charakteru. Skreślił <i>Dr. Teofil Ziemia. (Sz. Ma-</i> <i>tusiak)</i>	448
RODZINA BUCHHOLCÓW. Szkic z życia berlińskiego, przez <i>Juliu-</i> <i>sa Stindeggo</i> . Przełożył <i>Juliusz Starkel</i>	449

Z piśmiennictwa zagranicznego:

ÜBERSICHTEN DER WELTWIRTSCHAFT, von <i>Dr. T. X. von Neu-</i> <i>mann Spallart</i> . Jahrgang 1883–4. (<i>Witold Załęski</i>)	108
KATHOLISCHES LEBEN IN MITTELALTER, von <i>A. Kobler S. J.</i> (<i>Ks. A. Arndt T. J.</i>)	128
MAITRES CONTEMPORAINS. Par <i>Henri Jouin</i>	129
UNSERES HERN TROST. <i>Dr. P. Keppler (Ks. A. Arndt T. J.)</i>	129
PHILOSOPHIA MORALIS, seu Institutiones Ethicae et Juris natu- rae, secundum principia philosophiae Scholasticae, praeser- tim S. Thomae, Suarez et De Lugo, methodo scholastica elucubratae a <i>Julio Costa-Rosetti S. J.</i>	303

DIE CHRISTLICHE STAATSLHRE, nach den Grundsätzen der En- cyklika vom 1. Nov. 1885. Von <i>Chr. Pesch S. J. (Ks. A. Arndt T. J.)</i>	305
DIE GEGNER „EDGAR'S“ und ihre Leistungen. Von <i>Ludwig v. Hammerstein</i>	305
DESSINS D'ORNEMENTS DE HANS HOLBEIN. Facsimile en foto- gravure. Par <i>Ed. His</i>	307
LE COMTE PELLEGRINO ROSSI, sa vie, son oeuvre et sa mort. Par le Comte <i>Henri d'Ideville</i>	308
NAPOLEON ET SES DÉTRACTEURS. Par le <i>Prince Napoléon</i>	449
Догматическое развитие Церкви въ связи съ вопросомъ о сое- динении церквей. Владимира Соловьева. ROZWÓJ DOGMA- TYCZNY KOŚCIOŁA W ZWIĄZKU Z KWESTYĄ O ZJEDNOCZE- NIU KOŚCIOŁÓW. <i>Włodzimierza Słowiewa</i>	455
L'ORNEMENT SLAVE ET ORIENTAL d'après les manuscrits anciens et modernes recueilli et étudié par <i>Wladimir Stasoff</i> . (<i>Ks. Ignacy Polkowski</i>)	456

Z pism peryodycznych:

STIMMEN AUS MARIA-LAACH. Band 32. 1887. (<i>Ks. A. Arndt T. J.</i>)	130
MUZEUM, czasopismo Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych. Rok 1887. (<i>Dr. K. Petelenz</i>).	458

Rozmaitości:

Les Études religieuses, philosophiques, historiques et littéraires .	469
--	-----

Sprawozdanie z ruchu religijnego, nauko- wego i społecznego.

Październik.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Kongres katolików niemieckich w Trewi- rze. — Katolicki kongres społeczny w Liège. — Kongresy protestanckie i socjalistyczne. — Upadek starokatolicy- zmu. — Odszczepienstwo ks. Mac-Glynna. Przez <i>Ks. Jana Badeniego T. J.</i>	136
LISTY O RUMUNII I.	145
KILKA GODZIN NA WYSTAWIE	155
SZKOLNICTWO W BULGARYI	167
OBRAZY RELIGIJNE NA PIERWSZEJ WIELKIEJ WYSTAWIE SZTUKI POLSKIEJ W KRAKOWIE. Przez <i>Ks. E. Skrochowskiego</i> .	176

Listopad.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Rocznica zaboru Rzymu. — Telegram króla Humberta. — Kwestya rzymska a konferencya w Frie- drichsruhe. — Odezwanie się <i>Timesa</i> . — Broszura „List Papieża a Włochy urzędowe“. — Mowa na wiecu nauczy- cielskim w Paryżu. — Modlitwa kardynała Gibbonsa. — Rozwój Kościoła katolickiego w Stanach Zjednoczonych. Przez <i>Ks. Jana Badeniego T. J.</i>	309
---	-----

Z PODRÓŻY PO ŚRÓDZIEMNEM MORZU. Malta i Maltańczycy.	
Przez P. W. Zubrzyckiego	319
SZKOLNICTWO W BUŁGARYI.	329
LISTY O RUMUNII. II.	336

Grudzień.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Pielgrzymka francuska. — Adres hr. de Mun. — Mowa Ojca św. — Wrażenie wywołane tą mową. Papież „socyalistą”. — Mowa ministra Crispiego w Turynie. — Garybaldowska uroczystość. — Wotum budżetowej komisji w parlamencie francuskim. — Laicyzacya szkół. — Artykuł kardynała Gibbonsa. — Niebezpieczeństwa grożące Stanom Zjednoczonym północnej Ameryki. Przez Ks. Jana Badeniego T. J.	471
ZE ŚWIATA NAUK, ODKRYĆ I WYNAŁAZKÓW: Ostatnie zaćmienia. — Tajemnicza siła pana Thore. — Ciekawy sposób działania lekarstw na organizm ludzki. — Telautograf. — Kryptografia zdyskredytowana. Przez Edwarda Wereszczyńskiego	484
BURSA ŚW. KAZIMIERZA W TARNOWIE	492
Z PODRÓŻY PO ŚRÓDZIEMNEM MORZU: Malta i Maltańczycy. Przez P. W. Zubrzyckiego	495
Z BERLINA: Ks. Biskup Kopp. — Sprawy kościelno-polityczne. Kongres socyalistów. — Polityka kolonialna	507

